

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLEROWYCH
WIELKICH KŁAMSTEWEK

LIANE MORIARTY

**DZIEWIĘCIORO
NIEZNAJOMYCH**

Skoro trzy bohaterki **WIELKICH KŁAMSTEWEK** potrafiły tak namieszać, pomyśl, co zrobi dziewiątka.
„NEW YORK TIMES BOOK REVIEW”

Liane Moriarty

DZIEWIĘCIORO
NIEZNAJOMYCH

tłumaczenie
Mateusz Borowski

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2019

*Dla Kati
i dla Taty
z całą miłością*

*Wydawało ci się, że jesteś problemem,
lecz to ty jesteś lekarstwem
Wydawało ci się, że jesteś kłódką na drzwiach,
lecz to ty jesteś kluczem, który je otwiera.*
DŻALALODIN RUMI

Kiedy tylko odkryłem sens życia, zmienili go.
GEORGE CARLIN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Yao

– Nic mi nie jest – upierała się. – Nic mi się nie stało.

Według Yao wcale nie wyglądała dobrze.

To był jego pierwszy dzień na stażu dla sanitariuszy. Trzecie wezwanie. Yao się nie denerwował, ale zachowywał czujność, bo nie znosił pomyłek, nawet pozbawionych jakichkolwiek konsekwencji. W dzieciństwie każdy błąd przyplącał słonymi łzami i perspektywa porażki wciąż przyprawiała go o skurcz żołądka.

Kropelka potu niczym ślimak zostawiła za sobą smużkę na mocno upudrowanej twarzy kobiety. „Po co malować się na pomarańczowo?”, pomyślał Yao, jakby to w tej chwili miało jakieś znaczenie.

– Nic mi nie jest. To pewnie jednodniowa infekcja – oznajmiła z delikatnym wschodnioeuropejskim akcentem.

„Uważnie obserwuj pacjenta i jego otoczenie” – instruował go niegdyś Finn, jego przełożony. „Wyobraź sobie, że jesteś tajnym agentem, szukającym wskazówek pozwalających na postawienie diagnozy”.

Yao przyjrzał się puszystej kobiecie w średnim wieku, z fioletowymi cieniami pod wyrazistymi, turkusowymi oczami i z cienkimi włosami ściągniętymi z tyłu głowy w mizerny koczek. Była blada i spocona, oddychała nierówno. Unoszący się wokół niej zapach popiołu z papierosów wskazywał na to, że sporo pali. Siedziała za olbrzymim biurkiem na skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Wyglądała na szycę, a o jej statusie w korporacji świadczył urządzone pluszowymi meblami, narożny gabinet z panoramicznymi oknami wychodzącymi na zatokę. Mieścił się na siedemnastym piętrze, tak blisko gmachu opery, że widać stąd było romboidalne białe i kremowe

płytki pokrywające dach budynku.

Kobieta, nie odrywając dłoni od myszki, przeglądała e-maile na dużym monitorze, jakby dwóch sanitariuszy sprawdzających jej stan nie przeszkadzało jej bardziej niż technicy naprawiający gniazdko elektryczne. Uszyty na miarę granatowy kostium, ciasno opinający ramiona, wyglądał, jakby kazano jej go nosić za karę.

Yao ujął jej drugą dłoń i zapiął kobiecie na palcu pulsoksymetr. Na jej przedramieniu zauważył zaczerwienioną, łuszczącą się skórę. Pierwszy objaw cukrzycy?

– Masza, zażywasz jakieś leki? – zapytał Finn.

Z pacjentami rozmawiał swobodnie, jakby gawędził przy piwie podczas grilla.

Yao zauważył, że Finn zawsze zwracał się do nich po imieniu, tymczasem on sam czuł się zażenowany, traktując ich jak starych znajomych, ale postanowił przewyciężyć swoją nieśmiałość, jeśli dzięki temu pacjent mógł poczuć się lepiej.

– Niczego nie zażywam – odparła Masza, wciąż wpatrzona w ekran.

Zdecydowanie w coś kliknęła, a potem oderwała się od komputera i spojrzała na Finna. Jej oczy wyglądały jak pożyczone od królowej piękności. Yao przypuszczał, że kobieta nosi kolorowe soczewki kontaktowe.

– Nic mi nie dolega. Przepraszam, że zajęłam panom czas. I na pewno nie wzywałam karetki.

– To ja ją wezwałam – wtrąciła się śliczna, ciemnowłosa młoda kobieta w szpilkach i obcisłej spódnicy w kratkę, podobną trochę do wzoru, w jaki układały się płytki na dachu opery. Strój doskonale na niej leżał, co w tej chwili było nieistotne, choć technicznie rzecz biorąc, dziewczyna należała do otoczenia, które Yao miał obserwować. Teraz obgryzała paznokieć małego palca.

– Jestem jej asystentką. Ona... ach... – Ściszyła głos, jakby wyjawiała wstydlivy sekret. – Zbladła jak trup i spadła z fotela.

– Wcale nie spadłam z fotela! – zaprotestowała Masza.

– Zsunęła się – poprawiła się dziewczyna.

– Na moment zasłabłam, to wszystko – oświadczyła Masza, patrząc na Finna. – A potem natychmiast wróciłam do pracy. Możemy to szybko załatwić? Z radością

uiszczę pełną, no wiecie, opłatę czy stawkę, czy jak tam sobie liczycie za usługi. Oczywiście mam prywatne ubezpieczenie. Naprawdę czas mnie goni. – Znowu zwróciła się do asystentki: – Czy nie jestem umówiona z Ryanem na jedenastą?

– Odwołam to spotkanie.

– Czy ktoś tu wspomniał moje imię? – odezwał się mężczyzna stojący w drzwiach. – Co się dzieje?

Do gabinetu wmaszerował facet w za ciasnej fioletowej koszuli, niosąc stos teczek na dokumenty. Mówił z pretensjonalnym brytyjskim akcentem, jakby udawał członka rodziny królewskiej.

– Nic – odparła Masza. – Usiądź.

– Masza nie może się teraz z tobą spotkać! – powstrzymała go biedna asystentka.

Yao jej współczuł. Nie lubił bagatelizowania problemów zdrowotnych i uważał, że jego praca zasługuje na większy szacunek. Miał również awersję do facetów z włosami postawionymi na żel, mówiących z arystokratycznym akcentem i ubierających się w koszule o rozmiar za małe, by podkreślić nadmiernie rozbudowaną klatkę piersiową.

– Nie, nie, usiądź, Ryan! To nie potrwa długo. Nic mi nie jest – przywołała go ze zniecierpliwieniem Masza.

– Mogę zmierzyć ci ciśnienie, yyy... Maszo? – zapytał Yao, wyjąkując imię kobiety, kiedy zakładał jej na ramię mankiet ciśnieniomierza.

– Najpierw trzeba zdjąć żakiet – poinstruował go Finn z rozbawieniem. – Ależ z ciebie tytan pracy, Maszo.

– Bardzo mi zależy, żeby Masza podpisała te dokumenty – powiedział młody facet do asystentki ściszonego głosem.

„A mnie bardzo zależy, żeby zmierzyć parametry życiowe twojej szefowej, skurwielu”, pomyślał Yao.

Finn pomógł Maszy zdjąć żakiet i pieczołowicie zawiesił go na oparciu fotela.

– Pokaż te dokumenty, Ryan. – Masza sprawdziła, czy nie rozpiął się któryś z guzików jej kremowej jedwabnej bluzki.

– Potrzebuję tylko podpisów na dwóch pierwszych stronach. – Facet podał jej jedną z teczek.

– Ja chyba śnię. – Asystentka z niedowierzaniem uniosła rękę.

– Kolego, wpadnij innym razem – rzucił Finn swobodnie, ale w jego głosie pobrzmiwał stanowczy ton.

Facet się wycofał, jednak Masza pstryknięciem palców przywołała go do siebie, a on natychmiast doskoczył do biurka i podał szefowej teczkę. Najwyraźniej bał się Maszy bardziej niż Finna, choć sanitariusz był wielkim, silnym facetem.

– Zajmie mi to góra czternaście sekund – powiedziała Masza do Finna.

Głos uwiązał jej w gardle, a ostatnie słowo z trudem wysyczała.

Yao, wciąż trzymając mankiet ciśnieniomierza, spojrzał na Finna.

Masza przechyliła głowę na bok, jakby tylko się zdrzemnęła. Teczka wysunęła się z jej dłoni.

– Masza? – zapytał Finn mocnym, władczym głosem.

Kobieta osunęła się na biurko, opuszczając ręce bezwładnie jak marionetka.

– Właśnie tak! – zapiszczała asystentka z satysfakcją. – Dokładnie tak to wyglądało poprzednim razem!

– Jezu! – Facet w fioletowej koszuli zrobił krok w tył. – Jezu. Przepraszam! Ja tylko...

– Okej, Masza, położymy cię na podłodze – oznajmił Finn.

Chwycił ją pod pachami, a Yao uniosł jej nogi, postępując z wysiłku. Dopiero teraz zauważył, jak wysoka jest Masza. O wiele wyższa od niego. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i swoje ważyła. Razem z Finnem położyli ją na boku na szarym dywanie. Finn złożył jej żakiet i podłożył pod głowę.

Masza niczym zombie uniosła sztywną lewą rękę nad głowę. Jej dłonie zacisnęły się kurczowo. Wciąż oddychała nierówno, a jej ciało wyprężyło się w skurczu.

Miała atak padaczki.

Nie był to przyjemny widok, ale Yao wiedział, że takie napady należy po prostu przeczekać. Szyi Maszy nie uciskał kołnierzyk. W pobliżu nie znajdował się żaden przedmiot, w który mogłaby uderzyć głową.

– Poprzednio stało się coś takiego? – Finn spojrzał na asystentkę.

– Nie. Wtedy tylko zemdląca. – Dziewczyna wytrzeszczała oczy, obserwując zajście

z przerażeniem i fascynacją.

– Czy Masza często miewa takie ataki? – zapytał Finn.

– Nie wydaje mi się. Nie wiem – odparła, ruszając powoli w kierunku drzwi, przy których zebrała się już gromadka korposzczurów.

Ktoś trzymał w górze telefon i filmował swoją szefową, jakby był na koncercie rockowym.

– Zaczynj uciskać. – Spojrzenie Finna stało się chłodne i spokojne.

W pierwszej chwili – na sekundę, nie dłużej – Yao zamarł, kiedy jego mózg z trudem przetwarzał to, co się właśnie działo. Zapamiętał na zawsze ten moment paralizującej dezorientacji. Wiedział, że zatrzymanie akcji serca może wyglądać jak atak padaczki, ale nie przyszło mu to do głowy, bo jego umysł podsunął mu tylko jedną, błędną diagnozę: „Ta pacjentka ma epilepsję”. Gdyby nie było przy nim Finna, to pewnie kucnąłby przy kobiecie, której serce przestawało pracować, i nie kiwnąłby palcem, jak pilot kierujący samolot prosto w ziemię, bo nadmiernie zaufał niesprawnym instrumentom. Najdoskonalszym instrumentem Yao był jego umysł, który tego dnia zaszwankował.

Dwukrotnie użyli defibrylatora, ale nie udało im się przywrócić stabilnego tętna. Serce Maszy Dmitryczenko nie pracowało, kiedy wynosili ją z jej narożnego biura, do którego nigdy już nie wróciła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dziesięć lat później

Frances

Pewnego gorącego, bezchmurnego, styczniowego dnia Frances Welty, niegdyś autorka bestsellerowych romansów, samotnie przejeżdżała przez krzewiasty busz sześć godzin na północny zachód od Sydney, gdzie na co dzień mieszkała.

Czarna wstążka autostrady wiła się przed nią hipnotyzująco, a pracujący pełną mocą klimatyzator dął jej w twarz zimnym powietrzem. Niebo niczym olbrzymia błękitna kopuła górowało nad jej malutkim, samotnym autem. Jak na jej gust nieba było o wiele za dużo.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie gniewną recenzję na TripAdvisorze: „Zadzwoiłam na recepcję i poprosiłam o niższe, bardziej zachmurzone i przyjaźniejsze niebo. Jakaś kobieta, mówiąca z mocnym obcym akcentem, poinformowała mnie, że innych nieb nie ma! Była bardzo nieuprzejma! NIGDY WIĘCEJ. SZKODA KASY”.

Frances pomyślała, że powoli jej odbija.

Nie, na pewno nie. Miała się świetnie. Była zdrowa na umyśle. Na sto procent.

Rozprostowała palce na kierownicy, zamruwała, bo jej oczy zasłonięte ciemnymi okularami zaszyły łzami, i ziewnęła tak szeroko, że chrupnęło jej w szczęce.

– Och – jęknęła, chociaż nie zabolęło.

Westchnęła, wypatrując przez szybę czegoś, co zakłóciłoby monotonię krajobrazu. Świat za oknem wyglądał przygnębiająco i nieprzyjaźnie. Frances wyobraziła sobie szczegóły – brzęczenie much plujek, żałobne zawodzenia kruków i oślepiający blask gorącego słońca. Nie bez powodu Australię nazywano wielką, brązową równiną.

„No już, niech się zjawi jakaś krowa, pole uprawne albo szałas. Moje oczka wypatrzyły coś, co zaczyna się na literę...”

N. Nic.

Odchyliła się na oparcie fotela, a lędźwie odwdzięczyły się jej za to przeszywającym bólem, tak ostrym i przenikliwym, że do oczu napłynęły jej łzy.

– O Jezu – zaskamlała żałośnie.

Plecy rozbolały ją dwa tygodnie temu, w dniu, w którym wreszcie przyjęła do wiadomości, że Paul Drabble nie wróci. Właśnie dzwoniła na policję, zastanawiając się, jak powinna go określić – jako swojego partnera, chłopaka, kochanka, „towarzysza życia”? – kiedy poczuła pierwsze ukłucie. Był to oczywisty przykład bólu psychosomatycznego, choć ta świadomość bynajmniej nie działała na nią kojąco.

Ze zdziwieniem co wieczór oglądała w lustrze dół pleców, który jak zawsze był miękki, biały i troszkę pulchny. Tymczasem ona spodziewała się zobaczyć coś przerażającego, podobnego do poskręcanych i splątanych korzeni drzewa.

Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Była 14.57. Frances zbliżała się do zjazdu w boczną drogę. Poinformowała recepcję w Tranquillum House, że przyjedzie między piętnastą trzydzieści a szesnastą, a w trasie nie robiła żadnych nieplanowanych postojów.

Tranquillum House był „butikowym ośrodkiem wypoczynkowym ze spa”. Poleciała go Frances jej przyjaciółka, Ellen.

– Musisz o siebie zadbać – powiedziała w zeszłym tygodniu podczas lunchu, po trzecim drinku (znakomitym brzoskwiniowym bellini). – Wyglądasz fatalnie.

Trzy lata wcześniej Ellen wybrała się na „oczyszczanie” do Tranquillum House, bo była „wypalona”, „u kresu sił” i „zupełnie nie w formie”, i...

– Tak, tak, rozumiem – przerwała jej Frances.

– To... niezwykle miejsce – dodała Ellen. – Stosują tam niekonwencjonalne metody. Zmieniłi moje życie.

– Niby jak? – zapytała trzeźwo Frances, ale nie doczekała się klarownej odpowiedzi.

Jak się ostatecznie okazało, wielkie przeobrażenie sprowadzało się do tego, że białka oczu Ellen pojaśniały i wyglądały niesamowicie! Poza tym zrzuciła trzy kilo!

Choć w Tranquillum House nie leczono nadwagi, co Ellen szczególnie mocno podkreśliła. Tam oferowano wellness, ale, no wiesz, która kobieta będzie się skarżyć, że schudła trzy kilo? Z pewnością nie Ellen. Frances zresztą też nie.

Po powrocie do domu zajrzała na stronę internetową tego ośrodka. Nie lubiła się umartwiać, nigdy nie stosowała diety, rzadko sobie czegoś odmawiała i nieczęsto zgadzała się na coś, na co nie miała ochoty. Jak twierdziła matka Frances, pierwszym słowem wypowiedzianym przez jej nienasyconą córkę było „jeszcze”. Zawsze chciała więcej.

Tymczasem zdjęcia Tranquillum House niespodziewanie wywołały w niej dziwną tęsknotę. Przepęniała je złota poświata, jakby zrobiono je o wschodzie lub zachodzie słońca albo zastosowano odpowiedni filtr. Sympatyczne osoby w średnim wieku stały w pozycji wojownika w ogrodzie pełnym białych róż przy ślicznej wiejskiej rezydencji. Dwoje ludzi siedziało w jednym z „naturalnych gorących źródełek” otaczających posiadłość. Mieli zamknięte oczy, odchylone do tyłu głowy i uśmiechali się z rozkoszą, a wokół nich bulgotała woda. Inna fotografia pokazywała kuracjuszkę podczas błogiego „masażu gorącymi kamieniami” na składanym stole przy akwamarynowym basenie. Frances wyobraziła sobie, jak rozgrzane kamienie, symetrycznie rozmieszczone na jej plecach, swoim magicznym ciepłem koją jej ból.

Kiedy już na dobre się rozmarzyła, myśląc o gorących źródłach i sesjach łagodnej jogi, na ekranie wyskoczyła nagła wiadomość: „Zostało ostatnie miejsce na ekskluzywny, dziesięciodniowy turnus «Całkowita przemiana umysłu i ciała!»”. Frances, w której nagle obudził się idiotyczny duch rywalizacji, natychmiast kliknęła ikonkę „Zarezerwuj teraz”, choć tak naprawdę nie wierzyła, że ośrodek faktycznie jest oblegany. Jednak na wszelki wypadek błyskawicznie wpisała do formularza dane z karty kredytowej.

Zgodnie z informacjami zamieszczonymi na stronie w ciągu zaledwie dziesięciu dni miała ulec „przeobrażeniu, o jakim nawet nie marzyła”. Czekwały ją posty, medytacja, joga i kreatywne „ćwiczenia wyzwalające emocje”. Z jadłospisu wyeliminowano alkohol, cukier, kofeinę, gluten i nabiał, ale po pochłonięciu menu degustacyjnego w hotelu Four Seasons była nimi przesycona i rezygnacja z nich nie wydała jej się szczególnym wyrzeczeniem. Każdy posiłek miał być „spersonalizowany” i odpowiadać

jej „wyjątkowym potrzebom”.

Zanim „przyjęto” jej rezerwację, Frances musiała wypełnić bardzo długi kwestionariusz pełen niedyskretnych pytań o jej stan cywilny, dietę, przebyte choroby, ilość alkoholu spożytego w ciągu ubiegłego tygodnia i tak dalej. Uporała się z tym zadaniem, kłamiąc, ile wlezie. Doprawdy nikt nie miał prawa domagać się od niej takich informacji. Poproszono ją nawet o zdjęcie wykonane w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Przesłała to, które zrobiła podczas spotkania z Ellen, z brzoskwiniowym bellini w dłoni.

Musiała również zaznaczyć, jakie cele miała nadzieję osiągnąć podczas tego dziesięciodniowego pobytu. Na liście figurowały rozmaite propozycje, od „intensywnej terapii dla par” po „znaczną utratę wagi”. Wybrała tylko to, co zapowiadało się przyjemnie, na przykład „odrodzenie duchowe”.

Jak często w życiu bywa, w pierwszej chwili pomysł ten wydał jej się doskonały.

Recenzje Tranquillum House na TripAdvisorze, z którymi zapoznała się dopiero po wniesieniu bezzwrotnej opłaty, były spolaryzowane. Jedni twierdzili, że nigdy nie przeżyli czegoś równie wspaniałego, chcieli dawać więcej niż pięć gwiazdek, wychwalali jedzenie, gorące źródła i personel. Drudzy uważali pobyt w tym ośrodku za najgorsze doświadczenie w życiu, grozili procesem, pisali o szoku pourazowym i złowieszczo ostrzegali, że „jedź się tam na własną odpowiedzialność”.

Frances znowu zerknęła na deskę rozdzielczą, licząc na to, że na zegarze pojawiła się już trzecia.

„Przestań. Skup się. Patrz na drogę, Frances. To ty kierujesz tym samochodem”.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch i zamarła, przygotowana na to, że za moment o przednią szybę uderzy kangur.

Nic takiego się nie stało. Jej lęk przed potrąceniem dzikiego zwierzęcia był zupełnie nieuzasadniony. Gdyby do tego doszło, to trudno. I tak nie zdążyłaby zareagować.

Przypomniała sobie, jak wiele lat wcześniej wyruszyła na wyprawę ze swoim chłopakiem. Natrafili na potrącone przez samochód emu, zdychające na środku autostrady. Frances została w aucie jak nieporadna księżniczka, a jej facet wysiadł i dobił biedne zwierzę kamieniem. Wystarczyło jedno mocne uderzenie. Wrócił cały spocony i uśmiechnięty, jak typowy mieszczuch dumny ze swojego humanitarnego

pragmatyzmu. Frances nigdy nie wybaczyła mu tego gorączkowego rozradowania. Zabicie emu sprawiło mu przyjemność.

Ona sama nie była pewna, czy potrafiłaby zrobić coś takiego, nawet teraz, kiedy miała pięćdziesiąt dwa lata, była zabezpieczona finansowo i za stara, by udawać księżniczkę.

– Dałabyś radę – powiedziała na głos. – Na sto procent.

O rany. Przypomniała sobie, że ten chłopak już nie żył. Zaraz, na pewno? Tak, bez wątplenia. Przed kilku laty wiadomość ta dotarła do niej pocztą pantoflową. Podobno zmarł z powodu powikłań po zapaleniu płuc. Gary strasznie ciężko przechodził przeziębienia. Frances nie okazywała mu szczególnego współczucia.

W tym momencie zaczęło jej kapać z nosa jak z kranu. Doskonały moment. Jedną ręką przytrzymując kierownicę, wytarła nos wierzchem drugiej dłoni. Ohyda. To pewnie Gary mścił się z za grobu, zsyłając na nią katar. Miała za swoje. Kiedyś razem podróżowali i wyznali sobie miłość, a ona zapomniała o jego śmierci.

Przeprosiła Gary'ego, choć jeśli potrafił czytać jej w myślach, to dobrze wiedział, że to nie jej wina. Gdyby przeżył tyle lat co ona, sam by się przekonał, jak zawodna i mglista bywa pamięć. Nie zawsze. Czasami.

„Bywam też bystra jak mało kto, Gary”.

Znowu pociągnęła nosem. Ten koszmarny katar męczył ją dłużej niż ból pleców. Czy nie chodziła cała zasmarkana już tamtego dnia, kiedy oddała manuskrypt? Trzy tygodnie temu. To była jej dziewiętnasta powieść. Wciąż czekała na opinię wydawcy. Dawno temu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, „u szczytu popularności”, w ciągu dwóch tygodni od dostarczenia książki dostawała od swojej redaktorki szampana i kwiaty z odręcznie napisanym liścikiem: „Kolejne arcydzieło!”.

Zdawała sobie sprawę, że szczyt jej popularności przeminął, ale wciąż potrafiła pisać na przyzwoitym poziomie. Miło byłoby przeczytać jakiś wylewny e-mail.

Albo przynajmniej przyjazny.

Choćby jedną miłą linijkę: „Przepraszam, jeszcze nie zaczęłam czytać, ale nie mogę się doczekać!”. Tak nakazywała uprzejmość.

Do jej świadomości próbowała wpełznąć obawa, do której Frances nie chciała się

przed sobą przyznać. Nie. Nie. Wykluczone.

Chwyciła mocniej kierownicę i próbowała uspokoić oddech. Żeby odetkać nos, garściami zażywała tabletki na przeziębienie, a pod wpływem pseudoefedryny jej serce galopowało, jakby oczekiwało na jakieś wspaniałe albo straszne wydarzenie. Podobnie czuła się, idąc do ołtarza podczas obu swoich ślubów.

Prawdopodobnie już nabawiła się lekomanii. Łatwo się uzależniała. Od mężczyzn. Jedzenia. Wina. Teraz też dobrze by jej zrobił jeden kieliszeczek, choć słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Ostatnio piła dość często, nie za dużo, ale z pewnością z większym entuzjazmem niż zazwyczaj. Już zsuwała się po równi pochyłej wprost ku uzależnieniu od narkotyków i alkoholu! Ekscytowało ją to, że wciąż mogła się zmienić pod wieloma istotnymi względami. W domu na biurku bezwstydnie stała opróżniona do połowy butelka pinot noir, którą każdy (czyli tylko sprzątaczką) mógł zobaczyć. Frances była jak cholerny Ernest Hemingway. Czy on aby nie uskarżał się na ból pleców? Tak wiele ich łączyło.

Z tym że w przeciwieństwie do niego Frances miała słabość do przymiotników i przysłówków. Jak twierdzili niektórzy, rozmieszczała je na kartach swoich powieści niczym ozdobne poduszki na kanapie. Jak brzmiał ten cytat z Marka Twaina, który Sol podczas lektury jej manuskryptów zwykł mruczeć pod nosem, na tyle jednak głośno, by Frances go usłyszała? „Kiedy wyśledzisz przymiotnik, zabij go”.

Sol jak każdy prawdziwy facet nie znosił przymiotników ani ozdobnych poduszek. Oczyma wyobraźni zobaczyła go w łóżku, kiedy leżąc na niej i komicznie przeklinając, wyciągał kolejną poduszkę spod jej głowy i ciskał ją na drugi koniec sypialni, a Frances chichotała. Pokręciła głową, jakby próbowała otrząsnąć się z tego wspomnienia. Z rozrzewnieniem wspominając seks z pierwszym mężem, niejako wybielała jego wizerunek.

Kiedy Frances wiodło się w życiu, życzyła obu byłym mężom tylko szczęścia i potencji na piątkę z plusem. Teraz ucieszyłaby się, gdyby na ich siwe głowy spadła plaga szarańczy.

Wsunęła do ust prawy kciuk, którego opuszek rozciąła krawędzią kartki. Od czasu do czasu ranka pulsowała, przypominając Frances, że nawet to najmniejsze ze zmartwień mogło zrujnować jej cały dzień.

Kiedy jednak samochód zjechał na wyboiste pobocze, odsunęła dłoń od ust i chwyciła mocno kierownicę.

– Ups!

Z powodu dość krótkich nóg musiała maksymalnie zbliżyć fotel do kierownicy. Henry mawiał, że Frances wygląda za kółkiem uroczo, jak w autku w wesołym miasteczku. Jednak po pięciu latach przestało mu się to podobać i klął za każdym razem, kiedy usiadłszy za kierownicą, musiał odsuwać siedzenie.

Ona natomiast przez pięć lat uważała jego mamrotanie przez sen za urocze.

„Skup się!”

Za oknem przesuwał się wiejski krajobraz. Wreszcie Frances minęła tablicę: „Witamy w Jarribongu. Jesteśmy dumni, że mieszkamy w CZYSTYM MIEŚCIE”.

Po tym, jak zgodnie z przepisami zwolniła do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wydawało jej się, że wlecze się w żółwym tempie.

Przejeżdżając przez miasto, rozglądała się na prawo i lewo. Chińska restauracja z wypłowiałym czerwono-złotym smokiem na drzwiach. Stacja benzynowa, która wyglądała na nieczynną. Urząd pocztowy z czerwonej cegły. Sklep monopolowy dla zmotoryzowanych. Posterunek policji, który wydawał się zupełnie niepotrzebny. Jak okiem sięgnąć ani żywej duszy. Wprawdzie miasto było czyste, ale panowała w nim postapokaliptyczna atmosfera.

Pomyślała o swojej ostatniej powieści. Akcja rozgrywała się na prowincji. A teraz zobaczyła szarą, ponurą rzeczywistość małych miasteczek! Ta miejscowość w niczym nie przypominała stworzonej przez Frances uroczej miejsciny wtulonej między górskie zbocza, z ciepłą, tętniącą życiem kawiarnią wypełnioną aromatem cynamonu i księgarnią, która przynosiła dochody, co było oczywiście możliwe tylko w powieści. Recenzenci słusznie skrytykowaliby tę książkę jako nazbyt „cukierkową”, choć nic nie wskazywało na to, że trafi ona do ich rąk, a nawet gdyby, to Frances i tak nie czytała recenzji.

Już po chwili dotarła do rogatek Jarribongu. Żegnaj, smutna, choć czysta miejscino.

Nacisnęła mocniej pedał gazu i obserwowała, jak prędkość wzrasta do stu kilometrów na godzinę. Na stronie internetowej informowano, że powinna skrócić dwadzieścia minut za Jarribongiem.

Zbliżała się do jakiejś tablicy. Wyteńczyła wzrok, nachyliła się nad kierownicą i przeczytała: „Tranquillum House, na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo”.

Rozpromieniła się. Udało jej się. Przejechała sześć godzin, nie odchodząc od zmysłów. Nagle spochmurniała, bo dotarło do niej, że nie ma odwrotu.

– Za jeden kilometr skręć w lewo – poinformowała ją nawigacja.

– Nie chcę skręcać w lewo za jeden kilometr – powiedziała ponuro.

O tej porze roku miała być gdzie indziej, na drugiej półkuli. Razem ze swoim „towarzyszem życia”, Paulem Drabble’em, zamierzali wygrzewać się w zimowym słońcu w Santa Barbara w Kalifornii, spędzać czas w winiarniach, restauracjach i muzeach. W długie, leniwe popołudnia miałyby okazję lepiej poznać Ariego, jego dwunastoletniego syna, który z szyderczym chichotem uczyłby ją grać w swoją ulubioną, brutalną strzelankę na playstation. Koleżanki Frances, które miały dzieci, śmiały się z niej albo się obruszały, ale ona nie mogła się doczekać tej gry; wątki fabularne wydawały się niezwykle ciekawe i skomplikowane.

Przed oczami stanęła jej poważna, młoda twarz detektywa. Wciąż miał młodzieńcze piegi i słuchając Frances, pieczołowicie sporządzał notatki niebieskim, drapiącym papier długopisem. Robił koszarne błędy ortograficzne i literówki. Nie potrafił jej spojrzeć w oczy.

Na wspomnienie tamtej sytuacji jej ciało ogarnęła fala gorąca.

Czuła się upokorzona?

Zapewne.

Zakręciło jej się w głowie. Przeszył ją dreszcz. Dłonie ściskające kierownicę zrobiły się śliskie od potu.

„Zatrzymaj się”, rozkazała sobie. „Musisz natychmiast się zatrzymać”.

Dała sygnał kierunkowskazem, choć nikt za nią nie jechał, i skręciła na pobocze. Zachowała dość przytomności, by włączyć światła awaryjne. Po twarzy płynął jej pot. W ciągu kilku sekund jej bluzka zrobiła się mokra. Frances pociągnęła za materiał i odgarnęła z czoła kosmyki wilgotnych włosów. Znowu poczuła dreszcze.

Kichnięcie wywołało u niej nagły, przeszywający ból pleców, tak ostry, że zaśmiała się, kiedy po jej policzkach popłynęły łzy. O tak, teraz naprawdę odchodziła od

zmysłów. Z pewnością.

Ogarnęła ją wielka fala totalnej, pierwotnej wściekłości. Frances, tłukąc pięścią w kierownicę, zamknęła oczy, odchyliła głowę i krzyczała przy akompaniamencie klaksonu, bo była przeziębiona, bolały ją plecy, miała złamane serce i...

– Hej!

Otworzyła oczy i poprawiła się na fotelu.

Jakiś mężczyzna stał nachylony przy drzwiach i mocno stukał w szybę. Po drugiej stronie drogi Frances zauważyła należący zapewne do niego samochód, również z włączonymi światłami awaryjnymi.

– Wszystko w porządku? – zakrzyknął nieznajomy. – Potrzebuje pani pomocy?

Na litość boską. To miała być prywatna chwila rozpacz. Co za wstyd. Przyciskiem otworzyła okno.

Stał przed nią zwalisty, niesympatyczny, zaniedbany i nieogolony facet. Miał na sobie luźne niebieskie jeansy i podkoszulek z wypłowiałym logo jakiegoś archaicznego zespołu rockowego, opinający solidny piwny brzuch. Pewnie był jednym z seryjnych morderców grasujących na odludziu. Choć właściwie te tereny trudno było nazwać odludziem. Może przyjechał tu z odludzia na wakacje.

– Jakież kłopoty z samochodem? – zapytał.

– Nie – odparła Frances. Usiadła prosto, z wymuszonym uśmiechem, i przeczesła dłonią wilgotne włosy. – Dziękuję, nic mi nie jest. Samochód działa bez zarzutu. Wszystko gra.

– Jest pani chora? – zapytał, patrząc na nią z lekkim obrzydzeniem.

– Nie – odpowiedziała Frances. – Nie bardzo. To tylko paskudne przeziębienie.

– Może to grypa. Wygląda pani na poważnie chorą – stwierdził mężczyzna. Marszcząc czoło, lustrował wnętrze samochodu. – Krzyczała pani i trąbiła, jakby... miała pani kłopoty.

– Tak – odparła Frances. – No cóż, wydawało mi się, że jestem sama w szczerym polu. Po prostu... straciłam nad sobą panowanie. – Próbowwała powściągnąć irytację, która zakradła się do jej głosu. On był tylko porządnym obywatelem, który postępował jak należy. Każdy by się tak zachował na jego miejscu. – Dziękuję, że się pan

zatrzymał, ale nic mi nie jest – powiedziała uprzejmie z najśłodszym, pojednawczym uśmiechem.

Wielkich, obcych facetów spotkanych na odludziu lepiej sobie zjednać.

– No dobrze.

Mężczyzna, podpierając dłonie na udach, wyprostował się, pojękując, ale nagle zastukał palcami w dach samochodu i znowu się schylił. Jego zdecydowana mina mówiła: „Jestem facetem, znam się na rzeczy”.

– Może nie czuje się pani na tyle dobrze, by prowadzić? Jeśli obawia się pani o swoje bezpieczeństwo albo stanowi pani potencjalne zagrożenie dla innych kierowców, to nie mogę z czystym sumieniem pozwolić, by...

Frances usiadła prosto. Na litość boską.

– Właśnie miałam uderzenie gorąca – oznajmiła.

Facet zbladł.

– Och! – Przyjrzał się jej w milczeniu. – Zawsze mi się wydawało, że mówi się uderzenie ciepła.

– Takie określenie też słyszałam – odparła Frances.

Już trzeci raz jej się to przydarzyło. Sporo na ten temat czytała, rozmawiała ze wszystkimi znajomymi, które skończyły czterdziesty piąty rok życia, a i tak podczas bardzo długiej wizyty u lekarza zakrzyknęła: „Nikt mnie nie uprzedził, że tak to będzie wyglądać!”. Póki co miała obserwować swój organizm, zażywać suplementy i ograniczyć spożycie alkoholu i ostrych przypraw. Ha, ha, ha.

– Więc nic pani nie jest – orzekł nieznajomy. Rozejrzał się po autostradzie, jakby szukał pomocy.

– Naprawdę wszystko gra – zapewniła go Frances.

Ból pleców uprzejmie dał o sobie znać, ale powstrzymała się przed grymasem.

– Nie wiedziałem, że uderzenia ciepła... to znaczy gorąca, wyglądają tak...

– Dramatycznie? No cóż, nie każdego spotyka ta przyjemność. Tylko garstkę wybrańców.

– Przecież istnieje... jak to się nazywa? Hormonalna terapia zastępcza?

Chryste Panie.

– Może mi pan coś przepisze? – zapytała Frances radośnie.

Mężczyzna odstąpił na krok od samochodu, unosząc ręce w geście kapitulacji.

– Przepraszam. Po prostu dotarło do mnie, że być może moja żona... Nieważne, nie moja sprawa. Jeśli wszystko w porządku, to ruszam w drogę.

– Doskonale – odparła Frances. – Dziękuję, że się pan zatrzymał.

– Nie ma za co.

Uniósł rękę, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale najwyraźniej zmienił zdanie i odszedł do swojego samochodu. Tył jego podkoszulka był wilgotny od potu. Zwalisty chłop. Na szczęście uznał, że nie jest warta tego, by ją zabić i zgwałcić. Pewnie wolał mniej spocone ofiary.

Frances obserwowała go, jak zapalał silnik i wjeżdżał na drogę. Na odjezdne popukał się palcem w czoło.

Kiedy jego samochód był już tylko drobinką we wstecznym lusterku, sięgnęła po przygotowane na wszelki wypadek ubranie, leżące na fotelu pasażera.

– Menopauza? – zapytała przez telefon jej osiemdziesięcioletnia matka z drugiego końca świata, gdzie wiodła sielskie życie na południu Francji. – Och, kochanie, nie dawała mi się zbyt w znaki. O ile pamiętam, trwała u mnie góra jeden weekend. Na pewno w twoim przypadku będzie tak samo. Nie miałam uderzeń gorąca. Szczerze mówiąc, uważam je za mit.

„Mhm”, pomyślała Frances, wycierając ręcznikiem swój mityczny pot.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby rozesłać zdjęcie swojej czerwonej jak burak twarzy do wszystkich koleżanek z dawnych lat. Niektóre znała jeszcze z przedszkola. Teraz podczas wspólnych kolacji omawiały objawy menopauzy z takim samym gorączkowym przerażeniem, z jakim niegdyś opowiadały sobie o pierwszych miesiączkach. Żadna z nich nie doświadczała tak gwałtownych uderzeń gorąca jak Frances, która najwyraźniej cierpiała za całą grupę. Jak wszystko w życiu, także reakcje na menopauzę odzwierciedlały odmiennosc ich charakterów. Di była przez cały czas tak wściekła, że, jak to ujęła, jeśli jej ginekolog nie zgodzi się wkrótce na histerektomię, to chwyci tego skurwiela za kołnierz i wbije go w ścianę. Monica zaakceptowała „cudowną intensywność” doświadczanych emocji, a pełna obaw Natalie zastanawiała się, czy przekwitanie nie wywołuje u niej wzmożonego niepokoju. Wspólnie doszły do

wniosku, że ich przyjaciółka Gillian także postąpiła w swoim stylu, umierając po to, by uniknąć menopauzy, a potem, pochlipując, sączyły prosecco.

Postanowiła jednak nie pisać do nich, bo nagle przypomniała sobie, jak podczas ostatniej wspólnej kolacji podniosła wzrok znad menu i zauważyła, że przyjaciółki spoglądają po sobie, jakby chciały powiedzieć: „Biedna Frances”. Nie znosiła litości. Ta grupka zameężnych przyjaciółek od lat zawsze jej zazdrościła albo przynajmniej udawała, że zazdrości, ale najwyraźniej trzydziestoletnia bezdzietna singielka to zupełnie co innego niż pięćdziesięcioletnia bezdzietna singielka. Ta druga jest kimś, kto stracił cały czar. Postać tragiczna.

„To tylko tymczasowa tragedia”, pomyślała, wkładając czystą bluzkę z dużym dekoltem. Tę przepoconą rzuciła na tylne siedzenie, uruchomiła silnik, obejrzała się i wyjechała na drogę. Tymczasowa tragedia. Dobra nazwa dla zespołu rockowego.

Zauważyła tablicę. Wytężyła wzrok. Odczytała napis: „Tranquillum House”.

– Skręć w lewo – poinstruował ją GPS.

– Tak, wiem, przecież widzę.

Dostrzegła swoje oczy we wstecznym lusterku i próbowała zrobić kpiącą minę, która mówiłaby: „Jakie życie jest ciekawe!”.

Frances zawsze fascynowała koncepcja światów równoległych, w których jej rozmaite wersje prowadziły odmienne życia. W jednym była dyrektorką w dużej firmie, a nie pisarką. W innym matką dwójki, czwórki, a może nawet szóstki dzieci. W jeszcze innym nie rozwiodła się z Solem, a w kolejnym z Henrym. Zazwyczaj jednak była zadowolona z wszechświata, w którym przyszło jej żyć, a przynajmniej go akceptowała... z wyjątkiem takich chwil jak ta obecna, kiedy wydawało jej się, że doszło do jakiegoś katastrofalnego zaburzenia porządku na poziomie kwantowym. Przeskoczyła do innego wszechświata. Miała być pijana pożądaniem i miłością w Ameryce, a nie wlec się przez australijski busz, nękana przez ból i smutek. Nie tak to miało wyglądać. To było nie do przyjęcia.

Tymczasem takie były fakty. Frances nie miała innego wyjścia, mogła zrobić tylko jedno.

– Niech to szlag – mruknęła pod nosem i skręciła w lewo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lars

– To ulubiony gatunek mojej żony. – Kierownik winnicy, pulchny i radosny sześćdziesięciolatek z wąsikami retro, pokazał Larsowi butelkę białego wina. – Kojarzy jej się z jedwabną pościelą. Ma łagodny, aksamitny finisz. Na pewno panu posmakuje.

Lars zakołysał kieliszkiem i powąchał trunek. Wyczuł aromaty jabłek, słonecznego blasku i dymu z ogniska. Przywiodły mu na myśl jesienny dzień i krzepiący uścisk dużej, ciepłej dłoni trzymającej jego rękę. To mogło być wspomnienie z dzieciństwa, choć prawdopodobnie tak mu się tylko wydawało. Pewnie pochodziło z jakiejś książki albo filmu. Napił się wina, pozwolił, by rozlało się na języku, a jego smak przeniósł go do baru na Wybrzeżu Amalfitańskim. Winorośl pnąca się po latarniach, zapach czosnku i morza. To już z pewnością było wspomnienie chwili szczęścia, poświadczone przez fotografie. Pamiętał spaghetti. Tylko pietruszka, oliwa z oliwek i migdały. Zachował nawet zdjęcie tej potrawy.

– I jak? – zapytał z uśmiechem winiarz.

Jego wąsy wyglądały tak, jakby nie zmieniły kształtu od 1975 roku.

– Doskonale.

Lars wziął jeszcze jeden łyk, próbując odtworzyć pełny obraz tamtej chwili. Wino potrafiło zwodzić. Najpierw tylko słońce, jabłka i spaghetti, a potem nic prócz gorzkiego rozczarowania i pustych obietnic.

– Mam również pinot grigio, które z pewnością by pan...

Lars przerwał mu, unosząc dłoń i spoglądając na zegarek.

– Musimy kończyć.

– Przed panem długa droga?

Każdy, kto się tu zatrzymywał, jechał gdzieś daleko. Lars nieomal przeoczył małą drewnianą tablicę z napisem „Degustacja win”. Nacisnął hamulec, bo przecież był niesłychanie spontaniczny – wtedy, kiedy sobie o tym przypomniał.

– Za godzinę muszę się zameldować w ośrodku wczasowym. – Lars uniósł kieliszek pod światło, podziwiając złoty kolor wina. – Przez dziesięć dni nie tknę alkoholu.

– Ach, jedzie pan do Tranquillum House, tak? – zapytał kierownik. – Na... jak to się nazywa? Dziesięciodniowe oczyszczanie? Albo coś w tym stylu?

– Oczyszczę się z grzechów – odparł Lars.

– Zazwyczaj zatrzymują się u nas kuracjusze w drodze do domu. Jesteśmy pierwszą winnicą w drodze do Sydney.

– I co mówią o tym ośrodku? – zapytał Lars.

Wyciągnął portfel. Postanowił wysłać kilka butelek do domu, by uprzyjemnić sobie powrót.

– Szczerze mówiąc, niektórzy wyglądają na lekko oszołomionych. Ale jak tylko napiją się wina i zjedzą trochę chipsów, od razu nabierają rumieńców. – Winiarz objął dłonią szyjkę butelki, jakby ten gest miał dodać mu odwagi. – Moja siostra dostała pracę w tamtejszym spa. Twierdzi, że nowa kierowniczką jest trochę... – Zmrużył oczy, jakby szukał odpowiedniego słowa. Wreszcie powiedział: – Dziwna.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparł Lars.

Nie zaniepokoiło go to. Był uzależniony od wizyt w takich ośrodkach. Zazwyczaj kierowali nimi „dziwni” ludzie.

– Twierdzi, że to przepiękne miejsce z fascynującą historią.

– Zapewne zbudowane przez skazańców.

Lars postukał krawędzią złotej karty Amex w kontuar.

– Tak. Biedni frajerzy. Na pewno nie skorzystali ze spa.

Za nim w drzwiach stanęła kobieta.

– Cholerny internet znowu padł – wymamrotała, milknąc na widok Larsa, któremu bacznie się przyjrzała.

Przywykł do takich badawczych spojrzeń. Czuł je na sobie przez całe życie. Kobieta z zawstyżeniem odwróciła wzrok.

– To moja żona – oznajmił z dumą kierownik winnicy. – Kochanie, właśnie wspomniałem o twoim ulubionym semillon, o tym, które kojarzy ci się z jedwabną pościelą.

Kobieta zaczerwieniła się.

– Wolałabym, żebyś nikomu o tym nie mówił.

Jej mąż się zdziwił.

– Przecież od zawsze o tym opowiadam.

– Poproszę jedną skrzynkę – powiedział Lars.

Zauważył, że kobieta, przechodząc obok męża, poklepuje go po plecach.

– Właściwie wezmę dwie – dodał Lars, bo pół życia spędził, porządkując ruiny po nieudanych małżeństwach, i roztkliwił się na widok dobrego związku.

Uśmiechnął się do kobiety. Bezwiednie przeczesła dłonią włosy, kiedy jej niczego nieświadomy mąż wyciągał sfatygowaną książkę zamówień z długopisem przytroczonym na sznureczku, oparł się o kontuar i zaczął się przyglądać formularzowi w taki sposób, jakby miało to zająć trochę czasu.

– Nazwisko?

– Lars Lee.

Telefon powiadomił go, że nadeszła wiadomość. Dotknął ekranu.

„Przynajmniej się nad tym zastanów. Xx”.

Przeszył go dreszcz, jakby po plecach przebiegł mu czarny, włochaty pająk. O kurwa. Wydawało mu się, że tę sprawę już załatwili. Zamyślił się, z kciukiem nad klawiaturą. W słowie „przynajmniej” czaiła się bierna agresja, a podwójny całus raził nieszczerą słodyczą. Nie podobało mu się też to, że pierwsze X było duże, a drugie małe. Nie podobało mu się nawet to, że to wszystko mu się nie podoba. Chyba miał lekkie zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne.

Oschłymi, nieuprzejmymi kapitalikami napisał: „NIE MA MOWY”.

Skasował jednak wiadomość i schował telefon do kieszeni jeansów.

– Skosztuję jeszcze pinot grigio.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Frances

Frances jechała przez dwadzieścia minut wyboistą gruntową drogą, a samochód podskakiwał tak gwałtownie, że grzechotały jej kości, a plecy krzyczały z bólu.

W końcu dotarła przed zamkniętą na cztery spusty bramę z domofonem. Wydawało jej się, że przyjechała do więzienia o zaostrzonym rygorze. Okropne ogrodzenie z drutem kolczastym ciągnęło się bez końca po obu stronach bramy.

Wyobrażała sobie, że podjedzie pod „zabytkowy” budynek drogą wśród okazałych drzew, a na miejscu ktoś przywita ją zielonym smoothie. Tymczasem to miejsce wcale nie kojarzyło jej się z uzdrowieniem.

„Przestań”, skarciła się w myślach. Wiedziała, że jeśli przybierze postawę pod tytułem „Jestem niezadowoloną klientką”, to wszystko zacznie ją irytować, a przecież miała tu spędzić dziesięć dni. Powinna być otwarta i elastyczna. Pobyt w sanatorium był jak podróż do obcego kraju. Trzeba otworzyć się na inną kulturę i cierpliwie znosić drobne niedogodności.

Opuściła szybę. Gorące i gęste powietrze wypełniło jej gardło jak dym, kiedy wychyliła się i nacisnęła zielony przycisk domofonu. Był tak rozgrzany od słońca, że poczuła pieczenie rozciętego kciuka.

Possała palec, czekając, aż z głośnika popłynie powitalna formułka albo przynajmniej otworzy się brama z kutego żelaza.

Nic.

Ponownie spojrzała na domofon i obok przycisku dostrzegła odręcznie zapisaną karteczkę przytwierdzoną taśmą samoprzylepną. Litery były tak drobne, że odczytała jedynie słowo „instrukcje”.

„Na litość boską”, pomyślała, szukając okularów w torebce. Przecież spora część gości na pewno była po czterdziestce.

Znalazła okulary, założyła je, spojrzała na wiadomość, ale wciąż nie mogła jej odczytać. Cmokając i mamrocząc do siebie, wysiadła z samochodu. Gorące powietrze objęło ją mocno, a jej czoło zrosił pot.

Schyliła się i odczytała informację zapisaną równymi, drobnymi, drukowanymi literami, które mogłyby wyjść spod pióra małego elfa.

NAMASTE. WITAMY W TRANQUILLUM HOUSE, GDZIE CZEKAJĄ CIĘ NOWE DOŚWIADCZENIA. PO WPROWADZENIU KODU 564-312 NATYCHMIAST NACIŚNIJ ZIELONY PRZYCISK.

Zgodnie z instrukcją wpisała kod, nacisnęła zielony guzik i czekała. Po plecach płynął jej pot. Znowu musiała się przebrać. Kapało jej z nosa, a przy jej ustach krążyła wielka mucha.

– Och, no dalej! – powiedziała do głośnika w nagłym przypiływie gniewu, zastanawiając się, czy jej pełna irytacji, spocona twarz pojawia się właśnie na jakimś ekranie, a tutejszy ekspert chłodno analizuje objawy złych połączeń między jej czakrami. „Nad tą trzeba będzie popracować. Tylko popatrz, jak reaguje na drobny stres wywołany tak zwyczajną sytuacją jak czekanie”.

A może źle wpisała ten cholerny kod?

Powtórzyła całą procedurę, sarkastycznym tonem wypowiadając na głos każdą cyfrę, jakby próbowała coś komuś udowodnić, a potem powoli, z namaszczeniem nacisnęła rozgrzany zielony guzik i dla pewności trzymała na nim palec przez pięć sekund.

„Proszę bardzo. A teraz mnie wpuście”.

Zdjęła okulary do czytania, które zakołysały się w jej dłoni.

Miała wrażenie, że w tej spiekocie skóra na jej głowie roztapia się jak czekolada zostawiona na słońcu. Znowu zapadła cisza. Frances zmierzyła domofon wściekłym spojrzeniem, jakby chciała go zawstydzić i w ten sposób sprowokować do reakcji.

Paul się uśmieje, jak mu o tym opowie. Ciekawe, czy kiedykolwiek był w ośrodku

wypoczynkowym. Prawdopodobnie był do nich sceptycznie nastawiony. Zresztą Frances też uważała je za...

Poczuła ucisk w klatce piersiowej. Uświadomiła sobie, że Paul nie uśmieje się z tej historii. Paul odszedł. Jakie to poniżające, że znowu zakradł się do jej myśli. Wolałaby dostać białej gorączki, niż czuć ten dojmujący smutek i fałszywą tęsknotę za czymś, co nigdy nie było rzeczywiste.

„Przestań. Nie myśl o tym. Skup się na aktualnym problemie”.

Rozwiązanie było oczywiste. Wystarczyło zadzwonić do Tranquillum House! Struchleliby na wieść, że zepsuł im się domofon, a Frances ze spokojem i wyrozumiałością machnęłaby ręką na ich przeprosiny. „Zdarza się”, powiedziałyby. „*Namaste*”.

Wróciła do samochodu i podkreśliła klimatyzację. Znalazła wydruk ze szczegółami rezerwacji i zadzwoniła pod wskazany numer. Wcześniej kontaktowała się z ośrodkiem wyłącznie drogą mailową, dlatego po raz pierwszy usłyszała nagraną wiadomość, która rozległa się po sygnale.

– Dziękujemy, że dzwonisz do Tranquillum House, zabytkowej rezydencji mieszczącej ośrodek wypoczynkowy i spa z gorącymi źródłami, gdzie czeka na ciebie nieznane. Rozmowa z tobą jest dla nas równie ważna i wyjątkowa, jak twoje zdrowie i dobre samopoczucie, ale w tej chwili dzwoni do nas ogromna liczba gości. Wiemy, że cenisz swój czas, dlatego prosimy o zostawienie wiadomości po sygnale. Skontaktujemy się z tobą, kiedy tylko będzie to możliwe. Dziękujemy za cierpliwość. *Namaste*.

Frances chrząknęła, kiedy w słuchawce rozległy się irytujące pobrzękiwania dzwonek wietrznych.

– Ach tak, nazywam się...

Dzwonki nie ucichły. Frances urwała, zawahała się, znowu odezwała i ponownie umilkła. Przyszło jej wysłuchać całej symfonii na dzwonki wietrzne.

Wreszcie zapadła cisza.

– Dzień dobry, tu Frances Welty. – Pociągnęła nosem. – Przepraszam, jestem trochę przeziębiona. Jak już mówiłam, nazywam się Frances Welty i jestem państwa gościem.

Gościem? Czy to właściwe słowo? Pacjentką? Kuracjuszką?

– Chciałabym się zameldować, ale stoję przed zamkniętą bramą wjazdową. Jest już, ach, dwadzieścia po trzeciej... trzecia dwadzieścia pięć, a ja... wciąż czekam! Domofon nie reaguje, choć postąpiłam zgodnie z instrukcją. Mniejszej karteczki chyba nie mieliście. Będę wdzięczna, jeśli ktoś otworzy bramę i mnie wpuści.

Pod koniec w jej głosie pojawiły się wysokie, histeryczne tony, czego bardzo żałowała. Odłożyła telefon na sąsiedni fotel i wbiła wzrok w bramę.

Nic. Postanowiła, że poczeka jeszcze dwadzieścia minut, a potem da za wygraną.

Zadzwoił telefon. Odebrała, nawet nie patrząc na ekran.

– Dzień dobry! – przywitała się radośnie, by dać do zrozumienia, jak bardzo jest wyrozumiała i cierpliwa, a jednocześnie zatuszować złe wrażenie, jakie mógł wyrzucić jej sarkastyczny komentarz na temat rozmiarów karteczki.

– Frances? – W słuchawce rozległ się głos Alaina, jej agenta. – Masz dziwny głos.

Frances westchnęła.

– Czekam na telefon od kogoś innego. Wybrałam się do tego ośrodka wypoczynkowego, o którym ci opowiadałam, ale utknęłam przed zamkniętą bramą. Ich domofon nie działa.

– Co za niekompetencja! Jakie to rozczarowujące! – Niewiele było trzeba, by Alain wkurzył się na obsługę, co często mu się zdarzało. – Powinnaś w tej chwili zawrócić do domu. Mam nadzieję, że to nie jakieś alternatywne czary-mary. Pamiętasz tych nieszczęśników, którzy umarli w saunie indiańskiej? Wydawało im się, że dostępują oświecenia, podczas gdy tak naprawdę gotowali się żywcem.

– To całkiem zwyczajne sanatorium. Gorące źródła, masaże i terapia przez sztukę. Ewentualnie krótki post.

– Krótki post – prychnął pogardliwie Alain. – Jedz, kiedy zgłodniejesz. To przywilej w chwili, kiedy tylu ludzi głoduje.

– Właśnie w tym sęk, że w tej części świata nie głodujemy – odparła Frances, spoglądając na opakowanie po kitkacie leżące na desce rozdzielczej. – Jemy za dużo żywności przetworzonej. Dlatego my, ludzie uprzywilejowani, musimy czasem zrobić sobie detoks...

– O Boże, już tkwisz w tym po uszy. Już się dałaś przekabacić! Kochanie, detoks to mit, na dodatek dawno obalony! Od detoksu masz wątrobę. Albo nerki. W każdym razie organizm jakoś tam sam się oczyszcza.

– No dobra – skwitowała Frances. Coś jej mówiło, że Alain gra na zwłokę.

– No dobra – powtórzył jak echo Alain. – Masz głos, jakbyś była chora, Frances. – Jej stan zdrowia wyraźnie budził jego zaniepokojenie.

– Dopadło mnie paskudne, przedłużające się, prawdopodobnie chroniczne przeziębienie – wyjaśniła Frances i na potwierdzenie zakaszłała. – Możesz być ze mnie dumny. Garściami zażywam silne leki. Moje serce galopuje z prędkością miliona kilometrów na godzinę.

– Bardzo słusznie – powiedział Alain i zamilkł.

– Alain? – odezwała się Frances po chwili, dobrze wiedząc, co za chwilę od niego usłyszy.

– Obawiam się, że nie przynoszę dobrych wieści.

– Aha.

Wciągnęła brzuch, gotowa przyjąć złe nowiny jak prawdziwy mężczyzna, a przynajmniej jak autorka romansów, która regularnie sprawdza, ile dostaje tantiem.

– No cóż, jak dobrze wiesz, kochanie... – zaczął Alain.

Frances nie miała najmniejszej ochoty słuchać, jak jej agent owija w bawełnę i komplementami próbuje osłabić cios.

– Nie chcą mojej nowej książki, tak? – zapytała.

– Nie chcą twojej nowej książki – potwierdził Alain ze smutkiem. – Tak mi przykro. Moim zdaniem to wspinała powieść, naprawdę tak uważam, jednak w obecnym klimacie nastąpiły złe czasy dla romansu, ale nie potrwać wiecznie, bo romans zawsze wraca, to tylko chwilowy dołek, więc...

– To sprzedaj ją komuś innemu – przerwała mu Frances. – Na przykład Timmy'emu.

Znowu nastąpiła cisza.

– Z tym jest pewien problem. Nie mówiłem ci, że kilka tygodni temu przekazałem mu manuskrypt, bo coś mi mówiło, że może stać się najgorsze, a oczywiście gdyby na

dobry początek Timmy złożył mi ofertę, miałbym mocną kartę przetargową, więc...

– Timmy zmarł?

Frances nie mogła w to uwierzyć. W jej szafie wciąż wisiała designerska sukienka, tak poplamiona, że nie nadawała się już do noszenia, bo Timmy oblał ją piña coladą, kiedy podczas festiwalu literackiego w Melbourne dopadł Frances i nagle, gorączkowym tonem szeptał jej do ucha, oglądając się przez ramię niczym szpieg, że tak bardzo pragnie publikować jej książki, że jest mu to pisane i żaden inny wydawca nie da jej tego, co on, i że jej lojalność wobec Jo jest tyleż godna podziwu, co zgubna w skutkach, bo Jo tylko się wydaje, że rozumie powieści romansowe, tymczasem Timmy zna się na nich naprawdę i tylko i wyłącznie on może i pomoże Frances „wspiąć się na wyższy poziom”, i tak dalej, aż wreszcie podeszła do nich Jo i ją uratowała:

– Och, odczep się od mojej autorki.

Kiedy to było? Z pewnością nie aż tak dawno. Może dziewięć, góra dziesięć lat temu. Ostatnio czas tak strasznie przyspieszył, jakby doszło do jakiejś awarii i Ziemia zaczęła szybciej krążyć. Całe dekady mijały w takim tempie jak niegdyś lata.

– Twoja książka bardzo się spodobała Timmy’emu – powiedział Alain. – Zachwyciła go i wzruszyła niemal do łez. Nie udało mu się przekonać działu nabywania tytułów. Całe wydawnictwo trzęsie się ze strachu. Zeszły rok był koszmarem. Góra zleciła wydawanie thrillerów psychologicznych.

– Nie umiem pisać thrillerów – odparła Frances.

Nie lubiła uśmiercać postaci. Czasem łamała im kończyny, a i wtedy miała wyrzuty sumienia.

– Wiem! – zapewnił ją szybko Alain, a Frances poczuła się lekko urażona. – Posłuchaj, przyznaję, że trochę się zmartwiłem, kiedy Jo odeszła z pracy, a ty straciłaś kontrakt – dodał. – Ale Ashlee wyglądała na twoją zagorzałą fankę.

Frances odpłynęła myślami gdzieś daleko, a Alain mówił dalej. Ze wzrokiem wbitym w zamkniętą bramę uciskała lędźwie lewą pięścią.

Jak Jo zareagowałyby na wiadomość, że powieść Frances odrzucono? Czy przekazałyby tę informację w taki sam sposób? Frances wydawało się, że Jo zawsze będzie jej wydawczynią. Wyobrażała sobie z rozrzewnieniem, że w tym samym

momencie pożegnają się z pracą zawodową i może nawet razem zorganizują z tej okazji elegancki lunch, ale Jo w zeszłym roku oznajmiła, że przechodzi na emeryturę. Na emeryturę! Jak jakaś babcia! Jo faktycznie miała wnuki, ale, na litość boską, to jeszcze nie powód, by rzucać robotę. Frances dopiero się rozkręcała, a nagle ludzie z jej otoczenia zaczęli zachowywać się jak starcy i staruszki: rodziły im się wnuki, przechodzili na emeryturę, zwalniali tempo życia, umierali, i to nie w wypadkach samochodowych czy katastrofach lotniczych, tylko spokojnie, we śnie. Tego właśnie nie mogła darować Gillian, która zawsze wychodziła z imprez bez pożegnania.

Nic dziwnego, że miejsce Jo zajęło dziecko, bo dziś to one przejmują władzę nad światem. Frances natykała się na nie na każdym kroku: z poważnymi minami urzędowały w redakcjach informacyjnych, organizowały festiwale literackie, mierzyły jej ciśnienie, obliczały jej podatki i pomagały jej dobrać biustonosz. Frances podczas pierwszego spotkania z Ashlee wzięła ją za stażystkę. Już miała powiedzieć: „Kochanie, dałabym wszystko za cappuccino”, kiedy ta mała zasiadła za biurkiem należącym niegdyś do Jo.

– Frances, jestem twoją największą fanką! – oświadczyła na powitanie. – Już jako jedenastolatka czytywałam twoje książki! Wykładałam je mamie z torebki. Prosiłam ją: „Mamo, pozwól mi przeczytać *Pocałunek Nathaniela*”, a ona na to: „Nie ma mowy, Ashlee, za dużo tam scen erotycznych”.

Następnie Ashlee stwierdziła, że w kolejnej powieści musi znaleźć się więcej seksu, o wiele więcej niż w poprzedniej, ale Frances na pewno sobie poradzi! Dodała, że jak powszechnie wiadomo, rynek się zmienia.

– Spójrz na tę tabelę, Frances, nie na tę... o tutaj, właśnie tu, jak na dłoni widać, że sprzedaż trochę... no cóż, przykro mi to mówić, ale nazwijmy rzeczy po imieniu: mamy do czynienia z tendencją spadkową, której trzeba zaradzić, i to czym prędzej. Ach, jeszcze jedno... – Ashlee zrobiła zboląłą minę, jakby zaraz miała przyznać się do jakiejś wstydlivej choroby. – Chodzi o twoją obecność w mediach społecznościowych. Podobno niechętnie się w nich udzielasz. To tak jak moja mama! Jednak dzisiejszy rynek właśnie tego od nas wymaga. Twój czytelnicy muszą cię widywać przynajmniej na Twitterze, Instagramie i Facebooku. Poza tym byłoby wspaniale, gdybyś zaczęła prowadzić blog, rozsyłać newsletter, a może nawet regularnie nagrywać vlogi? To

wspaniała zabawa! Chodzi mi o takie króciutkie filmiki!

– Mam swoją stronę internetową – przypomniała jej Frances.

– Fakt – przytaknęła jej uprzejmie Ashlee. – To prawda, Frances, ale strony internetowe nikogo nie interesują.

Następnie przekręciła monitor komputera w stronę Frances i pokazała jej kilku innych, bardziej subordynowanych autorów, „aktywnie” obecnych w mediach społecznościowych, ale Frances już przestała słuchać i nie mogła doczekać się końca spotkania, które dłużyło jej się jak wizyta u dentysty. (I tak nic nie widziała na ekranie, bo zapomniała okularów). Niczym się nie przejmowała, bo właśnie zauroczył ją Paul Drabble, a swoje najlepsze książki napisała, będąc zakochaną. Poza tym miała najcudowniejszych i najbardziej lojalnych czytelników pod słońcem. Wprawdzie jej powieści nie sprzedawały się jak dawniej, ale i tak liczyła na wydanie kolejnej.

– Znajdę właściwe miejsce dla twojej książki – zapewnił ją Alain. – Może mi to zająć dłuższą chwilę. Romans nie umarł!

– Doprawdy? – zakpiła Frances.

– Uwierz mi – powiedział Alain.

Wzięła opakowanie po batoniku KitKat i zlizwała z niego resztki polewy czekoladowej. Jak miała się uporać z przeciwnościami losu bez porządnej dawki cukru?

– Frances? – zaniepokoił się Alain.

– Strasznie mnie bolą plecy – poskarżyła się Frances i głośno wydmuchała nos. – Poza tym z powodu uderzenia gorąca musiałam zatrzymać samochód na środku drogi.

– Okropna sytuacja – powiedział ze współczuciem Alain. – Nawet sobie tego nie wyobrażam.

– Na pewno nie. Tak krzyczałam, że jakiś facet się zatrzymał, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Krzyczałaś? – zdumiał się Alain.

– Nie mogłam się powstrzymać – odparła Frances.

– No tak, no tak – powiedział pospiesznie Alain. – Rozumiem. Mnie też często chce się krzyczeć.

Sięgnęła dna. Właśnie oblizwała opakowanie po kitkacie.

– Ojej, Frances, współczuję ci, szczególnie po tym, co zrobił ten szaleniec. Dowiedziałaś się czegoś nowego od policji?

– Nie – odpowiedziała. – Niczego.

– Kochanie, serce mi się kraje na myśl o tobie.

– Nie przejmuj się aż tak bardzo – odparła z westchnieniem Frances.

– Ostatnio miałaś pod górkę. A skoro o tym mowa, to zapewniam cię, że ta recenzja w najmniejszym stopniu nie zaważyła na ich decyzji.

– Jaka recenzja? – zapytała Frances.

Zapadła cisza. Wyobraziła sobie, że w tej chwili Alain palnął się w czoło.

– Alain?

– O Boże – wyszeptał. – O Boże, o Boże, o Boże.

– Przecież wiesz, że od dziewięćdziesiątego ósmego nie przeczytałam ani pół recenzji – przypomniała mu.

– Tak, wiem – odparł Alain. – Ale ze mnie idiota. Kompletny głupek.

– Skąd się wzięła, skoro nie wydałam ostatnio żadnej książki? – Frances przesunęła się nieco w przód. Ból pleców nieomal przyprawił ją o mdłości.

– Jakaś suka dorwała egzemplarz *Pragnień serca* na lotnisku i nagryzmoliła felietonik o tej i innych twoich książkach. Wściekle zjadliwy. Na dodatek powiązała go z akcją *Me Too*, tylko po to, by zyskać tani rozgłos. To stek bzdur. Co mają wspólnego romanse z molestowaniem seksualnym?!

– Co takiego?

– Nikt nie przeczytał tego artykułiku. Sam nie wiem, czemu o nim wspomniałem. To chyba wczesne objawy demencji.

– Przed chwilą stwierdziłeś, że zyskał rozgłos!

Wszyscy przeczytali ten felieton. Wszyscy.

– Przyślij mi link – domagała się Frances.

– Nie obsmarowała cię aż tak strasznie – uspokajał ją Alain. – Po prostu jest uprzedzona do gatunku, który ty...

– Przyślij!

– Nie – odparł Alain. – Nie zrobię tego. Tyle lat obywałaś się bez czytania recenzji.

Nie zmieniaj starych nawyków!

– I to natychmiast – zażądała Frances mrozącym krew w żyłach tonem, którego używała w wyjątkowych okolicznościach, na przykład podczas rozwodów.

– No dobrze – zgodził się potulnie Alain. – Przepraszam cię za całą tę rozmowę.

Rozłączył się, a Frances natychmiast zajrzała na swoje konto e-mailowe. Zostało jej niewiele czasu. Po przyjeździe do Tranquillum House należało „oddać telefon na przechowanie”. Oprócz innych przyjemności czekał ją cyfrowy detoks. Miała „wylogować się do życia”.

„PRZEPRASZAM”, napisał Alain w e-mailu.

Otworzyła stronę z felietonem.

Napisała go niejaka Helen Ihnat. Frances nie знаła nikogo o tym nazwisku, a obok artykułu nie zamieszczono zdjęcia autorki. Przeczytała go szybko, z gorzkim, wyniosłym uśmiechem, jakby Ihnat prosto w oczy mówiła jej, co o niej myśli. Recenzja była miażdżąca, napisana złośliwie, z sarkazmem i protekcjonalnie, ale, co zaskakujące, Frances nie poczuła się urażona. Wszystkie epitety – „szablonowa”, „śmieć”, „brednie”, „tandeta” – spłynęły po niej jak woda po gęsi.

No i świetnie! Nie można zadowolić wszystkich. Taka dola pisarki.

Nagle do niej dotarło.

Czasem, kiedy człowiek oparzy się o rozgrzany piecyk, w pierwszej chwili myśli: „Ha, spodziewałem się, że zaboli bardziej”. Jednak pieczenie stopniowo narasta, aż wreszcie staje się nieznośne.

Przeszywający ból promieniował z jej klatki piersiowej na całe ciało. Kolejny objaw menopauzy? A może to zawał? Kobietom też się one zdarzały. Z pewnością urażona duma nie wywołuje takich dolegliwości. Właśnie z tego powodu przestała czytać recenzje. Miała za cienką skórę.

– Nigdy nie podjęłam lepszej decyzji – oświadczyła rok wcześniej podczas prelekcji wygłoszonej w ramach konferencji australijskich twórców romansów.

Pewnie niejeden słuchacz pomyślał sobie wtedy: „Może jednak powinnaś zerknąć na jedną albo dwie recenzje, Frances, ty przebrzmiała gwiazdo”.

Dlaczego doszła do wniosku, że powinna przeczytać ten złośliwy felieton tuż po

tym, jak po raz pierwszy od trzydziestu lat wydawca odrzucił jej powieść?

A teraz miała kolejny problem. Choć sprawa była zgoła fascynująca, Frances powoli zaczynała tracić głowę.

„Daj spokój, weź się w garść, jesteś za stara na kryzys egzystencjalny”.

Najwyraźniej na to nigdy nie jest się za starym.

Bezradnie starała się zapanować nad emocjami, ale czuła się tak, jakby próbowała złapać w dłonie wodę tryskającą z rynny. Kim była, jeśli nie autorką poczytnych powieści? Co określało jej tożsamość? Nie była niczyją matką, żoną ani partnerką, co najwyżej dwukrotną rozwódką w średnim wieku, przechodzącą menopauzę i nękaną przez nagłe uderzenia gorąca/ciepła. Żałosna. Do bólu stereotypowa. Niewidzialna dla wszystkich, z wyjątkiem, oczywiście, takich facetów jak Paul Drabble.

Kiedy wpatrywała się w bramę, która wciąż nie chciała się otworzyć, jej oczy zaszyły łzami, a ona próbowała się uspokoić, powtarzając w myślach, że jeszcze nie zniknęła. „Frances, nie dramatyzuj, to tylko chwilowy kryzys, drobne niepowodzenie, a serce wali ci jak młotem z powodu leków na przeziębienie i grypę”. Wciąż wydawało jej się jednak, że stanęła nad przepaścią pełną niezmiernie rozpacz, jakiej nigdy w życiu nie doświadczyła, nawet w najbardziej przytłaczających chwilach, a przecież, przypomniawszy sobie, ten moment wcale nie jest aż tak przytłaczający, to tylko niepowodzenie zawodowe, do którego dołożyły się rozpad związku, ból kręgosłupa, przeziębienie i skaleczenie krawędzią kartki. Nie ma co porównywać tej sytuacji ze śmiercią taty czy Gillian. Jednak wspomnienie bliskich, którzy odeszli, wcale nie poprawiło jej nastroju.

Rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, co przykuje jej uwagę – telefonu, książki, jedzenia – zauważyła jakiś ruch we wstecznym lusterku.

Co to było? Zwierzę? Świetlny refleks? Nie, coś innego.

Coś, co poruszało się wolniej niż auto.

Zaraz. To jednak był samochód. Jechał w żółtym tempie, właściwie zdawał się tkwić w miejscu.

Usiadła prosto i wytarła rozmazany tusz pod oczami.

Kanarkowe sportowe auto niewyobrażalnie niemrawo wlokło się połą drogą.

Frances nie znała się na samochodach, ale z bliska nawet ona potrafiła poznać, że ma przed sobą niebotycznie drogą maszynę z niskim zawieszeniem, całą lśniącą i wyposażoną w futurystyczne reflektory.

Samochód zatrzymał się za jej autem i drzwi po obu stronach otworzyły się jednocześnie. Wsiadła z niego dwójka młodych ludzi. Frances ustawiła lusterko tak, by móc lepiej im się przyjrzeć. Mężczyzna wyglądał jak hydraulik z przedmieścia w drodze na niedzielny grill: czapeczka baseballowa założona daszkiem do tyłu, ciemne okulary, podkoszulek, szorty i mokasyny na gołe stopy. Kobieta miała zachwycające długie, kasztanowe loki, obcisłe spodnie capri, niemożliwie wąską talię i idealnie kształtne piersi. Chwiejnie poruszała się w butach na wysokich obcasach.

Po co tacy młodzi ludzie przyjechali do sanatorium? Czy takie miejsca nie były przeznaczone dla wypalonych osób z nadwagą, borykających się z bólem kręgosłupa i żalonym kryzysem wieku średniego? Frances zobaczyła, jak mężczyzna zakłada czapczkę daszkiem do przodu i odchyła głowę, wyginając plecy tak, jakby i jemu niebo wydawało się przytłaczające. Kobieta się do niego odezwała. Ruch jej warg świadczył o tym, że powiedziała coś ostrym tonem.

Kłócili się.

Scenka skutecznie odwróciła uwagę Frances. Otworzyła okno. Ci ludzie mogli odciągnąć ją znad skraju przepaści i na nowo tchnąć w nią życie. Pod ich spojrzeniem zaczęłyby znowu istnieć i odzyskałyby tożsamość. Uznałyby ją za podstarzałą ekscentryczkę, może nawet trochę irytującą. Najważniejsze, że ktoś znowu by ją dostrzegł.

Niezdarnie wychyliła się przez okno, pomachała do nich koniuszkami palców i zawołała:

– Dzień doobryyy!

Dziewczyna ruszyła w jej stronę, ostrożnie stąpając po trawie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ben

Ben patrzył na Jessicę, która wyglądała jak mała żyrafa, kiedy podchodziła do peugeota 308 – o wiele za drogiej kupy złomu – stojącego przed bramą z włączonym silnikiem. Rozbite światło hamowania i lekko wgnieciony tłumik stanowiły zapewne ślady przejazdu gruntową drogą. Kobieta siedząca za kółkiem wychyliła się z okna tak bardzo, że nieomal przez nie wypadła, dziko machając do Jessiki, jakby niezmiernie się ucieszyła na jej widok. Nie mogła po prostu otworzyć drzwi i wysiąść?

Wyglądało na to, że sanatorium było zamknięte. Awaria kanalizacji? Strajk? Ben w duchu na to liczył.

Te idiotyczne buty utrudniały Jessice poruszanie się. Wyglądała w nich jak na szczydłach. Obcasy były cieniutkie jak wykałaczki. Tylko czekać, aż złamie sobie nogę.

Ben przykucnął przy samochodzie i przesunął dłonią po lakierze w poszukiwaniu śladów po kamykach. Marszcząc brwi, spojrzał na drogę, którą przed chwilą przejechali. Czy ośrodka, gdzie ceny przyprawiały o zawrót głowy, nie stać było na porządną asfaltową dojazdówkę? Na stronie internetowej powinno znaleźć się ostrzeżenie. Ben był pewien, że auto się rozleci na tych wybojach.

Brak choćby jednej rysy należało uznać za prawdziwy cud, ale trudno było oszacować, w jakim stopniu ucierpiało podwozie. To Ben będzie mógł stwierdzić dopiero podczas oględzin w warsztacie. Czyli nie wcześniej niż za dziesięć dni, choć najchętniej zabrałby się za to natychmiast.

Może powinien odesłać auto na lawecie do Melbourne. Mógłby zadzwonić po pracowników Pete'a. Pomysł wydałby się Benowi całkiem racjonalny, ale pretensjom nie byłoby końca, jeśli jego dawni koledzy z pracy dowiedzieliby się, że przejechał

takim samochodem po takich wertepach. Jego niegdysiejszy szef pewnie by się rozplakał na wieść o tym, co zrobił Ben.

Oczy Pete'a zaszkliły się dziwnie, kiedy w zeszłym miesiącu zobaczył rysę na drzwiach tego auta. Wydarzenie to ochrzcili mianem „afery karoseryjnej”.

– Zawistny skurwiel – oburzył się Pete na widok długiej krechy na drzwiach od strony pasażera, wrytej kluczem przez jakiegoś złośliwca.

Ben nie potrafił ustalić, gdzie i kiedy do tego doszło. Nie zostawiał samochodu na publicznych parkingach. Podejrzał kogoś ze znajomych. Wiele osób w jego otoczeniu do tego stopnia nie lubiło jego i Jessiki, że mogłoby posunąć się do takiego czynu. Dawniej nie potrafiłby podać nazwiska choćby jednego nieprzyjaznego mu człowieka. Teraz zebrała się ich spora gromadka. Wiedział, że według Jessiki to była wina siostry Bena, choć nie oskarżyła jej o to otwarcie. Wyczytał to z mocno zaciśniętych warg dziewczyny. Może faktycznie miała rację. Może to była sprawka Lucy.

Pete usunął rysę z taką pieczołowitością, jakby restaurował bezcenne malowidło, a Ben strzegł auta jak oka w głowie aż do teraz, kiedy naraził je na ogromne, niewybaczalne ryzyko, wjeżdżając na to cholerne wybojowisko.

Nie powinien był ulegać Jessice. Próbował się sprzeciwić. Zatrzymał się i spokojnie, bez choćby jednego przekleństwa oświadczył, że jazda takim samochodem po nieutwardzonej drodze to czysta lekkomyślność, której konsekwencje mogą okazać się katastrofalne. Na przykład wyboje mogą uszkodzić układ wydechowy.

Tymczasem Jessica najwyraźniej w nosie miała układ wydechowy.

Wydzierali się na siebie przez bite dziesięć minut. Na cały głos. W powietrze wystrzelały kropelki śliny. Ich czerwone twarze wykrzywiały się w paskudnych grymasach. Frustracja kotłująca się w nim podczas tej sprzeczki cofnęła go do czasów dzieciństwa, kiedy człowiek nie potrafi się jeszcze wysławić i nie ma kontroli nad swoim życiem, dlatego kompletnie mu odbija, jeśli mama albo tata odmówią zakupu nowej figurki z kolekcji *Gwiezdnych wojen*, na której mu tak straszliwie zależało.

W pewnej chwili zacisnął pięści i musiał powiedzieć sobie: „Nie bij jej”. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zapragnie uderzyć kobietę. W tym momencie dał za wygraną.

– Dobra – powiedział. – Najwyżej zniszczę samochód. Wszystko mi jedno.

Większość znanych mu facetów nawet by się nie zatrzymała, tylko bez zbędnych dyskusji natychmiast by zawróciła.

Zresztą większość facetów w ogóle nie przystałaby na ten idiotyczny pomysł.

Sanatorium. Joga i gorące źródła. Uważał ten wyjazd za bezcelowy. Ale Jessica się uparła, że powinni podjąć radykalne kroki, żeby naprawić sytuację. Według niej tylko odtrucie umysłów i ciał mogło uratować ich małżeństwo. Mieli jeść organiczną sałatę i odbyć „terapię dla par”. Dziesięciodniowy turnus wydawał mu się prawdziwym piekłem.

Jakichś dwoje celebrytów ocaliło swój związek dzięki pobytowi w tym miejscu. „Odzyskali wewnętrzny spokój” i odnaleźli swoje „prawdziwe ja”. Co za brednie. Równie dobrze mogli przelać te pieniądze na konto jednego ze specjalistów od nigeryjskiego szwindlu, którzy spamowali ich skrzynki e-mailowe. Ben podejrzewał zresztą, że ta słynna para poznała się na planie programu *The Bachelorette*. Jessica uwielbiała celebrytów. Kiedyś uważał za urocze to, że taka inteligentna dziewczyna ma takie kretyńskie zainteresowania. Teraz jednak zbyt wiele życiowych decyzji uzależniała od tego, co zrobili celebryci czy raczej co na ten temat donosiły media. To wszystko i tak było pewnie jedną wielką ściemą, a tym dwojgu nieźle płacono za reklamę na Instagramie. A biedna, niewinna i pełna nadziei Jessica chłoneła te bzdury jak gąbka.

Teraz chyba wydawało jej się, że stała się jedną z nich. Wyobrażała sobie siebie na tych szmirowatych eventach z czerwonym dywanem. Ostatnimi czasy, pozując do selfie, kładła dłoń na biodrze, jakby wykonywała jedną z figur do piosenki *Jestem czajniczkiem*, i ustawiała się półprofilem do obiektywu, wysuwając żuchwę w maniackim uśmiechu. Na robienie zdjęć poświęcała mnóstwo czasu. Pewnego dnia przez bite czterdzieści dwie minuty (Ben liczył z zegarkiem w rękę) fotografowała swoje stopy.

Jedna z ich niedawnych, najpoważniejszych awantur dotyczyła jej postu na Instagramie. Upubliczniła zdjęcie, na którym miała na sobie tylko bikini i stała lekko pochylona, z ramionami wysuniętymi do przodu, by podkreślić dopiero co zrobione sztuczne piersi i wydymając świeżo ostrzyknięte usta. Z nadzieją w głosie zapytała

Bena, jak mu się podoba ta fotografia, a on, nie chcąc jej rozczarować, nie powiedział tego, co naprawdę myślał, czyli że zdjęcie wygląda jak reklama taniej agencji towarzyskiej. Wzruszył tylko ramionami i rzucił zdawkowe:

– W porządku.

Jessice zrzędała mina, jakby Ben ją zwyzywał. W jednej chwili zaczęła się na niego drzeć (ostatnio potrafiła w ciągu sekundy rozpętać prawdziwą burzę), a on poczuł się tak, jak gdyby otrzymał cios bez ostrzeżenia, i zupełnie nie wiedział, o co jej chodzi. Dlatego nie czekając, aż ona skończy krzyczeć, poszedł na górę pograć na xboxie. Uważał, że postąpił słusznie. Tak właśnie zachowywał się dojrzały facet. Zamiast wdać się w pyskówkę, dał Jessice czas, by ochłonęła. Najwyraźniej jednak był w błędzie. Jessica ruszyła za nim po schodach i zanim dotarł na górę, chwyciła go za tył podkoszulka.

– Spójrz na mnie! – krzyczała. – W ogóle już na mnie nie patrzysz!

Jej słowa go zmroziły, bo musiał przyznać żonie rację. Faktycznie starał się jej nie przyglądać. Naprawdę próbował zaakceptować jej wygląd. Wielu mężczyzn wiernie trwało przy swoich kobietach oszpeconych w wyniku wypadku, pożaru albo zranienia. To, że Jessica sama się oszpeciła, nie powinno mieć znaczenia. No, może nie dosłownie sama. Posłużyła się kartą kredytową. Z własnej woli poddała się tej procedurze.

A jej głupie koleżanki jeszcze jej przyklaskiwały: „O mój Boże, Jessica, wyglądasz niesamowicie”.

Miał ochotę wykrzyczeć im w twarz: „Oślepliście? Przypomina wiewiórkę!”.

Wydawało mu się, że rozstanie z Jessicą będzie jak wrywanie wnętrzości. Ale teraz, żyjąc z nią, właśnie tak się czuł. Tak czy inaczej, był skazany na tortury.

Jeśli ten wyjazd miał im pomóc naprawić związek, warto było poświęcić nawet samochód. Ben był o tym przekonany. Przecież chciał, by Jessica urodziła mu kiedyś dzieci.

Przypomniał sobie dzień, kiedy dwa lata wcześniej ich okradziono. Wciąż pamiętał swoją wściekłość na widok twarzy Jessiki – wtedy jeszcze naturalnej – wykrzywionej w dziecięcym grymasie. Chciał dorwać tych skurwysynów i obić im ryje.

Gdyby nie oni, gdyby nie ta kradzież, nie znaleźliby się teraz w tej sytuacji. Nie miałyby wprawdzie tego samochodu, ale przynajmniej nie utknąłby w tej dziurze na

dziesięć dni.

Wciąż jednak miał ochotę obić im ryje.

– Ben!

Jessica przywołała go gestem. Nagle zrobiła się radosna i towarzyska, jakby przed chwilą wcale się na siebie nie darli. Potrafiła doskonale udawać. Czasem przez całą drogę na przyjęcie kłócili się, na klatce schodowej nie odzywali się do siebie ani słowem, a kiedy tylko otwierały się drzwi mieszkania, bum, obok Bena stawała całkiem inna osoba. Śmiała się, żartowała, droczyła się z nim, dotykała go i robiła selfie, jakby tej nocy mieli uprawiać seks, choć nie było takiej opcji.

W samochodzie, w drodze powrotnej, jak za naciśnięciem guzika rozpętywała kłótnię na nowo. Potrafiła go przerazić nie na żarty.

– Tak nakazuje dobry obyczaj – wyjaśniła mu. – Konflikt należy zostawić za drzwiami. To tylko nasza sprawa.

Teraz podniósł się, poprawił czapkę i podszedł do Jessiki, jak małopka posłusznie grająca swoją rolę w cyrkowym przedstawieniu.

– To mój mąż, Ben – przedstawiła go Jessica. – Ben, to Frances. Wybrała ten sam turnus. No, nie do końca ten sam...

Kobieta siedząca za kółkiem uśmiechnęła się do niego.

– Piękny samochód – powiedziała takim tonem, jakby dobrze się znali. Miała przytłumiony, ochryply głos i zaróżowiony koniuszek nosa. – Takie maszyny widuje się tylko w filmach.

Popatrzył prosto w jej przepastny dekolt. Zrobił to bezwiednie, nie mógł przecież odwrócić od niej wzroku. Nie prezentowała się źle, ale miała swoje lata, więc dobrze też nie wyglądała. Miała pomalowane na czerwono usta i gęste złote loczki spięte w koczek. Przypominała mu jedną z koleżanek matki z kortu tenisowego. Lubił sparingpartnerki mamy – były prostolinijne i nie wciągały go w długie rozmowy – ale wolałby nie widywać ich w bluzkach z dekoltem.

– Dzięki – odparł, z całych sił starając się skupić na jej lśniących oczach o przyjaznym wyrazie. – Miło mi poznać.

– Co to za auto? – zapytała Frances.

– Lamborghini.

– O la la, lamborghini. – Uśmiechnęła się do niego. – Ja jeżdżę peugeotem.

– Tak, zauważyłem – powiedział, krzywiąc się.

– Masz złe zdanie o tej marce? – Lekko przechyliła głowę.

– To kupa gówna – wypalił.

– Ben! – obruszyła się Jessica, ale Frances tylko się zaśmiała.

– Uwielbiam mojego peugeocika – zamruczała, gładząc dłonią kierownicę.

– No cóż – odparł Ben. – Są różne gusta.

– Frances mówi, że nikt nie odpowiada – poinformowała go Jessica. – Czeka tu od dwudziestu minut.

Nawet jej głos się zmienił, a każde słowo w jej ustach brzmiało dźwięcznie i aksamitnie. Ostatnio prawie zawsze mówiła w ten sposób, chyba że traciła nad sobą panowanie albo coś ją wkurzyło, tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy się zapomniała i straciła całą swoją wytworność, krzyżąc do Bena:

– Dlaczego nie możesz być po prostu szczęśliwy? Czemu wszystko rujnujesz?

– Dzwoniła pani do nich? – zapytał teraz wydekoltowaną nieznajomą. – Może domofon się zepsuł.

– Zostawiłam im wiadomość – odparła Frances.

– Ciekawe, czy to jakiś test – zasugerowała Jessica. – Może to część naszej terapii.

Uniosła włosy, by ochłodzić kark. Czasem, kiedy mówiła zwyczajnym tonem i była sobą, Ben zapominał o jej nieruchomym czole, wydętych ustach, nabrzmiałych policzkach, wielbłądzich (bo przedłużonych) rzęsach, sztucznych (bo przedłużonych) włosach i silikonowych piersiach, a wtedy na moment znowu stała przed nim jego słodka Jessica, którą znał od czasów liceum.

– Też mi to przyszło do głowy! – powiedziała Frances.

Ben spojrzał na domofon.

– Ledwie odcyfrowałam tę wiadomość – poskarżyła się Frances. – Napisali ją drobnym maczkiem.

Ben odczytał ją bez trudu. Wprowadził kod i nacisnął zielony guzik.

– Wścieknę się, jeśli tobie się uda – oznajmiła Frances.

Z głośnika wydobył się cieniutki głosik:

– *Namaste*, witamy w Tranquillum House. W czym mogę pomóc?

– Co takiego? – Frances bezgłośnie poruszyła ustami, siląc się na komiczną, zdumioną minę.

Ben wzruszył ramionami.

– Do tego trzeba męskiej ręki.

– Co racja, to racja – zgodziła się Frances.

Wysunęła dłoń przez okno i poklepała Bena po ramieniu.

Jessica nachyliła się do głośnika.

– Chcielibyśmy się zameldować – oznajmiła głośno. Nagle zrobiła się urocza, jak babcia Bena podczas rozmów telefonicznych. – Nazywamy się Chandler... Jessica i Ben...

W domofonie zatrzeszczało i brama zaczęła się otwierać. Jessica wyprostowała się i założyła włosy za uszy, jak zawsze dbając o to, by godnie się prezentować. Dawniej miała do siebie więcej dystansu.

– Słowo daję, poprawnie wpisałam kod. A może tylko mi się wydawało! – tłumaczyła się Frances, zapinając pas i wciskając pedał gazu. Pomachała Benowi i Jessice. – Do zobaczenia w środku! Nie próbujcie mnie wyprzedzić swoim bajeranckim ferrari.

– To jest lamborghini! – poprawił ją Ben.

Frances puściła do niego oko, jakby doskonale wiedziała, co to za auto, i odjechała zaskakująco szybko, choć na tej drodze Ben zaleciłby jej więcej ostrożności.

Kiedy wracali do swojego samochodu, Jessica zaproponowała:

– Niech to zostanie między nami, dobrze? Umówmy się, że jakby ktoś pytał, to fura nie jest twoja, tylko pożyczona od kumpla.

– Dobrze, ale nie umiem kłamać tak dobrze jak ty – odparł.

Chciał zażartować, a wręcz zdobyć się na komplement, tymczasem ona zinterpretowała to po swojemu.

– Pierdol się – rzuciła beznamiętnie.

Może więc ich związek miał się dobrze. Niekiedy jednak w dogasającym żarze

kłótni bez ostrzeżenia znowu wybuchął ogień. Nigdy nie wiadomo. Lepiej zachować czujność.

– Ta pani, Frances, wygląda na fajną osobę – powiedział Ben.

To był bezpieczny temat. Frances była dużo starsza. Nie powinna budzić zazdrości, a właśnie to uczucie zupełnie nieoczekiwanie pojawiło się ostatnio w ich związku. W miarę jak Jessica zmieniała swoje ciało i twarz, traciła pewność siebie.

– Chyba ją rozpoznałam – odparła Jessica.

– Naprawdę?

– Jestem prawie pewna, że to ta pisarka, Frances Welty. Kiedyś miałam bzika na punkcie jej książek.

– Co pisze? – zapytał Ben, otwierając drzwi samochodu.

Nie dosłyszał odpowiedzi.

– Możesz powtórzyć?

– Romanse.

Jessica trzasnęła drzwiami tak mocno, że Benowi ścierpła skóra.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Frances

„To mi się podoba”, pomyślała Frances na widok majaczącej w oddali wiktoriańskiej posiadłości. Na szczęście teraz jechała asfaltową drogą, a dziki busz stopniowo przechodził w bardziej przyjazną, zieloną roślinność. Sanatorium mieściło się w dwupiętrowym budynku z piaskowca, z wieżyczką i dachem pokrytym blachą falistą. Frances uwierzyłaby, że przenosi się w czasie do dziewiętnastego wieku, gdyby nie to żółte lamborghini jadące tuż za nią z cichym pomrukiem.

Skąd te dzieciaki wzięły pieniądze na taką furę? Z handlu narkotykami? Z funduszu powierniczego? Ta pierwsza opcja wydała jej się bardziej prawdopodobna. Nie mieli w sobie wrodzonej wyższości, typowej dla dziedziców starych fortun.

Jeszcze raz spojrzała we wsteczne lusterko. Z tej odległości Jessica, z włosami rozwiewanymi przez wiatr, prezentowała się ślicznie i całkiem naturalnie. Nie widać było śladów wszystkich zabiegów, jakim poddała swoją twarz. Szpecił ją nie tylko o wiele za mocny makijaż, ale przede wszystkim, dobry Boże, te oślepiająco białe zęby, przesadnie odęte usta i doprawdy spartaczona operacja plastyczna. Frances nie miała nic przeciwko zabiegom kosmetycznym – była wręcz ich zagorzałą zwolenniczką – ale widok tej uroczej dziewczyny o nabrzmiałej, nienaturalnie gładkiej twarzy budził w niej smutek i odrazę.

Na pewno biżuteria, którą się obwiesiła, była sztuczna. Szafiry tak ogromne jak te w jej kolczykach kosztowały pewnie... ile? Frances nie miała pojęcia. Fortunę. Samochód z pewnością nie był podróbką, więc może i klejnoty były prawdziwe.

Gangsterzy na dorobku? Gwiazdy YouTube'a?

Ten chłopiec, „mąż” Jessiki (byli o wiele za młodzi, by używać tak dorosłych

określeń), był niezłym ciachem. Frances powinna się powstrzymać przed flirtowaniem z nim. Po dziesięciu dniach takie żarty nikogo już nie bawią. Zaczynają wręcz graniczyć z... nieobyčajnością? „Chyba raczej z pedofilią, kochanie” – powiedziałyby pewnie Alain. Struchlała na myśl o tym, że przeuroczego Bena mogłaby napawać odrazą, jaką niegdyś budziło w niej zachowanie starszych pisarzy podczas przyjęć w kręgach wydawniczych.

Szczególnym chamstwem wykazywali się ci, którzy niedawno zdobyli jakąś nagrodę literacką. Pisali gęste, niezrozumiałe dialogi, obywając się bez interpunkcji! Nic dziwnego, że nie czekali na pozwolenie, by położyć swoje włochate łapy na biodrach młodej autorki popularnych powieści. Najwyraźniej w ich mniemaniu Frances powinna świadczyć im usługi erotyczne w zamian za nieprzyzwoicie wysoką sprzedaż „literackich śmieci” na rynku masowym.

„Przestań. Nie myśl o tej recenzji, Frances”.

Przecież brała udział w marszach kobiet! Nie zasługiwała na miano „zakały feminizmu” tylko dlatego, że opisywała kolor oczu swoich bohaterów. Czy można się w kimś zakochać, nie znając barwy jego tęczy? Do jej obowiązków należało finałowe splecenie wątków w „wielką kokardę”. Takie były prawidła gatunku. Czytelniczki rozniosłyby ją na widłach, gdyby odważyła się na niejednoznaczne zakończenie.

„Nie myśl o tej recenzji. Nie myśl o tej recenzji”.

Lepiej skupić się na Benie i Jessice. Tak, powinna pamiętać o tym, by w jego towarzystwie zachowywać się stosownie do swojego wieku. Zawsze mogła udawać przed sobą jego krewną. Na przykład ciotkę. A już na pewno nie powinna go dotykać. Dobry Boże, chyba tego nie zrobiła, prawda? Przez tę recenzję zaczęła kwestionować wszystko, co o sobie wiedziała. Zacisnęła dłonie na kierownicy. Z przyzwyczajenia kładła dłoń na ramieniu rozmówcy, kiedy chciała do niego zaapelować, kiedy ją rozbawił albo czuła do niego sympatię.

Grunt, że rozmowa z Benem i Jessicą ją uspokoiła. Na moment przeraziła samą siebie. Wielkie rzeczy – utrata tożsamości. Ale ze mnie panikara.

Kręta droga doprowadziła ją przed budynek. Ben uprzejmie zachowywał stosowną odległość, choć pewnie na zakrętach miał ochotę docisnąć gaz do dechy.

Wjechała na szeroki podjazd, wzdłuż którego ciągnęły się rzędy majestatycznych sosen.

– Nie najgorzej – wyszeptała.

Była przygotowana na to, że rzeczywistość boleśnie zweryfikuje to, co zobaczyła na zdjęciach na stronie internetowej, ale z bliska Tranquillum House prezentował się bardzo okazale. Białe, misterne balustrady balkoników jaśniały w słońcu. W ogrodzie – zielonym i bujnym pomimo letnich upałów – stała tablica rzeczowo informująca: „TUTAJ WYKORZYSTUJEMY DESZCZÓWKĘ”, by obfita roślinność nie prowokowała krytycznych komentarzy.

Dwoje pracowników sanatorium w białych uniformach, trzymając się prosto, dostojnym krokiem, jaki przystoi oświeconym, nieśpiesznie wyszło na szeroką werandę, by powitać gości. Może akurat medytowali, kiedy Frances tkwiła przed bramą, próbując się z nimi skontaktować. Jeszcze się dobrze nie zatrzymała, a mężczyzna już otwierał drzwi jej samochodu. Oczywiście wyglądał młodo, jak wszyscy Azjaci, miał hipsterską brodę, włosy zebrane w koczek, błyszczące oczy i gładką skórę. Cudowny wieczny chłopiec.

– *Namaste.* – Wieczny chłopiec złożył dłonie i się uklonił. – Serdecznie witamy w Tranquillum House. – Z namaszczeniem oddzielał... słowa... króciutkimi... pauzami. – Mam na imię Yao – przedstawił się. – Jestem twoim osobistym konsultantem wellness.

– Cześć, Yao. Nazywam się Frances Welty. Jestem twoją nową ofiarą.

Odpięła pas i uśmiechnęła się. Powiedziała sobie, że nie będzie się śmiać ani przedrzeźniać nabożnego tonu jogina, ale też nie pozwoli, by działał jej na nerwy.

– Od teraz będę służył ci pomocą – dodał Yao. – Ile bagaży przywiozłaś?

– Tylko jedną torbę – odparła Frances, wskazując na tylne siedzenie. – Mogę ją sama ponieść. Nie jest ciężka.

Nie chciała spuszczać bagażu z oka, bo przemyciła w nim kilka zakazanych produktów, między innymi kawę, herbatę, czekoladę (ciemna zawiera mnóstwo antyoksydantów!) i jedną butelkę czerwonego wina (również bogatego w antyoksydanty!).

– Frances, torbę zostaw tutaj, a kluczyki w stacyjce – zakomenderował Yao.

Cholera. No trudno. Choć wygląd torby nie zdradzał, że w środku znajduje się kontrabanda, Frances (zazwyczaj przestrzegająca reguł jak grzeczna dziewczynka) z lekkim zawstydzeniem próbowała trochę za szybko wygramolić się z samochodu, zapominając o swojej najnowszej dolegliwości.

– Ooooj – jęknęła, prostując się powoli. Popatrzyła na Yao. – Bolą mnie plecy.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział. – Niezwłocznie umówię cię na masaż w naszym spa. – Z kieszeni wyciągnął notesik i ołówek.

– Poza tym przecięłam palec papierem – dodała z powagą Frances, pokazując kciuk. Yao chwycił go i przyjrzał mu się.

– Paskudna rana – orzekł. – Zrobimy okład z aloesu.

O Boże, był taki słodziutki z tym swoim notesikiem, kiedy tak serio potraktował jej skaleczenie. Złapała się na tym, że przypatruje się jego ramionom, i czym prędzej odwróciła wzrok. „Na litość boską, Frances”. Nikt jej nie uprzedził, że w średnim wieku będą ją nagle, w najmniej odpowiednich momentach ogarniały fale pożądania w obecności młodych mężczyzn, zupełnie niewytłumaczalne z biologicznego punktu widzenia. Może właśnie to odczuwali faceci przez całe życie? Nic dziwnego, że te biedaczyska musiały płacić takie alimenty.

– Przyjechałaś na dziesięciodniowe oczyszczanie? – upewnił się Yao.

– Zgadza się – odparła Frances.

– Czadowo – powiedział Yao, w jednej chwili studząc pożądanie Frances. Nie mogłaby pójść do łóżka z kimś, kto używał słowa „czadowo”.

– Więc... mogę już wejść? – zapytała ze zniecierpliwieniem.

Zrobiło jej się niedobrze na samą myśl o seksie z tym chłopaczkiem albo z kimkolwiek innym. Było o wiele za gorąco.

Zauważyła, że Yao rozkojarzył się na widok samochodu Chandlerów, a może samej Jessiki, która stała z wypiętym biodrem, powoli nawijając kosmyk włosów na palec, podczas gdy Ben rozmawiał z drugą konsultantką wellness w białym uniformie, dziewczyną o skórze tak nieskazitelnej, że zdawała się jaśnieć własnym światłem.

– To lamborghini – poinformowała go Frances.

– Wiem o tym – odparł Yao, zapominając oddzielić słowa pauzami.

Wskazał na drzwi, puszczając Frances przodem.

Weszła do przestronnego holu, gdzie dopiero po chwili jej wzrok przyzwyczał się do przymglonego światła. Łagodna cisza, jaka panuje wyłącznie w starych domach, otoczyła ją niczym chłodna woda. Gdzie nie spojrzeła, dostrzegała piękne szczegóły: miodowy parkiet, zabytkowe żyrandole, ozdobne, żłobione listwy sufitowe i okna z ołowianymi szczeblinami.

– Jak tu pięknie – zachwyciła się. – Och, co ja widzę? Klatka schodowa jak w *Titanicu!*

Podeszła do balustrady, by dotknąć połyskliwego mahoni. Na półpiętrze światło wpadające przez witrażowe okno tworzyło mozaikę.

– Jak zapewne wiesz, Tranquillum House zbudowano w tysiąc osiemset czterdziestym roku, a schody z czerwonego cedru i palisandru zachowały się w nienaruszonym stanie – wyjaśnił Yao. – Wiele osób zauważyło ich podobieństwo do tych z *Titanica*. Póki co mamy jednak więcej szczęścia niż on. Nie pójdziemy na dno, Frances!

Bez wątpienia wielu gości raczył tym żartem, który nie zasługiwał na śmiech, jakim Frances go skwitowała.

– Dom zbudowano dla zamożnego radcy prawnego z Anglii, z wydobywanego w okolicy piaskowca – kontynuował Yao niczym nerdowaty przewodnik muzealny. – Chciał mieszkać w „najpiękniejszym domu w całej kolonii”.

– Jak mniemam, do pracy zaprzęgnięto skazańców – powiedziała Frances, przypomniawszy sobie to, co przeczytała na stronie ośrodka.

– Zgadza się – odparł Yao. – Radcy oddano w posiadanie nieco ponad dwieście hektarów żyznych gruntów ornych i przydzielono mu dziesięciu skazańców. Poszcęściło mu się, bo wśród nich znalazło się dwóch braci, kamieniarzy z Yorku.

– Jedna z moich przodkiń również została zesłana – pochwaliła się Frances. – Przywieziono ją tu z Dublina za kradzież jedwabnej sukni. Jesteśmy z niej bardzo dumni.

Yao gestem zagroził jej drogę, jakby chciał dać do zrozumienia, że na razie nie pójdą na górę.

– Wiem, że pewnie chętnie odpoczęłabyś po długiej podróży, ale najpierw chciałbym cię szybko oprowadzić po miejscu, które stanie się twoim domem na najbliższe dziesięć dni.

– Jeśli tyle wytrzymam – dodała Frances. Nagle dziesięć dni wydało jej się bardzo długim okresem. – Może wcześniej wrócę do domu.

– Nikt nie wyjeżdża od nas przed końcem turnusu, Frances – oświadczył z powagą Yao.

– Tak, ale istnieje taka możliwość – przypomniała mu. – Jeśli ktoś zechce.

– Nikt nie wyjeżdża od nas przed końcem turnusu – powtórzył Yao. – To się nie zdarza. Nasi goście nie chcą wracać do domu! Doświadczysz tu prawdziwej przemiany, Frances.

Zaprowadził ją do mieszczącej się w bocznym skrzydle budynku dużej sali z długim klasztorным stołem i szerokimi oknami w wykuszach, wychodzącymi na dolinę.

– Oto jadalnia, gdzie spożywamy posiłki. Oczywiście wszyscy goście jedzą wspólnie.

– Oczywiście – powtórzyła Frances ochryłym głosem. Odchrząknęła. – Fantastycznie.

– Śniadanie podajemy o siódmej rano, obiad w południe, a kolację o szóstej.

– Śniadanie o siódmej? – Frances zbladła. Mogła jakoś przecierpieć wspólne obiady i kolacje, ale szczerym świtem nie potrafiłaby jeść i rozmawiać z nieznanymi. – Jestem nocnym markiem – powiedziała. – O siódmej rano nie wiem, jak się nazywam.

– Ach, mówisz o dawnej Frances. Nowa Frances o tej porze będzie już miała za sobą sesję tai-chi o wschodzie słońca i medytację kierowaną.

– Wątpię – skwitowała Frances.

Yao uśmiechnął się, jakby i tak wiedział swoje.

– Dzwonek rozlega się na pięć minut przed rozpoczęciem wydawania posiłku albo, w okresach postu, smoothie. Prosimy, byś po usłyszeniu wezwania niezwłocznie udała się do jadalni.

– Jasna sprawa – powiedziała Frances, czując rosnące przerażenie. Zupełnie zapomniała o „okresowych postach”. – Czy... można zamówić jedzenie do pokoju?

– Obawiam się, że nie. Przynosimy tylko poranne i późnowieczorne smoothies.

– Nie ma co liczyć na kanapkę z kurczakiem o północy?

Yao zadrżał.

– Broń Boże.

Z jadalni przeszli do przytulnego salonu, z ustawionymi wzdłuż ścian regałami pełnymi książek. Przed marmurowym kominkiem stało kilka kanap.

– Sala Lawendowa – zaanonsował Yao. – Wpadaj tu, kiedy tylko zechcesz się zrelaksować, poczytać albo napić ziołowej herbatki.

Teraz w jego głosie wychwyciła amerykański akcent.

– Wspaniale – ucieszyła się Frances, której trochę ulżyło na widok książek.

Kiedy mijali zamknięte drzwi z wykonanym od szablonu, złotym napisem „POMIESZCZENIE PRYWATNE”, Frances, jak to ona, poczuła nagłą chęć, by wejść do środka bez pozwolenia. Wkurzały ją wszelkie kluby dostępne wyłącznie dla posiadaczy kart członkowskich.

– Prowadzą do gabinetu pani dyrektor na ostatnim piętrze. – Yao delikatnie dotknął drzwi. – Prosimy, byś otwierała je tylko, jeśli umówisz się wcześniej na spotkanie.

– Ma się rozumieć – odparła Frances z urazą.

– Jeszcze dzisiaj się z nią spotkasz – powiadomił ją Yao, jakby zapowiadał wyjątkową i długo wyczekiwaną atrakcję. – Poprowadzi twoją pierwszą medytację.

– Czadowo – wycedziła Frances.

– Z pewnością chcesz obejrzeć siłownię – powiedział Yao.

– Niespecjalnie – odparła Frances, ale on już przechodził przez główny hol do przeciwległego skrzydła budynku.

– Pierwotnie mieścił się tu salon – poinformował ją Yao. – Zaadaptowaliśmy go na nowoczesną siłownię.

– To prawdziwa tragedia – orzekła Frances, kiedy Yao otworzył szklane drzwi, za którymi znajdowała się rozświetlona sala pełna przyrządów przypominających wymyślne narzędzia tortur.

Uśmiech spełzył z twarzy Yao.

– Zachowaliśmy oryginalne tynki. – Wskazał na sufit.

Frances prychnęła pogardliwie. „Cudownie. Można na leżąc podziwiać sztukaterię podczas łamania kołem i ćwiartowania”.

Widząc jej minę, Yao czym prędzej zamknął drzwi.

– Pokażę ci salę do jogi i medytacji. – Minął siłownię i podszedł pod drzwi na samym końcu korytarza. – Uważaj na głowę.

Choć nie było takiej potrzeby, schyliła się, przechodząc przez próg, i ruszyła za Yao w dół po wąskich kamiennych schodach.

– Czuję zapach wina.

– Nie rób sobie nadziei – ostrzegł ją Yao. – To tylko duch starego trunku.

Z wysiłkiem pchnął ciężkie dębowe wrota i wprowadził Frances do zadziwiająco przestronnej, przypominającej jaskinię piwniczki z łukowym sklepieniem wzmocnionym drewnianymi belkami, kilkoma krzesłami wzdłuż ceglanych ścian i rzędem miękkich, niebieskich, prostokątnych mat, ułożonych w równych odstępach na drewnianej podłodze.

– Odbywają się tu sesje jogi i medytacji kierowanej – poinformował ją Yao. – Spędzisz tutaj sporo czasu.

W studio było cicho i chłodno, a resztki aromatu wina tłumiała woń kadzidła. W pomieszczeniu panowała przyjemna, spokojna atmosfera i Frances ucieszyła się, że spędzi tu trochę czasu, choć nie przepadała ani za jogą, ani za medytacją. Przed laty wzięła udział w kursie medytacji transcendentalnej, licząc na oświecenie duchowe, ale za każdym razem, kiedy tylko skupiła się na swoim oddechu, po dwóch minutach zasypiała i budziła się na koniec sesji, a podczas gdy pozostali uczestnicy widzieli świetlne rozbłyski, wracały do nich wspomnienia z poprzednich wcieleń, doznawali olśnienia i Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze – ona spała w najlepsze, trochę się śliniąc. W gruncie rzeczy raz w tygodniu płaciła za czterdziestopięciominutową drzemkę w miejscowym liceum. Była pewna, że tu, na dole również prześpi wiele godzin, śniąc o winie.

– W czasach, kiedy tutejsza winnica dobrze prosperowała, piwniczka mogła pomieścić nawet dwadzieścia tysięcy butelek. – Yao wskazał na ściany, choć nie było tu już regałów do przechowywania wina. – Jednak na początku istnienia domu używano tego pomieszczenia jako magazynu, zamykano tu niesubordynowanych skazańców albo

ukrywano się podczas napadu bandytów.

– Gdyby te mury mogły mówić – powiedziała Frances.

Jej uwagę zwrócił duży telewizor z płaskim ekranem, powieszony na belce na przeciwległym końcu sali.

– A co tu robi ten telewizor? – Jego obecność w tym miejscu wydała się szczególnie nieuzasadniona w świetle pogadanki Yao na temat historii domu sięgającej czasów pierwszych kolonii. – Wydawało mi się, że w całym ośrodku obowiązuje zakaz korzystania z mediów.

– I to całkowity – przyznał jej rację Yao. Marszcząc brwi, spojrzał na ekran. – Niedawno zainstalowaliśmy jednak system kamer bezpieczeństwa i interkom, żeby w razie konieczności ułatwić komunikację między odległymi częściami ośrodka. Posiadłość jest dość rozległa, a bezpieczeństwo naszych gości to dla nas priorytet. – Nagle zmienił temat. – To cię z pewnością zainteresuje, Frances.

Podszedł z nią do kąta sali i wskazał na cegłę nieomal zakrytą wspornikiem łukowatej belki. Frances włożyła okulary i odczytała na głos napis wykaligrafowany małymi literami.

– Adam i Roy Websterowie, murarze, tysiąc osiemset czterdzieści.

– To ci bracia skazańcy – wyjaśnił Yao. – Najprawdopodobniej wykonali tę inskrypcję po kryjomu.

– I słusznie – orzekła Frances. – Byli dumni z efektów swojej pracy. Mieli do tego pełne prawo.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w napis, aż wreszcie Yao klasnął.

– Chodźmy na górę.

Wrócili po schodach na korytarz i dotarli pod kolejne szklane drzwi, na których widniało jedno magiczne słowo: „SPA”.

– Wreszcie dotarliśmy do spa, gdzie czekają cię wybrane specjalnie dla ciebie masaże i zabiegi wellness. – Yao otworzył drzwi, a Frances odruchowo głęboko zaczerpnęła powietrza, napawając się aromatem olejków eterycznych.

– Tu mieścił się niegdyś drugi salon, który też został przebudowany – nie omieszkał dodać Yao.

– No cóż, z pewnością zadbałicie o to, by zachować oryginalny klimat tego wnętrza.

Frances poklepała Yao po ramieniu, zaglądając do pomieszczenia wypełnionego nastrojowym światłem. Przez ścianę dosłyszała szmer wody w sztucznym źródleku i kiczowatą, „relaksacyjną” muzykę sfer, łączącą szum fal z dźwiękami harfy i kumkaniem żab.

– Wszystkie zabiegi w spa są darmowe jako część wykupionego przez ciebie pakietu. Bez obaw, przed wyjazdem nie dostaniesz astronomicznego rachunku! – powiadomił ją Yao.

– Czytałam o tym na stronie, choć nie chciało mi się w to wierzyć! – powiedziała Frances z fałszywym rozradowaniem, bo gdyby informacja ta okazała się nieprawdziwa, niezwłocznie złożyłaby skargę w Urzędzie Ochrony Konsumenta.

Teraz jednak szeroko otworzyła oczy i z udawanym zachwytem wpatrywała się w Yao, którego cudowna oferta Tranquillum House wyraźnie napawała dumą.

– Ale to jest prawda, Frances – zapewnił ją dobrotliwym tonem, jak ojciec przekonujący dziecko, że Boże Narodzenie będzie już jutro. – Wejdźmy do środka na badanie krwi, żeby mieć to z głowy.

– Słucham? Co takiego? – zaniepokoiła się Frances, wprowadzana do pokoju przypominającego gabinet lekarski.

Oślupiała. Przecież dopiero co rozmawiali o zabiegach w spa.

– Usiądź tutaj – poprosił ją Yao. – Najpierw zmierzmy ci ciśnienie.

Posłusznie wykonała polecenie, a Yao założył jej na ramię mankiet ciśnieniomierza i energicznie go napompował.

– Możesz mieć wyższe niż zazwyczaj – dodał. – Nasi goście tuż po przyjeździe bywają nieco zestresowani i podenerwowani albo zmęczeni podróżą. To normalne. Ale uwierz mi, pod koniec pobytu u nas ciśnienie znacznie im się obniża!

– Mhm – zamruczała Frances.

Patrzyła, jak Yao zapisuje wynik pomiaru. Nie zapytała, czy mieścił się w normie. Zazwyczaj miała niskie ciśnienie. Diagnozowano u niej hipotensję, bo zdarzały jej się omdlenia. Kiedy była odwodniona, zmęczona albo zobaczyła krew, ciemniało jej przed

oczami i uginały się pod nią kolana.

Yao włożył zielone lateksowe rękawiczki. Frances odwróciła głowę i wbiła wzrok w ścianę. Opiekun założył jej opaskę uciskową i poklepał palcami jej przedramię.

– Doskonale żyły – powiedział.

Słyszała to od wielu pielęgniarek. Przez chwilę odczuwała dumę, a potem ogarniało ją przygnębienie, bo akurat ta zaleta do niczego nie mogła jej się przydać.

– Nie wiedziałam, że czekają mnie badania krwi – powiedziała.

– I to codziennie – zaszcebiotał Yao. – Mają dla nas duże znaczenie, bo dzięki nim możemy dopasować odpowiednie zabiegi do potrzeb twojego organizmu.

– Mmm, wolałabym chyba uniknąć...

– Zrobimy małe ziazi – uprzedził ją Yao.

Frances zerknęła na swoje ramię, ale czym prędzej odwróciła wzrok od próbówki napełniającej się krwią. Nawet nie poczuła ukłucia. Nagle, bezbronna jak dziecko, przypomniała sobie o tych kilku pobytach w szpitalu, podczas których przeszła drobne operacje, nie mogąc pogodzić się z utratą kontroli nad własnym ciałem. Pielęgniarki i lekarze mieli prawo do woli ją dotykać z chłodnym profesjonalizmem, bez emocji, pożądania ani ciepła. Kilka dni zajmowało jej ponowne zadomowienie się w swoim ciele.

Czy ten młody człowiek, który właśnie utoczył jej trochę krwi, posiadał jakiegokolwiek przygotowanie medyczne? Czy dostatecznie wnikliwie zapoznała się z ofertą tego ośrodka?

– Masz kwalifikacje, by...? – Właściwie chciała zapytać: „Do cholery, wiesz, co robisz?”.

– W poprzednim życiu pracowałem jako sanitariusz – odparł Yao.

Spojrzała mu prosto w oczy. Był odrobinę stuknięty? A może chodziło mu o to, że przeszedł reinkarnację? Po tych alternatywnych świrach wszystkiego się można spodziewać.

– Masz na myśli dosłownie swoje poprzednie wcielenie?

Yao zaśmiał się głośno i zupełnie naturalnie.

– To było jakieś dziesięć lat temu.

– Tęsknisz za tamtymi czasami?

– Absolutnie nie. Praca tutaj stała się moją pasją. – W jego oczach pojawił się błysk. Może jednak był leciutko stuknięty. – I gotowe – oznajmił, wyciągając igłę i podając Frances wacik. – Uciśnij mocno. – Podpisał próbówkę z jej krwią i uśmiechnął się. – Doskonale. A teraz cię zważymy.

– Och, to naprawdę konieczne? Nie przyjechałam tu, żeby się odchudzić, tylko żeby, no wiesz... przejść osobistą przemianę.

– Trzeba wypełnić formularz – wyjaśnił Yao. Usunął wacik, zakleił ranę okrągłym plasterkiem i wskazał na wagę. – Wskakuj.

Frances nie patrzyła na wskaźnik. Nie wiedziała, ile waży, i zupełnie jej to nie interesowało. Wprawdzie mogłaby trochę schudnąć, oczywiście, dawniej była znacznie szczuplejsza, ale ogólnie rzecz biorąc, była zadowolona ze swojego ciała, jeśli tylko nic jej nie bolało, i nudziły ją znajome bezustannie rozwodzące się nad swoimi gabarytami, jakby to była jedna z największych życiowych bolączek. Wszystkie rozprawiwały na ten temat: te, które niedawno zrzuciły trochę kilogramów i teraz zagorzale propagowały sprawdzoną dietę; te, które uskarżały się na wyimaginowaną nadwagę, choć były chude jak szczapy; te o zupełnie normalnych kształtach, ale uważające się za otyłe; i te, które próbowały ją wciągnąć w swój festiwal samooskarżeń.

– Och, Frances, nie przygnębia cię widok tych młodych, szczupłych dziewczyn?!

– Niespecjalnie – odpowiadała Frances, jeszcze grubiej smarując bułkę masłem.

Yao wpisał coś do formularza z kremowej teczki opatrzonej nazwiskiem „FRANCES WELTY”, zapisanym równymi, czarnymi, drukowanymi literami.

Sytuacja coraz bardziej kojarzyła jej się z wizytą u lekarza. Frances czuła się obnażona i bezbronna i zaczęła żałować decyzji o przyjeździe. Zapragnęła wrócić do domu. Miała ochotę na muffina.

– Teraz chciałabym jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju – oświadczyła. – To była długa podróż.

– Ależ oczywiście. Umówię cię zaraz na masaż w spa, by zaradzić bólowi pleców – powiedział Yao. – Wystarczy ci pół godziny, by się rozgościć, wypić powitalne smoothie i przeczytać broszurę informacyjną?

– W zupełności – odparła Frances.

Minęli jadalnię, gdzie przeurocza para dilerów, Jessica i Ben, stała w towarzystwie drugiej konsultantki wellness w białym uniformie, ciemnowłosej młodej kobiety z imieniem Dalila na plakietce. Dalila właśnie wygłaszała tę samą pogadankę o dzwonku, którą Frances usłyszała od Yao.

Maskowatą twarz Jessiki przepęłniało zatroskanie tak głębokie, że nieomal, choć nie całkiem, udało jej się zmarszczyć czoło.

– A co, jeśli ktoś nie usłyszy sygnału?

– To urwą ci głowę! – zakrzyknęła Frances.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Ben, który znowu nosił czapkę daszkiem do tyłu, uniósł brew.

– Żartowałam – dodała potulnie Frances.

Zauważyła, że dwójka pracowników ośrodka wymienia znaczące spojrzenia, których nie potrafiła odczytać. Przyszło jej do głowy, że może ze sobą sypiają. Pewnie w łóżku wyczyniali akrobacje, bo całe to wellness zapewniało ich ciałom gibkość i energię. Na pewno czadowo się ze sobą bawili.

Yao zaprowadził ją z powrotem na schody z *Titanica*. Kiedy szła na górę za swoim opiekunem, z trudem dotrzymując mu kroku, minęła mężczyznę i dwie kobiety schodzących razem na parter. Byli ubrani w oliwkowe szlafroki z godłem *Tranquillum House*.

Mężczyzna przystanął i włożył okulary, by lepiej przyjrzeć się boazerii na półpiętrze. Był tak wysoki, że szlafrok sięgał mu ledwie do połowy uda, odsłaniając kościste kolana i białe, mocno owłosione łydki. Widok takich męskich nóg sprawiał, że Frances czuła się zakłopotana, jakby patrzyła na intymne części ciała.

– Chodzi mi o to, że dziś nie widuje się już takiego kunsztu! – zachwycił się, przyglądając się deskom. – Właśnie dbałość o szczegóły podziwiam najbardziej w takich domach. Pamiętacie te kafelki, które wam wcześniej pokazywałem? To niewiarygodne, że ktoś nie szczędził czasu, by jeden po drugim... O, dzień dobry jeszcze raz, Yao! Kolejny gość? Jak się masz?

Zdjął okulary, uśmiechnął się promiennie do Frances i wyciągnął do niej rękę.

– Napoleon! – zawołał.

Dopiero po chwili przerażenia uświadomiła sobie, że nieznajomy się przedstawia, a nie wykrzykuje wybrane na chybił trafił imię postaci historycznej.

– Frances – odpowiedziała czym prędzej.

– Miło mi poznać! Jak mniemam, przyjechałaś na dziesięciodniowy turnus?

Stał o stopień wyżej od niej, więc zdecydowanie nad nią górował. Zadarła głowę, jakby oglądała jakiś ogromny pomnik.

– Zgadza się. – Frances z całych sił powstrzymywała się, by nie skomentować jego postury, bo od swojej przyjaciółki Jen, mierzącej ponad metr osiemdziesiąt, wiedziała, że wysokie osoby mają pełną świadomość swojego ponadprzeciętnego wzrostu. – Dokładnie tak.

Napoleon wskazał na dwie stojące nieco niżej kobiety.

– My też! To moje piękne dziewczyny: żona Heather i córka Zoe.

Obie były bardzo wysokie. Wyglądały jak koszykarki. Posłały jej wymuszone, kurtuazyjne uśmiechy, jak krewne celebryty, przywykłe do tego, że fani na każdym kroku go zatrzymują, choć akurat w tym przypadku to Napoleon zaczepił ją pierwszy. Żona, Heather, kołysała się na piętach. Była żylasta, opalona i miała bardzo pomarszczoną skórę, jakby ją zmięto, a potem rozprostowano. „Heather, cera jak papier”, pomyślała Frances. Przypominajka była złośliwa do bólu, ale przecież nie dotarłaby do uszu zainteresowanej. Heather miała przekrwione oczy i siwe włosy mocno ściągnięte w kucyk. Wyglądała na osobę reagującą bardzo emocjonalnie, nie było w tym zresztą nic złego. Frances знаła takich ludzi i potrafiła sobie z nimi radzić. (Nie należy ulegać ich nastrojom).

Córka, Zoe, po ojcu odziedziczyła wzrost i bezpretensjonalny urok sportswomenki, która lubi spędzać czas na świeżym powietrzu. Zoe sztywna jak kołek? Wcale nie sprawiała takiego wrażenia. Raczej Zoe słodki aniołek. Nie wyglądała na kogoś, kto wymagał opieki sanatoryjnej. Komu jak komu, ale jej odmładzanie nie było potrzebne.

„Zresztą”, pomyślała Frances, „Ben i Jessica też tryskają zdrowiem”. Czy do sanatoriów jeździli wyłącznie ludzie w doskonałej formie? Czy spośród wszystkich gości to ona była w najfatalniejszej kondycji? Nigdy nie należała do najgorszych uczniów, a trudności sprawił jej tylko ten jeden kurs medytacji transcendentalnej dla

początkujących.

– Postanowiliśmy przejść się do gorących źródeł, a może nawet zażyć kąpieli – powiedział Napoleon do Yao i Frances, jakby go o to zapytali. – Potem popływamy w basenie.

Najwyraźniej byli jedną z tych rodzin, które lubią aktywny wypoczynek i natychmiast po zameldowaniu się rzucają w kąpiel bagaże i wychodzą z pokoju.

– Ja utnę sobie drzemkę przed niezwykle pilnym masażem – poinformowała go Frances.

– Doskonały pomysł! – zawołał Napoleon. – Drzemka i masaż! Brzmi cudownie! Czy to nie wspaniałe miejsce? Podobno gorące źródła są fantastyczne. – Bił od niego nieposkromiony entuzjizm.

– Nie zapomnijcie o odpowiednim nawodnieniu organizmu po kąpieli – powiedział Yao. – Weźcie po butelce mineralnej z recepcji.

– Tak zrobimy, Yao! Wrócimy w sam raz na szlachetne milczenie!

– Szlachetne milczenie? – zdziwiła się Frances.

– Wszystko ci wyjaśnię, Frances – uspokoił ją Yao.

– Zajrzyj do broszury informacyjnej! – poradził jej Napoleon. – To mała niespodzianka. Nie spodziewałem się, że trzeba będzie pomilczeć, choć oczywiście słyszałem o terapii ciszą, ale muszę przyznać, ta perspektywa nie wydała mi się kusząca. Straszny ze mnie gaduła, zapytajcie moje dziewczyny, ale weźmiemy to na klatę, popłyniemy z prądem.

Kiedy tak paplał kojącym głosem zapalonego gawędziarza, Frances obserwowała jego żonę i córkę stojące niżej na schodach. Dziewczyna w czarnych japonkach oparła jedną piętę o stopień wyżej i nachyliła się lekko, jakby dyskretnie rozciągała łydkę. Obserwująca ją matka niemal niezauważalnie się uśmiechnęła i prawie natychmiast wykrzywiła twarz w wyrazie bezgranicznej rozpacz, jakby jakaś siła ciągnęła jej policzki w dół. Mina zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, a Heather uśmiechnęła się dobrotliwie do Frances, która poczuła się tak, jakby zobaczyła coś, czego nie powinna oglądać.

– To chyba nie ty przyjechałaś tym lamborghini, prawda, Frances? – zapytał

Napoleon. – Widziałem je z naszego pokoju. Piekielnie dobra maszyna.

– Nie, ja jeżdżę peugeotem – odparła Frances.

– To też niezłe auto! Słyszałem, że te hieny w serwisie liczą sobie jak za zboże.

Tak zabawnie łączył metafory. Frances chętnie by z nim jeszcze pogawędziła. Wyglądał na kogoś, kto na każde pytanie odpowiada szczerze i z werwą. Uwielbiała takich ludzi.

– Tato – wtrąciła się Zoe, słodka jak aniołek – daj pani spokój. Dopiero co przyjechała. Pewnie chce już pójść do swojego pokoju.

– Przepraszam najmocniej, do zobaczenia przy kolacji! Choć pewnie za wiele nie pogadamy, prawda? – Posłał Frances porozumiewawczy uśmiech, ale w jego oczach czaiła się panika. – Miło mi było poznać! – Poklepał Yao po ramieniu. – Do zobaczenia, kolego!

Frances poszła za Yao na górę. U szczytu schodów skręcił w prawo i poprowadził ją korytarzem z wykładziną na podłodze. Na ścianach wisały archiwalne zdjęcia, które Frances postanowiła później dokładnie obejrzeć.

– To skrzydło dobudowano w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku – powiedział Yao. – W każdym pokoju znajduje się oryginalny marmurowy kominek w stylu georgiańskim. Oczywiście w tym upale nikt nie rozpala ognia.

– Nie sądziłam, że przyjeżdżają tu całe rodziny – napomknęła Frances. – Muszę przyznać, że spodziewałam się zastać tu więcej osób... podobnych do mnie.

„Grubszych ode mnie, Yao. O wiele grubszych”.

– W Tranquillum House spotkać można przedstawicieli różnych warstw społecznych – odparł Yao, otwierając drzwi jej pokoju dużym, staroświeckim kluczem.

– Chyba jednak nie wszystkich – zaczęła Frances, bo, bez przesady, pobyt tutaj nie mało kosztował, zamilkła jednak, kiedy tylko Yao otworzył przed nią drzwi.

– Zapraszam do środka.

Przestronny pokój z pluszowym dywanem urządzone antykami. Znajdowało się w nim olbrzymie łóżko z baldachimem. Otwarte przeszklone drzwi prowadziły na balkon, z którego rozciągał się widok aż po horyzont: pagórkowate patchworki winnic, farmy i zielono-złote łąki. Po niebie krążyły stada ptaków. W kącie niczym stara

znajoma czekała na nią torba. Na stoliku stały kosz z owocami i szklanka zielonego, mętneho soku, ozdobiona truskawką. Wszystko, poza napojem, wyglądało niezwykle kusząco.

– Oto twoje powitalne smoothie – powiedział Yao. – Każdego dnia podamy ci sześć organicznych koktajli, przygotowanych specjalnie z uwzględnieniem twoich zmieniających się potrzeb.

– Nie zawiera aby zielonej pszenicy? Raz miałam z nią do czynienia i już nigdy jej nie tknę.

Yao podał jej szklankę.

– Zaufaj mi, smakuje całkiem nieźle!

Frances nieufnie spojrzała na miksturę.

– Picie smoothie jest obowiązkowe – poinformował ją uprzejmie Yao. Trochę ją zmylił, bo z jego tonu można by wywnioskować, że powiedział: „Picie smoothie nie jest obowiązkowe”.

Napiła się.

– Och! – westchnęła zaskoczona. Wyczuła nuty mango, kokosa i truskawek. Tak smakowały wakacje w tropikach. – Całkiem dobry. Nawet bardzo.

– Tak, Frances. – Yao powtarzał jej imię tak często jak nadgorliwy agent nieruchomości. – Dobra wiadomość jest taka, że nie tylko świetnie smakuje, ale zawiera też całe mnóstwo naturalnych, dobroczynnych składników! Proszę, wypij do dna.

– Oczywiście – odparła uprzejmie.

Zapadła krępująca cisza.

– Och – odezwała się Frances. – Teraz? – Napiła się smoothie. – Pycha!

Yao się uśmiechnął.

– Codzienna porcja smoothie to kluczowy element twojej podróży ku lepszemu samopoczuciu.

– Skoro tak, to postaram się trzymać wyznaczonego kursu.

– Bardzo słusznie – orzekł Yao.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie dostrzegła w nich ani śladu ironii. Aż się prosił o jakiś sarkastyczny przytyk.

– Teraz dam ci odpocząć – powiedział Yao. – Tu masz pakiet powitalny. Proszę, zapoznaj się z nim dokładnie, bo zawiera ważne instrukcje na nadchodzące dwadzieścia cztery godziny. Szlachetne milczenie, o którym wspomniał Napoleon, zacznie się lada chwila i jestem przekonany, że szybko poczujesz jego dobroczynny wpływ. A jeśli o milczeniu mowa, Frances, to z pewnością domyślasz się, o co cię teraz poproszę! – Spojrzał na nią wyczekująco.

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że nie o kolejną dawkę krwi.

– Pora oddać wszystkie urządzenia elektroniczne – oznajmił Yao. – Telefony komórkowe, tablety, wszystko.

– Nie ma problemu.

Frances wyciągnęła telefon z torebki, wyłączyła go i podała Yao. Ogarnęło ją nie do końca nieprzyjemne uczucie podległości, jak podczas lotu samolotem, kiedy zapala się sygnalizacja „zapiąć pasy”, a stewardesy sprawują całkowitą kontrolę nad życiem pasażerów.

– Świetnie. Dzięki. Oficjalnie „wylogowałaś się do życia”! – Yao uniósł jej telefon. – Przechowamy go w bezpiecznym miejscu. Niektórzy nasi goście twierdzą, że cyfrowy detoks to najprzyjemniejszy element pobytu w naszym ośrodku. Wyjeżdżając, sama powiesz: „Nie oddawajcie mi go! Nie chcę!”. – Podniósł ręce w obronnym geście.

Z niewyjaśnionego powodu Frances nie potrafiła sobie wyobrazić siebie za dziesięć dni, zupełnie jakby próbowała zobaczyć samą siebie nie za dziesięć dni, ale za dziesięć lat. Czy faktycznie czekała ją transformacja? Czy szczuplejsza, lżejsza, wolna od bólu będzie wyskakiwać z łóżka o świcie bez dawki kofeiny?

– Nie zapomnij o masażu w spa – dodał Yao. – Och, trzeba jeszcze opatrzyć to paskudne skaleczenie!

Podszedł do kredensu, z zestawu kosmetyków Tranquillum House wybrał jedną tubkę i powiedział:

– Przyjrzyjmy się twojemu kciukowi.

Frances pokazała mu palec, a Yao delikatnie i troskliwie posmarował ranę kojącym, chłodnym żelem.

– Twoja podróż ku lepszemu samopoczuciu właśnie się rozpoczęła, Frances –

oznajmił, wciąż trzymając jej rękę, a Frances zamiast szyderczo się uśmiechnąć, poczuła, że zbiera jej się na płacz.

– Tak naprawdę, Yao, ostatnio czuję się fatalnie – pożałowała się.

– Wiem. – Położył dłonie na jej ramionach, a jego gest nie wydał jej się komiczny ani podszyty erotyzmem. Raczej miał w sobie coś uzdrowicielskiego. – Postawimy cię na nogi, Frances. Dzięki nam osiągniesz formę, w jakiej jeszcze nigdy nie byłaś. – Wyszedł, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Frances powoli się obróciła, czekając na nieuchronne nadejście ponurego osamotnienia, jakie zazwyczaj dopada podróżnych, tymczasem nieoczekiwanie poczuła się podniesiona na duchu. Nie była sama. Mogła liczyć na Yao. Zmierzała prosto ku lepszemu samopoczuciu.

Wyszła na balkon i westchnęła, zachwycona widokiem. Mężczyzna na sąsiednim balkonie wychylił się tak bardzo, że mógł w każdej chwili spaść.

– Ostrożnie! – ostrzegła go, starając się nie podnosić głosu, by nie spłoszyć nieznanego.

On spojrzał na nią, pomachał jej i się uśmiechnął. To był Ben. Rozpoznała go po czapeczce. Również pozdrowiła go gestem.

Gdyby mówili dostatecznie głośno, mogliby się usłyszeć, ale lepiej było udawać, że są od siebie za daleko, by rozmawiać, bo w przeciwnym razie czuliby się zobowiązani do pogawędki, kiedy tylko znaleźliby się jednocześnie na swoich balkonach, a i tak czekało ich sporo wymuszonych konwersacji podczas posiłków.

Frances, spojrzawszy w drugą stronę, zobaczyła rząd identycznych balkonów ciągnących się do samego końca budynku. Z każdego pokoju rozciągał się taki sam widok. Pozostałe balkony były puste, jednak w pewnym momencie Frances zauważyła, jak z ostatniego pokoju po przeciwległej stronie domu wychodzi jakaś kobieta. Z tej odległości nie było widać wyraźnie jej twarzy, ale Frances, w trosce o przyjacielskie relacje, pomachała jej. Nieznajoma natychmiast się odwróciła i wróciła do pokoju.

Och, no cóż, może jej nie zauważyła. A może cierpiała na silną fobię społeczną. Frances potrafiła obchodzić się z osobami chorobliwie nieśmiałymi. Należało zbliżać się do nich bardzo powoli, jak do płochliwych leśnych stworzeń.

Frances odwróciła się, ale Ben też już zniknął w swoim pokoju. Zastanawiała się,

czy jego kłótnia z Jessicą wciąż trwa. Ich pokoje bezpośrednio ze sobą sąsiadowały, gdyby więc rozgorzała awantura, Frances z pewnością coś by usłyszała. Pewnego razu, podczas tournée promującego jej książkę, nocowała w hotelu o tak cienkich ścianach, że miała przyjemność wysłuchania, jak jakaś para zażarcie i nie przebierając w słowach, roztrząsa swoje problemy erotyczne. Frances doskonale się bawiła.

– Nie rozumiem tego obsesyjnego zainteresowania obcymi – powiedział kiedyś Sol, jej pierwszy mąż, a ona dwoiła się i troiła, by wytłumaczyć mu, że nieznanymi z definicji budzą zainteresowanie. Właśnie dlatego są ciekawi. Bo się ich nie zna. Kiedy się kogoś dobrze pozna, to zazwyczaj pozostaje już tylko wziąć rozwód.

Wróciła do pokoju, by się rozpakować. Z chęcią wypiłaby herbatę i zjadła kilka kostek czekolady, zapoznając się z pakietem informacyjnym. Spodziewała się, że dowie się o istnieniu zasad, które będą jej nie w smak. Zaczynające się lada moment „szlachetne milczenie” sprawiało, że miała jak najgorsze przeczucia, i tylko coś słodkiego mogło rozproszyć jej lęk. Poza tym nie wzięła sobie do serca rady, by bezpośrednio przed przyjazdem ograniczyć spożycie cukru i kofeiny, aby uniknąć silnego syndromu odstawienia. Nie miała najmniejszej ochoty walczyć z bólem głowy.

Podeszła do torby, w której na dnie, pod bielizną, ukryła kontrabandę zawiniętą w koszulę nocną. Zaśmiała się, przypominając sobie, jak pieczołowicie ukrywała nielegalne produkty, jakby obawiała się, że ktoś przeszuka jej torbę. Przecież nie wybierała się do kliniki odwykowej ani szkoły z internatem.

– To chyba jakieś żarty – powiedziała na głos.

Kontrabanda zniknęła.

Z narastającą wściekłością wysypała zawartość torby na łóżko. Nie zrobiliby tego, prawda? Skandaliczne postępowanie. Do tego z pewnością niezgodne z prawem.

I z zasadami dobrego wychowania!

Odwróciła torbę do góry dnem i nią potrząsnęła. Wypadła z niej koszula nocna, pieczołowicie złożona przez niewidzialne ręce, ale po kawie, herbacie, czekoladzie i winie nie został nawet ślad. Kto myszkował w jej bagażu? Na pewno nie Yao, który towarzyszył jej stale od przyjazdu. Ktoś inny splądrował jej torbę i skonfiskował zakazane towary.

Co mogła zrobić? Nie mogła zadzwonić na recepcję ze skargą: „Ktoś zabrał mi

czekoladę i wino!”. Frances brakowało tupetu, by zrobić coś takiego. Na stronie internetowej widniał wyraźny zakaz przywożenia słodczy, kawy i alkoholu. Złamała zasady i została ukarana.

Jeśli nic nie powie, oni również będą mogli zachować milczenie, a ostatniego dnia podczas wymeldowania pewnie zwrócą jej zarekwirowaną własność z porozumiewawczym uśmiechem, jakby oddawali więźniarce jej przedmioty osobiste.

Co za żenująca wpadka.

Usiadła na krawędzi łóżka i żałośnie spojrzała na misę z dojrzałymi owocami. Zaśmiała się cicho i sięgając po mandarynkę, już przeobrażała w głowie tę sytuację w anegdotkę dla swoich przyjaciółek. Wbijając kciuk w soczysty miąższ, coś usłyszała. Głos? Nie dochodził z pokoju Bena i Jessiki, tylko z przeciwnej strony. Rozległo się głucho stuknięcie, a po nim brzęk tłuczonego naczynia.

Męski głos zaklął głośno i siarczyście:

– O kurwa!

„Lepiej bym tego nie wyraziła”, pomyślała Frances, czując, jak zdradziecki ból głowy zaczyna chyłkiem napierać na jej czoło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jessica

Jessica usiadła na łożu z baldachimem, by sprawdzić miękkość materaca, podczas gdy Ben stał na balkonie, dłonią osłaniając oczy. Nie wyszedł na zewnątrz, by podziwiać widok.

– Na pewno go nie ukradli – zażartowała.

Siliła się na radosny, beztroski ton, ale ostatnio niezbyt dobrze jej to wychodziło. Do jej głosu zakradały się metaliczne nuty.

– No dobrze, ale gdzie go zaparkowali? – niepokoił się Ben. – Nie rozumiem tego. Chciałbym się tylko dowiedzieć, gdzie go zostawili. W podziemnym bunkrze? Zauważyłaś, że kiedy zapytałem ją, czy parking ma zadaszenie, to nie odpowiedziała?

– Mmm – mruknęła Jessica na odczepnego.

Nie miała siły na kolejną kłótnię o samochód albo o coś innego. Jej brzuch wciąż jeszcze pamiętał poprzednią pyskówkę. Kłótnie przyprawiły ją o skurcz żołądka, który ostatnimi czasy właściwie nie ustępował. Sprzeczki pojawiały się jak wynurzające się morza rafy, z którymi gwałtownie się zderzali. Nie sposób było je ominąć. Łup, łup, łup.

Położyła się na łóżku i spojrzała na kulistą lampę. Czy te niteczki to pajęczyna? Co za przygnębiająca rudera. Wprawdzie z pełną świadomością wybrała „zabytkowy” ośrodek, ale liczyła, że go odnowiono. Tymczasem na miejscu zastała popękane ściany i woń stęchlizny.

Obróciła się na bok i popatrzyła na Bena. Niebezpiecznie wychylił się za balustradę, próbując wyjrzeć za róg budynku. Troszczył się o swoje auto bardziej niż o nią. Kiedyś, patrząc, jak on przesuwając dłonią po masce, poczuła ukłucie zazdrości o jego samochód,

o czuły i zmysłowy dotyk, jakim niegdyś to ją obdarzał. Zamierzała o tym opowiedzieć ich terapeutce. Na wszelki wypadek to sobie zanotowała. Wzmianka o tej sytuacji, jakże istotnej i wiele mówiącej, mogła mieć doniosłe, daleko idące konsekwencje. Gdyby ich terapeutka pisała książkę o problemach małżeńskich, z pewnością przywołałaby to wydarzenie: „Jeden z moich pacjentów traktował swój samochód bardziej czule niż własną żonę”. (Nie byłoby nawet potrzeby wspominać marki auta. Każdy facet, wiedząc, że chodzi o lamborghini, pewnie skwitowałby sprawę krótkim: „No cóż, to rozumiałe”).

Jessica chciała jak najszybciej zacząć „intensywną terapię dla par”, stanowiącą część turnusu, ale tylko się wkurzyła, kiedy „Dalila”, ich „konsultantka wellness”, na pytanie o pierwszą sesję odpowiedziała w wymijający sposób. Jessica obawiała się, że terapeutka (przecież na pewno przydzielono by im kobietę) zacznie ich pytać o życie seksualne i z trudem przyjdzie jej ukryć zdumienie na wieść, że idą do łóżka mniej więcej raz w tygodniu, co stanowiło niezbity dowód poważnego kryzysu małżeńskiego.

Jessica nie wiedziała nawet, czy potrafi rozmawiać o seksie w obecności terapeutki. Ta mogłaby przecież automatycznie dojść do wniosku, że jej pacjentka nie posiada odpowiednich umiejętności albo że coś z nią nie tak z powodu jakiegoś wstydliwego, anatomicznego feleru. Zresztą Jessica sama zaczęła się o to podejrzewać.

Oczywiście nie zawahałaby się przed kolejnymi operacjami (nawet w miejscach intymnych), mogłaby też wziąć udział w jakimś kursie. Przeczytać książkę. Nabyć wprawy. Zawsze była gotowa do pracy nad sobą i chętnie słuchała ekspertów. Często sięgała po poradniki, również te internetowe. Jej mąż nigdy w życiu by się nimi nie zainteresował.

Ben wrócił do pokoju, wsunął dłoń pod podkoszulek i podrapał się po brzuchu. Choć nie zawracał sobie głowy ćwiczeniami, wciąż zachowywał świetną sylwetkę.

– Ta pisarka, którą poznaliśmy, Frances, mieszka po sąsiedzku – powiedział. Wziął jabłko z misy i podrzucał je w dłoni niczym piłeczkę baseballową. – Jak myślisz, po co tu przyjechała?

– Pewnie żeby zrzucić parę kilo – odparła Jessica.

Wydało jej się to oczywiste. Frances, jak większość kobiet w średnim wieku, nabrała już miękkich krągłości. Jessica nie zamierzała doprowadzić się do takiego stanu.

Wolałaby umrzeć.

– Tak sądzisz? – zapytał Ben. – W jej wieku to chyba bez znaczenia. – Nie czekał na odpowiedź. – Jakie są jej książki?

– Kiedyś je uwielbiałam – odparła Jessica. – Przeczytałam wszystkie. Jedna nosiła tytuł *Pocałunek Nathaniela*. Wpadła mi w ręce w liceum i była bardzo... romantyczna. Tak mi się wydaje.

Słowo „romantyczna” zupełnie nie oddawało emocji, jakie wywołał w Jessice *Pocałunek Nathaniela*. Wciąż pamiętała, jak wstrząsał nią płacz i jak potem w kółko czytała ostatni rozdział, by zaznać rozkoszy wzruszeń. W pewnym sensie Nathaniel był pierwszym mężczyzną, jakiego pokochała.

Tego akurat nie mogła powiedzieć Benowi. On w ogóle nie czytał. Nie rozumiałby jej.

Może właśnie na tym polegał jeden z ich problemów małżeńskich, że Jessica nawet nie próbowała rozmawiać z mężem o istotnych dla niej sprawach i uczuciach? A może to nie miało znaczenia? Nie musiała wysłuchiwać jego opowieści o samochodach, które tak uwielbiał. Od tego miał swoich kumpli. A ona mogła wspominać *Pocałunek Nathaniela* w gronie przyjaciółek.

Ben ugryzł jabłko. Nowe koronki nie pozwoliłyby Jessice zrobić tego samego. Dentysta zalecił jej zakładanie na noc ochraniacza na zęby. Jakie to irytujące, że im więcej inwestuje się w siebie, tym bardziej traci się luz. To samo dotyczyło ich nowego dywanu w holu. Nie mieli sumienia stąpać po czymś tak niewiarygodnie drogim. Przemykali wzdłuż krawędzi i o dreszcze przyprawiał ich widok gości paradujących przez sam środek w brudnych adidasach.

– Całkiem niezłe to smoothie – wymamrotał Ben z pełnymi ustami. – Ale umieram z głodu. Nie wiem, czy mój organizm wytrzyma dziesięć dni bez pizzy. Nie rozumiem, dlaczego musimy przechodzić na dietę! Co to ma wspólnego z terapią dla par?

– Już ci to tłumaczyłam – odparła Jessica. – To się nazywa podejście holistyczne. Musimy popracować nad wszystkim: naszymi umysłami, ciałami i duchem.

– A dla mnie to jedna wielka...

Urwał, podszedł do rzędu włączników na ścianie i zaczął się bawić tym, który uruchamiał wentylator sufitowy.

Włączył go na pełny regulator, wywołując mały cyklon.

Jessica zakryła twarz poduszką, próbując jak najdłużej powstrzymać się przed powiedzeniem: „Wyłącz to”. Dawniej bez wahania zakrzyknęłaby: „O Boże, wyłącz to, ty idioto!”, a on by się zaśmiał i ją zlekceważył, więc ona podeszłaby do wyłącznika, ale on by ją powstrzymał i zaczęliby się na niby siłować.

Czy kiedyś częściej się śmiali?

Dawniej ona pracowała w administracji, on był blacharzem w warsztacie Pete’a i jeździł commodorem V8, na którego nikt by nie spojrział dwa razy, ona nosiła miseczki B i na jej piersi też nikt by nie spojrział dwa razy, obojgu wydawało się, że szastają forszą, wychodząc do kina i lokalnej tajskiej knajpki, comiesięczny wyciąg z karty kredytowej przysparzał im niemało stresów, a Jessicę doprowadził kiedyś do łez.

Nie chciało jej się wierzyć, że dawniej żyło im się lepiej. Gdyby to była prawda, Jessica musiałaby przyznać rację swojej matce, a tego by nie zniosła.

Ben przełączył wentylator na wolne obroty i cyklon zamienił się w bryzę. Jessica odsłoniła twarz, zamknęła oczy i poczuła, że jej serce zaczyna galopować, ogarnięte lękiem przed czymś nienazwanym i nieznanym.

Podobny, paralizujący strach wywołało u niej włamanie. Dwa lata wcześniej po powrocie z pracy zastała ich mieszkanie na parterze splądrowane, rzeczy walały się na podłodze, agresywnie i złośliwie rozrzucone, wszystkie szuflady były otwarte, na jej białym podkoszulku widniał czarny odcisk buta, a odłamki szkła mieniły się w świetle.

Zaraz po niej do domu wrócił Ben.

– Co tu się, do cholery, stało?

Nie wiedziała, czy Ben w pierwszej chwili pomyślał o swojej siostrze, ale właśnie ją Jessica podejrzewała o to włamanie.

Lucy borykała się z „problemami psychicznymi”. Tym eufemizmem posługiwała się ich urocza, anielsko cierpliwa matka. Tymczasem tak naprawdę siostra Bena była narkomanką.

Jej życie było jednym wielkim lunaparkiem, do którego raz po raz zaciągała wszystkich otaczających ją ludzi. Lucy zaginęła. Nie dawała znaku życia. Wróciła do domu w środku nocy i go zdemolowała. Mama Bena musiała wezwać policję.

Zamierzali interweniować! Ale tym razem nie powtórzą poprzednich błędów, teraz im się uda. Lucy wychodziła na prostą! Przymierzała się nawet do odwyku. Poszła na odwyk! Wróciła z odwyku. Znowu miała wypadek samochodowy. Znowu zaszła w ciążę. Była jebnięta i bez końca urządzała im cyrk, a ponieważ Jessica nie znała dawnej Lucy, zabawnej, bystrej i uroczej, teraz nie potrafiła czuć wobec niej niczego poza nienawiścią.

To z powodu siostry Bena wszystkie ich spotkania rodzinne były podszyte wyczuwalnym napięciem. Czy Lucy znowu zjawi się, domagając się pieniędzy, wykrzykując obelgi albo roniąc krokodyle łzy, bo „ona tylko chce być dobrą mamą” dla dwójki dzieci, których wychowanie było ponad jej siły?

Wszyscy wiedzieli, że Lucy kradnie. Podczas grilla w domu Bena należało dobrze schować pieniądze. Nic więc dziwnego, że tamtego dnia natychmiast po wejściu do mieszkania Jessica pomyślała o Lucy.

Bezskutecznie próbowała powstrzymać się przed wypowiedzeniem na głos tego jednego słowa. Żałowała, że to zrobiła. W jej ustach zabrzmiało tak, jakby bez cienia wątpliwości stwierdzała fakt. Mogła przynajmniej postarać się o inną intonację. „Lucy?”

Przed oczami wciąż stał jej Ben kręcący głową. Jego napięta twarz była pełna wstydu.

Pomyślała wtedy: „Skąd wiesz, że to nie ona?”.

Jak się okazało, miał rację. Lucy nie miała nic wspólnego z tym incydentem. W tym czasie przebywała na drugim końcu kraju.

To było najzwyczajniejsze w świecie włamanie, jakie przydarza się wielu ludziom. Dużo nie stracili, bo mało posiadali: starego iPada z pękniętym ekranem i naszyjnik podarowany przez Bena Jessice na jej dwudzieste pierwsze urodziny. Miał malutki wisiołek z brylantem i Ben wydał na niego dwie pensje. Uwielbiała ten klejnocik i wciąż nie mogła pogodzić się z jego utratą, choć był to ledwie ćwierćkaratowy okruszek brylantu na badzielnym łańcuszku. Złodzieje pogardzili resztą biżuterii Jessiki, co ona uznała za poniżające. Oboje z odrazą myśleli o tym, że ktoś myszkował w ich domu, wybrzydząc jak klient niezadowolony z oferty podrzędnego sklepiku.

Ubezpieczenie wypłacono im bez większych problemów, choć musieli zwrócić

pięćset dolarów, co uważali za skandal, bo przecież nie prosili się, by ich okradziono.

Jednak to zwyczajne włamanie na zawsze zmieniło ich życie.

– Co się tak na mnie gapisz? – zapytał Ben.

Stał przed łóżkiem, patrząc na Jessicę. Jej wzrok znowu się wyostrzył.

– Niby jak?

– Jakbyś zamierzała odciąć mi jaja nożem do sera.

– Co? Nawet na ciebie nie patrzyłam. Zamyśliłam się.

Z uniesioną brwią przeżuwał resztki jabłka. Tak samo, nonszalancko i przelotnie, spojrzął na nią, kiedy po raz pierwszy nawiązali kontakt wzrokowy na lekcji matematyki pana Munro. W życiu nie widziała czegoś równie seksownego i może gdyby Ben uniósł obie brwi, nie zakochałaby się w nim.

– Niby skąd mam wziąć nóż do sera? – odparowała Jessica.

On z uśmiechem wrzucił ogryzek do kosza z drugiego końca pokoju i wziął pakiet informacyjny.

– Lepiej to przeczytajmy, co?

Rozdarł kopertę, z której wysypały się ulotki. Jessica powstrzymała się przed pozbieraniem ich i poukładaniem. To ona zajmowała się papierkową robotą. Ben nie potrafił sam wypełnić zeznania podatkowego.

Otworzył coś, co wyglądało jak list powitalny.

– Aha, to „mapa”, która poprowadzi nas podczas „podróży ku dobremu samopoczuciu”.

– Ben – powiedziała Jessica – nie uda nam się, jeśli nie zaczniemy...

– Wiem, wiem, traktuję to serio. Przejechałem po tych wertepach. To chyba najlepiej dowodzi mojego zaangażowania.

– Och, zlituj się i nie zaczynaj znowu gadać o swoim samochodzie. – Zbierało jej się na płacz.

– Chciałem tylko... – Wykrzywił usta. – Nieważne.

Omiótł list wzrokiem, fragmenty odczytując na głos.

– „Witamy. Właśnie zaczęła się twoja podróż ku dobremu samopoczuciu” i tak dalej, i tak dalej. „Pierwsze pięć dni turnusu to okres milczenia, dlatego rozmawiać

wolno wam będzie wyłącznie podczas sesji terapeutycznych. Zabroniony jest wszelki kontakt fizyczny, czytanie, pisanie, a także kontakt wzrokowy z pozostałymi gośćmi i współtowarzyszami”. Co to ma znaczyć?

– O tym nie wspominają na stronie internetowej – powiedziała Jessica.

Ben wrócił do listu.

– „Być może znasz pojęcie «małpi umysł»”. – Spojrzał na Jessicę. Wzruszyła tylko ramionami, więc czytał dalej. – „W ten sposób określa się gonitwę myśli, równie nieposłusznych co małpy skaczące z gałęzi na gałąź”. – Ben tytułem ilustracji wydał małpi okrzyk i podrapał się pod pachą.

– Brawo. – Jessica czuła uśmiezek błakający się na jej ustach. Czasem było im ze sobą dobrze.

Ben czytał dalej:

– „Potrzeba co najmniej dwudziestu czterech godzin, by go uspokoić. Okres głębokiej ciszy i refleksji ukoji umysł, ciało i duszę. Naszym celem będzie osiągnięcie błogiego stanu, zwanego przez buddystów «szlachetnym milczeniem»”.

– Więc przez następne pięć dni nie będziemy na siebie patrzeć ani ze sobą rozmawiać? – zapytała Jessica. – Nawet jak zostaniemy sami w pokoju?

– Akurat w tej materii mamy spore doświadczenie – odparł Ben.

– Bardzo zabawne – obruszyła się Jessica. – Daj mi to.

Wzięła list i zaczęła czytać.

– „W okresie ciszy prosimy, byście poruszając się po ośrodku, powoli, z rozmysłem i uwagą stawiali każdy krok, najpierw pięta, potem palce, unikając kontaktu wzrokowego i rozmów. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali od personelu, przyjdźcie na recepcję i postępujcie zgodnie z instrukcjami na zalaminowanej niebieskiej kartce. Każdego dnia weźmiecie udział w sesjach medytacji, zarówno siedząc na macie, jak i spacerując. Prosimy, byście nasłuchiwali dzwonka”. – Odłożyła list. – Czeka nas niezła jazda. Będziemy jeść w towarzystwie obcych ludzi, w zupełnej ciszy.

– Lepsze to niż nudne grzecznościowe rozmówki – zauważył Ben. Spojrzał na Jessicę. – Zamierzasz przestrzegać tych zasad? Możemy rozmawiać w pokoju, przecież nikt się nie dowie.

Jessica zastanawiała się przez chwilę.

– Moim zdaniem powinniśmy grać zgodnie z regułami – oznajmiła. – Nie sądzisz? Nawet jeśli ten ich regulamin wydaje się idiotyczny, trzymajmy się go i róbmy, co każą.

– Jak sobie życzysz – odrzekł Ben. – Byle nie kazali mi skoczyć z wysokiej skały. – Podrapał się po karku. – Nie mam pojęcia, czym będziemy się tu zajmować.

– Mówiłam ci – odparła Jessica. – Medytacja. Joga. Wspólne ćwiczenia.

– No tak – powiedział Ben. – A oprócz tego? Jeśli nie wolno nam rozmawiać ani oglądać telewizji, to czym się zajmiemy?

– Trudno będzie przeżyć bez dostępu do mediów – stwierdziła Jessica.

Wydawało jej się, że portali społecznościowych będzie jej brakowało bardziej niż kawy.

Jeszcze raz zerknęła na list. „Milczenie rozpoczyna się po trzecim dzwonku”. Spojrzała na zegar.

– Zostało nam pół godziny na rozmowę.

„Albo kontakt fizyczny”, pomyślała.

Spojrzeni po sobie.

Żadne się nie odezwało.

– Jak widać, milczenie nie sprawia nam żadnych trudności – skwitował Ben.

Jessica się zaśmiała, ale on nawet się nie uśmiechnął.

Dlaczego nie uprawiali teraz seksu? Dawniej od razu wskoczyliby do łóżka i to bez zbędnego gadania.

Powinna coś powiedzieć. Albo zrobić. Przecież on był jej mężem. Chyba wolno jej było go dotknąć.

Jednak w zeszłym roku do jej głowy zakradła się obawa, której nie potrafiła od siebie odpędzić. Niepokoiło ją jego spojrzenie, a raczej to, że odwraca od niej wzrok, zaciskając szczękę.

W jej głowie tłukła się jedna straszna myśl: „On mnie już nie kocha”.

Na ironię zakrawało to, że mógłby przestać ją kochać właśnie teraz, kiedy wyglądała tak dobrze jak nigdy dotąd. W ciągu zeszłego roku, nie szczędząc czasu ani pieniędzy, znosząc ból, doskonaliła swoje ciało. Poprawiła wszystko, co trzeba: zęby,

włosy, skórę, usta, piersi. Znajomi jednogłośnie stwierdzili, że wygląda oszałamiająco. Jej konto na Instagramie pełne było komentarzy w stylu: „Wyglądasz SEXY, Jessica!” i „Za każdym razem, gdy cię widzę, prezentujesz się lepiej”. Jediną osobą, która nie miała nic dobrego do powiedzenia na jej temat, był jej własny mąż, a jeśli nie podobała mu się teraz, kiedy osiągnęła doskonały wygląd, to pewnie nigdy nie wydawała mu się atrakcyjna. Przez cały czas udawał. Dlaczego w ogóle się z nią ożenił?

„Dotknij mnie”, pomyślała, słysząc w głowie własny, żaloszny jęk. „Błagam, dotknij mnie”.

Ale on tylko wstał i podszedł do misy z owocami.

– Mandarynki wyglądają bardzo apetycznie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Frances

– Kiedy pojawił się ból?

Frances leżała naga na stole do masażu, z plecami przykrytymi miękkim, białym ręcznikiem. Kiedy przed chwilą przyszała do spa, masażystka na powitanie zakomenderowała:

– Ściągamy ubranie i kładziemy się pod ręcznikiem.

Była tęga, miała obcięte na jeża siwe włosy i aparycję strażniczki więziennej albo trenerki hokeja. Frances spodziewała się raczej łagodnej osoby o delikatnych dłoniach. Nie dosłyszała jej imienia, ale była tak skupiona na wykonywaniu poleceń, że nie poprosiła masażystki, by jeszcze raz się przedstawiła.

– Około trzech tygodni temu – odparła Frances.

Poczuła na plecach dotyk ciepłych dłoni, które zdawały się duże jak rakiетки pingpongowe. Czy to było tylko złudzenie? Frances uniosła głowę, by na nie zerknąć, ale masażystka uniemożliwiła jej dokończenie ruchu, mocniej dociskając jej łopatki.

– Czy miał jakąś konkretną przyczynę?

– Nie odniosłam żadnej kontuzji – wyjaśniła Frances. – Ale przeżyłam wstrząs emocjonalny. Byłam w związku, który...

– Nie doszło zatem do żadnego urazu? – przerwała jej fizjoterapeutka.

Najwyraźniej nie dotarł do niej okólnik, w którym zalecano, by w Tranquillum House mówić spokojnym, hipnotyzującym tonem. Jakby na przekór zasadom starała się załatwić sprawę tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Nie – odparła Frances. – Wydaje mi się jednak, że ten wstrząs emocjonalny mógł odbić się na moim zdrowiu. Mężczyzna, z którym się spotykałam, zaginął i, pamiętam

to tak dokładnie, kiedy zawiadaniałam o tym policję, poczułam taki ból, jakby ktoś mnie uderzył...

– Najlepiej nic nie mów – uciszyła ją masażystka.

– Och, naprawdę? – zdziwiła się Frances.

„Chciałam się z tobą podzielić bardzo ciekawą historią, ty babsztylu”. Frances opowiadała o tym wydarzeniu już kilku osobom i wydawało jej się, że całkiem nieźle jej idzie. Za każdym razem ulepszała tę historijkę.

Poza tym lada moment miała zamilknąć na pięć dni i nie była pewna, jak to zniesie. Już podczas samotnej jazdy samochodem stanęła nad otchłanią rozpaczy. Milczenie mogło znowu ją tam przywieść.

Masażystka wcisnęła wielkie kciuki w mięśnie po obu stronach jej kręgosłupa.

– Aua!

– Skup się na oddechu.

Frances zaczerpnęła powietrza przesiąkniętego cytrusowymi olejkami eterycznymi i pomyślała o swojej relacji z Paulem. Jak się zaczęła. Jak skończyła.

Paula Drabble’a, inżyniera budownictwa lądowego, poznała przez internet. Był Amerykaninem, znajomym znajomych. Ich przyjaźń przerodziła się w poważniejszy związek. Przez pół roku słał jej kwiaty, kosze pełne upominków i ręcznie pisane listy. Godzinami gadali przez telefon. Podczas rozmowy na FaceTimie wyznał, że przeczytał trzy jej książki i bardzo mu się podobały. Wnikliwie analizował postępowanie bohaterów i nawet zacytował swoje ulubione fragmenty, te, z których Frances była w głębi duszy dumna. (Czasem słysząc, jak czytelnicy przywołują swoje ulubione cytaty z jej książek, myślała: „Serio? Moim zdaniem stać mnie na więcej”). Strasznie się wtedy irytowała).

Przysłał jej zdjęcia swojego syna, Ariego. Frances, która nigdy nie chciała mieć dzieci, pokochała go od pierwszej chwili. Był wysoki jak na swój wiek. Uwielbiał koszykówkę i zamierzał zostać zawodowym sportowcem. Miała się stać jego macochą. W ramach przygotowań do tej roli przeczytała poradnik *Wychowywanie chłopców* i odbyła z Arim kilka krótkich, lecz bardzo przyjaznych rozmów telefonicznych. Nie mówił wiele, co było w pełni zrozumiałe, w końcu miał zaledwie dwanaście lat, ale niekiedy podczas pogawędek na Skypie udawało jej się go rozśmieszyć, a jego

sarkastyczny chichot zupełnie ją rozbrajał. Matka Ariego, żona Paula, zmarła na raka, kiedy chłopiec chodził do zerówki. To było takie smutne i przytłaczające.

– I wygodne – skomentowała jedna z jej przyjaciółek, a Frances trzepnęła ją w dłoń.

Planowała przeprowadzkę z Sydney do Santa Barbara. Kupiła bilet lotniczy. Małżeństwo zagwarantowałyby jej zieloną kartę, ale nie zamierzała niczego przyspieszać. Gdyby się pobierali, założyłaby biżuterię z ametystami, odpowiednią na trzeci ślub. Paul przysłał jej zdjęcia pokoju, który zaadaptował na jej gabinet. Puste regały czekały na jej książki.

Podczas tej strasznej rozmowy telefonicznej w środku nocy Paul był tak roztrzęsiony, że z trudem wydobywał z siebie słowa i z płaczem powiedział jej, że Ari miał koszmarny wypadek samochodowy i powinien natychmiast trafić na stół operacyjny, ale ubezpieczyciel stwarzał problemy. Frances bez wahania wysłała mu pieniądze. Pokażną sumę.

– Przepraszam, ile? – zdumiał się młody detektyw, który drobiazgowo spisywał zeznania Frances, a teraz na moment stracił chłodny profesjonalizm.

Paul popełnił tylko jeden błąd: mógł lepiej rozegrać karty. Wysłałaby mu dwa, trzy, a nawet cztery razy tyle, byle tylko uratować Ariego.

Nastała przerażająca cisza. Frances odchodziła od zmysłów. Była pewna, że umarł Ari, a potem Paul. Jej SMS-y, wiadomości głosowe i e-maile pozostawały bez odpowiedzi. Jej przyjaciółka Di jako pierwsza ostrożnie zasugerowała:

– Nie zrozum mnie źle, ale czy wzięłaś pod uwagę, że on mógł...?

Nie musiała kończyć. To samo przeświadczenie czaiło się gdzieś w podświadomości Frances, nawet kiedy kupowała bezzwrotny bilet lotniczy.

Dotknęło ją to do żywego, choć przecież facet nie chciał zrobić jej na złość. Po prostu tak zarabiał na życie.

– Oszuści są coraz sprytniejsi – powiedział jej detektyw. – Działają profesjonalnie, w rękawiczkach, i biorą na cel kobiety w pani wieku i sytuacji życiowej.

Jego słowa ostatecznie ją dobiły. Zobaczył w niej podstarzałą desperatkę. Chciała zaprotestować: „Wypraszam sobie, wiek i okoliczności nie mają tu nic do rzeczy! Jestem jedyna w swoim rodzaju! W ogóle mnie pan nie zna!”. Chciała mu wykrzyknąć,

że kontakty z mężczyznami nie sprawiały jej żadnych trudności, przez całe życie musiała się opętać od zalotników, niektórzy się w niej zakochiwali, inni chcieli tylko iść z nią do łóżka, ale wszyscy byli facetami z krwi i kości, którzy pragnęli jej taką, jaka była naprawdę, a nie oszustami zainteresowanymi jej forszą. Chętnie dodałaby też, że wielokrotnie i z wielu źródeł słyszała pochwały pod adresem swoich umiejętności łóżkowych, a jej drugi serwis na korcie tenisowym wprowadził przeciwników w osłupienie i choć nigdy nie gotowała, potrafiła upiec pyszną tartę cytrynową z bezą. Pragnęła mu udowodnić, że jest żywą osobą.

Ze wstydu chciała się zapaść pod ziemię. Tak bardzo odsłoniła się przed tym naciągaczem. Pewnie śmiał się pod nosem, pisząc do niej czułe, zabawne wiadomości, bez choćby jednego błędu ortograficznego. Był tylko mirażem, narcystycznym odbiciem jej samej, mówiącym dokładnie to, co chciała usłyszeć. Dopiero po kilku tygodniach uświadomiła sobie, że nawet nazwisko „Paul Drabble” zostało wybrane tak, by skutecznie zainicjować podbój, bo kojarzyło jej się z Margaret Drabble, jej ulubioną pisarką, o której wszem wobec wspomniała kiedyś w mediach społecznościowych.

Jak się okazało, wiele kobiet przymierzało się do roli macochy Ariego.

– W tej samej sytuacji znalazło się jeszcze kilka pań – poinformował ją detektyw.

Pań. O Boże. Pań. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że stała się panią. Słyszając to bezpłciowe, nobliwe określenie, Frances cała ścierpła.

Każdy przekręt różnił się w szczegółach od pozostałych, ale chłopiec za każdym razem miał na imię Ari i przytrafiał mu się wypadek samochodowy, a dotycząca go dramatyczna rozmowa telefoniczna odbywała się niezmiennie w środku nocy. „Paul Drabble” nosił rozmaite nazwiska i pieczołowicie zarządzał swoją obecnością w sieci, dzięki czemu kiedy panie szukały w internecie informacji na temat swojego wybranka – a każda to robiła – dowiadywały się o nim dokładnie tego, czego chciały. Oczywiście wcale nie był znajomym znajomych. Nie poznawał przyjaciół swoich ofiar w rzeczywistym świecie. Cierpliwie zaplanował intrygę, założył fałszywy profil na Facebooku, podając się za zapalonego zbieracza odrestaurowanych antyków, dzięki czemu przyjęto go do grupy administrowanej przez męża koleżanki Frances z czasów studenckich. Zanim wysłał Frances zaproszenie, ona wielokrotnie miała okazję czytać jego (inteligentne, zabawne i rzeczowe) komentarze pod postami ich „wspólnych”

znajomych i nie miała podstaw, by wątpić w to, że oboje należą do grona ich kolegów.

Frances umówiła się na kawę z inną jego ofiarą. Ta pokazała jej na telefonie zdjęcia urządnego specjalnie dla Ariego pokoju z plakatami z *Gwiezdnymi wojen* na ścianach. Chłopiec był już trochę za duży na takie dekoracje – zresztą *Gwiezdne wojny* wcale mu się nie podobały – ale to akurat Frances zachowała dla siebie.

Jej rozmówczyni była w znacznie gorszym stanie niż ona. Koniec końców, Frances wypisała kobiecie czek, by pomóc jej stanąć na nogi. Kiedy przyjaciółki Frances się o tym dowiedziały, pukały się w głowy. Tak, dała pieniądze kolejnej obcej osobie, ale zrobiła to, by odzyskać godność i kontrolę nad swoim życiem, a także by uprzątnąć choć część gruzów, jakie pozostawił po sobie ten krętacz. (Ucieszyłaby ją kartka z podziękowaniami od towarzyszkii niedoli, ale nie po to pomagamy innym, by zaskarbić sobie ich wdzięczność).

Kiedy Frances uznała sprawę za zamkniętą, zebrała w jednej teczce wszystkie dowody swojej naiwności. Wydruki e-maili, w których otworzyła swoje głupie serce. Bileciki z wyrazami fałszywych uczuć dołączane do prawdziwych kwiatów. Odręcznie napisane listy. Wrzucając teczkę do szafki na dokumenty, rozcięła kciuk o ostrą jak brzytwa krawędź papieru. Nie sądziła, że niewielka, powierzchowna ranka sprawi jej taki ból.

Kciuki fizjoterapeutki zataczały kółka. Po lędźwiach Frances rozlewało się ciepło. Przez otwór w podgłówniku widziała posadzkę i adidasy na stopach masażystki. Na białych plastikowych noskach widniały narysowane flamastrem kwiatuszki.

– Zakochałam się w internetowym oszuście – wyznała Frances. Musiała z kimś pogadać. Postanowiła zmusić fizjoterapeutkę do słuchania. – Sporo mnie to kosztowało.

Masażystka nie odpowiedziała, ale przynajmniej tym razem nie uciszyła Frances. Jej dłonie wciąż się poruszały.

– Nie było mi żal pieniędzy... no, może trochę, w końcu ciężko na nie pracowałam. W sumie w przeciwieństwie do wielu innych ofiar takich przekrętów straciłam niewiele. Szacunek do siebie... i może jeszcze niewinność.

Paplała bez zastanowienia, ale nie potrafiła przestać. Słyszała tylko miarowy oddech fizjoterapeutki.

– Po prostu zawsze zakładałam, że każdy jest tym, za kogo się podaje,

i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi postępuje uczciwie. Byłam oderwana od rzeczywistości. Nigdy mnie nie okradziono ani nie napadnięto. Nigdy nie padłam ofiarą przemocy.

Trochę koloryzowała. Jej drugi mąż raz ją uderzył. Rozplakał się. Ona nie. Oboje wiedzieli, że w tamtej chwili ich małżeństwo się rozpadło. Biedny Henry. Był porządnym facetem, ale wyzwalali w sobie najgorsze cechy, jakby byli na siebie uczuleni.

W myślach powróciła do swoich długich i trudnych związków. Opowieścią o nich podzieliła się z „Paulem Drabble’em”, a on się jej odwzajemnił. Jego historia zabrzmiała tak przekonująco. Na pewno tkwiło w niej ziarno prawdy. Powiedziała pisarka, która zarabia na życie, opisując fikcyjne związki. „Ty idiotko, oczywiście, że zmyślił te bajeczki o swoich poprzednich partnerkach”.

Znowu się odezwała. Lepiej mówić, niż myśleć.

– Szczerze powiedziawszy, wydawało mi się, że żadnego z poznanych w realnym świecie mężczyzn nie kochałam tak jak jego. Karmiłam się złudzeniami. Ale czyż każda miłość nie jest iluzją tworzoną przez nasz umysł? – „Zamknij się, Frances, jej to nie obchodzi”. – W każdym razie ta historia jest straszliwie... – Urwała. – Żenująca.

Fizjoterapeutka zupełnie ucichła. Frances nie słyszała nawet jej oddechu. Czuła się tak, jakby masowała ją zjawa o olbrzymich dłoniach. Przyszło jej do głowy, że masażystka myśli sobie teraz: „Nigdy bym się nie dała tak zrobić w konia”.

Jej poniżenie osiągnęło punkt kulminacyjny, gdy uświadomiła sobie następującą rzecz: dawniej zapytana o to, jakiego pokroju osoba najprędzej dałaby się nabrać na internetową ściemę, wskazałaby zapewne kogoś takiego jak ta tęgawa kobieta z włosami na jeża i wątpliwymi kompetencjami społecznymi. Siebie nie podejrzewała o taką łatwowierność.

– Przepraszam – odezwała się znowu. – Nie dosłyszałam twojego imienia.

– Jan.

– Wolno mi zapytać, czy jesteś mężatką... albo czy jesteś w związku?

– Rozwiodłam się.

– Ja też – odparła Frances. – Dwa razy.

– Ale od niedawna się z kimś spotykam – dodała Jan, jakby nie mogła się powstrzymać.

– Och, wspaniale! – ucieszyła się Frances. Czy istniało coś lepszego niż nowy związek? Całą swoją karierę zawdzięczała ich magii. – Jak się poznaliście? – zapytała.

– Zrobił mi badanie alkomatem – odparła Jan ze śmiechem.

Rozradowanie w głosie masażystki mówiło samo za siebie. „Jan dopiero co się zakochała”. Oczy Frances napełniły się łzami radości. Nie potrafiłaby zwątpić w siłę uczuć. Nigdy.

– Więc... jest policjantem.

– Tak, od niedawna pracuje w Jarribongu – wyjaśniła Jan. – Nudził się, stojąc na poboczu i wykonując rutynowe testy alkomatem, więc zaczęliśmy rozmawiać, czekając na kolejny samochód. Spędziliśmy razem dwie godziny.

Frances próbowała wyobrazić sobie Jan rozmawiającą tyle czasu.

– Jak ma na imię? – zapytała.

– Gus.

Frances umilkła, dając Jan szansę na porozczulanie się nad swoim nowym chłopakiem. Próbowała go sobie wyobrazić. Gus. Policjant z prowincjonalnej miejsciny. Szerokie bary. Dusza człowiek. Prawdopodobnie miał psa. I to uroczonego. Strugał w drewnie. Potrafił melodyjnie gwizdać. Pewnie pogwizdywał podczas strugania. Frances już prawie się w nim zakochała.

Jednak Jan nie powiedziała ani słowa o Gusie.

Po chwili Frances znowu zaczęła mówić, jakby Jan okazała jej zainteresowanie.

– Wiesz, czasem sobie wmawiam, że warto było tyle zapłacić za jego towarzystwo przez te pół roku. Za nadzieję. Powinnam do niego napisać: „Słuchaj, wiem, że mnie zabajerowałeś, ale zapłacę ci więcej, tylko poudawaj jeszcze Paula Drabble’a”. – Umilkła. – Nie, nie zrobiłabym tego. – Cisza. – To o tyle zabawne, że piszę powieści romansowe. Zarabiam, tworząc fikcyjne postacie, a sama zadurzyłam się w nieistniejącym facecie.

Dalej nic. Jan pewnie nie czytała książek. A może opowieść Frances wprowadziła ją w zakłopotanie. „Nie mogę się doczekać, aż wrócę do domu i powiem Gusowi o tej

frajerce”.

Gus zagwizdałby nisko i przeciągle (ale melodyjnie), ze zdziwieniem i współczuciem.

– Takie rzeczy dzieją się w wielkich miastach, Jan.

Frances wytrzymała przez chwilę w milczeniu, podczas gdy Jan mocniej uciskała kciukiem newralgiczny punkt na jej plecach. Poczuła przeszywający ból, ale zniosła go, uznawszy, że to konieczna część zabiegu.

– Pracujesz tu na pełny etat, Jan?

– Dorywczo. Kiedy jestem potrzebna.

– Lubisz to?

– Praca jak praca.

– Jesteś w tym dobra.

– Tak.

– Wręcz niezrównana.

Jan nie odpowiedziała, a Frances zamknęła oczy.

– Od jak dawna tu pracujesz? – zapytała Frances sennym głosem.

– Zaledwie od kilku miesięcy – odpowiedziała Jan. – Jestem tu względnie nowa.

Frances otworzyła oczy. W głosie Jan pobrzmiwał jakiś osobliwy, ledwie dosłyszalny ton. Czy to możliwe, że terapeutka nie kupowała filozofii propagowanej w Tranquillum House? Frances przyszło do głowy, że mogłaby zapytać ją o zaginioną kontrabandę, ale jak przebiegłaby taka rozmowa?

„Ktoś chyba szperał w moich rzeczach, Jan”.

„Dlaczego tak sądzisz, Frances?”

„No cóż, zginęło mi to i owo”.

„A co dokładnie?”

Bez ubrania czuła się zbyt zawstydzona i obnażona, by wyznać prawdę.

– Jaka jest pani dyrektor? – zapytała Frances, przypominając sobie, z jakim szacunkiem Yao spojrział na drzwi do jej gabinetu.

Cisza.

Frances patrzyła na masywne adidasy Jan, która ani drgnęła.

Wreszcie się odezwała.

– Wykonuje swoją pracę z ogromną pasją.

Yao powiedział dokładnie to samo o sobie. To był napsuszony język gwiazd filmowych i mówców motywacyjnych. Frances nigdy nie powiedziała, że „z pasją wykonuje swoją pracę”, choć akurat w jej przypadku była to prawda. Jeśli zbyt długo nie pisała, zaczynała świrować.

A gdyby już nigdy nie opublikowano żadnej z jej książek?

Niby czemu ktoś miał je publikować? Nie zasługiwały na to.

„Nie myśl o tej recenzji”.

– Pasja to świetna rzecz – powiedziała.

– Tak – zgodziła się Jan. Znalazła kolejne bolesne miejsce i wbiła w nie kciuk.

– Czy nie bywa czasem nazbyt zaangażowana? – zapytała Frances, próbując zrozumieć, co tak naprawdę próbuje powiedzieć Jan.

– Dobro naszych gości leży jej na sercu i gotowa jest... zrobić wszystko, co trzeba... by im pomóc.

– Wszystko, co trzeba? – zdziwiła się Frances. – To zabrzmiało...

Dłonie Jan przesunęły się na łopatki Frances.

– Muszę ci przypomnieć, że za chwilę zacznie się szlachetne milczenie. Po trzecim dzwonku nie wolno nam rozmawiać.

Frances poczuła przyływ paniki. Chciała zdobyć więcej informacji przed nastaniem tej okropnej ciszy.

– Mówiąc: „wszystko, co trzeba”, miałaś na myśli...

– Mam jak najlepszą opinię o personelu naszej placówki – przerwała jej Jan nieco mechanicznym głosem. – Wszyscy pracownicy mają na uwadze wyłącznie twoje dobro.

– To zabrzmiało troszeczkę złowieszczo – zaniepokoiła się Frances.

– Nasi goście osiągają wspaniałe rezultaty – odparła Jan.

– To świetnie.

– Tak – powiedziała Jan.

– Sugerujesz, że niektóre stosowane tu metody są troszkę... – Frances szukała właściwego słowa. Przypomniały jej się zjadliwe recenzje internautów.

Rozległ się pierwszy dzwonek. Jego dźwięczny, czysty ton miał w sobie coś z melodyjnego autorytetu dzwonu kościelnego.

„Niech to szlag”.

– Nieortodoksyjne? – dokończyła pospiesznie Frances. – Po moim doświadczeniu z tym facetem, tym krętaczem, zrobiłam się trochę nazbyt ostrożna. Lepiej dmuchać...

Drugi dzwonek, jeszcze głośniejszy niż pierwszy, nie pozwolił jej dokończyć porzekadła, które idiotycznie zawisło w powietrzu.

– Na zimne – dokończyła szeptem.

Jan przycisnęła dłonie do łopatek Frances tak mocno, jakby wykonywała resuscytację, i nachyliła się tak, że Frances poczuła w uchu jej ciepły oddech.

– Nie zmuszaj się do robienia tego, na co nie masz ochoty. Tyle mogę ci poradzić.

Rozległ się trzeci dzwonek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Masza

Kiedy zadźwięczał trzeci dzwonek, dyrektorka Tranquillum House, Maria Dmitryczenko – zwana Maszą przez wszystkich prócz poborców podatkowych – siedziała samotnie w swoim zamkniętym na cztery spusty gabinecie na ostatnim piętrze. Nawet z oddalenia zarejestrowała moment zapadnięcia ciszy. Poczowała się tak, jakby weszła do jaskini albo katedry. Została oswobodzona. Schyliła głowę i spojrzała na swój ulubiony, przypominający odcisk palca sęk w blacie biurka z białego dębu.

Od trzech dni pościła, pijąc tylko wodę, a głódówka wyostrzała jej zmysły. Głęboko wdychała czyste wiejskie powietrze wpadające do gabinetu przez otwarte okno. Zamknęła oczy i przywołała w pamięci wszystkie dziwne, oszałamiające wonie niegdyś nowego dla niej kraju: eukaliptus, świeżo ścięta trawa i spaliny.

Dlaczego właśnie to jej się przypomniało?

Bo poprzedniego dnia po raz pierwszy od wielu lat były mąż przysłał jej e-mail. Skasowała wiadomość, ale jego nazwisko zdążyło przeniknąć do jej świadomości, dlatego teraz wystarczyła słaba nuta niesionego wiatrem aromatu eukaliptusowego, by cofnęła się w przeszłość o trzydzieści lat, do chwili, gdy była osobą, którą dziś ledwie pamiętała. Potrafiła jednak w szczegółach odtworzyć tamten pierwszy dzień po ciągnącym się w nieskończoność locie (Moskwa, Delhi, Singapur, Melbourne). Na tylnym siedzeniu małego vana spojrzeli na siebie, zachwyceni widokiem rozświetlonych ulic. Szeptali sobie o tym, że nieznajomi się do nich uśmiechają. I to w tak dziwny sposób! Tak przyjaźnie! A potem nagle – Masza pierwsza to zauważyła – odwracali głowy i ich uśmiech nagle zniknął. Jest, nie ma. Jest, nie ma. W Rosji panowały inne obyczaje. Jeśli już ktoś się uśmiechał, to ze szczerego serca.

Masza po raz pierwszy zobaczyła „uprzejmy uśmiech”. Można było uznać go za coś cudownego lub odrażającego. Jej były mąż go odwzajemniał. Ona nie.

*Nu nahier! ** Nie miała teraz czasu na wspominki. Musiała zarządzać sanatorium! Od niej zależał los gości. Po raz pierwszy postanowiła rozpocząć turnus okresem ciszy i już wiedziała, że podjęła słuszną decyzję. Milczenie przywracało jasność umysłu. Osoby, u których wywoływało lęk, zazwyczaj stawiały opór i przypadkowo lub umyślnie się odzywały. Niektóre pary szeptały w łóżku, nie było w tym nic złego. Cisza wywoływała i utrzymywała właściwą atmosferę. Niektórzy goście traktowali ośrodek jak obóz wakacyjny. Kobiety w średnim wieku cieszyły się z tego, że nie muszą każdego wieczoru podawać kolacji, wolne od całej tej piskliwej gadaniny. Jeśli dwóch mężczyzn się „zakumplowało”, należało liczyć się z tym, że złamią regulamin.

Tuż po tym, jak Masza otworzyła Tranquillum House, doznała szoku, widząc przy tylnej bramie chłopca, który przywiózł mięsną pizzę dla czterech osób.

– *Nu szto takoje?! ***– zakrzyknęła, wprawiając w popłoch biednego dostawcę i gości. – Co tu się dzieje?

Poznała wszystkie triki stosowane przez kuracjuszy. Teraz wdrożyła środki zapobiegawcze. Kamery na terenie całego ośrodka. Regularny monitoring. Kontrola bagażu. Wszystko dla dobra gości.

Obróciła się na krześle w bok, uniosła nogę i dotknęła czołem kości piszczelowej. Ćwiczenia fizyczne przychodziły jej tak łatwo jak dziesięciolatkowi, zresztą lubiła powtarzać, że tak naprawdę ma tylko dziesięć lat, bo zbliżała się dziesiąta rocznica tamtego dnia, w którym dostała zawału. Dnia, w którym umarła i narodziła się na nowo.

Gdyby nie tamto wydarzenie, wciąż żyłaby w świecie korporacyjnym, byłaby gruba i zestresowana. Zajmowała stanowisko dyrektora do spraw operacji globalnych w dużym koncernie mleczarskim. Kierowała światową dystrybucją najbardziej lubianego australijskiego sera! (Dziś nie tykała nabiału). Wciąż pamiętała swój gabinet z widokiem na operę w Sydney i przyjemność odhaczania wykonanych zadań, obmyślenia strategii poprawy efektywności pracy i dyrygowania zastępem facetów. Wtedy jej życie było puste, ale dostarczało jej stymulacji intelektualnej. Ze szczególną radością opracowywała nowe linie produktów, a potem oglądała je ustawione na stole konferencyjnym: bogactwo wyboru, rewia barw jaskrawych opakowań. W dziwny

sposób zaspakajały tęsknotę, którą odczuwała jako dziecko, przeglądając przemycone z zachodu katalogi zakupowe.

Jednak przyjemność, jaką dawała jej praca w korporacji, była niczym uprzejmy uśmiech. Nie miała w sobie ani krzty sensu. Umysł, ciało i dusza Maszy pracowały jak oddzielne, słabo skomunikowane działy korporacji. Tęsknota za dawną pracą była równie oszukańcza, co ciepłe wspomnienia o byłym mężu. Jej umysł przywoływał je tak, jak wadliwy system komputerowy, który co chwilę się zacina. Powinna się skupić. Dziewięcioro gości powierzyło jej swój los. Dziewięcioro nieznajomych miało wkrótce stać się rodziną.

Przesunęła palcem po wydruku z ich nazwiskami.

Frances Welty

Jessica Chandler

Ben Chandler

Heather Marconi

Napoleon Marconi

Zoe Marconi

Tony Hogburn

Carmel Schneider

Lars Lee

Dziewięcioro nieznajomych, którzy właśnie rozgaszczali się w swoich pokojach, zwiedzali posiadłość, nerwowo przeglądali pakiet informacyjny, pili smoothies, a może podczas pierwszych zabiegów w spa niepokoiли się, co ich tu czeka.

Już ich pokochała za ich zawstydzenie, nienawiść do siebie, kłamstwa szyte grubymi nićmi i obronne żarty maskujące ból, do których uciekali się, gdy podczas rozmowy z Maszą tracili grunt pod nogami. Przez nadchodzące dziesięć dni mieli należeć do niej, a ona zamierzała ich uczyć i karmić, by stali się ludźmi, którymi mogą i powinni być.

Wyszukała dokumentację pierwszej osoby na liście.

Frances Welty. Pięćdziesiąt dwa lata. Na załączonym przez nią zdjęciu, uszminkowana na czerwono, trzymała drinka.

Masza pomogła setkom takich kobiet. Wystarczyło usunąć kilka wierzchnich warstw skrywających pęknięte serce. Czekwały na kogoś, kto na tyle się nimi zainteresuje, by odsłonić ich wnętrze. Nie wymagało to wielkiego wysiłku. Miały dość mężów, kochanków, dzieci, którym nie były już potrzebne, i rozczarowujących karier zawodowych. Bały się życia i śmierci.

Niemal wszystkie nienawidziły swojego wyglądu. Kobieta i jej ciało to najbardziej patologiczny i toksyczny związek pod słońcem. Masza widziała, jak ściskają skórę wokół talii z tak bezwzględny obrzydzeniem, że robiły im się siniaki. Tymczasem ich mężowie z żalosną dumą czule gładzili się po znacznie większych brzuchach.

Przyjeżdżały do ośrodka przejezione, ale niedożywione, uzależnione od rozmaitych używek i substancji, wyczerpane, zestresowane, nękanie przez migreny, bóle mięśni i niestrawność. Odpoczynek, świeże powietrze, pełnowartościowe posiłki i troskliwa opieka natychmiast przywracały je do zdrowia. Ich oczy się rozświeślały. Robiły się ekspansywne i rozradowane, kiedy ich kości policzkowe ponownie się zarysowywały. Gadały jak najęte. Przed odjazdem czule żegnały się z Maszą, ściskając ją całe we łzach, a potem wyruszały w drogę przy akompaniamencie klaksonów. Przysyłały kartki z czułymi pozdrowieniami, często dołączając zdjęcia, by pochwalić się, że kontynuują swoją podróż, każdego dnia korzystając z lekcji, jakich udzieliła im Masza.

Jednak w pewnym momencie, po dwóch, trzech, czterech latach, wiele z nich wracało do Tranquillum House w równie złym stanie jak przed pierwszą wizytą, a czasem w jeszcze gorszym. „Zaprzestałam porannych medytacji”, wyznawały zdumione i trochę, ale nie za bardzo skruszone. Pewnie uważały powrót do starych nawyków za coś naturalnego i uroczego, a nade wszystko przewidywalnego. „Nawet nie wiem, kiedy znowu zaczęłam codziennie pić”. „Straciłam pracę”. „Rozwiodłam się”. „Miałam wypadek samochodowy”. Maszy tylko na chwilę udało się je przestawić na inny tor! Gdy nadchodził kryzys, zbaczały na złą drogę.

Nie był to powód do dumy. Nie dla Maszy.

Dlatego postanowiła wdrożyć nowe metody. Nie zamierzała pozwolić, by w środku nocy budził ją nieuzasadniony lęk. Odniosła taki sukces w świecie korporacyjnym, bo nie wahała się podejmować ryzyka i myśleć nieszablonowo. Teraz też korzystała z tych umiejętności. Postukała palcem w zaczerwienioną, napuchniętą twarz Frances Welty

i sprawdziła w formularzu, jakie cele wytyczyła sobie jej kuracjuszka na najbliższe dziesięć dni, zaznaczając odpowiednie rubryczki. „Redukcja stresu”, „odrodzenie duchowe” i „relaks”. Co ciekawe, nie wybrała „utruty wagi”. Pewnie przez przeoczenie. Jedno było pewne: ta kobieta łaknęła duchowej przemiany i Masza postanowiła jej ją umożliwić.

Otworzyła następną teczkę. Ben i Jessica Chandlerowie.

Zdjęcie pokazywało atrakcyjną młodą parę na jachcie. Uśmiechali się promiennie, ale ich oczy były zasłonięte ciemnymi okularami. Zaznaczyli okienko „terapia dla par” i Masza była przekonana, że zdoła im pomóc. Ich wciąż jeszcze świeże problemy nie zdążyły skostnieć w wyniku wieloletnich kłótni i wzajemnych animozji. Nowa metoda nadawała się idealnie do ich potrzeb.

Następny był Lars Lee. Czterdzieści lat. Załączył profesjonalne zdjęcie korporacyjne. Masza poznała wielu gości takich jak on. Uważał pobyt w sanatorium za kolejny zabieg pielęgnacyjny, jak strzyżenie albo manikiur. Z pewnością nie próbował przemyścić kontrabandy, ale uważał, że uciążliwe reguły go nie dotyczą. Ciekawe, jak zareaguje na nową metodę.

Carmel Schneider. Lat trzydzieści dziewięć. Czworo małych dzieci. Rozwiedziona. Masza cmoknęła, przyglądając się jej zdjęciu. W uszach zadźwięczał jej głos matki: „Jeśli kobieta o siebie nie dba, facet zaczyna dbać o inną”. Biedny króliczek. Niskie poczucie własnej wartości. Carmel zaznaczyła wszystkie pozycje na liście poza „terapią dla par”. Widząc to, Masza poczuła przypływ czułości. „Nie ma problemu, *łapoczka****. Z tobą pójdzie mi łatwo”.

Tony Hogburn. Pięćdziesiąt sześć lat. Również rozwiedziony. Przyjechał się odchudzić. Tylko to okienko zaznaczył. Należało się spodziewać, że zrobi się marudny, a może nawet agresywny, kiedy jego ciało zareaguje na zmiany wywołane zdrowym trybem życia. Tego postanowiła mieć na oku.

Na widok kolejnej teczki uniosła brwi.

Czy to była jej dzika karta?

Rodzina Marconi. Napoleon i Heather. Para czterdziestoosmiolatek. Córka Zoe, lat dwadzieścia.

Po raz pierwszy do Tranquillum House przyjechała cała rodzina. Masza gościła

pary, matki z córkami, rodzeństwa i przyjaciół, ale nigdy wcześniej nie zjawiało się tu małżeństwo z dzieckiem. Dziewczyna była najmłodszą ze wszystkich dotychczasowych kuracjuszek.

Dlaczego zdrowa na pierwszy rzut oka dwudziestolatka przyjechała na dziesięć dni do sanatorium z obojgiem rodziców? Zaburzenie odżywiania? Całkiem możliwe. Masza wprawnym okiem oceniła całą trójkę jako niedożywioną. Czy przyjechali tu z jakimś poważnym kryzysem rodzinnym?

Ten, kto wypełniał ich kwestionariusz, zaznaczył tylko jedno okienko: „redukcja stresu”.

Na załączonym zdjęciu stali przed choinką. Nienaturalnie przechylali głowy, próbując zmieścić się w kadrze, co świadczyło o tym, że jedno z nich robiło fotografię. Uśmiechali się, ale mieli puste, pozbawione wyrazu oczy.

– Co wam się stało, *łapoczki*?

* Ну нахер (ros.) – Do cholery!

** Ну што такое? (ros.) – Co się dzieje?

*** лапочка (ros.) – kochanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Heather

Po trzecim dzwonku Heather Marconi poczuła, że cisza zapada w Tranquillum House tak, jakby ktoś delikatnie okrył cały ośrodek miękkim kocem. Namacalność tego doznania była wprost niezwykła. Wcześniej Heather nie słyszała bogactwa dźwięków w swoim otoczeniu.

Właśnie wyszła z łazienki, kiedy rozległ się dzwonek, znacznie głośniejszy i bardziej kategoryczny, niż się spodziewała. Nawet nie wiedziała, czy znajdzie w sobie motywację, by zachować to nedorzeczne „milczenie” – gdyby zależało im na ośrodku z regułą milczenia, toby do niego pojechali – ale podniosłe dzwonięcie natychmiast ją zmroziło. Teraz zmącenie ciszy, nawet w czterech ścianach pokoju, wydało jej się niestosowne.

Jej mąż siedział na zabytkowej narożnej kanapie z palcem na ustach jak rasowy pedagog, bowiem Napoleon był nauczycielem geografii – i to powszechnie uwielbianym – w szkole w ubogiej dzielnicy, a po dwudziestu pięciu latach nauczania krnąbrnych chłopców trudno nie wyrobić sobie nauczycielskich nawyków.

„Nie uciszaj mnie, kochanie”, pomyślała Heather. „Nie jestem twoją uczennicą. Jak mi się zachce, to będę mówić”. Spojrzała na męża, by puścić do niego oko, ale on odwrócił wzrok, jakby próbował coś zataić, choć należał do osób, które nie mają nic do ukrycia, był cholerną otwartą księgą i nie chciał na nią popatrzeć tylko dlatego, że regulamin zakazał kontaktu wzrokowego przez nadchodzące pięć dni, a Napoleon nigdy nie zapominał o zasadach i regułach, nawet zupełnie bezsensownych i arbitralnych. Co dobrego mogło wyniknąć z unikania kontaktu wzrokowego przez męża i żonę? Napoleon jednakowo poważał znaki drogowe i nic nieznaczące klauzule

w biurokratycznych formularzach. Uważał, że przestrzeganie zasad to kwestia uprzejmości i szacunku oraz gwarancja przetrwania całej cywilizacji.

Przyglądała mu się, kiedy siedział w przykrótkim szlafroku, ze skrzyżowanymi owłosionymi nogami. Zakładał nogę na nogę w kobiecy sposób, jak supermodelka podczas telewizyjnego wywiadu. Jego dwaj bracia, niżsi i tężsi, potwornie z niego szydzili, ale on tylko się uśmiechał i pokazywał im środkowy palec.

Jego włosy jeszcze nie zdążyły wyschnąć po powrocie z gorących źródeł i basenu.

Do gorących źródeł dotarli bez problemu doskonale oznakowanym szlakiem rozpoczynającym się na tyłach posiadłości. Nikogo nie spotkali. Odnaleźli wydrążony w skale, ocieniony basenik zwany Tajemną Grotą, w którym trzy osoby mogły wygodnie się rozsiąść i podziwiać widok na dolinę. Heather i Zoe słuchały niekończącego się wykładu Napoleona o minerałach zawartych w wodzie, korzystnie oddziałujących na krążenie, redukujących stres i tak dalej, i tak dalej. Niewiele z tego zapamiętała. Paplanina Napoleona towarzyszyła jej przez całe życie niczym biały szum albo grające gdzieś w oddali radio, podświadomość Heather rejestrowała tylko wyrwane z kontekstu fragmenty. Bez wątpienia paniką napawała go perspektywa pięciu dni ciszy, dlatego mówił jeszcze szybciej niż zazwyczaj, bez pauz, a jego głos splótł się w jedno z bulgotem otaczającej ich ciała, pianistej, ciepłej wody o siarkowej woni.

– Kochanie, oczywiście, że wytrzymam pięć dni w milczeniu! – zapewnił Zoe, która patrzyła na niego ze szczerą troską wypisaną na ślicznej, młodej twarzy. – Jeśli ty wytrwasz bez telefonu, a twoja matka bez kofeiny, to i ja dam radę, nie odzywając się ani słowem!

Potem cała trójka ochłodziła się w basenie. Ożywcza, turkusowa od chloru woda przyniosła im magiczną wręcz ulgę po gorącej kąpieli. Heather przyglądała się Zoe, która próbowała prześcignąć ojca. On płynął motylkiem, a ona kraulem i wystartowała pięć sekund przed nim. I tak wygrał, choć nie chciał, ale nie potrafił udawać, że pływa gorzej od niej, tak jak wtedy, kiedy była mała. Potem usiedli przy basenie, a Zoe opowiedziała im anegdotkę o jednym ze swoich wykładowców, której Heather nie zrozumiała, ale i tak się zaśmiała, bo córka najwyraźniej próbowała ich rozbawić. To była jedna z tych rzadkich i wyjątkowych chwil szczęścia. Heather wiedziała, że we trójkę to zauważyli, i potraktowała to jako dobrą wróżbę na przyszłość.

A teraz mieli zamilknąć na pięć dni.

Heather ogarnęło gwałtowne poirytowanie – a może po prostu jej organizm domagał się latte macchiato – bo ich „wakacje” nie miały być męczarnią. Bez wątplenia istniało mnóstwo sanatoriów w równie spokojnej okolicy, ale bez tych drakońskich ograniczeń. Żadne z nich nie potrzebowało odchudzania. A już na pewno nie Heather! Codziennie o szóstej rano się ważyła i jeśli wskazówka choćby drgnęła w niewłaściwą stronę, odpowiednio modyfikowała dietę. Jej wskaźnik masy ciała świadczył wręcz o niewielkiej, jednokilogramowej niedowadze. Zawsze była szczupła. Zoe czasem podejrzewała u niej zaburzenie odżywiania, tylko dlatego że Heather była bardzo wybredna i jadała o ściśle określonych porach. Nie wzięłaby do ust byle czego, w przeciwieństwie do swojego męża, który jak odkurzacz wciągał wszystko, co stanęło mu na drodze.

Napoleon wstał. Położył swoją torbę na łóżku, otworzył ją i wyciągnął z niej pieczołowicie złożony podkoszulek, szorty i bieliznę. Pakował bagaże jak żołnierz, w każdej chwili spodziewający się inspekcji. Zdjął szlafrok i pokazał się nago, w całej swojej chuderlawej, bladej, owłosionej okazałości.

Nietypowe dla niego milczenie sprawiło, że nagle wydał się Heather kimś obcym.

Kiedy wkładał podkoszulek, mięśnie jego pleców poruszały się synchronicznie, jak doskonale zaprojektowana maszyna. Wzrost i niezdarność przysłaniały jego seksapil.

Ich pierwszy raz, przed wieloma laty, ogromnie zaskoczył Heather. Kto by pomyślał, że taki facet jak Napoleon tak doskonale się rusza? Zdążyła go już polubić za urok, poczucie humoru i troskliwość, ale pójsie z nim do łóżka wydawało jej się równie atrakcyjne co praca społeczna. Nie spodziewała się eksplozji zmysłów, raczej grzecznego, przyjacielskiego seksu w ramach podziękowań za kolację i film z Kevinem Costnerem. Wiedziała, że on zupełnie inaczej zapamiętał ich pierwszą randkę. Wspominał ją dokładnie tak, jak należy zachować w pamięci pierwszą randkę przyszłych małżonków – jako przemile spotkanie, przyzwoite i pełne kurtuazji.

Napoleon zasunął rozporek i zapiął pasek. Jednym, irytująco szybkim i sprawnym ruchem wsunął brązową skórzaną końcówkę w srebrzystą metalową sprzączkę. Pewnie czuł na sobie wzrok Heather, ale na nią nie spojrział. Z determinacją trzymał się tych idiotycznych reguł. Był taki porządny, w każdym calu zajebicie perfekcyjny.

Wściekłość ogarnęła ją z mocą i impetem skurczu podczas akcji porodowej. Nie potrafiła się jej oprzeć. Nagle zobaczyła siebie, jak wymierza mu cios pięścią, miażdży mu kość policzkową, diamenty w jej pierścionku zaręczynowym rozcinają jego skórę. Heather uderza raz po raz, kapie krew. Gniew oplątał jej ciało i niemal zmusił ją, by zerwała się na równe nogi. Wcisnęła palce stóp w podłogę, by nie rzucić się na męża, kiedy ten, zasunawszy torbę, odstawił ją do kąta, by nikt się o nią nie potknął.

Wbiła wzrok w ścianę, koncentrując się na przypominającym wysepkę rozdarcie tapety, i próbowała zapanować nad oddechem tą samą metodą, jakiej uczyła przysze matki, by mogły rozluźnić się w pierwszej fazie porodu: dyszymy, dyszymy, wydech, aaa-aaa-ooo, dyszymy, dyszymy, wydech.

Napoleon przemaszerował przez pokój i wyszedł na balkon. Stał na szeroko rozstawionych nogach z dłońmi zaciśniętymi na balustradzie, jak pasażer rozkołysanego statku.

Gniew ustępował, oddalał się, znikał.

Już. Kolejny raz jej się udało. Napoleon, nieświadomy tego, jaką wściekłość w niej wywołał, schylił głowę, odsłaniając bezbronny, biały kark. Nie mogła wyjawić mu prawdy. Byłby zszokowany i do głębi urażony, gdyby odkryła przed nim swoje najskrytsze, nienawistne myśli.

Wstrząsnął nią dreszcz. Poczowała gorycz w ustach, jakby przed chwilą wymiotowała.

Ze swojej walizki wyciągnęła szorty i koszulkę na ramiączkach. Po południu, po „medytacji”, zamierzała trochę pobiegać. Wiedziała, że nie zrelaksuje się, siedząc nieruchomo przez godzinę, wsłuchana we własny oddech. Prędzej zwariuje.

Przyjazd tutaj uważała za pomyłkę. I to bardzo drogą. Powinni byli wybrać się do wielkiego hotelu, gdzie łatwo zachować anonimowość.

Kilkoma zdecydowanymi ruchami zasznurowała buty do biegania i otworzyła usta. Nie zamierzała milczeć. Ta zasada nie miała najmniejszego sensu. Mogli powstrzymać się od rozmów w obecności innych, ale we własnym pokoju nie musieli zachowywać krępującej, dziwnej i niezdrowej ciszy.

Jak znosiła ją biedna Zoe, sama w sąsiednim pokoju? W domu Heather i Napoleon wpadali w panikę, kiedy ich córka za długo przesiadywała w samotności, a zdarzało się

to często, bo miała dwadzieścia lat i musiała się uczyć. Jeśli przez chwilę z jej pokoju nie dochodziły żadne odgłosy, jedno z nich zaglądało do niej pod byle pretekstem. Nigdy nie miała im tego za złe i nie zamykała drzwi. Niestety, w Tranquillum House nie było pokoi rodzinnych. Nie mieli wyjścia, musieli zarezerwować dla niej jedynekę.

Czuła się świetnie, bezustannie ich o tym zapewniała, była szczęśliwa, ale rozumiała, czemu co chwilę ją o to pytają. Jednak w tym roku o wiele za ciężko pracowała, z ponurą miną przykuta do klawiatury, jakby magisterium z medioznawstwa było sprawą życia lub śmierci. A przecież zasługiwała na przerwę.

Heather spojrzała na ścianę, przy której stało łóżko, oddzielającą ich od sąsiedniego pokoju i pożałowała, że nie może przeniknąć jej wzrokiem. Co robiła Zoe? Nie miała komórki. Dwudziestolatki nie rozstają się ze swoimi telefonami. Zoe zaczynała się stresować, kiedy poziom naładowania baterii spadał poniżej osiemdziesięciu procent.

Nie powinni narażać na szwank zdrowia psychicznego córki. Do dziesiątego roku życia nie spała sama.

Czy kiedykolwiek nocowała w pokoju hotelowym?

Nigdy. Wyjeżdżała na wakacje z koleżankami, ale wtedy dzieliły pokój, a przynajmniej tak się wydawało Heather.

„Dopiero co zerwała z chłopakiem i przesiaduje w swoim pokoju, sam na sam ze swoimi myślami”.

Mój Boże. Jej serce galopowało. Wiedziała, że tragizuje. „Zoe jest dorosła. Nic jej nie będzie”.

Napoleon wrócił do pokoju, przelotnie spojrzał na żonę i natychmiast spuścił wzrok. Heather usłyszała zgrzytanie swoich trzonowców. On byłby nią do głębi rozczarowany, gdyby już po pięciu minutach przestała „szlachetnie milczeć”.

Jezu. Nie spodziewała się, że będzie tak ciężko. W ciszy jej myśli krzyczały. Nie uświadamiała sobie nawet, jak skutecznie Napoleon rozpraszał ją swoją bezustanną gadaniną. Mogło się okazać, że – jak na ironię – to Heather znosi ciszę znacznie gorzej niż jej mąż.

Nie potrzebowali milczenia, postu ani detoksu. Szukali tylko schronienia, by przetrwać styczeń. Rok wcześniej zostali w domu, co skończyło się katastrofą, jeszcze gorszą niż poprzedniego roku. Styczeń jawił się Heather jako szponiasty sęp

o okrutnym spojrzeniu, wiecznie nękający jej rodzinę.

– Może tym razem powinniśmy wyjechać – zaproponował Napoleon przed kilkoma miesiącami. – W jakieś ciche i spokojne miejsce.

– Na przykład do klasztoru – dodała Zoe. Nagle jej oczy się rozświeciły. – Albo jeszcze lepiej do sanatorium! Obniżymy tacie cholesterol.

W szkole, w której pracował, nauczyciele korzystali z darmowych badań i w czerwcu Napoleon dowiedział się, że ma wysoki poziom cholesterolu, a jego ciśnienie niebezpiecznie się podwyższyło i choć należała mu się pochwała za uprawianie sportu, to powinien zdecydowanie zmienić nawyki żywieniowe.

Więc Heather wpisała do wyszukiwarki: „sanatoria”.

„Czy pragniesz gruntownego uzdrowienia?”

Tak brzmiało pierwsze zdanie na stronie Tranquillum House.

– Tak – wyszeptała Heather, patrząc w ekran komputera. – Wszystkim nam by się przydało.

Oferta Tranquillum House była skierowana do osób o znacznie wyższym statusie socjoekonomicznym, zarabiających o wiele więcej niż nauczyciel w szkole średniej i położna, ale od wielu lat nie wyjeżdżali na wakacje, a spadek po dziadku Napoleona czekał w depozycie terminowym. Stać ich było na takie szaleństwo. Niczego więcej im nie brakowało.

– Jesteś pewna, że chcesz spędzić dziesięć dni w sanatorium w towarzystwie rodziców? – zapytała córkę.

Zoe wzruszyła ramionami i z uśmiechem odparła:

– Mam ochotę przespać te wakacje. Jestem taka zmęczona.

Normalna dwudziestolatka nie powinna w ferie letnie spędzać tyle czasu z matką i ojcem, ale Zoe nie była normalną dwudziestolatką.

Heather, kliknąwszy w ikonkę „Zarezerwuj”, natychmiast pożałowała swojej decyzji. To niesamowite, że coś, co zapowiada się jak wspaniała przygoda, traci całą atrakcyjność, kiedy tylko przeradza się w zobowiązanie. Było jednak już za późno. Zgodziła się na warunki rezerwacji. Mogli zmienić termin przyjazdu, ale opłata nie podlegała zwrotowi. Całą trójkę czekało dziesięciodniowe „oczyszczanie”, czy im się to

podobało, czy nie.

Całymi dniami wyrzucała sobie tę decyzję. Nie potrzebowali „transformacji”. Nie uskarżali się na żadne dolegliwości. Wszyscy ich znajomi uważali ich za fanatyków sportu! Ten ośrodek nie był przeznaczony dla rodziny Marconich, tylko dla takich osób jak kobieta, którą Napoleon zatrzymał na schodach. Jak ona miała na imię? Frances. Już na pierwszy rzut oka widać było, że całe życie spędza na lunchach, u kosmetyczki i na przyjęciach biznesowych u boku męża.

Jej twarz wyglądała znajomo, pewnie dlatego, że Heather знаła wiele bogatych kobiet w średnim wieku, które nie pracowały, od kiedy urodziły dzieci. Nie miała im tego za złe. Wręcz je lubiła. Jednak spędzając zbyt dużo czasu w ich towarzystwie, zaczynała się wściekać. Życie obeszło się z nimi tak łagodnie. Zmartwień przysparzały im tylko ich ciała, bo jak jada się takie lunche, trudno o dobrą figurę, więc przyjeżdżały do takich ośrodków, żeby „naładować akumulatory” i usłyszeć od ekspertów wspianą wiadomość, że jeśli będą mniej jadły i więcej się ruszały, to zrzucą parę kilo i poczują się lepiej.

Kiedy tylko skończy się okres ciszy, Napoleon i Frances natychmiast się zaprzyjaźnią. On będzie ze szczerym zainteresowaniem słuchał, jak ona z udawaną skromnością przechwala się osiągnięciami swoich dzieci, studiujących pewnie na Harvardzie albo w Oksfordzie, albo podróżujących po Europie, gdzie prawdopodobnie częściej bywają w nocnych klubach niż w muzeach.

Heather przyszło nawet do głowy, że powinna zasugerować Napoleonowi, by skorzystał z okazji i wdał się w wakacyjny romans. Może biedaczkowi brakowało seksu, a Frances wyglądała na całkiem niezłą sztukę.

Heather dokładnie pamiętała, jak przed trzema laty poszła z mężem do łóżka. Gdyby wiedziała, że uprawia seks po raz ostatni w życiu, to może postarałaby się zachować w pamięci więcej szczegółów. Z pewnością było jej dobrze. Jak zawsze. Ale teraz Heather nie potrafiła zmusić się do kontaktu fizycznego.

Usiadła na krawędzi łóżka, a Napoleon do niej dołączył. Czowała jego ciepło, ale ich ciała się nie stykały, jakby zabraniała im tego jakaś niepisana reguła.

Czekali, aż Zoe zapuka do ich drzwi, jak już skończy się kąpać. Tak ustalili. Potem we trójkę mieli w milczeniu dotrwać do dzwonka i zejść na pierwszą „sesję medytacji

kierowanej”.

Zoe na pewno doskonale sobie radziła. Była dobrą dziewczyną. Wywiązywała się z obietnic. Zawsze taka była. Bardzo się starała być całym ich światem, a oni usilnie udawali, że żyją nie tylko dla niej.

Heather poczuła ukłucie smutku, tak gwałtowne jak cios zadany samurajskim mieczem.

Potrafiła ukrywać gniew, ale nie smutek. Przeszywał ją na wskroś. Położyła dłoń na szyi, a z jej ust wydobył się cichutki dźwięk przypominający pisk myszy.

– Wytrzymaj, kochanie – wyszeptał Napoleon tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Nie patrząc na nią, wziął ją za rękę i okrył ciepłymi dłońmi, łamiąc dla niej swoje uświęcone zasady.

Ona się nie opierała, wsunęła palce w zagłębienia między jego knykциями i uścisnęła jego dłoń, jak kobieta podczas porodu, kurczowo wczepiona w swojego partnera, gdy ból próbuje całkowicie ją zagarnąć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Frances

Dzwonek wzywał na pierwszą „sesję medytacji kierowanej w pozycji siedzącej”, a Frances otworzyła drzwi w tym samym momencie, co jej sąsiedzi, Ben i Jessica. Żadne z nich się nie odezwało, choć Frances z trudem się powstrzymywała, i unikając kontaktu wzrokowego, poszli korytarzem w stronę schodów.

Ben nie zmienił ubrania, natomiast Jessica włożyła obcisły strój do jogi, podkreślający figurę tak zachwycającą, że Frances miała ochotę ją skomplementować. Tak doskonały wygląd wymagał niemałych poświęceń i litrów silikonu, tymczasem ta biedna dziewczyna zamiast dumnie kroczyć, dreptała ze zwieszoną głową, jakby znalazła się na zakazanym terenie i próbowała nie zwracać na siebie uwagi.

Natomiast Ben szedł spokojnie, krokiem więźnia eskortowanego do celi, skazanego za zbrodnię, do której się przyznał. Frances najchętniej zabrałaby ich oboje do baru, gdzie chrupiąc orzeszki i popijając sangrię, opowiedzieliby jej o swoim życiu.

Na litość boską, dlaczego przyszła jej do głowy sangria? Nie piła jej od lat. Najwyraźniej umysł podsuwał jej wyszukane na chybił trafił nazwy potraw i napojów, których nie mogła tknąć przez nadchodzące dziesięć dni.

Przed nimi schodził po schodach ten rozgadany olbrzym, Napoleon, ze swoją rodziną. Matka miała na imię Heather. „Heather, cera jak papier. I Zoe, słodki aniołek. Dobra robota, Frances, prawdziwy z ciebie geniusz. Tylko na co ci teraz opanowana do perfekcji umiejętność zapamiętywania imion? To nie popołudniowy koktajl”. Nawet nie wolno jej było patrzeć na swych współtowarzyszy.

Napoleon szedł bardzo powoli, z nabożnie spuszczoną głową. Poruszał się z takim namaszczeniem, jakby udawał, że znalazł się w stanie nieważkości. Dopiero po chwili

Frances przypomniała sobie zalecenie, by w okresie ciszy uważnie stawiać każdy krok. Zwolniła, a wtedy Jessica dotknęła ramienia Bena, by przypomnieć mu o tej regule.

Cała szóstka schodziła po schodach w medytacyjnym, zwolnionym tempie, a Frances starała się nie dopuścić do siebie poczucia absurdu sytuacji. Gdyby się zaśmiała, dostałaby głupawki. Z głodu trochę kręciło jej się w głowie. Minęło kilka godzin, od kiedy zlizwała resztki czekolady z opakowania po kitkacie.

Wszyscy dostosowali się do rytmu Napoleona, który z największym zaangażowaniem praktykował świadomy chód, i z namysłem podążali za nim po schodach do chłodnego, zaciemnionego studia jogi i medytacji.

Frances zajęła miejsce na niebieskiej macie pod tylną ścianą pomieszczenia i przybrała taką pozycję jak dwójka konsultantów wellness siedzących w kątach sali, jakby pilnowali uczniów podczas egzaminu, choć mieli skrzyżowane nogi, dłonie oparte na kolanach, połączone palce wskazujące i kciuki oraz irytujące półuśmiechy na gładkich, spokojnych twarzach.

Znowu zwróciła uwagę na duży telewizor i choć nigdzie nie zauważyła pilota, zastanawiała się, czy zdesperowani kuracjusze przychodzą tu czasem w piżamach, by w środku nocy pooglądać telewizję, .

Próbując przybrać wygodną pozycję, zdała sobie sprawę, że masaż trochę jej pomógł. Ból pleców nie ustąpił całkowicie, ale jeden z kołków tkwiących w jej lędźwiach trochę się obluzował.

Pociągnęła nosem. Z kursu medytacji zapamiętała tyle, że polega ona na odpowiednim oddychaniu, którego bynajmniej nie ułatwiał katar. Już sobie wyobraziła, jak będzie wszystkich wkurzać, smarkając w ciemnym kącie, a potem z pewnością przyśnie i z drzemki wybudzi ją jej własne, siarczyste chrapnięcie.

Czemu nie wyruszyła w rejs?

Z westchnieniem rozejrzała się, szukając wzrokiem gości, których jeszcze nie poznała. Po prawej stronie zauważyła mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, o szarej, nieszczęśliwej twarzy. Siedział niedbale, z wyciągniętymi nogami, obejmując pokaźny brzuch, jakby trzymał niemowlaka, którego ktoś mu wcisnął bez pytania. Frances uprzejmie się do niego uśmiechnęła. Ucieszył ją widok kogoś, kto naprawdę potrzebował sanatorium.

Ich spojrzenia się spotkały.

Zaraz. Nie. Błagam, nie. Jej żołądek się zacisnął. To był ten facet, który zatrzymał się na autostradzie, kiedy Frances się darła i trąbiła jak oszałała. Omawiała z nim swoje objawy menopauzy. Seryjny morderca na wakacjach.

Miała gdzieś, co sobie o niej pomyślał, bo nie spodziewała się go jeszcze kiedyś spotkać. Nie sądziła, że on również zamelduje się w Tranquillum House, ponieważ jechał w przeciwnym kierunku, oddalając się od ośrodka, jakby celowo chciał ją wprowadzić w błąd.

Wielkie rzeczy. Było jej strasznie wstyd i tyle. Uśmiechnęła się jeszcze raz, a potem opuściła kąciki ust i zrobiła żalostną minę, by dać do zrozumienia, że jest przerażona perspektywą spędzenia z nim dziesięciu dni po tym, jak był świadkiem jej załamania na środku drogi, ale przecież oboje byli dorośli, więc w czym problem?

Facet posłał jej szyderczy uśmiech. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. A potem czym prędzej odwrócił wzrok.

Budził we Frances najgorsze przeczucia. Na autostradzie zachowywał się tak arogancko, twierdząc, że ona nie powinna kierować autem. Był policjantem? Nie. (Oni z reguły o sobie dbają). Oczywiście, zamierzała dać seryjnemu mordercy szansę na rehabilitowanie się, bo pierwsze wrażenie może mylić, jak wyczytała w *Dumie i uprzedzeniu*, ale w głębi duszy liczyła na to, że w ciągu najbliższych dziesięciu dni nie przestanie wywoływać w niej najgorszych uczuć. Nienawiść dodaje energii. I prawdopodobnie przyspiesza metabolizm.

Do sali weszły kolejne dwie osoby i Frances na nie skierowała całą uwagę. Postanowiła się z nimi zaprzyjaźnić, kiedy tylko wolno jej będzie się odezwać. Była mistrzynią w zawieraniu nowych znajomości. Bez wątpienia seryjny morderca nie posiadał tej umiejętności, więc ona wygrywała w przedbiegach.

Pierwsza zjawiła się kobieta pod czterdziestkę, w obszernym, nowiutkim podkoszulku, sięgającym jej prawie do kolan, i czarnych legginsach, czyli w standardowym stroju, jaki wybierały kobiety średniej postury, zaczynając nowe zajęcia ruchowe, w przekonaniu, że powinny ukrywać swoje zupełnie normalne ciała. Gęste, czarne, kędzierzawe włosy zaplotła w warkocz, w którym połyskiwały siwe pasma, a jej czerwone okulary typu kocie oczy świadczyły o tym, że pozuje na

neurotyczną intelektualistkę. (Frances też takie miała). Kobieta sprawiała wrażenie lekko rozgorączkowanej, jakby w ostatniej chwili wpadła do odjeżdżającego autobusu i czekało ją tego dnia mnóstwo spraw do załatwienia, dlatego zamierzała wcześniej wyjść z zajęć.

Za roztargnioną intelektualistką szedł zachwycająco przystojny mężczyzna, z wysokimi kośćmi policzkowymi i błyszczącymi oczami, który przystanął w drzwiach niczym gwiazda filmowa wkraczająca do studia telewizyjnego przy frenetycznym aplauzie. Miał wypiełgnowany dwudniowy zarost, ciało o idealnych proporcjach i był głęboko zakochany w sobie, co zresztą było w pełni zrozumiałe.

Na jego widok Frances zachciało się śmiać. Nawet postawni, czarnowłosi i zabójczo przystojni bohaterowie jej powieści nie dorównywali mu urodą. Gdyby wzorowała na nim jakąś postać, musiałyby chyba posadzić ją na wózku inwalidzkim. Nawet pozbawiony przez nią obu nóg wciąż nadawałby się na protagonistę romansu.

Usiadł na macie z taką swobodą, jakby codziennie praktykował jogę.

Frances poczuła bolesny skurcz karku, bo usilnie starała się siedzieć w takiej pozycji, by w jej polu widzenia nie znalazł się seryjny morderca. Wyprostowała plecy. Czasem potrafiła zamęczyć samą siebie.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

Siedział przygarbiony, wsuwając palec do dziury przy szwie podkoszulka.

Z westchnieniem odwróciła od niego wzrok. Nie zasługiwał nawet na jej nienawiść.

I co teraz?

I nic. Siedzieli i czekali. Niby co mieli robić?

Chęć podjęcia interakcji była nieodparta.

Jessica, która siedziała przed Frances, chrząknęła, jakby zamierzała się odezwać.

Ktoś z tyłu zakaszłał.

Frances mu zawtórowała. Jej kaszel brzmiał trochę niepokojąco. Prawdopodobnie nabawiła się infekcji płuc. Mieli tu antybiotyki? Czy zamierzali ją leczyć naturalnymi suplementami? Wtedy pewnie rozchorowałyby się na dobre i umarła.

Takie pokastywania i pochrząkiwania kojarzyły jej się z atmosferą panującą w kościele. Kiedy po raz ostatni brała udział w nabożeństwie? Pewnie podczas jakiegoś

ślubu. Dzieci jej przyjaciółek zaczynały się pobierać. Dziewczyny, które w latach osiemdziesiątych nosiły buty krzyczące „zerznij mnie”, teraz jako przykładne matki panien młodych wybierały kostiumy z bolerkiem zakrywającym ramiona.

Podczas ślubu można było przynajmniej cicho plotkować z sąsiadkami w oczekiwaniu na początek ceremonii albo pochwalić śliczne bolerko koleżanki. Teraz czuła się jak na pogrzebie, podczas którego ciszę mąciły tylko składane szeptem kondolencje. Właściwie wolałaby znaleźć się na pogrzebie, bo nie musiałaby za niego płacić.

Żałośnie potoczyła wzrokiem po sali. Nie było tu witraży, które zazwyczaj podziwiała w kościołach. Nie było nawet okien wpuszczających światło dzienne. Pomieszczenie przypominało raczej loch. Trafiła do lochu w posiadłości na końcu świata z grupą nieznanym, z których przynajmniej jeden był seryjnym mordercą. Przeszył ją gwałtowny dreszcz. Klimatyzacja hulała na cały regulator. Frances, przypomniawszy sobie wykonaną przez skazańców-murarzy inskrypcję, którą pokazał jej Yao, zastanawiała się, czy po ośrodku bląkają się ich udręczone dusze. Akcję kilku swoich powieści umieściła w nawiedzonych domach. Dzięki temu rozwiązaniu z łatwością budowała sceny, w których postacie mogły rzucać się sobie w ramiona.

Napoleon kichnął. Wysoki odgłos przypominał psi skowyt.

– Na zdrowie! – zakrzyknął przystojniak.

Frances wstrzymała oddech. Już złamał regułę szlachetnego milczenia!

Mężczyzna zasłonił usta dłonią. Miał rozbiegany wzrok. Frances z trudem powstrzymywała rozpierający ją śmiech. O Boże, takie sytuacje pamiętała ze szkoły. Zauważyła, że przystojniak cały się telepie. On też tłumił rozbawienie. Zachichotała. Czowała, że za moment wybuchnie śmiechem i ktoś wyrzuci ją z sali, każąc wrócić dopiero, „jak nad sobą zapanuje”.

– *Namaste*. Dzień dobry.

Atmosfera zmieniła się w okamgnieniu, kiedy do sali weszła osoba, która zdawała się elektryzować otaczające ją cząsteczki powietrza. Ściągnęła na siebie wszystkie spojrzenia, a wszelkie pokasływania, kichnięcia i pochrząkiwania momentalnie ucichły.

Śmiech rozpierający Frances nagle zniknął. Przystojniak zamarł.

– Serdecznie witam w Tranquillum House. Mam na imię Masza.

Wyglądała oszłamiająco. Jak supermodelka. Albo mistrzyni olimpijska. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, bardzo jasną cerę i zielone oczy, tak ogromne i wyraziste jak u kosmitki.

W porównaniu ze zgromadzonymi w sali gośćmi, nawet z przystojniakiem, Masza zdawała się reprezentować inną, wyższą rasę. Jak na kobietę mówiła dość niskim, głębokim głosem, z intrygującym akcentem, lekko zniekształcając niektóre głoski. W jej ustach *namaste* zabrzmiało jak *nem aste*. Jej intonacja, choć typowa dla australijskiej angielszczyzny, brzmiała nieco z rosyjska. Kobieta mogłaby być rosyjskim szpiegiem. Albo morderczynią. Tak jak pozostali pracownicy była ubrana na białą, ale na niej ubiór ten wyglądał nie jak uniform, tylko jak z rozmysłem wybrany, idealnie dopasowany do niej strój.

Jej wyćwiczone ramiona i nogi były smukłe i jędrne. Zafarbowane na platynowy blond włosy obcięła tak krótko, że zapewne wystarczyło, by po porannym prysznicu otrząsnęła się jak pies i już była gotowa mierzyć się z kolejnym dniem.

Frances sposepniała, taksując wzrokiem doskonale ukształtowane ciało Maszy i porównując je ze swoim. Obwisły biust, krągłe biodra i miękki brzuch upodabniały ją raczej do Jabby z *Gwiezdných wojen*.

„Przestań”, skarciła się w myślach. Samobiczowanie się nie leżało przecież w jej naturze.

Nie byłaby jednak ze sobą do końca szczerą, gdyby udawała, że ciało Maszy nie budzi zachwyty. Nigdy nie kupowała komunałów pod tytułem „każdy jest piękny”, wciskanych wyłącznie kobietom, bo w przypadku facetów uroda nie miała żadnego wpływu na poczucie męskości. Fizyczność Maszy, tak jak tego przystojniaka, nieodparcie przykuwała uwagę. Frances, by wyrzeć wpływ na otaczających ją ludzi, musiała coś powiedzieć, napisać, uciec się do flirtu albo żartu, w każdym razie jakoś się wysilić, z doświadczenia bowiem wiedziała, że w przeciwnym razie może sobie stać przed ladą w sklepie, a i tak nikt jej nie obsłuży. Maszy nie dało się ignorować. Wystarczyło, że się pojawiła, i wszystkie spojrzenia kierowały się w jej stronę.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Masza bez pośpiechu wodziła wzrokiem po sali, jakby napawała się cichym posłuszeństwem podopiecznych siedzących ze skrzyżowanymi nogami.

„Ta sytuacja ma w sobie coś ponizającego”, pomyślała Frances. „Siedzimy u jej stóp jak przedszkolaki. Milczymy, a ona mówi”. Choć zasady zabraniały kontaktu wzrokowego, Masza zdawała się go prowokować. Ustanowiła reguły tylko po to, by je złamać. „To ja tu płacę”, pomyślała Frances. „A ty dla mnie pracujesz, moja droga”.

Masza spojrzała na nią ciepło i radośnie, jakby przyjaźniły się od dawna, i to, co wyczytała w myślach Frances, bardzo ją ubawiło.

Wreszcie się odezwała.

– Dziękuję za waszą gotowość do zachowania szlachetnego milczenia. – Znowu zniekształciła kilka głosek. Zrobiła pauzę. – Mam świadomość, że dla niektórych z was okres ciszy to szczególne wyzwanie. Wiem też, że zostaliście zaskoczeni. Możecie odczuwać frustrację i gniew. Pewnie sobie myślicie: nie tak to sobie wyobrażałem! Rozumiem was i powiem wam tyle: ci, którym milczenie sprawi największą trudność, najsilniej odczują jego dobroczynne oddziaływanie.

„Mhm”, pomyślała Frances. „To się jeszcze okaże”.

– Stanęliście u stóp góry – kontynuowała Masza – a szczyt wydaje się nieosiągalny, ale ja pomogę się wam na niego wspiąć. Za dziesięć dni będziecie innymi osobami. Podkreślam to, bo to ważne.

Kolejna pauza. Masza potoczyła wzrokiem po sali, jakby prześmiewczo odgrywała polityka podczas wiecu. Dramatyzm w jej głosie był tak przesadny, że nikogo nie bawił. Jeśli to miała być parodia, to zupełnie się nie udała.

– Za dziesięć dni będziecie innymi osobami – powtórzyła Masza.

Nikt się nie ruszył.

Frances poczuła, jak w całym pomieszczeniu zatliły się płomyczki nadziei. Och, gdyby tak ulec przemianie, stać się kimś innym, lepszym.

– Opuścicie Tranquillum House szczęśliwsi, zdrowsi, lżejsi i wyzwoleni – oznajmiła Masza.

Każde słowo brzmiało jak błogosławieństwo. Szczęśliwsi. Zdrowsi. Lżejsi. Wyzwoleni.

– Ostatniego dnia turnusu przyjdziecie do mnie i powiecie: Masza, miałas rację! Stałem się kimś zupełnie innym. Wyzdrowiałem. Uwolniłem się od złych nawyków,

chemikaliów, toksyn i myśli hamujących mój rozwój. Moje ciało i umysł się oczyściły. Przemiana przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania.

„Ale pieprzy”, pomyślała Frances, choć jednocześnie przez głowę przemknęło jej co innego: „Błagam, niech to się okaże prawdą”.

Wyobraziła sobie, jak za dziesięć dni wraca do domu wolna od bólu, pełna energii, bez śladu przeziębienia, gibka jak sprężyna, całkowicie oczyszczona, nie pamiętając nawet o tym, jak ją zranił i upokorzył ten oszukańczy romans! Będzie kroczyć z dumnie podniesionym czołem, nie przejmując się tym, jak zostanie przyjęta jej nowa książka. Gdzieś będzie miała tę złośliwą recenzję.

(Teraz ten artykułik znowu stanął jej kością w gardle, nie mogła swobodnie oddychać ani przełknąć śliny).

„Może nawet”, pomyślała z podekscytowaniem, z jakim dzieci wyczekują zazwyczaj Bożego Narodzenia, „uda mi się znowu wcisnąć w tę fantastyczną kieckę od Zimmermanna, w której zawsze mogę liczyć na komplementy” (najczęściej ze strony mężów koleżanek, co zawsze jest niezmiernie satysfakcjonujące).

Może w nowym wcieleniu po powrocie do domu napisze thriller albo kryminał w starym stylu z galerią barwnych postaci tających mnóstwo sekretów i rozkosznie przerysowanym czarnym charakterem. Fajnie byłoby kogoś zadźgać świecznikiem albo otruć herbatą. Akcja mogłaby się rozgrywać w sanatorium! Narzędziem zbrodni byłaby jedna z tych zielonych elastycznych taśm, które widziała w siłowni. A może lepiej osadzić wydarzenia w przeszłości, w ośrodku pełnym chorobliwie bladych gruźlików? Bez trudu wplotłaby w fabułę wątek romansowy. Kto ich nie lubił?

– Podczas tej podróży czeka was wiele niespodzianek – mówiła dalej Masza. – Każdego ranka o świcie otrzymacie dzienny grafik, spodziewajcie się jednak nieoczekiwanych modyfikacji i nieprzewidzianych zmian. Wiem, to może okazać się niełatwe dla tych, którzy przywykli do kurczowego trzymania w rękach sterów swojego życia.

Dla lepszego efektu z radosną miną uniosła zaciśnięte pięści. Jej uśmiech był zniewalający: ciepły, promienny i zmysłowy. Frances bezwiednie go odwzajemniła i rozejrzała się, sprawdzając, czy pozostali również ulegli jego czarowi. W rzeczy samej. Nawet seryjny morderca uśmiechał się do Maszy, choć wyglądał tak, jakby

wbrew jego woli rozciągnięto mu na moment wargi, a kiedy tylko odzyskał nad nimi kontrolę, opuścił kąciki ust i z pochmurną miną zajął się wyskubywaniem nitki z obszarpanego brzegu podkoszulka.

– Wyobraźcie sobie, że jesteście liśćmi niesionymi przez strumień – powiedziała Masza. – Zrelaksujcie się i rozkoszujcie podróżą. Nurt nie raz wami zakołysze, ale doprowadzi was dokładnie tam, dokąd powinniście dotrzeć.

Napoleon w zamyśleniu pokiwał głową.

Frances wbiła wzrok w nieruchome, wyprostowane plecy Bena i Jessiki, którzy – choć tak młodzi i szczupli – nagle wydali jej się zupełnie bezbronni, nawet jeśli podnosząc się z krzesła, nie wydawali z siebie ciężkiego westchnienia.

Ben zwrócił się w stronę Jessiki i już otworzył usta, ale niczego nie powiedział. Kiedy dziewczyna przesunęła rękę, światło rozpromieniło wielki brylant na jej palcu. Dobry Boże. Ile ten kamień miał karatów?

– Zanim zaczniemy pierwszą medytację kierowaną, podzielę się z wami pewną opowieścią – powiedziała Masza. – Dziesięć lat temu umarłam.

A to niespodzianka. Frances nastawiła uszu.

Nagle Masza spojrzała na nich z osobliwą dobroduszością.

– Jeśli nie wierzycie, zapytajcie Yao!

Frances zerknęła na swojego opiekuna, który zdawał się tłumić uśmiech.

– W wyniku zawału znalazłam się w stanie śmierci klinicznej. – W oczach Maszy błysnęła obłąkańcza radość, jakby opowiadała o najlepszym dniu swojego życia.

Frances zmarszczyła czoło. „Zaraz, zaraz, co Yao ma z tym wspólnego? Był wtedy przy tobie? Nie zbaczaj z tematu, Masza”.

– O takich osobach jak ja mówi się, że „otarły się o śmierć” – kontynuowała Masza. – Moim zdaniem to nieadekwatne wyrażenie, bo wcale nie otarłam się o śmierć, tylko po prostu umarłam. Doświadczyłam jej, za co jestem bezgranicznie wdzięczna. To spotkanie ze śmiercią na dobre zmieniło moje życie.

Nikt nie zakaszlał ani się nie poruszył. Wszyscy wciąż byli pod wrażeniem czy zamarli z zażenowania?

„Oho, pora na opowieść o światełku w tunelu”, pomyślała Frances. Czy nauka nie

wyjaśniła tego zjawiska? Choć w duchu drwiła z Maszy, dostała delikatnej gęsiej skórki.

– Tamtego dnia, przed dziesięcioma laty, na chwilę opuściłam swoje ciało – mówiła dalej Masza z pewnością siebie, która z góry wykluczała jakikolwiek sprzeciw. Omiotła zgromadzonych wzrokiem. – Wielu z was pewnie mi nie wierzy. Myślicie sobie: naprawdę umarła? Powiem tylko tyle: Yao był jednym z sanitariuszy, którzy się mną zajmowali. – Skinęła mu głową, a on odpowiedział jej tym samym. – Może potwierdzić, że moje serce się zatrzymało. Później się zaprzyjaźniliśmy i razem zainteresowaliśmy się wellness.

Yao jeszcze energiczniej pokiwał głową. Tylko jej się zdawało, czy ta druga konsultantka przewróciła oczami? Zawodowa zawiść? Jak ona miała na imię? Dalila.

Co się stało z Dalilą po tym, jak obcięła włosy Samsonowi? Frances chętnie sprawdziłaby to w internecie. Jak miała tu przetrwać, jeśli jej trywialne pytania musiały czekać na odpowiedzi aż dziesięć dni?

Masza kontynuowała przemowę.

– Chciałabym opowiedzieć więcej o tym doświadczeniu, ale trudno mi znaleźć właściwe słowa. Zresztą, nic dziwnego, to doznanie przekraczające ludzkie zdolności pojmowania. Nie umiem go opisać.

„Mogłabyś przynajmniej spróbować”. Frances z irytacją podrapała się po przedramieniu, którego swędzenie mogło być symptomem choroby Alzheimera, jak głosił nagłówek pewnego internetowego artykułu, choć nie mogła się w tej chwili upewnić, bo nie wolno jej było korzystać z tego cholernego internetu.

– Jedno wam powiem – ciągnęła dalej Masza. – Istnieje inna rzeczywistość, równoległa wobec tej, którą znamy. Wiem, że śmierci nie należy się bać.

„Ale lepiej jej unikać”, dodała w myślach Frances. Im bardziej poważnieli otaczający ją ludzie, tym bardziej jej zbierało się na żarty. Uważała to za swoją wadę.

– Umierając, po prostu opuszczamy nasze ziemskie ciała. – Masza poruszyła swoje ziemskie ciało z nieziemską gracją. Chyba chciała zademonstrować, jak zrzucić z siebie doczesną powłokę. – To naturalny proces, jak przejście do drugiego pomieszczenia albo wychodzenie z łona matki.

Urwała. Coś się poruszyło w głębi sali.

Frances odwróciła się i zobaczyła, jak Zoe, najmłodsza kuracjuszka, płynnie wstaje z siadu skrzyżnego.

– Przepraszam – wyszeptała bełkotliwie.

Frances zauważyła, że dziewczyna ma w uszach mnóstwo kolczyków, w miejscach, które, jak się wydawało, nie nadają się do przekłucia. Zoe była blada. Miała w sobie coś niezwykłego, chwytającego za serce, może z powodu młodego wieku, a może dlatego, że Frances była stara.

– Przepraszam.

Jej rodzice spojrzeli na nią z zaniepokojeniem, wyciągając ręce, jakby chcieli ją chwycić. Zoe pokręciła gwałtownie głową.

– Łazienki są tam – poinformowała ją Masza.

– Potrzebuję tylko... zaczerpnąć powietrza – powiedziała Zoe.

Heather wstała.

– Pójdę z tobą.

– Mamo, nie trzeba, nic mi nie jest – powstrzymała ją Zoe. – Proszę, pozwól mi... – Wskazała na drzwi.

Wszyscy czekali w napięciu na rozstrzygnięcie tego małego konfliktu.

– Na pewno to nic poważnego – zawyrokowała zdecydowanym tonem Masza. – Wróć, jak będziesz gotowa, Zoe. Zmęczyłaś się długą podróżą.

Heather skapitulowała z widoczną niechęcią i usiadła.

Wszyscy odprowadzili Zoe wzrokiem.

Nagle w sali dało się wyczuć poruszenie, jakby wyjście Zoe zaburzyło panującą wcześniej równowagę. Masza głęboko zaczerpnęła powietrza przez nos i wypuściła je ustami.

Ktoś się odezwał:

– Skoro to... szlachetne milczenie... zostało przerwane, to czy mogę o coś zapytać?

W głosie seryjnego zabójcy pobrzmiwała napastliwość świadcząca o morderczych instynktach. Ledwie otwierał usta, jakby wypluwał z siebie słowa. Był wyraźnie poirytowany.

Frances zauważyła, że na dźwięk jego głosu Masza troszkę szerzej otworzyła oczy.

- Jeśli uważasz, że to ważne w tej chwili.
- Facet zadziornie wysunął dolną szczękę.
- Czy ktoś szperał w naszych bagażach?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zoe

Kiedy zamknęły się za nią ciężkie dębowe drzwi sali do medytacji, Zoe stanęła przed schodami, zgięła się wół z dłońmi na udach i próbowała złapać oddech.

Ostatnio zdarzały jej się drobne napady paniki. Nie były tak intensywne, by trzeba było wzywać karetkę. Po prostu przydarzały jej się epizodyczne ataki, kiedy nagle bez powodu jej serce zaczynało galopować jak podczas zajęć ze spinningu. Miała prawo dyszeć i sapać, kiedy ostro pedałowiała na rowerze stacjonarnym, ale nie wtedy, kiedy siedziała beczynn timerze ze skrzyżowanymi nogami, wysłuchując jakiejś wariatki, która rozprawia o śmierci.

Przyszło jej na myśl to, co mawiał Zach. Twierdził, że podczas ataku astmy czuje się tak, jakby na jego klatce piersiowej leżało dziesięć cegieł.

Zoe położyła dłoń na piersi. Nie czuła ucisku. To nie była astma, tylko najzwyczajniejsza pod słońcem panika.

Zawsze potrafiła zidentyfikować jej przyczynę. Tym razem wywołała ją Masza swoją obłąkańczą paplaniną o cudownym doświadczeniu śmierci klinicznej. Przypomniał jej się wiersz *Śmierć jest niczym*, odczytany przez wujka Alessandra na pogrzebie jej brata. Zoe doszła do wniosku, że to głupie wierszydło to stek bzdur, a jej brat wcale nie przeszedł do drugiego pokoju, tylko zniknął, zamilkł na zawsze, nie napisze już wiadomości, postu ani tweetu, i nagle zaczęła walczyć o oddech, myśląc tylko o jednym: Wyjdz.

Było jej głupio, że przerwała szlachetne milczenie, szczególnie po tym, jak kichnięcie taty tak wzburzyło zgromadzonych w sali. Nie mieli pojęcia, że tym razem jej ojciec zrobił to wyjątkowo powściągliwie. Jeden z jego uczniów zmontował kiedyś

filmik złożony z jego prychnięć, dodał ścieżkę dźwiękową i całość zatytułował *Pan Marconi kicha*. Nagranie cieszyło się niezłą oglądalnością.

Zza drzwi dobiegł męski głos:

– Czy ktoś szperał w naszych bagażach?

Mogłaby iść o zakład, że odezwał się ten podejrzany typ, prawie tak wysoki jak jej ojciec i dwa razy grubszy. Zoe nie dosłyszała odpowiedzi.

Wspięła się po wąskich kamiennych schodach i z całej siły pchnęła drugie ciężkie drzwi prowadzące do głównej części budynku.

Nie mogła zniknąć na długo, żeby rodzice się nie martwili, co dodatkowo ją przytłaczało. Od śmierci jej brata zachowywali się tak, jakby życie Zoe było stale w niebezpieczeństwie i tylko ich ukradkowy, ciągły dozór mógł ją ocalić. Mama i tata święcie wierzyli w to, że jeśli Zoe nie zaszczepi się przeciw grypie, jeśli co pół roku nie podda auta kontroli hamulców, jeśli nie zaplanuje drogi powrotnej do domu, to niechybnie umrze. To nie podlegało dyskusji. Kiedy od niechcienia pytali ją: „Zamawiasz ubera?”, to chociaż odwracali wzrok i próbowali czymś zająć ręce, nie potrafili zatuszować przerażenia czającego się między słowami, przez które nie potrafiła na nich machnąć ręką, nie oddalała się, kiedy matka, stojąc tuż obok, wsłuchiwała się w jej oddech, choć Zoe nigdy nie chorowała na astmę, w przeciwieństwie do Zacha, który cierpiał na nią od dziecka. Z całych sił powściągała irytację, pozwalała im dalej nasłuchiwać, odpowiadała na każde ich pytanie i nie szczydziła im zapewnień, których tak potrzebowali.

Nie mogła teraz zniknąć. Postanowiła odetchnąć przez dziesięć minut, a potem po cichu wrócić do sali, licząc na to, że wtedy Szalona Masza zdąży już roztoczyć nad wszystkimi kontrolę i skłonić ich do medytacji w absolutnej ciszy.

Nie natknęła się na żadnego pracownika ośrodka, idąc do Sali Lawendowej. Do bólu lawendowej. W kilku wysokich wazonach stały pęki lawendy, tapicerka sof i poduszki były utrzymane w rozmaitych odcieniach fioletu, a dla mało kumatych na lawendowych ścianach rozwieszono zdjęcia lawendy.

Zoe podeszła do okna wychodzącego na ogród różany. Prostokąt soczyście zielonej trawy z rabatkami pełnymi białych róż był ogrodzony wysokim żywopłotem. Następnego dnia o świcie mieli tam ćwiczyć tai-chi.

Zoe byłaby w szoku, gdyby się okazało, że w tym całkiem ładnym, choć nudnawym miejscu naprawdę przeszukiwano bagaże! Na szczęście na wszelki wypadek zachowała środki ostrożności. Potrafiła przemycać wódkę na bezalkoholowe imprezy. Zapakowała kontrabandę jak prezent, owinąwszy butelkę folią bąbelkową, by zakamuflować jej kształt, i doczepiła bilecik z życzeniami: „Kochanym Rodzicom z okazji rocznicy!”. Po powrocie do pokoju zastała pakunek nietknięty.

W dwudzieste pierwsze urodziny Zacha zamierzała o północy wznieść za niego toast kieliszkiem wina. Kiedy się urodzili, nauczyciel matematyki ze szkoły, w której uczył tata, podarował im po butelce grange’a, co było dość nietuzinkowym prezentem dla niemowlaków. Wino należało pewnie przechowywać w piwniczce z regulowaną temperaturą, ale rodzice Zoe nie należeli do koneserów drogich trunków. Podarunek wyładował na dnie bieliźniarki, pod ręcznikami kąpielowymi, gdzie przez wszystkie te lata czekał na ich dwudzieste pierwsze urodziny. Jak dowiedziała się z internetu, ten rocznik cechował się „znakomitą klarownością, nutami suszonych owoców i przypraw oraz długim, bogatym finiszem”.

Ten opis z pewnością rozbawiłby Zacha. „Długi, bogaty finisz”.

Wodząc wzrokiem po miękko zarysowanych, turkusowych wzgórzach majaczących na horyzoncie, przypomniała sobie, jak usilnie jej były chłopak próbował ją namówić, by razem z grupą przyjaciół wyruszyli na wyprawę surfingową na Bali. Nie przyjmował do wiadomości jej kategorycznej odmowy.

– Muszę zostać z rodzicami – powtarzała. – Jedźmy kiedy indziej, byle nie w styczniu.

W końcu się wkurzył, postanowili zrobić sobie przerwę i nagle ze sobą zerwali. A wydawało jej się, że go kocha.

Delikatnie oparła czoło o szybę. Naprawdę myślał, że ona woli być tu z rodzicami, zamiast z nim na Bali?

Poprzedni styczeń był straszny, jakby rodzice płonęli w środku, a ich wnętrzości się roztopiły, choć na zewnątrz udawali, że wszystko gra.

– Cześć. Zoe, prawda? Spotkałyśmy się wcześniej. Mam na imię Frances.

Zoe odwróciła się od okna i zobaczyła tę blondynkę z ustami pomalowanymi na jaskrawoczerwono, którą tata zatrzymał na schodach. Właśnie spinała włosy

o truskawkowym odcieniu dużą szylkretową klamerką, a jej twarz była lekko zaczerwieniona.

– Cześć – przywitała się Zoe.

– Wiem, nie wolno nam rozmawiać, ale szlachetne milczenie i tak już zostało przerwane w wyniku nieprzewidzianych wypadków.

– Co tam się dzieje?

– Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie – odparła Frances, siadając na lawendowej kanapie. – Ojej, to jedna z tych, w których człowiek cały się zapada. – Wsunęła dwie poduszki pod plecy. – Aua. Mój krzyż. Aua. – Zaczęła się wiercić. – Nie. Już w porządku. O wiele lepiej. No cóż. Zauważyłaś tego ponuraka, który tak przeraźliwie kaszlał? W sumie ja też podle się czuję. Lepiej się do mnie nie zbliżaj, nie chcę cię zarazić, choć wydaje mi się, że moje zarazki są łagodniejsze niż jego. W każdym razie facet strasznie się emocjonuje, bo, jak wywnioskowałam, próbował tu przemycić cały minibarek, a ja, no cóż, powinnam pewnie wesprzeć tego smutasa, bo nie ma się czym chwalić, ale mnie też zabrali to i owo z torby. W końcu to naruszenie prywatności, tak nie wolno postępować, mamy chyba jakieś prawa? – Uniosła zaciśniętą pięść. Ten wojowniczy gest wywołał uśmiech na twarzy Zoe, która usiadła na kanapie naprzeciwko Frances. – Ale zrobiło mi się wstyd, bo nie chciałam, żeby wszyscy się dowiedzieli, że mi też skonfiskowano kontrabandę. Wiem, nie jesteśmy uczestnikami *Rzykantów*, ale nie chciałam się sprzymierzać z tym facetem, bo wydaje mi się jakiś taki... no cóż... więc powiedziałam, że też muszę zaczerpnąć powietrza, chyba nigdy w życiu nie wykazałam się taką odwagą.

– Też przywiozłam kontrabandę – przyznała się Zoe.

– Naprawdę? – rozpromieniła się Frances. – Zabrali ci?

– Nie, jeśli szperali w moich rzeczach, to ją przeoczyli. Zapakowałam ją jak prezent dla rodziców.

– Genialne. Co przywiozłaś?

– Butelkę wina – odparła Zoe. – Bardzo drogiego. No i jeszcze opakowanie babeczek Reese's z masłem orzechowym. Jestem od nich uzależniona.

– Są pyszne. – Frances westchnęła. – Gratuluję. Spryt godny podziwu.

– Dziękuję.

Frances wzięła poduszkę i przytuliła się do niej.

– Bez problemu wytrzymam dziesięć dni bez wina, ale chciałam... sama nie wiem... napsocić.

– Ja nawet go nie lubię – wyznała Zoe.

– Och. Chciałaś udowodnić, że potrafisz oszukać system?

– Przywiozłam je, żeby uczcić nim dwudzieste pierwsze urodziny brata. Wypadają za kilka dni. Umarł trzy lata temu.

Dostrzegła, że Frances w jednej chwili sposepniała.

– Spoko – dodała czym prędzej. – Niewiele nas łączyło.

Większość jej rozmówców z ulgą przyjmowała tę informację, tymczasem mina Frances ani trochę się nie zmieniła.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Nie ma się czym przejmować. Jak wspomniałam, tak naprawdę... nie dogadywaliśmy się.

Zoe chciała jej to wytłumaczyć. „Wyluzuj! Rozgrzeszam cię!”

Przypomniało jej się, jak jej przyjaciółka Cara w dzień po śmierci Zacha powiedziała:

– Przynajmniej niewiele was łączyło. – Cara była blisko związana ze swoją siostrą.

– Jak miał na imię twój brat? – zapytała Frances, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Zach – odparła Zoe, a jego imię zabrzmiało dziwnie w jej ustach. Zaszumiało jej w uszach, jakby zaraz miała zemdleć. – Zoe i Zach. Byliśmy bliźniętami. Wybrali nam ślitaśne imiona.

– Moim zdaniem bardzo ładne – powiedziała Frances. – Jeśli jesteś jego siostrą bliźniaczką, to ty też masz urodziny za kilka dni.

Zoe wyjęła gałązkę lawendy z wazonu i zaczęła ją oskubywać.

– Technicznie rzecz biorąc. Ale nie świętuję już tego dnia. Przeniosłam urodziny na kiedy indziej.

Oficjalnie zmieniła datę urodzin na osiemnastego marca. To był znacznie lepszy termin. Robiło się już chłodniej, nie szalały gwałtowne burze. Osiemnastego marca

urodziła się babcia Maria, która powtarzała, że w jej urodziny ani razu nie padało i może faktycznie tak było. Cała rodzina zamierzała sprawdzić statystyki pogodowe, licząc na to, że babcia Maria zaobserwowała jakieś osobliwe zjawisko klimatyczne, ale pomysł nie doczekał się realizacji.

Babcia mawiała, że dożyje stu lat, jak jej matka, ale umarła w miesiąc po Zachu. Pękło jej serce, nawet lekarz tak stwierdził.

– Zach umarł w przeddzień naszych osiemnastych urodzin – dodała Zoe. – Organizowaliśmy imprezę sponsorowaną przez literkę Z. Zamierzałam przebrać się za siebie. Wtedy wydawało mi się to strasznie zabawne.

– Och, Zoe. – Frances nachyliła się do niej.

Zoe czuła, że jej rozmówczynie chciałyby ją przytulić, ale się powstrzymuje.

– Dlatego przesunęłam urodziny – wyjaśniła Zoe. – Nie miałam sumienia, by zmuszać rodziców do świętowania, bo zawsze są w rozsypce po tej strasznej rocznicy. Styczeń to dla nich niełatwy miesiąc.

– Trudno się dziwić – powiedziała Frances, patrząc na nią ze współczuciem. – Wyobrażam sobie, jak ciężko musi być wam wszystkim. Dlatego uznaliście, że dobrze będzie... uciec?

– Zależało nam na spokoju, więc wyjazd do sanatorium wydawał się niezłym pomysłem, bo żadne z nas nie żyje zbyt zdrowo.

– Naprawdę? Nie wyglądacie na schorowanych.

– No cóż, ja na przykład jem o wiele za dużo cukru – powiedziała Zoe.

– Cukier to nasz nowy wróg – orzekła Frances. – Niegdyś walczyliśmy z tłuszczem. A jeszcze wcześniej z węglowodanami. Trudno nadążyć.

– Ale cukier naprawdę szkodzi – upierała się Zoe. Nadązała bez trudu! Wszyscy wiedzieli, że cukier czyni spustoszenie w organizmie. – Potwierdziły to badania. Powinnam uwolnić się od tego uzależnienia.

– Mmm – przytaknęła jej Frances.

– Jem za dużo czekolady i nie potrafię sobie odmówić dietetycznej coli, dlatego moja cera jest w opłakanym stanie. – Zoe dotknęła ledwie widocznego pryszczka nad górną wargą. Nie mogła oderwać od niego palca.

– Masz nieskazitelną cerę! – Frances energicznie gestykulowała, pewnie starając się nie patrzeć na niedoskonałość na twarzy Zoe.

Zoe westchnęła. Ludzie powinni być szczerzy.

– Rodzice są fanatykami sportu, ale tata jest uzależniony od śmieciowego żarcia, a mama cierpi na zaburzenia odżywiania. – Nagle się zreflektowała. Matce nie spodobałaby się ta rozmowa. – Proszę jej nie mówić, że to powiedziałam. Tak naprawdę nie ma zaburzeń odżywiania, tylko dziwne nawyki żywieniowe.

Ich matka miała swoje zwyczaje jeszcze przed śmiercią Zacha. Nie znosiła widoku suto zastawionych stołów, co stanowiło nie lada problem, bo wyszła za mężczyznę z dużej włoskiej rodziny. Uskarżała się na zgagę, skurcze żołądka i inne „dolegliwości trawienne”, o których ledwie mgliście napomykała. Bezustannie robiła cyrk wokół jedzenia. Zawsze wywoływało u niej gwałtowne reakcje emocjonalne. Była „głodna jak wilk” albo „wzdęta”, albo „miała chętkę” na akurat w tym momencie nieosiągalny przysmak.

– A ty? – zwróciła się Zoe do Frances. Chciała zmienić temat. I tak wyjawiała nieznajomej zbyt wiele sekretów rodzinnych. – Dlaczego zdecydowałaś się na przyjazd tutaj?

– Och, no wiesz, trochę się zaniedbałam, zrobiłam sobie coś w plecy, nie mogę wyleczyć się z przeziębienia i przydałoby mi się zrzucić parę kilo... Zwyczajne bolączki wieku średniego.

– W jakim wieku są twoje dzieci? – zapytała Zoe.

– Nie mam dzieci – odparła z uśmiechem Frances.

– Och. – Zoe struchlała, przekonana, że właśnie popełniła jakieś seksistowskie *faux pas*. – Przepraszam.

– Nie ma za co – uspokoiła ją Frances. – Taką podjęłam decyzję. Nigdy nie widziałam się w roli matki. Nawet jako dziecko.

„Ale jesteś taka opiekuńcza”, pomyślała Zoe.

– Nie mam też męża – dodała Frances. – Tylko dwóch byłych. Chłopaka też nie mam. Jestem singielką w pełnym tego słowa znaczeniu.

Zabawne, że użyła słowa chłopak.

– To tak jak ja – powiedziała Zoe, a Frances się uśmiechnęła, jakby to stwierdzenie ją rozbawiło.

– Do niedawna wydawało mi się, że jestem zakochana w kimś, kto, jak się okazało, mnie oszukał – wyznała Frances. – Dałam się nabrać na „romans” – pokazała palcami cudzysłów – który okazał się przekrętem.

„O Boże”, pomyślała Zoe. „Szczyt głupoty”.

– A czym się zajmujesz? – Zmieniła temat, bo słuchając opowieści Frances, zaczęła się czerwienić z zażenowania.

– Piszę romanse – odparła Frances. – Chyba powinnam użyć czasu przeszłego. Wkrótce przyjdzie mi zmienić zawód.

– Romanse – powtórzyła Zoe.

„Najgorzej”. Zoe z całych sił starała się zachować neutralny wyraz twarzy. „Boże, błagam, byle się nie okazało, że to powieści erotyczne”.

– Dużo czytasz? – zapytała Frances.

– Trochę – odpowiedziała Zoe. „Ale nie tykam romansów”. – Dlaczego wybrałaś akurat ten gatunek?

– Jako piętnastolatka przeczytałam *Dziwne losy Jane Eyre*. To był trudny i bardzo smutny okres w moim życiu. Zmarł mój ojciec, więc byłam w żałobie, a przez burzę hormonów zrobiłam się strasznie emocjonalna. Kiedy dotarłam do tej słynnej kwestii, no wiesz której: „Czytelniku, poślubiłam go”, wywarła na mnie piorunujące wrażenie. Siedziałam w wannie i zalewając się łzami, powtarzałam szeptem: „Czytelniku, poślubiłam go”. Te słowa na dobre utkwily mi w pamięci. Czytelniku, poślubiłam... ooch! – Z dłonią na czole zademonstrowała swoje nastoletnie szloch.

Zoe się zaśmiała.

– Czytałaś *Dziwne losy Jane Eyre*? – zapytała Frances.

– Chyba oglądałam ekranizację – odparła Zoe.

– Ach, no cóż – powiedziała Frances ze zrozumieniem. – W każdym razie, dobrze wiem, że ten cytat stał się frazesem, na dodatek często parafrazowanym. „Czytelniku, rozwiodłam się z nim”. „Czytelniku, zabiłam go”. Jednak w tamtym trudnym okresie wywarł na mnie ogromne wrażenie. Nie mogłam się nadziwić, że trzy słowa tak mną

wstrząsnęły. Chyba wtedy zafascynowała mnie potęga języka. Pierwszy romans napisałam pod przemożnym wpływem Charlotte Brontë, zabrakło w nim tylko wariatki na strychu. Protagonista był wybuchową mieszanką pana Rochester'a i Roba Lowe'a.

– Rob Lowe! – zakrzyknęła Zoe.

– Powiesiłam sobie w pokoju jego plakat – powiedziała Frances. – Wciąż pamiętam smak jego ust. Były takie gładkie i delikatne. Całe z kredowego papieru.

Zoe zachichotała.

– Ja się tak podkochiwałam w Justinie Bieberze.

– Może gdzieś tu stoi jedna z moich powieści – zaciekawiła się Frances. – Często natykam się na nie w takich miejscach. – Potoczyła wzrokiem po rzędach książek w miękkiej oprawie i wreszcie uśmiechnęła się z dumą. – Bingo.

Wstała z dłonią opartą na lędźwiach, podeszła do regału i schyliła się po grubą, podniszczoną powieść.

– Proszę bardzo. – Wręczyła Zoe znalezisko i pojękując, z powrotem usiadła na kanapie.

– Czadowo – rzuciła Zoe. Książka wyglądała okropnie.

Nosiła tytuł *Pocałunek Nathaniela*, a na okładce widniała dziewczyna z długimi, jasnymi, kręconymi włosami, tęsknie wpatrzona w morską dal. Na szczęście obrazek nie miał akcentów erotycznych.

– Nikt nie chce wydać mojej ostatniej książki – pożałowała się Frances. – Chyba wkrótce będę musiała sobie znaleźć inne zajęcie.

– Och – westchnęła Zoe. – Tak mi przykro.

– No cóż. – Frances wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się z wysiłkiem i uniosła dłoń, a Zoe nie wiedziała, jak odczytać ten gest.

Jej przyjaciółka Erin uważała, że nie ma prawa narzekać, jeśli wcześniej nie zaznaczyła:

– Wiem, że to drobnostka w porównaniu z tym, przez co ty przeszłaś.

Szeroko otwierała pełne smutku oczy, a wtedy Zoe odpowiadała:

– Erin, minęły trzy lata, możesz sobie ponarzekać na życie!

Potem przytakiwała z udawanym współczuciem, myśląc sobie: „Faktycznie,

wymiana trzech opon w samochodzie to żaden powód do utyskiwań”.

– Lepiej wróć na dół – powiedziała Zoe. – Rodzice wpadają w paranoję, kiedy znikam im z radaru. Najchętniej wszczepiliby mi lokalizator.

Frances westchnęła.

– Też powinnam już wracać. – Jednak zamiast ruszyć się z miejsca, posłała Zoe zagadkowe spojrzenie. – Wierzysz w to, że podczas pobytu tutaj przejdziemy „transformację”?

– Nie za bardzo – odparła Zoe. – A ty jak uważasz?

– Sama nie wiem. Masza wygląda mi na taką, co to zawsze dopnie swego. Budzi we mnie paniczny lęk.

Zoe się zaśmiała i nagle obie zamarły, kiedy rozległ się dźwięk gongu, w który ktoś uderzał raz po raz, jakby bił na alarm.

Zerwały się na równe nogi, a Frances chwyciła Zoe za rękę.

– O Boże, czuję się jak w szkole z internatem! Myślisz, że wpadłyśmy w tarapaty? A może wybuchł pożar i nas ewakuują?

– To chyba tylko znak, że znowu mamy zamilknąć.

– Racja. No dobra, wróćmy razem. Pójdę przodem. Jestem starsza i tak naprawdę wcale się jej nie boję.

– Akurat!

– Okej, przyznaję, jestem przerażona! Szybko, chodźmy! Do zobaczenia po drugiej stronie ciszy.

– Przeczytam twoją powieść.

Z książką zabraną z Sali Lawendowej ruszyła na dół. Nie miała najmniejszej ochoty na czytanie romansów, ale złożyła tę idiotyczną deklarację, bo polubiła Frances.

– Nie wolno czytać w okresie ciszy.

– Mam buntowniczą naturę – odparła Zoe. Wsunęła książkę do spodenek kolarskich i zakryła ją podkoszulkiem. – Sprzymierzę się z tobą.

To nawiązanie do *Ryzykantów* wspomnianych wcześniej przez Frances nie było aż tak zabawne, ale pisarka przystanęła i obdarzyła Zoe promiennym uśmiechem.

– Och, Zoe, bardzo bym tego chciała.

I nagle ich przymierze stało się faktem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Masza

Dwie osoby, Zoe Marconi i Frances Welty, wyszły z sali do medytacji i jeszcze nie wróciły. Cisza została zmałona, bo jeden z gości, Tony Hogburn, domagał się zwrotu pieniędzy i straszył, że doniesie na Tranquillum House do Urzędu Ochrony Konsumenta, bla, bla, bla. Masza już to wszystko kiedyś przerabiała, ale zgromadzeni słuchali tyrady z zaciekawieniem, a może nawet z zaniepokojeniem.

Zauważyła lęk w oczach Yao. Niepotrzebnie tak się stresował. Nie było się czym przejmować. Masza bez trudu potrafiła spacyfikować nieszczęśliwego, schorowanego człowieka, histeryzującego jak małe dziecko. Rozwiązywanie nieoczekiwanych problemów dodawało jej energii. To była jedna z jej mocnych stron.

– Z radością zwrócę panu pełną kwotę. – Przyszpiliła Tony’ego wzrokiem jak motyla w gablotce. – Może pan w każdej chwili się spakować i opuścić ośrodek. Polecam, by w drodze powrotnej odwiedził pan pobliskie miasteczko, gdzie znajduje się zacny przybytek o nazwie Lwie Serce. Podają tam, między innymi, tak zwanego megaburdera z frytkami bez ograniczeń i napojem gazowanym. Ślinka cieknie, prawda?

– A żeby pani wiedziała – odszczeknął się Tony.

Jednak nie podniósł się z maty. „Och, słodziaku, jestem ci potrzebna. Dobrze o tym wiesz. Masz dość siebie. Nic dziwnego. Kto by chciał być tobą?”

Facet próbował wyswobodzić się spod jej spojrzenia, ale ona nie zamierzała dać za wygraną.

– Rozumiem pańskie niezadowolenie z faktu, że przeszukaliśmy pańskie bagaże, ale zaakceptowane przez pana warunki rezerwacji pozwalają nam zajrzeć do walizek gości i skonfiskować zakazane towary.

– Serio? Ktoś z państwa to przeczytał? – Tony rozejrzał się po sali.

Napoleon uniósł rękę. Jego żona, Heather, przewróciła oczami.

– Pewnie zapisaliście to drobnym maczkiem – irytował się Tony. Jego twarz przybrała barwę surowego steku.

– Przemiana bywa bolesna – powiedziała do niego Masza łagodnym tonem. Miała do czynienia z dzieckiem. Dużym, nadąsanym chłopcem. – Niektóre aspekty tego doświadczenia mogą wydać wam się kłopotliwe czy wręcz nieprzyjemne. Ale to tylko dziesięć dni! A każdy z nas przeżywa ich przeciętnie dwadzieścia siedem tysięcy.

Wybuch Tony’ego stanowił doskonałą okazję, by zweryfikować ich oczekiwania i wpłynąć na ich przyszłe zachowanie. Pozornie mówiła tylko do niego, ale tak naprawdę kierowała swój przekaz do wszystkich.

– Tony, możesz w każdej chwili wyjechać. Nikt cię tu nie trzyma na siłę! To sanatorium, a nie więzienie! – Kilka osób się zaśmiało. – Nie jesteś też dzieckiem! Możesz jeść i pić, co ci się żywnie podoba. Jednak przyjechałeś tu z jakiegoś powodu i jeśli postanowisz zostać, proszę cię, byś serio potraktował tę podróż, zaufał mi i pozostałym pracownikom Tranquillum House.

– No dobra... przyznaję, że nie przeczytałem tego fragmentu zapisanego drobnym drukiem. – Tony podrapał się po nieogolonej brodzie i wygładził fałdy na okropnych, grubych jeansach. – Po prostu nie spodobało mi się to, że ktoś szperał w moich rzeczach.

Agresja ulatniała się z jego głosu, a jej miejsce zajmowało zawstydzenie. Patrzył na Maszę oczami skazańca, który desperacko próbował uwolnić się z więzienia, jakim stało się jego schorowane, umęczone ciało.

Wygrała. Miała go w garści. Kiedy z nim skończy, będzie piękny. Tak jak cała reszta.

– Czy mogę coś jeszcze wyjaśnić, zanim ponownie zapadnie cisza? – Ben podniósł rękę.

Masza zauważyła, jak jego żona obrzuca go groźnym spojrzeniem i nieznacznie się od niego odsuwa.

– Tak, mam pytanie. Czy samochody zostały zaparkowane pod zadaszeniem?

Masza przyglądała mu się przez chwilę, by uświadomić mu, jak smutne jest jego przywiązanie do dóbr doczesnych.

Ben wyraźnie tracił rezon.

– Tak, stoją pod zadaszeniem, Ben. Nie martw się, nic im nie grozi.

– Okej, ale gdzie je zaparkowaliście? Obszedłem całą posiadłość i nie zauważyłem... – Mówiąc to, ściągnął czapeczkę i podrapał się w głowę.

Przez ułamek sekundy Masza oczyma wyobraźni zobaczyła, że zmierza ku niej inny, znajomo wyglądający, choć obcy chłopiec w czapeczce baseballowej. Poczuła, jak w jej sercu wzbiera miłość, i założyła ręce na piersi, by ukradkiem mocno się uszczypnąć, przepędzić tę wizję i wrócić do rzeczywistości, gdzie czekało na nią nowe zadanie.

– Jak już powiedziałam, samochody stoją w bezpiecznym miejscu.

Ben już miał coś powiedzieć, ale zamknął usta, kiedy jego żona syknęła coś przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli wszystko sobie wyjaśniliśmy, chciałabym wznowić szlachetne milczenie i rozpocząć medytację kierowaną. Yao, spróbuj gongiem dać znak nieobecny, że czekamy na ich powrót.

Yao uderzył w gong trochę mocniej, niż życzyłyby sobie tego Masza, i po krótkiej chwili do sali weszły Frances i Zoe z przeproszającymi, skruszonymi minami.

Masza natychmiast się zorientowała, że ze sobą rozmawiały i być może zdążyły się zakumplować, dlatego należało mieć je na oku. Cisza miała zapobiec takim przyjaźniom. Uśmiechnęła się do Frances i Zoe dobrodusznie, kiedy siadały na matach. Rodzice dziewczyny odetchnęli z ulgą.

– Choć będę was dziś prowadziła, medytacja to indywidualne doświadczenie. Odłóżcie na bok swoje oczekiwania i otwórzcie się na nowe możliwości. Wbrew temu, co przeczytaliście w informatorze, podczas tej sesji nie musicie siedzieć! Znajdźcie sobie naturalną, odprężającą was pozycję. Niektórzy decydują się na siad skrzyżny. Inni sadowią się na krześle, opuszczając stopy na podłogę. Jeszcze inni wolą się położyć. W tym względzie nie obowiązują żadne reguły!

Obserwowała, jak zgromadzeni z lekkim skrępowaniem wypróbują różne

pozycje. Frances położyła się na plecach. Tony i Napoleon usiedli na krzesłach. Reszta pozostała w siadzie skrzyżnym.

Masza dała im czas, by wygodnie się ułożyli.

– Zamknijcie i rozluźnijcie oczy.

Wyczuwała ich rozdygotane dusze, ich lęki, nadzieje, marzenia i obawy. Była w tym świetna. Doskonalenie umiejętności zawsze sprawiało jej ogromną przyjemność.

Wyobrażała sobie, że pewnego dnia podczas wywiadu usłyszy pytanie: „Czy wprowadzając nową metodę, byłaś choć trochę stremowana?”. A wtedy odpowiedziałaby: „Ani trochę. Przeprowadziliśmy gruntowne badania. Od początku wiedzieliśmy, że to będzie strzał w dziesiątkę”.

Może lepiej jednak przyznać się do lekkiego podenerwowania. W tym kraju ceniono pokorę. Za największy komplement pod adresem kobiety sukcesu uchodziło stwierdzenie, że jest „skromna”.

Spojrzała na dziewięcioro swoich gości, którzy z zamkniętymi oczami posłusznie czekali na dalsze instrukcje. Ich los spoczywał w jej rękach. Zamierzała ich zmienić, i to nie na chwilę. Na zawsze.

– Zaczynajmy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Frances

Pod koniec pierwszego dnia w Tranquillum House Frances leżała w łóżku, pijąc „wieczorne smoothie” i wbrew zakazowi czytając książkę. Nikt nie miał prawa wymagać od niej, by zrezygnowała jednocześnie z wina i lektur.

Nie skonfiskowano żadnej z czterech powieści, które zabrała ze sobą, by jakoś przetrwać nadchodzące dziesięć dni, bo w przeciwieństwie do wina i czekolady książki nie figurowały na liście towarów zakazanych (gdyby tak było, nie przyjechałaby tutaj), jednak za obwolutę każdej z nich zatknęto karteczkę z informacją: „Uprzejmie przypominamy, że czytanie jest niewskazane podczas szlachetnego milczenia”.

Wolne żarty. Nie potrafiła zasnąć bez czytania. Nie i koniec.

Zacząła od debiutu powieściowego, który wzbudził zachwyt krytyków. Książka narobiła sporo szumu. Wychwalano ją jako „kawał porządnej, wyrazistej literatury”, a jej autora Frances poznała rok wcześniej na przyjęciu. Był miłym i nieśmiałym (ale niezbyt wyrazistym) okularnikiem, dlatego Frances próbowała przymknąć oko na wybujałe opisy zwłok. Ile pięknych młodych kobiet musi umrzeć, zanim policji uda się namierzyć mordercę? Frances cmoknęła z niezadowoleniem.

Detektyw o twarzy zrytej bruzdami upijał się właśnie szkocką w zadymionym barze, a długonoga, o połowę od niego młodsza dziewczyna szeptała mu na ucho, bez znaków interpunkcyjnych (jak przystało na kawał dobrej literatury): „Zerznij mnie pragnę tego”.

W tym momencie miarka się przebrała i Frances cisnęła książką o ścianę. Chyba śnisz, kolego!

Położyła się z dłońmi splecionymi na piersi i przypomniała sobie głównego bohatera swojej debiutanckiej powieści, strażaka grającego na pianinie i recytującego

poezję. Jakież to urocze, że w wyobraźni takiego okularnika jak nasz autor zrodziła się scena, w której dwudziestokilkulatka szepcze na ucho pięćdziesięciokilkulatkowi: „Zerznij mnie pragnę tego”. Gdyby Frances jeszcze kiedyś wpadła na tego pisarza na jakimś festiwalu literackim, dla dodania otuchy poklepałaby go po plecach.

Zresztą, równie dobrze mogła się mylić. Może dwudziestokilkulatki właśnie tak się zachowywały? Zapyta o to Zoe.

Nie, akurat tego pytania nie powinna jej zadawać.

Wyciągnęła rękę w stronę stolika nocnego, sięgając po telefon, by poczytać wiadomości i sprawdzić prognozę pogody.

Przecież jej go zabrali.

Oczywiście. No cóż. Trudno.

Leżała na wypasionym łóżku z dobrym materacem, w świeżej pościeli z gęsto tkanej bawełny. Plecy bolały ją trochę mniej dzięki Jan i jej wielkim dłoniom.

Postanowiła postępować zgodnie z regulaminem, by uciszyć swój „małpi umysł”.

Faktycznie w jej głowie kotłowały się nowe twarze i doświadczenia: długa podróż samochodem, histeria na poboczu, seryjny morderca na wakacjach (to przez tę cholerną książkę wydawało jej się, że psychopaci czają się na każdym kroku), Ben i Jessica w swoim luksusowym samochodzie, Yao nieoczekiwanie napełniający probówkę jej krwią, Masza, która otarła się o śmierć, gadatliwy Napoleon i jego uczuciowa żona, urocza młoda Zoe z mnóstwem kolczyków i długimi, smukłymi, opalonymi nogami, siedząca w Sali Lawendowej i opowiadająca o swoim nieżyjącym bracie. To dlatego jej matka wydała się Frances taka emocjonalna. Po prostu była smutna. Przypomniła jej się jeszcze ten wysoki, ciemnowłosy przystojniak, który zakrzyknął: „Na zdrowie”, i speszona kobieta w takich samych okularach, jakie miała Frances.

Sporo jak na jeden dzień. Wszystkie te wydarzenia naprawdę ją zaabsorbowały. Nie miała czasu na dalsze roztrząsanie swoich nieszczęść, a to już było coś. Nie myślała nawet za wiele o Paulu Drabble’u, poza momentami, kiedy opowiadała o nim Jan i Zoe. Pod koniec turnusu powinna zapomnieć o tym internetowym przekręcie. O recenzji. O wszystkich kłopotach.

I schudnie. I to bardzo! Zaburczało jej w brzuchu. Była głodna. Nieco wcześniej tego wieczoru przyszło jej zjeść najkoszmarniejszy posiłek w dotychczasowym życiu.

Kiedy zasiadła przy długim stole w jadalni, przeczytała instrukcję na karteczce opartej o talerz:

W Tranquillum House zalecamy JEDZENIE Z NAMYSŁEM. Nabijaj na widelec niewielkie kawałki. Po każdym kęsie odłóż sztucce, zamknij oczy i żuj przez co najmniej czternaście sekund, delektując się smakiem.

„O Boże”, pomyślała Frances. „Nigdy stąd nie wyjdziemy”.

Odłożyła karteczkę i podniosła głowę, chcąc posłać komuś spojrzenie mówiące: „Wierzyć się nie chce”. Jediną osobą gotową na nią popatrzeć był ten zniewalająco przystojny mężczyzna, który chyba puścił do niej oko, i Zoe, która z drwiącym uśmiechem zrobiła minę pod tytułem: „Wiem. W głowie się nie mieści”.

Masza nie przyszła do jadalni, ale wydawała się stale obecna, niczym menedżer albo nauczyciel, gotów w każdej chwili się zjawić. Yao i Dalila nie usiedli z gośćmi, tylko stanęli z boku, po obu stronach dużego świecznika stojącego na bogato zdobionym kredensie. Światło w sali było przygaszone, a w świeczniku paliły się trzy świece.

Siedzieli w milczeniu przez dziesięć... długich... minut, aż wreszcie promiennie uśmiechnięta starsza pani w czapce kucharskiej przyniosła im posiłek. Nie odezwała się ani słowem, ale biła od niej życzliwość. Niegrzecznością byłoby jej nie podziękować. Frances starała się wyrazić wdzięczność skinieniem głowy.

Każdy dostał co innego. Heather i Zoe, siedzącym obok Frances, podano apetyczne steki z pieczonymi ziemniakami. Ona sama natomiast musiała zadowolić się sałatką z komosy. Danie było wyborne, ale w normalnym świecie Frances uznałaby je za przystawkę. Przeżuwane przez czternaście sekund zupełnie traciło smak.

Naprzeciwno niej zajął miejsce Napoleon, dla którego przewidziano jakąś potrawę z soczewicy. Nachylił się nad parującym talerzem i delektował aromatem dania. Widać było, jak wielką ma ochotę na pogawędkę. Frances poszłaby o zakład, że w innych okolicznościach rozprawiłaby o historii upraw soczewicy.

Seryjny morderca wbił potępiący wzrok w wielką miskę pełną sałaty, wziął do rąk sztucce i z tragiczną rezygnacją nabił na widelec trzy pomidorki koktajlowe.

Rozgorączkowana intelektualistka w dziwnych okularach z wyraźną rozkoszą

pałaszowała rybę.

Zachwycająco przystojnemu facetowi dostał się kurczak z warzywami, co lekko go rozbawiło.

Ben zjadł swoje warzywne curry na długo przed tym, jak reszta skończyła posiłek.

Jessice podano smażony makaron, który wyglądał całkiem smaczkowicie, ale tej biednej dziewczynie jedzenie go szło strasznie opornie. Mozolnie nawijała długie nitki na widelec, a potem serwetką ścierała z podbródka krople sosu.

Wszyscy milczeli, unikając kontaktu wzrokowego. Kiedy Napoleon kichnął, nikt się nie odezwał. Jak szybko ludzie przywykają do dziwnych reguł i obyczajów!

Heather po zjedzeniu niecałej połowy steku odłożyła sztucce, wzdychając z wyraźną irytacją. Frances musiała się powstrzymać, by nie rzucić się na mięso jak wygłodniały wilk.

Przez całą kolację Yao i Dalila nawet nie drgnęli i nie odezwali się ani słowem. Wyglądali jak dwoje lokajów, choć nie można było wezwać ich pstryknięciem palców i posłać do kuchni po dokładkę komosy i średnio wysmażony befsztyk z polędwicy.

Ciche mlaskanie, brzęk naczyń i chrobot sztucców zaczynały powoli irytować Frances. Gdzieś czytała o ludziach, którzy nie mogą znieść odgłosów wydawanych przy jedzeniu. Ta przypadłość miała swoją nazwę. Na pewno nie zdiagnozowano jej u niej tylko dlatego, że wyznawała zasadę, iż podczas posiłków należy rozmawiać. Zapisała sobie w pamięci kolejną rzecz do sprawdzenia w internecie, kiedy już zwróci jej telefon.

Wreszcie skończyli, wstali od stołu i wrócili do pokoi. Nie mogli nawet powiedzieć: „Dobranoc! Spokojnej nocy!”.

Teraz Frances dopiła smoothie i na myśl o czekających ją głodowych racjach, które przyjdzie jej spożywać w milczeniu, ogarnęła ją chęć powrotu do domu, i to z samego rana.

„Nikt nie wyjeżdża od nas przed końcem turnusu, Frances”, powiedział Yao kilka godzin wcześniej. No cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz. Frances miała okazję stworzyć precedens. Przypomniała sobie radę, jakiej udzieliła jej szeptem masażystka: „Nie zmuszaj się do robienia tego, na co nie masz ochoty”. Co miała na myśli? Frances nigdy nie postępowała wbrew sobie.

Potem w uszach zadźwięczały jej słowa Ellen: „Stosują tam niekonwencjonalne metody”. Przyjaciółka chyba nie wysłałaby Frances w niebezpieczne miejsce tylko po to, by schudła trzy kilo? Gdyby zgodziła się na drakońskie metody, oczekiwałaby znacznie większej utraty wagi. Czego należało się spodziewać? Chodzenia po rozżarzonych węglach, by dostąpić oświecenia? Na coś takiego Frances nigdy by się nie zdecydowała. Nawet chodzenie po rozgrzanym piasku nie sprawiało jej przyjemności.

Ellen uprzedziłaby ją o takich atrakcjach. Przecież serdecznie się przyjaźniły.

– Nigdy nie ufałam Ellen – oświadczyła pewnego razu Gillian złowieszczo i nieco przemądrzale. Zawsze mówiła tym tonem, wygłaszając komentarze o znajomych, jakby dawała do zrozumienia, że wszyscy wokół mają konszachty z mafią, a tylko ona o tym wie.

Frances bardzo jej teraz brakowało.

Ogarnęła ją fala zmęczenia, co było zrozumiałe po tak długiej podróży. Wyłączyła lampkę nocną i natychmiast zapadła w sen, leżąc na wznak, w pozycji, w jakiej zazwyczaj się opalała.

*

Na jej twarz padł snop światła.

Obudziła się z głośnym westchnieniem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lars

– Co jest, kurwa?

Lars usiadł z kołującym sercem. Przed jego łóżkiem stała jakaś postać i niczym pielęgniarka podczas szpitalnego obchodu świeciła mu latarką prosto w twarz.

Zapalił lampkę nocną.

Jego oczom ukazała się Dalila, jego przeurocza konsultantka wellness, trzymająca w jednej ręce szlafrok z godłem Tranquillum House. Milczała. Palcem przywołała go do siebie, jakby się spodziewała, że on posłusznie i bez słowa wykona polecenie.

– Nigdzie się nie wybieram, kochanie – zaproponował. – Jest środek nocy, a ja mam zamiar się wyspać.

Dopiero wtedy Dalila przemówiła:

– Czas na medytację w blasku gwiazd. To tradycja podczas pierwszej nocy. Nie możesz jej pominąć.

Lars opadł na poduszkę i zakrył oczy dłonią.

– A właśnie że mogę.

– Spodoba ci się. To naprawdę coś pięknego.

Lars odsłonił oczy.

– Zapukałaś, zanim weszłaś tu bez pozwolenia?

– Oczywiście, że tak – zapewniła go Dalila. Uniosła szlafrok. – Błagam. Stracę pracę, jeśli się tam nie zjawisz.

– Nie kłam.

– To całkiem możliwe. Masza życzy sobie, byśmy sprowadzili na dół wszystkich

gości. To potrwa tylko pół godziny.

Lars westchnął. Mógł dla zasady obstawać przy swoim, ale w tej chwili nie chciało mu się walczyć o prawo do przywilejów gwarantowanych obywatelom pierwszego świata. Zresztą i tak już się rozbudził.

Usiadł i wyciągnął rękę po szlafrok. Spał nago. Mógł wyskoczyć z łóżka, jak go Pan Bóg stworzył, żeby Dalili raz na zawsze odechciało się budzić gości w środku nocy, ale był zbyt dobrze wychowany. Dziewczyna odwróciła się, kiedy odrzucił kołdrę, ale i tak zauważył, że ukradkiem na niego zerknęła. Była tylko człowiekiem.

– Pamiętaj o ciszy – wspomniała Dalila, wychodząc na korytarz.

– Jakże mógłbym zapomnieć o cudownym szlachetnym milczeniu – zakpił Lars.

Konsultantka położyła palec na ustach.

*

Noc była jasna, gwiazdy jarzyły się na niebie, a księżyc w pełni oświetlał ogród srebrzystą poświatą. Balsamiczne powietrze koło skórę rozgrzaną po upalnym dniu. Lars musiał przyznać, że było mu bardzo przyjemnie.

Na dziewięciu ułożonych w krąg matach głowami do środka leżeli goście w szlafrokach z godłem Tranquillum House, a w centralnym punkcie okręgu, na trawie siedziała ze skrzyżowanymi nogami Masza, ich charyzmatyczna przywódczyni.

Lars zobaczył jedną pustą matę. Przyszedł jako ostatni. Ciekawe, czy to on zrobił największy szum o to, że wywleczono go z łóżka. Posłuszeństwo gości takich ośrodków nigdy nie przestało go zdumiewać. Pozwalali, by tarzano ich w błocie, owijano folią, głodzono, męczono, kłuto i dżgano, a wszystko to w imię „przemiany”.

Oczywiście, Lars też na wiele się zgadzał, ale tylko w pewnych granicach. Na przykład nie dał sobie zrobić lewatywy. Poza tym nie udzielał informacji na temat swoich wypróżnień.

Dalila wskazała Larsowi miejsce między kobietą, która zachichotała, słysząc jego: „Na zdrowie!”, i zwalistym facetem, który skarżył się, że skonfiskowano mu kontrabandę.

Ten grubas wyglądał znajomo. Podczas kolacji Lars nie mógł przestać się na niego gapić. Nie potrafił pozbyć się irytującego wrażenia, że skądś go zna, ale nie mógł sobie

przypomnieć skąd.

Był jednym z mężów jego klientek? W takim wypadku rozpoznałby Larsa i już dawno by się na niego rzucił, jak ten koleś stojący w kolejce do klasy ekonomicznej, który na jego widok wpadł w szal.

– TO TY! – darł się. – To przez ciebie lecę z bydłem!

Podczas tego lotu Lars ze szczególną rozkoszą delectował się perrier-jouëtem (a po wyjściu z samolotu czym prędzej zajął miejsce w kolejce z pierwszeństwem do kontroli celnej). Ten wielkolud nie wyglądał na jednego z poszkodowanych przez niego mężów, ale Lars był pewien, że gdzieś go już widział.

Nie miał pamięci do twarzy. Za to Ray posiadał tę umiejętność w stopniu doskonałym. Kiedy zaczęli oglądać nowy serial, Lars, siedząc na kanapie, wskazywał na ekran i mówił:

– To ona! Znamy ją. Ale skąd?

Ray zawsze znał odpowiedź.

– Z *Breaking Bad*. Dziewczyna głównego bohatera. Walt zostawił ją na pewną śmierć. A teraz się zamknij.

Był w tym świetny. Kiedy w wyjątkowych wypadkach Larsowi udawało się ubiec Raya, szalał z radości i domagał się przybijania piątki.

Teraz leżał na macie między grubasem i chichotką. Ona kojarzyła się Larsowi z kobietami portretowanymi przez Renoira: drobna twarz, duże oczy, kręcone włosy zebrane na czubku głowy, jasna cera, krągłe ciało, spory biust i prawdopodobnie niewielka doza próżności. Pewnie by się dogadali. Jak to hedoniści.

– *Namaste* – przywitała ich Masza. – Dziękuję, że zechcieliście wyjść z łóżek. Jestem wam wdzięczna za waszą skłonność do współpracy oraz za serca i umysły otwarte na nowe doświadczenia. Jestem z was dumna.

Była z nich dumna. Cóż za protekcjonalność. Nawet ich nie znała! Byli jej klientami. Płacili jej. A jednak Lars poczuł się zadowolony, jakby wszyscy chcieli, by Masza była z nich dumna.

– Oferowana przez nas terapia łączy w sobie ziołolecznictwo i wiedzę medyczną starożytnego Wschodu z najnowszymi osiągnięciami medycyny zachodniej. Choć nie

jestem buddystką, do naszych codziennych praktyk włączyłam elementy filozofii buddyjskiej.

„Tak, tak, Wschód spotyka Zachód, gdzieś już to słyszałem”, pomyślał Lars.

– Nie zajmę wam dużo czasu. Nie zamierzam się rozgadywać. Zamiast mnie przemówią gwiazdy. Czy to nie dziwne, że o nich zapominamy? W codziennym życiu krzątamy się jak mrówki, a spójrzcie, co mamy nad głowami! Przez całe życie wbijamy wzrok w ziemię. Czas skierować go w górę, na gwiazdy!

Lars popatrzył na rozgwieżdżone niebo.

Leżący po lewej grubas paskudnie zakaszłał. Zawtórowała mu piersiasta blondynka po prawej stronie. Jezu. Trzeba było założyć maseczkę ochronną. Lars wściekłby się, gdyby wrócił do domu z przeziębieniem.

– Niektórzy z was wiedzą zapewne, czym jest koan – mówiła dalej Masza. – To paradoksalne pytanie albo zagadkowa historyjka wykorzystywane podczas medytacji przez buddystów zen jako wskazówka na drodze ku oświeceniu. Najsłynniejszy brzmi: „Jaki jest dźwięk jednej klaszczącej dłoni?”.

O Chryste. Na podstawie informacji ze strony internetowej Lars odniósł wrażenie, że jedzie do luksusowego spa. Wprawdzie codziennie praktykował jogę i medytację, ale wolał ośrodki wczasowe, w których unika się nadmiaru godnych pożałowania zawłaszczeń kulturowych.

– Chciałabym, abyście patrząc w gwiazdy, rozważyli dwa koany. Pierwszy brzmi: „Umysł pojawia się znikąd”. – Masza zrobiła pauzę. – A drugi: „Pokaż mi swoją pierwotną twarz, sprzed narodzin swoich rodziców”.

Leżący obok Larsa grubas z sykiem wypuścił z płuc powietrze, po czym rozkaszał się na dobre.

– Nie starajcie się szukać odpowiedzi i rozwiązań – poradziła im Masza. – To nie quiz, moi kochani! – dodała ze śmiechem.

Stanowiła osobliwe połączenie charyzmatycznej przywódczyni i entuzjastycznego nerda. Potrafiła w okamgnieniu przedzierzgnąć się z natchnionego guru w świeżo upieczoną dyrektorkę firmy telekomunikacyjnej.

– Nie istnieje dobra ani zła odpowiedź. Po prostu wpatrujcie się w gwiazdy

i kontemplujcie, nie szukając odpowiedzi. Oddychajcie. To wystarczy. Oddychajcie, patrząc w gwiazdy.

Lars oddychał, patrząc w gwiazdy. Nie kontemplował koanów. Przypomniało mu się, jak na samym początku związku z Rayem dał się namówić na wspólny wyjazd pod namiot (nigdy więcej). Leżeli razem na plaży, trzymając się za ręce i podziwiając rozgwieżdżony firmament, i choć niebo wyglądało przepięknie, w Larsie narastał nieokreślony niepokój, aż wreszcie nie mogąc go dłużej znieść, zerwał się i zrzucając z siebie ubranie, wbiegł do oceanu z okrzykiem na ustach, udając takiego, co to nie boi się rekinów i nie zastanawia się nad tym, jaką temperaturę ma woda w październiku. Uśmiechnął się do siebie, bo dziś ten numer by już nie przeszedł. Ray wiedział o jego panicznym lęku przed rekinami.

Ray zapytał go, czy może się z nim wybrać do Tranquillum House. Lars był zaskoczony. Ray nigdy wcześniej nie chciał się do niego przyłączyć. Lars organizował sobie kilka takich wyjazdów w ciągu roku, a jego partner uważał je za istne piekło na ziemi. Dlaczego zmienił zdanie?

Larsowi stanęła przed oczami twarz Raya, kiedy ten usłyszał odmowę. Przez ułamek sekundy wyglądał tak, jakby został spoliczkowany, ale tylko wzruszył ramionami, uśmiechnął się i powiedział, że w takim razie pod nieobecność Larsa będzie co wieczór opychał się lazaniem i oglądał wyłącznie programy sportowe.

Ray prowadził zdrowy tryb życia, pił soki, smoothies i koktajle białkowe. Nie potrzebował takiego wyjazdu. A Lars tęsknił za chwilą samotności.

Czy chciał, by Lars poczuł się jak gówno? Czy to miało jakiś związek z wiadomością, którą dostał rano od Sarah, siostry Raya: „Przynajmniej się nad tym zastanów”?

Pewnie wysłała ją bez konsultacji z bratem. Ray sprawiał wrażenie, jakby przyjął do wiadomości, że Lars nie chce mieć dzieci. Nie zamierzał zakładać rodziny, co zakomunikował partnerowi. I to bardzo wyraźnie.

– Czy kiedykolwiek dałem do zrozumienia, że jest inaczej? – zapytał Raya, starając się nie podnosić głosu, bo tego nie mógłby sobie darować.

Nie chciał, by do ich związku zakradły się prostackie i upokarzające pyskówki. Na samą myśl o tym przeszywał go dreszcz. Ray dobrze o tym wiedział.

– Nigdy – odparł Ray, również zachowując spokój. – Nie twierdzę, że wprowadziłeś mnie w błąd. Po prostu liczyłem na to, że zmienisz zdanie.

Sarah ze szczerym wzruszeniem zaoferowała pomoc, gdyby się zdecydowali. Rodzina Raya była tak wkurwiająco liberalna, kochana i kochająca.

Na samą myśl o tym Larsa dosłownie sparaliżowało.

– O Boże, nie – powiedział do Raya i jego siostry. – Tylko nie to.

Już samo wyobrażenie wystarczyło, by poczuł się przytłoczony nadmiarem szczerzej miłości, którą przyszłoby mu znosić, gdyby mieli dziecko. Nie mógłby się od tego wymigać. Te rodzinne zgromadzenia! Matka Raya wiecznie we łzach.

Nie zamierzał do tego dopuścić. Nigdy. „Umysł pojawia się znikąd”.

Koan zen. „Na litość boską”.

Czy gdyby Ray zapragnął być ojcem, Lars pozwoliłby mu związać się z kimś innym? Czy to nie Ray powinien o tym zadecydować? Jeśli nie potrafił żyć bez dzieci, to mógł odejść. Nie mieli ślubu. Dom kupili wspólnie, ale obaj byli zabezpieczeni finansowo i mieli dość oleju w głowie, by rozstać się z klasą. Lars z pewnością potrafiłby przeprowadzić sprawiedliwy podział majątku.

Czy nie mieli innego wyjścia? Czy ich związek natrafił na nieprzekraczalną barierę, bo od jednego z nich wymagał teraz niemożliwego poświęcenia? Który z nich musiałby złożyć większą ofiarę?

Jednak Ray nie ponawiał pytań! Pogodził się z tym. Larsowi wydawało się, że jego partner chce od niego czegoś innego. Ale czego? Zgody na odejście? Nie chciał rozstawać się z Rayem.

Jakieś światełko przemknęło przez niebo. O Boże, to spadająca gwiazda. Jak Maszy udało się to zaplanować? Lars usłyszał gremialne, pełne zachwyty westchnienie.

Zamknął oczy i nagle przypomniał sobie, skąd zna grubasa, żałując, że nie ma przy nim teraz Raya. „Już wiem, Ray, wiem!”

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jessica

Ta pisarka, Frances Welty, leżąca na sąsiedniej macie, zasnęła. Nie chrapała, ale Jessica słyszała jej miarowy oddech. Zastanawiała się, czy nie trącić jej lekko stopą. Przegapiła spadającą gwiazdę.

Ostatecznie postanowiła jej nie budzić. Był środek nocy. Ludzie w jej wieku potrzebowali snu. Matka Jessiki po nieprzespanej nocy miała takie wory pod oczami, że wyglądała jak zjawa z horroru, choć śmiała się, gdy córka chciała jej pokazać, jak używać korektora. Nie musiała wyglądać tak źle. Po co ten tępy upór? Matka nie miałaby prawa się użalać, gdyby ojciec zostawił ją dla sekretarki. Po coś przecież wymyślono korektor do cieni pod oczami.

Jessica spojrzała na leżącego obok Bena. Patrzył w gwiazdy w nabożnym skupieniu, jakby kontemplował te buddyjskie zagadki, choć pewnie odliczał godziny do momentu, w którym będzie mógł usiąść za kółkiem swojego ukochanego samochodu i stąd odjechać.

Odwrócił głowę i puścił do niej oko. Rozanieliła się, jak wtedy, gdy zrobił to samo w szkolnej klasie, kiedy jeszcze Jessica się w nim podkochiwała.

Ben znowu spojrzał na gwiazdy, a ona dotknęła twarzy koniuszkami palców. Zastanawiała się, czy bez makijażu wygląda korzystnie w świetle księżyca. Nie zdążyła nawet nałożyć podkładu. Dosłownie wywleczono ich z łóżek. Przecież mogli uprawiać seks, kiedy ta dziewczyna cichutko zapukała, a potem nie czekając na pozwolenie, wmaszerowała do ich pokoju, świecąc im latarką po oczach.

Nie uprawiali seksu. Ben spał, a Jessica leżała obok niego w ciemności, nie mogąc zasnąć. Bez telefonu czuła się jak bez ręki. W domu w bezsenne noce brała komórkę

i przeglądała Instagram i Pinterest, póki nie ogarnęło jej zmęczenie.

W świetle księżycy przyjrzała się szkarłatnym paznokciom u nóg. Gdyby teraz miała telefon, sfotografowałyby stopy swoje i Bena, a potem otagowałyby zdjęcie: #medytacjawblaskugwiazd, #sanatorium, #naukakoanu, #wlasniespadlagwiazda i #jakbrzmijednaklaszczacadlon.

Dzięki temu ostatniemu hashtagowi zaprezentowałyby się jako osoba mądra i uduchowiona, no i świetnie, trzeba uważać, żeby w mediach społecznościowych nie wyjść na powierzchowną.

Nie mogła pozbyć się obawy, że jeśli nie zarejestruje tego momentu telefonem, to nie nabierze on realności, nie będzie się liczył, nie urzeczywistni się. Ten zupełnie irracjonalny lęk nie dawał jej spokoju. Bez komórki dosłownie dostawała drgawek. Najwyraźniej była od niej uzależniona. Lepsze to niż uzależnienie od heroiny, choć dziś nikt nie miał pewności, który narkotyk preferuje siostra Bena. Lubiła „pomieszać”.

Czasem Jessica zastanawiała się, czy Lucy nie jest źródłem wszystkich ich problemów. Zawsze im towarzyszyła, niczym czarne chmurzysko na błękitnym niebie. Czy poza nią mieli jeszcze jakieś problemy? Prawdę powiedziawszy – nie. Powinni cieszyć się życiem. Kiedy w ich związku coś się popsuło?

Jessica od pierwszego dnia zachowywała ostrożność. Jaką to głupotę palnęła jej matka?

– Och, córeczko, niektórych to doprowadza do ruiny.

Powiedziała to z zatroskaną twarzą w dniu, który powinien być najwspanialszym w życiu Jessiki. W dniu, w którym rozpoczął się nowy rozdział w jej życiu.

Wydarzyło się to przed dwoma laty, pewnego poniedziałkowego wieczoru.

Jessica spieszyła się z pracy do domu, bo chciała zdążyć na spinning o wpół do siódmej. Wpadła do malutkiej kuchni z ohydny blatem z laminatu, żeby napełnić butelkę wodą, i zastała Bena, który siedział na podłodze oparty o zmywarę, z rozrzuconymi nogami i telefonem w bezwładnej ręce. Był blady i miał szkliste oczy. Z bijącym sercem kucnęła obok niego, wstrzymując oddech i z trudem wydobywając z siebie słowa.

– Kto? Kto?

Oczywiście, w pierwszej chwili pomyślała o siostrze Bena, która każdego dnia flirtowała ze śmiercią. Jednak coś mówiło Jessice, że nie o Lucy teraz chodzi. Ben był w szoku, a przecież śmierć siostry nie byłaby dla niego niespodzianką.

– Pamiętasz tę kartkę od mojej mamy? – zapytał.

Jessica struchlała na myśl o śmierci mamy Bena, którą uwielbiała.

– Jak? – wydusiła z siebie. – Jak to się stało?

Jak to możliwe, że Donna umarła? Grywała w tenisa dwa razy w tygodniu. Była w lepszej formie niż Jessica. Pewnie wykończył ją stres z powodu Lucy.

– Pamiętasz tę kartkę? – powtórzył Ben, jakby nie usłyszał jej pytania. – Przysłała ją, żeby nas pocieszyć po włamaniu.

Biedny Ben. Pewnie z rozpaczy odchodził od zmysłów i kurczowo trzymał się tego wspomnienia.

– Pamiętam – odparła łagodnie Jessica.

Przyszła pocztą. Widniał na niej słodki kociak, z którego pyszczka wydobywał się dymek z napisem: „Przykro mi, że jesteście smutni”. Do kartki dołączony był kupon na loterię. Donna dopisała: „Zasługujecie na łut szczęścia”.

– Wygraliśmy – powiedział Ben.

– Co z twoją mamą? – zapytała Jessica.

– Nic. Ma się świetnie – odparł Ben. – Jeszcze jej nie powiedziałem.

– Czego? – Jessica nie nadążała i zaczynało ją to wkurzać. – Ben. Ktoś umarł?

– Nikt nie umarł.

– Na pewno?

– Wszyscy żyją i mają się świetnie.

– Aha, to super – powiedziała z ulgą.

Kiedy jej poziom adrenaliny wrócił do normy, ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Straciła ochotę na zajęcia ze spinningu.

– Ten kupon, który przysłała nam mama po włamaniu, zwyciężył. Dzwonili z kolektury. Zgarnęliśmy pierwszą nagrodę. Dwadzieścia dwa miliony dolarów.

– Nie wygłupiaj się – zganiła go ze znużeniem. – To niemożliwe.

Spojrzał na nią zaczerwienionymi, szklistymi, pełnymi lęku oczami.

– Naprawdę.

Gdyby ktoś ich uprzedził o wygranej, może zachowywaliby się jak przystało na zwycięzców. Tymczasem dłuższą chwilę zajęło im oswojenie się z tym faktem. Jessica kilkakrotnie sprawdziła szczęśliwą kombinację liczb w internecie. Zadzwoiła do kolektury, by się upewnić.

Z każdym telefonem od krewnych i przyjaciół wygrana nabierała realności, aż wreszcie Ben i Jessica zaczęli krzyczeć, skakać, płakać i się śmiać, jak prawdziwi zwycięzcy loterii, i zorganizowali dla wszystkich znajomych imprezę z najdroższym szampanem, jaki znaleźli w lokalnym sklepie monopolowym.

Wzniesli toast za tych żalonych włamywaczy, bo dzięki nim wygrali!

Matka Bena nie mogła dojść do siebie.

– Wcześniej nie przyszłoby mi do głowy, żeby wypełnić za was kupon. Zrobiłam to pierwszy raz w życiu! Sprzedawczyni z kiosku musiała mi wyjaśnić zasady tej loterii!

Najwyraźniej zależało jej na rozgłoszeniu wszem wobec, jak wiele jej zawdzięczają. Nie zależało jej na pieniądzach (choć ostatecznie podzielili się z nią wygraną), tylko na tym, by wszyscy wiedzieli, że odegrała kluczową rolę w tym szczęśliwym wydarzeniu!

Jessica czuła się wspanialej niż w dniu ślubu, jakby stała się kimś wyjątkowym. Znalazła się w centrum uwagi. Uśmiechała się, aż rozbolały ją policzki. Dzięki pieniądзом w jednej chwili nabrała inteligencji, urody i stylu. Zmieniła się, więc otoczenie traktowało ją inaczej. Tamtego wieczoru, przeglądając się w lustrze w łazience, zobaczyła, że promienieje bogactwem. Nagle zdobyta fortuna podziałała na nią lepiej niż wizyta u kosmetyczki.

Jednak już tego pierwszego dnia Jessica wyczuwała narastający w Benie lęk, nawet w chwili, kiedy zażarcie spierał się z braćmi, które luksusowe auto najlepiej kupić.

– Obyśmy się nie zmienili – wymamrotał tuż przed zaśnięciem, a Jessica pomyślała: „Co ty wygadujesz? Już się zmieniliśmy!”.

Na domiar złego jej matka zachowywała się tak, jakby wydarzyła się tragedia.

– Jessica, staraj się nie podejmować pochopnych decyzji – przestrzegała ją. – Takie pieniądze niejednego sprowadziły na dno.

Faktycznie w ich nowym życiu nieoczekiwanie pojawiły się trudności. Wciąż nie

rozwiązali kilku problemów. Stracili kilkoro przyjaciół. Ochłodziły się ich stosunki z bliskim krewnym. Właściwie z dwiema osobami. Nie, z trzema.

Kuzyn Bena domagał się, by spłacili jego kredyt mieszkaniowy. Dali mu samochód. Jessica uważała, że to hojny podarek! Ben lubił swojego kuzyna, ale przed wygraną rzadko się widywali. Koniec końców uregulowali jego dług, ale to był „gwóźdź do trumny”. Miarka się przebrała.

Młodszej siostrze Jessiki dali milion dolarów, ale ona żądała więcej i więcej. Wreszcie Ben zdecydował:

– Niech jej będzie.

Jednak pewnego dnia Jessica poszła z nią na lunch i nie zaproponowała, że za nią zapłaci. Przestały się do siebie odzywać. Na samą myśl o tym Jessice ścisnęło się serce. Zawsze to ona zapraszała. Zawsze. Jeden jedyny raz postąpiła inaczej i, jak się okazało, popełniła niewybaczalny błąd.

Ojczym Bena, z zawodu doradca finansowy, zaproponował, że skoro nagle weszli w posiadanie majątku, to on pomoże im nim zarządzać. Tylko że Ben uważał go za idiotę i nie chciał mu powierzyć pieczy nad swoimi pieniędzmi, więc sytuacja zrobiła się niezręczna. Gdyby nie wygrali, Ben nie musiałby wyjawiać swojej opinii na temat ojczyma.

Oczywiście największym problemem była Lucy. Czy mogli jej dać pieniądze? Czy mogli jej ich nie dać? Ta kwestia spędzała sen z powiek Benowi i jego mamie. Chcieli postąpić właściwie, ale zarazem rozważnie. Założyli fundusz powierniczy. Nie dali jej pieniędzy do ręki, choć jej zależało tylko na gotówce. Kiedy kupili jej auto, sprzedała je po dwóch tygodniach. Spieniężała wszystkie podarunki. Darła się na biednego Bena:

– Ty skurwielu, sobie kupujesz bajerancką brykę, a własnej siostrze nie pomożesz.

Wydali tysiące na kosztowne kuracje odwykowe, w których matka Bena pokładała ogromne nadzieje. Kiedy jeszcze nie byli bogaci, była przekonana, że gdyby tylko mieli dość pieniędzy, pomogliby Lucy ostatecznie uporać się z problemami. Tymczasem również te drogie programy terapeutyczne okazały się nieskuteczne. Ben wierzył, że uda się znaleźć rozwiązanie. Jessica nie miała złudzeń. Lucy nie chciała, by jej pomóc.

Nie tylko bliscy domagali się od nich pomocy finansowej. Codziennie odzywali się do nich krewni i przyjaciele, z którymi od lat nie mieli kontaktu, a nawet znajomi

znajomych, prosząc o „pożyczkę” lub „pomocną dłoń” albo sugerując, by Ben i Jessica wsparli finansowo ich ulubioną organizację charytatywną, lokalną szkołę albo klub piłkarski, gdzie trenowały ich dzieci. Niektórzy członkowie rodziny przypominali o sobie po latach milczenia. Odzywali się nawet krewni, o których istnieniu Ben i Jessica nie wiedzieli. W niektórych prośbach pobrzmiewała bierna agresja.

– Dla was dziesięć tysięcy dolarów to pewnie betka, ale dla nas to ogromna suma.

– Niech im będzie. – Ben powtarzał te słowa jak refren, ale Jessice niekiedy puszczały nerwy.

Ależ ci ludzie mieli tupet.

Zachodziła w głowę, dlaczego teraz kłócą się o pieniądze znacznie częściej, niż kiedy ich nie mieli. Nie mogła pojąć, że dawniej potrafili się przejmować rachunkiem, którego się nie spodziewali.

Stając się z dnia na dzień milionerami, czuli się tak, jakby dostali stresującą, lukratywną pracę, której wykonywanie sprawiało im ogromną radość, choć brakowało im odpowiednich kwalifikacji i doświadczenia. Nie mieli na co narzekać. Nie warto było rujnować takiego życia, ale Ben najwyraźniej właśnie do tego dążył.

Czasem zastanawiała się, czy jej mąż nie żałuje wygranej. Raz przyznał się, że tęskni za pracą.

– To otwórz własną firmę – poradziła mu.

Mieli nieograniczone możliwości! Tymczasem on stwierdził, że nie zamierza podbierać klientów Pete’owi, dla którego niegdyś pracował. Był dokładnie taki sam jak Lucy. Nie chciał uporać się ze swoimi problemami.

Słyszając, jak Ben szydzi z ich „nadętych nowych sąsiadów”, zaproponowała, że zaprosi ich na drinka, bo przecież zupełnie się nie znają, ale on tylko spojrzął na nią ze zgrozą. Z poprzednimi sąsiadami też nie nawiązali bliższych relacji. Każdy pracował na pełny etat i żył w swoim świecie.

Cieszyły go wyjazdy do luksusowych ośrodków wczasowych, ale nawet podróże go nie uszczęśliwiały. Jessica wciąż pamiętała, jak oglądali zachód słońca na Santorini. Widok był niezmierny, zapierał dech w piersiach, Jessica dopiero co kupiła sobie przepiękną bransoletkę, ale zauważyła, że Ben pograżył się w rozmyślaniach, więc zapytała:

– O czym tak dumasz?

– O Lucy – odparł. – Zawsze powtarzała, że chciałaby zwiedzić greckie wyspy.

Chciało jej się krzyczeć, bo stać ich było na wysłanie Lucy do luksusowego hotelu na Santorini, ale nie mogli tego zrobić, bo ona wolała dawać sobie w żyłę. No i świetnie, niech się stoczy do reszty, ale czemu oni mieli przy okazji rujnować sobie życie?

Tak naprawdę cieszył go tylko samochód zakupiony za pieniądze z loterii. Nie dbał o całą resztę – piękny dom w Toorak, ekskluzywnej dzielnicy na przedmieściach Melbourne, bilety na koncerty, ciuchy od słynnych projektantów i podróże. Obchodził go tylko samochód. Jego wymarzone auto. Boże, z całego serca nienawidziła tej fury.

Jessicę wyrwali z rozmyślań ludzie, którzy właśnie zaczęli się podnosić, poprawiając niezbyt twarzowe szlafroki i tłumiąc ziewnięcia.

Wstała i jeszcze raz spojrzała na rozgwieżdżone niebo, ale nie znalazła na nim odpowiedzi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Frances

Dochodziła dopiero ósma rano, a ona już spacerowała.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień, ale póki co było bardzo przyjemnie, a aksamitne powietrze delikatnie otulało skórę Frances. Błogą ciszę mącił tylko melodyjny, donośny śpiew szmaragdowca oraz chrzęst żwiru i trzask gałązek pod jej stopami, kiedy podążała kamienistym szlakiem.

Wydawało jej się, że nie śpi od wielu godzin. Bo przecież tak właśnie było.

Jej pierwszy dzień w Tranquillum House rozpoczął się przed świtem (przed świtem!) głośnym pukaniem do drzwi jej pokoju.

Frances wygramoliła się z łóżka i otworzyła, ale na progu zastała tylko srebrną tacę z porannym smoothie i zaklejoną kopertą zawierającą jej „harmonogram dnia”.

Wróciła do łóżka, podparła plecy poduszką i pijąc smoothie, zapoznała się z planem, który wywoływał w niej entuzjazm mieszający się przerażeniem.

HARMONOGRAM DNIA FRANCES WELTY

O świcie – Zajęcia z tai-chi w ogrodzie różanym

7.00 – Śniadanie w jadalni. (Przypominamy, że należy nadal zachowywać milczenie)

8.00 – Spacer medytacyjny. Spotkanie u stóp Wzgórza Spokoju. (Czeka cię powolny, pełen namysłu spacer w zupełnej ciszy, podczas którego będziesz mieć mnóstwo okazji, by przystanąć i kontemplować zachwycające widoki. Przyjemnej wędrówki!)

10.00 – Indywidualne zajęcia ruchowe. Dalila będzie czekać na ciebie w siłowni

11.00 – Masaż leczniczy z Jan w spa

12.00 – Lunch w jadalni

13.00 – Medytacja kierowana na siedząco w studiu jogi

14.00–16.00 – CZAS WOLNY

17.00 – Sesja jogi

18.00 – Kolacja w jadalni

19.00–21.00 – CZAS WOLNY

21.00 – WYŁĄCZAMY ŚWIATŁO

Wyłączamy światło! To była sugestia czy polecenie? Frances ostatni raz położyła się do łóżka przed dziewiątą, kiedy była małą dziewczynką.

Ale może po takim dniu człowiek ma ochotę wcześniej iść spać.

Ziewała przez całe zajęcia z tai-chi prowadzone przez Yao w ogrodzie różanym, w milczeniu zjadła śniadanie (bardzo smaczne, choć jajka w koszulkach ze szpinakiem duszonym na parze to już nie to samo bez ulubionych dodatków Frances, czyli tostu z chleba na zakwasie i cappuccino), a teraz wraz z pozostałymi gośćmi brała udział w „spacerze medytacyjnym”, czyli powolnej przechadzce pobliskim szlakiem wiodącym pod górę wśród drzew.

Towarzyszyła im dwójka konsultantów wellness, Yao i Dalila. Ona prowadziła grupę, a on siedł na końcu. Dalila narzuciła krańcowo powolne tempo, które nawet Frances wydało się nie do zniesienia, więc można się było domyślać, że rodzina Marconich – „fanatyków sportu”, jak określiła ich Zoe – pewnie dostawała już szału.

Frances znalazła się w środku grupy, za Zoe, której lśniący kucyk kołysał się, gdy dreptała za swoim ojcem. Za Frances siedł seryjny morderca, ale najwyraźniej postanowił ją zabić w medytacyjnym, zwolnionym tempie, więc miała dużo czasu na ucieczkę.

Grupa zatrzymywała się co jakiś czas, by niemiłosiernie długo i w całkowitym milczeniu wpatrywać się we wskazany punkt na horyzoncie.

Frances bardzo lubiła wędrować spacerowym krokiem i niespiesznie podziwiać widoki, ale wlokąc się tak niemrawo, nie mieli szans dotrzeć na szczyt.

W miarę jak bardzo, bardzo powoli przemierzali szlak, Frances czuła, że jej ciało przywyka do żółtego tempa.

Ten wolniusieńki, letargiczny spacer stawał się... całkiem przyjemny.

Frances zaczęła się zastanawiać nad tempem swojego życia. W ciągu ostatniej

dekady świat zdecydowanie przyspieszył. Ludzi mówili, jeździli samochodem i chodzili z coraz większą prędkością. Wszystkim się spieszyło. Każdy był zapracowany i domagał się natychmiastowej gratyfikacji. Zauważyła to nawet podczas prac redakcyjnych nad swoimi książkami. „Tempo!”, zaczęła warczeć w dymkach z adnotacjami Jo, która niegdyś podobne fragmenty opatrywała komentarzem: „Ładnie!”.

Dawniej również czytelnicy wydawali się cierpliwszi, doceniali opowieści rozwijające się bez pośpiechu, nie sarkali, jeśli jeden z rozdziałów swobodnie meandrował w pięknym krajobrazie i nie działo się w nim nic prócz wymiany wymownych spojrzeń.

Ścieżka zrobiła się stroma, ale szli tak powoli, że Frances wciąż oddychała miarowo. Za zakrętem spomiędzy drzew wyłoniły się skrawki widoków niczym zostawione tam podarunki. Znaleźli się na dość dużej wysokości.

Z pewnością gorączkowy ton komentarzy Jo miał związek ze spadkiem sprzedaży powieści Frances. Bez wątpienia redaktorka wyczuła, że katastrofa wisi w powietrzu, dlatego jej komentarze robiły się coraz bardziej krytyczne: „W tym rozdziale brakuje napięcia. Może warto go uatrakcyjnić, kierując czytelnika na fałszywy trop?”.

Frances uparcie ignorowała te uwagi, przez co jej kariera umierała śmiercią naturalną, niczym staruszka, która odchodzi we śnie. Była idiotką. Frajerką jakich mało.

Przyspieszyła kroku. Że idzie zbyt szybko, uświadomiła sobie dokładnie w chwili, kiedy uderzyła nosem w łopatkę Zoe.

Dziewczyna się zatrzymała. Frances usłyszała jej ciche jęknięcie.

Heather zboczyła ze szlaku i znalazła się na nawisie skalnym nad stromym zboczem wzgórza. Przystanęła na samej krawędzi. Wystarczyłby jeden krok, aby runęła w dół.

Napoleon mocno ścisnął rękę żony. Frances nie potrafiła ocenić, czy na jego bladej twarzy maluje się gniew, czy strach, kiedy wczepił się palcami w szczupłe ramię Heather, wciągając ją z powrotem na szlak.

Ona nie podziękowała mężowi, nie uśmiechnęła się do niego ani nawet na niego nie spojrzała. Wyszarpnęła rękę z jego uścisku i ruszyła przed siebie, rozprostowując rękawek przetartego podkoszulka. Napoleon obejrzał się na córkę. Jego klatka piersiowa unosiła się opadała w tym samym rwanym rytmie, w jakim oddychała Zoe.

Po chwili oboje spuścili głowy i kontynuowali powolną wędrówkę, jakby to, co przed chwilą zobaczyła Frances, nie miało najmniejszego znaczenia.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tony

Tony Hogburn przed chwilą wrócił do pokoju po kolejnym koszmarnym doświadczeniu „medytacji kierowanej na siedząco”. Ileż można medytować?

– Oddychajcie tak, jakbyście wciągali powietrze przez rurkę.

Jezu Chryste, co za brednie.

Ze wstydem stwierdził, że po porannym, przeraźliwie flegmatycznym spacerze medytacyjnym rozboleły go nogi. Dawniej pokonywał takie trasy biegiem, w ramach rozgrzewki, a dziś kolana uginały się pod nim po przechadzce, która nie zmęczyłaby nawet stuletniego staruszka.

Siedział na swoim balkonie, marząc o tym, by napić się zimnego piwa i poczuć pod dłonią pokryty jedwabistą sierścią twardy łeb swojego starego owczarka collie. Chętkę na browar i tęsknotę za ukochanym psem odczuwał tak intensywnie, jakby w głębokiej rozpacz, spragniony wędrował po pustyni.

Po raz setny podniósł się, by podejść do lodówki i ulżyć sobie w cierpieniu, i po raz setny przypomniał sobie, że to się na nic nie zda. W pokoju nie było lodówki. Ani spiżarki. Nie mógł włączyć telewizora, by dla zabicia czasu obejrzeć film dokumentalny. Nie mógł bezmyślnie posurfować w internecie. Nie mógł zagwizdać na psa, by usłyszeć jego kroki, gdy posłusznie nadbiega.

Banjo przeżył czternaście lat. Niezły wynik jak na collie. Tony powinien być przygotowany na rozstanie, w końcu nie po raz pierwszy miał psa. Z jakiegoś powodu nie mógł się pogodzić z jego odejściem. Na litość boską, minęło już pół roku. Czy to możliwe, że utratę tego cholernego kudłacza przeżywał głębiej niż śmierć bliskich?

Tak, całkiem możliwe.

Przypomniał sobie, jak Jack Russell terrier, którego podarował Mimi, swojej najmłodszej córce, na jej ósme urodziny, uciekł spod domu i wpadł pod samochód. Córeczka była zrozpaczona i podczas „pogrzebu” szlochała wtulona w ramię Tony’ego. On też się rozplakał, nie mogąc odżałować tego biednego, głupiutkiego szczeniaka. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, bo gdyby nie przeoczył dziury w ogrodzeniu, piesek wciąż by żył.

Wtedy jeszcze Mimi, uroczy aniołek o miękkich, rumianych policzkach, z włosami spiętymi w kucyki, budziła w nim bezwarunkową miłość.

Teraz, w wieku dwudziestu sześciu lat, pracowała jako asystentka stomatologa i wyglądała dokładnie jak matka: z małą głową zatknietą na cienkiej szyi przypominała szpilkę, a jej nerwowe trajkotanie i gestykulacja wyprowadzały Tony’ego z równowagi. Była do bólu higieniczna, wiecznie zajęta i nie budziła w nim tak ciepłych uczuć jak kiedyś, choć nadal ją kochał. Oddałby za nią życie. Zdarzało się jednak, że nie odbierał telefonów od niej. Jako asystentka stomatologa przywykła do wygłaszania monologów bez obawy, że ktoś jej przerwie. Była mocniej związana z matką. Tak jak cała trójka ich dzieci. Kiedy były małe, Tony nie poświęcał im dość czasu. Potem nagle wydorosłały, a on niekiedy odnosił wrażenie, że tylko z poczucia obowiązku dzwonią do niego i wpadają z wizytą. Pewnego razu Mimi słodkim, szczebiotliwym głosem zostawiła mu życzenia urodzinowe na poczcie głosowej, ale zanim skończyła nagrywanie, odezwała się do kogoś zupełnie innym tonem:

– Dobra, mam to z głowy, chodźmy!

I się rozłączyła.

Synowie w ogóle nie dzwoniли w jego urodziny, choć wcale nie oczekiwał, że będą pamiętali. Nawet on o tym zapominał, a im składał życzenia tylko dlatego, że Mimi z samego rana przysyłała mu przypominajkę. James mieszkał w Sydney i zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, natomiast najstarszy Will ożenił się z Holenderką i przeniósł się do jej rodzinnego kraju. Trzy wnuczki, które Tony spotykał co kilka lat i z którymi rozmawiał przez Skype’a w Boże Narodzenie, mówiły z holenderskim akcentem. Traktowały go jak kogoś zupełnie obcego. Była żona spędzała z nimi mnóstwo czasu, bo jeździła do nich dwa razy w roku na dwa, czasem trzy tygodnie. Najstarsza dziewczynka odnosiła sukcesy w tańcu irlandzkim. (Dlaczego w Holandii

popularny był taniec irlandzki? Dlaczego w ogóle był popularny? Nikogo to nie dziwiło prócz Tony'ego. Jego była żona upierała się, że taniec irlandzki, którego uczyły się dzieci na całym świecie, poprawia wydolność, koordynację ruchową i Bóg wie co jeszcze. Pokazała mu nagranie na swoim telefonie. Wnuczka Tony'ego w peruce podrygiwała wyprostowana, jakby połknęła kij).

Nie spodziewał się, że kiedy zostanie dziadkiem, przyjdzie mu rozmawiać przez internet z dziewczynkami, które z obcym akcentem opowiadają o sprawach zupełnie dla Tony'ego niezrozumiałych. Inaczej wyobrażał sobie bycie dziadkiem: mała istotka wsuwa lepką rączkę w jego dłoń i spacerkiem idą na lody do sklepu za rogiem. Taka przechadzka nigdy się nie odbyła, a sklep za rogiem zlikwidowano, więc gdzie, do cholery, Tony popełnił błąd?

Wstał. Chciało mu się jeść. Na samą myśl o wnuczkach w jego żołądku otwierał się krater rozżalenia, który zapełnić mogła tylko porządna dawka węglowodanów. Postanowił zrobić sobie tost z serem. Jezu Chryste. Nie miał pod ręką chleba. Ani sera. Ani opiekacza.

– Być może doświadczysz czegoś, co nazywamy „syndromem odstawienia przekąsek” – uprzedziła go z błyskiem w oku Dalila, jego konsultantka wellness. – Nie martw się, to minie.

Opadł na krzesło i wrócił pamięcią do dnia, w którym zarezerwował turnus w tej piekielnej dziurze. Na moment go zamroczyło. O jedenastej przed południem widział się z internistą. Zapamiętał dokładnie godzinę.

– No dobra, Tony – zaczął lekarz i zrobił pauzę. – Przyjrzyjmy się wynikom badań.

Tony chyba bezwiednie wstrzymywał oddech, bo nagle gwałtownie zaczerpnął powietrza. Lekarz przez moment przeglądał dokumentację. Zdjął okulary i nachylił się nad biurkiem z takim samym wyrazem twarzy, jaki Tony widział u weterynarza oznajmiającego, że najwyższy czas pozwolić Banjo odejść.

Tony na zawsze zapamiętał szokującą jednoznaczność tego momentu.

Poczuł się tak, jakby ostatnie dwadzieścia lat przeżył w półśnie i nagle się przebudził. Wciąż pamiętał, jak intensywnie myślał w drodze do domu. Jego umysł był jasny i skupiony. Należało działać. I to natychmiast. Tony nie mógł spędzić reszty życia na pracy i oglądaniu telewizji. Co powinien zrobić?

Wpisał do wyszukiwarki: „Jak zmienić...”, a algorytm dokończył za niego: „swoje życie?”. Wyświetliły się setki linków podsuwających rozmaite źródła wsparcia, od organizacji religijnych po poradniki, uczące, jak pomóc sobie samemu. Wtedy natknął się na artykuł o sanatoriach. Tranquillum House figurowało na szczycie listy najlepszych ośrodków.

Dziesięciodniowe oczyszczanie. Chyba da się przeżyć. Od lat nie brał urlopu. Jego firma zajmowała się doradztwem w branży marketingu sportowego i jedną z najlepszych decyzji, jakie podjął w życiu, było zatrudnienie Pippy na stanowisku kierowniczkii biura. Wiedziała o tej robocie więcej niż Tony.

Postanowił się odchudzić. Wziąć się w garść. Opracować plan działania. W drodze z lotniska nieomal ogarnął go optymizm.

Szkoda, że w ostatniej chwili podjął tę głupią decyzję, by zgromadzić zapasy na czarną godzinę. Już jechał drogą dojazdową do Tranquillum House, ale zawrócił do najbliższego miasteczka, gdzie wcześniej zauważył sklep monopolowy dla zmotoryzowanych. Kupił tylko sześciopak (jasnego) piwa, torbę chipsów i krakersy (do cholery, czy naprawdę aż tak szkodzą?).

Gdyby nie zawrócił, nie natknąłby się na tę furiatkę, która zatrzymała się na poboczu. Wydawało mu się, że ma kłopoty. Jak inaczej logicznie wyjaśnić to, że ktoś stoi przy drodze, drze się i trąbi jak opętany? Kiedy opuściła szybę, wyglądała na mocno schorowaną. Była hipochondryczką? Czy menopauza zawsze wywołuje tak niepokojące objawy? Raczej to drugie. Po powrocie do domu zamierzał o to zapytać siostrę.

Teraz nieznajoma wyglądała zdrowo i całkiem normalnie. Gdyby nie spotkał jej wcześniej na autostradzie, wziąłby ją za jedną z tych pełnych energii i optymizmu, żwawych jak labradory „supermam”, które często widywał, kiedy jego dzieci chodziły jeszcze do szkoły.

Trochę go przeraziła. Przy niej poczuł się jak półgłówek. Z mroków niepamięci powróciła do niego wyjątkowo upokarzająca sytuacja z dzieciństwa. Podobała mu się przyjaciółka jego starszej siostry, ale doszło między nimi do spięcia – bo coś powiedział albo zrobił, nie mógł sobie tego przypomnieć – które miało jakiś związek z okresem i tamponami, a on, niczego nieświadomy trzynastolatek, palnął jakieś głupstwo,

zapewne niewinne, choć wówczas wydawało mu się ono początkiem końca świata.

Teraz był pięćdziesięciosześcioletnim dziadkiem! Widział, jak jego żona rodzi trójkę dzieci. Mroczne tajemnice kobiecego ciała wprawiały go w paraliżujące zawstydzenie. Właśnie takie emocje wywołała w nim ta furiatka.

Wstał tak energicznie, że krzesło przesunęło się po podłodze. Do kolacji zostały dwie „wolne” godziny, które musiał czymś wypełnić. W domu czas między pracą i snem mijał mu błyskawicznie. Spędzał go z piwem i żarciem przed telewizorem. Teraz nie wiedział, co ze sobą zrobić. Pokój wydawał mu się za mały i przeładowany kiczowatymi bibelotami. Wczoraj stracił ze stolika wazon, który rozbił się na podłodze. Siarczyście zaklął, co zapewne dotarło do uszu sąsiadów. Miał tylko nadzieję, że zniszczone naczynie nie było antykiem.

Wychylił się z balkonu i rozejrzał po okolicy. Zauważył dwa kangury w cieniu domu. Jeden wygładzał sobie sierść i z nieomal ludzką niezdarnością próbował podrapać się po grzbiecie. Drugi siedział spokojnie, nadstawiając uszu. Wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu.

Tony zauważył wielki, nerkowaty basen z akwamarynową wodą pobłyskującą w słońcu. Mógłby popływać. Od wieków tego nie robił. Kiedy dzieci były małe, dużą część życia spędzali na plaży. Przez lata w niedzielne poranki zabierał całą trójkę na grupowe zajęcia z ratownictwa wodnego. Tymczasem jego wnuczki o jasnych twarzyczkach, wiodąc smutne życie w Holandii, prawdopodobnie nigdy nie pływały na desce.

Wyciągnął z walizki kąpielówki, próbując nie myśleć o tym, że ktoś obcy, kto przeszukiwał jego bagaż w poszukiwaniu kontrabandy, z pewnością zauważył jego zszarzałą bieliznę. Potrzebował nowej garderoby.

Kupowaniem ubrań zajmowała się jego była żona. Nie musiał jej nawet o to prosić i szybko do tego przywykł, bo moda zupełnie go nie obchodziła. Wiele lat później, podczas rozwodu, dowiedział się, że między innymi z tego powodu jego żona czuła się „traktowana jak służąca”. Jak twierdziła, nigdy jej nie podziękował. Naprawdę? Czy to możliwe? Jezu. Jeśli tak, to czemu czekała aż dwadzieścia dwa lata, by mu to powiedzieć? Na pewno jej dziękował. Gdyby w odpowiednim momencie uzmysłowiła mu, że tylko niewdzięczna świnia postępuje tak jak on, to wiele lat później, w obecności

prawnika, nie poczułby się jak najgorszy mąż pod słońcem. Ze wstydu zapomniał języka w gębie, co posłużyło jako naoczny dowód na to, że on „się zamyka”, zachowuje „emocjonalny dystans”, „wszystko ma w dupie” i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu faktycznie miał wszystko w dupie i dla świętego spokoju podpisał papiery rozwodowe.

Jakie to wielce zabawne określenie wymyśliła dla niego żona? „Amatorskie podejście do życia”. Powiedziała tak nawet przy prawniku.

Kilka miesięcy po tamtym spotkaniu z prawnikiem uprzytomnił sobie, że w trakcie trwania ich małżeństwa ona również nie podziękowała mu za wiele rzeczy, które uważała za jego obowiązek. Na przykład to on zajmował się jej samochodem. Człowiek, który miał amatorskie podejście do życia, tankował paliwo. Czasem zastanawiał się, czy jej się wydaje, że bak samoczynnie się napełnia. Raz w roku oddawał jej samochód do przeglądu. Wypełniał zeznanie podatkowe.

Prawdopodobnie nie okazywali sobie nawzajem dostatecznej wdzięczności. Może uznali, że na tym polega jeden z przywilejów życia w związku małżeńskim.

W pewnym momencie miarka się przebrała.

Od ich rozwodu minęło już pięć lat i był to najlepszy okres w życiu jego byłej żony. Odkryła na nowo „swoje prawdziwe ja”. Mieszkała sama, zapisała się do szkoły wieczorowej, a weekendy spędzała z grupką szczęśliwych rozwódek. Często wybierały się do ośrodków takich jak ten. Jego była żona „codziennie praktykowała medytację”.

– Po jakim czasie nabiera się wprawy? – zapytał ją kiedyś, a ona tak przewróciła oczami, jakby chciała sobie zajrzeć do wnętrza głowy.

Ostatnimi czasy w trakcie rozmów z Tonym robiła pauzy, by zaczerpnąć powietrza. Może i jej kazano oddychać jak przez rurkę.

Tony włożył spodenki kąpielowe.

O Jezu.

Chyba strasznie się skurczyły. Pewnie wyprał je w za zimnej wodzie. Albo w za gorącej. W każdym razie niezgodnie z instrukcją. Z całej siły naciągnął materiał i ledwie przecisnął guzik przez dziurkę.

Udało się. Tylko że nie mógł oddychać.

Zakaszłał, a guzik odskoczył i odbił się od parkietu. Tony zaśmiał się

z niedowierzaniem i spojrział na swój wielki, włochaty mięsień piwny. Jego brzuch wyglądał tak, jakby należał do kogoś innego.

Pamiętał inne ciało. Dawne czasy. Wszechpotężny ryk tłumu w ekstazie. Wibrowanie dźwięku w klatce piersiowej. Kiedyś żadna bariera nie oddzielała jego umysłu od ciała. Myślał „biegnij” i biegł. Myślał „skacz” i podskakiwał.

Zsunął spodenki na biodra, odsłaniając brzuch, i przypomniał sobie, że jego żona w szóstym miesiącu ciąży w podobny sposób nosiła spódnice na gumce.

Wziął klucz do pokoju i przerzucił przez ramię biały ręcznik kąpielowy. Czy wolno było je wynosić na zewnątrz? Pewnie wśród warunków rezerwacji znajdowała się też klauzula regulująca tę kwestię. Mógłby o to zapytać tego tyczkowanego koleś, który wyglądał na prawnika. Tony od razu ich rozpoznawał.

Wyszedł z pokoju. W całym ośrodku panowała cisza jak makiem zasiał. Otworzył drzwi frontowe i w popołudniowym skwarze przeszedł brukowaną ścieżką wiodącą do basenu.

Z naprzeciwka nadchodziła kobieta w czarnym sportowym kostiumie kąpielowym i sarongu zawiązanym w pasie. Miała gruby warkocz i jaskrawe okulary typu kocie oczy. Tony zdążył ją zaszufładkować jako lewicującą intelektualistkę-feministkę. Skreśliłaby go po pięciu minutach rozmowy. I tak wolał być ignorowany przez feministkę, niż nawiązać znajomość z furiatką.

Nie zmieściliby się oboje na wąskiej ścieżce, więc Tony przystanął na trawniku. Miał nadzieję, że nie popełnia seksistowskiego wykroczenia, jak wtedy, kiedy otworzył pewnej kobiecie drzwi, a ona syknęła:

– Dzięki, sama bym sobie poradziła.

Miał ochotę zatrzasać je przed jej nosem, ale oczywiście się powstrzymał i tylko uśmiechnął się do niej jak ostatni mięczak, bo nie każdy mężczyzna jest zdolny do przemocy wobec kobiet, nawet jeśli od czasu do czasu nachodzą go mordercze myśli.

Intelektualistka-feministka, nie patrząc na niego, wyraziła wdzięczność gestem, jakby unosiła rękę znad kierownicy, by podziękować za to, że wpuścił ją na pas, i dopiero kiedy go minęła, Tony zdał sobie sprawę, że nieznajoma cicho płacze. Westchnął. Nie znosił widoku kobiecych łez.

Odprowadził ją wzrokiem – miała całkiem niezłą figurę – i ruszył w kierunku

basenu, podciągając kąpielówki, by nie zsunęły mu się do kostek.

Otworzył furtkę.

O kurwa.

Furiatka pławała się w wodzie, podobna do dryfującej boi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Frances

„Boże, tylko seryjnego mordercy tu brakowało”, pomyślała Frances.

Przez pięć minut mocowała się z furtką, tymczasem on wszedł bez najmniejszego trudu. Pulchną dłonią chwycił czarną gałkę, uniósł skobelek i stopą mocno pchnął drzwiczki.

Frances jakoś zniosła obecność rozgorączkowanej okularnicy, która pływała tam i z powrotem z taką prędkością, że zostawiała za sobą kilwater niczym motorówka. A teraz jego diabli nadali.

Seryjny morderca zostawił ręcznik na leżaku (należało wziąć z recepcji inny, w biało-niebieskie pasy, ale oczywiście tego faceta reguły nie obowiązywały), podszedł do krawędzi basenu i nie sprawdziwszy nawet palcami stóp temperatury wody, wskoczył do niej na główkę. Frances stateczną żabką odpłynęła na bok.

Utknęła na dobre w basenie, bo nie zamierzała wyjść jako pierwsza. Wydawało jej się, że jest za stara, by martwić się tym, czy ktoś ocenia jej figurę w kostiumie kąpielowym, ale najwyraźniej ta neuroza rozpoczęła się u dwunastolatek i żadnym sposobem nie dało się jej wyleczyć.

Postanowiła podczas wszystkich kolejnych interakcji z tym facetem dać się poznać jako silna kobieta, tymczasem na tle Maszy (niech szlag trafi tę amazonkę od siedmiu boleści) wyglądała na typową pięćdziesięciodwulatkę, która lubi wygodne życie i ma słabość do czekoladek Lindt. Jej blade, miękkie ciało mówiło samo za siebie. Seryjny morderca z pewnością był jednym z facetów klasyfikujących kobiety wedle jednego tylko kryterium: „Przeleciałbym ją czy nie?”.

Przypomniał jej się pierwszy, poznany przed trzydziestoma laty chłopak, który

głaszcząc jej piersi, oświadczył, że woli mniejsze, jakby powinno ją to obchodzić, jakby części kobiecego ciała były potrawami w menu, a faceci mogli je sobie wybierać jak klienci restauracji.

– Przepraszam. – Właśnie tak odpowiedziała swojemu pierwszemu chłopakowi.

– W porządku – odparł wielkodusznie.

Swojego żalostnego zachowania nie mogła zrzucić na karb doświadczeń z dzieciństwa. Kiedy miała osiem lat, jakiś facet na podmiejskiej ulicy klepnął jej matkę w pośladek.

– Niezły tyłek – pochwalił ją zalotnym tonem.

Frances pomyślała sobie wtedy: „O, jak miło”. A potem zszokowana obserwowała swoją matkę, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, jak dopada tego faceta i okłada go po łbie ciężką torbą pełną wypożyczonych z biblioteki książek w twardych oprawkach.

No dobra. Co za dużo, to niezdrowo. Postanowiła jakby nigdy nic wyjść z basenu. Nie zamierzała w pośpiechu chwycić za ręcznik, by się nim szczelnie okryć.

Zaraz.

Wcale nie chciała jeszcze kończyć! To ona przyszła tu pierwsza. Miała uciekać tylko dlatego, że on się zjawiał? A właśnie że jeszcze sobie popływa i dopiero za chwilę wróci do pokoju.

Zanurkowała i popłynęła tuż przy dnie wykładanym kamyczkami, czując, jak w kojącym ciepłe promieni słonecznych ustępuje skurcz mięśni nóg, wciąż spiętych po porannej wędrówce. O tak, było jej tak dobrze, odprężyła się i czuła się świetnie. Po drugim masażu ból pleców znacznie mniej jej dokuczał i już dostrzegła pierwsze symptomy przemiany. Nagle, ni stąd, ni zowąd, do jej umysłu niczym jadowity wąż zakradł się fragment tej przeklętej recenzji: „Mizoginistyczna, budząca niesmak sieczka”.

Przypomniało jej się też, jak Zoe z grzeczności wyraziła chęć przeczytania *Pocałunku Nathaniela*. Ostatnim, czego to biedne, śliczne dziecko potrzebowało, była mizoginistyczna sieczka. Czy Frances przez trzydzieści lat mimowolnie pisała mizoginistyczną sieczkę? Wynurzyła się z wody, nabierając powietrza tak łapczywie, jakby szlochała.

Seryjny morderca stał na drugim końcu basenu z rozpostartymi ramionami, oparty o krawędź niecki. Ciężko oddychał. W jego spojrzeniu Frances dostrzegła... strach.

„Na litość boską”, pomyślała, „może nie mam dwudziestu lat, ale czy moje ciało naprawdę wzbudza przerażenie?”

– Mhm – mruknął głośno.

Skrzywił się. On naprawdę się skrzywił. Nawet nie próbował zatuszować swojego obrzydzenia.

– Co? – zapytała Frances. Dumnie wyprostowała plecy, przywołując w pamięci obraz matki wymachującej torbą niczym atletka rzucająca młotem. – Nie wolno nam rozmawiać.

– Mhm... pani... – Dotknął nosa.

Chciał powiedzieć: „Pani śmierdzi”?

Wcale nie śmierdziała!

Otarła nos palcami.

– Och!

Krew. Nigdy wcześniej nie miała krwotoku z nosa. Przez tę recenzję po raz pierwszy jej się to przydarzyło.

– Dziękuję – rzuciła chłodno.

Podczas obu ich dotychczasowych rozmów ten facet miał nad nią ogromną, wręcz zatrważającą przewagę.

Z zadartą głową podpłynęła pieskiem do schodków.

– Niech pani opuści głowę – zakomenderował seryjny morderca.

– A właśnie że trzeba odchylić ją w tył – odwarknęła.

Weszła na schodki, jedną ręką przytrzymując dół kostiumu, by nie odsłonić zbyt wiele ciała, a drugą zakrywając nos. Na jej dłoń spływały duże skrzepy. Ohyda. Niewiarygodne. Jakby ją postrzelono. Nie lubiła widoku krwi. Stresowały ją nawet rutynowe zabiegi medyczne. Między innymi z tego powodu nie paliła się do rodzenia dzieci. Spojrzała na błękitne niebo i poczuła, że robi jej się słabo.

– Zaraz zemdleję – oznajmiła.

– Na pewno nie – uspokoił ją seryjny morderca.

– Mam niskie ciśnienie – poinformowała go. – Często mdleję. Mogę w każdej chwili stracić przytomność.

– Pomogę pani – zaoferował.

Chwycił ją za ramię i pomógł jej wyjść z basenu. Prowadził ją sprawnie, ale z taką obojętnością, jakby w skupieniu i z wysiłkiem przepychał przez wąskie drzwi jakiś stary grat, na przykład lodówkę. Frances przygnębiło to, że ktoś traktuje ją jak sprzęt domowy.

Krew wciąż ciekła. Mężczyzna podprowadził Frances do leżaka, pomógł jej usiąść, jednym ręcznikiem okrył jej ramiona, a drugim próbował zatamować krwawienie.

– Proszę mocno ucisnąć nasadę nosa – poradził jej. – O tak. – Pokazał jej, jak to zrobić, a potem nakierował jej dłoń we właściwe miejsce. – O właśnie. Będzie dobrze. Zaraz pani przejdzie.

– Na pewno trzeba odchylić głowę – upierała się Frances.

– Lepiej ją opuścić – odparł. – W przeciwnym razie krew spłynie do gardła. Wiem, co mówię.

Poddała się. Może miał rację. Należał do ludzi wypowiadających każde zdanie z absolutną pewnością siebie, a oni odznaczają się tą irytującą cechą, że rzadko się mylą.

Zawroty głowy ustały. Ściskając nos, zerknęła w górę. Mężczyzna stał przed nią, a jej oczy znalazły się na wysokości jego pępka.

– Lepiej? – zapytał.

Wstrząsnął nim gruźliczy kaszel.

– Tak, dziękuję. Mam na imię Frances – przedstawiła się.

Poddała mu rękę, drugiej nie odrywając od nosa. Jej dłoń zniknęła w jego wielkiej łapie.

– Tony – odparł.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziała. Wyglądał na miłego faceta, mimo że potraktował ją jak stary grat. – I za to, że zatrzymałeś się na autostradzie, kiedy... – Skrzywił się na wspomnienie tamtej sytuacji. – Nigdy wcześniej nie miałam krwotoku z nosa – oznajmiła. – Nie wiem, co go wywołało. Jestem paskudnie przeziębiona.

Zresztą, ty też kaszlesz, jakbyś...

– Lepiej już pójde – przerwał jej zniecierpliwionym, agresywnym tonem, jakby mówił do starszej pani, która zaczepiła go na przystanku autobusowym i nie dawała dojść do słowa.

– Ktoś na ciebie czeka? – odparła z urazą Frances.

Przecież przed chwilą wymagała pomocy medycznej.

Tony popatrzył jej prosto w oczy. Miał jasnobrązowe, niemal złote tęczówki. Przypominał trochę torbacza zagrożonego wyginięciem. Na przykład wielkoucha.

– Nie – odparł. – Ale chyba powinienem... przebrać się do kolacji.

Frances prychnęła. Do następnego posiłku mieli jeszcze mnóstwo czasu.

Zapadło krępujące milczenie. Tony tkwił w miejscu. Chrząknął.

– Nie wiem, czy przetrwam to... doświadczenie. – Dotknął brzucha. – To raczej miejsce nie dla mnie. Nie spodziewałem się aż takiej dawki hipisowskiej ściemy.

Frances uśmiechnęła się łagodnie.

– Przeżyjesz. To tylko dziesięć dni. Właściwie już tylko dziewięć.

– Fakt – zgodził się z nią Tony. Z westchnieniem skierował wzrok na zamglony horyzont. – Tu jest tak pięknie.

– To prawda. I spokojnie.

– Wszystko gra? – zapytał Tony. – Uciskaj nos, aż przestanie krwawić.

– Tak zrobię – zapewniła go Frances.

Przyjrzała się zroszonemu krwią ręcznikowi i przycisnęła do nosa czysty róg.

Kiedy podniosła głowę, Tony już szedł w stronę furki. Gdy uniósł rękę, by ją otworzyć, kąpielówki zsunęły mu się do kolan, odsłaniając pośladki.

– Kurwa! – zaklął siarczyście.

Frances wbiła w niego wzrok. Coś takiego! Facet miał na obu pośladkach wytatuowane jasnożółte, uśmiechnięte buźki. Co za niezwykły widok. Frances czuła się tak, jakby odkryła, że Tony nosi pod ubraniem kostium klauna.

Wbiła wzrok w ziemię. Trzasnęła furka. Kiedy Frances podniosła głowę, Tony'ego już nie było.

Uśmiechnięte buźki. Ile trzeba wypić, żeby zrobić sobie taki tatuaż? W jednej chwili

jej opinia o tym człowieku zmieniła się diametralnie. Już nie widziała w nim aroganckiego szydery. Stał się dla niej poczciwiną z uśmiechniętymi buźkami na pośladkach.

Tony, seryjny morderca z wytatuowanymi na pośladkach uśmiechniętymi buźkami?
Zachichotała, pociągnęła nosem i poczuła w gardle krew.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Masza

Przyszedł od niego kolejny e-mail. Od poprzedniego minęło ledwie kilka dni. Masza wpatrywała się w nazwisko byłego męża widniejące na ekranie jej komputera. Temat wiadomości brzmiał: „PAŻAŁSTA PROCZTI MASZA”.

„Masza, proszę, przeczytaj”.

Jakby rozmawiali oko w oko. E-mail miał załącznik. Masza bezwiednie wydała idiotyczne, żalosne piśnięcie, jak zabawka, na którą ktoś nadepnął.

Wciąż pamiętała ciężar i ciepło jego ręki na swoich ramionach, kiedy siedzieli na okropnej, radzieckiej kanapie, w mieszkaniu identycznym jak poprzednie, z jedną tylko różnicą. W tym nowym znalazło się miejsce dla prawdziwego cudu techniki: magnetowidu.

Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie ten cudowny, straszny odtwarzacz? Na pewno inaczej. Kim by była? Z pewnością kimś innym. Może nigdy by się nie rozstali.

Skasowała e-mail, a potem opróżniła folder z usuniętymi wiadomościami.

Zbliżał się przełomowy moment w jej życiu zawodowym. Musiała się skupić. Od niej zależał los wielu osób. Gości, personelu. Nie miała czasu na... jak brzmiało to rymowane określenie używane przez Dalilę? Zaszłości z przeszłości. Nie miała czasu na zaszłości z przeszłości.

Jednak jej żołądek wciąż się zaciskał jak podczas choroby morskiej. Powinna ćwiczyć umiejętność odcinania się od swoich uczuć. Najpierw należy zidentyfikować doświadczaną emocję, przyjrzeć się jej, nazwać ją i się od niej uwolnić. Szukała odpowiedniego określenia na swój obecny stan i jedyne, jakie przyszło jej do głowy, pochodziło z rosyjskiego: *toska*. W angielszczyźnie nie istniało słowo oznaczające ten

rodzaj bolesnej tęsknoty za czymś, czego nie można mieć i czego w zasadzie nawet się nie pragnie. Najwyraźniej mieszkańcy krajów anglojęzycznych nie doświadczali takich stanów.

Co się z nią działo? To było do niej niepodobne. Wstała, podeszła do maty rozłożonej na podłodze gabinetu i robiła pompki, póki pot nie zrosił jej twarzy.

Zdyszana, wróciła za biurko, otworzyła aplikację kierującą systemem monitoringu i zaczęła w skupieniu sprawdzać, co porabiają jej goście. Ze względów bezpieczeństwa w całym ośrodku zainstalowała kamery przemysłowe, dzięki czemu mogła teraz podglądać większość kuracjuszy.

Dwoje młodych ludzi zmierzało do gorących źródeł. Jessica szła przodem ze spuszczoną głową, a Ben kilka kroków za nią, wpatrzony w horyzont.

Rodzina Marconich się rozdzieliła. Napoleon był w ogrodzie różanym. Przyklęknął, by powąchać kwiat. Masza się uśmiechnęła. Przystanął, żeby delektować się wonią róż.

Tymczasem jego żona zrobiła sobie przebieżkę. Dotarła nieomal na szczyt Wzgórza Spokoju. Masza obserwowała ją przez chwilę, pełna podziwu dla prędkości, z jaką poruszała się po stromym zboczu. Była szybka, ale Maszy by nie prześcignęła.

A gdzie się podziewała ich córka? Przeskakując z jednego ziarnistego, czarno-białego obrazu na drugi, Masza znalazła Zoe ćwiczącą ze sztangą w siłowni.

Tony Hogburn wracał z basenu, przy którym Frances Welty wciąż siedziała na leżaku, ocierając twarz ręcznikiem.

Lars Lee leżał w hamaku rozpiętym na pergoli, z napojem, który pewnie na migi wyłudził w kuchni, wdzięcząc się do personelu. Masza знаła te numery.

To wszyscy? Sprawdzając obraz z kamer w korytarzu na piętrze, zauważyła żwawo maszerującą kobietę w sarongu. Carmel Schneider. Tę drugą singielkę.

Carmel zdjęła okulary i przetarła twarz. Płakała?

– Oddychaj głęboko – wyszeptła Masza, kiedy Carmel nie mogła przekręcić klucza w zamku i z bezsilności zaczęła tłuc pięścią w drzwi.

Kiedy wreszcie udało jej się je otworzyć, nieomal przewróciła się na progu. Masza żałowała, że nie może zajrzeć do jej pokoju. Ludzie byli tacy pruderyjni. Yao i Dalila kurczowo trzymali się przepisów. Maszy nie zależało na oglądaniu swoich gości bez

ubrań! Po prostu chciała zdobyć o nich więcej informacji, by jak najlepiej wykonywać swoją pracę.

Musiał jej wystarczyć podsłuch. Do odpowiedniej rubryki na ekranie wprowadziła numer pokoju Carmen.

Z głośnika monitora popłynął wyraźny głos szlochającej kobiety:

– Weź się w garść. Weź się w garść. Weź się w garść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Carmel

Carmel stała w swoim pokoju i biła się po twarzy. Jeden raz. Drugi. Trzeci. To ostatnie uderzenie było tak mocne, że spadły jej okulary.

Podniosła je, poszła do łazienki i obejrzała w lustrze zaczerwieniony policzek.

Przez chwilę, kiedy pływała w basenie, tam i z powrotem, a endorfiny buzowały w jej organizmie po tym cudownym spacerze wśród drzew, czuła się całkiem dobrze, wręcz doskonale. Od wielu lat nie pływała.

W wodzie z zachwytem myślała o tym, że nie musi nigdzie jechać, nie ma nic do zrobienia i o nikogo nie musi się martwić. Nie trzeba nikogo odebrać z próby zespołu jazzowego ani odwieźć na zajęcia z karate, nie ma lekcji do odrobienia, nie musi kupować prezentów urodzinowych ani rejestrować się u lekarza. Gdzieś daleko został ten nieskończony natłok drobiazgów składających się na jej życie. Z osobna każde z tych zadań wydawało się banalnie proste. Razem potrafiły ją przytłoczyć.

Tutaj nawet nie musiała robić prania. Wystarczyło wystawić za drzwi brudne ubrania w odpowiednim worku, by w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzymać je czyste i wyprasowane. Kiedy to przeczytała, dosłownie rozplakała się ze szczęścia.

Postawiła sobie za cel przepłynięcie pięćdziesięciu długości kraulem, stopniowo zwiększając prędkość. Chciała odzyskać doskonałą kondycję! Już czuła, jak traci zbędne kilogramy. Wystarczyło tylko znaleźć czas na ćwiczenia i usunąć ze spiżarni tuczące smakołyki. Płynąc, miarowo poruszała ramionami i w tym samym rytmie powtarzała w myślach: „Jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa”, wdech, „Jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa, jestem szczęśliwa”, wdech.

Nagle jednak radosną mantrę zakłócił cichutki, dźwięczący w jej uszach szept:

„Ciekawe, co teraz robią”.

Próbowała go zignorować, jeszcze radośniej zagrzewając się do wysiłku: „Jestem SZCZĘŚLIWA, jestem SZCZĘŚLIWA”.

Głosik nabierał mocy, aż wreszcie przeszedł w krzyk: „Pytam serio, jak sądzisz, co robią W TEJ CHWILI?”.

Wtedy poczuła, że odchodzi od zmysłów. W narastającej panice przypomniał jej się ten nękający ją co jakiś czas sen, w którym traci wszystkie córki, bo dopuściła się jakiegoś karygodnego zaniedbania, na przykład zostawiając je na poboczu drogi albo zapominając o ich istnieniu i wychodząc na imprezę.

Próbowała się uspokoić i myśleć racjonalnie. Jej dzieci nie błąkały się po poboczu drogi. Zostały ze swoim ojcem i Sonią, jego nową, perfekcyjną w każdym calu narzeczoną, a wkrótce małżonką. Carmel, znając plan ich podróży, wiedziała, że właśnie zwiedzają Paryż i nocują w „cudownym” apartamencie zarezerwowanym przez Airbnb. Sonia, która „wprost uwielbiała podróżować”, już kiedyś w nim mieszkała. Oczywiście, tam w styczniu panowały mrozy, ale dzieci miały nowe kurtki. Właśnie odbywały najwspanialszą podróż swojego życia. Podczas gdy one wyruszyły na cudowną, kształcącą wyprawę, ona zafundowała sobie wakacje, by „naładować akumulatory”.

Ojciec je kochał. Jego nowa partnerka też.

– Sonia powiedziała, że kocha nas nad życie – wyznała Rosie po trzecim spotkaniu z tą kobietą, a Carmel na to:

– No cóż, chyba ma nie po kolei w głowie!

Powiedziała to w myślach, a na głos odrzekła tylko:

– To cudownie!

Rozwód przebiegł w przyjaznej atmosferze. Przynajmniej dla Joela. Ona przeżyła rozstanie jak śmierć, której nikt nie zauważył. On po prostu się odkochał. Jakże ciężko było mu żyć u boku kobiety, do której nic już nie czuł. Biedaczek naprawdę stoczył walkę z samym sobą, ale ostatecznie postanowił być wierny sobie.

Tak bywa. Zdarza się to dość często. Najważniejsze, by porzucona żona zachowywała się z godnością. Nie wolno jej rozpaczać i szlochać, chyba że pod

prysznicem, gdy dzieci są w szkole i w przedszkolu, a ona została sama w domu na przedmieściach, zamieszkałych przez inne rozpaczające i szlochające żony. Nie ma prawa do jadownych, żółwowych komentarzy pod adresem nowej, lepszej żony. Powinna zacisnąć zęby, nie krzywić się przy tym z goryczą. Dla wszystkich zainteresowanych jest lepiej, jeśli zachowa szczupłą sylwetkę.

Carmel dotknęła murka i ruszając w drugą stronę, zauważyła, że ktoś wszedł do basenu. To była ta sympatycznie wyglądająca starsza pani o blond włosach z truskawkowymi refleksami. Carmel nieomal się z nią przywitała, ale ostatecznie zignorowała ją, przypomniawszy sobie o konieczności zachowania ciszy.

Pływała dalej, uparcie myśląc o tym, że Sonia ma włosy o takim samym odcieniu jak ta kobieta. Bez wątpienia obie sporo za to zapłaciły.

Lulu miała jasne włosy. Była zupełnie niepodobna do Carmel, co nie miało znaczenia aż do dnia, w którym dziewczynka opowiedziała, jak to tatuś i Sonia zabrali ją i jej siostry na kolację, a jakaś pani podeszła do ich stolika i powiedziała do Lulu:

– Masz takie same śliczne włosy jak mamusia.

– Ha, zabawne – odparła Carmel wysokim, pełnym napięcia głosem. – Wyjaśniłaś jej, że Sonia nie jest twoją mamą?

Wtedy Lulu zacytowała tatusia, który prosił, by nie podkreślały co chwilę, że tak naprawdę nie są córkami Soni, a Carmel na to:

– Kochanie, to wręcz konieczne, by powtarzać to na każdym kroku, najgłośniej, jak tylko potraficie.

Powiedziała to w myślach do samej siebie, a głośno rzuciła tylko:

– Lulu, czas umyć zęby.

Kiedy tylko sobie o tym przypomniwała, przyspieszyła, mocniej i szybciej tłukąc o wodę rękami i nogami, ale długo nie wytrzymała tego tempa, zabrakło jej sił, była słaba, gruba, leniwa i odrażająca. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak na drugim końcu świata, w Paryżu, gdzie Carmel nigdy nie była, Sonia czesze jej cztery córeczki, które prawdopodobnie przy niej się nie wiercą, i nagle zachłysnęła się wodą.

Wygramoliła się z basenu, unikając kontaktu wzrokowego z tą miłą blondynką, zgodnie z zasadami, które akurat w tej chwili były jej na rękę, bo ryczała jak bóbr, przez

całą drogę do pokoju. Na pewno zauważył to też ten zwalisty facet, którego minęła na ścieżce.

– Weź się w garść – powtórzyła, patrząc na swoje lustrzane odbicie.

Otuliła się ramionami.

Tęskniła za dziećmi. Uczucie to ogarnęło ją jak nagła gorączka. Brakowało jej kojącego ciepła ich ślicznych, drobnych, dziewczęcych ciał, które bezwzględnie ją zawłaszczają, kiedy wdrapywały jej się na kolana, jakby była krzesłem, i rozgrzanymi rączkami dotykały jej brzucha i piersi.

– Złazcie ze mnie! – łajała je co chwilę ze śmiechem.

Przy nich czuła się potrzebna, w zasadzie niezbędna. Wszystko od niej zależało. Wciąż słyszała, jak któraś z nich mówi:

– Gdzie mama?

– Powiem mamie, co zrobiłaś.

– Maaaaaamooooo!

Teraz, wolna od zobowiązań, swobodnie dryfowała.

Rozpięła klamerkę i kostium zsunął się na podłogę łazienki, a Carmel zobaczyła w lustrze swoje nagie ciało.

– Przepraszam. Wciąż łączą mnie z tobą głębokie uczucia, ale w naszym związku zawsze stawialiśmy na szczerść, prawda? – powiedział Joel przed rokiem, nalewając jej wina do kieliszka. – Mówię to z bólem, ale chodzi o to, że po prostu już mi się nie podobasz.

Najwyraźniej wydawało mu się, że postępuje delikatnie i etycznie. Był święcie przekonany, że zachował się jak należy. Nie zdradziłby jej. Po prostu ją zostawił i natychmiast założył profil na portalu randkowym, szukając kogoś na jej miejsce. Miał czyste sumienie. Zawsze dbał o swój dobytek, a jeśli jakiegoś sprzętu nie dało się doprowadzić do takiego stanu, by wyglądał „jak nowy”, wymieniał go na lepszy model.

Carmel uniosła dłońmi piersi, by wróciły na miejsce, w którym znajdowały się, gdy były „jak nowe”. Przyjrzała się rozstępom na obwisłym brzuchu i przypomniał jej się pretensjonalny post na Facebooku wychwalający ich piękno, bo przecież upamiętniają stworzenie nowego życia, bla, bla, bla. Być może rozstępy wydają się piękne, jeśli

ojciec twoich dzieci wciąż uwielbia twoje ciało.

Kiedy Joel zapytał, czy mogą razem z Sonią zabrać dziewczynki na wycieczkę do Europy podczas styczniowych ferii – Disneyland w Paryżu! Narty w Austrii! Łyżwy w Rzymie! – Carmel odparła:

– Żartujesz? Beze mnie organizujesz wyjazd, który planowaliśmy wspólnie?

Tylko tak pomyślała. Na głos powiedziała:

– Będą się świetnie bawić!

A potem zajęła się wyrabianiem dla nich paszportów.

Siostrze oznajmiła, że pod ich nieobecność przejdzie na dietę paleo, zacznie trening kondycyjny i siłowy, poćwicz jogę. Postanowiła przeobrazić swoje ciało.

Nie chciała odzyskać Joela. Zależało jej tylko na tym, by na jej widok opadła mu szczęka. Nawet nie musiałby wytrzeszczyć oczu, choć w sumie to też by ją ucieszyło. Wystarczyłoby jej, gdyby wyglądała tak dobrze, jak to tylko możliwe, a wtedy, kto wie, może ona też wypróbowałaby któryś z serwisów randkowych, ułatwiających poszukiwanie kolejnego kandydata na męża.

– Do cholery, twoje ciało wygląda bez zarzutu. Głuptasie, masz przeciętną posturę! Jesteś atrakcyjną, inteligentną kobietą, więc skończ z tymi wymysłami. Powinnaś cały styczeń przeleżeć w hamaku, zajadając się serami – besztła ją jej siostra, Vanessa, wściekła na Joela i cały patriariat wpędzający kobiety w kompleksy.

Carmel puściła piersi i zsunęła dłoń na krągły brzuch. Przeciętność jej nie zadowalała. Przeciętą posturą to tylko krok do nadwagi. Każdy to wie. Społeczeństwo w tym kraju tyło na potęgę! Nie chciała nikogo wpędzać w kompleksy, ale sobie samej miała wiele do zarzucenia. Kiedyś nosiła ubrania o dwa rozmiary mniejsze, a dodatkowych kilogramów nie nabrała po urodzeniu czterech córek. Po prostu „przestała o siebie dbać”. A tego grzechu kobiecie nie wolno popełnić. O tym przecież pisali mężczyźni na swoich profilach randkowych: „Chciałbym poznać zadbaną kobietę”. Tak naprawdę mieli na myśli co innego: „Chciałbym poznać szczupłą kobietę”.

Poza tym informacje na temat tego, jak o sobie zadbać, były ogólnie dostępne! Jak powszechnie wiadomo, należy wyeliminować z diety węglowodany, cukier i tłuszcze nienasycone! Celebryci chętnie dzielili się swoimi tajemnicami. Ich ulubionymi

przekąskami były „garść orzechów” albo „dwie kostki ciemnej czekolady, bogatej w przeciwutleniacze”! Pili dużo wody, unikali słońca i nie korzystali z windy! Proste jak drut! Czy Carmel kiedykolwiek chodziła po schodach? Nie, nigdy.

Wprawdzie zazwyczaj towarzyszyły jej córki, a kiedy wchodziły za długo po schodach, z reguły jedna wyprzedzała resztę, a inna siadała i oświadczała, że bolą ją nogi. Carmel z pewnością znalazłaby czas na ćwiczenia przy okazji wykonywania codziennych obowiązków. Ale jej się nie chciało. Zaniedbała swoje ciało, całymi miesiącami nie obcinała włosów, nie regulowała brwi, zapomniała o depilacji nóg, więc nic dziwnego, że mąż ją zostawił, bo, jak starała się wpoić swoim dzieciom, każde działanie ma swoje konsekwencje.

Pomyślała o smukłym, wyrzeźbionym ciele Maszy.

Wyobraziła ją sobie na swoim miejscu, kiedy stoi w drzwiach, gdy Joel i Sonia przywożą dziewczynki. Przede wszystkim, on nie zostawiłby Maszy, ale zakładając, że tak by się stało, ona z pewnością nie dostawałaby palpacji na widok byłego męża i jego nowej partnerki. Nie wyglądałaby zza drzwi, w nienaturalnej pozie, by ukryć przed Joelem swoje nazbyt krągłe ciało. Masza z dumą zaprezentowałaby się w całej okazałości. Nie kuliliby się, próbując osłonić swoje złamane serce.

Vanessa stwierdziła, że jeśli Carmel „przestała się podobać” Joelowi, to jego problem. Poradziła siostrze, by nauczyła się kochać siebie, i przysyłała jej linki do artykułów o „jedzeniu intuicyjnym” i „zdrowiu bez względu na gabaryty”. Carmel wiedziała, że napisały je grubasy tylko po to, by inne grubasy poczuły się lepiej, wiodąc żaloszny żywot grubasa.

Gdyby zmieniła swoje ciało, zaczęłaby nowy rozdział w życiu i przeszła do porządku dziennego nad swoim nieudanym małżeństwem. To nie były wymysły, taka była prawda.

Vanessa, bogata i hojna – kombinacja wprost idealna – podarowała Carmel kartkę urodzinową z następującymi życzeniami: „Carmel, uważam, że nie musisz chudnąć. Jesteś piękna, a Joel to ordynarny tępak i powinnaś mieć jego opinię CENTRALNIE W DUPIE. Jeśli jednak upierasz się, by zacząć zdrowo żyć, to chcę, żebyś zrobiła to z klasą i w komfortowych warunkach. Zarezerwowałam ci miejsce w Tranquillum House na dziesięciodniowe oczyszczanie, kiedy dzieciaki wyjadą. Baw się dobrze!

Całuję, Ness. PS. A potem wracaj do domu na serową ucztę”.

Carmel ostatni raz tak się cieszyła z prezentu, kiedy była małą dziewczynką.

Przypomniały jej się słowa Maszy: „Za dziesięć dni będziecie innymi osobami”. W uszach Carmel dźwięczało słowo „błagam”. „Błagam, błagam, błagam, niech tak właśnie się stanie, błagam, błagam, błagam, chcę być kimś innym”. Spojrzała na odbicie swojej idiotycznej, głupkowatej twarzy. Jej sucha, zaczerwieniona cera wyglądała jak skóra na dłoniach starej praczki. Pionowe bruzdki układały się na kształt parkanu na jej górnej wardze, tak cienkiej, że znikwała podczas uśmiechu. To była jedyna wąska część jej ciała. Usta powinny przypominać mięsiste płatki róż, a jej były tylko wściekłą, cienką, ledwie widoczną linią.

„Och, Carmel, nic dziwnego, że przestałaś mu się podobać! Co ty sobie wyobrażałaś? Niby czemu miałyby mu się podobać ktoś taki jak ty?” Uniosła rękę, by wymierzyć sobie jeszcze jeden policzek.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Carmel aż podskoczyła. Włożyła szlafrok i otworzyła.

Na progu stał Yao ze spuszczoną głową. Nie spojrzał na Carmel i nie odezwał się choćby słowem. Wręczył jej karteczkę.

Carmel wzięła ją i Yao natychmiast odszedł. Zamknęła drzwi.

Sztywna, kremowa karteczka z brystolu przypominała trochę zaproszenie na ślub. Zapisano ją odręcznie czarnym, gęstym, budzącym respekt atramentem.

Droga Carmel,

wprawdzie Twój harmonogram przewiduje teraz czas wolny, prosimy jednak, byś jak najszybciej zgłosiła się do spa na opracowany specjalnie dla Tranquillum House zabieg kosmetyczny „Relaks i odmłodzenie”. Trwa on dziewięćdziesiąt minut i skończy się przed kolacją. Kosmetyczka już na Ciebie czeka.

Twoja Masza

PS To Yao pełni funkcję twojego osobistego konsultanta wellness, ale wiedz, że ja również zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić Ci dobre samopoczucie, zabiegi terapeutyczne i radość, na które w pełni zasługujesz.

W tym momencie Carmel Schneider oddała się we władanie Maszy z taką samą zmysłową uległością, z jaką kandydatki na zakonnice podporządkowują się Bogu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Yao

Była dziewiąta wieczorem. Po kolacji goście rozeszli się do pokoi i teraz powinni już smacznie spać. Yao, Masza i Dalila siedzieli z notatnikami przy okrągłym stole w gabinecie szefowej. Codziennie spotykali się, by złożyć jej szczegółowy raport.

Masza postukała palcami w blat. Podczas zebrań zachowywała się zupełnie inaczej niż w ciągu dnia. Słownictwo, precyzja w wyrażaniu się i sztywna postawa świadczyły o jej korporacyjnej przeszłości. Dalilę to bawiło, ale Yao, który nie miał do czynienia ze światem wielkich przedsiębiorstw, uważał to za urocze.

– Świetnie. Przejdźmy do następnego punktu. Cisza. Czy ktoś dziś przerwał milczenie? – zapytała Masza.

Wyglądała na podenerwowaną. Pewnie wprowadzanie nowej metody kosztowało ją sporo stresu. Yao też się niepokoił.

– Lars – odparła Dalila. – Próbował się wykręcić od badań krwi. Powiedziałam, żeby przestał się zachowywać jak dziecko.

Yao nigdy nie potraktowałby gościa w taki sposób. Dalila mówiła to, co myślała, a on niekiedy zachowywał się trochę... nieuczciwie. Grał rolę. Na przykład pomagając jakiejś mało sympatycznej osobie podczas ćwiczeń mięśni brzucha, łagodnie i cierpliwie ją motywował – „Dasz radę!” – myśląc przy tym: „Nawet nie próbujesz, ty arogancki, leniwy skurwysynu”.

– Frances napisała do mnie liścik – powiedział Yao. – Pytała, czy może ominąć badanie krwi, bo dostała krwotoku z nosa. Wyjaśniłem jej, że właśnie dlatego powinna się zbadać.

Masza prychnęła.

– Nikt nie lubi pobierania krwi – stwierdziła. – Ja też! Nienawidzę igieł. – Zadrzała.
– Kiedy wiele lat temu złożyliśmy prośbę o pozwolenie na pobyt w tym kraju, musieliśmy wykonać mnóstwo badań, między innymi na HIV i kiłę. Waszemu rządowi zależało na naszych umysłach, ale oczekiwano od nas także idealnych ciał. Sprawdzano nawet stan naszego uzębienia. – Postukała palcem w swoje białe zęby. – Moja przyjaciółka stwierdziła: „Zachowują się tak, jak gdyby kupowali konie!”. – Skrzywiła się, jakby to wspomnienie godziło w jej poczucie własnej wartości. – Ale zrobiliśmy, co trzeba – dodała, nie patrząc na rozmówców, jakby mówiła do kogoś, kogo nie było w gabinecie.

Yao spojrział na jej obojczyk, wystający spod ramiączka skromnej koszulki bez rękawów. Zanim poznał Maszę, nie przyszłoby mu do głowy, że ta część kobiecego ciała może być zmysłowa.

– Zakochałeś się w niej czy co? – zapytała go w zeszłym tygodniu matka podczas rozmowy telefonicznej. – To dlatego harujesz dla niej jak wół?

– Ona jest prawie w twoim wieku, mamó – odparł Yao. – I wcale nie haruję jak wół.

– Raczej przypominasz jej pieska – zadrwiła Dalila. – Podkochujesz się w niej.

Leżeli wtedy w łóżku. Dalila była piękna, doświadczona seksualnie i bardzo mu się podobała, ale ich schadzki przypominały transakcje handlowe, choć nie płacili sobie nawzajem.

– Jestem jej wdzięczny – powiedział Yao, leżąc z rękami za głową i w zamyśleniu wpatrując się w sufit. – Uratowała mi życie.

– Nie ona tobie, tylko ty jej.

– Mój przełożony ją uratował – sprostował Yao. – Ja nie wiedziałem, co robię.

– A teraz ją kochaaaaasz – droczyła się Dalila, wkładając z powrotem biustonosz.

– Jak siostrę – dorzucił Yao.

– Akurat.

– Jak kuzynkę.

Dalila prychnęła.

Zżył się z Maszą. Po prostu ją lubił. Aż tak trudno to zrozumieć? To chyba nic dziwnego, jeśli mieszka się i pracuje z kimś, kto wygląda tak jak Masza. Intrygowała go

i inspirowała. Jej egzotyczny akcent urzekał go tak samo jak jej ciało. Gotów był przyznać, że się w niej podkochuje. Jego fascynacja mogła wydawać się dziwna i zapewne wynikała ze słabości charakteru albo stanowiła konsekwencje dziecięcej traumy, choć wczesne lata jego życia były całkiem zwyczajne i szczęśliwe, a on, nieśmiały i poważny chłopiec, czasem czymś za bardzo się przejmował, ale na ogół nie miał kłopotów. Jego rodzice, ludzie łagodni i skromni, nigdy nie wywierali na niego nacisku. Uważali, że od życia nie należy zbyt wiele oczekiwać, by uniknąć rozczarowania. Pewnego razu ojciec powiedział to wprost, i to bez cienia ironii:

– Spodziewaj się porażki, Yao, a ominą cię rozczarowania.

Dlatego właśnie egotyzm Maszy wydał się Yao tak ożywczy. Skromność nie leżała w jej naturze. Nie miała w zwyczaju umniejszać swoich zasług i nie rozumiała, czemu inni to robią.

Poza tym naprawdę uratowała mu życie.

Po zawale napisała listy z podziękowaniami do Finna i Yao, zapewniając ich, że „spotkanie ze śmiercią” na zawsze ją zmieniło. Twierdziła też, że kiedy jej duch unosił się nad nimi, zobaczyła małe czerwone znamię na potylicy Yao. Opisała je szczegółowo. Miało kształt truskawki.

Finn nie odpowiedział na jej list.

– To wariatka. Jej duch nie musiał unosić się nad naszymi głowami, żeby zauważyła twoje znamię. Pewnie spostrzegła je, kiedy siedziała przy biurku, zanim straciła przytomność.

Jednak jej graniczne doświadczenie zaintrygowało Yao. Wysłał do Maszy e-mail i przez lata sporadycznie do siebie pisali. Opowiedziała mu o tym, jak doszła do siebie po operacji serca i zrezygnowała z (jak sama to ujęła) „zawrotnej” kariery w korporacji, sprzedała akcje firmy i kupiła znaną, zabytkową wiejską posiadłość. Zamierzała zbudować basen i odnowić dom. Początkowo planowała otworzyć tam ekskluzywny pensjonat, ale zmieniła zdanie, kiedy zaczęła prowadzić zdrowy tryb życia.

Napisała: „Yao, udało mi się uzdrowić ciało, umysł i duszę, dlatego chciałabym pomóc innym, którzy tego potrzebują”.

W jej e-mailach pobrzmiwał patetyczny ton, który zarazem bawił i wzruszał Yao, ale wtedy jeszcze Masza nie była dla niego kimś bliskim, tylko wdzięczną pacjentką,

która trochę dziwnie formułowała zdania.

Nagle, tuż po jego dwudziestych piątym urodzinach, wszystkie kostki domina przewróciły się jedna za drugą, bam, bam, bam. Najpierw rodzice oznajmili, że się rozwodzą. Sprzedali rodzinny dom i wprowadzili się do oddzielnych mieszkań. Yao nie potrafił się odnaleźć w tej nowej, stresującej sytuacji. Potem, w samym środku tego dramatu, jego narzeczona, Bernadette, zerwała zaręczyny. To było jak grom z jasnego nieba. Wydawało mu się, że bezgranicznie się kochają. Zaplanowali już ślub, wesele i miesiąc miodowy. Jak doszło do tego kryzysu? Yao zawałił się cały świat. Rozstanie to jeszcze nie tragedia, ale on, ku swojemu ogromnemu zażenowaniu, przeżył je jak największy kataklizm.

Ukradziono mu samochód.

Nadmierny stres wywołał u niego egzemę.

Finn przeprowadził się do innego stanu, a Yao przeniesiono do regionalnego oddziału ratownictwa medycznego, w którym nie znał nikogo i pomagał głównie ofiarom przemocy i narkomanom. Pewnej nocy jakiś facet przystawił mu nóż do szyi i zagroził:

– Jak jej nie uratujesz, poderżnę ci gardło.

Kobieta już nie żyła. Kiedy przyjechała policja, mężczyzna rzucił się z nożem na funkcjonariuszy i został postrzelony. Yao uratował mu życie.

Wrócił do pracy. Dwa dni później obudził się jak zawsze kilka minut przed budzikiem, a kiedy rozległo się dzwonicie, w jego mózgu doszło do jakiejś katastrofalnej w skutkach awarii. Albo eksplozji. To było fizyczne doznanie. Przeraził się, że to wylew. Trafił na oddział psychiatryczny.

– Na moje oko cierpi pan na nadmiar stresu – zawyrokował lekarz z podkrążonymi oczami.

– Nie umarł nikt z mojego otoczenia – odparł Yao.

– Ale tak właśnie pan się czuje, prawda?

Dokładnie. Jakby bliskie mu osoby odchodziły jedna za drugą. Finn wyjechał. Narzeczona odeszła. Dom rodzinny został sprzedany. Nawet jego auto zniknęło.

– Niegdyś taki stan określano mianem załamania nerwowego – kontynuował lekarz.

– Dziś mówi się raczej o epizodzie depresji o dużym nasileniu. – Skierował Yao do psychiatry i przepisał mu antydepresanty. – Przy odpowiedniej terapii depresja może mieć pozytywne skutki – pocieszył go. – Proszę ją potraktować jako okazję do rozwoju i dowiedzenia się czegoś o sobie samym.

Tego dnia, kiedy wyszedł ze szpitala, dostał e-mail od Maszy, w którym ta zaprosiła go do siebie, by wypróbował nowe pokoje gościnne, jeśli tylko zapragnie zrezygnować z udziału w „wyścigu szczurów”.

Yao potraktował to jako znak.

„Tak się składa, że ostatnio nie czuję się najlepiej”, odpisał. „Chętnie wpadnę, by odpocząć przez kilka dni”.

Po przyjeździe do posiadłości nie poznał Maszy, która wkroczyła na werandę cała w bieli, piękna jak bogini, przytuliła go na powitanie i szepnęła mu do ucha:

– Uzdrowię cię.

Za każdym razem, kiedy wychodził na spotkanie nowym gościom, chciał sprawić, by poczuli się tak jak on wtedy. Jak rozbitek, który zobaczył łódź majaczącą na horyzoncie.

Masza opiekowała się nim jak rannym ptakiem. Gotowała dla niego, uczyła go medytacji i jogi. Razem zgłębiali tajniki tai-chi. Sam na sam spędzili w tym domu trzy miesiące. Nie uprawiali seksu, ale łączyło ich coś ważnego. Wyruszyli w swego rodzaju podróż. Odrodzili się. W tym czasie jego ciało ulegało przemianie, nabierało jędrności i siły, w miarę jak jego umysł wracał do zdrowia. Yao stawał się kimś zupełnie innym, doświadczając spokoju i bezpieczeństwa, jakich nigdy wcześniej nie zaznał. Pozbył się starego siebie tak jak wąż, który zrzuca skórę.

Dawniej sporadycznie ćwiczył i jadł za dużo żywności przetworzonej. Zamartwiał się, źle sypiał, budził się w środku nocy, jeszcze raz przeżywając wszystkie niebezpieczne sytuacje, z którymi zmierzył się w ciągu dnia.

Teraz przesypiał całą noc i rano budził się rześki. Przestał obsesyjnie wyobrażać sobie byłą narzeczoną w łóżku z innym facetem. Prawie w ogóle o niej nie myślał, aż wreszcie zupełnie wymazał wspomnienia o niej. Żył chwilą, z pasją poznawał tajniki wellness, zainspirowany stworzoną przez Maszę wizją Tranquillum House. Zamiast doraźnie pomagać ludziom, jak wtedy, gdy pracował jako ratownik medyczny, chciał

dać im szansę na prawdziwą przemianę, taką, jaką sam przeszedł. Czuł się trochę tak, jakby zakładał kościół, choć ich działalność bazowała na dobrze udokumentowanych badaniach medycznych.

Rodzice odwiedzili go, każde z osobna, ale oboje orzekli, że czas najwyższy, by ich syn wrócił do Sydney, do swojego dawnego życia. Jednak po sześciu miesiącach od jego przyjazdu Masza i Yao otworzyli podwoje Tranquillum House dla swoich gości. To był sukces. I wspaniała przygoda. O wiele atrakcyjniejsza niż praca ratownika medycznego.

Pięć dni przeciągnęło się do pięciu lat. Przed czterema dołączyła do nich Dalila i we trójkę wiele się nauczyli, bezustannie opracowując nowe, coraz doskonalsze kuracje. Masza płaciła bardzo hojnie. To była wymarzona praca.

– Jutro zaczynam indywidualne sesje terapeutyczne – poinformowała ich teraz. – Pokażę wam swoje notatki.

– Świetnie, im więcej wiemy o naszych gościach, tym lepiej – odparł Yao.

Podczas tego turnusu zamierzali wprowadzić kilka nowych elementów do programu oferowanego przez ośrodek. Nic dziwnego, że czuli niepokój.

– Chciałabym dowiedzieć się więcej o przeszłości Tony’ego Hogburna – powiedziała Dalila. – Coś z nim jest nie tak, ale jeszcze nie wiem co.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał Yao niemal do siebie.

Masza wyciągnęła rękę nad stołem i uścisnęła ramię Yao, a jej przeszywające zielone oczy zapłonęły energią i pasją, które tak go inspirowały.

– Będzie lepiej niż dobrze – oświadczyła. – Będzie pięknie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Frances

Był czwarty dzień turnusu.

Ku własnemu zdumieniu Frances z łatwością przywykła do nieśpiesznego rytmu życia w Tranquillum House. Podejmowała niewiele decyzji dotyczących tego, jak spędzać czas.

Każdy dzień rozpoczynał się od prowadzonej przez Yao porannej sesji tai-chi w ogrodzie różanym. Harmonogram Frances uwzględniał co najmniej jeden, a czasem dwa lecznicze masaże Jan. W niektóre dni kilkakrotnie szła do spa, jeśli na przykład „zaplanowano” dla niej zabieg kosmetyczny. Nie uważała tego za uciążliwe. Każdy z zabiegów był niezwykłym, błogim doświadczeniem, pełnym boskich aromatów, po którym cera Frances robiła się zdrowa i promienna, a jej włosy układały się idealnie jak płatki kwiatu. Sesje jogi odbywały się w studiu w piwnicy, a spacerów medytacyjnych w lasach porastających okoliczne wzgórza. Codziennie maszerowali coraz różniej i szybciej po coraz bardziej stromych zboczach.

Wczesnym wieczorem, kiedy temperatura trochę spadała, niektórzy goście biegali z Yao (wydawało się, że rodzina Marconich wypełnia joggingiem cały wolny czas, a Frances z balkonu obserwowała, jak wszyscy troje gnają na szczyt Wzgórza Spokoju, jakby od tego zależało ich życie), inni wybierali „łagodniejsze” ćwiczenia z Dalilą w ogrodzie różanym. Najwyraźniej konsultantka wellness postawiła sobie za punkt honoru nauczenie Frances robienia pompek po męsku – na rękach i palcach stóp, a ponieważ obowiązywało milczenie, nie można było powiedzieć: „Nie, dziękuję. Nigdy nie rozumiałam, czemu ludzie robią pompki”. Teraz już wiedziała, że ćwiczenie to „uruchamia wszystkie mięśnie”, co podobno jest niezwykle istotne.

Frances pokornie pozwalała, by Yao codziennie pobierał jej krew i mierzył ciśnienie, a następnie w milczeniu stawała na wadze, ale uparcie odwracała wzrok, gdy jej opiekun zapisywał wynik pomiaru, choć czuła, że gubi kilogram za kilogramem dzięki ćwiczeniom, niskokalorycznej diecie i abstynencji.

W miarę upływu dni szlachetne milczenie, które początkowo wydawało się pozbawioną większego sensu, odgórnie narzuconą i łatwą do zlekceważenia regułą, nabierało znaczenia i ciężaru, tak jak fala letnich upałów, która rozgościła się na dobre. Cisza była jak suche, nieruchome powietrze i jasne światło słoneczne.

Początkowo, kiedy Frances nie absorbowały żadne dźwięki i rozmowy, jej myśli krążyły i zapętlały się wokół tych samych tematów: Paul Drabble, stracone pieniądze, zaskoczenie, uraza, gniew, zaskoczenie, uraza, gniew, syn Paula, który prawdopodobnie nawet nie był jego synem, książka napisana pod wpływem obłąkańczej, nieodwzajemnionej miłości, kariera chyląca się ku upadkowi, recenzja, której lepiej było nie czytać. Nie znalazła żadnych rozwiązań ani nie doszła do oświecenia, ale wystarczyło przyjrzeć się gonitwie myśli, by ta zaczęła się uspokajać, aż wreszcie zupełnie ustała, a Frances raz po raz łapała się na tym, że... nie myśli o niczym. Miała pustkę w głowie. Jej umysł się opróżnił. To były najcudowniejsze momenty.

Pozostali goście, milczący, choć przyjaźni, majaczyli gdzieś na obrzeżach jej pola widzenia. Ignorowanie ludzi weszło jej w krew, nie witała się z osobą zastaną w gorącym źródle, bez słowa, patrząc w dal, wchodziła do bulgoczącej wody śmierdzącej jak zgniłe jaja.

Pewnego razu przesiedziała mnóstwo czasu w baseniku w Tajemnej Grocie z tym wysokim, przystojnym brunetem. Nic nie mówiąc, podziwiali widok na dolinę, pogrążeni we własnych myślach. Choć nie rozmawiali ani nawet na siebie nie spojrzeli, Frances miała wrażenie, że przeżyli razem jakieś duchowe doświadczenie.

Spotkało ją kilka innych przyjemnych niespodzianek.

Na przykład wczoraj po południu, kiedy mijała Zoe na schodach, dziewczyna ukradkiem wcisnęła jej coś w dłoń. Frances nie spuściła wzroku, nic nie powiedziała (co o tyle ją zaskoczyło, że dyskrecja nie była jej najmocniejszą stroną; obaj jej mężowie twierdzili, że nie znają drugiej osoby, która mniej niż Frances nadawałaby się na szpiega, bo oczywiście oni, choć zdecydowanie różnili się osobowościami, posiadali tak

wybitne kwalifikacje, że w każdej chwili mogliby wstąpić do CIA) i dopiero w pokoju zobaczyła w dłoni babeczkę czekoladową Reese's z masłem orzechowym. W życiu nie jadła niczego równie pysznego. Poza krótką interakcją z Zoe nie kontaktowała się z nikim. Już nie podrywała się, słysząc kichnięcie Napoleona. Zauważyła, że przeraźliwy kaszel Tony'ego stopniowo ustępował, aż wreszcie zniknął, niemal w tym samym czasie, kiedy i ona przestała kaszleć. Oddychała z cudowną swobodą. Ranka na palcu się zagoiła, a ból pleców dokuczał jej coraz mniej. Faktycznie zmierzała „ku lepszemu samopoczuciu”. Postanowiła po powrocie do domu wysłać Ellen kartkę z serdecznymi podziękowaniami za polecenie jej tego miejsca.

Wedle dzisiejszego harmonogramu zaraz po lunchu czekała ją indywidualna sesja terapeutyczna z Maszą. Frances nigdy w życiu nie korzystała z pomocy psychologa. Od czego są przyjaciółki? Pomagały sobie nawzajem i odpłacały przysługą za przysługę. Frances nie wyobrażała sobie, że mogłaby zwierzyć się komuś ze swoich problemów, nie musząc zarazem wysłuchać rozmówczyni i zaoferować jej wsparcia. Zazwyczaj miała poczucie, że udzielane przez nią rady były znacznie lepsze niż te, które otrzymywała. Inni ludzie mieli takie banalne problemy. Jej dylematy z reguły były znacznie bardziej skomplikowane.

Jednak cisza, upał i codzienne masaże sprawiły, że stoicko pogodziła się z sytuacją. Masza mogła sobie przeprowadzać sesje terapeutyczne, jeśli miało ją to uszczęśliwić.

Tego dnia Frances podano na lunch wegetariańskie curry. Odgłosy wydawane przez współbiedniaków przestały jej przeszkadzać, a jedzenie zaczęło jej sprawiać dziką przyjemność, choć przecież już wcześniej lubiła sobie dogadzać! W curry, którym delectowała się kęs po kęsie, wyczuła oszałamiającą, szafranową nutę. Czy szafran zawsze tak smakuje? Tak czy inaczej, poczuła się tak, jakby doznała objawienia.

Po lunchu, wciąż zachwycona smakiem szafranu, otworzyła drzwi z napisem „POMIESZCZENIE PRYWATNE TYLKO DLA PERSONELU”, wspięła się po schodach na sam szczyt wieżyczki górującej nad domem i zapukała do gabinetu Maszy.

– Wejdz – usłyszała nieco apodyktyczny głos.

Frances, otwierając drzwi, przypomniała sobie wizyty w gabinecie dyrektora szkoły z internatem.

Masza właśnie coś pisała i wskazała na krzesło stojące naprzeciwko, gestem prosząc

Frances, by usiadła i poczekała, aż ona skończy notować.

W innych okolicznościach Frances zjeżyłaby się na takie zachowanie i najwyraźniej nie osiągnęła jeszcze buddyjskiego spokoju, skoro zauważyła, że ma prawo się zjeżyć. Nie była zatrudniona tu posługaczką, tylko kuracjuszką, która zapłaciła za pobyt i przyszła punktualnie na umówione spotkanie. Jednak nie westchnęła, nie chrząknęła ani nie wierciła się niecierpliwie, bo dopiero co rozpoczęła się jej transformacja, sporo schudła, a poprzedniego dnia zrobiła dwie pompki z rzędu, opierając się na palcach u stóp. Miała szansę już wkrótce upodobnić się do Maszy.

W jej piersi wezbrał śmiech i by zająć czymś uwagę, rozejrzała się po pomieszczeniu.

W tak wspnianym gabinecie nie potrzebowałyby czekolady, żeby napisać arcydzieło. Z ogromnych okien rozmieszczonych na wszystkich czterech ścianach roztaczał się wspniany widok na okoliczne tereny. Zielony, falujący krajobraz skojarzył się Frances z renesansowymi pejzażami.

Masza nie tylko nie stosowała się do reguły milczenia, ale także lekceważyła zakaz używania urządzeń elektronicznych. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko najnowocześniejszej technologii. Na jej biurku stał nie jeden, a dwa duże monitory komputerowe oraz laptop.

Czy w najlepsze surfowała w internecie, jednocześnie fundując swoim gościom cyfrowy detoks? Frances zaświerzbiła prawą ręką. Wyobraziła sobie, że chwytając myszkę, odwraca monitor w swoją stronę i zabiera się za czytanie wiadomości. Co się wydarzyło przez ostatnie cztery dni? Może żyła w błogiej nieświadomości, podczas gdy właśnie doszło do apokalipsy zombie albo rozstania pary celebrytów.

Oderwała wzrok od kuszących ekranów komputerowych i przyjrzała się przedmiotom leżącym na biurku Maszy. Nie było wśród nich zdjęć dokumentujących jej życie prywatne. Frances pozazdrościła jej jednak kilku starych bibelotów. Mimowolnie dotknęła noża do otwierania listów. Złożony trzonek zdobiły wygrawerowane... słoniki?

– Ostrożnie – ostrzegła ją Masza. – Ten nóż jest ostry jak brzytwa. Można by nim kogoś zamordować.

Frances błyskawicznie cofnęła dłoń, jak złodziejka przyłapana na gorącym uczynku.

Masza wzięła nóż i wyjęła go z pochewki.

– Ma co najmniej dwieście lat – powiedziała. Przycisnęła kciuk do ostrza. – Od bardzo dawna należy do mojej rodziny.

Frances cichym mruknięciem wyraziła zainteresowanie. Nie była pewna, czy wolno jej przerwać milczenie, i nagle ją to wkurzyło.

– Zakładam, że w tej chwili nie muszę zachowywać milczenia – powiedziała, a długo nieużywany głos zabrzmiał w jej uszach dziwnie i obco.

Była taka posłuszna! Nie mówiła nawet do siebie, kiedy zostawała sama w pokoju, choć zazwyczaj w samotności gadała jak najęta, radośnie komentując każdą czynność i prowadząc ożywione dialogi z przedmiotami domowymi. „Gdzie się ukryłaś, obieraczko do warzyw?”

– Ach, należysz do osób, które lubią stosować się do reguł, prawda? – Masza podparła podbródek dłońmi, wpatrując się we Frances.

Zieleń jej oczu miała niespotykany odcień.

– Zazwyczaj – odparła Frances. Masza nie odrywała od niej wzroku. – Jak zapewne wiesz, przywiozłam tu kilka zakazanych towarów – wyznała.

Z satysfakcją odnotowała spokój w swoim głosie, jednocześnie czując ciepło na policzkach.

– Tak – odparła Masza. – Nie uszło to mojej uwagi.

– Poza tym nie zrezygnowałam z czytania – dodała odważnie Frances.

– Naprawdę?

– Tak.

– Masz jakąś dobrą książkę?

Masza odłożyła nóż na biurko.

Frances musiała się zastanowić nad odpowiedzią. Autor tego kryminału za wcześnie wprowadził zbyt wiele postaci, które wciąż żyły i miały się świetnie. Akcja wlokła się niemiłosiernie. No dalej. Zabijże wreszcie kogoś.

– Całkiem niezłą – odparła.

– Powiedz mi, Frances, naprawdę chcesz wyjechać stąd jako inna osoba?

– No cóż – zawahała się. Podniosła leżącą na biurku Maszy kulę z kolorowego

szkła. Ten bezwiedny gest wydał jej się nieco niegrzeczny, nie należy przecież ruszać cudzych rzeczy. Mimo tego nagle zapragnęła poczuć w dłoni chłód i ciężar tego przedmiotu. – Chyba tak.

– A moim zdaniem nie – odrzekła Masza. – Wydaje mi się, że przyjechałaś tu, żeby trochę odetchnąć, ale jesteś zadowolona ze swojego obecnego stanu. Pobyt tu wydaje ci się jednym wielkim żartem. Wolisz nie traktować życia nazbyt poważnie, prawda? – Jej akcent stał się wyraźniejszy.

Frances przypomniała samej sobie, że jej rozmówczyni nie ma nad nią władzy.

– Nawet jeśli przyjechałam tu, żeby „trochę odetchnąć”, to co?

Frances odłożyła kulę na biurko i lekko ją odepchnęła, momentalnie truchlejąc, kiedy ta zaczęła toczyć się po blacie. Zatrzymała ją opuszkami palców, a potem opuściła dłoń na kolano. Co za niedorzeczność. Dlaczego zawstydziła się jak nastolatka? Przecież to było sanatorium.

Masza odpowiedziała pytaniem na jej pytanie.

– Ciekawe, czy życie wystawiło cię kiedykolwiek na poważną próbę?

Frances zrobiło się nieswojo.

– Poznałam smak utraty – odparła wymijająco.

Masza machnęła ręką.

– To oczywiste – powiedziała. – Masz pięćdziesiąt dwa lata. Nie o to pytałam.

– Poszczęściło mi się – przyznała Frances. – Wiem o tym.

– Poza tym mieszkasz w „szczęśliwym kraju”. – Masza rozpostarła ramiona, jakby próbowała objąć całą okolicę.

– No cóż, to określenie jest często błędnie rozumiane. – Frances dosłyszała w swoim głosie belferski ton i sama nie wiedziała, czemu małpuje swojego pierwszego męża, Sola, który nigdy nie przegapił okazji, by z wyższością wyprowadzić z błędu tego, kto uważał Australię za raj na ziemi. – Ten, kto je ukuł, chciał powiedzieć, że nie zapracowaliśmy na swój dobrobyt.

– Więc nie żyjemy w szczęśliwym kraju?

– No cóż, owszem, ale... – Frances urwała.

Czy właśnie to chciała powiedzieć Masza? Dawała do zrozumienia, że Frances nie

zasłużyła sobie na dobre życie?

– Nie masz dzieci – kontynuowała Masza, spoglądając na leżącą przed nią, otwartą teczkę. Frances mimowolnie zerknęła na dokumenty, jakby zawierały jakieś sekrety. Masza wiedziała o niej to, co wyczytała z formularza rezerwacji. – Świadomie podjęłaś tę decyzję? Czy wymusiły ją na tobie okoliczności?

– To był mój wybór – rzuciła Frances. „Nie twoja sprawa, moja droga”.

Przypomniał jej się Ari, który obiecał nauczyć ją grać na playstation. Ciekawe, co teraz robił syn Paula. Czy raczej chłopiec grający tę rolę. Rozmawiał przez telefon z kolejną ofiarą?

– Rozumiem – powiedziała Masza.

Czy uważała kobietę, która nie chce być matką, za egoistkę? Frances nieraz stawiano takie zarzuty. Niespecjalnie się nimi przejmowała.

– A ty masz dzieci? – zapytała Maszę. Chyba wolno jej było zadawać pytania? Ta kobieta nie była jej terapeutką. Na pewno nie miała odpowiednich kwalifikacji! Frances nachyliła się do niej z narastającym zaciekawieniem. – Jesteś w związku?

– Nie jestem w związku i nie mam dzieci – wyjaśniła Masza.

Nagle znieruchomiała. Jej kamienny wzrok wzbudził we Frances podejrzenie, że Masza kłamie, choć nie wyglądała na kogoś zdolnego do zawierania bliskich relacji. Nie mogłaby być czyjąś drugą połówką.

– Wspomniałaś o utracie. Opowiedz mi o tym więcej – poprosiła Masza.

– Mój ojciec zmarł, kiedy byłem dzieckiem – odparła Frances.

– Mój też.

To nieoczekiwane wyznanie zbiło Frances z tropu.

– Przykro mi – powiedziała.

Powróciło do niej ostatnie wspomnienie ojca. Było lato. Sobota. Frances wychodziła do sklepu, gdzie pracowała jako kasjerka na pół etatu. W salonie tata z przymkniętymi oczami słuchał *Hot August Night*, paląc papierosa i zapamiętane nucąc piosenkę Neila Diamonda, którego uważał za geniusza. Frances pocałowała ojca w czoło.

– Do zobaczenia, kochanie – pożegnał ją, otwierając oczy.

Przez niego uważała, że miłość pachnie dymem papierosowym. Z tego powodu

notorycznie wiązała się z palaczami.

– Jakaś kobieta, jadąc samochodem, nie zatrzymała się przed przejściem dla pieszych – opowiadała dalej Frances. – Oślepiło ją słońce. Tata był akurat na spacerze.

– Mojego ojca zastrzelił na targowisku morderca pracujący dla rosyjskiej mafii – zrewanżowała się Masza. – Przez pomyłkę.

– Naprawdę? – Frances starała się zapanować nad wyrazem twarzy, który świadczył o tym, że chętnie poznałaby więcej egzotycznych szczegółów.

Masza wzruszyła ramionami.

– Jak stwierdziła moja matka, ojciec miał za mało charakterystyczną twarz. Niczym się nie wyróżniał. Wściekała się o to, że wyglądał pospolicie.

Frances nie wiedziała, czy wypada się uśmiechnąć. Powstrzymała się, widząc powagę na twarzy rozmówczynie. Podjęła wątek.

– Moja matka wściekała się o to, że ojciec poszedł na spacer. Przez wiele lat powtarzała: „Było tak gorąco! Dlaczego nie został w domu, jak normalny człowiek? Czemu się uparł, by wszędzie chodzić piechotą?”.

Masza kiwnęła głową. Jeden raz.

– Ojca nie powinno w ogóle być na targowisku – powiedziała. – Był bardzo mądrym człowiekiem, zajmował wysokie stanowisko w przedsiębiorstwie produkującym odkurzacze, ale po upadku Związku Radzieckiego, kiedy inflacja poszła... – gwizdnęła, wyciągając palec w górę – ...nasze oszczędności straciły wartość! Firma ojca nie dysponowała gotówką. Dostał wypłatę w odkurzaczach. Więc... zaczął je sprzedawać na targowisku. Nie zasłużył sobie na to. To było poniżej jego godności.

– Straszna historia – powiedziała Frances.

Przez moment wydawało jej się, że choć dzieli je głęboka przepaść, bo pochodzą z innych kultur, inaczej spędziły dzieciństwo i różnią się wyglądem, zdołają znaleźć wspólny język, zjednoczone przez żalobę matek zgorzkniałych po śmierci ojców, którzy zginęli w wyniku tragicznych zbiegów okoliczności. Nagle jednak Masza cmoknęła, jakby chciała wyrazić zdegustowanie czyimś karygodnym zachowaniem. Zamknęła teczkę.

– No dobrze, Frances, cieszę się, że mogłam z tobą porozmawiać i trochę lepiej cię poznać.

Zabrzmiało to tak, jakby zgromadziła już wszystkie godne uwagi informacje o Frances.

– Jak to się stało, że przyjechałaś do Australii? – zapytała Frances, czując desperacką chęć kontynuowania rozmowy.

Nie chciała jeszcze milknąć, zaznawszy przyjemności obcowania z drugim człowiekiem i nie miała Maszy za złe, że nie chce się o niej dowiedzieć czegoś więcej, ale ona sama chętnie poznałaby ją lepiej.

– Razem z byłym mężem złożyliśmy podania o wizę w kilku ambasadach – odparła chłodno Masza. – Amerykańskiej, kanadyjskiej i australijskiej. Marzyła mi się emigracja do Stanów, a mojemu mężowi do Kanady, ale to Australia nas potrzebowała.

Frances postanowiła nie brać tego do siebie, choć odnosiła wrażenie, że Masza chciała jej dopiec.

Zaraz, zaraz, były mąż? Więc łączyło je coś jeszcze! Frances wyczuwała jednak, że daleko nie zajdzie, próbując podzielić się opowieścią o rozwodzie. Masza przywodziła jej na myśl pewną koleżankę ze studiów, osobę krańcowo egocentryczną, a zarazem bardzo niepewną siebie. Można było skłonić ją do zwierzeń tylko pochlebstwem i to bardzo subtelnym. Każda rozmowa z nią przypominała rozbijanie bomby. Nawet pozornie niewinna uwaga mogła spowodować wybuch.

– Moim zdaniem trzeba ogromnej odwagi, by zacząć nowe życie w obcym kraju – powiedziała Frances.

– No cóż, nie sądzisz chyba, że przepłynęliśmy ocean w dziurawej łódce? Rząd australijski zapłacił za nasz przelot. Odebrano nas na lotnisku. Opłacono nasz czynsz. Potrzebowaliście nas. Oboje jesteśmy wykształceni. Skończyłam studia matematyczne. Mój mąż to utalentowany naukowiec światowej klasy. – Zajrzała w przeszłość, którą Frances tak bardzo chciała poznać. – Niezwykle utalentowany.

Te ostatnie słowa wypowiedziała jak wdowa, a nie rozwódka.

– Mamy szczęście, że zgodziłaś się tu przyjechać – odrzekła czołobitnie Frances, w imieniu wszystkich Australijczyków.

– Tak. I to wielkie – przyznała Masza. Nachyliła się do przodu, nagle rozpromieniona. – Powiem ci, dlaczego tu przyjechaliśmy! Z powodu magnetowidu. Od niego wszystko się zaczęło. Dziś odtwarzacze wideo poszły w zapomnienie! Technologia...

– Jakiego magnetowidu? – zdziwiła się Frances.

– Sąsiedzi kupili sobie taki sprzęt. Wtedy mało kogo było na to stać. Odziedziczyli majątek po krewnym, który zmarł na Syberii. Przyjaźniliśmy się z nimi, a oni często zapraszali nas na oglądanie filmów. – Jej wzrok znowu błędził, jakby sięgała pamięcią w odległą przeszłość.

Frances zamarła. Nie chciała przerwać tego nagłego potoku zwierzeń. Czowała się tak, jakby poszła do knajpy z trzymającą wszystkich na dystans szefową, która pod wpływem alkoholu się rozluźnia i zaczyna z nią rozmawiać jak równa z równą.

– To było okno na odległy, kapitalistyczny świat, który wydawał nam się taki inny, wspaniały... obfity. – Masza uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – *Dirty Dancing, Rozpaczliwie poszukując Susan, Klub winowajców*. Nie było tego wiele, bo kasety kosztowały krocie, więc ludzie się nimi wymieniali. Listę dialogową czytał zawsze ten sam lektor, dla niepoznaki zmieniając głos, bo prawo zabraniało dystrybucji tych filmów. – Dla przykładu ścisnęła palcami nos i odezwała się zduszonym głosem: – Gdyby nie chęć posiadania magnetowidu, nie staralibyśmy się tak usilnie o wizę. Niełatwo było wyjechać.

– Czy rzeczywistość sprostała waszym oczekiwaniom? – zapytała Frances, przypominając sobie elegancki, kolorowy świat przedstawiany w filmach z lat osiemdziesiątych. Kiedy w tamtych czasach, mrużąc oczy, wychodziła z przyjaciółmi z kina, wyjątkowo uderzała ją bezbarwność przedmieść Sydney. – Czy była równie cudowna jak w filmach?

– Tak – odparła Masza. Podniosła odstawioną przez Frances szklaną kulę i położyła ją na otwartej dłoni, jakby czekając, aż zacznie się toczyć. Kula ani drgnęła. – I nie.

Zdecydowanym ruchem odstawiła kulę na biurko. Nagle przypomniała sobie, kto tu rządzi, jak szefowa, która w jednej chwili uświadamia sobie, że następnego dnia spotkacie się w pracy.

– Frances, nazajutrz oficjalnie zakończy się szlachetne milczenie i poznasz

pozostałych gości.

– Nie mogę się doczekać...

– Delektuj się kolacją, bo jutro przez cały dzień nie będziemy podawać posiłków.

Rozpocznie się lekki post.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie w taki sposób, że Frances machinalnie wstała.

– Pościłaś kiedyś, Frances? – Masza spojrzała na nią. Słowo „pościłaś” wypowiedziała takim tonem, jakby mówiła o jakimś egzotycznym, wielce fascynującym obyczaju, jak taniec brzucha.

– Raczej nie – przyznała Frances. – Ale nas czeka tylko krótka głodówka, tak?

Masza uśmiechnęła się promiennie.

– Przygotuj się na małe wyzwanie, Frances.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Carmel

– Widzę, że już zrzuciłaś kilka kilogramów. – Masza otworzyła teczkę Carmel, rozpoczynając sesję terapeutyczną.

– Naprawdę? – zdziwiła się Carmel. Poczula się tak, jakby wygrała jakąś nagrodę. – Ile dokładnie? – Masza zignorowała jej pytanie. Przesunęła palcem po kartce wyciągniętej z teczki. – Wydawało mi się, że trochę schudłam, ale nie byłam pewna.

Dosłyszała radosne drżenie w swoim nieużywanym od kilku dni głosie. Wolą nie robić sobie nadziei. Wydawało jej się, że Yao z premedytacją staje tak, aby nie mogła zobaczyć na wadze liczby, której tak się obawiała.

Położyła dłoń na brzuchu. Liczyła na to, że zrobi się płaski, a ubrania przestaną na nią pasować! Ukradkiem dotykała brzucha, jak podczas pierwszej ciąży. Ten wyjazd przypominał jej o tamtym euforycznym okresie. Jej ciało przybierało nową, cudowną formę.

– Pewnie zeszczupleję jeszcze bardziej, kiedy od jutra zacznę się post. – Carmel chciała zamanifestować swój entuzjazm i zaangażowanie. Postanowiła zrobić wszystko, by schudnąć.

Masza nic nie odpowiedziała. Zamknęła teczkę Carmel i oparła podbródek o splecione dłonie.

– Mam nadzieję, że to nie efekt odwodnienia – dodała Carmel. – Podobno w pierwszych dniach diety organizm pozbywa się przede wszystkim płynów. – Masza wciąż milczała. – Wiem, że wszystkie posiłki przygotowujecie z dbałością o odpowiedni bilans kalorii. Pewnie znacznie trudniej będzie mi utrzymać wagę po powrocie do domu. Będę wdzięczna za wszelkie dodatkowe porady dietetyczne.

A może pomożecie mi ułożyć plan żywieniowy?

– Nie potrzebujesz planu żywieniowego – odparła Masza. – Jesteś inteligentna. Wiesz, co robić, żeby schudnąć, jeśli na tym ci zależy. Nie masz nadwagi. Ani niedowagi. Chcesz zeszczupleć. Twój wybór. Tyle w tym temacie.

– Och – westchnęła Carmel. – Przepraszam.

– Opowiedz mi o sobie coś, co nie ma związku z twoją wagą – poprosiła Masza.

– Mam cztery córki – zaczęła Carmel. Uśmiechnęła się na myśl o nich. – Dziesięć, osiem, siedem i pięć lat.

– To już wiem. Jesteś matką – odparła Masza. – Opowiedz mi coś więcej.

– Mąż ode mnie odszedł. Ma teraz nową dziewczynę. To był dla mnie prawdziwy...

Masza niecierpliwie machnęła ręką, jakby opowieść Carmel była zupełnie nieistotna.

– Coś innego.

– Nie przydarza mi się nic więcej – odparła Carmel. – Na nic innego nie mam czasu. Jestem zwyczajną, zagonioną, za grubą, zestresowaną mamą z przedmieścia.

Mówiąc to, szukała wzrokiem rodzinnych zdjęć na biurku Maszy, która na pewno nie miała dzieci. Gdyby tak było, wiedziałyby, że macierzyństwo pochłania kobietę bez reszty.

– Pracuję na pół etatu – wytłumaczyła. – Mam schorowaną mamę w podeszłym wieku. Jestem wiecznie zmęczona. Bezustannie.

Masza westchnęła, jakby rozmówczynie zachowywała się nagannie.

– Wiem, powinnam znaleźć więcej czasu na rekreację – wyznała pokornie Carmel.

Czy właśnie to chciała usłyszeć od niej Masza?

– To prawda – odparła dyrektorka Tranquillum House. – Powinnaś. Ale to również niespecjalnie ciekawy temat.

– Jak dzieci podrosną, będzie mi łatwiej wygospodarować...

– Opowiedz mi o czasach, kiedy chodziłaś do szkoły – przerwała jej Masza. – Jaką byłaś dziewczynką? Mądrą? Najlepszą uczennicą w klasie? Najgorszą? Łobuziarą? Gadułą? Milczkiem?

– Plasowałam się w czołówce – odparła Carmel. Zawsze nieźle się uczyła. – Nie

byłam łobuziarą ani milczkiem, ani gadułą. – Zastanowiła się przez moment. – Ale potrafiłam się postawić, jeśli coś mnie zirytowało.

Przypomniała sobie zajadłą kłótnię z nauczycielką, która napisała na tablicy: „huknął grzmot, błysnął piorun”. Carmel poprawiła błąd ortograficzny. Nauczycielka obstawała przy swoim. Carmel nie dała za wygraną, nawet kiedy nauczycielka zaczęła na nią wrzeszczeć. Kiedy była pewna swego, czuła się wszechmocna. Ale jak często się to zdarzało? Bardzo rzadko.

– Ciekawe – powiedziała Masza. – Nie wyglądasz na specjalnie pyskatą.

– Zmieniłabyś zdanie, widząc mnie rano, jak rozstawiam dziewczynki po kątach – odparła Carmel.

– To czemu nie widziałam tej „pyskatej” Carmel? Gdzie się ukryła?

– Miałam zlekceważyć zakaz?

– No dobrze, punkt dla ciebie. Ale widzisz, choć racja leży po twojej stronie, odpowiedziałas pytaniem. Każde zdanie wypowiadasz głosem pełnym wątpliwości. O tak? Ze wznoszącą intonacją? Jakbyś nie była pewna swego?

Carmel skrzywiła się, słysząc, jak Masza ją przedrzeźnia. Naprawdę tak brzmiał jej głos?

– A druga sprawa to twój chód – kontynuowała Masza. – Nie podoba mi się to, jak się poruszasz.

– Nie podoba ci się to, jak się poruszam? – wykrztusiła Carmel. Czy ta uwaga nie zakrawała na bezczelność?

Masza wstała zza biurka.

– W tej chwili chodzisz tak. – Zgarbiła się, spuściła głowę i przedreptała na drugi koniec gabinetu. – Jakby zależało ci na tym, by nikt cię nie zauważył. Czemu to robisz?

– Nie wydaje mi się, żebym właśnie w ten sposób...

– Dokładnie tak się poruszasz – przerwała jej Masza, wracając za biurko. – Moim zdaniem nie zawsze tak się czaiłaś. Podejrzewam, że kiedyś chodziłaś zupełnie normalnie. Chcesz, żeby córki zaczęły cię naśladować? – Oczywiście było to pytanie retoryczne. – Jesteś kobietą w kwiecie wieku! Powinnaś do każdego pomieszczenia wchodzić z wysoko uniesioną głową! Jakbyś wkraczała na scenę albo pole walki!

Carmel wpatrywała się w Maszę.

– Spróbuję? – wybąkała. Chrząknęła, przypomniawszy sobie, że powinna zmienić intonację. – Spróbuję. Obiecuję.

Masza się uśmiechnęła.

– Świetnie. Początkowo przyjdzie ci to z trudem. Będzie ci się wydawało, że coś udajesz. Ale w końcu sobie przypomnisz. Pewnego dnia stwierdzisz: O, właśnie, w ten sposób mówię, tak się poruszam. To ja, Carmel. – Uderzyła pięścią w klatkę piersiową. – Oto ja. – Nachyliła się i ściszyła głos. – Zdradzę ci sekret. – Jej oczy pojaśniały. – Chodząc w ten sposób, będziesz szczuplej wyglądać.

Carmel się uśmiechnęła. Masza żartowała?

– Wszystko stanie się bardziej zrozumiałe w ciągu kilku najbliższych dni – oznajmiła Masza z gestem, który sprawił, że Carmel poderwała się z miejsca, jakby się zasiedziała.

Masza przysunęła do siebie notatnik i zaczęła w nim coś zapisywać.

Carmel tkwiła w miejscu. Próbowwała wyprostować plecy.

– Powiesz mi, ile schudłam?

Masza nawet nie podniosła głowy.

– Zamknij za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Masza

Masza przyglądała się otyłemu mężczyźnie, siedzącemu po drugiej stronie biurka ze stopami spoczywającymi na podłodze i mięsistymi dłońmi zaciśniętymi w pięści na udach, jakby był więźniem liczącym na zwolnienie warunkowe.

Przypomniała sobie słowa Dalili, która uważała, że Tony Hogburn tai jakiś niezwykły sekret. Masza nie podzielała jej zdania. Tony nie wydawał jej się szczególnie skomplikowaną postacią. Wyglądał na zwyczajnego marudę. Już schudł. Piwosze szybko tracili wagę po odstawieniu ulubionego trunku, podczas gdy kobietom takim jak Carmel zrzućcenie zaledwie kilku zbędnych kilogramów zajmowało znacznie więcej czasu. Tak naprawdę Carmel nie straciła na wadze, ale informowanie jej o tym nie przyniosłoby żadnego pożytku.

– Jak się dowiedziałeś o Tranquillum House, Tony? – zapytała Masza.

– Wpisałem do wyszukiwarki: „Jak zmienić swoje życie” – odparł.

– Ach – westchnęła Masza.

W ramach eksperymentu rozparła się w fotelu, założyła nogę na nogę i czekała, aż wzrok Tony’ego zacznie wędrować w dół po jej ciele, co oczywiście się stało (facet nie był jeszcze martwy), choć trwało ledwie ułamek sekundy.

– Dlaczego chcesz zmienić swoje życie?

– No cóż, bo jest takie krótkie. – Omiótł ją wzrokiem i spojrzał w okno za jej plecami. Wydawał się znacznie spokojniejszy i bardziej pewny siebie niż wtedy, gdy skarżył się, że zabrano mu kontrabandę. Pobyt w Tranquillum House dobrze mu zrobił!

– Nie chcę zmarnować czasu, który mi pozostał. – Popatrzył na Maszę. – Fajny gabinet. Całą okolicę widać stąd jak na dłoni. Studio jogi jest jak na mój gust trochę zbyt

klaustrofobiczne.

– Jaka zmiana ci się marzy?

– Zależy mi na zdrowiu i poprawie kondycji – odparł. – Chciałbym zrzucić parę kilo.

Mężczyźni często używali określenia: „zrzucić parę kilo”. Wypowiadali te słowa bez cienia wstydu i emocji, jakby tusza była przedmiotem, który można w dowolnym momencie odstawić na bok. Kobiety mawiały: „muszę stracić parę kilo”, spuszczać głowę, jak gdyby popełniły niewybaczalny grzech, pozwalając, by ich ciała przybrały na wadze.

– Kiedyś byłem wysportowany. Powinienem wcześniej o siebie zadbać. Żałuję, że... – Tony urwał, chrząkając, jakby już powiedział więcej, niż powinien.

– Czego żałujesz? – zapytała Masza.

– W zasadzie nie zrobiłem niczego złego, ale wstydę się swoich zaniechań. Przez dwadzieścia lat użalałem się nad sobą.

Przez moment Masza próbowała zrozumieć, co dokładnie ma na myśli Tony.

– To strasznie długo – odparła.

Co za głupiec. Ona nigdy, przenigdy się nad sobą nie użalała. Tak postępowali tylko ludzie słabi.

– Weszło mi to w krew – wyjaśnił. – Nie wiem, jak zerwać z tym nawykiem.

Ciekawiło ją, o czym jeszcze opowie Tony. Zauważyła, że kobiety lubią, gdy ktoś pyta je o ich życie, za to w rozmowie z mężczyznami lepiej wykazać się cierpliwością, milczeć i nie narzucać tematu.

Czekała. Mijały kolejne minuty. Już miała skapitulować, kiedy Tony poruszył się na krześle.

– Otarłaś się o śmierć – powiedział, odwracając wzrok. – O ile pamiętam, mówiłaś, że już się jej nie boisz?

– To prawda – odparła Masza. Wpatrywała się w Tony’ego, próbując zgadnąć, dlaczego akurat to go zainteresowało. – Nie budzi we mnie lęku. To było piękne doświadczenie. Często porównuje się umieranie do zapadania w sen, tymczasem dla mnie to było przebudzenie.

– Zobaczyłaś tunel ze światłem na końcu? – dopytywał Tony.

– Nie.

Zamilkła, zastanawiając się nad zmianą tematu, by skupić się ponownie na Tonym. Wystarczyło, że zdradziła za wiele osobistych szczegółów Frances Welty, tej uszminkowanej blondynie o falujących włosach, która bawiąc się szklaną kulą jak dziecko, nieomal ją rozbiła i uparcie zadawała wścibskie pytania, przez co Masza zapomniała o pełnionej przez siebie funkcji.

Nie mieściło jej się w głowie, że są prawie w tym samym wieku. Frances przypominała Maszy pewną koleżankę z drugiej klasy. Ta pulchna, śliczna i próżna dziewczynka miała zawsze kieszenie pełne cukierków Wzletnaja. Osoby takie jak Frances wiodły słodkie życie.

Tego samego nie można było powiedzieć o Tonym.

– Nie widziałam tunelu, tylko jezioro – odparła. – Wypełnione wielobarwnym światłem.

Nie opowiedziała o tym żadnemu ze swoich dotychczasowych gości. Wiedział o tym Yao, ale nie Dalila. Kiedy Tony potarł nieogoloną szczękę, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał, znów stanęło jej przed oczami jezioro pełne kolorów – szkarłatu, turkusu i cytrynowej żółci. Wtedy nie tylko je zobaczyła, ale także odczuła wszystkimi zmysłami: wdychała je, słyszała, wachała i smakowała.

– A... spotkałaś bliskich? – zapytał Tony.

– Nie – skłamała Masza, choć oczyma wyobraźni zobaczyła właśnie młodego człowieka, który szedł do niej przez świetliste jezioro, ociekając kolorami jak wodą.

Wydawał się zwyczajny, ale miał w sobie coś oszałamiającego. Nosił czapkę baseballową, jak wielu młodych ludzi. Zdjął ją i podrapał się po głowie. Widziała go wcześniej jako małe dziecko, gdy był ślicznym, pyzaty i szczerbatym szkrabem, ale natychmiast zorientowała się, że to jej syn, bez wątplenia wyrósłby na takiego młodzieńca, jej miłość do niego ani trochę nie osłabła, wciąż była tak świeża, potężna i obezwładniająca jak w chwili, kiedy Masza zobaczyła go po raz pierwszy. Nie wiedziała, czy przypływ tego uczucia to bezcenny dar, czy okrutna kara. Albo jedno i drugie.

Patrzyła na swojego syna nieskończenie długo, a może tylko przez kilka sekund.

Straciła poczucie czasu. Nagle zniknął, a ona unosiła się pod sufitem gabinetu nad dwoma ratownikami pochylonymi nad jej bezwładnym ciałem. Dostrzegła na podłodze guzik, który oderwał się, gdy szybko rozpinali jej bluzkę. Zwróciła uwagę na to, że ma nienaturalnie wykrzywioną nogę, jakby spadła z bardzo wysoka. Na czubku głowy młodszego sanitariusza, na białej skórze prześwitującej spod ciemnych włosów zauważyła znamię w kształcie truskawki, a kiedy poddawał jej ciało elektrowstrząsom, dostrzegła kropelki potu na jego czole i poczuła to, co on – strach i skupienie.

Kolejną rzeczą, jaką zapamiętała, była pobudka następnego dnia. Znalazła się z powrotem w okowach swojego ciała, a piękna, wysoka pielęgniarka przywitała ją słowami:

– Dzień dobry, śpiąca królewno!

Poczuła się tak, jakby wróciła do więzienia.

Zresztą to nie była pielęgniarka, tylko lekarka, która wszczepiła jej cztery by-passy. Przez wiele lat zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby operował ją ktoś, kto wyglądałby jak przeciętny kardiochirurg. Pewnie uprzedzenia kazałyby jej zakwestionować wszystko, co by jej przekazał, choćby nawet miał rację. Zaliczyłaby go do tej samej kategorii, co wszystkich innych siwowłosych facetów, którzy dla niej pracowali i z których zdaniem się nie liczyła. Natomiast przed tą kobietą czuła respekt. Wręcz była z niej dumna. Ona również zrobiła karierę w męskim świecie i była tak wysoka jak Masza. Jej wzrost miał znaczenie. Dlatego Masza uważnie przysłuchiwała się lekarce, która radziła jej, by rzuciła palenie, zaczęła się zdrowo odżywiać i ćwiczyć, bo w ten sposób zminimalizuje ryzyko nawrotu choroby, a następnie dodała:

– Niech pani serce nie padnie ofiarą pani głowy. – Próbowała uświadomić Maszy, że jej stan umysłowy również ma wpływ na funkcjonowanie organizmu. – Podczas pierwszego roku specjalizacji z kardiochirurgii zaobserwowaliśmy na oddziale zjawisko zwane „symptomatyczną brodą”. Jeśli któryś z naszych pacjentów czuł się tak fatalnie, że nawet nie chciało mu się golić, jego rokowania były raczej marne. Trzeba zadbać o siebie kompleksowo, Maszo.

Już następnego dnia Masza po raz pierwszy od wielu lat wydepilowała nogi. Zgodnie z zaleceniami lekarki zapisała się na rehabilitację ruchową dla osób po operacji serca, z mocnym postanowieniem, że będzie najlepsza w całej grupie. Do walki

o zdrowie swojego serca ruszyła z taką samą determinacją, z jaką podejmowała wyzwania zawodowe, i oczywiście osiągnęła rezultaty, które przeszły najśmielsze oczekiwania.

– Dobry Boże – zdumiała się lekarka podczas pierwszych badań kontrolnych.

Masza nawet przez chwilę się nad sobą nie użalała. Stworzyła siebie na nowo. Zrobiła to dla tej pięknej, wysokiej lekarki. I dla młodego mężczyzny z jeziora.

– Moja siostra też przeżyła śmierć kliniczną – wyznał Tony. – Przydarzył jej się wypadek podczas jazdy konno. Stała się zupełnie inną osobą. Zmieniła pracę i całe swoje życie. Jej nową pasją stało się ogrodnictwo. – Spojrzał z zakłopotaniem na Maszę. – Nie podobało mi się to.

– Miałeś jej za złe, że zajęła się ogrodnictwem? – droczyła się z nim Masza.

Posłał jej półuśmiech i przez moment wydał jej się ciut atrakcyjniejszy.

– Po prostu nie chciałem, by moja siostra się zmieniała – wyznał. – Nagle stała się dla mnie kimś obcym. Może doświadczyła czegoś, czego nie potrafiłem zrozumieć.

– To, czego nie rozumiemy, zazwyczaj budzi w nas lęk – powiedziała Masza. – Wcześniej nie wierzyłam w życie pośmiertne. A teraz wierzę. Dzięki temu sporo zyskałam.

– Okej – odparł Tony. – Jasne.

Masza znowu zamilkła.

– No dobra... – Tony wypuścił powietrze z płuc i klepnął się w uda, jakby wykonał zadanie.

Teraz Masza nie wyciągnęłaby już z niego nic ciekawego. Nie miało to jednak znaczenia. W ciągu nadchodzących dwudziestu czterech godzin spodziewała się dowiedzieć o nim dużo więcej. A on miał okazję lepiej poznać siebie samego.

Z niewzruszonym spokojem patrzyła na Tony'ego, kiedy wychodził z gabinetu, jedną ręką podciągając spodnie. Jej ostatnie wątpliwości się rozwiały. Może sprawiły to wspomnienia o jej synu.

Ryzyko było dobrze skalkulowane. I usprawiedliwione.

Każda wspinaczka na szczyt wymaga podjęcia ryzyka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Napoleon

Nastał świt. Rozpoczął się piąty dzień turnusu w Tranquillum House.

Napoleon trzykrotnie przeczesał grzywę dzikiego konia.

Płynne ruchy tai-chi sprawiały mu ogromną przyjemność, a to było jedno z jego ulubionych ćwiczeń, choć zginając nogi, słyszał trzeszczenie w stawach, podobne do chrzęstu żwiru pod kołami samochodu. Jego fizjoterapeuta twierdził, że nie ma się czym martwić: osoby w wieku Napoleona całe trzeszczały. Jego chrząstka też miała swoje lata.

Poranne zajęcia w ogrodzie różanym prowadził Yao, cicho i spokojnie wypowiadając nazwy kolejnych ćwiczeń wykonywanych przez dziewięcioro gości, stojących półkolem w zielonych szlafrokach z godłem Tranquillum House. Ostatnio znacznie większą popularnością cieszyły się specjalnie stroje do tai-chi. Za plecami Yao, nad horyzontem dwa balony na gorące powietrze wznosiły się tak powoli, że cała scena wyglądała niczym namalowany pejzaż. Napoleon i Heather w podobnych okolicznościach spędzili kiedyś romantyczny weekend. Degustowali wino, kupowali antyki. To było w zamierzonych czasach, zanim pojawiły się dzieci.

To zastanawiające, że kiedy człowiek zostaje rodzicem, wydaje mu się, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo, i w pewnym sensie tak faktycznie jest. Jednak żadna zmiana nie jest równie głęboka jak ta, która następuje po stracie dziecka.

Kiedy Masza, osoba o żelaznej kondycji i zdrowiu, z pasją wykonująca swój zawód (Napoleon podziwiał ludzi tego pokroju, choć jego żona im nie ufała, a Zoe była jeszcze na tyle młoda, że uważała ich za żenujących), pierwszego dnia zapowiedziała, że wszyscy przejdą transformację „przekraczającą ich najśmielsze oczekiwania”,

Napoleon, niegdyś święcie przekonany o wartości samodoskonalenia, poczuł przyływ gorzkiego cynizmu. Jego rodzina już przeszła transformację przekraczającą ich najśmielsze oczekiwania. Potrzebowali tylko spokoju, ciszy i zdecydowanie zdrowszej diety.

„Twoja pasja jest godna podziwu, Maszo, ale my nie dążymy do kolejnej przemiany”.

– Biały żuraw rozpościera skrzydła – oznajmił Yao, a wszyscy z gracją wykonali jednocześnie to samo ćwiczenie. Wyglądało to doprawdy pięknie.

Napoleon, który jak zawsze stał nieco z tyłu (od kiedy przekroczył metr dziewięćdziesiąt, zwykł zajmować miejsca w ostatnich rzędach), obserwował, jak żona i córka jednocześnie wznoszą ręce. Kiedy w skupieniu zagryzały dolne wargi, przypominały trochę wiewiórki.

Z satysfakcją odnotował, że jego sąsiadowi, młodszemu co najmniej o dziesięć lat, też trzeszczy w kolanach. Nawet Napoleon zauważył jego niezwykłą urodę. Spojrzał na Heather, by sprawdzić, czy nie zerka na tego przystojniaka, ale ona miała zupełnie puste oczy, jak lalka. Pewnie znowu zanurzyła się w swoim smutnym wnętrzu.

Coś w niej pękło.

Zawsze była krucha, jak naczynie z cienkiej porcelany.

Na początku ich związku sprawiała wrażenie zadziornej, zabawnej, twardej, wysportowanej i obrotnej dziewczyny, którą można zabrać na mecz piłki nożnej albo pod namiot. Czas pokazał, że Napoleon się co do niej nie pomylił. Lubiła sport, uwielbiała biwakowanie, nie stawiała mu wielkich wymagań i nie potrzebowała wiele do szczęścia. Wręcz przeciwnie, z trudem przychodziło jej prosić o pomoc. Niedługo po tym, jak się poznali, złamała palec u nogi, próbując samodzielnie przesunąć regał, choć Napoleon już był w drodze i pewnie jedną ręką podniósłby ten stary rupieć ze sklejki. Nie, ona się uparła, że robi to sama.

Powoli jednak spod maski zadziorności zaczęła wyzierać wrażliwość, i to w najmniej oczekiwanych okolicznościach. Jej dziwną awersję do niektórych potraw mogło tłumaczyć coś innego niż zwykła niestrawność. Unikała kontaktu wzrokowego, kiedy tylko jakaś sprzeczka zanadto się zaogniła, a wyznając Napoleonowi miłość, zasłaniała twarz, jakby przygotowywała się na cios. On, romantyk z krwi i kości, sądził,

że ochroni jej skołatane, wrażliwe serce, tak jak osłania się w dłoniach bezbronne pisklą. Pod wpływem miłości i testosteronu łudził się, że uratuje ją od złych ludzi, ciężkich mebli i niestrawnego jedzenia.

Podczas pierwszego spotkania z jej dziwnymi, oschłymi rodzicami zdał sobie sprawę, że Heather, dorastając, nie zaznała miłości, a kiedy komuś brakuje tego, czego powinien mieć pod dostatkiem, to zaczyna do tego tracić zaufanie. Rodzice nie byli brutalni, ale ich chłód mroził krew w żyłach. W ich obecności Napoleon na każdym kroku okazywał Heather miłość, jakby w ten sposób chciał sprawić, że pokochają ją tak, jak ona na to zasługuje.

– Czy Heather nie wygląda ślicznie w tej sukience? – mówił. – Czy Heather już wam mówiła, że z egzaminów z położnictwa dostała najlepsze oceny w grupie?

Wreszcie któregoś dnia Heather wyszeptała bezgłośnie:

– Przestań.

Przestał, ale i tak podczas wizyt u jej rodziny częściej jej dotykał, jakby przynajmniej w ten sposób chciał dać jej do zrozumienia: „Jesteś kochana, jesteś kochana, jesteś bardzo, bardzo kochana”.

Był za młody i zbyt szczęśliwy, by uświadomić sobie, że miłość to nie wszystko. W tym wieku człowiek nie przeczuwa nawet, jakie dramaty niesie ze sobą życie.

Dla niej takim dramatem była śmierć syna.

Jak dla każdej matki.

Byli w przededniu rocznicy. Napoleon już czuł jej mroczny, złowrogi cień. Lęk przed nią był zupełnie nieracjonalny. Po prostu nadchodził dzień, który zawsze będzie napawał ich smutkiem. Napoleon przypomniał samemu sobie, że to zupełnie normalne. Każdy w ten sposób przeżywał wszelkie rocznice. To samo poczucie nadchodzącej katastrofy nie dawało mu spokoju przed rokiem. Jakby tragedia miała się powtórzyć, jakby gdzieś już czytał tę historię i wiedział, jak się kończy.

Miał nadzieję, że podczas pobytu w tym ośrodku zachowa tego dnia większą równowagę. W tym przepięknym domu panował taki nieziemski spokój, a personel był bardzo uprzejmy i troskliwy. A jednak Napoleon się denerwował. Poprzedniego wieczoru podczas kolacji nie mógł zapanować nad drżeniem nogi. Musiał położyć dłoń na udzie, by skurcz ustał. Reagował tak na nadchodzącą rocznicę? Czy na ciszę?

Raczej na to drugie. Czuł się źle, pozostawiony sam na sam ze swoimi myślami, wspomnieniami i żalem.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, gdy goście Tranquillum House poruszali się w tym samym rytmie, co Yao.

Napoleon kątem oka zauważył profil tego grubego gościa, który próbował przemyścić kontrabandę. Wyglądał na takiego, co to sprawia problemy, dlatego Napoleon jak rasowy belfer miał go na oku, ale facet najwyraźniej się uspokoił, jak uczeń, który zapowiada się na największego rozrabiakę w klasie, a okazuje się całkiem miły. Profil tego mężczyzny kojarzył się Napoleonowi z kimś, kogo znał w przeszłości. Może z aktorem ze starego oglądanego w dzieciństwie serialu? W każdym razie facet budził dobre wspomnienia i wywoływał przyjemne emocje, które jednak pozostawały mgliste i niedookreślone.

Gdzieś w oddali zaśpiewał trzaskacz. Napoleon uwielbiał ten przeciągły, melodyjny świst, kojarzący się z trzaskaniem bicia, tak mocno zakorzeniony w australijskim krajobrazie, że dopiero za granicą odczuwało się brak tego kojącego duszę trełu.

– Odepchnijcie małpę – zakomenderował Yao.

Napoleon, wykonując ćwiczenie, cofnął się pamięcią o trzy lata, do tego właśnie dnia, tej godziny. Przypomniał sobie przeddzień tragedii.

Trzy lata temu, mniej więcej o tej porze, tuż po przebudzeniu po raz ostatni kochał się ze swoją żoną. (Uznał, że to był ostatni raz, choć nie stracił do końca nadziei. Zorientowałby się, gdyby ona była gotowa. Wystarczyłoby jedno spojrzenie. Rozumiał ją. Teraz seks wydawał się czymś trywialnym, pospolitą, taną rozrywką. Ale Napoleon i tak miewał ochotę na tanią rozrywkę). Ona potem znowu zasnęła (wtedy uwielbiała spać), a on po cichu wyszedł z domu nad zatokę. Przez całe lato trzymał w bagażniku na dachu samochodu deskę surfingową z wiosłem. Kiedy wrócił, Zach jadł śniadanie nad zlewem, jak zawsze bez koszulki, ze zmierzwionymi włosami. Spojrzał na ojca z uśmiechem i oznajmił:

– Mleko się skończyło.

Co oznaczało, że to on je wypił. zaproponował, że następnego dnia pójdzie powiosłować z ojcem. Potem Napoleon przez kilka godzin pracował w ogrodzie i wyczyścił basen, Zach poszedł na plażę ze swoim przyjacielem, Chrisem, Napoleon

zasnął na kanapie, a dziewczyny wyszły – Heather do pracy, a Zoe na imprezę. Kiedy syn wrócił do domu, on już przyrządzał dla nich obu żeberka z grilla, później popływali w basenie i pogadali o Australian Open, szansach Sereny, teoriach spiskowych (Zach się nimi interesował) i Chrisie, który zapowiedział, że zostanie gastroenterologiem. Zdumiewająco sprecyzowane plany zawodowe przyjaciela wprowadziły Zacha w osłupienie, bo on nie wiedział, co będzie robił jutro, a co dopiero przez resztę życia, ale Napoleon uspokoił syna, mówiąc mu, że ma jeszcze mnóstwo czasu na wybór przyszłego zajęcia, zresztą dzisiaj mało kto pracuje w jednym miejscu (na sto procent powiedział Zachowi, żeby się nie martwić; tysiąc razy wracał w pamięci do tej rozmowy, by się upewnić), potem, zachęceni rozmową o tenisie, zegrali w ping-ponga do dwóch setów, wygrał Napoleon, a później obejrzeli *Genialny klan*. Obu bardzo się podobał. Śmiali się. Film skończył się późno, dlatego Napoleon następnego ranka był niewyspany i uruchomił funkcję „drzemka” w telefonie.

Tej beztroskiej decyzji miał żałować do końca życia.

Napoleon dokładnie pamiętał przebieg tamtego dnia, bo w kółko brał pod lupę swoje wspomnienia, niczym detektyw badający ślady na miejscu zbrodni. Bezustannie stawała mu przed oczami jego własna ręka sięgająca po telefon i kciuk na ikonce „drzemka”. Bez końca wyobrażał sobie inne życie, w którym podjął właściwą decyzję i zamiast drzemać, wyłączył budzik i wstawał z łóżka.

– Złapcie ptaka za ogon – polecił Yao.

To Heather znalazła Zacha.

Nigdy wcześniej nie słyszał takiego krzyku jak ten, który tamtego ranka wydobył się z ust jego żony.

Pamiętał, jak pędzi po schodach. Trwało to w nieskończoność, jakby w sennym koszmarze brodził w błocie.

Zach zrobił pętlę ze swojego nowego paska.

Dostał go w prezencie świątecznym od Heather ledwie kilka tygodni wcześniej. Brązowy skórzany pasek od R.M. Williamsa kosztował, bagatelka, dziewięćdziesiąt dolarów.

– Strasznie drogi – powiedział Napoleon do Heather, kiedy mu go pokazała.

Wciąż pamiętał swoje zdumienie, gdy wyciągnął rachunek z plastikowej torebki.

Heather tylko wzruszyła ramionami. Pasek wpadł w oko Zachowi. Co święta wydawała o wiele za dużo pieniędzy.

„Stary, przez ciebie matka się załamała”.

Nie zostawił listu, nie wysłał pożegnalnego SMS-a. Postanowił nie wyjaśniać powodów swojej decyzji.

– Obejmijcie tygrysa i wróćcie w góry – powiedział Yao, młody mężczyzna, najwyżej o dziesięć lat starszy od Zacha.

Zach znalazłby pewnie pracę w takim ośrodku. Zapuściłby włosy. Świetnie wyglądałby z modną ostatnimi czasy brodą. Wiódłby wspaniałe życie. Miał tyle możliwości. Inteligencję, urodę, gęsty zarost. Zdolności manualne. Mógłby zdobyć dobry zawód! Studiować prawo, medycynę albo architekturę. Albo podróżować. Albo brać narkotyki. Dlaczego nie szukał ucieczki w dragach? Jak cudownie byłoby mieć syna, który podejmował złe decyzje o odwracalnych skutkach. Który zażywał narkotyki albo nawet nimi handlował, został aresztowany, wykoleił się. Napoleon pomógłby mu wrócić na właściwy tor.

Zach nie zdążył nawet kupić sobie samochodu. Dlaczego postanowił odejść, nie zaznawszy dzikiej przyjemności posiadania własnego auta?

Ten młody facet, ćwiczący przed Napoleonem, miał chyba lamborghini.

Zach odwrócił się od tego pięknego świata, pełnego trzaskaczy i drogich samochodów, długonogich dziewcząt i hamburgerów z wszystkimi dodatkami. Prezent od matki przeobraził w narzędzie zbrodni.

„Fatalna decyzja, synu. Gorszej nie mogłeś podjąć. Naprawdę fatalna”.

Usłyszał jakiś odgłos i uświadomił sobie, że to on go wydał. Zoe odwróciła się i spojrzała na niego. Próbował posłać jej krzepiący uśmiech. „Nic mi nie jest, Zoe, po prostu krzyczę na twojego brata”. Oczy zaszyły mu mgłą.

– Wyciągnijcie igłę z dna morza – padła kolejna komenda Yao.

„Mój chłopczyk. Mój chłopczyk. Mój chłopczyk”.

Napoleon się nie załamał. Okrył się żałobą na całe życie, ale w pierwszym tygodniu po pogrzebie postanowił, że się nie załamie. Miał obowiązek stanąć na nogi, zaopiekować się żoną i córką, jakoś przetrwać. Sięgnął po literaturę specjalistyczną,

kupił przez internet mnóstwo poradników i przeczytał je od deski do deski, ściągnął kilka podcastów, wyszukiwał w sieci wyniki najnowszych badań. Z taką samą gorliwością, z jaką jego matka chodziła na niedzielne nabożeństwa, on we wtorkowe wieczory brał udział w spotkaniach grupy „Krewni samobójców”, aż w końcu został jej liderem. (Heather i Zoe wytykały mu gadulstwo, ale on mówił za dużo tylko w codziennych sytuacjach. We wtorek wieczorem wydobywał z siebie ledwie kilka słów, uważnie słuchał, siedząc na składanym krześle i bez zmrużenia powieki pozwalając, by uderzyło w niego tsunami ludzkiego cierpienia). Wygłaszał prelekcje dla szkół i organizacji zrzeszających rodziców, udzielał wywiadów w radiu, publikował internetowy newsletter i pomagał gromadzić fundusze.

– To jego nowe hobby.

Przez przypadek usłyszał, jak Heather mówi te słowa podczas rozmowy telefonicznej, ale nigdy nie dowiedział się do kogo, bo nie ośmielił się zapytać, choć nie mógł jej darować tej zgryźliwości wypowiedzianej nieomal nienawistnym tonem. Jej komentarz go zabolął, bo jednocześnie był wierutną bzdurą i wstydliwą prawdą.

Gdyby dobrze poszperał, też znalazłby w swoim sercu nienawiść do żony. Sekret dobrego małżeństwa polega na tym, by nie zaczynać takich poszukiwań.

Poczuł nagły przyptyw bolesnej czułości, patrząc na żonę, która z wyciągniętymi w górę szczupłymi ramionami „czerpała energię życiową” od słońca. Heather nie potrafiła dojsć do siebie, nawet nie próbowała. Tylko raz poszła na spotkanie grupy wsparcia. Nie chciała słuchać opowieści innych rodziców, którzy stracili synów, święcie przekonana, że Zach przewyższał tych chłopców pod każdym względem. Napoleon podzielał jej opinię, ale i tak troska o wspólnotę, z którą los wbrew jego woli splótł jego życie, dawała mu ukojenie.

– Biały żuraw rozpościera skrzydła.

Czasem nie pojawiają się żadne znaki ostrzegawcze.

Właśnie to powiedział w pewien wtorkowy wieczór rodzicom od niedawna odbywającym żałobę. Powołał się na statystyki, świadczące o tym, że nastolatek może targnąć się na życie pod wpływem chwilowego impulsu. W wielu przypadkach myśli samobójcze nachodzą młodego człowieka ledwie osiem godzin przed samym aktem. Niejeden pętał nie zastanawia się dłużej niż przez pięć minut nad decyzją

o katastrofalnych konsekwencjach.

Nie podzielił się wieloma innymi informacjami, jakie zgromadził podczas swoich poszukiwań. Nie wspomniał choćby o tym, że niejeden odratowany samobójca, zaraz po połknięciu tabletek, skoku, podcięciu żył, myślał: „Mój Boże, co ja najlepszego zrobiłem?”. Zachował dla siebie to, że po tym doświadczeniu wielu niedoszłych samobójców diametralnie się zmieniało i żyło szczęśliwie, niekiedy nawet bez pomocy psychiatrycznej. Nie powiedział, że gdy plan odebrania sobie życia okazywał się z jakiegoś powodu niemożliwy do zrealizowania, na przykład z powodu braku odpowiednich środków, to myśli samobójcze stopniowo się rozpraszały, aż wreszcie na dobre zniknęły. Nie przywołał statystyk świadczących o tym, że odsetek samobójstw w Wielkiej Brytanii zmniejszył się o jedną trzecią po tym, jak z użycia wyszło ogrzewanie gazowe, bo ludzie stracili możliwość włożenia głowy do piecyka w przypływie desperacji, zyskując czas na odpędzenie mrocznych, przerażających myśli. Uważał, że nic dobrego by nie działał, gdyby uświadomił rodzicom samobójców, że stracili dzieci w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i może uniknęliby tragedii, gdyby w odpowiednim momencie zainterweniowali, zadzwonili albo podjęli rozmowę.

Ale Napoleon wiedział o tym wszystkim, bo Zach był w gorącej wodzie kąpany. Był impulsywny. Nad niczym się dłużej nie zastanawiał. Nie liczył się z konsekwencjami. Żył chwilą, bo podobno tak trzeba. Praktykował *mindfulness*. Nie ma przeszłości. Nie ma jutra. Istnieje tylko terażniejszość. „Zrobię to, na co mam ochotę”.

Jeśli będziesz biegał po plaży tuż przy linii wody, nowe adidas ci zamokną i będą schły przez cały dzień. Jak (wbrew naszemu zakazowi) wyjdiesz na zewnątrz, kiedy powietrze jest gęste od pyłków, dostaniesz ataku astmy. Jeśli odbierzesz sobie życie, to nigdy go nie odzyskasz, mój mały, koniec i kropka.

– Zach, trzeba myśleć! – strofował go Napoleon.

Dlatego nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby tamtego ranka nie dosypiał, tylko wstał zgodnie z planem, zapukał do drzwi Zacha i krzyknął: „Chodźmy powiosłować!”, to teraz jego żona nie byłaby załamana, córka wciąż nuciłaby pod prysznicem, a syn świętowałby dwudzieste pierwsze urodziny.

To od Napoleona należało oczekiwać, że zrozumie młodego mężczyznę. Szuflada w jego biurku pękała w szwach od kartek i listów od byłych uczniów i ich rodziców, którzy uważali go za wyjątkowego pedagoga, dziękowali mu za to, co wniósł w ich życie, zapewniali go, że na zawsze pozostanie w ich pamięci, bo uratował ich, kiedy stali nad przepaścią, zgubili drogę, a teraz są wdzięczni swojemu cudownemu nauczycielowi, panu Marconiemu.

A on zawiódł własnego syna. Jedyne go chłopca, który tak naprawdę się dla niego liczył.

Przez lata szukał odpowiedzi. Rozmawiał ze wszystkimi przyjaciółmi, kolegami z drużyny, nauczycielami i trenerami. Niczego się od nich nie dowiedział. Nie mieli nic do powiedzenia.

– Rozkładanie wachlarza – powiedział Yao.

Napoleon wykonał ćwiczenie, czując rozluźniające się mięśnie, ciepło słońca na twarzy i łzy o smaku morskiej wody płynące mu po policzkach.

Nie załamał się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zoe

Zoe dostrzegła łzę spływającą po policzku Napoleona i zastanawiała się, czy ojciec się zorientował, że płacze. Często w ogóle tego nie rejestrował, jakby jego ciało samo z siebie wydzielało smutek. Czasem nie zauważa się krwi płynącej ze świeżej rany.

– Dotknijcie nieba – powiedział Yao.

Zoe uniosła ręce, naśladowując pełne gracji ruchy instruktora, i odwróciła się do matki, patrząc na głębokie zmarszczki na jej twarzy, i nagle w jej uszach zadźwięczał mroźący krew w żyłach krzyk, jaki rozległ się w domu tamtego poranka. Heather wyła jak zwierzę złapane we wnyki. Wrzask ostry jak brzytwa rozciął życie Zoe na dwie części.

Jutro miną trzy lata. Czy rodzicom kiedykolwiek będzie łatwiej? Nie zanosilo się na to. Straciła nadzieję po dwóch poprzednich rocznicach, przed którymi jeszcze się łudziła, licząc na rychłą poprawę ich stanu. Dziś już wiedziała, że po powrocie do domu nic się nie zmieni.

Rodzice zachowywali się tak, jakby zapadli na jakąś straszną, nieuleczalną chorobę, która pustoszyła ich organizmy. Jakby padli ofiarą napaści. Jakby ktoś zmasakrował ich kijem baseballowym. Zoe nie przypuszczała, że żałoba dotyka całego ciała. Przed śmiercią Zacha uważała smutek za stan psychiczny. Nie sądziła, że cierpienie odczuwa się cieleśnie, kiedy szwankuje układ pokarmowy, zmienia się cykl menstruacyjny, rytm snu, a nawet skóra. Nie życzyłaby tego najgorszemu wrogowi.

Czasem wydawało jej się, że przeczekuje swoje życie, cierpliwie je znosi, odhacza kolejne wydarzenia, dni, miesiące i lata, jakby liczyła na to, że gdy upora się z bliżej nieokreślonymi problemami, to sprawy wrócą do normy, tylko że z niczym nie potrafiła się uporać, sprawy nie wracały do normy, a ona nie mogła mu przebaczyć. Umierając,

rzucił im w twarz ostateczne: „Pierdolcie się!”.

– Przynajmniej niewiele was łączyło.

W uszach zadźwięczał jej głos Cary, jej przyjaciółki.

„Przynajmniej niewiele nas łączyło. Przynajmniej niewiele nas łączyło. Przynajmniej niewiele nas łączyło”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Heather

Heather nie zauważyła, że Napoleon płakał podczas sesji tai-chi.

Przypomniało jej się coś, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu, po długiej, wyczerpującej nocnej zmianie, podczas której przyjęła dwa porody chłopców.

Za każdym razem, kiedy trzymała na rękach noworodka, wpatrując się w jego smutne, mądre oczy, nie mogła przestać myśleć o Zachu. Wszystkie niemowlęta patrzyły na nią z taką przenikliwością, jakby właśnie przybyły z innego wymiaru, w którym poznały jakąś niezwykłą prawdę, ale nie mogły się nią z nikim podzielić. Strumień nowego życia płynął bezustannie, każdego dnia.

Heather po skończonej zmianie poszła po kawę do szpitalnej stołówki, gdzie zauważyła znajomą twarz z przeszłości. Nie zdążyła się odwrócić, by móc udawać, że niczego nie zauważyła. Natychmiast rozpoznała matkę kolegi Zacha z drużyny piłkarskiej, do której Zach przez chwilę należał. Lisa Jakaśtam. Sympatyczna, radosna osoba. Lisa Jakaśtam rozpromieniła się na widok Heather. „O, znam cię!” W jednej chwili mina jej zrzędła, kiedy przypomniała sobie to, co dotarło do niej pocztą pantoflową. Wiele osób tak reagowało. Heather zdawało się, że słyszy jej myśli: „O kurwa, to matka tego nieszczęśnika, nie zdążyłam w porę się odwrócić!”.

Niektórzy, by uniknąć spotkania z nią, przechodzili na drugą stronę ulicy, ale ona i tak ich zauważała. Inni obrzucali ją wymownym spojrzeniem, jakby to Heather powinna się wstydzić tego, co przydarzyło się jej rodzinie. Ta kobieta wykazała się odwagą. Nie zrobiła uniku, nie uciekła, nie odwróciła wzroku.

– Tak mi przykro z powodu Zacha – powiedziała. Nawet nie ściszyła głosu, wypowiadając jego imię.

– Dziękuję – odparła Heather, marząc o kawie. Spojrzała na stojącego obok Lisy chłopca, podpierającego się na kulach. – Ty jesteś... Justin?

Imię powróciło do niej wraz z falą wspomnień o chłodnych, sobotnich porankach spędzonych na boisku piłkarskim i nagle, niespodziewanie, gniew eksplodował w jej piersi, a ten żywy, głupi dzieciak znalazł się w polu rażenia.

– Pamiętam cię – syknęła Heather. – To ty nigdy nie podawałeś piłki do Zacha! – Chłopak gapił się na nią okrągłymi, przerażonymi oczami. – Nigdy! Dlaczego? – Heather zwróciła się do Lisy. – Trzeba było mu kazać! – Podniosła głos znacznie bardziej, niż pozwalały na to reguły obowiązujące w miejscu publicznym.

Większość osób pewnie czmychnęłaby pod byle pretekstem. Inni pewnie by kontratakowali. „Śmierć syna nie daje ci prawa do robienia nam scen!” Ale Lisa, którą Heather ledwie знаła, choć (jak sobie właśnie uświadomiła) pewnego razu, kiedy Zach dostał ataku astmy na boisku, zabrała Zoe do siebie na lunch, teraz spojrzała spokojnie na Heather i powiedziała:

– Masz rację, powinnam była mu kazać.

Wtedy Justin, który grywał z Zachem, kiedy mieli dziewięć lat, odezwał się głębokim, męskim głosem:

– Zach był znakomitym strzelcem, pani Marconi. Powinienem być do niego częściej podawać. Wtedy niezbyt dobrze panowałem nad piłką.

Ten młody człowiek wykazał się ogromną wyrozumiałością, delikatnością i dojrzałością. Heather spojrzała na niego – na piegi na jego nosie i cieniutki młodzieńczy wąsik – i nagle stanęła jej przed oczami groteskowo wykrzywiona twarz jej syna w ostatnim dniu życia.

– Przepraszam – wyszeptała słabym, drżącym, zawstydzonym głosem i wyszła, unikając kontaktu wzrokowego.

Nie zabrała kawy. Znowu wyładowała na kimś gniew, który powinna była skierować przeciwko samej sobie.

– Wąż pełźnie w trawie – zakomenderował Yao.

Zobaczyła siebie w pokoju Zacha, jak otwiera szufladę w nocnym stoliku. To Heather była wężem pełznącym w trawie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Frances

Dochodziła trzecia po południu, kiedy Frances ochoczo zeszła do studia jogi na oficjalne zakończenie szlachetnego milczenia. Od poprzedniej nocy nie przyjmowała żadnych stałych pokarmów i umierała z głodu. Rano i w południe dzwonek wezwał wszystkich kuracjuszy do jadalni, gdzie na kredensie czekały na nich ustawione w rzędzie szklanki ze smoothies, każda opatrzona odpowiednim imieniem. Frances znalazła swój koktajl i próbowała delektować się nim powoli i z namysłem, ale wypłała go duszkiem, a potem zaburczało jej w brzuchu tak głośno, że zrobiło jej się wstyd.

Właściwie nie odczuwała łaknienia, ale czegoś jej brakowało. Nie tyle jedzenia, co raczej rytuału spożywania pokarmu. Może gdyby pościła w domu, gdzie zazwyczaj pochłaniała ją praca, łatwiej byłoby jej ominąć posiłki (co nigdy jej się nie zdarzało, nie rozumiała, jak można „zapomnieć o zjedzeniu lunchu”), ale tutaj, szczególnie w okresie ciszy, każdy z nich stanowił istotny punkt dnia.

Próbowała zająć czymś uwagę, czytając w hamaku, ale w powieści doszło do tak nieprawdopodobnego zwrotu akcji, że kontynuowanie lektury na pusty żołądek przerastało jej siły.

Kiedy weszła do studia, ogarnął ją dobry nastrój. W sali nie świeciło się światło, ale tu i ówdzie rozstawione świece roztaczały wokół siebie migotliwą poświatę. W piwniczce panował przyjemny chłód, z kominka na olejki eteryczne unosił się zmysłowy zapach, a z niewidocznych głośników sączyła się nastrojowa muzyka, przyprowadzająca o przyjemny dreszczyk.

Frances zawsze doceniała wysiłki wkładane w stworzenie odpowiedniej atmosfery. Zauważyła rozstawione po obu stronach sali niskie łóżka polowe z kocami

i poduszkami, na których leżały przygotowane słuchawki i maski na oczy. Obok stały butelki z wodą. Każde stanowisko wyglądało jak miejsce w pierwszej klasie, pieczołowicie przygotowane na długi lot.

Masza, Yao i Dalila siedzieli ze skrzyżowanymi nogami pośrodku sali, w towarzystwie rodziny Marconich i tego wysokiego, przystojnego bruneta.

– Witamy, proszę, dołączcie do kręgu – powiedziała Masza, kiedy do studia weszli pozostali goście.

Miała na sobie długą, białą satynową sukienkę bez rękawów, z koronkowymi wstawkami, coś pomiędzy suknią ślubną a wieczorową kreacją. Makijaż jeszcze bardziej uwydatnił jej wyraziste oczy. W porównaniu z tą niebiańską istotą Yao i Dalilia, notabene bardzo atrakcyjni młodzi ludzie, wyglądali pospolicie, wręcz byle jak.

Po chwili w sali zameldowali się wszyscy kuracjusze. Frances siedziała między Heather a Benem. Zastanawiała się, jak on się czuje. Pewnie brakowało mu samochodu. W świetle świec Frances przyglądała się jego opalanej, owłosionej nodze, bez zdrożnych intencji, uchowaj Boże, ze zwykłą fascynacją, bo po kilkudniowej medytacji w absolutnej ciszy wszystko stawało się fascynujące. Każdy włoszek na łydce Bena był jak drzewko w gaju...

Ben chrząknął i przesunął nogę. Frances wyprostowała plecy i jej wzrok spoczął na wysokim, przystojnym brunecie, który zajął miejsce naprzeciwko niej. Siedział wyprostowany i z poważną miną, ale jego sposób bycia wskazywał na to, że zachowuje dystans do sytuacji. Frances już miała odwrócić głowę, kiedy mężczyzna puścił do niej oko. Ona też do niego mrugnęła, wywołując wyraz zaniepokojenia na jego twarzy. Nie potrafiła mrugać. Z trudem przymykała jedno oko i podobno wyglądała wtedy tak, jakby dostała potężnego skurczu.

– Dotrwaliśmy do końca szlachetnego milczenia – ogłosiła Masza. Z uśmiechem uniosła zaciśniętą pięść. – Udało nam się!

Nikt się nie odezwał, ale wśród zgromadzonych rozległy się inne odgłosy: oddechy, szmery i stłumione westchnienia wyrażające satysfakcję.

– Chciałabym, byśmy powoli wrócili do rozmów i ponownie nawiązali kontakt wzrokowy – oznajmiła Masza. – Niech każdy z nas po kolei się przedstawi i opowie coś

o sobie. Może o powodach przyjazdu do Tranquillum House, o tym, co najbardziej go ucieszyło podczas pobytu, a co okazało się największym wyzwaniem. Macie ogromną ochotę na cappuccino albo kieliszek sauvignon blanc? Rozumiem! Podzielcie się z grupą swoimi trudnościami! Tęsknicie za bliskimi? Opowiedzcie nam o tym! A może wolicie się skupić na suchych faktach: wieku, zawodzie, zainteresowaniach, znaku zodiaku? – Masza posłała wszystkim oszałamiający uśmiech, a oni go odwzajemnili. – Można też wyrecytować ulubiony wiersz – kontynuowała. – Nieważne, co powiecie. Cieszcie się doświadczeniem komunikowania z innymi, nawiązywania relacji i wchodzenia w kontakt ze współtowarzyszami.

Rozległy się pochrząkiwania, wszyscy rozsiedli się wygodnie i przeczesali włosy, przygotowując się do zabrania głosu.

– Gdy będziemy się lepiej poznawać, Yao i Dalila podadzą wam popołudniowe smoothie – dodała Masza.

Charyzma Maszy sprawiła, że Frances umknął moment, w którym Yao i Dalila wstali z miejsc. Teraz krążyli po sali, roznosząc napoje w wysokich szklankach. Tego popołudnia wszyscy dostali taki sam koktajl o szmaragdowej barwie. „Szpinak?”, pomyślała Frances z zaniepokojeniem, ale kiedy go skosztowała, wyczuła smak jabłek, melona miodowego i gruszek, a także nuty mchu i kory drzewnej. Przyszedł jej na myśl spacer w rozzielenionym lesie, wzdłuż szemrzącego strumyka.

– Frances, może zaczniesz? – zaproponowała Masza.

– Och, no dobrze. Mam na imię Frances. Cześć.

Odstawiła pustą szklankę, spuściła głowę i przesunęła językiem po zębach, na wypadek gdyby zostały na nich ślady szminki. Uzmysłowała sobie, że niemal bezwiednie wchodzi w rolę, jaką wymyśliła dla siebie na potrzeby publicznych występów. Grała wtedy osobą ciepłą, skromną, dobroduszną, ale troszkę niedostępną, by ostudzić nieco zapal amatorów serdecznych uścisków, już ustawionych w kolejce po autograf.

– Przyjechałam do Tranquillum House, bo moje zdrowie, życie osobiste i kariera pozostawiały wiele do życzenia. – Powiodła wzrokiem po kręgu. Patrząc ludziom prosto w oczy, poczuła z nimi intymną więź. – Zarabiam, pisząc romanse, a wydawca odrzucił moją ostatnią książkę. Poza tym dałam się omotać oszustowi matrymonialnemu.

Dlaczego opowiedziała im o tym naciągaczu? Bla, bla, bla.

Tony nie spuszczał z niej wzroku. Miał trochę dłuższy zarost, jego rysy twarzy się wyostrzyły. Faceci, te skurwiele, zawsze szybciej tracili kilogramy. Trochę się zakłopotowała. Czy on się z niej śmiał? Czy tylko... na nią patrzył?

– Krótko mówiąc, te pięć dni upłynęło mi całkiem przyjemnie!

Nagle desperacko zapragnęła mówić. Nie dbała o to, czy „za bardzo się odsłoni”. Słowa swobodnie popłynęły z jej ust. Czuła się tak, jakby umierając z głodu, zasiadła przy suto zastawionym stole i po pierwszym kęsie zaczęła napychać usta jedzeniem.

– Nie sądziłam, że tak dobrze zniosę ciszę, która, jak się okazało, ukoїła moje myśli. Oprócz tego, że zostałam oszukana, byłam załamana miażdżącą recenzją, o której początkowo wręcz obsesyjnie myślałam, a teraz w ogóle się nią nie przejmuję, to chyba dobrze? Trochę mi brakuje kawy, szampana, internetu i... – „Frances, zamknij się”. – No wiecie, wszystkich przyziemnych luksusów.

Usiadła, czując ciepło na twarzy.

– To może ja – zgłosił się wysoki, przystojny brunet. – Mam na imię Lars. Nałogowo wyjeżdżam do sanatoriów. Dogadzam sobie i pokutuję, dogadzam i pokutuję. Służy mi to.

Frances przyjrzała się jego mocno zarysowanym kościom policzkowym i promiennej cerze. „Bez wątplenia ci służy, przystojniaku”.

– Jako adwokat rodzinny pijam po pracy sporo wina. – Zrobił pauzę, czekając na śmiech, ale słuchacze milczeli. – W styczniu zawsze wyjeżdżam do jakiegoś ośrodka wypoczynkowego, bo luty to dla mnie najpracowitszy miesiąc. Telefon urywa się od pierwszego dnia nowego roku szkolnego. Wiecie, jak to jest, mama i tata uświadamiają sobie, że nie zniosą kolejnych wspólnych wakacji.

– O Boże – westchnął ponuro Napoleon.

– Uwielbiam tutejsze jedzenie, podoba mi się okolica, nie mam na co narzekać. Niczego mi nie brakuje, może poza moim kontem na Netfliksie. – Uniósł szklanekę ze smoothie i niczym kieliszkiem wina spełnił nim toast.

Następnie zabrała głos rozgorączkowana okularnica, która od pierwszego dnia zdążyła wyraźnie ochłonać.

– Mam na imię Carmel. Przyjechałam tu, żeby się odchudzić. To chyba widać.

Frances westchnęła. To chyba widać? Cóż to miało znaczyć? Carmel była od niej szczuplejsza.

– Pokochałam to miejsce – kontynuowała Carmel. – Z całego serca. – Spojrzała na Maszę z niepokojącą wręcz intensywnością.

Uniosła szklanke i wypła smoothie do dna.

Następnie skwapliwie zgłosiła się Jessica, która wyraźnie nie mogła doczekać się na swoją kolej.

– No więc mam na imię Jessica.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, z dłońmi na kolanach, wyglądała jak uczennica na klasowej fotografii i nagle Frances zobaczyła przed sobą uroczą dziewczynę, którą Jessica była całkiem niedawno, zanim jeszcze uległa pokusie zabiegów kosmetycznych.

– Przyjechaliśmy tu, bo mamy poważne problemy małżeńskie.

– Nie musimy tego ogłaszać wszem wobec – wybąkał Ben pod nosem.

– Fakt, kochanie, ale wiesz co? Miałaś rację, kiedy zarzucałeś mi, że za bardzo się troszczę, co ludzie powiedzą. – Zmierzyła go wzrokiem. – Absolutną rację! – W jej głosie słychać było narastające napięcie.

– No tak, ale... Jezu, okej. – Ben skapitulował. Frances zauważyła jego zaczerwieniony kark.

– Rozwód wydawał nam się kwestią czasu – kontynuowała Jessica z rozbijającą szczerością, jakby oczekiwała, że na dźwięk słowa „rozwód” wszyscy doznają szoku.

– Służę wizytówką – wtrącił się Lars.

Jessica go zignorowała.

– Szlachetne milczenie dobrze na mnie podziało, naprawdę znakomicie, tak wiele mi wyjaśniło. – Spojrzała na Maszę. – Przed przyjazdem tutaj miałam chaos w głowie i obsesję na punkcie mediów społecznościowych, nie wstydzę się do tego przyznać. W mojej głowie toczył się nieustanny dialog. – Przystawiła dłoń do ucha i zrobiła z niej kłapiącą paszczę. – A teraz widzę wszystko znacznie wyraźniej. Nasze problemy zaczęły się, kiedy się wzbogaciliśmy. Trafila nam się spora wygrana na loterii i nasze życie się spieprzyło.

– Na loterii? – zainteresowała się Carmel. – Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś, kto wygrał na loterii.

– Właściwie zamierzaliśmy zachować to w tajemnicy... Cicho sza! – powiedziała Jessica, kładąc palec na ustach. – Ale zmieniliśmy zdanie.

– Naprawdę? – zdziwił się Ben.

– Ile wygraliście? – zapytał Lars i natychmiast się wycofał. – Pytanie nie na miejscu! Nie odpowiadaj! To nie moja sprawa.

– Jak się dowiedzieliście o wygranej? – włączyła się do rozmowy Frances. – Opowiedz nam więcej. – Chciała usłyszeć historię o momencie, który na zawsze zmienia życie.

– Bardzo się cieszę, że dzięki ciszy odzyskałaś jasność myśli, Jessico – zainteresowała Masza, zanim rozmowa zdążyła potoczyć się w niepożądanym kierunku. Miała zdumiewającą zdolność ignorowania wszystkiego, co uważała za nieinteresujące. – Kto następny?

Zgłosił się Ben.

– To może ja. Mam na imię Ben, jestem mężem Jessiki. Już wiecie, po co tu przyjechaliśmy. Czuję się dobrze. Cisza była okej. Jedzenie lepsze, niż się spodziewałem. Nie wiem, czy udało nam się coś osiągnąć, ale ogólnie jest w porządku. Brakuje mi chyba tylko mojego auta.

– A czym jeździsz? – zapytał Tony.

– Lamborghini – odparł Ben z taką czułością w oczach, jakby opowiadał o swoim nowo narodzonym synu.

Tony się rozpromienił. Frances nigdy wcześniej nie widziała go tak rozradowanego. Gdy się uśmiechnął, jego rumiane policzki jeszcze bardziej się zaokrągliły, a jego twarz całkowicie się zmieniła. Wyglądał jak roześmiane niemowlę. Jego oczy zupełnie zniknęły wśród zmarszczek mimicznych.

– Nic dziwnego, że ci go brakuje – powiedział.

– Gdybym wygrał na loterii, kupiłbym sobie bugatti – rozmarzył się Lars.

Ben pokręcił głową.

– Przeklamanym złom.

– Przerklamowany? To najwspanialsze auto na świecie.

– Gdybym to ja wygrała takie pieniądze, sprezentowałabym sobie śliczne, czerwone ferrari.

– No tak, ferrari to już...

Masza przerwała rozmowę o samochodach sportowych.

– Kogo jeszcze nie wysłuchaliśmy? Tony’ego?

– Dałem się poznać jako desperat, który próbował przemycić to i owo – zaczął Tony. Znowu się uśmiechnął. – Przyjechałem na odchudzanie. Brakuje mi piwa, pizzy, żeberek w sosie śliwkowym, pieczonych ziemniaków ze śmietaną i batonów w rozmiarze XXL. Tyle o mnie. – Jego początkowy entuzjazm gdzieś się ulotnił. Tony zwiesił głowę, jakby spojrzenia zgromadzonych wprawiły go w zakłopotanie. – Dziękuję – dodał, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Frances mu nie dowierzała. Na pewno nie przyjechał tu tylko po to, by się odchudzić.

Napoleon podniósł rękę.

– Napoleonie, słuchamy – udzieliła mu głosu Masza.

On uniósł głowę i wyrecytował:

– „Przez przesmyk z trudem się przeciskam, mych przewin coraz dłuższa lista, lecz jestem losu swego panem i swojej duszy kapitanem”. – Jego oczy zaśniły w blasku świateł. – To fragment ulubionego wiersza Nelsona Mandeli. Nosi tytuł *Niezwyciężony*. – Zawahał się. – Mówiłaś, że można wyrecytować wiersz.

– Jak najbardziej – zapewniła go ciepłym głosem Masza. – Ten, który przywołałeś, naprawdę mnie wzruszył.

– Tak, no cóż, ni stąd, ni zowąd przyszedł mi do głowy. Uczę w liceum. Dzieciaki lubią, jak im się mówi, że są panami swojego losu, chociaż... – Zaśmiał się bezradośnie. Siedząca obok niego Heather delikatnie położyła dłoń na jego drgającym kolanie. On chyba tego nie zauważył. – Jutro wypada trzecia rocznica śmierci naszego syna. Dlatego tu przyjechaliśmy. Odebrał sobie życie i właśnie w ten sposób wziął los w swoje ręce.

W sali zapadła cisza, jakby na moment wszyscy wstrzymali oddech. Złociste

płomienie świec zapełgały.

Frances zacisnęła usta, by nie wyrwało się z nich ani jedno słowo. Ogarniające ją emocje nie mieściły się w jej ciele, nie dawały się poskromić, a ona w każdej chwili mogła wybuchnąć śmiechem albo płaczem, powiedzieć coś nazbyt sentymentalnego albo intymnego. Czuła się tak, jakby za dużo wypiała w sytuacji wymagającej od niej trzeźwości, na przykład podczas oficjalnego spotkania z szefem wydawnictwa.

– Tak mi przykro z powodu waszej straty, Napoleonie – powiedziała Masza i wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć, choć siedziała o wiele za daleko. – Tak bardzo mi przykro.

– Jak to miło z twojej strony – odparł Napoleon kurtuazyjnym tonem.

W innych okolicznościach Frances pomyślałaby, że jest pijany. Dorwał się do wina przemyconego przez Zoe? Doznał nagłego załamania nerwowego? Czy tak wyglądała naturalna reakcja na przerwanie ciszy?

Zoe spojrzała na ojca ze zmarszczonym czołem, pobrużdżonym jak u staruszki, a Frances wyobraziła sobie chłopca, którego zabrakło u boku siostry. „Och, Zoe”, pomyślała. Podejrzewała, że popełnił samobójstwo, bo dziewczyna nie wspomniała, jak umarł. Lily, przyjaciółka Frances i autorka pięknych romansów historycznych, przed dziesięcioma laty straciła męża. W kółko powtarzała: „Neil zmarł nagle”.

A wszyscy wiedzieli, co tak naprawdę się stało. Od tamtej pory Lily nie napisała ani jednej linijki.

– Kto jeszcze chciałby...?

Napoleon nie pozwolił jej dokończyć.

– Mam! – zawołał. – Już wiem, kim jesteś! – krzyknął do Tony’ego. – Nie dawało mi to spokoju. Heather, kochanie, poznajesz go? – zwrócił się Napoleon do żony.

Heather oderwała wzrok od pustej szklanki, w którą uparcie się wpatrywała.

– Nie.

– A ja tak – pochwalił się Lars. – Już pierwszego dnia się zorientowałem.

Frances spojrzała na Tony’ego, który, wyraźnie speszony, wbił wzrok w szklankę, choć nie wyglądał na zdezorientowanego, jakby doskonale wiedział, o czym mowa. Kim był? Słynnym seryjnym mordercą?

– Heather! – zawołał Napoleon. – Znasz go! Jestem tego pewien!

– Ze... szkoły? Z pracy? – Heather pokręciła głową. – Nie mogę sobie...

– Mała odpowiedź: „Granatowi to my!” – zaskandował.

Heather przyjrzała się badawczo Tony’emu. Jej twarz się rozpromieniła.

– Smiley Highburn!

Napoleon pokazał na nią palcem, jakby prawidłowo rozwiązała zagadkę.

– Dokładnie! To Smiley Highburn! – Nagle się zawahał. – Zgadza się?

Tony się zawstydział.

– Byłem nim wiele lat temu – odparł. – Trzydzieści kilo temu.

– Ale Smiley Highburn grał w Carlton – wtrąciła się Jessica. – Kibicuję im! Podobno jesteś klubową legendą! – Powiedziała to tak, jakby była pewna, że zaszła jakaś pomyłka.

– Należałem do zespołu, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie – odparł Tony.

– Carlton to drużyna futbolowa, tak? – szepnęła Frances do Bena.

O sporcie wiedziała tyle co nic. Koleżanka stwierdziła kiedyś, że Frances sprawia wrażenie, jakby spędziła całe życie na bezludnej wyspie.

– Tak – odparł Ben. – Futbol australijski.

– To ci, którzy tak podskakują?

Ben się zaśmiał.

– Dokładnie – odparł.

„Smiley Highburn”, pomyślała Frances. To nazwisko faktycznie brzmiało znajomo. Nagle zobaczyła Tony’ego w nowym świetle. Kiedyś był kimś ważnym, podobnie jak ona. To ich łączyło. Kariera Frances powoli przygasała, podczas gdy on swoją oficjalnie zakończył, najprawdopodobniej w wyniku kontuzji – za dużo podskakiwania! – i od dawna już nie biegał po boisku.

– Wiedziałem! – powtórzył Lars. Najwyraźniej liczył na uznanie, którego nikt nie chciał mu okazać. – Nie mam pamięci do twarzy, ale ciebie natychmiast rozpoznałem.

– Przestałeś grać z powodu kontuzji? – zapytała Frances.

Uznała, że zadając takie pytanie sportowcowi, da dowód wrażliwości i niezłej orientacji w temacie. Pewnie uszkodził sobie więzadła.

Tymczasem Tony wyglądał na lekko rozbawionego.

– Odniosłem wiele kontuzji.

– Och – westchnęła Frances. – Przykro mi to słyszeć.

– Zrekonstruowano mi oba kolana, wszczepiono mi endoprotezę do stawu biodrowego... – Tony sporządzał smutny bilans wszystkich swoich dolegliwości. – Miałem nawracające zapalenia stawu skokowego.

– Nazwano cię Smiley Hogburn, bo często się uśmiechałeś czy wręcz przeciwnie? – zapytała Zoe.

– Bo często się uśmiechałem – odparł Tony z kamienną twarzą. – Wtedy byłem zwyczajnym kołesiem. Wiecznie zadowolonym z życia.

– Naprawdę? – zdziwiła się Frances, nie kryjąc zaskoczenia.

– Tak – odparł Tony. Uśmiechnął się do niej. Chyba go rozbawiła.

– To ty wytatuowałeś sobie uśmiechnięte buźki na pośladkach? – zapytał Lars.

– Widziałam je! – wyrwało się Frances.

– Na serio? – zapytał Lars sugestywnie.

– Frances – przystopował ją Tony, kładąc palec na ustach, jakby mieli coś do ukrycia. Zaraz! Flirtował z nią?

– Och, nie, to nie to, co myślicie – zmitygowała się Frances. Zerknęła nerwowo na Maszę. – Zobaczyłam je przez przypadek.

– Mój brat miał w pokoju plakat z twoją podobizną. – To Dalila wyrwała się przed szereg i przemówiła ludzkim głosem. – Ten, na którym uchwyciono cię w podskoku, dwa metry nad ziemią, a inny zawodnik ciągnie cię za spodenki, odsłaniając twoje tatuaże! Strasznie śmieszne!

– Coś takiego. W naszej grupie znalazł się słynny futbolista. – W głosie Maszy słyhać było ostry ton. Może chciała być jedyną wysportowaną osobą w tym gronie.

– Były futbolista – poprawił ją Tony. – Stare dzieje.

– Świetnie... kto jeszcze o sobie nie opowiedział? – zapytała Masza, chcąc czym prędzej zmienić temat.

– Dopadła cię depresja po zakończeniu kariery? – zapytał Napoleon. – To dlatego tu przyjechałeś? Czytałem o tym problemie, dotyczy wielu mistrzów sportu. Musisz

zatroszczyć się o swoje zdrowie psychiczne, Tony... Smiley... Tony... Nie masz nic przeciwko temu, że będę mówił do ciebie Smiley? W każdym razie zadbaj o siebie, depresja jest podstępna, jeśli...

– Kto następny? – przerwała mu Masza.

– Ja – zgłosiła się Zoe. – Mam na imię Zoe.

Przez moment zbierała myśli. A może się denerwowała? „Och, biedactwo”.

– Jak już wiecie od mojego taty, przyjechaliśmy do Tranquillum House, bo w styczniu nie możemy wytrzymać w domu, w którym mój brat się powiesił.

Masza wydała dziwny, zduszony jęk i zasłoniła usta dłonią. Po raz pierwszy w obecności Frances okazała słabość. Panowała nad sobą, nawet gdy opowiadała o ojcu, z którego śmiercią wyraźnie nie potrafiła się pogodzić.

Frances patrzyła na Maszę, która przez kilka sekund kurczowo zaciskała szczęki, jakby się zadławiła, ale w końcu wzięła się w garść i słuchała Zoe, choć do oczu napłynęły jej łzy, jakby naprawdę coś jej utkwilo w gardle.

Zoe spojrzała na sklepienie. Siedzący w kręgu słuchacze zdawali się nachylać do niej, jakby uginali się pod ciężarem współczucia.

– Och, zaraz, tata nie wspomniał, że Zach się powiesił, ale mówię o tym, na wypadek gdyby ktoś się zastanawiał, jaką wybrał metodę! No cóż, tę najpopularniejszą. – Uśmiechnęła się i lekko zakołysała. Błysnęły kolczyki w jej uszach. – Jego kolega stwierdził, że Zach dał dowód „ogromnej odwagi”, decydując się na ten sposób, a nie na tabletki. Jakby skoczył na bungee. O Boże! – Westchnęła tak ciężko, że jej grzywka lekko się uniosła. – W każdym razie, kiedy już staliśmy się ekspertami od samobójstw, przestaliśmy informować ludzi, jak mój brat to zrobił. W obawie, by komuś nie podrzucić tego pomysłu. Samobójstwo jest jak choroba zakaźna. Rodzice bali się, że się zarażą. Jak ospą. Ha, ha. Okazałam się odporna.

– Zoe? – wtrącił się Napoleon. – Kochanie, chyba już wystarczy.

– Niewiele nas łączyło – powiedziała jego córka do całej grupy, a potem powtórzyła te słowa, kierując wzrok na swoje dłonie. – Niektórym się wydaje, że bliźnięta są ze sobą mocno związane, tymczasem my chodziliśmy do innych szkół. Co innego nas interesowało. Ceniliśmy inne wartości.

– Zoe – odezwała się jej matka. – Nie czas na...

– Tamtego ranka wstał bardzo wcześnie – kontynuowała Zoe, ignorując ją. Ścisnęła w palcach jeden z kolczyków. Pusta szklanka po smoothie leżała na jej udzie. – Bardzo rzadko budził się o takiej porze. Wyniósł śmieci do kontenera, bo przyszła jego kolej, wrócił na górę i się zabił. – Westchnęła, jakby jej własna opowieść ją znudziła. – Na zmianę wynosiliśmy śmieci. Może zrobił to, by coś udowodnić. Wkurzyło mnie to. Miałam sobie niby pomyśleć: „Wielkie dzięki, Zach, dobry z ciebie brat, w pełni zrekompensowałeś mi swoje samobójstwo?”.

– Zoe! – ofuknęła ją Heather.

Zoe odwróciła się do matki bardzo powoli, jakby zeszywniały jej plecy.

– Co?

Heather podniosła szklankę i odstawiła ją na podłogę. Nachyliła się do córki i odgarnęła lok z jej czoła.

– Coś tu... – Heather powiodła wzrokiem po zgromadzonych. – Coś tu jest nie tak.

– Spojrzała na Maszę. – Podałaś nam jakieś leki?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Masza

„Skup się. Tylko. Na oddechu. Skup się. Tylko. Na oddechu”.

Wszystko grało, Masza miała wszystko pod kontrolą. Przez chwilę, kiedy Zoe opowiadała swoją historię, Masza nieomal całkowicie się zdekoncentrowała. Straciła poczucie czasu. Teraz wróciła, oddychała spokojnie i odzyskała panowanie nad sytuacją.

Informacje o tym chłopaku powinna była wyciągnąć z rodziny Marconich podczas indywidualnych sesji terapeutycznych. Wszyscy otwarcie wyznali, że przyjechali do ośrodka, by jakoś przetrwać rocznicę jego śmierci, ale żadne nie wspomniało, jak zginął. Masza powinna przejrzeć na wylot ich uniki. Takie niedociągnięcia nie były w jej stylu. Zazwyczaj wykazywała ogromną przenikliwość. Umyślnie wprowadzili ją w błąd, przez co się nie przygotowała.

A teraz jeszcze Heather wyrwała się z pytaniem: „Podałś nam jakieś leki?”.

Zanim Heather się odezwała, Masza, obserwując zgromadzonych, zauważyła, jak przestają panować nad odruchami, jak rozszerzają im się źrenice i rozplątują języki. Wyraźnie tracili zahamowania, mówili płynnie, z ożywczą szczerością. Niektórzy, jak Napoleon, wercili się, inni, jak Frances, siedzieli nieruchomo. Niektórzy się zaczerwienili, inni, jak Heather, zbledli.

Teraz jednak na policzkach pani Marconi pojawiły się wściekle czerwone plamy.

– Odpowiedz – zażądała. – Podajesz nam leki?

– W pewnym sensie – odparła spokojnie Masza.

Pytanie było kłopotliwe i nieoczekiwane, choć przecież na podstawie zgromadzonych informacji należało się go spodziewać, bo Heather, z zawodu położna,

jako jedyna spośród gości posiadała wykształcenie medyczne. Masza była pewna, że sobie z nią poradzi.

– Co to ma znaczyć: „w pewnym sensie”?

Maszy nie spodobał się warkliwy, impertynencki ton głosu Heather.

– No cóż, leki podaje się po to, by – Masza szukała właściwego określenia – stępić zmysły. Natomiast my próbujemy je wyostrzyć.

– Masz nam powiedzieć, co dokładnie nam podałaś! I to natychmiast! – Heather przykucnęła, jakby przygotowała się do skoku. Przypominała Maszy dożartego pieska. Lubiła je odpędzać kopniakiem.

– Chwileczkę, co tu się dzieje? – zapytał Napoleon swoją żonę.

Masza spojrzała na Yao i Dalilę: „Bądźcie w pogotowiu”. Ukradkiem skinęli głowami, chwytając za apteczki dyskretnie przymocowane do pasków.

Nie tak to miało wyglądać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Lars

Lars, prawdziwy weteran wyjazdów leczniczych, widział różne dziwaczne i niezwykle praktyki terapeutyczne, ale coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Na ironię zakrawał fakt, że podczas pobytu w tym ośrodku zamierzał odpocząć od narkotyków.

– Metoda ta nazywa się mikrodawkowaniem i jest zupełnie bezpieczna – wyjaśniła ich szacowna mentorka, która jak zawsze siedziała prosto ze skrzyżowanymi nogami, które wydawały się tak splecione, że niekiedy Lars bezskutecznie próbował dojść, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna. – Ma też liczne korzystne efekty: wzmacnia kreatywność, poprawia koncentrację, podnosi świadomość duchową, ratuje związki. Mogłabym jeszcze długo wymieniać. Zasadniczo funkcjonuje się nieco lepiej niż zwyczajna osoba. To mniej więcej jedna dziesiąta normalnej dawki LSD.

– Zaraz... co? – zbaraniała Frances. Zaśmiała się mechanicznie, jakby nie rozumiała dowcipu. Lars już ją polubił. – Przepraszam. Chcesz powiedzieć, że braliśmy LSD?

Lars zauważył, że wszyscy goście wpatrują się w Maszę oszołomieni. Z pewnością byli zbyt konserwatywni, by ze spokojem przyjąć do wiadomości, że podano im narkotyki, choć przecież kokaina była bardzo popularna na przedmieściach. Lars eksperymentował z koksem, ecstasią i trawką, ale nigdy nie brał LSD.

– Jak już wspomniałam, w mikrodawkach.

– Nazwijmy rzeczy po imieniu: dodawałaś halucynogenu do naszych smoothie – warknęła Heather.

Heather. Nigdy by nie zgadł jej imienia. Było o wiele za delikatne dla takiej chudej, opalonej kobiety z mięśniami ud wyglądającymi jak części maszyn i wiecznie

skwaszoną miną, jakby cały czas patrzyła prosto w słońce. Za każdym razem, kiedy Lars spoglądał na nią podczas ciszy, chciał położyć kciuk między jej brwiami i powiedzieć: „Rozluźnij się”.

Teraz miał sobie za złe, że źle ją ocenił. Ta kobieta straciła syna, miała prawo wyglądać na rozżaloną.

– To skandal – kontynuowała Heather. Z jej twarzy zniknął grymas, a w jej oczach zapłonął gniew.

– Nic nie rozumiem – wyjąkał jej zdezorientowany mąż, facet o posturze selera naciowego, tak nierozgarnięty, że aż intrygujący. Jego imię, Napoleon, tylko dodawało mu uroku.

Lars nie czuł się naćpany. Miał się świetnie, jak zawsze podczas oczyszczania. Może dostawał za małą dawkę, albo jego organizm zdążył już uodpornić się na narkotyki w niewielkich ilościach. Ukradkiem przesunął palcem po krawędzi szklanki i polizał go. Przypomniało mu się, jak pierwszego dnia wypił smoothie i powiedział do Dalili:

– Przepyszne. Z czego to?

A ona odparła:

– Na końcu turnusu damy ci przepis.

Spodziewał się, że w recepturze znajduje się kilka łyżeczek nasion chia, a nie parę miligramów LSD.

– Ale... ale... przecież przyjechaliśmy tu na detoks! – oburzyła się Frances. – Chcesz powiedzieć, że odstawiliśmy kofeinę i zastąpiliśmy ją kwasem?

Tony, znany również jako Smiley Hogburn, nie krył oburzenia.

– Nie wierzę, że skonfiskowałaś moje piwo, a szpikowałaś mnie narkotykami. Nigdy nie brałem dragów!

– Według ciebie alkohol to nie narkotyk? – odparła Masza. – Szacuje się, że LSD jest dziesięć razy mniej szkodliwe od alkoholu! Wiedziałaś o tym?

– Poza tym LSD nie ma kalorii – dodała Carmel.

Lars zapamiętał jej imię, bo znał inną Carmel, która do znudzenia powtarzała, że jest za gruba. Ta miała przekrzywione okulary i chyba tego nie zauważyła. Przez

ostatnie pięć dni snuła się z taką miną, jakby ktoś ją pobił. Lars wielokrotnie widział ten wyraz twarzy u swoich klientek i czuł wtedy, jak budzi się w nim wściekłość, która napędzała całą jego karierę. Założyłby się o milion dolarów, że mąż wymienił ją na nowszy model.

– Czy LSD poprawia przemianę materii? – zapytała Carmel z nadzieją w głosie. – Mam wrażenie, że mój metabolizm przyspieszył. Też nigdy nie zażywałam narkotyków, ale nie mam nic przeciwko temu. Szanuję ciebie i twoje metody, Maszo.

„Jak schudniesz i tak nie poczujesz się lepiej, kochanie. Ta frajerka zasługuje na nauzkę”. Lars postanowił z nią potem pogadać. Sprawdzić, kto jest jej prawnikiem.

– W głowie mi się nie mieści, że podawałaś mojej nieletniej córce LSD – warknęła Heather.

– Mamo, jestem pełnoletnia – poprawiła ją Zoe. – Czuję się całkiem nieźle, właściwie dawno się tak dobrze nie czułam. Mikrodawka nikomu nie zaszkodzi.

– A właśnie że zaszkodzi! – irytowała się jej matka. – Jezu.

– Maszo, posłuchaj, zetknąłem się z dragami jako nastolatek – wyznał z powagą Napoleon. – To był tak zwany zły trip. Jedno z najgorszych doświadczeń w moim życiu. Zawsze powtarzałem swoim dzieciom, że wtedy przyrzekłem sobie nigdy więcej nie zbliżyć się do narkotyków. Rozumiem, co chcesz nam powiedzieć, ale nie zamierzam ich zażywać.

– Boże, Napoleon, już je zażyłeś! – wycedziła Heather przez zaciśnięte zęby. – Nie słuchasz, co się do ciebie mówi?

– To jakaś ściema – odezwał się zwycięzca loterii.

Jak on miał na imię? Jak porządny i uczciwy hetero. Ale jak? Cały się trząsł od tłumionego gniewu, jakby zaraz miał dostać ataku padaczki i zaciskając szczęki, warknął:

– Nikt mnie nie pytał o zdanie.

Jego młoda żona pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Ben jest całkowicie przeciwny narkotykom.

Ben. No właśnie. Ben i jego chirurgicznie podrasowana małżonka... Jessica. Ben i Jessica. Na pewno nie spisali intercyzy, więc mógłby od nich sporo wyciągnąć.

Wyglądali na takich, co to wywalają majątek na prawników.

– Nie zażywa nawet aspiryny – dodała Jessica. – Jego siostra jest uzależniona. I to bardzo. Niefajna sprawa. – Położyła dłoń na ramieniu męża. – Nie wiem, jak narkotyki miałyby pomóc naszemu związkowi. Mnie też się to nie podoba. Ani trochę.

Faktycznie jej lalkowata twarzyczka wyrażała teraz głębokie niezadowolenie. Lars poczuł wzbierające w nim, szczere, głębokie współczucie dla tej małej nieszczęsnicy. Biedna, plastikowa Jessica. Taka bogata i taka niepewna siebie. Z braku lepszego pomysłu na wydanie takiej kasy wywalala ją na zabiegi kosmetyczne, które zupełnie jej nie służyły.

– Rozumiem wasze obawy – odparła Masza. – Zostaliście poddani praniu mózgu przez wasz rząd, który rozpowszechnia nieprawdziwe informacje.

– Nikt nie wyprał mi mózgu – zaprotestował Ben. – Widziałem na własne oczy, co dragi robią z człowiekiem.

– Faktycznie, Ben, te sprzedawane na ulicy są niebezpieczne – zgodziła się Masza. – Nie wiadomo, co mają w składzie, i zażywa się je w nieodpowiednich dawkach.

– Nie wierzę własnym uszom. – Ben wstał.

– LSD wykorzystywano do leczenia nałogu – kontynuowała Masza. – Mogłoby dobrze podziałać na twoją siostrę. We właściwych okolicznościach.

Ben zakrył twarz dłońmi.

– Niewiarygodne.

Masza mówiła dalej:

– Był kiedyś taki wielki człowiek. Nazywał się Steve Jobs.

Lars się uśmiechnął, bo spodziewał się raczej wzmianki o Dalajlamie.

– Zawsze go podziwiałam – dodała Masza.

– To czemu zabrałaś nam iPhone'y? – mruknął Tony.

– Wiecie, co powiedział Steve Jobs? Że zażywanie LSD było jednym z najważniejszych i najgłębszych doświadczeń w jego życiu.

– Trzeba było tak od razu – zadrwił Lars, coraz bardziej rozbawiony. – Jeśli Steve Jobs twierdził, że mamy zażywać LSD, to nie ma wyjścia.

Masza ze smutkiem pokręciła głową, jakby rozmawiała z gromadką kochanych

urwisów, którym ktoś namieszał w głowach.

– Skutki uboczne zażywania psychodelików są minimalne. Potwierdzają to testy kliniczne przeprowadzane na renomowanych amerykańskich uniwersytetach! Rezultaty są znakomite! W ciągu ostatnich dni mikrodawki poprawiły waszą koncentrację podczas medytacji i jogi, złagodziły również objawy odstawienia o wiele bardziej szkodliwych substancji, takich jak alkohol i cukier.

– Tak, Maszo, ale... – zaczęła Heather. Mówiła spokojniej niż przed chwilą. Rozpostarła palce, jakby suszyła świeżo pomalowane paznokcie. – Sądząc po efektach, które, jak podejrzewam, odczuwam nie tylko ja, dostaliśmy znacznie większe dawki.

Masza uśmiechnęła się do niej, jakby była z niej dumna.

– Och, Heather. Jesteś bardzo bystra.

– To ostatnie smoothie miało inny skład – powiedziała Heather. – Prawda?

– Zgadza się, Heather – odparła Masza. – Właśnie miałam to wyjaśnić, ale znowu mnie uprzedziłaś! – Niemal natychmiast się poprawiła. – Ubiegłaś! – W blasku świec zaśniły jej duże, białe zęby. Nie wiadomo było, czy to uśmiech, czy grymas. – W tej chwili przechodzimy na kolejny etap pieczołowicie zaplanowanej i wdrażanej metody terapeutycznej. – Rozejrzała się, posyłając każdemu skinienie, jakby twierdząco odpowiadała na ich niewypowiedziane pytania. Zdawała się mówić: „Tak, tak, tak”. – Dopiero teraz rozpocznie się na dobre wasza transformacja. Jesteśmy niezwykle podekscytowani, bo metodę tę stosujemy w Tranquillum House po raz pierwszy. Wasza dziewiątka jako pierwsza skorzysta z tej wspaniałej okazji.

Na Larsa spłynęła taka błogość, jakby zanurzył się w ciepłym miodzie.

– Większości z was dodaliśmy do ostatniego smoothie nie tylko LSD, ale i płynną psylocybinę, substancję naturalnie występującą w niektórych grzybach.

– Magiczne grzybki – powiedział z obrzydzeniem Tony.

– O Boże – przeraziła się Frances. – Czuję się, jakbym wróciła na studia.

Lars ucieszył się, że wybrał Tranquillum House. Co za cudowne miejsce. Jaka innowacyjna i nowoczesna metoda.

– Właśnie z nimi miałem przykre doświadczenia – oznajmił Napoleon. – Po grzybkach przydarzył mi się zły trip.

– Tym razem do tego nie dopuścimy, Napoleonie – zapewniła go Masza. – Nasz wykwalifikowany personel będzie służył ci wsparciem i pomocą. Narkotyki, które wam podano, gruntownie przebadaliśmy, by upewnić się, że są czyste.

„Cudowne, czyste narkotyki najwyższej jakości”, pomyślał z zachwytem Lars.

– Nazywa się to kierowaną terapią psychodeliczną – poinformowała ich Masza. – Kiedy odsuniecie na bok swoje ego, wejdziecie na wyższy poziom świadomości. Opadnie zasłona i waszym oczom ukaże się świat, jakiego nigdy nie widzieliście.

Przyjaciel Larsa w poszukiwaniu oświecenia wyruszył kiedyś na dziesięciodniową wyprawę po Amazonii, gdzie podczas ceremonii ayahuaski wielokrotnie wymiotował i był zjadany żywcem przez robale. Ten ośrodek oferował doskonałe warunki. Pięciogwiazdkowe oświecenie!

– Brednie – rzucił Tony.

– Ale ja straciłem rozum – powiedział Napoleon. – I to dosłownie. A bardzo tego nie lubię.

– To dlatego, że nie byłeś w bezpiecznym i budzącym zaufanie miejscu. Eksperci podkreślają wagę nastawienia i otoczenia – odparła Masza. – Pozytywne rezultaty osiąga się w odpowiednim stanie psychicznym i w kontrolowanych warunkach, takich, jakie zapewniamy w naszym ośrodku. – Wskazała na salę. – Yao, Dalila i ja zapewnimy wam wsparcie i bezpieczeństwo.

– Wiesz, że czeka cię pozew – ostrzegła ją Heather ze spokojem.

Masza uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Za chwilę poproszę was, byście położyli się na łóżkach i przygotowali na prawdziwie transcendentne doświadczenie.

– A jeśli nie mamy na nie ochoty? – zapytał Tony.

– Już zapięliśmy pasy i wyruszamy w kosmos. – Lars szturchnął łokciem masywne ramię Tony’ego. – Rozsiądź się wygodnie i jedziemy. Tak na marginesie, uważam, że uroczoko się uśmiechasz.

– Ja też! – zawtórowała mu Frances. – Masz śliczny uśmiech! Cała twarz marszczy ci się i wyglądasz jak... jak... zmięta chusteczka.

– Jezu – przeraził się Tony.

– Ty też jesteś bardzo przystojny – skomplementowała Frances Larsa. – Zabójczo.

Lars zawsze czuł sympatię do osób, które wyrażały się w samych superlatywach o jego urodzie.

– Bardzo mi miło – odparł skromnie. – Choć to nie moja zasługa. Pochodzę z rodziny, w której wszyscy faceci są zabójczo przystojni.

– Wydaje mi się, że podawanie nam narkotyków wbrew naszej woli jest niezgodne z prawem – zauważyła Jessica.

„To chyba oczywiste, głuptasie”, pomyślał Lars.

– Nie nazywaj mnie głuptasem – obruszyła się Jessica.

Lars zamarł z przerażenia. Ta dziewczyna czytała w myślach i pławiła się w forsie. Mogła przejąć kontrolę nad światem i zrealizować swój diaboliczny plan.

– Przyjechaliśmy tu na terapię dla par – przypomniała Jessica Maszy. – Za to właśnie zapłaciliśmy. Cała ta zabawa wydaje nam się bezcelowa.

– To doświadczenie wpłynie ożywczo na wasz związek – zapewniła ją Masza. – Wyruszycie w tę podróż razem. Usiądziecie obok siebie i wspólnie ją przeżyjecie. – Wskazała na poduszki ułożone w kącie sali. – Wasze smoothies zawierały wybrane tylko dla was składniki. Gruntownie zapoznaliśmy się z wynikami badań, świadczącymi o tym, że MDMA to najlepszy...

– Ecstasy – wtrąciła się Heather. – Mowa o ecstasy. Podała wam narkotyk zażywany podczas imprez. Niewiarygodne. Co roku młodzi ludzie umierają przez to świństwo, ale ciebie to nie rusza.

– Mamo, psujesz wszystkim zabawę – przywołała ją do porządku Zoe.

– Chodź – powiedział Ben do Jessiki. Wyciągnął do niej rękę. – Wyjeżdżamy – rzucił w stronę Maszy.

– Zaraz... poczekaj. – Jessica nie chwyciła go za rękę.

– Powtarzam, zażywanie MDMA pod kontrolą jest całkowicie bezpieczne. Poddano je testom klinicznym i przepisywano pacjentom z zespołem stresu pourazowego i fobiami społecznymi oraz parom zmagającym się problemami! – powiedziała Masza.

– Nie odnotowano ani jednego zgonu czy negatywnej reakcji na MDMA zażyte w odpowiedniej dawce w warunkach klinicznych.

– To nie są warunki kliniczne! – zawołała Heather.

Masza ją zignorowała.

– MDMA to tak zwany empatogen. Wywołuje empatię i pomaga się otworzyć.

– Uwierzcie jej, to naprawdę przyjemne doświadczenie – zapewnił zgromadzonych Lars.

Masza obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Nie wybieramy się do dyskoteki. Bierzecie udział w teapii pod ścisłą kontrolą. – Znow zwróciła się do Bena i Jessiki: – Sami zobaczycie, że staniecie się bardziej wrażliwi na siebie i zaczniecie akceptować swoje poglądy. Osiągniecie porozumienie, o jakim wcześniej nawet nie marzyliście.

– Przyzwolenie – odezwał się nagle Napoleon. – Moim zdaniem właśnie tego mi tu zabrakło. Wydaje mi się... Na pewno... – Uniósł palec. – Bardzo uważnie zapoznałem się z dokumentacją i jestem przekonany, że nie wyraziliśmy na to zgody.

– Kurwa, no pewnie, że nie – burknął Tony.

Jessica przygryzła długi, sztuczny paznokieć.

„Ostrożnie”, pomyślał Lars. „Bo się skaleczysz”.

– Niby czym? – zapytała go Jessica, unosząc brwi. – Może jednak zostaniemy – zwróciła się do Bena.

Ben, który wciąż stał, pokręcił głową, ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie.

– Nikt mnie nie pytał o zdanie – powtórzył. – Narkotyki są niebezpieczne. Złe. Rujną ludziom życie.

– Wiem, kochanie. – Jessica spojrzała na niego. – Może jednak warto spróbować?

– Moim zdaniem powinniście skorzystać z okazji – poradził im Lars. – Widziałem wiele niedobrych par, ale w was tkwi... – Miał odpowiednie słowo na końcu języka, ale jego mózg się zaciął.

Słowo krążyło w powietrzu między Jessicą i Benem niczym płochliwy motyl, aż wreszcie z trzepotem skrzydeł wylądowało na dłoni Tony’ego. Lars nachylił się i je odczytał.

– Potencjał! – wykrzyknął. – Uważam, że tkwi w was potencjał.

Czas zwolnił, a potem znowu popłynął normalnym rytmem.

Nagle jak spod ziemi przed Larsem wyrosła Dalila. Najwyraźniej ta spryziula potrafiła się teleportować.

– Lars, najwyższa pora się położyć – oznajmiła.

Larsowi bardzo przydałaby się umiejętność teleportacji. Chętnie zamówiłby poradnik *Teleportacja dla opornych*. Wydawało mu się, że Frances, jego nową przyjaciółkę, rozbawiłby ten dowcip, ale w tej chwili kładł ją do łóżka Yao, a ona posłusznie uniosła głowę, by opiekun mógł założyć jej maseczkę.

– Wstajemy. – Dalila wyciągnęła do niego rękę.

Lars jak zahipnotyzowany wpatrywał się w gruby kosmyk lśniących włosów, który opadł jej na ramię. Przyglądał mu się przez godzinę, a potem wyciągnął do niej dłoń.

– Wiem wszystko o nieudanych małżeństwach – oznajmił, pozwalając się podnieść.

Dalila była silna jak Wonder Woman i bardzo do niej podobna. Zachwycała Larsa, choć nie pozwolilby jej dotknąć swoich włosów.

– Za chwilę o tym pogadamy – odparła, prowadząc go do łóżka. – Możemy skupić się na tym problemie podczas terapii kierowanej.

– Nie, dziękuję, kochanie. Lata całe poświęciłem na terapię – odparł Lars. – Wiem wszystko o swojej psychice.

Wyobraził sobie grube segregatory, pełne odręcznie zapisanych stron, zawierających Wielkie Tajemnice Larsa, które dałoby się streścić w kilku nędznych akapitach.

Kiedy Lars miał dziesięć lat, jego ojciec zostawił matkę dla niejakiej Gwen. Być może istniały miłe osoby o tym imieniu, ale Lars w to wątpił. Matce przyznano śmiesznie niskie alimenty. Teraz całymi dniami patroszył bogatych facetów, którzy zostawili swoje żony. Wyobrażał sobie, że w ten sposób bez końca dokonuje bezsensownej zemsty na swoim od lat już nieżyjącym ojcu, a praca ta dawała mu emocjonalną i finansową satysfakcję.

Obsesyjnie wszystko kontrolował, bo w dzieciństwie stracił panowanie nad własnym życiem. Przywiązywał dużą wagę do pieniędzy, ponieważ brakowało mu ich, kiedy dorastał. W swoim związku nie potrafił się dostatecznie otworzyć, bo... nie miał

na to ochoty. Kochał Raya, ale nie odsłaniał się przed nim do końca, ponieważ ten spędził szczęśliwe dzieciństwo w kochającej rodzinie, a w Larsie odzywała się podświadoma chęć wymierzenia partnerowi ciosu za to, że jako dziecko dostał wszystko, o czym on mógł tylko pomarzyć. I tyle. Trudno byłoby powiedzieć coś więcej o Larsie. Przed kilkoma laty porzucił terapię na rzecz sanatoriów, a Ray zaczął trenować kolarstwo, schudł i dorobił się obsesji na punkcie sportu, jak wszyscy miejscy rowerzyści. Lars prowadził przyjemne życie.

– Takiej terapii jeszcze nie próbowałeś – powiedziała Dalila.

– Mimo wszystko dziękuję – odparł Lars uprzejmie, ale zdecydowanie. – Wystarczy mi odlot.

Ułożył się wygodnie. Wielki Tony, Smiley Hogburn, znalazł się na sąsiednim łóżku. Masza uklękła obok niego i otuliła go kocem jak przerośnięte, siwowłose dziecko. Lars spojrzał na niego tuż przed tym, zanim założyła mu maseczkę. Tony wyglądał jak ktoś, kto ku swojemu przerażeniu trafił do więzienia. Biedny Smiley. „Odpręż się i baw się dobrze, wielkoludzie”.

Dalila nachyliła się nad Larsem tak bardzo, że poczuł jej ciepły, słodki oddech.

– Na chwilę zostaniesz sam, ale wkrótce wrócę i wtedy pogadamy o tym, co ci chodzi po głowie.

– Nic mi nie chodzi po głowie – zapewnił ja Lars. – Jak zasnę, to nie dotykaj moich włosów, Dalilo.

– Bardzo zabawne. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego dowcipu. Masza i Yao też tu będą. Nie zostawimy cię samego. Jesteś w dobrych rękach, Lars. Jeśli czegoś ci potrzeba, wystarczy poprosić.

– Cudownie – odparł Lars.

Dalila założyła mu maseczkę i słuchawki.

– Patrz w gwiazdy – poleciała mu.

Ze słuchawek wprost do mózgu Larsa popłynęła kaskada muzyki klasycznej. Słyszał każdy dźwięk z osobna, od początku do końca, z cudowną wyrazistością. To było niezwykle.

Mały, ciemnowłosy chłopiec o umorusanej twarzy powiedział do Larsa:

– Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

– Nie, dzięki, kolego – odparł Lars. – Teraz jestem zajęty.

Rozpoznał tego dzieciaka. To był on sam. Mały Lars miał mu coś do powiedzenia.

– Proszę cię – powiedział chłopiec, biorąc Larsa za rękę. – Muszę ci coś pokazać.

– Może później – odparł Lars, puszcżając dłoń chłopca. – Teraz jestem zajęty. Idź się pobawić.

„Zapamiętaj to”, pomyślał. „W szczegółach”. Postanowił, że po powrocie do domu opowie o wszystkim Rayowi. Na pewno by go to zaciekaWiło. Interesowało go wszystko, co przydarzało się Larsowi. Jego twarz była szcżera, otwarta i pełna nadziei.

Ray nie próbował mu niczego zabrać. Chciał tylko jego miłości.

Na chwilę ta prosta myśl całkowicie go zaabsorbowała, zawisła w jego świadomości i była odpowiedzią na wszystkie pytania, kluczem do wszystkich zamków, ale nagle jego umysł eksplodował miliardem purpurowych płatków.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zoe

Ojciec Zoe nie chciał się położyć i nie dał sobie założyć słuchawek, choć takie były zasady, a ona nigdy wcześniej nie widziała, by ojciec zlekceważył jakąś regułę, więc ta sytuacja wydała jej się niezwykle zabawna.

Patrząc, jak Masza próbuje przekonać Napoleona, by się położył, Zoe po kolei dotknęła kciuki opuszkami wszystkich palców. Jej matka wykrzykiwała:

– To nielegalne... Skandal... W głowie się nie mieści!

Matka zmieniała się w ognistą kulę gniewu. Zabawny widok. Jak to mawiał Zach, kiedy mama się wściekała? „Matka pieni się jak mydło”.

Zamknęła oczy. „Matka w tej chwili pieni się jak mydło”.

„Myślałem, że się do mnie nie odzywasz”. W jej uszach zadźwięczał jego głos, donośny jak dzwon.

„Nie odzywam. Nienawidzę cię. Nie mogę cię znieść”.

„Ja ciebie też. Czemu rozpowiadasz, że niewiele nas łączyło?”

„Bo to prawda. Nie rozmawialiśmy ze sobą przez miesiąc przed twoją śmiercią”.

„Bo zachowywałaś się jak suka”.

„Nie, bo ty zachowywałeś się jak ostatni frajer”.

„Odpierdol się”.

„Sam się odpierdol. Ściągnęłam twój generator przekleństw szekspirowskich”.

„Wiem. Zabawny, prawda? Podoba ci się? Ty swarliwa, rozsierzona harpio”.

„I zniszczyłam twoją gitarę elektryczną”.

„Widziałem. Rozwaliłaś ją o ścianę. Ty humorzasta, tchórzliwa lubieżnico”.

„Jestem na ciebie wściekła”.

„Wiem”.

„Zrobiłeś to celowo. Żeby się zemścić. I wygrać”.

„Nie do końca. Nawet nie pamiętam, o co się pokłóciliśmy”.

„Tęsknię za tobą każdego dnia, Zach. Każdego dnia”.

„Wiem”.

„Nigdy nie będę normalna. Z twojego powodu. Przez ciebie jestem NIENORMALNA, a to skazuje mnie na samotność”.

„Już wcześniej odstawałaś od normy”.

„Bardzo zabawne”.

„Chyba rodzice nas wołają”.

„Co?”

Zoe otworzyła oczy i zobaczyła studio jogi oddalone o milion kilometrów, skąd rodzice, mającące w oddali punkciki, przywoływali ją do siebie.

– Usiądź z nami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Frances

Twarz Frances muskały miękkie, lodowate płatki śniegu, kiedy z Gillian, swoją przyjaciółką, przelatywała przez rozgwieżdżone niebo w saniach zaprzężonych w białe konie.

Na kolanach trzymała stos książek. Wszystkie jej autorstwa, w tym przekłady. Były otwarte u góry jak pudełka z płatkami śniadaniowymi. Frances zanurzała dłoń w każdej nich i garściami rozrzucała na niebie słowa.

– Trafiony! – zawołał Sol z tylnego siedzenia, na którym razem z Henrym palili papierosy i zestrzeliwali z procy zbędne przymiotniki.

– Zostaw je w spokoju – warknęła Frances.

– Przysłówki też wyeliminujemy – zaproponował radośnie Sol.

– Nawet te potrzebne do rymu? – zapytał przyjaźnie Henry.

– To rym niedokładny – zauważyła Frances.

– To tylko słowa, Frances – uspokoiła ją Gillian.

– Co ty nie powiesz, Gillian – zadrwił Sol.

– Zamknij się – odwarknęła Gillian.

– Nigdy cię nie lubiła – powiedziała Frances do Sola.

A on na to:

– Takie kobiety jak ona w głębi duszy pragną samca alfa.

Frances posłała mu czuły uśmiech. Wprawdzie był egoistą, ale także seksownym.

– Byłeś moim pierwszym mężem.

– To prawda – zgodził się z nią Sol. – A ty moją drugą żoną.

– Drugie żony są młode i śliczne – powiedziała Frances. – Podobała mi się ta rola.
– A tak w ogóle, to Gillian mnie kiedyś pocałowała – oznajmił Henry. – Na czyichś trzydziestych urodzinach.

– Bo się upiła – dogryzła mu Frances. – Nie wyobrażaj sobie za wiele.

– Byłam pijana – przyznała Gillian. – Do śmierci miałam wyrzuty sumienia z powodu tej sytuacji.

– Henry, byłeś moim drugim mężem – powiedziała Frances. – A ja twoją pierwszą żoną. Czyli nie najpiękniejszą.

– Czemu co chwilę zwracasz się do swoich mężów po imieniu? – zapytała Gillian.

– Czytelnicy się niecierpliwią, jak postacie zaczynają im się mylić – wyjaśniła Frances. – Trzeba im pomóc. Żadne z nas nie młodnieje.

– Ale to nie jest powieść – zauważyła Gillian.

– A właśnie że jest. Jeszcze się o tym przekonasz – powiedziała Frances. – A ja, oczywiście, jestem główną bohaterką.

– Mam wrażenie, że ta postawna Rosjanka daje ci niezły wycisk.

– Nieprawda – obruszyła się Frances. – To ja jestem górą. Tylko jeszcze nie zdecydowałam, kto będzie wybrankiem mojego serca.

– O Boże, to oczywiste – powiedziała Gillian. – Przestań mi mydlić oczy. Wiedziałaś o tym od pierwszego dnia, prawda? – wykrzyczała w niebo.

– Gillian! Próbujesz zwrócić się wprost do czytelnika? – Frances była w szoku.

– Wcale nie – odparła Gillian ze skruszoną miną. – Na pewno nikt nie zauważył.

– Ale tandeta – sarknęła Frances. – Tanie chwytły.

Ośmieliła się spojrzeć w górę, gdzie zamiast gwiazd zobaczyła miliony rozbieganych oczu, szukających dowodu na to, że w swoich powieściach dopuściła się jakiegoś karygodnego wykroczenia: seksizmu, ageizmu, rasizmu, tokenizmu, ableizmu, plagiatu, zawłaszczenia kulturowego, ośmieszyła otyłych, brzydkich, rozwiązłych, wegetarian i agentów nieruchomości. Z nieba zagrzmiął głos Wszechmogącego Internetu:

– Wstydz się!

Frances zwiesiła głowę.

– To tylko fikcja literacka – wyszeptała.

– Właśnie to próbuję ci wytłumaczyć – oznajmiła Gillian.

Rozwleczone jak babie lato zdanie z misternymi metaforami, tak długie, zawile i niejasne, że z pewnością posiadało głęboki sens, owinęło się wokół szyi Frances, ale ponieważ nie przypadło jej do gustu, zerwała je z siebie i cisnęła w niebo, gdzie unosiło się swobodnie do chwili, aż nieśmiały autor, w drodze na festiwal po nagrodę, pochwycił je i zrobił z niego knebel dla jednej ze swoich pięknych ofiar. Dodało uroku trupowi. Siwowłosi krytycy z ulgą bili brawo, wdzięczni, że nie skończyło w plażowym czytadle.

– Czy młodzi czytelnicy zrozumieją sformułowanie „mydlić oczy”? – zapytała Jo, która tuż obok redagowała manuskrypt. Siedziała okrakiem na unoszącym się w powietrzu, wielkim ołówku. – Czy to aby nie ableizm?

– Co ciekawe, jestem postacią fikcyjną – oświadczył jej oszust matrymonialny z tyłu, gdzie rozsiadł się między Henrym i Solem, z rękami na ich ramionach. – A kochała mnie bardziej niż was.

– Jesteś tylko pożałowania godnym ściemniaczem – utarł mu nosa Sol. – Nawet się nie spotkaliście, o seksie nie wspominając, ty lachociągu!

– !!! – krzyknęła Jo.

– Też tak uważam. Trzeba to skreślić – zawyrokowała Gillian. – Moja matka czyta twoje książki.

– Jako jej kochający byli mężowie mamy obowiązek stłuc cię na kwaśne jabłko – powiedział Henry do Paula Drabble’a. – No i zgasilem ściemniacza.

– Całe życie to ściema – wtrąciła się Gillian. – Jedna wielka iluzja.

– Zgasilem ściemniacza – zarechotał Sol. – Niezłe.

Przybił z Henrym żółwika.

– Jesteście obaj o wiele za starzy na przybijanie żółwika – westchnęła Frances, ale jej byli mężowie doskonale się bawili. Zawsze wiedziała, że przypadliby sobie do gustu. Powinna była obu zaprosić na swoje pięćdziesiąte urodziny.

Uświadomiła sobie, że Paul Drabble zniknął, jakby nigdy nic. Nie zostawił po sobie bólu. Okazało się, że nie znaczył nic. Zupełnie nic.

- Został mi po nim tylko kredyt – powiedziała do Gillian.
- Chyba debet, idiotko – poprawiła ją Gillian.
- Debet, kredyt. Jak zwał, tak zwał – odparła Frances. – Skończyłam z nim.
- Znaczyłem dla ciebie o wiele więcej – odezwał się chłopięcy głos.

To był Ari, syn Paula Drabble’a. Frances się nie odwróciła. Nie chciała na niego patrzeć.

– Myślałam, że zostanę jego matką – wyznała. – Tylko ten jeden raz w życiu wzięłam pod uwagę macierzyństwo.

– Wiem – odparła Gillian.

– Tak mi wstyd – wyszeptała Frances. – Tak strasznie mi wstyd.

– Straciłaś coś ważnego, Frances – powiedziała Gillian. – Masz prawo czuć się rozżalona, nawet jeśli ci wstyd.

Śnieg padał w ciszy przez wiele dni, kiedy Frances próbowała pogodzić się ze stratą wyimaginowanego pasierba, a Gillian siedziała obok niej ze współczująco zwieszoną głową, aż obie zamarzyły i przysypał je śnieg.

– A co z moim tatą? – zapytała Frances wiosną, kiedy śnieg stopniał, roztańczyły się motyle i rozbrzęczały pszczoły. – Dlaczego nie ma go z nami? To ja piszę tę historię, nie ty, Gillian. Sprowadźmy go tu.

– Jestem z wami – odezwał się jej tato z tylnego siedzenia sań.

Był sam, w lnianym stroju khaki, który miał na sobie podczas śniadania bożonarodzeniowego w 1973 roku, co zostało uwiecznione na fotografii stojącej w ramce na biurku Frances. Odwróciła się i wzięła go za rękę.

– Cześć, tato.

– Zawsze miałaś bzika na punkcie chłopców. – Ojciec pokręcił głową. Frances wyczuła zapach wody po goleniu Old Spice.

– Za wcześnie cię straciłam – powiedziała. – Dlatego wybierałam nieodpowiednich mężczyzn. Próbowałam cię zastąpić.

– Sztampa? – zapytała Jo, jadąc na oklep na narowistym ołówku, który właśnie wierzgnął. – Ej, spokojnie, kolego!

– Przestań mnie redagować – ofuknęła ją Frances. – Przeszłaś na emeryturę. Zajmij

się wnukami.

– Nawet nie udawaj, że nie pozalaćtwiałaś wszystkich spraw z ojcem. To nieprawda – skarciła ją Gillian. – Weź odpowiedzialność za swoje czyny.

Frances uszczypnęła ją w ramię.

– Aua! – zakrzyknęła Gillian.

– Przepraszam. Nie sądziłam, że cię to zaboli. Przecież tu wszystko jest na niby – tłumaczyła się Frances. – To tylko opowieść, którą zmyślam na poczekaniu.

– Jeśli o tym mowa, to zawsze mi się wydawało, że mogłabyś popracować nad konstrukcją intrygi – powiedziała Gillian. – To samo można powiedzieć o twoim życiu. Po co zmieniasz mężów jak rękawiczki? Może powinnaś raczej zaplanować z wyprzedzeniem ostatni rozdział. Za życia nie miałam odwagi powiedzieć tego na głos.

– Tak naprawdę w kółko to powtarzałaś – powiedziała Frances.

– Zawsze zachowujesz się jak bohaterki swoich powieści. Rzucasz się w ramiona kolejnemu mężczyźnie, którego podsuwa ci narrator.

– To też mi powiedziałaś!

– Naprawdę? – zdziwiła się Gillian. – To bardzo nieuprzejmie z mojej strony.

– Też tak uważam – odparła Frances.

– Mogłam być miłsza – zmitygowała się Gillian. – Może to objaw lekkiego autyzmu.

– Niech ci się nie wydaje, że twoja postać rozwinie się teraz, kiedy nie żyjesz – oznajmiła Frances. – Już nic nie zdziałasz. Skupmy się raczej na rozbudowaniu mojej postaci.

– To łatwizna. Jesteś księżniczką – stwierdziła Gillian. – Omdlewającą księżniczką czekającą na kolejnego księcia.

– Potrafię zabić emu – odcięła się Frances.

– To się jeszcze okaże, Frances, prawda? Jeszcze się przekonamy, czy potrafisz zabić emu.

– Może. – Frances patrzyła, jak po rozgwieżdżonym niebie przebiega żywe emu, niezdolne do lotu. – Bardzo za tobą tęsknię, Gillian.

– Dzięki – odparła Gillian. – Mogłabym powiedzieć o tobie to samo, ale nie byłaby

to do końca prawda, bo obecnie odczuwam nieustającą rozkosz.

– Nic dziwnego. To takie piękne doznanie – powiedziała Frances. – Trochę jak obserwowanie zorzy polarnej, prawda?

– Zawsze jest pod ręką – odparła Gillian.

– Co? Zorza? Wcale nie. Ellen zapłaciła fortunę i nic nie zobaczyła.

– To, Frances. To piękno. Jest niedaleko, po drugiej stronie. Wystarczy się wyciszyć. Uspokoić. Zamilknąć. Przestać pragnąć. Po prostu być. Usłyszysz je albo poczujesz. Zamknij oczy, a je zobaczysz.

– Ciekawe – powiedziała Frances. – Opowiadałam ci o tej recenzji?

– Frances, zapomnij o niej!

Ojej. Gillian była trochę zbyt nerwowa jak na kogoś, kto nie robi nic prócz leżenia i napawania się zachwycającym pięknem życia pozagrobowego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Yao

– Gdzie jesteś, Frances?

Usiadł na podłodze obok łóżka polowego i zdjął jej słuchawki, żeby mogła go usłyszeć.

– W opowieści, Yao – odparła. Maską zasłaniała jej oczy, ale jej twarz zdradzała mnóstwo emocji. – Piszę powieść i jednocześnie jestem jej bohaterką. Całkiem fajna historia. Trochę w stylu realizmu magicznego, w którym nigdy wcześniej nie pisałam. Podoba mi się! Nie wszystko musi mieć sens.

– Okej – powiedział Yao. – Kto jeszcze pojawia się w tej powieści?

– Moja przyjaciółka Gillian. Umarła we śnie, w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Nazywa się to zespołem nagłej śmierci sercowej. Wydawało mi się, że to dotyka tylko niemowląt. Nawet nie wiedziałam, że to możliwe.

– Czy Gillian ma ci coś do powiedzenia?

– Niespecjalnie. Opowiedziałam jej o tej recenzji.

– Frances, zapomnij o niej!

Yao wiedział, że nie zachowuje się w pełni profesjonalnie, ale nie potrafił ukryć frustracji. Frances bez końca opowiadała o tym artykule. Pisarze powinni być przyzwyczajeni do złych recenzji. Czy nie na tym polegało ryzyko w tym zawodzie?

„Popracuj jako ratownik medyczny. Zobaczmy, jak ci pójdzie, kiedy jakiś psychol przystawi ci nóż do gardła, gdy ty będziesz próbowała uratować jego żonę, wiedząc, że to niemożliwe, bo ona już nie żyje. Spróbuj, Frances”.

Frances zdjęła maskę i spojrzała na Yao. Miała komicznie zmierzwiłone włosy, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– Dla mnie *linguine* z owocami morza. Dziękuję bardzo.

Zamknęła wyobrażone menu, włożyła z powrotem maseczkę i zanuciła *Amazing Grace*.

Yao, mierząc jej tętno, przypomniał sobie, jak dawno temu, jeszcze na studiach, przez całą noc po imprezie w cudzym pokoju opiekował się pijaną dziewczyną. Całymi godzinami wysłuchiwał jej bełkotliwych wynurzeń, pilnując, by nie zadławiła się własnymi wymiocinami, aż wreszcie zasnął i obudził się o świcie, z twarzą tuż przy jej twarzy, czując jej cuchnący oddech.

– Wynoś się – warknęła.

– Nawet cię nie dotknąłem – bronił się Yao. – Do niczego nie doszło.

– Wypierdalaj – rzuciła.

Poczuł się tak, jakby naprawdę ją wykorzystał, jakby zgwałcił nieprzytomną dziewczynę. Niewiele znaczyło to, że nigdy by czegoś takiego nie zrobił i chciał pracować, ratując ludziom życie. W tym momencie stał się reprezentantem wszystkich facetów i musiał wziąć na siebie winę za ich grzechy.

Czuwanie przy Frances podczas jej psychodelicznej podróży terapeutycznej niewiele miało wspólnego z tamtą sytuacją. A jednak... Yao czuł się trochę tak jak wtedy, gdy zajmował się pijaną dziewczyną.

– Od dawna nie uprawiałam seksu – wyznała Frances. W kącikach jej ust zebrały się białe kropelki śliny.

Yao zrobiło się trochę niedobrze.

– To fatalnie – odparł.

Spojrzał na Maszę, która siedziała przy Benie i Jessice, a cała trójka rzucała na ścianę wielkie cienie. Oni coś opowiadali, a ona im przytakiwała. Najwyraźniej ich sesja terapeutyczna przebiegała zgodnie z planem. Dalila rozmawiała z Larsem, który już usiadł na łóżku i mówił do niej spokojnym tonem, jakby oboje byli gośćmi na przyjęciu.

Wszyscy pacjenci Yao czuli się dobrze. Na wszelki wypadek miał pod ręką wózek medyczny. Uważnie monitorował ich zachowanie. Nie było się czym martwić, a jednak z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wszystkie jego zmysły krzyczały tylko jedno:

„Uciekaj stąd”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Tony

Tony biegł przez bezkresną, szmaragdową murawę, trzymając w rękach piłkę futbolową o dziwnym kształcie, ważącą tyle, co trzy cegły. Bolały go ręce. Normalne piłki były dużo lepsze.

Obok biegł Banjo, który znowu był szczeniakiem i z dziecięcą beztroską brykał radośnie, płacząc się Tony'emu między nogami i machając ogonem.

Tony zdał sobie sprawę, że jeśli chce znowu być szczęśliwy, wystarczy, by kopnięciem posłał tę dziwną, niekształtną piłkę do bramki. Futbol symbolizował wszystko, czego Tony w sobie nienawidził: jego błędy, porażki i wstyd.

– Siad! – rozkazał psu.

Banjo usiadł. Wpatrywał się w swojego pana ufnymi, brązowymi oczami.

– Waruj – zakomenderował Tony.

Banjo wykonał polecenie. Merdał ogonem w trawie.

Tony zobaczył białe słupki, górujące nad nim niczym dwa wieżowce.

Uniósł stopę i kopnął piłkę, która idealnym łukiem przesybowała po czystym, błękitnym niebie. Od razu wiedział, że trafi. Poczul się jak na rozpędzonej kolejce górskiej w wesołym miasteczku. Nic nie mogło się równać z tym doznaniem. Nawet seks. Od tak dawna tego nie czuł.

Tłum wydał gromki okrzyk, kiedy piłka przeleciała między słupkami, a euforia niczym paliwo rakietowe dała Tony'emu moc, dzięki której wzniósł się ku niebu z triumfalnie wyciągniętą pięścią, jak superbohater.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Carmel

Carmel siedziała na pluszowej kanapie w ekskluzywnym butikach specjalizującym się w najmodniejszych, designerskich ciałach.

Carmel zdjęła swoje ciało. Cudownie się odprężyła. Nie miała ud, brzucha, pupy, bicepsów, tricepsów, cellulitu, kurzych łapek, bruzd na czole, blizny po cesarce, przebarwień na skórze, zmarszczek, jakichkolwiek oznak starzenia się ani suchych, siwiejących włosów o rozdławających się końcówkach. Nie musiała niczego depilować, farbować, poprawiać, wydłużać, rzeźbić, ukrywać ani tuszować.

Była po prostu sobą, tylko bez ciała.

„Pokaż mi swoją pierwotną twarz, sprzed narodzin swoich rodziców”.

Jej córki siedziały z nią na kanapie, czekając, aż mama wybierze nową sylwetkę. W milczeniu czytały stosowne do ich wieku książeczki i jadły świeże owoce. Żadnych telefonów. Żadnych słodkich przekąsek. Żadnych kłótni. Carmel była najlepszą matką w historii macierzyństwa.

– Znajdziemy ci nowe, boskie ciało na nową, cudowną drogę życia – oznajmiła Masza, kierowniczka sklepu, ubrana jak księżniczka z bajki Disneya. Przesunęła palcem po ciałach wiszących na wieszakach w równym rzędku. – Nie, nie, może... och, to jest ładne! – Przerzuciła sobie jedno przez ramię. – W tym wyglądałabyś ślicznie. To ostatni krzyk mody. I bardzo dobrze leży!

To było ciało Soni. Lśniące blond włosy. Wąska talia.

– Nie podobają mi się kostki – oznajmiła Carmel. – Wolałabym węższe. Poza tym dokładnie tak samo wygląda nowa dziewczyna mojego męża.

– W takim razie je odkładam! – powiedziała Masza. Odwiesiła je i wybrała inne. –

A to? Rzuca się w oczy. Będziesz w nim zwracać uwagę.

To było ciało Maszy.

– Jest wspaniałe, ale prawdę powiedziawszy, nie sądzę, bym dobrze się w nim czuła – odparła Carmel. – Jak dla mnie jest nieco zbyt teatralne.

Jej córka, Lulu, odłożyła książeczkę. Miała resztki brzoskwini wokół ust. Carmel już chciała wytrzeć jej buzię, ale przypomniała sobie, że nie ma palców. Czasem się przydają.

– Mamusiu, to twoje – powiedziała Lulu, wskazując na ciało Carmel niedbale zawieszony na klamce.

– Kiedyś je nosiłam, kochanie – wytłumaczyła jej Carmel. – Mamusia potrzebuje nowego.

– Ale ono jest twoje. – Lulu jak zawsze była nieprzejednana.

Masza przyjrzała mu się.

– Wygląda na bardzo wygodne – orzekła.

– Mogłybyśmy przynajmniej odrobinę je zwięzić? – zapytała Carmel.

– Oczywiście – odparła Masza z uśmiechem. – Troszkę je zmodyfikujemy. Proszę. Przymierz.

Carmel z westchnieniem włożyła swoje poprzednie ciało.

– Całkiem nieźle się w nim prezentujesz – zawyrokowała Masza. – Wystarczy poprawić tu i ówdzie.

– Podobają mi kostki – powiedziała Carmel. – A wy co sądzicie, dziewczynki?

Jej córki rzuciły się na nią. Zachwyciły ją błękitne żyły na jej własnych dłoniach, kiedy głaskała główki córeczek, miarowe bicie serca i siła ramion, którymi obejmowała dziewczynki siedzące jej na kolanach.

– Wezmę to – zdecydowała.

– Pokochasz je – zapewniła ją Masza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Masza

„Mój Boże, wszystko idzie jak po maśle”, pomyślała Masza. Terapia przebiegała zgodnie z tym, co przewidziały badania naukowe. Carmel Schneider właśnie dokonała przełomu w relacji ze swoim ciałem. W pewnym momencie próbowała się rozebrać, ale Masza ją powstrzymała i przeprowadziła z nią niezwykle owocną rozmowę o akceptacji swojego wyglądu.

Sukces był namacalny, jakby Masza trzymała w rękach połyskujące złotem trofeum.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Napoleon

Napoleon siedział oparty o ścianę studia, przyglądając się, jak podłoga oddycha miarowo niczym śpiące, bezbronne i rozbijające niemowlę.

„To samo widziałem poprzednio”, przypomniał sobie. To było tylko złudzenie optyczne. Ściany i podłogi nie oddychały. A co, jeśli się mylił? Dlaczego ten widok rozdzierał mu serce?

W tym obskurnym, zadymionym klubie ściany też oddychały, a Napoleonowi wydawało się, że znalazł się w ciele ameby mknącej w przestrzeni kosmicznej. Wtedy uważał to za całkiem logiczne. Ameba połknęła go jak wieloryb Jonasza, a Napoleon utknął w niej na tysiąc lat.

Miał dwadzieścia lat i wydawało mu się, że usmażył mu się mózg, z którego był tak dumny, a przez kilka kolejnych, ponurych dni, próbując dojść do siebie, powtarzał w głowie: „Nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy więcej”.

No i proszę, znowu wpadł w tę samą pułapkę.

„Nie połknęła mnie żadna ameba”, powtarzał sobie. „Jestem w sanatorium. Podano mi narkotyki bez mojej zgody i teraz muszę przeczekać najgorsze”.

Przynajmniej teraz znajdował się w całkiem ładnym studiu, gdzie unosił się przyjemny zapach i paliły się świece, a nie w zatłoczonym barze, w którym zewsząd otaczały go wrogie twarze.

Chwycił dziewczyny za ręce, Heather po lewej, Zoe po prawej stronie. Nie położył się na łóżku i nie włożył maseczki i słuchawek. Wiedział, że zachowa kontrolę nad umysłem, jeśli usiądzie prosto z otwartymi oczami.

Masza udawała, że nie ma nic przeciwko temu, ale Napoleon doskonale wyczuwał

jej irytację, bo nie trzymał się procedury gwarantującej „optymalne rezultaty”.

Uchwycił nawet moment, w którym dała za wygraną. Jakby czytał jej w myślach. „Odpuść sobie”, pomyślała. Napoleon często musiał sobie odpuszczać podczas potyczek z uczniami. Do perfekcji doprowadził tę umiejętność. Przydawała się również w kontaktach z jego dziećmi.

– Odpuść sobie – szepnął. – Nie warto obstawać przy swoim.

– Dobrze wiem, kiedy warto obstawać przy swoim, a kiedy nie. Nie spocznę, póki ta kobieta nie wyląduje za kratkami – oświadczyła Heather.

Nie spuszczała wzroku z Maszy, która chodziła od jednego łóżka do drugiego i rozmawiała z gośćmi, wierzchem dłoni dotykając ich czół.

– Tylko na nią spójrz, paraduje sobie w najlepsze, jak pieprzona Florence Nightingale – wściekała się Heather. – Terapia psychodelikami? Niezła ściema.

Napoleon zaczął podejrzewać żonę o zazdrość zawodową.

– Widzisz, jak ściany oddychają? – zapytał Heather, by odwrócić jej uwagę.

– To tylko efekt zażycia narkotyku – odparła.

– Tak, wiem, kochanie – powiedział Napoleon. – Zastanawiałem się tylko, czy na ciebie podziały tak samo.

– Ja widzę, jak ściany oddychają, tato – odezwała się Zoe. – Jak ryba. Niesamowite. A widzisz kolory? – Poruszała rękami tak, jakby rozgarniała wodę.

– Tak! – zachwycił się Napoleon. – Fosforyzują.

– Świetnie. Tatuś i córeczka naćpani nawiązują nić porozumienia – oburzyła się Heather.

Napoleon zorientował się, że żona jest w podłym nastroju.

– Zach pękałby ze śmiechu, gdybyśmy we czwórkę się naćpali – powiedziała Zoe.

– On tu jest – powiedział Napoleon. – Cześć, Zach.

– Cześć, tato.

Właściwie nie zdziwiło go to, że Zach siedzi przed nim w szortach i bez koszulki. Nigdy jej nie wkładał. Napoleon poczuł, że wszystko wróciło do normy, znowu byli razem, jak najzwyczajniejsza w świecie rodzina, i nie musieli obawiać się o siebie nawzajem.

- Widzicie go? – zapytał Napoleon.
 - Tak – odparła Zoe.
 - Ja też – powiedziała Heather, tłumiąc płacz.
 - Twoja kolej wynieść śmieci, Zach – przypomniała bratu Zoe.
- Zach pokazał jej środkowy palec, a Napoleon głośno się zaśmiał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Frances

Frances usiadła na łóżku polowym, zdjęła słuchawki i zsunęła maseczkę, która zatrzymała się na jej szyi.

– Dziękuję – powiedziała do siedzącej obok Dalili, której uśmiech można by określić jako cokolwiek protekcyjny. – To było cudowne. Co za doświadczenie. Tak wiele się dowiedziałam. Ile ci jestem winna?

– Chyba jeszcze nie skończyliśmy – odparła Dalila.

Frances rozejrzała się po pomieszczeniu.

Lars i Tony zajmowali sąsiednie łóżka. Hogburn miał przechyloną głowę i stopy ułożone palcami na zewnątrz. Natomiast Lars, o profilu jak grecki bóg, siedział z nogami skrzyżowanymi w kostkach, jakby drzemał w pociągu, słuchając podcastu.

Ben i Jessica całowali się w kącie jak młodzi kochankowie, którzy dopiero co odkrywają rozkosze obcowania ze sobą i mają przed sobą całą wieczność. Powoli, z bezgranicznym uwielbieniem pieścili swoje ciała.

– Mój Boże – zdumiała się Frances. – Niektórzy świetnie się bawią.

Powiodła wzrokiem po sali.

Carmel leżała na łóżku, a jej gęste, czarne włosy rozrzucone na poduszce przypominały wodorosty. Podniosła ręce i poruszyła palcami, jakby próbowała się im przyjrzeć, choć jej oczy zakrywała maska.

Napoleon, Heather i Zoe siedzieli obok siebie, oparci o ścianę jak podróżnicy, którzy utknęli na lotnisku. Przed nimi siedział chłopiec. Pokazał Zoe środkowy palec.

– Kto to? – zapytała Frances. – Kim jest ten chłopak bez koszulki?

– Nie ma tu żadnego chłopaka – odparła Dalila, sięgając po słuchawki Frances.

– Śmieje się – powiedziała Frances. – Bezskutecznie próbowała chwycić Dalilę za rękę, by powstrzymać ją przed ponownym założeniem jej maseczki. – Podejdę i się przywitam.

– Zostań ze mną, Frances – poprosiła ją Dalila.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Heather

Heather skupiła się na swoim oddechu. Uparcie starała się ochronić choćby małą część swojego umysłu i zachować trzeźwość, by móc monitorować efekty zażycia psylocybiny i LSD. To było jedno rozświetlone okno w wieżowcu, w którym zgasły wszystkie lampy.

Na przykład wiedziała, że w rzeczywistości jej syn gnije w ziemi. Tak naprawdę nie było go z nimi. A jednak wydawał się realny, a kiedy go dotknęła, poczuła pod palcami jego jędrne, gładkie i opalone ciało. Szybko łąpał kolor i zapominał o używaniu kremu z filtrem, choć do znudzenia go o to prosiła.

– Nie odchodź, Zach. – Napoleon poderwał się i wyciągnął ręce do syna.

– On nigdzie nie idzie, tato – uspokoiła go Zoe. – Wciąż jest z nami. – Wskazała palcem na brata.

– Mój synek – łkał Napoleon. Zadrżał konwulsyjnie. – Nie ma go. – Z jego ust wyrwał się gardłowy, niekontrolowany płacz. – Mój synek, mój synek, mój synek.

– Przestań – skarciła go Heather. To był niewłaściwy czas i niewłaściwe miejsce.

Tak działały narkotyki. Nie wszyscy reagują na nie tak samo. Niektóre kobiety podczas porodu odlatywały, zaciągnąwszy się jeden raz podtlenkiem azotu. Inne darły się na Heather, że ból nie przechodzi.

Napoleon zawsze był podatny na wszelkie substancje. Nawet kawa działała na niego piorunująco. Po jednej małej czarnej zachowywał się jak po dopalaczu. Otumaniały go nawet dostępne bez recepty leki przeciwbólowe. Tylko raz, rok przed śmiercią Zacha, podano mu znieczulenie ogólne podczas rekonstrukcji kolana, a po wybudzeniu przeraził biedną, młodą pielęgniarkę, kiedy zaczął rzekomo „mówić językami”

o rajskim ogrodzie, choć nie wiadomo, jakim cudem go zrozumiała, skoro „mówił językami”.

– Trafiłeś na poliglotkę – skwitował sprawę Zach, co do łez rozbawiło Zoe, a Heather nie zaznała w życiu większej przyjemności niż widok swoich dzieci, które doskonale się bawią w swoim towarzystwie.

„Nie spuszczaaj męża z oka”, pomyślała. „Obserwuj go”. Wyteżając wzrok i zaciskając zęby, starała się utrzymać koncentrację, ale poczuła, że mimowolnie i nieuchronnie odpływa na fali wspomnień.

Idzie ulicą, pchając przed sobą duży wózek z dwoma niemowlętami, i chyba nigdy nie dotrze do sklepu, bo co krok zatrzymuje ją jakaś staruszka, żeby wyrazić swój zachwyt.

Jako mała dziewczynka wpatruje się w brzuch mamy, marząc o tym, by zaczął rosnąć i wyszedł z niego braciszek lub siostrzyczka, ale marzenia nigdy się nie spełniają, a Heather obiecuje sobie, że jak dorośnie, urodzi więcej niż jedno dziecko, by to pierwsze nie musiało dorastać samotnie.

Otwiera drzwi do pokoju syna, bo właśnie zaplanowała wielkie pranie i chce zebrać z podłogi hałdę jego ubrań, a całe jej ciało opiera się temu, co właśnie zobaczyła, i myśli sobie, właśnie zaplanowałam wielkie pranie, nie rób mi tego, Zach, chcę tylko wyprać brudne rzeczy i żyć dalej, tak jak do tej pory, pozwól mi, ale już słyszy własny krzyk, bo wie, że jest za późno, nic się nie da zrobić, a jej życie nieodwracalnie się zmieniło.

Trwa pogrzeb jej syna, jej córka wygłasza mowę pożegnalną, a potem wszyscy dotykają Heather, ściskają ją, każdy chce położyć na niej łapę, to obrzydliwe, w kółko powtarzają, Och, pewnie jesteś taka dumna z Zoe, tak pięknie przemawiała, jakby przyszli na pieprzony szkolny konkurs retoryczny, a nie na pogrzeb jej syna, nie widzicie, że moja córka została teraz sama, jak ma żyć bez brata, zawsze był u jej boku, czy to naprawdę aż tak istotne, że pięknie przemawiała, ledwie trzyma się na nogach, ojciec musi ją obejmować, mojej córce nawet chodzenie sprawia trudność.

Obserwuje, jak jedenastomiesięczna Zoe stawia pierwsze kroki, a Zach, któremu nigdy nie przyszło to do głowy, jest w szoku, nie wierzy w to, co widzi, siedzi na dywanie z wyciągniętymi, pulchnymi nóżkami i szeroko otwartymi oczami patrzy na siostrzyczkę,

jakby myślał sobie: Co ona WYPRAWIA?, a Heather i Napoleon śmieją się, bo może czasem marzenia się spełniają, udało im się stworzyć rodzinę, jakiej Heather nigdy nie miała, z jaką nigdy nie miała do czynienia, o jakiej nigdy nie marzyła, to cudowna, radosna chwila, oto jej życie, ciąg cudownych, radosnych chwil, jedna po drugiej, jak koraliki nanizane na nieskończenie długi sznur.

Tylko że wszystko się kończy.

Siedzi sama w pokoju Zacha i zalewa się łzami, wiedząc, że Napoleon i Zoe też płaczą samotnie, każde w innym pokoju, i przychodzi jej do głowy, że przecież rodzina powinna jednoczyć się w żałobie, a oni postępują niewłaściwie, więc żeby zająć czymś ręce, po raz setny przeszukuje szuflady Zacha, dobrze wiedząc, że niczego nie znajdzie, żadnego listu pożegnalnego z wyjaśnieniami, wie doskonale, co jest w środku, tylko że tym razem natrafia na coś, co wcześniej przeoczyła.

Wróciła.

Napoleon wciąż płacze, kołysząc się w przód i w tył.

Odpłynęła na sekundę, godzinę czy rok? Nie wiedziała.

– Jak się czuje rodzina Marconich? – Przed nimi siedziała Masza. – Czy korzystając z tej okazji, możemy rozpocząć sesję terapii rodzinnej poświęconą waszej stracie?

Masza miała mnóstwo rąk i nóg, ale Heather nie przyjmowała tego do wiadomości, bo wiedziała, że to złudzenie, ludzie tak nie wyglądają. Żadne z dzieci, które urodziły się w jej obecności, nie posiadało tylu kończyn.

– Napoleonie, kiedy powiedziałeś, że to twoja wina, chodziło ci o śmierć Zacha? – zapytała Masza z fałszywą troską w głosie.

Heather mimowolnie wysyczała:

– Jezu, ja pierdolę.

Była wężem z rozdwojonym językiem, który mógł wystrzelić z jej ust i przebić skórę Maszy, wprowadzając jad prosto do żyły, żeby ją otruć, dokładnie tak jak Masza zatrąła życie jej rodzinie.

– Ani się waż wspominać o moim synu! Nic o nim nie wiesz.

– Moja wina, moja wina, moja wina – powtarzał Napoleon, tłukąc głową o ścianę. Mógł sobie zrobić krzywdę.

Heather wyężyła wszystkie siły psychiczne, by się skupić, i na czworakach zbliżyła się do Napoleona. Obiema rękami ujęła jego głowę. Dotykała dłońmi jego uszu i ciepłej skóry pokrytej szorstkim zarostem.

– Posłuchaj mnie – odezwała się donośnym głosem, jakim zazwyczaj przekrzykiwała swoje pacjentki podczas porodu.

Napoleon wybałuszył na nią przekrwione oczy jak przerażony koń.

– Włączyłem drzemkę. Włączyłem drzemkę. Włączyłem drzemkę – powtarzał w kółko.

– Wiem – powiedziała Heather. – Mówiłeś mi o tym tyle razy, ale to bez znaczenia.

– To nie twoja wina, tato – uspokajała go Zoe, jej osamotniona córeczka, która teraz mówiła jak zombie, a nie studentka renomowanego uniwersytetu, bo jej młody, piękny umysł smażył się, aż skwierczało. – To moja wina.

– Dobrze – powiedziała Masza. Trucicielka. – Doskonale! Teraz wszyscy mówicie z głębi serca.

Heather odwróciła się i wykrzyczała jej prosto w twarz:

– Odpierdol się!

Drobinka śliny wystrzeliła z ust Heather wprost w oko Maszy.

Masza uśmiechnęła się i wytarła oko.

– Świetnie. Wyrzuc z siebie ten gniew, Heather. Uwolnij się od niego. – Wstała, a jej liczne ręce okręciły się wokół niej jak macki ośmiornicy. – Zaraz wracam.

Heather spojrzała na męża i córkę.

– Słuchajcie – powiedziała. – Posłuchajcie mnie.

Napoleon i Zoe popatrzyli jej prosto w oczy. Znaleźli się w dziurze powietrznej, w której na moment odzyskali jasność umysłu. Heather miała niewiele czasu. Musiała się streszczać. Otworzyła usta i zaczęła wyciągać z gardła nieskończenie długiego tasiemca, dławiąc się i wymiotując, ale jednocześnie czując coraz większą ulgę, aż wreszcie udało jej się go wyrwać ze swojego ciała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Zoe

Ściany przestały oddychać. Kolory wypłowiwały. Zoe wydawało się, że trzeźwieje. Czuła się tak, jakby po skończonej imprezie wyszła z dusznego pomieszczenia na świeże powietrze, które rozjaśnia umysł.

– Zach zażywał leki – powiedziała jej matka. – Na astmę.

No i co z tego? Matce najwyraźniej wydawało się, że przeżywają wspólnie jakiś doniosły moment, tylko że, jak Zoe zdążyła się już przekonać, to, co rodzice uważali za doniosłe, jej się takie nie wydawało i vice versa.

– Nazywam to teorią doniosłości Zachariasza – powiedział Zach, który wciąż im towarzyszył.

– Oszczędź mi swoich teorii, muszę sama zajmować się rodzicami – warknęła Zoe.

– A to kolosalna odpowiedzialność, ty skurwielu, bo oboje ześwirowali.

– Wiem, przepraszam, ty poczwarna, kostropata stągwio.

– Skoncentruj się, Zoe – zażądała jej matka.

– Wiem, że zażywał leki na astmę – powiedział jej tata. – Profilaktycznie. I co z tego?

– Mogą wywoływać depresję i myśli samobójcze – odparła Heather. – Kiedy wspomniałam, że lekarz chciał mu je przepisać, zapytałeś: „Są jakieś skutki uboczne?“, a ja odpowiedziałam... odpowiedziałam.... Że nie.

Poczucie winy wywołało bolesny grymas na jej twarzy.

– Odpowiedziałas, że nie – powtórzył ojciec Zoe.

– Odpowiedziałam, że nie – wyszeptała matka. Jej oczy błagały o przebaczenie. – Przepraszam.

Zoe nagle stanęła w obliczu doniosłego momentu, jakby znalazła się na skraju urwiska.

– Nawet nie przeczytałam ulotki – wyznała matka. – Uznałam, że doktor Chang, jako najlepszy w swoim fachu, nie przepisze Zachowi niebezpiecznego leku, zaufałam mu, dlatego tobie powiedziałam: „Nie. Nie ma powodu do obaw. Sprawdziłam”. Okłamałam cię, Napoleonie.

Ojciec Zoe zamrugął. Po chwili powiedział powoli:

– Ja też bym mu zaufał.

– Ale przeczytałbyś ulotkę. Przystudiowałbyś ją uważnie, od początku do końca, doprowadzając mnie do szału swoimi pytaniami. A ja nie przeczytałam, choć mam wykształcenie medyczne. Bo byłam tak strasznie zajęta. Nawet nie wiem czym. – Matka potarła dłońmi policzki, jakby próbowała zetrzeć się z powierzchni ziemi. – Wzięłam tę ulotkę do ręki dopiero pół roku po jego śmierci. Znalazłam ją w szufladzie jego stolika nocnego.

– Kochanie, to nie miałyby żadnego znaczenia – stwierdził jej tata bezdźwięcznym głosem. – Jego astma wymagała leczenia.

– Ale gdybyśmy wzięli pod uwagę możliwość depresji, uważniej byśmy go obserwowali – odparła matka Zoe. Desperacko próbowała uzmysłwić Napoleonowi ogrom swojej winy. – Ty na pewno miałbyś go na oku.

– Nie zdradzał żadnych objawów – powiedział ojciec. – Czasem tak bywa. Zero symptomów. Był szczęśliwy.

– Były symptomy – wtrąciła się Zoe.

Rodzice spojrzeli na nią. Wyglądali jak para cyrkowych klaunów, które patrzą na siebie z rozdziawionymi ustami, w oczekiwaniu na jakieś sensacyjne wydarzenie.

– Wiem, że coś go gryzło.

Przypomniała sobie, jak pewnego razu po przejściu obok jego pokoju odnotowała, że Zach leży na łóżku, ale nie patrzy na ekran telefonu, nie słucha muzyki ani nie czyta, a to było do niego niepodobne. Nie miał w zwyczaju beczynnie gapić się w sufit.

– Podejrzewałam, że ma problemy w szkole – wyznała rodzicom. – Ale byłam na niego wściekła. Nie odzywaliśmy się do siebie. Nie chciałam pierwsza wyciągnąć ręki

na zgodę. – Zamknęła oczy, by nie widzieć rozczarowania i bólu na twarzy rodziców. – Jakbyśmy się założyli, kto dłużej wytrzyma bez słowa – wyszeptała.

– Och, Zoe, kochanie – powiedziała mama z bardzo, bardzo daleka. – To nie twoja wina. Przecież wiesz.

– Zamierzałam się do niego odezwać w nasze urodziny – powiedziała Zoe. – Chciałam mu złożyć życzenia: „Wszystkiego najlepszego, frajerze”.

– Och, Zoe, ty tępą dzido – powiedział Zach.

Objął ją. Nigdy się nie przytulali. To nie było w ich stylu. Niekiedy, mijając się w korytarzu, popychali się bez powodu. Czasem mocno, mogliby sobie zrobić krzywdę. A teraz Zach ją objął i szeptał jej do ucha, to był on, Zach, jak żywy, pachniał tym okropnym żelem pod prysznic Axe, którego, jak twierdził, używał dla zgrywy, podczas gdy tak naprawdę wierzył, że dzięki niemu dziewczyny będą do niego lgnęły, bo tak twierdziła reklama.

Zach przytulił ją mocniej i wyszeptał jej do ucha:

– To nie miało z tobą nic wspólnego. Nie zrobiłem tego, żeby zaleźć ci za skórę. – Ścisnął jej ramię, by upewnić się, że dobrze go zrozumiała. – Nie byłem sobą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Napoleon

Zrobiłby wszystko dla swoich dziewczyn, wszystko, dlatego zebrał te straszne, ciężące im na sumieniu sekrety, a one z ulgą mu je przekazały, więc teraz miał swój sekret, bo postanowił nigdy, przenigdy nie mówić im, jak rozgniewały go ich tajemnice.

Ściany wciąż pulsowały, kiedy trzymał za ręce żonę i córkę, wiedząc, że ten koszmar będzie trwał całą wieczność.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Masza

Ben i Jessica siedzieli na poduszkach ze skrzyżowanymi nogami, wpatrzeni w siebie. Trzymali się za przedramiona, jakby balansowali na linie. To był zachwycający widok. Ben otworzył swoje serce, a Jessica spijała słowa z jego ust.

Masza interweniowała tylko, gdy było to konieczne. MDMA podziałało zgodnie z przewidywaniami: bariery runęły. Na osiągnięcie tego etapu potrzebowaliby kilkumiesięcznej terapii. Masza poprowadziła ich na skróty.

– Tęsknię za twoją twarzą – wyznał Ben. – Twoją piękną twarzą. Nie rozpoznaję cię. Nie rozpoznaję nas ani naszego życia. Tęsknię za naszym starym mieszkaniem. Za swoją pracą. Za przyjaciółmi, których straciliśmy. Ale przede wszystkim za twoją twarzą.

Mówił klarownie i wyraźnie. Nie plątał mu się język. Nie owijał w bawełnę.

– Dobrze. Cudownie – powiedziała Masza. – Jessico, twoja kolej.

– Moim zdaniem Ben próbuje mnie zawstydzić – poskarżyła się Jessica. – A przecież to wciąż ja, ta sama Jessica. Wciąż tu jestem! Co z tego, że wyglądam trochę inaczej? Taka jest moda. Nic więcej. Przecież to błahostka!

– Dla mnie to ważne – odparł Ben. – Mam wrażenie, że spieprzyłaś coś cennego.

– Ale ja czuję się piękna – nie dawała za wygraną Jessica. – Przedtem się sobie nie podobałam, a teraz jestem piękna. – Uniosła ręce jak baletnica. – Pytanie brzmi, kto ma prawo oceniać moją urodę? Ja czy ty? A może internauci?

Teraz wyglądała naprawdę pięknie.

Ben namyślał się przez chwilę.

– To twoja twarz, więc chyba decyzja należy do ciebie – orzekł wreszcie.

– Zaraz, zaraz! Piękno jest... – Jessica pokazała na swoje oko. Roześmiała się. – Piękno jest w oku patrzącego.

Oboje ryknęli śmiechem i nie mogli się uspokoić. Trzymali się mocno, bez końca powtarzając:

– Piękno jest w oku patrzącego.

Masza uśmiechała się do nich niepewnie. Dlaczego ich to tak rozbawiło? To był żart, który tylko oni rozumieli? Zaczęła się niecierpliwić.

Wreszcie umilkli, a Jessica usiadła prosto i dotknęła dolnej wargi.

– No dobra, przyznaję, ta ostatnia operacja ust była lekkim przegięciem.

– Wcześniej mi się podobały – powiedział Ben. – Uważałem, że masz piękne usta.

– Dobra, rozumiem, Ben – odparła Jessica.

– Podobało mi się nasze dawne życie – dodał Ben.

– Było trochę podłe – przypomniała mu Jessica. – Wiedliśmy zwyczajne, podłe życie.

– Bez przesady – zaprotestował Ben.

– Wydaje mi się, że swoje auto kochasz bardziej niż mnie – pożałowała się Jessica. – Jestem zazdrosna o twój samochód. To ja go zarysowałam. Ja. Bo dla mnie jest jak dziwka, która romansuje z moim mężem. Więc poharatałam pysk tej lafiryndzie.

– Coś takiego – zdumiał się Ben. Złapał się za głowę. – Coś takiego. To... niesamowite. Nie wierzę własnym uszom. – Nie mówił tego z gniewem. Zupełnie osłupiał.

– Uwielbiam pieniądze – wyznała Jessica. – Uwielbiam być milionerką. Chciałabym, żebyśmy pozostali sobą, pomimo tej kasy.

– Pieniądze są jak pies – powiedział powoli Ben.

– Mhm – przytaknęła Jessica.

– Wielki pies, który wodzi nas za nos.

– Tak – zgodziła się Jessica. – Tak, racja. – Zrobiła pauzę. – Co masz na myśli?

– To tak, jakbyśmy mieli psa, i to takiego, jakiego zawsze chcieliśmy, to nasz wymarzony pies, pies naszych marzeń, ale od kiedy się pojawił, nasze życie się zmieniło. Całkowicie nas zaabsorbował, szczeka przez całą noc, żeby zwrócić na siebie

uwagę, nie daje nam spać, nie możemy podjąć żadnej decyzji, nie uwzględniając jego potrzeb. Musimy go wyprowadzać, karmić, troszczyć się o niego i... – Zawahał się, marszcząc czoło. – Widzisz, problem polega na tym, że nasz pies gryzie. Nas, naszych przyjaciół i rodzinę. Ostatnio kąsa jak oszalały.

– Ale i tak go kochamy – powiedziała Jessica. – Kochamy naszego pieska.

– Tak, ale moim zdaniem powinniśmy się go pozbyć – stwierdził Ben. – To nieodpowiedni pies dla nas.

– Moglibyśmy sobie kupić labradoodle’a – zaproponowała Jessica. – One są takie słodkie.

Masza przypomniała sobie, że Jessica jest bardzo młoda.

– Myślę, że Ben, opowiadając historię o psie, próbuje wyjaśnić... jak wygrana na loterii wpłynęła na wasze życie – powiedziała. – To metafora. – To słowo przyszło jej do głowy o sekundę za późno, niż by sobie tego życzyła.

– Aha. – Jessica posłała Maszy chytre spojrzenie i dotknęła nosa palcem wskazującym. – Jeśli zdecydujemy się na psa, powinniśmy go kupić, zanim pojawi się dziecko.

– Jakie dziecko? – zdziwiła się Masza.

– Jakie dziecko? – zawtórował jej Ben.

– Jestem w ciąży – oznajmiła Jessica.

– Naprawdę? – ucieszył się Ben. – To fantastycznie!

Pod Maszą ugięły się nogi.

– Nie wspomniałaś, że...

– Podałaś mojej ciężarnej żonie narkotyki – warknął Ben do Maszy.

– No właśnie, właściwie jestem o to na ciebie wściekła – dodała Jessica. – Moim zdaniem powinnaś iść do więzienia na długie lata.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Heather

Heather obudziła się, ale nie otworzyła oczu.

Leżała na boku, na czymś cienkim i miękkim, z dłońmi pod głową.

Jej zegar biologiczny mówił jej, że jest poranek. Okolice siódmej.

Już nie była naćpana. Miała jasny umysł. Była w studiu jogi i medytacji w Tranquillum House, w rocznicę śmierci Zacha.

Po latach mdłości wreszcie wyrzuciła z siebie sekret i była nieco roztrzęsiona, czuła się trochę dziwnie, pusto, ale zdecydowanie lepiej. Poczowała się oczyszczona, a właśnie to, jak na ironię, obiecywano w Tranquillum House. Heather powinna zostawić pochlebnią recenzję na ich stronie: „Czuję się o niebo lepiej po pobycie w Tranquillum House! Szczególnie podobał mi się odlot z mężem i córką”.

Oczywiście musieli natychmiast opuścić to miejsce i trzymać się z dala od potraw i napojów podawanych przez Maszę. Powinni iść prosto do swoich pokoi, spakować się, wsiąść do samochodu i wyjechać. Mogliby zatrzymać się w kawiarni w pobliskim miasteczku i tam zjeść uroczyste, obfite śniadanie ku czci Zacha.

Heather chciała spędzić ten dzień ze swoją rodziną, wspominając syna, a nazajutrz mogliby świętować dwudzieste pierwsze urodziny obojga dzieci, bez wstydu i smutku, nie udając, że zapomnieli o urodzinach Zoe. Napoleon od dawna powtarzał, że powinni oddzielić Zacha od sposobu, w jaki postanowił zakończyć swoje życie. Można było o nim powiedzieć znacznie więcej niż to, że popełnił samobójstwo. Jedno wspomnienie nie powinno przysłonić pozostałych. Ale Heather nie słuchała. Z jakiegoś powodu uznała, że ten jeden tragiczny dzień unieważnił całe jego życie.

Nagle dotarło do niej, że Napoleon miał rację. Dziś powinni uczcić rocznicę śmierci

syna, dzieląc się najlepszymi wspomnieniami z osiemnastu lat jego życia, choćby przytłoczył ich nieznośny smutek, bo, jak Heather zdążyła się już przekonać, wszystko można wytrzymać. Od trzech lat rozpamiętywała samobójstwo Zacha. Nadszedł czas, by przeżyć żałobę po nim. Stracili pięknego, prostolinijnego, mądrego i impulsywnego chłopca.

Miała nadzieję, że Zoe jakoś sobie poradzi. Dlaczego wygadywała, że „niewiele ją łączyło” z bratem? Heather serce się krajało. Zoe uwielbiała Zacha. Jeszcze do dziesiątego roku życia, kiedy któremuś z nich śniły się koszmary, jedno gramoliło się drugiemu do łóżka. Tylko Heather ponosiła winę za tę tragedię. Nie zauważyła zmiany w zachowaniu syna i nie uczuliła nikogo, nawet samego Zacha, na taką ewentualność.

Później powinni poinformować policję o poczynaniach tej wariatki.

Heather otworzyła oczy i zobaczyła, że leży na macie do jogi tuż obok swojej córki. Zoe jeszcze spała, jej powieki delikatnie drgały. Heather czuła na twarzy jej oddech. Położyła jej dłoń na policzku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Frances

Frances próbowała ściągnąć słuchawki. Zaczepiły się o jej włosy. Wyplątała je z nich, nie otwierając oczu.

Czuła się jak podczas lotu. Tylko w samolocie zasypiała w słuchawkach.

Z oddali dobiegały odgłosy maszyn budowlanych. Wiertarki. Młota pneumatycznego. Koparki. I czegoś jeszcze. Co chwilę rozlegał się mechaniczny ryk. Kosiarka? Dmuchawa do liści? Frances położyła się na boku, okryła kocem ramiona i próbowała znowu zapaść w głęboki, słodki sen. Nic z tego, znowu rozległ się hałas, który nieubłaganie zmuszał ją do powrotu do rzeczywistości. To nie był warkot silnika, tylko chrapanie jakiegoś faceta.

Czy zeszłej nocy upiła się i skończyła w łóżku z nieznanym? Dobry Boże, na pewno nie. Od wielu lat nie przydarzyło jej się coś takiego. Nie czuła symptomów kaca ani wstydu, jaki zazwyczaj dopadał ją po jednorazowej przygodzie. Miała jasny, klarowny umysł, jakby gruntownie go oczyszczono.

W jednej chwili jej wspomnienia połączyły się w spójną historię.

Była w studiu jogi i medytacji w Tranquillum House, a poprzedniego dnia wypiła przepyszne smoothie zawierające narkotyk halucynogeny, który wywołał u niej przepiękny, niezwykle plastyczny i ciągnący się w nieskończoność sen, pełen czekających na rozszyfrowanie symboli i obrazowych metafor. Spotkała w nim Gillian, swojego ojca i obu byłych mężów. Yao, a czasem Dalila albo Masza przerywali go, zadając irytujące pytania i próbując nią sterować. Frances ich ignorowała. Doskonale się bawiła, a oni psuli jej nastrój. Chyba jednak w końcu dali za wygraną.

Znalazła się w przestrzeni kosmicznej.

Była mrówką.

I motylem!

Mknęła w saniach u boku Gillian przez zachwycające, rozgwieżdżone niebo.

Działo się tam znacznie więcej.

Czuła się tak, jakby obudziła się we własnym łóżku, pierwszego poranka po powrocie z długiej podróży po egzotycznych krajach.

Otworzyła oczy, ale wciąż otaczała ją ciemność. Przypomniała sobie, że nadal nosi maseczkę. Kiedy ją ściągnęła, chrapanie stało się jeszcze głośniejsze. Jej oczy nie były zapiaszczone ani załamane. Wszystkie kolory okazały się niezwykle intensywne. Zobaczyła nad sobą sklepienie z rzędami zapalonych lamp.

Usiadła i rozejrzała się.

To Lars tak chrapał. Leżał na plecach na sąsiednim łóżku w maseczce, z kocem podciągniętym pod brodę i otwartymi ustami. Każde chrapanie wstrząsało całym jego ciałem. Ucieszył ją widok nieziemsko przystojnego faceta, który tak okropnie chrapie. Równowaga została zachowana.

Frances bosą stopą delikatnie trąciła jego nogę. Henry też chrapał. Pewnego razu, pod koniec ich małżeństwa, kiedy miał na sobie szorty, przyjrzał się swoim nogom i ze zdziwieniem stwierdził:

– Nie wiem, skąd się biorą te siniaki na mojej łydce. Jakbym co chwilę się o coś potykał.

„O moją prawą stopę”, pomyślała Frances. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia aż do ostatniego dnia ich wspólnego życia, kiedy pokłócili się o to, jak podzielić sztukę.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

Tony – nie zamierzała nazywać go „Smiley” – też usiadł na łóżku. Podpierał czoło dłońmi, jakby bolała go głowa.

Carmel podniosła się i próbowała ułożyć dłońią czarne, nieposłuszne loki, sterczące we wszystkich kierunkach.

Spojrzała na Frances.

– Łazienka? – wyszeptała bezgłośnie, choć przecież nie była w studiu po raz

pierwszy.

Frances wskazała jej drogę do toalet w głębi pomieszczenia, a Carmel wstała, chwiejąc się lekko.

Ben i Jessica siedzieli ramię w ramię, oparci o ścianę, pijąc wodę z butelek.

Heather i Zoe leżały razem na macie do jogi, na której zasnęły poprzedniej nocy. Heather z nieobecny wyrazem twarzy głaskała córkę po głowie.

– Chcesz wody? – Napoleon z trudem kucnął obok Frances i podał jej butelkę. – Mam nadzieję, że niczego do niej nie dodali. W razie czego możemy pić kranówkę, chociaż gdyby chcieli, ją też mogliby bez trudu czymś doprawić.

– Dziękuję. – Frances wzięła mineralną, nagle czując ogromne pragnienie, i wypła duszkiem do dna. – Właśnie tego potrzebowałam – oznajmiła.

– To chyba dobry znak, że zaopatrzyli nas w wodę – zauważył Napoleon. Podniósł się. – Nie zostawili nas na pastwę losu.

– Co masz na myśli? – zapytała Frances.

Przeciągnęła się z rozkoszą. Naprawdę nie mogła doczekać się śniadania.

– Zamknęli nas – odparł Napoleon przeprasząc, jakby to była jego sprawka. – Stąd nie ma wyjścia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Carmel

– To z pewnością kolejny etap tej terapii – uspokajała ich Carmel. Nie rozumiała, czym się tak niepokoją. – Nie zostawię nas tu samych na długo. Wszystko będzie dobrze.

Napoleon, jedyny posiadacz zegarka, twierdził, że dochodzi druga po południu, a do tej pory personel Tranquillum House do nich nie zajrzał. Spędzili w tym pomieszczeniu blisko dwadzieścia cztery godziny.

Usiedli w kręgu, tak jak poprzedniego dnia, kiedy się sobie przedstawiali. Wyglądali na wyczerpanych i nie grzeszyli schludnością. Mężczyznom przydałoby się golenie. Carmel chętnie umyłaby zęby, ale nie była głodna, choć nie jadła od bez mała czterdziestu ośmiu godzin, co niezwykle ją ucieszyło. Jeśli jednym z efektów ubocznych wczorajszego, niezwykle przyjemnego upojenia narkotykowego było zmniejszenie apetytu, to Carmel mogła tylko przyklasnąć tej metodzie.

Każde z nich sprawdziło, że z pomieszczenia można wydostać się tylko przez prowadzące na schody, ciężkie dębowe drzwi, teraz zamknięte na zamek elektroniczny. Prawdopodobnie można je było otworzyć za pomocą kodu, ale pomimo wielu prób nie natrafili na właściwą kombinację cyfr.

Frances zaproponowała, by wprowadzili to samo hasło, które otwierało główną bramę ośrodka.

Napoleonowi również przyszło to do głowy, ale nie pamiętał tamtej kombinacji.

Carmel też nie mogła jej sobie przypomnieć. Kiedy stanęła przed bramą, rozplakała się na wspomnienie miesiąca miodowego spędzonego w ośrodku z podobnym domofonem. Teraz nie mogła zrozumieć, czemu się tak mazgała. Ich podróż poślubna

wcale nie była aż tak wspaniała. Carmel złapała infekcję dróg moczowych.

Ben twierdził, że nie zapomniał kodu dostępu, ale i tak nie udało im się otworzyć drzwi.

Tony'emu też się wydawało, że go pamięta, choć twierdził, że Ben pomylił jedną cyfrę. Jego kombinacja również na nic się nie przydała.

Carmel zasugerowała, by wprowadzili numer telefonu do Tranquillum House, który z jakiegoś powodu utkwiał jej w pamięci, ale i tym razem im się nie poszczęściło.

Frances wpadła na pomysł, że cyfry w kodzie odpowiadają literom alfabetu. Wypróbowali kilka słów: Tranquillum. Oczyszczanie. Masza.

Bez efektu.

Zoe doszła do wniosku, że to jakaś gra. Opowiedziała im o szalonej modzie na escape roomy, w których ludzie sami pozwalają się zamknąć, by potem wspólnie szukać drogi wyjścia. Zoe wzięła kiedyś udział w takiej grze. Podobno bawiła się całkiem nieźle, a podpowiedzi ukryte były w pozornie zwyczajnych przedmiotach. Na przykład Zoe i jej przyjaciele musieli znaleźć schowane w pokoju części latarki, a potem ją zmontować. Przydała im się później do oświetlenia sekretnej wiadomości z dalszymi instrukcjami, zostawionej na dnie szafy. Wiszący na ścianie zegar odmierzał czas, a ekipa Zoe wydostała się z pomieszczenia na kilka sekund przed dzwonkiem.

Jeśli teraz brali udział w takiej zabawie, to jej reguły wydawały się znacznie bardziej skomplikowane. W studiu jogi nie znajdowało się nic prócz ręczników, mat, łóżek polowych, butelek z wodą, słuchawek, maseczek na oczy i wypalonych świec. Nie było regałów z książkami skrywającymi w sobie wiadomości. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz. Trudno byłoby ukryć gdzieś wskazówki.

Ani w męskiej, ani w damskiej toalecie nie było kraterów kanalizacyjnych, włączów do kanału wentylacyjnego ani okien, które można by wybić.

– Zostaliśmy wtrąceni do lochu – orzekła Frances, co Carmel wydało się nieco nazbyt melodramatyczne, ale autorce romansów należało wybaczyć wybujałą wyobraźnię.

Wreszcie usiedli, zniechęceni i osowiali.

– No tak, najwyraźniej to kolejny etap tej procedury – orzekła Heather, spoglądając

na Carmel. – Dodali narkotyków do naszych napojów, zamknęli nas w piwnicy. Pełny luz, nie ma się czym przejmować.

Jak na kogoś, z kim Carmel dopiero co się poznała, Heather mówiła trochę zbyt sarkastycznym i poufałym tonem.

– Chodziło mi tylko o to, że może powinniśmy zaufać tej metodzie. – Carmel próbowała zachować zdrowy rozsądek.

– Jesteś tak samo obłąkana jak ona – rzuciła Heather.

To już było zdecydowanie nieuprzejme. Carmel w porę przypomniała sobie, że Heather straciła syna.

– Wiem, że wszyscy jesteśmy zmęczeni i podenerwowani – powiedziała, starając się zachować spokój. – Ale nie róbmy niepotrzebnych dramatów.

– To już jest dramat! – krzyknęła Heather.

– Kochanie, nie denerwuj się – uspokoił ją Napoleon z taką łagodnością, że Carmel poczuła, jak ściska jej się serce.

– Masz dzieci, Carmel? – zapytała ją Heather nieco mniej napastliwym tonem.

– Cztery córeczki – odparła ostrożnie Carmel.

– Jak byś się czuła, gdyby ktoś podał im narkotyki?

Oczywiście Carmel nie chciała, by jej dzieci miały jakikolwiek kontakt z narkotykami.

– Moje dziewczynki są bardzo małe, Masza na pewno nie...

– Zdajesz sobie sprawę, że zażywanie narkotyków ma poważne, długofalowe konsekwencje?

– Nigdy w życiu tak źle się nie czułam – poskarżyła się Jessica.

– No i proszę – powiedziała Heather z satysfakcją.

– A ja nigdy nie czułam się tak dobrze – zrewanżowała się Carmel.

Może nie do końca była to prawda, bo chętnie umyłaby zęby, ale ogólnie miała się całkiem nieźle. W jej umyśle kłębiły się obrazy, których nie zdążyła jeszcze zinterpretować, jakby cały poprzedni dzień spędziła, oglądając niesamowitą, immersyjną instalację artystyczną.

– Mnie póki co nic nie dolega – powiedziała Frances.

– A mnie głowa pęka – pozałił się Lars.

– Mnie też – wyjęczał Tony.

– A ja chyba schudłam o jeden rozmiar – wyznała Carmel, ciągnąc za luźną gumkę w legginsach.

Marszcząc czoło, próbowała sobie przypomnieć, jakiego objawienia dostąpiła zeszłej nocy. Jej ciało było istotne? Nieistotne? Innego nie miała? Teraz, kiedy próbowała ująć tę epifanię w słowa, traciła ona całą głębię i transcendentny wymiar.

– Wprawdzie nie próbuję całkowicie zmienić swojego ciała, ale zależy mi na zdrowiu – dodała Carmen.

– Zdrowiu?! – Heather uderzyła się otwartą dłonią w czoło. – Przecież ta ich metoda nie sprowadza się do diety!

– Mamo. – Zoe położyła dłoń na kolanie matki. – Nikt nie umarł. Nikomu nic się nie stało. Proszę, uspokój się.

– Mam się uspokoić?! – Heather uścisnęła dłoń Zoe. – Mogłaś umrzeć! Wszyscy mogliśmy umrzeć! Gdyby ktoś z nas miał utajone problemy psychiczne albo chore serce, jego stan mógłby się pogorszyć! Twój ojciec ma podwyższone ciśnienie! Narkotyki mogą mu poważnie zaszkodzić.

– W tej chwili pewnie wszyscy biorą cię za osobę z problemami psychicznymi – odburknęła Zoe.

– Nie pomagasz – odezwał się jej ojciec.

– A nie moglibyśmy po prostu otworzyć zamka wytrychem? – zapytała Frances, spoglądając z nadzieją na Tony'ego.

– Dlaczego na mnie patrzysz? Wyglądam na doświadczonego włamywacza? – obruszył się Tony.

– Przepraszam – powiedziała Frances.

Carmel nie zdziwiło jednak jej pytanie. Tony faktycznie wyglądał na kogoś, kto w młodości miał na pieńku z prawem.

– Moglibyśmy spróbować. Potrzebujemy wytrychu – powiedział Ben. Sprawdził kieszenie, ale nie znalazł niczego odpowiedniego.

– Nie ma jeszcze powodu do paniki – uspokajał ich Napoleon.

– To z pewnością jakieś ćwiczenie z umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach. W końcu ktoś się zorientuje, że sobie nie radzimy. – Lars ziewnął, położył się na macie i zasłonił oczy ręką.

– Na pewno nas obserwują – powiedziała Jessica. Wskazała na ścianę. – Czy to nie kamera?

Wszyscy spojrzeli na wiszącą nad telewizorem małą kamerę przemysłową z migającym czerwonym światełkiem.

– Wiem od Yao, że mają tu jakiś system do obserwacji pomieszczeń – powiedziała Frances.

– Faktycznie, wspominał o tym pierwszego dnia – przypomniała sobie Carmel.

Wydawało jej się, że od tamtego momentu minęły całe lata.

Heather zerwała się na równe nogi i prosto do kamery krzyknęła:

– Macie nas natychmiast wypuścić. Nie przyjechaliśmy tu, żeby rocznicę śmierci syna spędzić w zamknięciu w piwnicy z nieznajomymi!

Carmel struchlała. Zapomniała, że ta rocznica wypada właśnie dziś. Ta kobieta mogła sobie krzyczeć i warczeć, ile dusza zapragnie.

Zapadła cisza. Nic się nie działo.

Heather tupnęła.

– Nie wierzę, że za to zapłaciliśmy.

Napoleon wstał i wziął Heather w ramiona.

– Nie ma znaczenia, gdzie spędzimy ten dzień – powiedział.

– A właśnie że ma. – Łzy Heather spływały na jego koszulę.

Nagle uszedł z niej gniew, a ona osłabła. Była tylko wątłą, zrozpaczoną matką, która nie mogła pogodzić się ze swoją tragedią.

– Ciii – uspokajał ją Napoleon.

Heather powtarzała coś w kółko i dopiero po chwili Carmel zrozumiała jej słowa.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Już dobrze – szeptał Napoleon. – Nic nam się nie stało. Wszystko w porządku.

Zebrani odwrócili wzrok od tej nieznośnie intymnej sceny. Zoe też nie patrzyła na rodziców. Stała w kącie sali, oparła się dłonią o ścianę, drugą ręką chwyciła kostkę

i urządziła sobie jednoosobową sesję jogi.

Carmel, patrząc na ekran wyłączzonego telewizora, nagle zapragnęła znaleźć się daleko stąd, z dala od tej rodzinnej tragedii, przy której jej problemy zdawały się trywialne. Poczowała bolesne ukłucie tęsknoty za domem. Był taki piękny. Pomyślała o tym z takim zachwytem, jakby do tej pory sobie tego nie uświadamiała. Nie mieszkała w posiadłości, tylko w zwykłym, pełnym słońca domku jednorodzinym, trochę zabałaganionym przez cztery dziewczynki. To Carmel go wyremontowała i pięknie urządziła. Znajomi twierdzili, że „ma do tego dryg”. Po powrocie powinna częściej doceniać swój dom.

– Mogę spróbować wyważyć drzwi – zaoferował Tony.

– Świetny pomysł – przyklasnęła mu Carmel.

Bohaterowie filmów wyważali drzwi bez najmniejszego trudu.

– Ja to zrobię – zaproponował Ben.

– Albo je staranuję. – Tony już zakasał rękawy.

– Też mogę – stwierdził Ben.

– Otwierają się do środka – zauważył Lars.

Wszyscy zamilkli.

– To ma jakieś znaczenie? – zapytała Frances.

– Zastanów się, Frances – odparł Lars.

Tony stracił cały entuzjazm.

– Spróbujmy otworzyć zamek wytrychem. – Przycisnął palce do skroni i głęboko zaczerpnął powietrza. – Chyba mam... atak klaustrofobii. Muszę stąd wyjść.

To samo pomyślała Carmel.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Frances

Zgromadzili przedmioty nadające się na wytrych: spinkę do włosów, sprzączkę paska i bransoletkę. Ta ostatnia należała do Frances, która nie miała nic do zaoferowania prócz bezmyślnego entuzjazmu, więc postanowiła nie wtrącać się do prac komitetu wytrychowego, w skład którego weszli Ben, Jessica, Napoleon, Tony i Carmel. Dużo radości sprawiło im zniszczenie bransoletki i dyskusja, w trakcie której doszli do wniosku, że najlepiej „wyciągnąć drucik zębami” czy coś w tym stylu.

Frances podeszła do skulonej w kącie Zoe.

– Wszystko okej? – zapytała, siadając obok dziewczyny i delikatnie dotykając jej pleców.

Zoe uniosła głowę i uśmiechnęła się. Miała jasne spojrzenie. Wyglądała ślicznie. Nikt by nie powiedział, że całą poprzednią noc spędziła na niebotycznym haju.

– Tak. Jak ci się podobało to... doświadczenie?

Frances ściszyła głos.

– Nie pochwalam tego, co zrobiła Masza, to skandal i tak dalej, twoja matka ma rację, narkotyki to samo zło, prawo zabrania ich zażywać, należy je omijać szerokim łukiem, mówić im nie i koniec... ale muszę przyznać rację Steve’owi Jobsowi. To było jedno z najfantastyczniejszych doświadczeń w moim życiu. A jak ty to przeszłaś?

– Były lepsze i gorsze momenty – odparła Zoe. – Widziałam Zacha. Wszyscy go widzieliśmy. To znaczy... przywidział nam się, tak naprawdę go tu nie było.

– Mnie też się wydawało, że go widzę – palnęła bez namysłu Frances.

Zoe spojrzała na nią zaskoczona.

– Zobaczyłam siedzącego z wami chłopca.

– Widziałaś Zacha? – Zoe się rozpromieniła.

– Przepraszam – spieszyła się Frances. – Nie chciałam ci zrobić przykrości. Oczywiście nie wiem, jak wyglądał twój brat. Stworzyła go moja wyobraźnia.

– Spoko, to fajnie, że go zobaczyłaś. Polubiłabyś go. Na pewno by do ciebie zagadał. Każdego zaczepiał. – Przerwała. – Nie miałam nic złego na myśli.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – uspokoiła ją Frances z uśmiechem.

– Ciekawili go inni ludzie – kontynuowała Zoe. – Wdał się w tatę. Był gadułą. Zapytałby cię, no nie wiem, choćby o rynek wydawniczy. Większego nerda w życiu nie widziałam. Lubił filmy dokumentalne. Słuchał podcastów na przeróżne tematy. Świat go fascynował. Dlatego... – Głos jej się łamał. – Dlatego nie mogę uwierzyć, że zrezygnował z wszystkiego. – Oparła podbródek o kolana. – Przed jego śmiercią przez kilka tygodni nie odzywaliśmy się do siebie. Darliśmy się na siebie i kłóciliśmy się o... mnóstwo rzeczy: łazienkę, telewizję, ładowarkę. Teraz wydaje mi się to takie głupie.

– Każde rodzeństwo się sprzeczają – powiedziała Frances, oczami wyobraźni widząc wydęte usta swojej siostry.

– Kiedy stawialiśmy sprawy na ostrzu noża, przestawialiśmy ze sobą rozmawiać. To było jak rozgrywka, w której ten, kto odezwie się pierwszy, niejako przeprosza, choć nie mówi tego otwarcie, dlatego uparcie milczałam. – Spojrzała na Frances, jakby wyjawiała jej jakiś straszny sekret.

– W podobny sposób kłóciłam się z pierwszym mężem – wyznała Frances.

– Ale ja zauważyłam, że z Zachem dzieje się coś niedobrego. Widziałam to. Nie zapytałam go, jak się czuje, nic nie powiedziałam. Zignorowałam go.

Frances starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie było sensu mówić: „Nie powinnaś czuć się winna”. Nic dziwnego, że dziewczyna miała wyrzuty sumienia. Kwestionowanie ich oznaczałoby, że Frances odmawia jej prawa do żalu spowodowanego utratą.

– Tak mi przykro, kochanie.

Miała ochotę zamknąć Zoe w czułym i prawdopodobnie niemile widzianym uścisku, ale ograniczyła się do poklepania jej po ramieniu. Zoe spojrzała na matkę.

– Byłam na niego wściekła. Uważałam, że zrobił to tylko po to, bym do końca życia

musiała się z tym borykać. Nie mogłam mu tego darować. Nikt nie obszedł się ze mną równie złośliwie i okrutnie. Ale zeszłej nocy... to zabrzmiało głupio, ale zeszłej nocy poczułam się tak, jakbyśmy znowu się do siebie odzywali.

– Wiem – odparła Frances. – Rozmawiałam ze swoją przyjaciółką, Gillian, która zmarła w zeszłym roku. I z tatą. Nie czułam się jak we śnie. To było takie namacalne. Szczerze mówiąc, te spotkania wydały mi się bardziej realne niż rzeczywiste życie.

– Sądzisz, że naprawdę się z nimi skontaktowałyśmy? – W głosie Zoe pobrzmiewała nadzieja.

– Możliwe – skłamała Frances.

– Przypomniało mi się, jak Masza opowiadała o swoim spotkaniu ze śmiercią, po którym sobie uświadomiła, że istnieje inna rzeczywistość, i pomyślałam... Może właśnie tam się przenieśliśmy.

– Możliwe – powtórzyła Frances. Nie wierzyła w rzeczywistości alternatywne, tylko w transcendentną siłę miłości, pamięci i wyobraźni. – Wszystko jest możliwe.

Zoe ściszyła głos tak bardzo, że Frances musiała się do niej nachylić, by cokolwiek usłyszeć.

– Mam wrażenie, że w jakiś niewyjaśniony sposób on do mnie wrócił i gdybym tylko zapragnęła, mogłabym się z nim skontaktować.

– Ach – westchnęła Frances.

– Nie znaczy, że to zrobię – dodała Zoe.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała Frances. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Przestałaś się z nim kłócić.

– Tak, pogodziliśmy się. Zawsze w takich chwilach odczuwałam ulgę.

Siedziały przez kilka minut w błogiej ciszy, przyglądając się domorosłym włamywaczom majstrującym przy zamku.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że podczas szlachetnego milczenia zabrałam się za twoją książkę – odezwała się Zoe. – Jest świetna.

– Świetna? – zdziwiła się Frances. – Naprawdę? Nie obrażę się, jeśli ci się nie spodoba.

– Frances, podoba mi się – zapewniła ją zdecydowanym tonem Zoe. – Jest

znakomicie napisana.

– Och – westchnęła Frances. Do oczu napłynęły jej łzy, bo wyczuła, że Zoe nie kłamie. – Dziękuję.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Zoe

Skłamała. Powieść była straszliwie cikliwa.

Wczoraj rano skończyła ją czytać (nie miała nic lepszego do roboty) i choć książka nie była aż tak zła, a Zoe cierpliwie przerzucała stronę za stroną, od początku wiedziała, że główni bohaterowie, mimo że najpierw się nienawidzą, w końcu, po wielu perypetiach, zejdą się i będą żyli długo i szczęśliwie, więc w gruncie rzeczy dalsza lektura nie miała większego sensu. W jednej ze scen dziewczyna zemdlła w ramionach swojego ukochanego, co pewnie miało być wielce romantyczne, tylko czy w dzisiejszych czasach kobiety naprawdę mdlały z miłości? A nawet jeśli, to czy pod ręką zawsze znajdował się ktoś, by je złapać?

Poza tym, gdzie się podziały sceny erotyczne? Bohaterowie całowali się po raz pierwszy dopiero na trzechsetnej stronie, choć powieść nosiła tytuł *Pocałunek Nathaniela*.

Zoe wolała książki o międzynarodowych aferach szpiegowskich.

– Moim zdaniem to fantastyczna historia – powiedziała do Frances z pokerową twarzą. „Los całego kraju leży w twoich rękach, Zoe”.

– Chyba wciąż jesteś na haju – zażartowała Frances.

Zoe się zaśmiała. Może faktycznie jeszcze nie doszła do siebie.

– Nie wydaje mi się.

Nie mogła uwierzyć w to, że naćpała się ze swoimi rodzicami. To, że jej towarzyszyli, było najbardziej odjechanym aspektem tego doświadczenia. „Ale jazda”, myślała, „jest ze mną mama, ale jazda, jest ze mną tata”. Ich światy zderzyły się wśród wulkanicznych iskier i naddźwiękowych erupcji.

Mogłaby resztę życia spędzić na wspomnianiu wydarzeń poprzedniej nocy. Albo zupełnie o nich zapomnieć. Jedno i drugie wydało jej się jednakowo prawdopodobne.

Po wyjeździe z ośrodka nie mogłaby wymazać z pamięci tylko tego, co wyjawiała jej matka.

Tego ranka zamieniły ze sobą ledwie kilka słów. Teraz Heather robiła przysiady, ale Zoe zauważyła, że w jej ruchach nie ma takiej... agresji, jak zazwyczaj. Nagle przerwała ćwiczenie, położyła się na macie z dłońmi na brzuchu i wbiła wzrok w sklepienie.

Przez tyle lat Zoe czekała, aż zjawi się ktoś, na kogo będzie mogła przerzucić winę za to, co się stało. Po śmierci Zacha zajrzała do wszystkich jego urządzeń elektronicznych, na konta e-mailowe i profile w mediach społecznościowych. Chciała znaleźć dowody na to, że go nękanono albo że w jego życiu stało się coś, co nie miałooby związku z nią i co tłumaczyłoby jego decyzję. Nic nie znalazła. Ojciec też to zrobił. Spotkał się ze wszystkimi przyjaciółmi Zacha, rozmawiał z nimi, szukał wyjaśnień. Nikt mu ich nie udzielił. Wszyscy znajomi Zacha byli równie zrozpaczeni i oszołomieni jak jego rodzina.

A teraz okazało się, że przyczyna nie leżała w zewnętrznym świecie, tylko w jego głowie. Przez leki na astmę na moment stracił grunt pod nogami.

Być może. Zoe nie liczyła na to, że kiedykolwiek zyska co do tego pewność.

Wprawdzie to, co wyjawiała jej matka, nie rozgrzeszało Zoe, ale teraz mogła dzielić z kimś winę. Pozwoliła sobie na chwilową przyjemność znieprawienia matki. Nie powinna była podawać mu tych tabletek. Mogła zachować się jak odpowiedzialny rodzic i przeczytać ulotkę. W końcu miała wykształcenie medyczne.

Ale nagle przypomniała sobie krzyk, jaki wydobył się z ust matki tamtego ranka, i nie mogła jej dłużej potępiać.

Heather postąpiła niewłaściwie i dziecinnie, tając ten sekret, ale właśnie jej niedojrzałość tak bardzo wzruszyła Zoe. Po raz pierwszy dostrzegła w matce dziewczynę, która popełnia błędy, potrafi niejedno spaprać i wymyśla na poczekaniu nie do końca fortunne rozwiązania.

Fakt, matka powinna była przeczytać ulotkę, tak jak Zoe powinna była wejść do pokoju brata, kiedy zobaczyła go, jak leżał na łóżku. Mogła usiąść obok niego, chwycić

jego wielką stopę, potrząsnąć nią i zapytać:

– Co cię gryzie, frajerze?

Może by się jej zwierzył, a gdyby to zrobił i gdyby sprawa okazała się poważna, Zoe poszłaby do ojca i rozkazała mu:

– Zrób coś.

A on zająłby się sprawą.

Spojrzała na Napoleona, jedyne go niewinnego, który teraz kuczał przy drzwiach i oglądał zamek. Wiedziała, że ich stąd wyciągnie. Potrafił wszystko naprawić, jeśli tylko miał taką możliwość. Nie pomógł Zachowi, bo nikt nie poinformował go o problemie.

Nie było i nie będzie dobrze, ale twardy węzeł w jej żołądku zaczął się rozluźniać, a ona nie próbowała temu przeciwdziałać. Dawniej, kiedy tylko poczuła się lepiej, śmiała się albo zaczynała na coś czekać z entuzjazmem, natychmiast podcinała sobie skrzydła. Wydawało jej się, że jeśli wyjdzie na prostą, to o nim zapomni, zdradzi go, tymczasem teraz uświadomiła sobie, że istnieje sposób, by zapamiętać nie tylko ich kłótnie, ale także chwile, w których śmiali się do rozpuku, nie tylko ciche dni, ale i rozmowy o wszystkim i niczym, nie tylko sekrety, które przed sobą taili, ale i te, którymi się dzielili.

Zoe przyglądała się Frances obserwującej grupkę przy drzwiach. Wyglądała dziś młodziej bez jasnoczerwonej szminki, którą zawsze miała na ustach podczas wspólnych ćwiczeń. Najwyraźniej traktowała makijaż jak strój, bez którego nie mogła pokazać się światu.

Zoe wyobraziła sobie, że jest nią, autorką romansów w średnim wieku, zrobioną w konia przez oszusta matrymonialnego; i że jest nim, Napoleonem, który płakał, nie zdając sobie z tego sprawy, a teraz klęcząc, próbował otworzyć zamek wytrychem; i Heather, wściekłą na cały świat, ale przede wszystkim na siebie i własne błędy; i tym przystojnym facetem, którego nie uszczęśliwiła wygrana na loterii; i jego superseksowną żoną; i tym pięknym homoseksualnym prawnikiem od rozwodów; i panią, która uważała, że jest za gruba; i tym panem, który kiedyś się uśmiechał i grał w futbol. Była nimi wszystkimi i sobą zarazem.

Ale jazda. Chyba nadal była naćpana.

– Wiele dla mnie znaczy to, że spodobała ci się moja książka – powiedziała Frances, patrząc na Zoe lśnącymi od łez oczami.

Była taka urocza. Naprawdę liczyła się z opinią Zoe.

„Dobra robota, mała”, powiedział Zach. „Ty jątrząca, jadowita jagódka”.

Zach wciąż był z nią. Nie zamierzał odejść. Wiedziała, że będzie przy niej, kiedy skończy studia, wyruszy w podróż, znajdzie pracę, wyjdzie za mąż i się zestarzeje. To, że zdecydował się umrzeć, nie oznaczało, że ona nie mogła wybrać życia. Zachowała go w sercu i w pamięci, by dotrzymywał jej towarzystwa aż do samego końca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Ben

Nic nie działało, próbując otworzyć drzwi wytrychem. Ben od początku wiedział, że im się nie uda. Nie mieli właściwych narzędzi, a zamek niedawno zainstalowano. Nie obyło się bez przekleństw i uszczypliwych uwag.

– W takim razie ty pokaż, jak to się robi!

Co rusz ktoś próbował odgadnąć kod, ale czerwona lampka uparcie migiała, jakby chciała im powiedzieć, żeby się odpiardolili. Na jej widok Ben coraz bardziej się wkurzał.

Nawet jego przyjaciel Jake, ślusarz, nie poradziłby sobie z tym zamkiem. Ben zapytał go kiedyś, czy potrafiłby otworzyć każde drzwi.

– Gdybym tylko miał odpowiednie narzędzia – odparł Jake.

Teraz ich nie mieli.

Wreszcie Ben skapitulował. Zostawił Carmel i dwóch starszych facetów, Napoleona i Tony'ego, którzy bezskutecznie się trudzili, i usiadł obok Jessiki, która obgryzała sztuczny paznokieć. Uśmiechnęła się do niego łagodnie. Miała spierzchnięte usta. Zeszłej nocy całowali się w nieskończoność, na oczach wszystkich. Masza od czasu do czasu siadała obok nich, a oni nie przerywali, jak dwoje napalonych nastolatków w miejskim autobusie.

Od napalonych nastolatków różniło ich tylko to, że nie zmierzali do żadnego celu. Ben nie całował Jessiki w ramach gry wstępnej. Całowanie było celem samym w sobie. Mógłby to robić bez końca. To nie było obleśne pijackie migdalenie się, tylko hiperrealne doświadczenie, angażujące całe ciało. Ben nie mógł udawać, że jego pierwszy kontakt z narkotykami mu się nie spodobał. Czuł się fantastycznie. Czy dla

tych doznań jego siostra zniszczyła sobie życie?

Czy Ben posunąłby się do kradzieży, by powtórzyć to doświadczenie?

Od kiedy skończył dziesięć lat, jego matka z zatroskaną, wymizerowaną twarzą powtarzała:

– Wystarczy jeden jedyny raz, Ben, by zrujnować sobie życie.

Słyszał to w kółko, jak bajeczkę na dobranoc o ślicznej dziewczynce, jego siostrze, która uległa narkotynom niczym straszному potworowi.

– Nigdy, przenigdy ich nie dotykaj – powtarzała mama, boleśnie ściskając jego ramię i wpatrując się w niego z taką intensywnością, że miał ochotę odwrócić wzrok, ale gdyby to zrobił, ona znowu zaczęłaby swoją mantrę.

Matka nie musiała go ostrzegać. Wystarczyło, że spojrzał na siostrę. Dramat zaczął się, kiedy miał dziesięć lat, a ona piętnaście, ale wciąż pamiętał ją z dawnych czasów, kiedy jeszcze była tamtą prawdziwą Lucy, którą mu odebrano. Zachowywała się grzecznie i grywała w piłkę nożną. Siadała z wszystkimi do kolacji, jadła, mówiła do rzeczy, śmiała się z żartów, nie rechotała całymi godzinami bez powodu, a kiedy coś ją wkurzyło, to irytowała się jak człowiek, a nie jak wściekły demon o czerwonych oczach. Nie kradła, nie rzucała przedmiotami i nie przyprawiała do domu chuderlawych chłystków o szczurzych twarzach i takich samych demonicznych, czerwonych oczach. Matka nie musiała ostrzegać Bena. Sam widział, ile zła potrafi wyrządzić ten potwór.

Biedna matka Bena dostałaby zawału, gdyby dowiedziała się, że jej syn zażył narkotyki.

– Nic się nie stało – pocieszyła go szeptem Jessica, jakby czytała mu w myślach. – Nie uzależniłeś się.

– Wiem.

Położył dłoń na jej ręce, myśląc, że być może terapia im pomogła. Tylko w takim razie czemu nie ogarnęła go euforia? Może tak wyglądał kac po dragach. Właśnie przez niego ludzie się uzależniali. Haj był cudowny, a zjazd tak przytłaczający, że niektórzy ryzykowali bardzo wiele, by znowu odlecieć.

Pamiętał swoją rozmowę z Jessicą. Gadali całą noc, o wszystkim. Przez cały swój

związek tyle nie rozmawiali. Mówili o pieniądzach. Wyznał jej, że nie podoba mu się jej nowa twarz i ciało. Wcześniej problem ten urastał do niewyobrażalnych rozmiarów, a teraz z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wydał się Benowi zupełnie trywialny. Dlaczego ta sprawa miała dla niego takie znaczenie? I co z tego, że nie podobały mu się jej nabrzmiałe usta? To jeszcze nie koniec świata.

Poza tym to ona zarysowała karoserię samochodu. To też niewiele znaczyło. Ben czuł się tak, jakby smoothies spuściły całe powietrze z ich konfliktu, który teraz stracił wagę i sens, i właściwie stanowił powód do wstydu. Jakby oboje robili z igły widły.

Poruszyli jeszcze inny, znacznie ważniejszy temat. Ben był pewien, że zaraz sobie przypomni, o co chodziło.

Jessica odchyliła dekolt i wsunęła nos pod bluzkę.

– Śmierdę. Spróbuję trochę się ogarnąć w łazience.

– Okej – powiedział.

– Muszę umyć twarz – dodała Jessica, przesuwając dłonią po policzku.

– Okej – powtórzył Ben. Spojrzał na żonę. – Nikt nie zauważy, że nie masz makijażu.

– Owszem, ktoś zauważy – odparła, podnosząc się z podłogi. – Ja zauważę. – W jej głosie nie było gniewu.

Odprowadził ją wzrokiem do łazienki.

„Wszystko naprawiliśmy? Mamy odpowiednie narzędzia?”

Zjadłby mcmuffina z bekonem i jajkiem. Zapraagnął znaleźć się w warsztacie, wśród kolegów, słuchać radia i naprawiać samochody. Postanowił wrócić do roboty. Co z tego, że nie potrzebowali pieniędzy? On miał ochotę czymś się zająć.

Jak długo mieli jeszcze tkwić tu na dole? Chciał spojrzeć na niebo. Nawet kiedy jeszcze był zatrudniony, nie spędzał całego dnia w zamkniętym pomieszczeniu, tylko jadł lunch na zewnątrz.

Przypomniał mu się program telewizyjny o facecie niesłusznie skazanym na karę więzienia, który wyznał matce, że od siedmiu lat nie widział księżyca. Ben, słysząc to, poczuł dreszcze na całym ciele. Co za biedny sukinsyn.

– Hej, mogę się przysiąc?

Podeszła do niego Zoe, która przyjechała tu z rodzicami.

Usiadła obok.

Przez ostatnie dni zachodził w głowę, dlaczego młoda, zdrowa i wysportowana dziewczyna wybrała się do takiego ośrodka. Teraz już wiedział.

– Przykro mi z powodu twojego brata – powiedział.

Spojrzała na niego.

– Dzięki. – Poprawiła kucyk. – A mnie z powodu twojej siostry.

– Skąd o niej wiesz?

– Twoja żona wspomniała o jej uzależnieniu, kiedy dowiedzieliśmy się, czym doprawili nasze smoothies.

– No tak. Zapomniałem.

– Pewnie nie jest ci łatwo. – Zoe podkurczyła palce stóp.

– Jessica bardzo to przeżywa. Musi w kółko słuchać tej samej opowieści. Nie знаła mojej siostry sprzed nałogu, więc uważa Lucy za ćpunkę bez krzty rozumu.

– Trudno zrozumieć relacje rodzinne drugiej osoby – powiedziała Zoe. – Zerwałam z chłopakiem, bo chciał w tym tygodniu jechać na Bali, a ja odmówiłam, żeby zostać z rodzicami w rocznicę śmierci brata. A on na to: „Zamierzasz do końca życia spędzać ten tydzień ze swoimi starymi?”. Odparłam... „Mhm, tak”.

– To chyba jakiś palant – powiedział Ben.

– Za późno się zorientowałam – skwitowała Zoe.

– Twój brat pewnie przejrzałby go na wylot – powiedział Ben, bo faceci prędzej rozpoznawali palantów, ale kiedy tylko usłyszał swoje słowa, miał ochotę palnąć się w głowę. Czy wypadało mówić takie rzeczy w rocznicę śmierci jej brata? Może ten chłopak nie troszczył się o siostrę.

Ale Zoe się uśmiechnęła.

– Zapewne.

– Jaki był twój brat? – zapytał Ben.

– Interesował się fantastyką naukową, teoriami konspiracyjnymi, polityką i muzyką, o której nikt nie słyszał. Nigdy się nie nudził. W zasadzie nie zgadzaliśmy się we wszystkich możliwych kwestiach.

Przez jedną przerażającą chwilę Benowi wydawało się, że Zoe się rozpłacze.

– A jaka była twoja siostra, zanim zaczęła brać narkotyki? – zapytała Zoe. – Czy raczej, jaka jest, kiedy ich nie bierze?

– Kiedy ich nie bierze? – powtórzył Ben. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. „Lucy, kiedy nie bierze”. – Była najzabawniejszą osobą, jaką spotkałem w życiu. Czasem wciąż taka jest. Nie przestała być człowiekiem. Narkomanów często traktuje się tak, jakby nie byli ludźmi, ale ona... Nadal jest żywą osobą.

Zoe skinęła głową z poważną miną, jakby przyjęła do wiadomości to, co właśnie usłyszała.

– Nasz ojciec się od niej odciął – kontynuował Ben. – Nie chce mieć z nią do czynienia. Wolał zachowywać się tak, jakby... nigdy nie istniała. Twierdził, że tylko w ten sposób przetrwa.

– I dobrze na tym wyszedł? – zapytała Zoe.

– Tak, doskonale – odparł Ben. – Zostawił nas. Rodzice się rozwiedli. Kiedy się widzimy, nawet nie pyta o Lucy.

– Każdy inaczej radzi sobie z problemami – stwierdziła Zoe. – Po śmierci Zacha ojciec rozmawiał o nim bez przerwy, a matce jego imię nie chciało przejść przez usta, więc...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jak sądzisz, co tu się dzieje? – zapytała Zoe.

– Nie mam pojęcia – odparł Ben. – Naprawdę.

Zobaczył, że Jessica wychodzi z łazienki. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się trochę speszona. Może dlatego, że nie miała makijażu. Ostatnimi czasy Ben rzadko widywał ją bez tapety na twarzy.

Spojrzał na żonę i uświadomił sobie, że ją kocha, ale jednocześnie zaświtała mu jeszcze inna myśl. Pocałunki nie zbliżyły ich do siebie. To było pożegnanie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Frances

Nikt się nie zjawił. Godziny mijały im tak powoli, jakby utknęli w samolocie, który w nieskończoność oczekuje na pozwolenie na start.

Co chwilę ktoś wracał do drzwi i wprowadzał wybraną na chybił trafił kombinację cyfr.

Frances, korzystając z kodu alfanumerycznego, wpisała kilka słów: LSD, psychodeliczny (niełatwo to przeliterować), odblokuj, otwórz, klucz i zdrowie.

Czerwone światełko wciąż złośliwie migało.

Ich nastroje zmieniały się w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Heather ucichła i wycofała się, jakby straciła wszystkie siły. W kącie ułożyła trzy maty jedna na drugiej, skuliła się na nich i zasnęła.

Lars śpiewał. Bez końca. Miał głęboki, dźwięczny głos, ale przerywał kolejne piosenki po kilku wersach, co brzmiało tak, jakby szukał odpowiedniej stacji radiowej.

Wreszcie Tony warknął:

– Jezu, daj sobie siana, stary.

Lars spojrzał na niego spłoszony i umilkł w połowie *Lucy in the Sky with Diamonds*, jakby dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że śpiewa na głos.

Carmel w nieregularnych odstępach czasu głośno cmokała, a Frances postanowiła sprawdzić, jak długo będzie w stanie to tolerować. Naliczyła trzydzieści dwa cmoknięcia, kiedy Lars nie wytrzymał.

– Długo jeszcze będziemy musieli tego słuchać? – zapytał.

Niektórzy zaczęli ćwiczyć. Jessica i Zoe wykonały kilka asan. Ben zrobił imponującą liczbę pompek, a kiedy skończył, ciężko dyszał zlany potem.

– Lepiej oszczędzać energię – poradził mu uprzejmie Napoleon. – Przecież pościmy. Frances nie użyłaby tego określenia. Post zazwyczaj wybiera się z własnej woli.

Wbrew jej przewidywaniom Napoleon nie mówił za wiele. Od ich pierwszego spotkania uważała go za gadułę, tymczasem teraz ucichł, zamyślił się i tylko od czasu do czasu, marszcząc brwi, zerkał na zegarek, a potem posyłał w stronę kamery poirytowane spojrzenie, jakby chciał zapytać: „Serio?”.

– A jeśli coś im się stało? – zapytała Frances. – Jeśli ktoś ich zamordował albo porwał? A może się rozchorowali?

– Zamknęli nas tu – odparł Lars. – A to oznacza, że zaplanowali tę akcję.

– Może chcieli nas tu potrzymać przez godzinę, ale przydarzyło im się coś strasznego – snuła domysły Frances.

– W takim wypadku ktoś nas znajdzie – uspokoił ją Napoleon. – Nasi przyjaciele i krewni zauważą, że nie wróciliśmy z wakacji.

– A zatem spędzimy tu góra cztery, pięć dni? – stwierdziła Frances.

– Ale schudniemy – ucieszyła się Carmel.

– Ja chyba zwariuję – oznajmił Ben tak drżącym głosem, jakby już zaczął odchodzić od zmysłów.

– Grunt, że mamy bieżącą wodę – powiedział Napoleon. – I łazienki. Mogło być gorzej.

– Mogło też być lepiej – zauważył Tony. – Przydałaby się obsługa hotelowa.

– Uwielbiam zamawiać jedzenie do pokoju – wyznała Frances.

– Obsługa hotelowa i kilka filmów – rozmarzył się Tony.

Spojrzeni po sobie i Frances jako pierwsza odwróciła wzrok, bo mimowolnie wyobraziła sobie, że zostaje z Tonym sam na sam w pokoju. Oczyma wyobraźni zobaczyła jego wytatuowane pośladki, kiedy on wychodzi spod prysznic z uroczym uśmiechem.

Skarciła się za to w myślach, a w uszach zadźwięczał jej głos taty: „Zawsze miałaś bzika na punkcie chłopców”. Pięćdziesiąt dwa lata, a w głowie sieczka. To, że oboje lubili zamawiać jedzenie do pokoju, nie świadczyło o ich dopasowaniu. Niby o czym mieli rozmawiać podczas posiłku? O futbolu?

– Zaproponujmy im pieniądze – powiedziała nagle Jessica. – Tylko niech nas wypuszczą! Każdy ma swoją cenę, no nie?

– Ile? – zapytał Ben. – Milion? Dwa?

– Bez przesady – przyhamował go Lars.

– Nie wystarczą obietnice, żeby nas wypuścili – powiedział Tony, ale Jessica już wyszła na środek sali i spojrzała w kamerę.

– Masza, jesteśmy gotowi zapłacić, żeby się stąd wydostać! – Położyła ręce na biodrach. – Cena nie gra roli. Stać nas na to. Szczerze mówiąc, z radością zapłacimy za... podwyższenie standardu usługi. Chętnie poniesiemy karę pieniężną za ominięcie tej części programu. – Nieśmiało rozejrzała się po pomieszczeniu. – Zapłacimy za wszystkich. Pokryjemy koszt uwolnienia każdego w tym pomieszczeniu.

Zero odzewu.

– Maszy chyba nie zależy na pieniądzach – zasugerował szeptem Napoleon.

„W takim razie na czym?”, pomyślała Frances.

Przypomniało jej się, jak podczas indywidualnej sesji terapeutycznej Masza z błyskiem w oku wspomniała, że dawniej magnetowid był jej oknem na świat, ale przypuszczalnie filmy przestały ją interesować. Bez wątpienia chciała dać do zrozumienia, że Australia nie mogła się obyć bez jej intelektu. Pragnęła uznania? Podziwu? Czegoś innego?

A może po prostu miłości? Chciała być kochana, jak każdy. Niektórzy w dziwny sposób wyrażali tę potrzebę.

– Nawet nie wiemy, czy nas obserwują – powiedział Lars. – Może siedzą gdzieś rozparci na kanapie i oglądają *Orange Is the New Black*?

– Nie płaciliśmy za noclegi w sali wieloosobowej! – Jessica groziła palcem do kamery. – Nie zamierzam spędzić tu kolejnej nocy! Zapłaciliśmy za pokój dla dwojga i chcę się w nim jak najszybciej znaleźć! Jestem głodna i zmęczona! – Powąchała kosmyk włosów. – Muszę natychmiast umyć głowę!

– O Boże. – Ben przycisnął palce do skroni i komicznie się zatoczył. – Właśnie sobie przypomniałem, co powiedziałaś! Jesteś w ciąży! Zeszłej nocy właśnie to mi wyjawiałaś!

– Ach tak. – Jessica spojrzała na swojego męża. – Zupełnie zapomniałam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Dalila

– Na pewno nie jest w ciąży. – Yao zbladł jak ściana. – To niemożliwe.

Siedzieli we trójkę w gabinecie Maszy, obserwując na monitorze gości zgromadzonych w sali do jogi i medytacji.

– Nie pozwoliłbym podać tych substancji ciężarnej kobiecie – dodał Yao.

– W takim razie czemu w kółko to powtarza? – zapytała Masza.

Siedzieli w gabinecie od kilku godzin. Masza i Yao wstali i przechadzali się, spoglądając na ekran, ale Dalila usiadła w fotelu przy biurku.

Była zmęczona, głodna i miała wszystkiego dość. Znudziła jej się praca konsultantki wellness. Po czterech latach wszyscy goście wydawali jej się jednakowi. Byli skupieni wyłącznie na sobie, a ona czuła się tak, jakby grała trzecioplanową rolę w opowieści o cudzym życiu.

Przez wszystkie te lata zaledwie garstka gości próbowała się dowiedzieć czegoś o niej. No dobra, mniejsza o to, czy chcieli z nią rozmawiać, ale czemu zakładali, że ona powinna się interesować nimi!?! Opowiadali jej o swoich małżeństwach, życiu seksualnym i problemach trawiennych! Jeszcze jedna skarga na zespół jelita drażliwego i Dalila gotowa była podciąć sobie żyły.

Poza tym spadał na nią grad narzekań: że poduszki nie dość miękkie, że w pokoju panuje nieodpowiednia temperatura, że pogoda fatalna, jakby Dalila miała na nią jakikolwiek wpływ.

Miło jej było, kiedy goście pod koniec turnusu czuli „ogromną zmianę”, ale Dalila nie traktowała całej tej transformacji z taką nabożną powagą jak Masza i Yao.

Lubiła ćwiczyć jogę, miała bardzo mocne mięśnie głębokie i była dumna ze swojego

sześciopaku, medytacja ją relaksowała, praktykowanie *mindfulness* przynosiło wiele pożytku, a uzupełnienie metody o narkotyki nie budziło jej sprzeciwu, jeśli tylko mogły one ubarwić życie i sprawić, że goście zyskają lepszy wgląd we własną psychikę, choć prawdę powiedziawszy, ich psychika nie wydawała się aż tak skomplikowana. Nie dokonywali tu Bóg wie jakich przemian. To było najzwyczajniejsze w świecie spa.

Dalila potrafiła doskonale udawać, że jest tak zaangażowana jak Masza i Yao. Miała duże doświadczenie w odgrywaniu tej roli. Tak samo podchodziła do pracy, gdy była asystentką Maszy w korporacji mleczarskiej. „O tak, jestem zafascynowana tym nowym jogurtem”. Po tym, jak Masza dostała zawału i odeszła z firmy, Dalila z tym samym udawanym zacięciem pełniła swoje obowiązki w firmie ubezpieczeniowej. Lata spędzone na stanowisku sekretarki doskonale przygotowały ją do pracy konsultantki wellness: przytakiwała, uśmiechała się, na wszystko się zgadzała, działała zakulisowo i zadawała tylko niezbędne pytania. Masza nieźle płaciła. Dalila zaoszczędziła już prawie tyle, ile było jej potrzebne, by wyruszyć w roczną podróż.

– Wszystkim kuracjuszkom zrobiłem testy ciążowe – zapewnił je Yao. – Nawet tym starszym. Jessica nie jest w ciąży.

– Więc czemu twierdzi co innego? – zapytała znowu Masza.

– Nie wiem – irytował się Yao.

Był bardzo zdenerwowany, bliski łez.

– Może nas pozwać za to, że podaliśmy jej narkotyki – powiedziała Dalila.

– Nie potrzebuje pieniędzy. Sama to przed chwilą przyznała – przypomniała jej Masza, pokazując na ekran.

Dalila wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Może próbuje nam coś udowodnić. „A co, gdybyście nieopatrznie podali narkotyki kobiecie w ciąży?”

– Nie jest w ciąży – powtórzył Yao.

– Ale nie wie, że my o tym wiemy – odparła Dalila. – Siostra jej męża jest uzależniona, więc oni pewnie potępiają zażywanie narkotyków. Szkoda, że wcześniej o tym nie wspomniała.

Masza wbiła w nią wzrok.

– Powinni być szczęśliwi. Ich terapia przebiegła doskonale! Całowali się!

– Bo byli na haju – przypomniała jej Dalila.

Rozbrajała ją niewinność Maszy. Naprawdę jej się wydawało, że te ich obłapianki coś znaczyły?

– Całowali się bardzo długo – odparła Masza.

– Tak – powiedziała Dalila. – Właśnie tak działa na ludzi ecstasy. Dlatego nazywa się je narkotykiem miłości.

Dalila po pierwszym zażyciu ecstasy całowała się przez dwie godziny ze swoim ówczesnym chłopakiem, Ryanem, i było to najwspanialsze doznanie w jej życiu, ale to nie oznaczało, że od razu zapragnęła poślubić tego nadętego Angoła, paradującego w obcisłych, fioletowych koszulach. Po prostu się całowali.

– To nie był tylko wpływ narkotyków – upierała się Masza. – Doprowadziłam do przełomu w ich relacji.

– Mmm – przytaknęła jej Dalila.

Masza, tak jak wszyscy ludzie, dla których pracowała Dalila, była do bólu narcystyczna. Dalila śmiała się w duchu, kiedy jej szefowa z powagą opowiadała gościom o „rozproszeniu ja”, jakby sama potrafiła rozproszyć swoje rozdęte do granic możliwości ego. Przez kilka ostatnich lat Dalila obserwowała, jak ego Maszy jeszcze bardziej się rozdyma pod wpływem kuracjuszy spijających słowa z jej ust i posłusznego jak pies Yao.

– Mam do tego dobrą rękę – wyznała z kamienną twarzą Masza, choć prawdę powiedziawszy, cóż ona wiedziała na temat związków?

W ciągu tych kilku lat przyznała się do jednej bliskiej relacji. Dalila nie wiedziała nawet, czy jej szefowa jest hetero, homo, bi czy aseksualna.

– Oczekiwałam, że na tym etapie będą mieć bardziej pozytywne nastawienie – powiedziała Masza. – I okażą wdzięczność.

Dalila i Yao wymienili spojrzenia. Coś takiego. Słowa Maszy zabrzmiały niemal tak, jakby przyznawała się do winy. Albo przynajmniej zwątpiła we własne możliwości.

Yao wyglądał na tak przerażonego, jakby zawalił mu się cały świat. Ten koleś miał obsesję na punkcie Maszy i najprawdopodobniej się w niej podkochiwał. Dalila nie

wiedziała, czy to platoniczne uczucie. Facet zachowywał się jak fan wielkiej gwiazdy, który nie może uwierzyć w to, że znalazł się w tym samym pomieszczeniu co ona.

– Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin! – zauważyła Masza. – Wiedzieli, że podczas turnusu czeka ich post.

– Tak, ale nie poinformowaliśmy ich, że dostaną LSD – powiedziała Dalila. – I że zostaną zamknięci.

Masza najprawdopodobniej źle oszacowała zaangażowanie swoich gości w dzieło transformacji. Tym, którzy przyjeżdżali do Tranquillum House rzekomo po oświecenie, tak naprawdę zależało na odchudzaniu.

Zdaniem Dalili żadna z osób zamkniętych w piwnicy nie uległa wielkiej przemianie. Heather Marconi z pewnością nie zamierzała przyznać im pięciu gwiazdek na TripAdvisorze.

Masza, jak to ona, ani przez moment nie zwątpiła w sukces swojej metody. Nie przejmowała się tym, że podała gościom narkotyki, nie pytając ich o zgodę. Jak twierdziła, najgoręcej protestowałyby ci, którzy najbardziej potrzebują pomocy. Cel uświęca środki. Nikt nie złoży zażalenia po przejściu głębokiej transformacji!

– Skupmy się na szukaniu rozwiązań – zaproponowała Masza, przyglądając się tymczasowo uwięzionym gościom. Nie wyglądała na zmęczoną.

Dalila cofnęła się pamięcią o dziesięć lat, do pewnego wieczoru, kiedy jeszcze pracowała jako asystentka Maszy. Ktoś odkrył poważny błąd w analizie budżetu, który następnego dnia miał zostać przedstawiony radzie nadzorczej. Masza pracowała ciągiem przez trzydzieści godzin, nie zmrużywszy oka, by skorygować obliczenia. Dalila została z nią w biurze, ale kilkakrotnie się zdrzemnęła, by nabrać sił. Prezentacja zakończyła się triumfem.

Pół roku później Masza dostała zawału.

A po pięciu latach, kiedy Dalila zapomniała o jej istnieniu, dawna szefowa zaproponowała jej staż na stanowisku konsultantki wellness w ośrodku, który właśnie otwierała.

Masza z upodobaniem powtarzała gościom, że dowiedzą się, jaką podróż ku lepszemu samopoczuciu odbyła Dalila, która nie miała na ten temat nic do powiedzenia, bo żadnej podróży nie odbyła. Zrezygnowała z pracy asystentki palanta kierującego

firmą ubezpieczeniową. Cała jej podróż sprowadzała się do przejazdu pociągiem z Sydney do Jarribongu.

– Moim zdaniem powinniśmy ich wypuścić – powiedział Yao. – Tak przewiduje plan.

– Musimy dostosowywać się do zmieniającej się sytuacji – pouczyła go Masza. – Zastrzegłam to od samego początku. Tylko zdecydowane działanie gwarantuje spektakularne rezultaty. Wiem, że postawiłam ich w trudnej sytuacji, ale dzięki temu zyskali okazję, by się zmienić. Mają wodę i dach nad głową. Zmusiliśmy ich tylko do wyjścia ze strefy komfortu. Właśnie od tego zaczyna się rozwój.

– Nie wiem, czy powinniśmy postępować w ten sposób – zawahał się Yao.

– Pogłośnij – rozkazała mu Masza.

– Oczywiście po wyjściu stąd musimy zgłosić sprawę na policji – powiedziała jedna z kuracjuszek.

– Kto to? – zapytała Masza.

– Frances – odparł Yao, nie odrywając wzroku od ekranu.

Frances stała tyłem do kamery, rozmawiając z Larsem.

– Frances!?! – zdziwiła się Masza. – Była zachwycona swoim doświadczeniem. Tak wiele dzięki niemu zyskała.

– Tak nakazuje moralność i prawo – zgodził się z rozmówczynią Lars. – To nasz obywatelski obowiązek. Jeśli go zaniechamy, oni w końcu doprowadzą do czyjejś śmierci.

– Nie wiem, czy chciałabym ich zobaczyć za kratkami – powiedziała Frances. – Moim zdaniem mają dobre intencje.

– W tej chwili, Frances, bezprawnie pozbawiono mnie wolności – oznajmił Lars. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś poszedł za to na chwilę za kratki.

– O Boże – wyjęczał Yao, przyciskając pięść do ust. – To katastrofa. Oni w ogóle się nie starają!

– Jaka tam katastrofa – uspokoiła go Masza. – Poradzą sobie. Zajmie im to trochę więcej czasu, niż się spodziewaliśmy.

– Nasza terapia niespecjalnie na nich wpłynęła – upierał się Yao. – Wyglądają na...

wkurzonych.

Dalila ugryzła się w język. „Tak wygląda zjazd po dragach, idioci”.

– Ktoś ma ochotę na zieloną herbatę? – zapytała.

– Dziękuję, Dalilo. Miło, że o tym pomyślałaś – powiedziała Masza z wdzięcznością, kładąc jej dłoń na ramieniu i posyłając jeden ze swoich najcieplejszych uśmiechów.

Masza zawsze miała charyzmę, nawet dawniej, kiedy jeszcze nie była boginią, tylko zaniedbaną dyrektorką w korporacji. Każdy chciał ją zadowolić. Dla żadnego ze swoich szefów Dalila nie harowała tak ciężko jak dla niej, ale nadeszła pora, by zamknąć ten rozdział.

Najwyraźniej tym razem interwencja policji była nieunikniona. To Dalila kupiła narkotyki za pośrednictwem darknetu, co sprawiło jej wiele radości, bo teraz mogła dodać do CV nową umiejętność obok obsługi PowerPointa. Za takie przestępstwo groziło Dalili więzienie, a perspektywa pójścia za kratki wydawała jej się mało kusząca.

W głębi duszy od początku podejrzewała, że tak to się skończy. Zaczęła się tego obawiać już w chwili, kiedy Masza wręczyła jej książkę na temat terapeutycznego zastosowania psychodelików, oznajmiając:

– To pomoże zrewolucjonizować nasze metody.

Dalila pomyślała wtedy: „To się źle skończy”. Jednak od jakiegoś czasu czuła się znudzona. Eksperyment z narkotykami wydał jej się ciekawym urozmaiceniem. Poza tym miała ogromną ochotę zobaczyć to wielkie fiasko.

Już od roku dodawali mikrodawkę narkotyków do koktajli. Żaden z gości się nie zorientował. Dochodzili do wniosku, że wspaniałe samopoczucie zawdzięczają organicznej diecie i medytacji. Wracali, by znowu poczuć się świetnie.

Masza postanowiła jednak pójść o krok dalej. Marzyła jej się rewolucja. Chciała przekroczyć granice. Ubzdurzyła sobie, że zmienią bieg historii, ale Yao jej nie przyklasnął. Nie chciał zmieniać biegu historii, tylko nieść pomoc. Masza upierała się, że mogą zrobić wiele dobrego, trwale zmieniając życie swoich podopiecznych.

Yao dał się przekabacić, kiedy pod kierunkiem Maszy wypróbował na sobie terapię psychodelikami. Dalili przy tym nie było, bo w tamten weekend wzięła wolne, ale po

powrocie zauważyła jeszcze bardziej szaleńczy i obsesyjny błysk w oczach Yao, który co rusz powoływał się na jakieś badania, jakby swoje nastawienie zmienił pod ich wpływem, a nie za sprawą halucynogennych narkotyków i sugestii Maszy.

Oczywiście Dalila poszła w jego ślady. Czuła się cudownie, ale nie była na tyle głupia, by uwierzyć, że naprawdę doznała objawienia. Tak właśnie działają narkotyki. Kiedyś zjadła grzybki halucynogenne. Miała pełną świadomość, że myli pożądanie z miłością, i ani przez moment nie wierzyła w autentyczność ogarniających ją wzruszeń. Nie dała się nabrać. Jej emocje zostały sztucznie wzbudzone.

Miała ochotę otrzeźwić Yao siarczystym policzkiem, kiedy bez końca nawijał o tym, czego rzekomo dowiedział się dzięki terapii psychodelikami. Ten uroczy, głupiutki chłopiec po raz kolejny dał dowód swojego uzależnienia od Maszy. Przepadł z kretesem. Tkwił w tym bagnie po uszy.

Dalila nie poszła do kuchni, by zaparzyć zieloną herbatę. Pobieгла prosto do swojego pokoju po dowód osobisty. Nie zamierzała zabierać niczego, co kojarzyłoby jej się z tym życiem: ani białego uniformu, ani perfum z nutą drzewa sandałowego, ani swojej maty do jogi.

Od kiedy zaczęła pracować zawodowo, wiedziała o sobie jedno: była urodzoną sekretarką. Tą, która służy innym pomocą, jak kamerdyner albo dwórka. Kimś, kto jest obecny, ale milczy. Nie dowodziła tym statkiem i nie zamierzała pójść z nim na dno.

Pięć minut później siedziała za kółkiem lamborghini Bena, jadąc na pobliskie lotnisko, gdzie zamierzała wsiąść na pokład pierwszego lepszego samolotu.

Samochód prowadził się jak marzenie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Jessica

– Który to miesiąc? – zapytała Heather ze swojego legowiska w kącie sali.

Usiadła i tak mocno przetarła oczy, że Jessicę przeszył dreszcz. Nie wolno tak traktować delikatnej skóry powiek.

– Hmm, niech policzę. To drugi dzień – odparła Jessica, kładąc dłoń na brzuchu.

– Drugi dzień? – zdziwiła się Carmel. – Okres spóźnia ci się dwa dni?

– Nie, jeszcze się nie spóźnia – odparła Jessica.

– Nie zrobiłaś jeszcze testu?

– Nie. – Jezu. Czuję się jak na przesłuchaniu. – Niby skąd miałam go wytrzasnąć?

Sytuacja zrobiła się co najmniej dziwna. Wszyscy stali w kółku, jak na imprezie w biurze, rozmawiając o miesiączce Jessiki.

– Więc możliwe, że nie jesteś w ciąży? – zapytał Ben.

Jessica nie wiedziała, czy jego westchnienie wyrażało ulgę, czy rozczarowanie.

– Jestem – zapewniła go.

– Skąd wiesz? – drążyła dalej Carmel.

– Po prostu wiem – irytowała się Jessica. – Zorientowałam się, kiedy zaszłam.

– Masz na myśli moment poczęcia? – zapytała Carmel.

Jessica zauważyła, że Carmel i Heather patrzą po sobie, jakby chciały powiedzieć: „Wierzysz w te brednie?”. Starsze kobiety potrafią traktować młodsze koleżanki tak protekcjonalnie.

– No cóż, niektóre matki twierdzą, że wiedziały o ciąży od samego jej początku – powiedziała uprzejmie Heather. – Może to właśnie ten przypadek.

– Założę się, że równie wiele kobiet „wie”, choć potem rzeczywistość weryfikuje ich podejrzenia – powiedziała Carmel.

– O co tyle szumu? – wkurzyła się Jessica. Dlaczego to czupiradło tak się na nią wściekało? – Wiem, mieliśmy unikać kontaktu fizycznego podczas ciszy. – Zerknęła na obserwujące ich w milczeniu czarne oko kamery. – Ale narkotyków też mieliśmy nie brać.

Do ich zbliżenia doszło w ciemności, w drugą noc. Nie odezwali się do siebie. Kochali się bez słowa, po omacku, namiętnie i gorączkowo, a potem Jessicę ogarnęła fala spokoju, bo nawet jeśli ich małżeństwo się rozpadnie, to trudno, ale przynajmniej teraz zostałyby z dzieckiem i to małżeństwo zostało poczęte z miłości.

– Zaraz, ona zażywa pigułki – powiedział Ben do Heather i Carmel, jakby Jessica nie stała obok niego. – Czy wtedy można zajść w ciążę?

– Tylko abstynencja seksualna jest stuprocentowo skutecznym środkiem antykoncepcyjnym, ale jeśli twoja żona... – Heather spojrzała na Jessicę. – Jeśli zażywasz pigułkę codziennie o tej samej porze, to mało prawdopodobne, byś zaszła w ciążę.

Jessica westchnęła.

– Odstawiłam tabletki dwa miesiące temu.

– Ach – westchnęła Heather.

– Nic mi nie mówiąc? – oburzył się Ben. – Odstawiłaś tabletki i nie raczyłaś mnie o tym poinformować?

– Oho – wyszeptał Lars.

– Nie wspomniałaś o tym wczoraj, kiedy ponoć „mówiliśmy z głębi serca”.

Z kamienną miną, sarkastycznym tonem zacytował Maszę, a Jessice przypomniawszy poprzednią noc, kiedy słowa bez przeszkód płynęły z ich ust. Faktycznie, nie powiedziała mu o tym, że odstawiła pigułki. Nawet na haju zataiła przed Benem ten sekret. Wiedziała, że dopuściła się zdrady.

Powinna była mu o tym powiedzieć, kiedy patrzył na nią tak łagodnie, a ona czuła się jego drugą połówką. W tamtej chwili wydawało jej się, że narkotyki ułatwiły jej odkrycie pięknej prawdy, która teraz okazała się pięknym kłamstwem.

– Nie – odparła z dumnie uniesioną głową.

Przypomniała sobie, że podczas ich długiego pocałunku w jej głowie pojawiła się tylko jedna myśl, niczym jaskrawy neon: „Jesteśmy uratowani. Jesteśmy uratowani. Jesteśmy uratowani”.

Wcale nie. Wszystko, czego doświadczyła zeszłej nocy, było ułudą wywołaną przez drugi. Narkotyki kłamią. Rozpierdalają życie. Ona i Ben wiedzieli o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Czasem teściowa Jessiki płakała nad zdjęciami Lucy, zrobionymi zanim jej córka wpadła w szpony nałogu. To dopiero była transformacja.

– Szkoda pieniędzy na takie kuracje – oświadczyła matka Jessiki na wieść o ich wyjeździe. – Lepiej oddajcie całą tę kasę na cele charytatywne i wróćcie do pracy. Wtedy znowu zacznie wam się układać. Będziecie mieli o czym rozmawiać pod koniec dnia.

Jej matce chyba naprawdę się wydawało, że Jessica mogłaby wrócić do tej głównianej roboty, mimo że teraz co miesiąc zyskiwała więcej pieniędzy z odsetek, niż przedtem zarabiała w ciągu roku. Nie mogła wytłumaczyć matce, że za sprawą takiej fortuny człowiek zmienia się na zawsze. Jego wartość rośnie. Staje się kimś lepszym. Jessica nie mogłaby cofnąć się na poprzedni etap, bo zaczęła inaczej postrzegać samą siebie. Rozum podpowiadał jej, że to łut szczęścia zdecydował o jej wygranej, ale w głębi duszy jakiś uparty głos przekonywał ją: „Zasługuję na to, właśnie taki los był mi pisany, OTO JA, zawsze taka byłam”.

– Kochanie, posłuchaj rady kogoś, kto wie lepiej: ciąża to nie najlepszy sposób na naprawę małżeństwa – powiedziała Carmel.

– Dzięki, wcale nie próbowałam go ratować.

– A co chciałaś osiągnąć? – zapytał cicho Ben i przez moment znowu było tak jak poprzedniej nocy, kiedy siedzieli sami w łódeczce porwanej przez fale ekstazy.

– Chcę mieć dziecko – oświadczyła Jessica.

Zamierzała całą ciążę udokumentować na Instagramie. Oczami wyobraźni już widziała wysmakowane zdjęcia przedstawiające ją z dużym brzuchem. Płeć dziecka wyjawiałaby podczas ekskluzywnego przyjęcia. Z wielkiego pudła wyleciałyby niebieskie albo różowe baloniki. Wolałaby różowe. W komentarzach pojawiłoby się tysiąc czerwonych serduszek.

– Bałam się, że powiesz „nie” – wyznała Benowi. – Chciałam zajść w ciążę, zanim się rozstaniemy.

– Czemu miałbym się nie zgodzić? – zapytał Ben. – Od dawna planowaliśmy powiększenie rodziny.

– Tak, wiem, ale potem zaczęły się nasze... problemy – powiedziała Jessica.

Nie chciała usłyszeć w odpowiedzi: „Żartujesz? My i dziecko?”.

– A więc chcesz, żebym do niczego się nie mieszał? – zapytał Ben. – Założyłaś, że się rozstaniemy, i postanowiłaś zostać samotną matką?

– To również twoje dziecko – odparła Jessica. – Nie wyobrażam sobie, bym mogła zajść w ciążę z kimś innym. – Zauważyła, że twarz Bena łagodnieje i nagle, jak ostatnia idiotka, wypaliła: – Jesteś jego ojcem. Będziesz mógł się z nim widywać tak często, jak tylko zechcesz.

– Mogę się z nim widywać tak często, jak tylko zechcę! – wrzasnął Ben, jakby przekazała mu najgorszą wiadomość pod słońcem. – Doprawdy, nie posiadam się ze szczęścia.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu... O Boże.

Ich słowa przestały swobodnie płynąć. Teraz ich rozmowa co rusz z hukiem się wykolejała.

– Chyba trochę za wcześnie na ustalanie harmonogramu wizyt – wtrącił się Lars.

– Wątpię, by była w ciąży – dodała Carmel.

– Jestem w ciąży – upierała się Jessica. – Mam tylko nadzieję, że narkotyki nie zaszkodziły mojemu dziecku.

– Nie ty pierwsza i nie ostatnia zażyłaś narkotyki w pierwszych dniach ciąży – powiedziała Heather. – Pracuję jako położna. Nie uwierzyłabyś, do czego przyznają mi się przyszłe matki, szczególnie za plecami swoich partnerów! Jeśli jesteś w ciąży, twojemu dziecku prawdopodobnie nic nie będzie.

– Widzę, że niniejszym zakończyłaś swoją krucjatę przeciwko narkotykom, mam – stwierdziła z przekąsem Zoe.

– No cóż, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem – szepnęła Heather, choć Jessica i tak ją usłyszała.

– Zążywałał kwas foliowy – oznajmiał Jessica.
– To świetnie – pochwałała ją Heather.
– Tak, doskonała kombinacja: kwas foliowy, odrobina LSD i ecstąsy – zadrwił Ben.
– Idealny początek nowego życia.

– Nie martw się, na pewno nie jest w ciąży – uspokajała go szeptem Carmel.
– Masz, kurwa, jakiś problem? – W głosie Jessiki pobrzmiwał wysoki, histeryczny ton.

Wiedziała, że nie powinna przeklinać i w tak dosadny sposób wyrażać emocji, ale naprawdę się wkurzyła.

– Tylko spokojnie – zainterweniował Napoleon.

Frances, ta pisarka, usiadła na ziemi, cała czerwona na twarzy, jakby pierwszy raz w życiu usłyszała słowo na „k”.

– Przepraszam – powiedziała Carmel, zwieszając głowę. – Chyba zazdrość przeze mnie przemawia.

– Zazdrość? Czego możesz mi zazdrościć? – zapytała Jessica. Czy ta baba nie była za stara na zazdrość? – Czego?

– No cóż... – Carmel zachichotała nerwowo.

„Pieniędzy”, pomyślała Jessica. „Zazdrości mi kasy”. Dłuższą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że ludzie w każdym wieku, nawet osoby z pokolenia jej rodziców, od których można by oczekiwać dojrzałości i które nie powinny przywiązywać aż takiej wagi do pieniędzy, bo ich życie ma się powoli ku końcowi, potrafiły być o nie zazdrosne i zachowywać się zupełnie absurdalnie.

– Jesteś szczupła i piękna – powiedziała Carmel. – Wiem, to wstyd przyznawać się do tego w moim wieku, przecież mam cztery śliczne córeczki i powinnam być ponad takie przyziemne sprawy, ale mąż zostawił mnie dla...

– Tępej dzidy? – dokończył Lars.

– Niestety, nie jest tępą. Ma doktorat – odparła Carmel.

– Och, kochana, można mieć doktorat i wciąż być tylko tępą dzidą – powiedział Lars. – Kto reprezentował cię w sądzie? Zakładam, że wciąż mieszkasz w waszym domu?

– Dziękuję za troskę. Nie narzekam na warunki ugody. – Zamilkła, spoglądając na Jessicę. – Wiesz co, tak naprawdę to chyba zazdroścę ci tej ciąży.

– Przecież masz cztery córki – powiedział Lars. – Mało ci?

– Nie chcę kolejnego dziecka – odparła Carmel. – Ale chętnie cofnęłabym się w czasie do samego początku. Każda ciąża to start od zera. – Położyła dłoń na brzuchu. – W ciąży zawsze czułam się piękna, choć przyznaję, moje włosy wyglądały okropnie. Mam grube i gęste loki, więc z trudem udawało mi się je uczesać.

– Zaraz, jak to? – zaniepokoiła się Jessica.

Dlaczego nikt jej nie ostrzegł? Na pewno można było uporać się z tym problemem za pomocą specjalnych szamponów i odżywek.

– Podczas ciąży włosy przestają wypadać – wyjaśniła Heather. – Dlatego gęstnieją. – Dotknęła swoich włosów. – Moje wyglądały wtedy przepięknie.

– Jestem pewna, że jesteś w ciąży – zapewniła Jessicę Carmel. – Wybacz mi. – Zrobiła pauzę. – Gratuluję.

– Dzięki – odparła Jessica.

Może nie była w ciąży. Może właśnie się zbłąźniła przed tymi ludźmi. Spojrzała na Bena. Wpatrywał się w swoje białe stopy, jakby spodziewał się wyczytać z nich odpowiedź. Miał ogromne stopy. Ciekawe, czy ich dziecko odziedziczyłoby po nim tę cechę. Czy sprawdziliby się jako rodzice? Nie byli zbyt młodzi. Stać ich było na dziecko. Na tuzin dzieci. Dlaczego ta perspektywa wydawała im się tak niewyobrażalna?

Tony wrócił z łazienki ze zwilżonym ręcznikiem i podał go Frances. Przyłożyła go do czoła. Była zlane potem.

– Dobrze się czujesz, Frances? – zatroskała się Carmel.

Wszyscy spojrzeli na Frances.

– Jako tako – odparła, machnąwszy ręką. – Po prostu... Przed chwilą rozmawialiście o nowych początkach, tymczasem ja dotarłam do końca pewnego etapu.

– Ach – westchnęła Heather, jakby wszystko w mig zrozumiała. – Nie myśl o tym jak o końcu. To też nowy początek.

A Carmel dodała:

– Kiedy byłam nastolatką, moja matka nosiła plaketkę z napisem: „To nie uderzenia gorąca, tylko przypływy mocy”. Wtedy uważałam, że to straszna żenada.

Wszystkie trzy zaśmiały się z satysfakcją typową dla kobiet w średnim wieku, a widząc je, Jessica zapragnęła na zawsze pozostać młoda.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Frances

– Wszystko w porządku?

Tony usiadł na podłodze obok Frances w niewygodnej pozycji, jaką zazwyczaj przybierają mężczyźni na piknikach, jakby nie wiedzieli, co zrobić z nogami.

– Nic mi nie jest – uspokoiła go Frances.

Przycisnęła wilgotny ręcznik do czoła, czując, jak ogarnia ją fala ciepła. Nie opuszczał jej niczym nieuzasadniony optymizm, choć przebywała w zamknięciu z grupą nieznajomych i właśnie dostała uderzenia gorąca.

– Dzięki za ręcznik.

Przyjrzała się Tony'emu. Był blady, a na jego skroni też perlił się pot.

– A ty się dobrze czujesz?

Tony otarł czoło.

– Mam lekką klaustrofobię.

– Oficjalnie zdiagnozowaną? Czy po prostu masz ochotę już stąd wyjść? – zapytała.

Ręcznik zsunął się z jej czoła i spadł na uda. Tony próbował przyciągnąć kolana do klatki piersiowej, ale poddał się i rozprostował nogi.

– Czasem mnie dopada. To nic wielkiego. Nie lubiłem tu przebywać, jeszcze zanim nas zamknęli.

– W takim razie muszę czymś cię zająć – stwierdziła Frances. – Odwrócić twoją uwagę.

– Proszę bardzo – odparł Tony. Na jego twarzy pojawił się tylko cień jego dawnego uśmiechu.

– No więc... – zaczęła Frances. Przypomniało jej się to, co poprzedniego wieczoru powiedział Napoleon, zanim smoothies zaczęły działać. – Dopadła cię depresja po tym, jak skończyłeś z zawodowym futbolem?

– Trudno sobie wyobrazić lepszy temat – zadrwił Tony.

– Przepraszam – powiedziała Frances. – Nie jestem w formie. Poza tym szczerze mnie to interesuje. Niewykluczone, że w tej chwili moja kariera dobiega końca.

Tony się skrzywił.

– No cóż, mawia się, że gwiazdy sportu umierają dwukrotnie. Za pierwszym razem, kiedy idą na emeryturę.

– Tak właśnie się czułeś? – zapytała Frances. Gdyby ona musiała skończyć z pisaniem, czułaby się tak, jakby umarła.

– Tak, w pewnym sensie. – Podniósł do połowy wypaloną świecę i oderwał od niej kawałek wosku. – Nie chcę zbytnio dramatyzować, ale przez wiele lat futbol był całym moim życiem i określał moją tożsamość. Zaraz po liceum przeszedłem na zawodowstwo. Moja była żona mawiała, że idąc na emeryturę, wciąż byłem dzieckiem. Według niej przez sport nigdy nie dorosłem. Powtarzała zasłyszaną gdzieś frazę: na boisku zawodowiec, w życiu amator. – Odstawił świecę na podłogę i zgniótł w palcach grudkę wosku. – Słyszałem to od niej za każdym razem, kiedy... dawałem dowód amatorskiego podejścia do życia.

Mówił żartobliwym tonem, ale w jego oczach czaiła się uraza. Frances uznała, że jego była żona to jędba.

– Poza tym nie chciałem kończyć kariery. Uważałem, że mam przed sobą jeszcze jeden sezon. Niestety, moje prawe kolano odmówiło posłuszeństwa. – Zgiął nogę i wskazał na niesubordynowany staw.

– Nie popisało się – stwierdziła Frances.

– Tak, wkurzyłem się. – Tony zaczął masować sobie kolano. – Znajomy lekarz sportowy powiedział mi, że przejście na emeryturę jest jak odstawienie kokainy. Ciało przywykło do wysokiego poziomu związków chemicznych odpowiadających za dobre samopoczucie, na przykład serotoniny i dopaminy, a tu nagle bach, zaczyna ich brakować i organizm musi dostosować się do nowej sytuacji.

– Chyba nigdy nie odczułam oddziaływania tych poprawiaczy nastroju, kiedy intensywnie ćwiczyłam – wyznała Frances.

Podniosła odstawioną przez Tony’ego świecę i wbiła paznokieć w miękki wosk tuż przy knocie.

– Jestem pewien, że niektóre formy rekreacji dostarczyły ci dużej frajdy. – Tony zawiesił głos.

Frances zamrugła. Zaraz. To była aluzja erotyczna? Chyba jednak nie, skoro Tony opowiadał dalej.

– Pewnie będziesz się ze mnie śmiała, ale podczas niektórych meczów miałem wrażenie, że gramy dokładnie tak, jak powinniśmy. Rozgrywka była tak harmonijna jak utwór muzyczny albo wiersz, albo... Sam nie wiem... – Spojrzał Frances prosto w oczy i zrobił grymas, jakby przygotowywał się na jej szyderczy śmiech. – Czasem czułem się niesamowicie. Jak po dragach. Naprawdę.

– Nic w tym śmiesznego – powiedziała Frances. – Właściwie mam ochotę spróbować swoich sił w futbolu.

Tony zaśmiał się z uznaniem.

– Moja była żona mawiała, że nie widziałem świata poza sportem. Prawdopodobnie nie sprawdzałem się jako mąż.

– Och, z pewnością się mylisz – rzuciła Frances bez namysłu, bezwiednie wlepiając wzrok w jego potężne ramiona. Czym prędzej zmieniła temat. – Czym się zająłeś po przejściu na emeryturę? Jak stworzyłeś siebie na nowo?

– Założyłem firmę zajmującą się doradztwem sportowym. Całkiem nieźle sobie poradziłem jak na życiowego amatora. Właściwie odnalazłem się znacznie lepiej niż wielu moich kolegów z drużyny. Niektórzy spierdolili sobie... to znaczy spaprali sobie życie.

– Wydaje mi się, że w tym kontekście słowo „spierdolić” pasuje znacznie lepiej – stwierdziła Frances.

Teraz obdarzył ją swoim popisowym uśmiechem. Naprawdę wyglądał przeuroczo.

– Z tej świecy zaraz nic nie zostanie – zauważył.

Frances ze skruchą spojrzała na grudki wosku na swoich udach.

– Sam zacząłeś. – Strzepnęła wosk na podłogę. – Więc założyłeś firmę konsultingową i co dalej?

– Kumpel zapytał mnie kiedyś: „Nie wkurza cię to, że wszyscy chcą z tobą rozmawiać wyłącznie o tym, czym się zajmowałeś dawno temu?”. Prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie wkurzało. Cieszyłem się, kiedy mnie rozpoznawano. Chętnie opowiadałem o starych czasach. W każdym razie... Pod koniec zeszłego roku zacząłem się źle czuć, byłem strasznie zmęczony i wiedziałem, że coś mi dolega, zanim jeszcze zacząłem szukać wyjaśnień w internecie.

Frances poczuła, że dostaje gęziej skórki. Kiedy znajomi w jej wieku zaczęli podejrzewać u siebie jakieś choroby, to najczęściej okazywało się, że na nie zapadli.

– No i?

– Poszedłem do lekarza, a on potraktował sprawę poważnie i natychmiast wysłał mnie na badania. Zapytałem go: „Bierze pan pod uwagę raka trzustki?”. Bo takiej właśnie diagnozy się spodziewałem. Mogłem odziedziczyć geny po tacie, który zmarł na nowotwór. Spojrzenie lekarza mówiło samo za siebie. Znałem go od lat. Powiedział tylko: „Musimy przygotować się na każdą ewentualność”.

„Niech to szlag”.

– Tuż przed świętami wezwał mnie po wyniki – kontynuował Tony. – Wyciągnął dokumentację, a mnie przyszło do głowy coś, co spowodowało, że... później, kiedy sobie to przypominałem, przeraziłem sam siebie.

– Co takiego? – zapytała Frances.

– Pomyślałem: „Oby był w stadium terminalnym”.

Frances zbladła.

– No... i co się okazało?

– Och, nic mi nie jest – odparł Tony. – Wszystko gra, tylko prowadzę niezdrowy tryb życia.

Frances odetchnęła z ulgą. Miała nadzieję, że Tony nie szalał za bardzo.

– Dzięki Bogu.

– Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Nie mogłem zrozumieć, czemu sam sobie życzyłem raka w stadium terminalnym. Pomyślałem: „Stary, chyba cię

pojebało”.

– Tak, fatalna sprawa – stwierdziła Frances. Poczowała przypływ kobiecej władczości, która doprowadza mężczyzn do szału, ale kiedy już słuszne oburzenie da o sobie znać, to nie sposób go stłumić, bo faceci to patentowani idioci. – Musisz o siebie zadbać. Powinieneś...

Tony uniósł dłonie.

– Kontroluję sytuację.

– To bardzo niepokojące, że tak o sobie pomyślałeś.

– Wiem. Dlatego przyjechałem tutaj.

– Może przydałaby ci się...

Tony położył palec na ustach.

– Ciii.

– Terapia! – dokończyła szybko.

– Ciii.

– I...

– Cicho.

Frances umilkła. Przyłożyła ręcznik do twarzy, by ukryć uśmiech. Przynajmniej uchroniła Tony'ego przed napadem klaustrofobii.

– Opowiedz mi o tym draniu, który cię oszukał – poprosił Tony. – I powiedz mi, gdzie mieszka.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Yao

– A tej co się znowu dzieje? Rozchorowała się? Czemu robi sobie okład?

Akcent Maszy, zazwyczaj ledwie słyszalny, teraz stał się wyraźny. Yao zaobserwował podobną prawidłowość u swoich rodziców. W stresujących sytuacjach, kiedy padało łącze internetowe albo ich zdrowie szwankowało, zaczynali mówić z mocnym chińskim akcentem.

Powinien do nich zadzwonić.

– Marnujesz sobie życie dla tej kobiety! – pomstowała jego matka podczas ich ostatniej rozmowy.

– Yao? – wyrwała go z zamyślenia Masza.

Zajęła miejsce Dalili w fotelu i patrzyła na Yao wielkimi, zielonymi oczami pełnymi lęku i wahania. Rzadko miewała wątpliwości. Teraz serce mu się krajało na jej widok.

– Frances przechodzi menopauzę – odparł.

Masza struchlała.

– Naprawdę?

Yao wiedział, że obie są w tym samym wieku, po pięćdziesiątce, ale Maszy nie dawały się chyba we znaki żadne symptomy przekwitania. Była zagadką, której nie potrafił rozgryźć. Z entuzjazmem rozprawiała o najbardziej intymnych aspektach trawienia, nie wstydziła się nagości (bo niby czemu?) i często paradowała bez ubrania, kiedy w ośrodku nie było kuracjuszy, tymczasem na dźwięk słowa „menopauza” przeszywał ją dreszcz, jakby nie wyobrażała sobie, by coś równie odrażającego mogło się jej przytrafić.

Yao zauważył na karku Maszy malutki, zaogniony bąbel po ugryzieniu komara.

Zaskoczył go widok tej drobnej niedoskonałości na jej perfekcyjnym ciele.

Podniosła rękę i podrapała się.

– Rozpaskudzi się – powiedział, kładąc rękę na jej dłoni.

Odrząciła go z irytacją.

– Gdzie się podziewa Dalila? – zaniepokoił się Yao.

– Poszła sobie – odparła Masza, wpatrując się w ekran.

– Wiem, po herbatę – powiedział Yao.

– Nie, odeszła na dobre. Już nie wróci.

– Co ty wygadujesz?

Masza westchnęła, spoglądając na niego.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Dalila widzi tylko koniec własnego nosa. – Znowu wbiła wzrok w ekran. – Też możesz iść, jeśli chcesz. Biorę to na siebie. To ja opracowałam tę metodę i podjęłam decyzję o jej zastosowaniu.

Nie wprowadziłaby jej bez jego wiedzy medycznej. Jeśli ktoś miał za to odpowiedzieć, to właśnie Yao.

– Nigdzie się nie wybieram – oznajmił. – Bez względu na to, co się stanie.

Przed rokiem Masza natrafiła na artykuł o mikrodawkowaniu w Dolinie Krzemowej. Pracownicy biurowi zażywali LSD w niewielkich ilościach, by zwiększyć swoją produktywność, czujność i kreatywność. Gdzie indziej przeczytała, że mikrodawki narkotyków okazały się pomocne również w leczeniu niektórych zaburzeń psychicznych, na przykład stanów lękowych i depresji.

Masza, jak to ona, była zafascynowana tymi rewelacjami. Yao uwielbiał u niej te nagłe przypływy entuzjazmu, który pozwalał jej bez lęku wkraczać na nieznane terytoria. Namierzyła autora pierwszego artykułu i zadzwoniła do niego. Dzięki temu dowiedziała się o terapii psychodelikami, w ramach której stosowano „pełne dawki”. Masza bardzo szybko dostała obsesji na punkcie tej metody. Kupowała przez internet stosy książek. Wydzwaniała do ekspertów z całego świata.

Ta metoda to prawdziwy hit, stwierdziła. Dzięki niej mieli wejść na wyższy poziom. Terapia psychodelikami, powtarzała Masza, to droga na skróty ku oświeceniu. Za pomocą rezonansu magnetycznego u osoby, która zażyła psylocybinę, zaobserwowano

bardzo podobną aktywność mózgową, jak u kogoś pogrążonego w głębokiej medytacji.

Początkowo Yao śmiał się z niedowierzaniem. Nie interesowały go te cudowne metody. Jako ratownik medyczny widział, co narkotyki robią z ludźmi. Facet, który groził mu nożem, cierpiał na zaburzenia psychiatryczne wywołane zażywaniem metamfetaminy. Yao ratował wielu narkomanów. Patrząc na nich, nikt nie uwierzyłby w cudowne działanie dragów.

Ale Masza niestrudzenie wierciła mu dziurę w brzuchu.

– Nie słuchasz mnie. To zupełnie co innego – upierała się. – Nie zażyłbyś penicyliny, bo heroina może zabić?

– Penicylina nie zaburza procesów biochemicznych w mózgu.

– No dobra, a co z antydepresantami? Lekami psychotropowymi?

Jej spokojny, przekonujący głos z obcym akcentem brzmiał w jego uszach, jej szmaragdowe oczy wpatrywały się w niego, a jej boskie ciało budziło w nim zachwyt, aż w końcu Masza przekonała go do zmiany zapatrywań.

– Przynajmniej zapoznaj się z wynikami badań – zaproponowała.

Uległ jej. Dowiedział się o przeprowadzonych oficjalnie badaniach klinicznych nad psychodelikami, które stosowano, by zmniejszyć lęk u osób w terminalnym stadium nowotworu. Rezultaty były jednoznacznie pozytywne. Równie pomyślnie wypadły próby leczenia zespołu stresu pourazowego u weteranów wojennych.

Yao zainteresował się tym tematem. Wreszcie zgodził się wypróbować tę metodę na sobie.

Dalila za pośrednictwem darknetu zaopatrzyła ich w narkotyki i zestawy do ich testowania. Yao przeprowadził badanie na samym sobie.

Razem z Dalilą zgodzili się zostać królikami doświadczalnymi. Masza wcieliła się w rolę terapeutki wykorzystującej psychodeliki. Ze względu na dawne problemy ze zdrowiem nie mogła poddać się tej terapii, ale nie bolała nad tym, bo źródłem doświadczeń transcendentnych była dla niej zarówno medytacja, jak i jej słynne spotkanie ze śmiercią.

Zgodnie z jej zapewnieniami Yao zmienił się pod wpływem psychodelików.

Nawet jeśli podanie ich gościom okazało się pomyłką, on nie żałował, że je zażył.

Najpierw mknął w tunelu podobnym do ślizgawki w akwaparku (tylko że woda nie była mokra, co za genialny pomysł), z której trafił do kina, na obity czerwonym pluszem fotel, i zjadając popcorn z masłem, oglądał swoje życie, klatka po klatce, od narodzin przez szkołę i uniwersytet aż do przyjazdu do Tranquillum House, zarazem znów przeżywając wszystkie te wydarzenia, każdą porażkę i sukces, jednak tym razem nasprawdę pojął ich sens.

Zrozumiał, że swoją narzeczoną, Bernadette, kochał bardziej niż ona jego i że ona nigdy nie była odpowiednią dla niego partnerką. Uświadomił sobie, że jego rodzice również nie byli dobraną parą i że nie miał predyspozycji, by zostać ratownikiem medycznym. (Adrenalina zamiast dodawać mu energii, zupełnie go obezwładniała).

Co zaś najistotniejsze, zrozumiał, że jego lęk przed porażką miał swoje źródło w dzieciństwie.

O tym wydarzeniu nie opowiadali mu rodzice i nigdy wcześniej go sobie nie przypomnieli, a teraz, pod wpływem narkotyków, przeżył je ponownie w najdrobniejszych szczegółach.

Miał dwa, góra trzy lata. Był w kuchni ich starego domu. Matka wyszła na chwilę, a on pomyślał: „Wiem! Pomogę jej w gotowaniu!”. Ostrożnie przysunął krzesło do kuchenki, dumny, że wpadł na tak sprytne rozwiązanie. Wdrapał się na krzesło i już wyciągał rączkę w stronę bulgoczącego garnka, kiedy matka wróciła i krzyknęła tak głośno, że serce chciało mu wyskoczyć z piersi, stracił równowagę, ale mama złapała go i potrząsnęła nim tak, że zagrzechotał zębami. Wreszcie dotarło do niego, że lęk nie zrodził się w jego umyśle. Yao zinternalizował przerażenie swojej matki.

Opowieść Yao nie zrobiła wrażenia na Dalili, która nie zdradziła szczegółów swojego tripu.

– Więc to wina twojej matki, że jesteś takim mięczakiem? Bo ochroniła cię przed poparzeniem? Co za wyrodna matka. Teraz wiadomo, skąd się wzięły twoje urazy psychiczne.

Yao ją zignorował. Czasem Dalila się na niego wściekała. Nie wiedział dlaczego i niespecjalnie go to obchodziło, bo następnego dnia po terapii psychodelikami obudził się pijany wolnością. Mógł do woli popełniać pomyłki.

Może na tym właśnie polegał jego pierwszy błąd.

Spojrzał na ekran, na dziewięć osób, które nie przeszły żadnej transformacji. Były zmęczone, zdezorientowane i poirytowane. W tej chwili powinni znaleźć się na zewnątrz i zaczynać kolejny etap swojego „odrodzenia”.

„Zabawa w łamaczy kodów” miała trwać najwyżej godzinę. Celem tego grupowego zadania było skonsolidowanie grupy. Kiedy jeszcze Masza pracowała w korporacji, podczas wyjazdu integracyjnego wzięła udział w podobnym ćwiczeniu, które wszystkim niezmiernie się podobało. Twierdziła, że wychodzili z sali, śmiejąc się i przybijając piątki.

Postanowiła opracować nieco bardziej wyrafinowaną i subtelną wersję tego zadania, którego symboliczna wymowa współgrałaby z psychodelicznym doświadczeniem. („Nie przegapi żadnej okazji, żeby się poprzehwalać”, stwierdziła Dalila. Yao uznał, że przemawia przez nią zazdrość. Która kobieta nie zazdrościłaby Maszy?) Yao obawiał się, że zadanie to jest wręcz nazbyt subtelne, ale jakie to miało znaczenie? Łamanie kodu nie powinno negatywnie odbić się na ich transformacji. Gdyby goście po godzinie nie uporali się z zadaniem, zostaliby zaprowadzeni prosto do jadalni na posiłek składający się z mnóstwa świeżych owoców i organiczną gorącą czekoladę bez cukru. Yao nie mógł doczekać się tej części, wyobrażając sobie, jak wszyscy się rozpromieniają na widok jego samego, Maszy i Dalili triumfalnie wnoszących jedzenie dla gości. Pewnie zgotowały im owację.

Po swojej psychodelicznej sesji Yao zjadł nektarynkę i wciąż pamiętał niezwykle doznanie, jakie towarzyszyło zatapianiu zębów w słodkim miąższu.

Po śniadaniu goście mieli opowiedzieć, czego nauczyło ich to doświadczenie. Następnie dostaliby piękne notatniki w twardej oprawie, by mogli w nich sporządzić plan, zgodnie z którym to, czego nauczyli się w Tranquillum House, włączą w swoje codzienne życie.

Teraz cały plan wziął w łeb.

Wszystko zaczęło się od nieoczekiwanego pytania Heather: „Podajesz nam leki?”. Przez nią Masza rozpoczęła prezentację swojej terapii i wyszła z opresji obronną ręką. Goście wściekali się tak, jakby stała im się straszna krzywda, choć cała metoda została opracowana tylko dla ich dobra.

Yao wielokrotnie sprawdził, jak duże powinny być dawki, z jakimi efektami

ubocznymi należy się liczyć, jakie choroby przeszedł każdy z gości i jak wypadły ich codzienne badania krwi. Spodziewał się wyłącznie pozytywnych reakcji. Przez całą noc monitorował ich parametry życiowe. Wszystko szło jak z płatka. Żadnych nieoczekiwanych efektów ubocznych. Napoleon wpadł w lekki popłoch, ale uspokoił się po dawce lorazepamu.

Z perspektywy Yao metoda pod względem terapeutycznym nie do końca zdała egzamin. To, czego doświadczali goście, było rozczarowująco banalne w porównaniu z transcendentnym objawieniem, jakiego dostąpił on sam. Masza była jednak zachwycona. Kiedy goście zasnęli, zamknęła drzwi do studia medytacji, upojona sukcesem.

Nie przewidzieli tego, co stało się potem.

W miarę upływu czasu Yao i Dalila coraz częściej powtarzali:

– Powinniśmy ich wypuścić. Albo dać im podpowiedź.

Masza uważała jednak, że jej podopieczni powinni sami rozwiązać zagadkę.

– To kluczowy etap ich odrodzenia – powiedziała. – Muszą włożyć w nie trochę wysiłku, jak dziecko, które wychodzi z łona matki.

Z ust Dalili wydobyło się coś pomiędzy kasznięciem i prychnięciem.

– Dostali już mnóstwo podpowiedzi – kontynuowała Masza. – Przecież nie są głupi.

Problem polegał jednak na tym, że im dłużej kuracjusze siedzieli w zamknięciu, tym bardziej głodnieli, irytowali się i głupieli.

– Nawet jeśli wpadną wreszcie na rozwiązanie – powiedział teraz Yao – to będą odczuwać przede wszystkim gniew.

– Może masz rację – odparła Masza, wzruszając ramionami. – Na kolejnych etapach musimy wykazać się większą kreatywnością. Zobaczymy, co się stanie.

Yao wyobraził sobie siebie na tym krześle, jak drobną, pulchną rączką sięga po garnek z wrzącą wodą.

– Popatrz! – zawołała Masza, wskazując na ekran. – Nareszcie robią postępy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Frances

Frances i Tony milczeli we dwoje. Prawie wszyscy już usiedli, poza Napoleonem, który chodził tam i z powrotem. Nikt nie próbował już łamać kodu do zamka.

Ktoś zanucił *Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma*. Frances myślała, że to Napoleon. Zawtórowała mu w myślach: „Leć wysoko, w niebo leć, jak diament jasno świeć”.

Przypomniała jej się medytacja pierwszej nocy turnusu i jazda saniami po rozgwieżdżonym niebie w towarzystwie Gillian. Wcześniej Lars śpiewał *Lucy in the Sky with Diamonds*. Właśnie tę piosenkę słyszała, kładąc się na łóżku polowym.

Sporządziła w głowie listę kolejnych utworów puszcanych przez słuchawki.

Vincent.

When You Wish Upon a Star.

Sonata Księżycowa Beethovena.

Wszystkie miały związek z gwiazdami, niebem albo księżycem.

Co powiedziała Masza zeszłej nocy? Coś w stylu: „Przez całe życie wbijamy wzrok w ziemię. Czas skierować go w górę”.

– Wydaje mi się, że powinniśmy spojrzeć w górę – powiedziała, wstając z miejsca.

– Co? – Lars podparł się na łokciach. – Na co mamy spojrzeć?

– We wszystkich piosenkach pojawiały się gwiazdy, księżyc i niebo – powiedziała.

– Masza twierdziła, że powinniśmy skierować wzrok w górę.

Najmłodszy kuracjusze pierwsi zrozumieli, o co chodzi. Zoe, Ben i Jessica wstali i zaczęli krążyć po pomieszczeniu, wyciągając szyje i przypatrując się kamiennemu sklepieniu wspartemu na zakrzywionych drewnianych krokwiach. Starsi niemrawo i niechętnie poszli w ich ślady.

- Czego powinniśmy szukać? – zapytał Napoleon.
- Nie wiem – odparła Frances. Po chwili dodała posępnie: – Może się myłę.
- Mam! – Heather wyciągnęła palec w górę. – Widzicie? Widzicie?
- Tak! – zakrzyknęła Jessica.

Frances popatrzyła we wskazanym kierunku.

- Nic nie widzę – poskarżyła się. – Mam fatalny wzrok.
- To naklejka – stwierdził Tony. – Złota gwiazdka.
- I co nam po naklejce? – zapytała Carmel.
- Nad nią na krokwi jest coś jeszcze – zauważyła Zoe.
- Jakiś pakunek – powiedział Napoleon.
- Nadal nic nie widzę – jęknęła Frances.
- W brązowym papierze. – Heather chwyciła dłoń Frances i skierowała ją w odpowiednią stronę. – Jest wciśnięty w trójkątny otwór na styku krokwi. Słabo go widać na tle drewna.

– Ach tak, teraz widzę – skłamała Frances.

– No dobra, wyciągnijmy go stamtąd – powiedziała Jessica do Bena. – Siądę ci na ramionach.

– Ani mi się śni. Jesteś w ciąży – odparł Ben. – Prawdopodobnie.

– Tato, podnieś mnie – poprosiła Zoe Napoleona. – Jesteś najwyższy.

– I tak nie sięgniesz. – Napoleon zadarł głowę, szacując odległość. – Nawet gdybyś stanęła mi na ramionach.

– Najlepiej będzie czymś rzucić i strącić tę paczkę na ziemię – zasugerował Lars.

– Podskoczę i ją wyciągnę – zaoferował Tony. Spojrzał na krokiew z błyskiem w oku. – Będę tylko musiał odbić się od czyichś pleców.

– Nie doskoczysz tak wysoko – orzekła Frances.

– Trzy razy z rzędu dostawałem nagrodę za wyskok po piłkę – pochwalił się Tony.

– Nie wiem, jak wygląda wyskok po piłkę, ale tutaj ten manewr ci się nie uda – odparła Frances. Tony chyba przeceniał swoje siły. – Zrobisz sobie krzywdę.

Hogburn spojrział na nią.

– Czy choć raz w życiu oglądałaś futbol australijski, Frances?

- Wiem, bardzo żywiołowo podskakujecie...
- Posłuchajcie mnie – przerwał im Lars. – Spróbujmy czymś ją strącić.
- Podskakujemy – wycedził Tony. – Żywiołowo podskakujemy.
- Niezwykłe widowiskowo – zapewniła go Frances.

Przypomniała sobie, jak kiedyś popełniła błąd, kpiąc z Henry’ego, kiedy w wieku pięćdziesięciu lat zapragnął nauczyć się latać na lotni. Wszystkie koleżanki pukały się w głowy.

– Och, Frances, facetowi przechodzącemu kryzys wieku średniego nie wolno mówić, że nie może czegoś zrobić.

Henry dał za wygraną dopiero wtedy, kiedy po trzech miesiącach lekcji latania na lotni nabawił się chronicznej kontuzji biodra.

– Mój najlepszy wynik to ponad trzy i pół metra. – Tony przyglądał się krokwi. – Bez problemu.

– Odbiłeś się od pleców tego zawodnika z Collingwood, prawda? – wtrąciła się Heather. – Jimmy’ego Moyesa? Siedzieliśmy wtedy z Napoleonem na trybunach.

Napoleon wyrecytował:

– „Skok ku niebu, ku sławie, ku legendzie, a potem powrót na ziemię (o, Ikarze w ochraniaczach!), gdzie słycać ostry gwizd”.

– To wiersz o futbolu? – zapytała Frances.

– Tak – odparł Napoleon belferskim tonem. – Nosi tytuł *Najwyższy skok* i napisał go Bruce Dawe. Opowiada o tym, że skok stanowi wyraz ludzkiego pragnienia, by wzbić się w przestworza.

– Bardzo ładny – powiedziała Frances.

– Boże, odłóżmy na bok poezję i futbol i spróbujmy się stąd wydostać – uciął ich rozmowę Lars.

Wziął pustą butelkę po wodzie, chwycił ją niczym oszczep i rzucił nią w stronę sufitu. Uderzyła o krokiew i spadła na podłogę.

– Ja to wyciągnę – zadeklarował Tony.

Kiedy wypiął klatkę piersiową i wyprostował plecy, wyglądał jak superbohater wychodzący z budki telefonicznej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Yao

– Co oni wyprawiają? – zapytała Masza.

– Tony próbuje chyba wykonać wyskok futbolowy, odpychając się od ich pleców – wyjaśnił Yao głosem pełnym niepokoju.

– To szaleństwo – powiedziała Masza. – Za dużo waży! Zrobi im krzywdę!

– Są głodni i zmęczeni – odparł Yao. – Nie myślą logicznie.

– Przecież rozwiązanie wydaje się oczywiste – niecierpliwiła się Masza.

– Tak – powiedział Yao.

Lars miał dobry pomysł.

– Czemu nie utworzą ludzkiej piramidy? – zapytała Masza.

Yao spojrzał na nią, nie wiedząc, czy jego szefowa mówi poważnie.

– Niestety, brakuje im sprytu – stwierdziła Masza. – W tym sęk, Yao, że mamy do czynienia z osobami mało rolgarniętymi.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Frances

Napoleon i Ben ustawili się pod krokwią, z opuszczonymi głowami.

– Może powinniśmy podskoczyć jednocześnie z tobą? – zaproponował Napoleon. – Dzięki temu podrzucimy cię wyżej.

– Nie – odparł Tony. – Stójcie nieruchomo.

– Moim zdaniem to nie najlepszy pomysł – stwierdziła Carmel.

– Kompletnie pomyłony – poparł ją Lars.

– W sumie trudno się z wami nie zgodzić... – dodała Heather, ale było za późno.

Tony już nadbiegał.

Podskoczył, wbijając jedno kolano w lędźwie Napoleona, a drugie w łopatkę Bena. Na ułamek sekundy w oczach Frances przeobraził się w młodego mężczyznę, atletę w pełni sił i ze spojrzeniem wyrażającym determinację.

Doskoczył! Niemożliwie wysoko! Prawie mu się udało! Co za bohater! Uderzył dłonią w krokiew i z hukiem spadł na podłogę. Napoleon i Ben zatoczyli się w przeciwnych kierunkach, mamrocząc przekleństwa.

– Można się było tego spodziewać – rzucił z westchnieniem Lars.

Tony, blady jak ściana, usiadł, trzymając się za łokieć.

Frances uklękła przy nim, by mu pomóc, choć strzeliło jej w kolanie.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi się nie stało – odparł Tony przez zaciśnięte zęby. – Chyba zwichnąłem bark.

Frances przeraziła się na widok łopatki Tony’ego sterczącej pod nienaturalnym

kątem.

– Nie ruszaj się – powstrzymała go Heather.

– Muszę nastawić staw – odparł Tony. Poruszył ręką. Rozległo się chrupnięcie.

Frances osunęła się na kolana Tony’ego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Zoe

Biedny ojciec Zoe położył dłoń na lędźwiach, które przed chwilą dźwigały nie byle kogo, bo Smileya Hogburna. Była zaskoczona, że matka pozwoliła Napoleonowi na udział w tym manewrze. Może wciąż była pod wpływem narkotyków, może jeszcze nie minął jej gniew, a może spotkanie z legendą futbolu australijskiego aż tak ją oszołomiło.

– Wybaczcie – powiedział Tony. – Zeszłej nocy śniło mi się, że znowu gram. Wydawało mi się... że bez trudu sobie poradzę. – Delikatnie poklepał Frances po policzku. – Pobudka, pisarko.

Zawstydzona Frances usiadła, przyciskając palec do środka czoła. Rozejrzała się.

– Udało się?

– Nie do końca – odparł ojciec Zoe, który każdemu próbował osłodzić porażkę. – Ale byliśmy blisko!

Zoe rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym można by rzucić w krokiew. Wybrała pełną w trzech czwartych butelkę wody, zważyła ją w dłoni i wycelowała.

Trafiła za pierwszym razem. Pakunek spadł prosto w ręce Bena.

– Niezły rzut. – Wręczył jej zawiniątko.

– Dzięki – odparła.

– Otwórz – domagała się Jessica, jakby Zoe zamierzała w nieskończoność przyglądać się znalezisku.

Paczuszka była miękka i sprężysta w dotyku, jak gdyby zawierała coś, co owinięto folią bąbelkową. Zoe przez chwilę mocowała się z taśmą samoprzylepną, aż wreszcie rozdarła szary papier.

– Ostrożnie – powiedziała jej matka. – Coś się może rozbić.

Odklejając taśmę od folii bąbelkowej, Zoe przypomniała sobie, jak podczas przyjęć urodzinowych razem z Zachem otwierali prezenty otoczeni gośćmi. Następnego dnia wypadały ich dwudzieste pierwsze urodziny. Może powinna zacząć je świętować. Przyszło jej do głowy, że po powrocie do Melbourne zaproponuje rodzicom, by poszli do La Fattorii na urodzinową pizzę. Nagle pomyślała, że mogliby wrócić do wszystkich starych zwyczajów, które porzucili po śmierci Zacha. Perspektywa ta wydała jej się całkiem realna, choć bez niego to wyglądałoby zupełnie inaczej. Nadal zdejmowałyby oliwki z pizzy i odkładała je dla niego na brzeg talerza.

Teraz miała ogromną ochotę na pizzę. Ciekła jej ślinka na myśl o pepperoni. Postanowiła już nigdy nie traktować pepperoni jako czegoś, co jej się po prostu należy.

Rozwinęła folię. W środku skrywała się drewniana, ręcznie malowana laleczka w fartuszku i chustce na głowie. Miała rumiane policzki i pytająco uniesione brwi. Zdawała się mówić: „Co jest, Zoe?”.

Dziewczyna obróciła ją w dłoniach.

– To rosyjska laleczka – wyjaśniła jej matka.

– Ach tak.

Zoe odkręciła górną część matrioszki, a w środku znalazła mniejszą figurkę. Podała obie połówki Heather i otworzyła kolejną laleczkę. Po chwili na podłodze stało ich pięć, od największej do najmniejszej.

– Zaraz, to już wszystkie? – zdziwiła się Carmel. – Ta ostatnia jest pusta. Zazwyczaj najmniejszej nie da się otworzyć.

– Żadnej wiadomości? – zapytała Frances. – Myślałam, że w ostatniej znajdziemy kod.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – irytował się Ben.

– Nie wiem. – Zoe stłumiła ziewnięcie.

Nagle ogarnęło ją przemożne zmęczenie. Zateśniła za swoim łóżkiem, telefonem i pizzą. Najchętniej natychmiast skończyłaby tę zabawę.

– Okej, teraz wkurzyli mnie nie na żarty – oznajmił Lars.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Masza

Masza zobaczyła, jak pełen nadziei uśmiech znika z twarzy Yao, który nie odrywał wzroku od ekranu.

– Zaraz, dlaczego laleczka jest pusta? – Spojrzał na Maszę. – Plan przewidywał, że kod będzie w środku!

Masza chwyciła w dwa palce ostatnią, najmniejszą figurkę, która cały czas stała na klawiaturze.

– To prawda, tak uzgodniliśmy.

– W takim razie... czemu zmieniłaś zdanie? – Z wysoko uniesionymi brwiami Yao sam przypominał matryoszkę.

– Podczas medytacji doznałam objawienia – powiedziała Masza. – W jednej chwili zrozumiałam, czego im trzeba, by przeszli prawdziwą transformację po doświadczeniu psychodelicznym. To, co w tej chwili się z nimi dzieje, to pewna forma koanu. To koan w praktyce.

Liczyła na to, że Yao doceni ten genialny pomysł. On tymczasem gapił się na nią, jakby niczego nie pojmował.

– Koan to paradoks prowadzący ku oświeceniu! – dodała. – Pokazuje im, jak ograniczone jest logiczne myślenie!

– Wiem, co to jest koan – wycedził Yao.

– Kiedy skapitulują i przyjmą do wiadomości, że nie ma rozwiązania, wtedy ich wypuścimy. Oto paradoks leżący u podstaw tego koanu – oznajmiła Masza. – Rozwiązaniem jest brak rozwiązania.

– Rozwiązaniem jest brak rozwiązania – powtórzył Yao.

– Dokładnie. Pamiętasz ten koan? Pewien człowiek poprosił mistrza mieszkającego w górskiej pustelni: „Wskaż mi drogę”. A mistrz odparł: „Jakże wspaniała jest ta góra”. Człowiek odrzekł z irytacją: „Nie pytałem o górę, tylko o drogę!”. Zaś mistrz odpowiedział: „Nie znajdziesz drogi, póki nie ominiesz góry”.

– Więc w tym przypadku górą są... zamknięte drzwi?

– Rób szczegółowe notatki – poleciła ze zniecierpliwieniem Masza. Wskazała na ekran i na notes Yao. – Pamiętaj, przydadzą nam się podczas pisania książki.

– Oni siedzą tam bardzo długo – zaczął swoje Yao. – Są głodni i zmęczeni. Za chwilę zaczną wariować.

– Dokładnie – odparła Masza.

Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła, i nie spała od początku sesji terapeutycznej. Musnęła palcem klatkę piersiową Yao. Wiedziała, jak bardzo jest wrażliwy na dotyk. Mogła wykorzystać jego słabość, gdyby zaszła taka konieczność.

– Dokładnie – powtórzyła. – Niech zwariują! Przecież wiesz, że ja to złudzenie. Ja nie istnieje.

– Jasne, okej – powiedział Yao. – Ale, Maszo...

– Muszą skapitulować – oznajmiła Masza.

– Moim zdaniem zawiadomią policję – powiedział Yao.

Masza się zaśmiała.

– Pamiętasz ten cytat z wiersza Rumiego? „Poza pojęciami czynienia tego, co właściwe, i tego, co niewłaściwe, istnieje przestrzeń. Tam się spotkamy”. Czy to nie piękne?

– Nie sądzę, by poezja miała znaczenie na sali sądowej – odparł Yao.

– Nie możemy ich teraz zostawić, Yao. – Masza wskazała na ekran. – Zaszli tak daleko.

– Jak długo zamierzasz ich jeszcze trzymać w zamknięciu? – zapytał słabym, znużonym głosem starca.

– Nie tak brzmi właściwe pytanie – odparła łagodnie Masza, patrząc na ekran, na którym kilkoro jej gości podeszło do drzwi.

Każdy po kolei wpisywał jakąś kombinację cyfr. Lars uderzył pięścią w drzwi jak

rozwydrzony dzieciak.

- Powinnaś ich już wypuścić – powiedział Yao.
- Muszą sami otworzyć drzwi – odparła.
- Nie potrafią.
- A właśnie że potrafią.

Pomyślała o cudownym życiu w słonecznej Australii, jakie ci ludzie wiedli od urodzenia. Znali tylko supermarkety z półkami uginającymi się od towarów. Nigdy nie widzieli sklepu spożywczego, w którym nie ma nic prócz indyjskiej herbaty. Nie potrzebowali takich cech jak pomysłowość i zaradność. Kiedy zegar wybijał piątą, wyłączali komputery i szli na plażę, bo nie czuli na plecach oddechu setek absolwentów wyższych uczelni, którzy mogli w każdej chwili zająć ich stanowisko.

– Ach tak, zrobiłam to raz dla U2 – powiedziała pewna Australijka, usłyszawszy opowieść Maszy o kilometrowych kolejkach do ambasady, w których czekało się kilka dni, dlatego ona i jej mąż stali w nich na zmianę.

- W takim razie wiesz, o czym mówię – odparła Masza.

Przypomniała sobie, jak po złożeniu podania o wizę jej mąż otrzymał pisemne wezwanie do biura KGB.

- Wszystko będzie dobrze – zapewniał ją. – Nie martw się.

Zachowywał się tak, jakby jeszcze przed wyjazdem przesiąknął charakterystycznym dla Australijczyków optymizmem, ale w epoce komunizmu wiele osób po otrzymaniu takich wezwań już nie wracało do domu.

Masza podwiozła go pod wysoki, szary budynek, a on pocałował ją i powiedział:

- Wracaj do domu.

Zlekceważyła jego polecenie. Przesiedziała pięć godzin w samochodzie, a w jej sercu wrzało przerażenie, od którego zaparowały szyby. Nie mogła zapomnieć eksplozji ulgi na widok męża idącego do niej ulicą z uśmiechem od ucha do ucha. Wyglądał jak młody Australijczyk przechadzający się po plaży.

Zaledwie kilka miesięcy później oboje znaleźli się na lotnisku z amerykańskimi dolarami ukrytymi w skarpetkach, a nadgorliwy celnik przekopał ich pieczołowicie spakowane bagaże, bo emigrując, dopuszczali się zdrady. Naszyjnik, który Masza

odziedziczyła po babci, rozerwał się i koraliki rozsypały się po podłodze.

Tylko ci, którzy poznali lęk przed utratą wszystkiego, odczuwają wdzięczność za swoje szczęśliwe życie.

– Musimy ich przestraszyć – powiedziała Masza do Yao. – Właśnie tego im trzeba.

– Przestraszyć? – zapytał Yao drżącym głosem. Pewnie też był zmęczony i głodny.

– Nie powinniśmy straszyć naszych gości.

Masza wstała. Yao spojrział na nią jak jej dziecko albo kochanek. Czują łączące ich nierozzerwalne więzy duchowe. Nie potrafiłby się jej przeciwstawić.

– Dziś przeżyją ciemną noc duszy – oznajmiła.

– Ciemną noc duszy?

– Dzięki niej błyskawicznie rozwiną się duchowo – wyjaśniła Masza. – My dwoje przeżyliśmy takie noce. Oni muszą wreszcie pęknąć, byśmy mogli poskładać ich na nowo. Wiesz o tym, Yao.

Zauważyła w jego oczach cień wątpliwości. Podeszła do niego tak blisko, że nieomal się dotykali.

– Jutro się odrodzą – powiedziała.

– Nie wiem tylko, czy...

Masza jeszcze bardziej się do niego zbliżyła i na ułamek sekundy powędrowała wzrokiem w stronę jego ust. Niech ten uroczy chłopiec sobie roi, że niemożliwe stanie się możliwe.

– Robimy dla nich coś niezwykłego, Yao – dodała.

– Wypuszczę ich – oświadczył Yao bez przekonania.

– Nie – powiedziała Masza. Ostrożnie, by nie zauważył srebrzysto połyskującej strzykawki, zbliżyła dłoń do jego szyi. – Nie zrobisz tego.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Frances

Frances kręciła na palcu pustą butelką, która w końcu spadła i potoczyła się po podłodze.

– Przestań – ofuknęła ją Carmel głosem, którym zapewne zazwyczaj karciła swoje córki, kiedy zaczynały działać jej na nerwy.

– Przepraszam – powiedziały jednocześnie.

Zegarek Napoleona pokazywał dziewiątą. Tkwili tu od przeszło trzydziestu godzin. Nie jedli od ponad czterdziestu ośmiu.

Niektórzy skarżyli się na ból i zawroty głowy, zmęczenie i mdłości. Raz po raz ogarniały ich fale irytacji. Wszczynali kłótnie, potem się przepaszali i znowu na siebie warczeli. Ich drżące od emocji głosy przeradzały się w histeryczny śmiech. Niektórzy odpływali w sen, a potem budzili się z głośnym westchnieniem. Tylko Napoleon zachowywał niezmacony spokój. Stał się niejako ich nieoficjalnym przywódcą, choć nie wydawał żadnych poleceń.

– Pij jak najmniej – powiedziała Heather, widząc, jak Frances po raz kolejny wraca z łazienki z napełnioną butelką. – I tylko wtedy, kiedy czujesz pragnienie. Nadmiar płynów może spowodować śmierć, bo woda wypłukuje sól z organizmu. To grozi zatrzymaniem akcji serca.

– Okej – odparła Frances z rezygnacją. – Dzięki.

Myślała, że pijąc wodę, zagłuszy głód, choć wbrew jej przewidywaniom wcale nie chciało jej się aż tak bardzo jeść. Łaknienie osiągnęło punkt kulminacyjny tuż przed tym, jak znaleźli tę bezużyteczną paczuszkę z rosyjską matrioszką, a potem stopniowo słabło, aż wreszcie stało się tylko mglistym wyobrażeniem. Frances czuła bliżej

nieokreśloną potrzebę, ale jedzenie nie stanowiło na nią odpowiedzi.

Jej przyjaciółka Ellen, zagorzała orędowniczka okresowych głódówek, twierdziła, że kiedy nie je, wpada w euforię. Frances nie doświadczała tak gwałtownych emocji, ale jej umysł się oczyścił, był jasny i klarowny. W ten sposób podziały na nią narkotyki czy post?

Tak czy inaczej, jasność umysłu była złudna, bo Frances nie potrafiła odróżnić rzeczywistych wydarzeń od wytworów swojej wyobraźni. Czy krwotok z nosa w basenie tylko jej się przyśnił? Zeszłej nocy nie spotkała się chyba naprawdę ze swoim ojcem? Oczywiście, że nie. A jednak rozmowa z nim wydawała jej się bardziej rzeczywista niż krwotok w basenie.

Jak to możliwe?

Czas zwalniał.

I zwalniał.

I zwalniał.

Upływał.

Tak.

Powoli.

Zwalniał.

Coraz.

Bardziej.

Aż.

Do.

Granic.

Możliwości.

Gdyby zupełnie się zatrzymał, utkwiliby na zawsze w teraźniejszości. Perspektywa ta wydawała się niezbyt kusząca, szczególnie po psychodelicznych doświadczeniach zeszłej nocy, kiedy czas wydłużał się i kurczył, niczym raz po raz rozciągany kawałek gumy.

Rozgorzała dyskusja na temat tego, czy i o której powinni wyłączyć światło.

Frances zupełnie nie zwróciła uwagi na fakt, że w sali nie ma dziennego światła. To

Napoleon rankiem, po przebudzeniu, zapalił lampy. Jak twierdził, błędził po sali na czworakach, póki nie natrafił po omacku na włącznik. Kiedy pokazał im, jak zgasić światło, cała sala pogrążyła się w nieprzeniknionej, grobowej ciemności.

Frances opowiedziała się za ciszą nocną o północy. Chciała przespać kilka godzin, a wiedziała, że nie zaśnie, jeśli w oczy świecić jej będą lampy. Niektórzy uważali jednak sen za zbyt duże ryzyko. Powinni w każdej chwili być „gotowi do działania”.

– Kto wie, co jeszcze zaplanowali? – Jessica posłała mordercze spojrzenie w obiektyw kamery.

W pewnym momencie zmyła makijaż. Wyglądała o dziesięć lat młodziej, nawet bardziej dziewczęco niż Zoe. Była o wiele za młoda na ciężę i ogromną fortunę. Teraz efekty zabiegów kosmetycznych wyglądały jak trądzik: nastoletnia przypadłość, która mija wraz z okresem dojrzewania.

– Nie sądzę, by w środku nocy doszło do jakichś dramatycznych incydentów – stwierdziła Carmel.

– Obudzili nas na medytację pod gwiazdami – przypomniała jej Heather. – Są zdolni do wszystkiego.

– To akurat mi się podobało – odparła Carmel.

Heather westchnęła.

– Carmel, chyba jednak powinnaś zweryfikować swoje wyobrażenia na temat tego, co się tutaj dzieje.

– Głosuję za zgaszeniem świateł – powiedziała cicho Frances.

Napoleon pokazał im mikrofony zainstalowane w kątach sali. Każdemu z osobna szepnął na ucho, że jeśli usiądą pośrodku pomieszczenia, plecami do kamery i ściszą głosy, to Masza ich nie usłyszy.

– Niech myśli, że całkowicie jej się podporządkowaliśmy.

– Też tak uważam – wyszeptała Zoe. – Ona przypomina mi moją nauczycielkę matematyki z liceum. Zawsze pozwalaliśmy jej się łudzić, że postawiła na swoim.

– Wolałbym, żeby światło cały czas się paliło – powiedział Tony. – Jeśli nic nie będziemy widzieć, oni zyskają przewagę.

Ostatecznie większość zdecydowała, że lampy powinny się palić.

Więc siedzieli przy włączonym świetle. Od czasu do czasu rozlegał się cichy szum rozmów, jak w czytelnicy albo w poczekalni przed gabinetem lekarskim.

A potem zapadała długa cisza.

Frances wierciła się niecierpliwie, aż w końcu uświadomiła sobie, że nie ma pod ręką książki, nie może obejrzeć filmu ani wyłączyć lampki nocnej. Czasem jakaś siła nakazywała jej wstać, ale Frances natychmiast uzmysławiała sobie, że ten momentalny impuls wynika tylko z chęci opuszczenia tej sali. Najwyraźniej podświadomie nie akceptowała tego, że została uwięziona.

Przysiadła się do niej Carmel.

– Myślisz, że osiągnęliśmy już ketozę? – zapytała.

– A co to takiego? – zapytała Frances, choć doskonale znała odpowiedź.

– Stan, w którym ciało zaczyna spalać tłuszcz, żeby...

– Nie musisz się odchudzać – przerwała jej Frances.

Starła się nie okazać Carmel irytacji, ale przez nią znowu zaczęła myśleć o jedzeniu.

– Dawniej byłem szczuplejsza – powiedziała Carmel, rozprostowując zupełnie normalnie wyglądającą nogę.

– Jak my wszystkie – westchnęła Frances.

– Zeszłej nocy śniło mi się, że nie mam ciała – powiedziała Carmel. – Może moja podświadomość próbowała mi coś przekazać.

– Tajemnicza sprawa. Ciekawe, czegoż mogła dotyczyć ta wiadomość? – zadumała się Frances.

Carmel się zaśmiała.

– Wiem czego. – Ścisnęła skórę na brzuchu. – Utknęłam w błędnym kole nienawiści do siebie samej.

– Czym się zajmowałaś, zanim urodziłaś pierwsze dziecko? – zapytała ją Frances.

Ciekawiło ją, czy odraza do własnego ciała i czwórka dzieci to jedyne tematy, jakie interesują Carmel. Kiedy Frances stawiała pierwsze kroki w zawodzie, jedna z przyjaciółek zarzuciła jej, że w swoich powieściach przedstawia matki jako postacie jednowymiarowe. Frances pomyślała sobie wtedy: „Czy one mają więcej wymiarów?”.

Później próbowała nadać im nieco głębi. Niektóre uczyniła nawet głównymi postaciami, choć nie za bardzo wiadomo, co zrobić z dziećmi, kiedy ich matka oddaje się romansom. Pewnego razu Jo odesłała jej manuskrypt po pierwszej lekturze, z dopisanymi na marginesach uwagami w stylu: „Kto zajmuje się dziećmi?”. Frances musiała przeredagować całą książkę, by umieścić w niej sceny z udziałem opiekunki. Strasznie ją to wkurzyło.

– Inwestycjami kapitałowymi – odparła Carmel.

Dobry Boże. Frances nigdy by się nie zdecydowała na taką pracę. Nawet nie do końca wiedziała, na czym ona polega. Jak miały spotkać się wpół drogi między inwestycjami kapitałowymi i pisaniem romansów?

– Lubiłaś to? – To z pewnością był bezpieczny temat.

– Wprost uwielbiałam – powiedziała Carmel. – Uwielbiałam to. Od tamtego czasu minęło wiele lat. Dziś pracuję na pół etatu, na stanowisku najniższego szczebla, czyli po prostu wklepuję dane, by mieć za co żyć. Dawniej byłam szyczą, a przynajmniej wszystko wskazywało na to, że nią zostanę. Pracowałam do późna, wstawałam codziennie o piątej, żeby popływać przed pójściem do biura, jadłam, co chciałam, i nudziły mnie rozmowy z kobietami, które w kółko opowiadały o swojej wadze.

Frances się uśmiechnęła.

– Wiem. Potem wzięłam ślub, urodziłam dzieci i całkowicie pochłonęła mnie rola matki. Planowaliśmy tylko dwójkę, ale mąż chciał syna, więc próbowaliśmy dalej. Urodziłam cztery dziewczynki. Zupełnie niespodziewanie mąż oświadczył, że przestałam mu się podobać, i odszedł.

Frances przez chwilę milczała, myśląc o szczególnym okrucieństwie pospolitych do bólu rozstań w wieku średnim, które podkopują w kobietach poczucie własnej wartości.

– A on wciąż ci się podobał?

Carmel namyślała się przez chwilę.

– Czasami. – Dotknęła kciukiem miejsca po obrączce. – Nadal go kochałam. Jestem tego pewna, bo bywały takie dni, że myślałam sobie: Och, co za ulga, wciąż go Kocham, byłoby mi o wiele trudniej, gdybym nic do niego nie czuła.

Frances zastanowiła się nad adekwatnym komentarzem: Jeszcze kogoś spotkasz.

Nie potrzebujesz mężczyzny, by czuć się spełniona. Twoje ciało cię nie definiuje. Musisz pokochać samą siebie. Zmieńmy temat, Carmel, bo jak będziemy dalej rozmawiać o facetach, oblejemy test Bechdel.

– Wiesz co? – odezwała się wreszcie. – Moim zdaniem na pewno osiągnęłaś już ketozę.

Carmel się uśmiechnęła i dokładnie w tej samej chwili w sali zgasło światło.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Napoleon

– Kto wyłączył światło? – zapytał swoim najgroźniejszym z belferskich głosów.

Kiedy mówił tym tonem, nawet najgorsi klasowi chuligani się uciszali. Przecież uzgodnili, że nie zgaszą światła.

– Nie ja.

– Nie ja.

– Nie ja.

Głosy dobiegały z różnych stron.

Ciemność była tak nieprzenikniona, że Napoleon w jednej chwili stracił orientację przestrzenną. Na oślep wyciągnął przed siebie ręce, tak jak rano.

– To ty? – zapytała Heather.

Siedziała obok niego. Poczuł, jak chwyta go za rękę.

– Tak. Gdzie Zoe?

– Tutaj, tato.

Głos Zoe dobiegł z drugiego końca sali.

– Nikt z nas nie zbliżał się do wyłącznika – powiedział Tony.

Napoleon poczuł kołatanie serca, a lęk sprawił mu przyjemność. Wyrwał go z szarej apatii, która dopadła go rankiem tuż po przebudzeniu. Gęsta mgła zapuściła miękkie palce w jego mózg, serce i ciało, paralizując go tak, że z trudem wydobywał z siebie słowa, unosił głowę i stawiał kroki. Zachowywał pozory, że wszystko gra. Z całych sił opierał się mgłę, udając, że zachowuje się normalnie, jakby samooszukiwanie się mogło przynieść mu ulgę. Może to chwilowa niedyspozycja. Może tylko dzisiaj tak podle się czuje. Jak na kacu. Niewykluczone, że jutro obudzi się i znowu będzie sobą.

– Może Masza próbuje nam przekazać, że czas iść spać.

Tym razem odezwała się Frances. Napoleon rozpoznał jej beztroski, trochę sarkastyczny głos. Zanim zostali zamknięci, wydawało mu się, że są do siebie podobni, bo łączy ich optymistyczny stosunek do życia. Teraz nadzieja zupełnie go opuściła, wyciekła z niego i ulotniła się, zostawiając po sobie tylko pustkę i znużenie.

– Nie jestem zmęczony – oznajmił Lars. A może Ben.

– Ja pierdolę – zaklął Ben. A może Lars.

– Moim zdaniem Masza coś knuje. – Ten głos należał do Jessiki, tego Napoleon był pewien.

Kiedy nie było widać jej twarzy, wydawała się znacznie inteligentniejsza.

Na moment zapadła cisza. Napoleon czekał, aż jego oczy przywykną do mroku, ale z ciemności nie wyłaniały się żadne kształty. Jakby z każdą chwilą gęstniała.

– Trochę tu strasznie – powiedziała Zoe drżącym głosem, a Heather i Napoleon odruchowo się poruszyli, jakby chcieli po omacku ruszyć córce na ratunek.

– To tylko ciemność. Jesteśmy tu z tobą. Nic ci nie grozi. – Ten głos z pewnością należał do Smileya Hogburna, który uspokajał Zoe.

Napoleon chciałby móc się komuś pochwalić, że w pewnym sensie grał w futbol ze Smileym Hogburnem. Uświadomił sobie, że pragnął to powiedzieć sobie samemu – temu, który już nie istniał.

Ciemność rozpanoszyła się na dobre.

Naprawdę zrobiło się strasznie.

– Może niech Lars coś zaśpiewa – zaproponowała Frances.

– Przynajmniej jedna osoba docenia mój talent – odrzekł Lars.

– Wszyscy powinniśmy się do niego przyłączyć – powiedziała Carmel.

– Niekoniecznie – odparła Jessica.

– Carmel, tylko ty mi zostałeś – powiedział Lars.

Zaintonował *I Can See Clearly Now*, a Carmel mu zawtórowała. Miała piękny głos. Co za niespodzianka, usłyszeć w ciemności melodię śpiewaną tak czysto i z takim uczuciem. Ludzie potrafią zaskakiwać.

Rankiem, po przebudzeniu, Napoleonowi wydawało się, że przenika go gniew, bo

miał prawo być wściekły na żonę, nie tylko z powodu tego, co przed nim zataiła, ale również dlatego, że postanowiła wyjawić swój sekret w tak koszmarnej okolicznościach, kiedy umysł Napoleona z trudem odróżniał budzącą grozę fikcję od rzeczywistości, choć teraz, kiedy narkotyki przestały działać, nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, które wydarzenia rozegrały się naprawdę. Zach tylko mu się przyśnił, ale Heather wyznała prawdę na jawie.

Nie przypominał sobie, by pytał ją o skutki uboczne zażywania leków na astmę, ale bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że odpowiedziałyby mu z nieskrywanym zniecierpliwieniem, bo w ich rodzinie to ona podejmowała wszelkie decyzje dotyczące ich zdrowia. To Heather miała wykształcenie medyczne, a Napoleon był nauczycielem. Do niego należało odrabianie z dziećmi zadań domowych. Do niej – troska o ich zdrowie. Szczyciła się tym, że nie kwestionuje jego decyzji w kwestii edukacji, choć on z chęcią wysłuchałby jej zdania, bo zawsze o choczko podejmował dyskusję, ale ona chciała po prostu odhaczyć obowiązki. Lubiła sobie wyobrazać, że w tym związku to ona była tą zorganizowaną i racjonalną. Tą, która skutecznie działa.

„Coś ty najlepszego narobiła, Heather?”

Faktycznie, gdyby miał okazję, przeczytałby ulotkę i monitorowałby Zacha, a przede wszystkim przekazałby mu istotne informacje. Powiedziałaby: „Zach, te leki mogą wpłynąć na twój nastrój, jeśli źle się poczujesz, daj mi znać”. A Zach przewróciłby oczami i odparł: „Tato, żadne lekarstwo nie wywołało u mnie skutków ubocznych”.

Być może wtedy by go uratował. Prawdopodobnie. Na pewno.

Przez trzy lata każdego ranka Napoleon budził się z myślą: „Dlaczego?”. A Heather wiedziała, czy raczej miała wszelkie dane, by przypuszczać, co się stało, ale z powodu poczucia winy z premedytacją ukryła przed nim fakt, który przyniósłby mu ukojenie. Nie wierzyła w siłę jego miłości? Wydawało jej się, że on obarczy ją całą odpowiedzialnością?

Co więcej, mieli obowiązek powiadomić oficjalne instancje o tym, co się stało. Boże, przecież mogło umrzeć kolejne dziecko. Powinni uświadomić całej wspólnocie chorych, jakie skutki może pociągnąć za sobą stosowanie tego leku. Heather postąpiła samolubnie, zatajając tę informację, by chronić siebie kosztem innych. Napoleon

postanowił po powrocie do domu zadzwonić do doktora Changa.

A Zoe? Jego najukochańsza córeczka. Tylko ona zauważyła, że coś jest nie tak, bo najlepiej z wszystkich znała Zacha. Wystarczyło powiedzieć: „Tato, z Zachem dzieje się coś niedobrego”. Napoleon natychmiast wkroczyłby do akcji, bo wiedział, jak niebezpieczne bywają emocje u dorastających chłopców.

Być może wtedy by go uratował. Prawdopodobnie. Na pewno.

Przy rodzinnym stole poruszyli kiedyś temat depresji. Napoleon wiedział, które rozmowy należy odbyć z dziećmi, i wszystkie je przeprowadził: nie podawajcie przez internet swoich danych, nie wsiadajcie do samochodu, jeśli kierowca pił, możecie do nas zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, mówcie nam o swoich uczuciach, jeśli ktoś was nęka, przyjdźcie z tym do nas, pomożemy wam, obiecuję, że wam pomożemy.

„Czy jestem wściekły?” Przez cały dzień zadawał sobie to pytanie, zastanawiając się, czy ta mgła to tylko zamaskowany gniew, ale uczucie, które przeniknęło wszystkie komórki jego ciała, było bardziej przejmujące, choć mniej wyraziste niż gniew. To była bezbarwna nicość, gęsta i ciężka jak mokry cement.

Kiedy siedział w ciemności, słuchając śpiewającej Carmel, bo Lars umilkł i pozwolił jej samej dokończyć piosenkę, Napoleon pomyślał: „Może właśnie tak czuł się Zach”.

Bez względu na to, czy stan ten wywołało u niego lekarstwo na astmę, czy burza hormonów, czy jedno i drugie, mógł poczuć się właśnie tak, jakby jego umysł, ciało i duszę spowiła szara mgła. Jakby wszystko straciło sens. Jakby w jego psychice zaszła jakaś ogromna zmiana, choć on zachowywał się na pozór normalnie.

„Och, byłeś tylko dzieckiem, a ja, dorosły mężczyzna, po jednym dniu mam dość”.

Przed oczami stanęła mu twarz syna. Pierwszy szorstki zarost, podkreślone rzęsy, kiedy spuszczał głowę, unikając kontaktu wzrokowego. Kiedy coś zmalował, nie potrafił spojrzeć ojcu prosto w oczy. Biedak nie znosił tarapatów, a co chwilę w nie wpadał. Zoe była sprytniejsza. Potrafiła wykręcić kota ogonem i udawać niewiniątko.

Wbrew temu, co się powszechnie uważa, dziewczętami wcale nie powodują uczucia. One doskonale panują nad emocjami. Żonglują nimi z ogromną wprawą. Teraz płaczą! A teraz się śmieją! Kto wie, co zrobię za chwilę! Na pewno się nie domyślisz! Natomiast chłopcy pod wpływem emocji zachowują się tak, jakby byli niespełna

rozumu.

Wtedy, tamtego ranka przed trzema laty, Zach nie podjął złej decyzji. Zapewne doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Jak można postąpić, będąc tak przytłoczonym? Czy kogoś uwięzionego w płonącym wieżowcu wypada prosić, by nie skakał? Co można zrobić, kiedy brakuje powietrza? Człowiek zrobi wszystko dla jeszcze jednego oddechu. Więc skacze. To oczywiste.

Zobaczył swojego synka, który patrzył na niego tak, jakby błagał o zrozumienie.

Zach był dobrym dzieckiem. Oczywiście, Napoleon nie akceptował ani nie pochwalał jego decyzji – była niewłaściwa, głupia, zła – ale po raz pierwszy przyjął do wiadomości, że jego syn miał swoje powody, by ją podjąć.

Wyobraził sobie, że sadza go sobie na kolanach, jak wtedy, gdy Zach był małym chłopcem, przytula go i szepcze mu do ucha:

„Zach, nie wpadłeś w tarapaty. Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem. Teraz wszystko rozumiem, synku. Nie wpadłeś w tarapaty.

Nie wpadłeś w tarapaty.

Nie wpadłeś w tarapaty”.

– Napoleon? – Heather wyrwała go z zamyślenia.

Za mocno ścisnął jej rękę. Rozluźnił dłoń.

Na ekranie nad ich głowami pojawił się czarno-biały obraz. Carmel przerwała śpiew.

– Co jest, do cholery? – wyrwało się Larsowi.

Głos Maszy popłynął z głośników z taką mocą, że Napoleonowi zadźwięczało w uszach. Jej twarz wypełniła ekran. Uśmiechnęła się do nich z miłością.

– Dobry wieczór, moje słoneczka, moje łapoczki.

– Mój Boże – szepnęła Heather.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

Frances

Zwariowała. Oszalała. Zbikowała. Odbiło jej.

Wszystko, co stało się do tej pory, było jednym wielkim żartem. Frances uznała, że pod każdym względem różni się od Maszy – dziwnej, charyzmatycznej, wysokiej i egzotycznej propagatorki alternatywnego stylu życia. Stan psychiczny dyrektorki Tranquillum House nie budził jednak podejrzeń. Frances w głębi duszy gotowa była uznać Maszę za geniusza. Przecież zwykli śmiertelnicy zazwyczaj uważali geniuszy za wariatów.

Gdyby zaproponowano jej zażycie narkotyków, nie protestowałaby. Tak naprawdę, gdyby Masza zapytała: „Chcesz spróbować smoothie z dodatkiem LSD?”, odpowiedziałyby: „Pewnie, czemu nie?”. Wyniki badań zrobiłyby na niej wrażenie, Yao, jako doświadczony ratownik medyczny, rozproszyłyby jej wątpliwości, zaintrygowałaby ją możliwość transcendentnego doświadczenia, a gdyby tylko któryś z kuracjuszy zgodził się pierwszy, z pewnością by się przyłączyła.

(Pewnego razu, gdy była nastolatką, matka zapytała ją:

– Gdyby wszystkie twoje koleżanki skoczyły ze skały do morza, zrobiłabyś to samo?

– No pewnie – odparła bez wahania Frances).

Teraz jednak, siedząc w ciemności i patrząc na ekran, uświadomiła sobie, że Masza ma nie po kolei w głowie. W jej zielonych oczach żarzył się ewangeliczny zapal, który lekceważył wszelką racjonalną logikę.

– Gratuluję wam! – powiedziała dyrektorka Tranquillum House. – Jestem bardzo zadowolona z waszych postępów. Tak daleko zaszliście od pierwszego dnia! – Złożyła

dłonie niczym aktorka przyjmująca Oscara. – Wasza podróż nieomal dobiegła końca.

Upiorna poświata bijąca z ekranu oświetliła twarze wpatrzone w Maszę.

– Masz nas stąd natychmiast wypuścić! – zawołała Jessica.

– Czy ona nas słyszy? – powątpiewała Carmel.

– Nie ma powodu do krzyków, Jessico. Cześć, Carmel. Widzę was i słyszę – odparła Masza. – Magia technologii. Czyż to nie cudowne?!

Nie patrzyła wprost do kamery. Dzięki temu łatwiej było nie ulec jej szaleństwu.

– Ogromnie się ucieszyłam, kiedy rozwiązaście zagadkę i znaleźliście matrioszkę – kontynuowała Masza.

– Wcale jej nie rozwiązałyśmy! – zaprotestowała Frances. Poczuli się osobiście dotknięta. – Wciąż tu tkwimy. W laleczce nie było kodu.

– No właśnie – powiedziała Masza. – No właśnie.

– O co chodzi? – zapytała Frances.

– Wprawdzie współpracowaliście, ale nie tak ściśle, jak tego oczekiwałam. Spodziewałam się, że wszyscy utworzycie ludzką piramidę, by dosięgnąć matrioszki, tymczasem wy woleliście grać w futbol. – Wypowiadając to ostatnie słowo, szyderczo wykrzywiła usta. Frances zrobiło się żal Tony'ego. – Przed laty, kiedy chodziłam do szkoły w Sierowie, zbudowaliśmy niezwykłą ludzką piramidę. Nigdy tego nie zapomnę. – Na ułamek sekundy się rozkojarzyła, ale natychmiast odzyskała koncentrację. – Nieważne. Grunt, że wykonaliście zadanie.

– Znalezienie laleczki nic nam nie dało – upierała się Jessica. – Była pusta.

– Zgadza się, Jessico – odparła Masza takim tonem, jakby tłumaczyła małemu dziecku, jak funkcjonuje świat.

– Ona bredzi – szepnął Ben.

– Przeszedłbym głęboką przemianę, gdybym mógł teraz wziąć prysznic – stwierdził Lars.

Posłał Maszy swój najbardziej zniewalający uśmiech. Jego piękna twarz rozświetliła się niczym miecz laserowy. Frances poszłaby o zakład, że ten uśmiech otworzył mu wiele drzwi.

Tym razem jednak mu się nie udało. Masza po prostu się uśmiechnęła. Toczyli

spektakularny pojedynek na urodę i charyzmę.

Lars w końcu jednak skapitulował. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Na litość boską, Masza, po prostu chcę stąd wyjść.

– Ach, Lars – powiedziała Masza. – Pamiętaj słowa Buddy: „Nic nie trwa wiecznie, wszystko się zmienia”.

– A ja mam wrażenie, że spędziłem tu całą wieczność.

Masza zachichotała.

– Wiem, że lubisz samotność, Lars. Pewnie nie jest ci łatwo, kiedy musisz cały dzień spędzić w towarzystwie obcych ludzi.

– Wszyscy są bardzo mili – zapewnił ją Lars. – Nie to jest problemem.

– Chcemy tylko wrócić do swoich pokoi – oznajmiła Heather spokojnym i racjonalnym tonem. – Terapia psychodelikami działała cuda, ale...

– Naprawdę działała cuda? Co za zmiana frontu, Heather! – W głosie Maszy pobrzmiwała nutka agresji. – Mam nadzieję, że mówisz z głębi serca. Podobno chcesz zawiadomić policję! Przyznaję, poczułam się urażona.

– Trochę się zdenerwowałam – wyznała Heather. – Jak wiesz, dziś jest rocznica śmierci mojego syna. Nie myślałam trzeźwo. Teraz zrozumiałam. – Spojrzała na ekran z całkowitym oddaniem. – Wszyscy zrozumieliśmy – kontynuowała. – Jesteśmy ci wdzięczni za to, co dla nas zrobiłaś. W codziennym życiu nie mielibyśmy takiej okazji. Teraz jednak chcielibyśmy wrócić do swoich pokoi, by cieszyć się resztą turnusu.

Frances próbowała wczuć się w położenie Maszy, która najwyraźniej uważała się za artystkę i była łasa na komplementy. Pragnęła powszechnego uznania, szacunku, pięciogwiazdkowych recenzji i wdzięczności.

– Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą, że pobyt tu jest niezwykle ciekawym doświadczeniem – zaczęła Frances, ale przerwał jej Tony.

– Czy za tobą jest Yao? – Wstał i podszedł do ekranu. – Dobrze się czuje?

– Tak, Yao jest ze mną – odparła Masza.

Odsunęła się i wskazała na niego gestem hostessy prezentującej główną nagrodę w teleturnieju.

Tą nagrodą był Yao.

Spał albo był nieprzytomny. Siedział na fotelu przy biurku Maszy, oparty policzkiem o blat, z rękami ułożonymi w półkole wokół głowy.

– Oddycha? Co mu się stało? – Heather też stanęła pod ekranem. Przestała się silić na uległy ton. – Co zażył? Co mu podałaś?

– Żyje? – zapytała Frances, czując ogarniającą ją panikę.

– Uciął sobie drzemkę – odparła Masza. – Jest bardzo zmęczony. W nocy nie zmrzył oka, troszcząc się o was! – Pogłaskała go po głowie i wskazała na jego potylicę. – W tym miejscu Yao ma znamię. Widziałam je podczas mojego spotkania ze śmiercią. – Jej uśmiech wprost do kamery przyprawił Frances o dreszcze. – Wtedy w najniezwyklejszych i najcudowniejszych okolicznościach stanęłam twarzą w twarz z własną śmiertelnością. – Jej oczy zaśniły. – Dzisiejszej nocy wy również się z nią skonfrontujecie. Niestety, nie będzie wam dane spojrzeć śmierci prosto w twarz, ale dzięki mnie uda się wam na nią chociaż przelotnie zerknąć! To niezapomniane wydarzenie... – szukała właściwego słowa i znalazła je z ogromną satysfakcją – ...skonsoliduje wasze dotychczasowe doświadczenia: szlachetne milczenie, terapię psychodelikami i wspólne poszukiwanie drogi ucieczki.

– On nie wygląda, jakby spał – zauważyła Heather. – Czymś go naszprycowałaś?

– Ach, Heather – powiedziała Masza. – Jesteś prawie lekarką, prawda? Zapewniam cię, Yao smacznie sobie drzemie!

– Gdzie Dalila? – zapytał Ben.

– Nie ma jej wśród nas – odparła Masza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoił się Ben. – Co to ma znaczyć?

– Odeszła – odparła beztrąsko Masza.

– Z własnej woli? – zapytała Frances.

Pomyślała o pozostałych pracownikach Tranquillum House: uroczo uśmiechniętej kucharce, która podawała do stołu, i Jan, której dłonie potrafiły czynić cuda. Gdzie się podziewały, kiedy goście przebywali w zamknięciu, a Yao leżał nieprzytomny na biurku Maszy?

– Posłuchajcie mnie bardzo uważnie – powiedziała Masza, ignorując pytanie Frances o Dalilę. Zbliżyła się do kamery, zasłaniając Yao. – Teraz pobawimy się

w przełamywanie lodów.

– Zdążyliśmy je już porządnie przełamać, Maszo – odparł Lars.

– Budda nawołuje nas, byśmy „promieniowali bezgraniczną miłością na cały świat”, i właśnie to będzie celem tego ćwiczenia. Chodzi w nim o miłość i pasję, a także o to, byście się nawzajem poznali – powiedziała Masza. – Gra nosi nazwę „Wyrok śmierci”!

Spojrzała na nich oczekująco, jakby spodziewała się erupcji entuzjastycznych pytań i komentarzy.

Wszyscy zamarli.

– Podoba wam się ta nazwa? – Masza pochyliła głowę i posłała im nieomal zalotne spojrzenie.

– Mnie nie – odparł Napoleon.

– Ach, Napoleonie, polubiłam cię. Jesteś szczery. Pozwólcie, że wyjaśnię wam zasady tego ćwiczenia – powiedziała Masza. – Wyobraźcie sobie, że wszystkich was skazano na śmierć! Czekacie na egzekucję! Może lepiej byłoby nazwać tę grę „Cela skazańców”? – Zmarszczyła czoło. – Tak, o wiele lepiej. Właśnie tak ją nazwiemy.

Carmel zaczęła cicho łkać. Frances położyła dłoń na jej ramieniu.

– O co chodzi w tej grze? Już wyjaśniam. Co się dzieje, kiedy ktoś zostaje skazany na śmierć? Potrzebuje kogoś, kto przemówi w jego imieniu, prawda? Poprosi o łaskę i odroczenie egzekucji. Oczywiście ta osoba to wasz... – Masza wyczekująco uniosła brwi.

– Prawnik – dokończyła Jessica.

– Tak! – zawołała Masza. – Wasz obrońca! Ktoś, kto powie: „Ta osoba nie zasługuje na śmierć! Wysoki sędzie, to dobry człowiek! Porządny obywatel, który ma wiele do zaoferowania wspólnocie!”. Rozumiecie, co chcę powiedzieć? Każdy z was jest prawnikiem i ma swojego klienta. Jasne?

Nikt się nie odezwał.

– Przydzieliłam każdemu z was klienta. Odczytam listę. – Zerknęła na kartkę z notatnika. – Frances broni Larsa. Lars Bena. – Spojrzała w obiektyw. – Słuchacie mnie? Nie będę się powtarzać.

– Słuchamy – odparł Napoleon.

– Heather broni Frances, Tony broni Carmel, Carmel broni Zoe, Zoe broni Jessiki, Jessica broni Heather, Ben broni Napoleona i... – zaczerpnęła głęboko powietrza – Napoleon broni Tony’ego! Uff! O nikim nie zapomniałam! – Spojrzała znad kartki. – Zapamiętaliście, kto jest waszym klientem?

Nikt nie odpowiedział. Wpatrywali się tępo w ekran.

– Tony, kogo bronisz? – zapytała Masza.

– Carmel – odparł obojętnym tonem.

– A ty, Zoe?

– Jessiki – odpowiedziała Zoe. – Nie wiem tylko, jakie popełniła przestępstwo.

– To nie ma znaczenia. Każdy z nas ma coś na sumieniu, Zoe – odparła Masza. – Sama najlepiej o tym wiesz. Nikt nie jest niewinny.

– Jesteś psychotyczną...

– Domyślam się, że to ty nas osądzisz, Maszo? – Napoleon zagłuszył swoją żonę.

– Zgadza się! To ja was osądzę! Dam każdemu z was tylko pięć minut na obronę klienta. To niewiele, ale powinno wystarczyć. Nie traćcie czasu na wodolejstwo! Niech każde wasze słowo będzie jak cios. – Zacisnęła pięść. – Macie całą noc na przygotowanie się. Prezentacje odbędą się o świcie. Odpowiedzcie sobie na pytanie: „Dlaczego mój klient zasługuje na to, by żyć?”.

– Każdy na to zasługuje – odparł Tony.

– Ale dlaczego akurat twój klient? Wyobraźmy sobie, że został tylko jeden spadochron! Tylko jedno miejsce w szalupie ratunkowej! Dlaczego to twój klient, a nie ktoś inny ma zostać ocalony? – powiedziała Masza.

– Kobiety i dzieci mają pierwszeństwo – odparł Tony.

– A gdyby wszyscy byli tej samej płci? W tym samym wieku? Kto przeżyje? Kto umrze? – zapytała Masza.

– Więc teraz gramy w „Ostatni spadochron”? – zadrwił Lars z kamienną twarzą. – Mamy usiąść w kółeczku i rozważać dylematy moralne jak studenci pierwszego roku filozofii, podczas gdy Yao leży nieprzytomny na twoim biurku? Wspaniale, cóż za transformacyjne doświadczenie.

– Ostrożnie – przystopował go półszepem Tony.

– To bardzo ważne ćwiczenie! – Masza podniosła głos. Jej napięta szyja świadczyła o powstrzymanej wściekłości.

Frances zrobiło się niedobrze. Czuła, że ma marne szanse w tej grze. W tego typu „zabawach” zazwyczaj szło jej beznadziejnie, a teraz Lars, jej „klient”, zdążył zrazić do siebie sędzinę.

Ben odezwał się pojednawczym tonem:

– Maszo, czy możesz nam jeszcze wyjaśnić, co się stanie, jeśli uznasz, że komuś nie udało się obronić swojego klienta?

Masza zaczerpnęła głęboko powietrza przez nos.

– No cóż, z reguły nie wykonujemy egzekucji na naszych gościach! Nie przyniosłoby to pożytku naszemu ośrodkowi! – Zaśmiała się radośnie.

– A zatem to tylko... symulacja? – zapytał Ben.

– Dość pytań! – krzyknęła Masza tak głośno, że Carmel cofnęła się i nadepnęła Frances na palec u nogi.

– To zupełnie niedorz... – zaczęła Heather, ale Napoleon chwycił ją za rękę.

– Wszyscy weźmiemy udział w tym ćwiczeniu, Maszo – powiedział głośno. – Zapowiada się bardzo... inspirująco.

Masza z wdzięcznością pokiwała głową.

– Świetnie. Przekonasz się, że to transformacyjne doświadczenie, Napoleonie. Zapewniam cię. A teraz włączę światło, by ułatwić wam to oświecające ćwiczenie! – Wyciągnęła rękę i lampy znowu się zapaliły, a wszyscy, mrużąc oczy, popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

– Kiedy już obronimy swoich „klientów”, wypuścisz nas? – zapytała Carmel ochrypłym głosem, przecierając oczy.

– Zadajesz niewłaściwe pytania, Carmel – odparła Masza. – Sama musisz się wyzwolić. Pamiętaj, jak przed kilkoma dniami rozmawialiśmy o nietrwałości wszystkich rzeczy? Nic nie trwa wiecznie. Nie przywiązuj się do szczęścia ani do cierpienia.

– W tej chwili chcę tylko wrócić do domu – powiedziała Carmel.

Masza cmoknęła ze współczuciem.

– Odrodzenie duchowe zazwyczaj sporo kosztuje, Carmel.

Frances podniosła rękę.

– Potrzebuję długopisu. Żeby dobrze się przygotować, muszę spisać swoją mowę obrończą! – Poklepała pustą kieszeń dresów. – Nie mam nic do pisania!

Masza ponownie ją zignorowała.

– A teraz, słodziaki, życzę powodzenia. Wróć o świcie. Musicie się skupić. Postawcie swoim klientom właściwe pytania i słuchajcie ich z otwartymi sercami. Przekonajcie mnie, że każdy z was zasługuje, by żyć. – Spojrzała na Yao tak czule, jakby był śpiącym dzieckiem, pogłaskała go po głowie i odwróciła się do kamery. – „Gorliwie wykonuj każdy obowiązek. Kto wie? Śmierć może nadejść już jutro”. Budda.
– Złożyła dłonie jak do modlitwy i schyliła głowę. – *Namaste*.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Lars

Goście Tranquillum House utworzyli zwartą grupkę na środku sali i z opuszczonymi głowami szeptali do siebie niczym gromadka palaczy przed biurowcem w chłodny dzień. Lars czuł kwaśną woń potu i nieświeże oddechy. Ben i Jessica trzymali się za rękę. Carmel i Frances obgryzały paznokcie. Tony szarpał agresywnie dolną wargę, jakby próbował ułożyć usta tak, by wydobyły się z nich właściwe odpowiedzi. Zoe z dłońmi na brzuchu wpatrywała się we własne stopy, a jej rodzice wpatrywali się w nią.

– Na pewno Yao nic nie grozi. Dalili też. Masza nikogo by nie skrzywdziła, prawda? – niepokoila się Frances. – Nie ma takiej możliwości. Uważa się za uzdrowicielkę.

Lars słyszał niepewność w jej głosie. Im dłużej przebywali w zamknięciu, tym bardziej traciła na atrakcyjności. Szminka starła się jej z ust, a wysoko spięty kucyk w stylu lat dziewięćdziesiątych stracił puszystość i nieładnie przylegał do głowy. Lars lubił Frances, ale gdyby groził mu wyrok śmierci i miał wybór, nie zatrudniłby jej jako obrońcy. Nie wiedział, kogo wybrałby z tej zbieraniny. Nie wiedział, co jest stawką w tej grze. I tak nie mogli wpłynąć na decyzje Maszy.

– Musimy udawać, że traktujemy serio tę farsę – zasugerował Lars.

– Też tak uważam – poparł go Napoleon. – Weźmy udział w tej zabawie, a przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbujmy się stąd wydostać.

– A ja jej uwierzyłam – pożałowała się Carmel. – Uwierzyłam w to wszystko. – Pokazała na salę. – Wydawało mi się, że ulegam transformacji.

– Reprezentuję cię – przypomniała Frances Larsowi z niepokojem w głosie. –

Powinniśmy pogadać. Boże, dałabym wszystko za długopis.

– Ja natomiast reprezentuję ciebie, Frances, w tej groteskowej... grze – oznajmiła z westchnieniem Heather. – Więc my też musimy porozmawiać.

– Okej, oczywiście, pozwól mi tylko zamienić kilka słów z moim klientem – odparła Frances nerwowym tonem.

Położyła dłoń na piersi, żeby się uspokoić. Lars się do niej uśmiechnął. Wyglądała na osobę, która gra w kalambury z ujmującą powagą, pomimo miernych umiejętności, jakby od wygranej zależało czyjeś życie, a teraz, kiedy faktycznie groziło im niebezpieczeństwo (oby nie!), zaczęła tracić nad sobą panowanie.

– Pogadajmy, Frances – zaproponował kojącem głosem Lars. – Potem przekonasz Heather, że powinnaś żyć.

– To jakaś farsa – burknęła Heather, kiedy wszyscy dobierali się w pary.

– Ktoś zostanie bez partnera – zauważył Napoleon. – Zaczekam na swoją kolej. – Jeszcze bardziej ściszył głos. – Poszukam jakiejś drogi wyjścia. – Odszedł od grupy z dłońmi w kieszeniach workowatych szortów.

Lars i Frances usiedli w kącie naprzeciwko siebie.

– No dobra. – Frances skrzyżowała nogi i zmarszczyła brwi. – Opowiedz mi wszystko o swoim życiu, związkach i rodzinie.

– Przedstaw mnie jako filantropa. Działam na rzecz lokalnej wspólnoty, angażuję się w rozmaite prace społeczne...

– Naprawdę? – przerwała mu Frances.

– Jesteś pisarką! – odparł Lars. – Chyba możemy pozmyślać! Nie ma znaczenia, co powiesz, jeśli tylko będziesz trzymała się zasad gry.

Frances pokręciła głową.

– Ona może i jest wariatką, ale wyczuje fałsz na kilometr. Zamierzam wykonać to ćwiczenie zgodnie z zasadami, tak jak ona tego oczekuje. Opowiedz mi wszystko, Lars. Nie żartuję.

Lars jęknął. Przeczesał włosy dłonią.

– Pomagam kobietom – zaczął. – Reprezentuję je podczas spraw rozwodowych.

– Naprawdę? – zdziwiła się Frances. – Czy to aby nie przejaw dyskryminacji?

– Zdobywam klientki wyłącznie z polecenia – wyjaśnił. – To kobiety z tego samego kręgu, znają się, grywają razem w tenisa.

– A zatem zatrudniają cię tylko bogate kobiety? – zapytała Frances.

– Nie wykonuję tej pracy z miłości – odparł Lars. – Nieźle zarabiam. Pilnuję, by mężczyźni określonego pokroju płacili odpowiednio wysoką cenę za swoje grzechy.

Frances postukała kciukiem w przednie zęby, wyobrażając sobie, że trzyma w ręku długopis.

– Jesteś z kimś związany?

– Tak – odparł Lars. – Od piętnastu lat. Ma na imię Ray i prawdopodobnie wolałby, żebym uniknął „kary śmierci”.

Poczuł nagłą tęsknotę za Rayem, ich domem, muzyką, czosnkiem skwierczącym na patelni i niedzielnymi porankami. Miał dość sanatoriów. Postanowił po powrocie zorganizować dla siebie i Raya podróż gastronomiczną po Europie. Jego facet za bardzo schudł. Jego oczy zrobiły się ogromne. Wszystko przez obsesję na punkcie kolarstwa. Pedałował jak opętany po wzgórzach wokół Sydney, coraz szybciej i szybciej, próbując zmusić organizm do produkcji endorfin i zapomnieć o tym, że jest w związku, w którym daje więcej, niż dostaje.

– To dobry człowiek – dodał Lars.

Niespodziewanie do oczu napłynęły mu łzy, bo uświadomił sobie, że gdyby teraz umarł, Ray byłby rozchwytywany jak przeceniony, luksusowy towar i ktoś inny z pewnością pokochałby go tak, jak on na to zasługiwał.

– Biedny Ray – szepnęła Frances, jakby czytała Larsowi w myślach.

– Czemu tak uważasz? – zapytał.

– Och, bo ty jesteś tak przystojny. Na chwilę w młodości zauroczył mnie atrakcyjny mężczyzna i czułam się fatalnie. A ty wyglądasz... – Pokazała na niego. – Niesamowicie.

– To lekko obraźliwe – obruszył się Lars.

Ludzie byli uprzedzeni do osób takich jak on, choć zupełnie ich nie znali.

– Dobra, dobra, nie przesadzaj – zgasła go Frances. – Nie masz dzieci?

– Nie – odparł Lars. – Rayowi na tym zależy. Mnie nie.

– Nigdy nie chciałam mieć dzieci – wyznała Frances.

Lars przypomniał sobie matkę Raya podczas jego trzydziestych piątych urodzin. Jak zawsze wypija „o jeden kieliszek szampana za dużo”, czyli dwa kieliszki. „Nie zgodzisz się na jedno dziecko, Lars? Tylko jedno, tycie-tycie? Obiecuję, nie musiałbyś kiwnąć palcem”.

– Czy podczas terapii psychodelikami zyskałeś lepszy wgląd w siebie? – zapytała Frances. – Maszy pewnie by się spodobało, gdybym o tym wspomniała.

Lars wrócił myślami do poprzedniej nocy. Jego wizja była momentami zachwycająca. W pewnym momencie uświadomił sobie, że widzi muzykę wydobywającą się ze słuchawek w formie wielokolorowych, jaskrawych strumieni. Rozmawiał z Maszą, ale nie przypominał sobie jakichś szczególnych odkryć. Opisywał w szczegółach kolory dźwięków i wydawało mu się, że ją zanudza, co trochę go ubodło, bo starał się wyrażać elokwentnie i z poetyckim polotem.

Chyba nie powiedział Maszy o chłopcu, który pojawiał się w jego halucynacji. Doceniłaby to.

Lars wiedział, że czarnowłose, umorusany dzieciak, raz po raz chwytający go za rękę, symbolizował ważne, traumatyczne doświadczenie z dzieciństwa. Na takie wspomnienia przełomowych momentów życiowych zazwyczaj polują terapeuci.

Nie chciał pójść za małym Larsem.

– Jestem zajęty – powtarzał, leżąc na plaży i wpatrując się z zachwytem w kolory muzyki. – Poproś kogoś innego.

„Mam gdzieś to, co próbuje mi przekazać podświadomość, ale dziękuję za troskę”.

Zeszłej nocy w pewnym momencie wdał się w rozmowę z Dalilą, ale jego paplanina wcale nie miała efektu terapeutycznego. Wydawało mu się, że rzuca słowa na wiatr. Właściwie podczas tej pogawędki czuł morską bryzę.

– Jesteśmy do siebie podobni, Lars – stwierdziła Dalila. – Masz wszystko w dupie, prawda? Nic cię nie obchodzi.

Czy paliła wtedy papierosa? To niemożliwe.

– Co masz na myśli? – zapytał leniwie Lars.

– Dobrze wiesz – odparła z taką pewnością siebie, jakby znała Larsa lepiej niż on

sam.

Frances bezwiednie tłukła knykciami w kość policzkową.

– Zrobisz sobie krzywdę – ostrzegł ją Lars.

Frances opuściła rękę.

– Nigdy nie reprezentowałam nikogo w sądzie – powiedziała.

– To nie sąd, tylko głupia gra – odparł. Spojrzał na rzekomo ciężarną Jessicę. – Powiedz Maszy, że razem z moim partnerem planujemy zostać rodzicami – rzucił nonszalancko.

– Nie wolno nam kłamać – odparła Frances.

Najwyraźniej przyprawiał tę biedaczkę o zawroty głowy.

Zrobiła taką minę jak Ray, kiedy Lars próbował wywołać u niego irytację albo frustrację. Zaciśnięte usta. Zwieszony ramiona. Rozczarowanie w oczach.

Przypomniał sobie łobuzerskie spojrzenie chłopca ze snu i uświadomił sobie, że to nie było jego dawne ja. Dziecko miało orzechowe tęczówki. Jak Ray, jego siostra i matka. Patrząc na niego, Lars miał ochotę zamknąć oczy, bo nie mógł znieść tej przerażającej miłości, zaufania i lojalności.

– Powinnaś zagrozić Maszy, że jeśli nie przeżyję, to pozwę ją o umyślne spowodowanie śmierci – powiedział teraz do Frances. – Wygram. Gwarantuję ci to.

– Co? – Frances uniosła brwi. – To nie ma sensu!

– Cała ta gra nie ma ani krzty sensu – odparł Lars.

Znowu przed oczami stanął mu ciemnowłosy chłopiec o orzechowych oczach, który chwycił Larsa za rękę i nagłym tonem oznajmił:

– Muszę ci coś pokazać.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Jessica

Jessica i Zoe siedziały naprzeciwko siebie ze skrzyżowanymi nogami na macie do jogi, jakby zamierzały ćwiczyć pilates.

Jessica dałaby wszystko, by w tej chwili znaleźć się na zajęciach z pilatesu, nawet na tych tanich, na które chodziła, zanim wygrali na loterii. Ćwiczyła w domu kultury, gdzie panował wieczny przeciąg, w towarzystwie kur domowych z tej samej dzielnicy.

– Myślisz, że naprawdę jesteśmy w tarapatach? – Zoe co chwilę zerkła na rodziców. Jessica, chcąc nie chcąc, zauważyła jej pięknie zarysowane brwi.

– Ach, chyba tak – odparła. – Moim zdaniem Masza jest zdolna do wszystkiego. Wygląda na mocno zaburzoną.

Próbowała uspokoić oddech. Lęk ogarniał ją falami jak mdłości podczas jazdy na karuzeli.

– Miejmy nadzieję, że nie wykona na nikim egzekucji – stwierdziła Zoe, uśmiechając się zawadiacko, jakby chciała zasygnalizować, że tylko żartuje.

– Oczywiście, że nie – uspokoiła ją Jessica, choć kto mógł przewidzieć, co jeszcze wymyśli ta wariatka. Podała im narkotyki, nie pytając o zgodę, i unieszkodliwiła Yao i Dalilę. – To tylko ćwiczenie, które ma nas skłonić do myślenia. W dodatku idiotyczne.

– Boję się, że moja matka wkurzy Maszę. Chyba nie traktuje tej gry poważnie. – Zoe rzuciła okiem na Heather.

– Nie martw się, zrobię, co w mojej mocy, by ją obronić – zapewniła Jessica. – Twoja matka to położna. Dzięki niej przychodzi na świat nowe życie. Poza tym kierowałam kiedyś klubem dyskusyjnym.

„Jessica to sumienna uczennica”. Taki komentarz często pojawiał się pod wykazem

jej ocen.

– A ja zrobię, co w mojej mocy, by obronić ciebie! – Zoe wyprostowała plecy, jakby i ona była sumienną uczennicą. – No dobra, w pierwszej kolejności powinnam chyba wspomnieć o twojej ciąży, prawda? Nie można wykonać egzekucji na ciężarnej. Na pewno zabrania tego jakaś konwencja albo akt prawny.

– To prawda – odparła Jessica z wahaniem, nie wiedząc nawet, dlaczego naszły ją wątpliwości.

Bo nie była pewna, czy jest w ciąży? Bo czuła się tak, jakby wykorzystywała kruczek prawny? Bo zasługiwała, by żyć, tylko dlatego że nosiła w sobie dziecko?

A jeśli nie była w ciąży, to czemu miałaby żyć? Tylko dlatego, że chciała? Bo kochali ją rodzice? Bo była pewna, że siostra też ją kocha, choć aktualnie się do siebie nie odzywały? Bo jej obserwatorzy na Instagramie często zapewniali ją, że „poprawiła im humor”? Bo w ubiegłym roku podatkowym przeznaczyła na cele charytatywne więcej, niż niegdyś zarabiała przez dwanaście miesięcy?

– Kiedy wygraliśmy, postanowiliśmy, że nie będziemy egoistami – powiedziała Jessica do Zoe. – Że będziemy się dzielić i wspierać organizacje dobroczynne. – Przechesała włosy dłonią i ściszyła głos. – Ale nie oddaliśmy wszystkiego.

– Nikt nie miał prawa tego od was oczekiwać – odparła Zoe. – Nagroda należała do was.

– Między innymi dlatego zdarza mi się tęsknić za naszym poprzednim życiem – wyznała Jessica. – Zanim zyskaliśmy tę fortunę, nie musieliśmy się zastanawiać nad tym, czy jesteśmy „dobrymi” ludźmi, bo nie mieliśmy czasu, by działać na rzecz innych. Płaciliśmy rachunki, jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, żyliśmy z dnia na dzień. – Skrzywiła się. – Wiem, to brzmi jak narzekanie, ale uwierz mi, wcale się nie skarzę.

– Czytałam gdzieś, że ludzie, którzy zyskują nagle duże pieniądze, rozpuszczają je na prawo i lewo, zrywają relacje z bliskimi, tracą wszystko i lądują na zasiłku – powiedziała Zoe.

– Wiem! – zapewniła ją Jessica. – Kiedy wygraliśmy, poczytałam trochę o zwycięzcach loterii, więc wiedziałam, jakie czyhają na nas niebezpieczeństwa.

– Na pewno świetnie dałaś sobie radę – powiedziała Zoe.

– Dzięki – odparła z wdzięcznością Jessica, bo czasem chciała, by ktoś ją pochwalił za to, jak sobie poradziła z wygraną.

Próbowała zachowywać się jak porządna zwyciężczyni loterii. Inwestowała z głową, dzieliła się z innymi, zasięgała porad podatkowych, chodziła na wykwintne bale charytatywne, gdzie strasznie eleganccy bogacze sączyli francuskiego szampana, kupując na aukcji jakieś bibeloty za bająnskie sumy. „Panie i panowie, to wszystko na zbożny cel!” Przypomniawszy jej się Ben, który poprawiając muszkę, mrucał pod nosem:

– Kurwa, co to za ludzie?

Czy Jessica powinna była wydać więcej podczas tych imprez? A może mniej? A może należało z nich zrezygnować i wysłać czek? Co uczyniłoby ją lepszym człowiekiem, który zasługuje na to, by żyć?

A gdyby w tej grze przyszło jej wziąć udział przed wygraną? Co Zoe miałyby do powiedzenia? Jessicę należy uniewinnić, bo ciężko pracuje na gównianym stanowisku i nigdy w życiu nie leciała klasą biznesową, o pierwszej nawet nie wspominając, więc w sumie prowadzi takie sobie życie?

Teraz pieniądze ją definiowały. Już nie pamiętała siebie samej sprzed wygranej.

– Jediną decyzją, jaką podjął Ben, był wybór samochodu – zwierzyła się Jessica. – Nie chciał niczego zmieniać... a przecież to niemożliwe.

Dotknęła ust i spojrzała na swoje piersi, które, obiektywnie rzecz biorąc, były zajebiste.

Czy łatwiej byłoby ją obronić, gdyby nie wyglądała tak dobrze? Gdyby nie wydała fortuny na poprawienie urody?

– Dlaczego chcesz się upodobnić do tych okropnych sióstr Kardashian? – zapytała ją matka.

Bo Jessica uważała je za zachwycająco piękne. Miała prawo tak myśleć. Zanim się wzbogacili, Ben ślinił się na widok zdjęć drogich samochodów, a Jessica na widok zdjęć modelek i gwiazd telewizji. Nie obchodziło jej to, że fotografie poddano obróbce w Photoshopie. Ben dostał nowe auto, a ona nowe ciało. Czy naprawdę czyniło ją to bardziej powierzchowną od niego?

– Przepraszam. – Spojrzała na Zoe i przypomniała sobie, że jej brat popełnił

samobójstwo. Zoe pewnie nigdy w życiu nie spotkała nikogo tak próżnego jak Jessica. – Żadna z tych informacji nie przyda ci się do mowy obrończej, prawda? Czemu ta dziewczyna powinna żyć? Och, bo z całych sił starała się dobrze zarządzać pieniędzmi z wygranej.

Zoe nie uśmiechnęła się, tylko spojrzała na Jessicę poważna i skupiona.

– Nie martw się, przedstawię cię w pozytywnym świetle. – Spojrzała na ekran, na którym widniała twarz Maszy. – Jak sądzisz, co się stanie po tym, jak skończy się ta głupia gra?

– Nie wiem – odparła szczerze Jessica. – Wszystko może się zdarzyć.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY PIĄTY

Masza

Masza przyniosła poduszkę z Sali Lawendowej. Yao nawet nie westchnął, kiedy podłożyła mu ją pod głowę. Jego półprzymknięte powieki lekko zadrgały, troszeczkę odsłaniając lśniące oczy.

Przypomniała sobie, jak kiedyś okrywała kołderką malutkie ciało. Wydawało jej się, że to cudze wspomnienie, choć bez wątpienia należało do niej. Nie miało żadnej faktury, smaku ani koloru. Było jak scena zarejestrowana przez kamerę przemysłową.

To też nie była prawda. Gdyby tylko zapragnęła, mogłaby nadać temu wspomnieniu kolor i fakturę.

Kołderka była żółta. Pachniał szampon No More Tears. Obracająca się powoli karuzela z dzwoneczkami wygrywała kołysankę Brahmsa. Masza dotykała palcami miękkiej, ciepłej skóry.

Nie chciała jednak w tej chwili przywoływać tego wspomnienia.

Wyłączyła monitor, by nie oglądać ani nie słuchać swoich gości. Potrzebowała przerwy. Ich jękliwe narzekania kojarzyły jej się z odgłosem drapania paznokciami po tablicy.

Środek uspokajający, który podała Yao, został przygotowany na wypadek, gdyby któryś z gości źle zniósł wczorajsze smoothie, wpadł w szal albo posunął się do rękoczynów, zagrażając sobie samemu i innym. Masza wiedziała, że Yao obudzi się w doskonałej formie po kilku godzinach głębokiego snu. On sam poinstruował Maszę i Dalilę, jak zrobić zastrzyk w podbramkowej sytuacji.

Nie zaplanowała tego posunięcia, ale przekonywała się o jego słuszności, w miarę jak Yao tracił zaufanie do nowej metody i stawał się kulą u nogi. Należało tymczasowo

uniemożliwić mu podejmowanie strategicznych decyzji. Sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji, dlatego Masza ruszyła do akcji, tak jak dawniej, kiedy wystawiała na odstrzał mało wydajnych pracowników, a nawet całe działy. Jej odwaga wykonywania zdecydowanych posunięć i egzekwowania swoich żądań w obliczu nieoczekiwanych zmian przydawała jej się na wszystkich etapach kariery zawodowej. Elastyczność. Właśnie ona dawała jej przewagę. Masza była elastyczna dosłownie i w przenośni.

Jednak kiedy Yao zasnął, poczuła się dziwnie samotna. Tęskniła i za nim, i za Dalilą. Bez nich nie miała kogo pouczać, nikt nie obserwował jej poczynań, przed nikim nie musiała się tłumaczyć. Sytuacja zrobiła się osobliwa. Dużą część swojego życia spędziła w samotności. Kiedy odnawiała Tranquillum House, a także tworzyła i udoskonalała swój plan rozwoju osobistego, dzięki któremu dokonała radykalnej przemiany fizycznej i duchowej, całymi miesiącami nikogo nie widywała i w ogóle nie brakowało jej towarzystwa. Potem jednak jej życie się zmieniło. Rzadko bywała sama. W domu zawsze kręcili się jej pracownicy albo goście. Uzależnienie od ludzi uważała za słabość. Powinna nad tym popracować. Przecież stale się rozwijała.

„Wszystko się zmienia”.

Zmusiła swoich gości do udziału w symulacji, ale zależało jej na tym, by przestraszyli się naprawdę. Okazywali za mało lęku. Były od nich cynizm i zwątpienie. Nie okazywali jej szacunku. Byli niewdzięczni. I prawdę powiedziawszy, mało inteligentni.

Narkotyki sporo kosztowały. Przez to zmniejszyła się marża zysku ośrodka. Masza była gotowa dla ich dobra poświęcić część swoich dochodów. Kochany Yao tak ciężko pracował, by obliczyć właściwą dawkę dla każdego z gości. Zarwał tyle nocy, by wykonać to zadanie!

Nowa metoda miała stanowić przepustkę do nowej kariery. Masza chciała wrócić do wielkiego świata. Brakowało jej powszechnego uznania, jakie zyskała, pracując dla korporacji. Pisała do czasopism branżowych i zapraszano ją do wygłoszenia wykładów plenarnych podczas konferencji i zjazdów. Chciała znowu publikować artykuły i przygotowywać prelekcje. Już poczyniła pierwsze kroki, by podpisać kontrakt na książkę. Reakcje wydawców były pozytywne. „Praca nad sobą to temat, który od lat

cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem”, odpisał jeden z nich. „Prosimy pozostać z nami w kontakcie”.

Masza nie mogła się doczekać, kiedy dawni koledzy z pracy zobaczą jej przemianę. Pewnie w pierwszej chwili by jej nie rozpoznali, a potem wzbudziłaby wśród nich podziw i zazdrość. Zrezygnowała z wyścigu szczurów i patrzcie, ile osiągnęła. Spodziewała się artykułów na swój temat i wywiadów w telewizji. Zamierzała zatrudnić specjalistę od wizerunku. W swojej książce, w notce z podziękowaniami nie omieszkałaby wspomnieć o Yao, a nawet rozważała zaproponowanie mu kierowniczego stanowiska, by zajmował się Tranquillum House podczas jej wyjazdów promocyjnych.

Świetlana, wspaniała przyszłość stała przed Maszą otworem, a jedyną przeszkodą na drodze do sukcesu była ta banda niewdzięczników. Spodziewała się, że kiedy wieści o jej sukcesach rozejdą się po świecie, na przyjęcie do jej ośrodka trzeba będzie czekać rok. Ceny skoczyłyby stosownie do popytu. Tym ludziom zaoferowała swój program za bezcen, a oni tylko narzekali.

Wydawało im się, że są głodni! Czy kiedykolwiek zaznali prawdziwego głodu? Czy choć raz w życiu stali w kolejce po podstawowe towary spożywcze dłużej niż pięć minut?

Masza spojrzała na wygaszony monitor, zastanawiając się, czy go nie włączyć, ale nie miała najmniejszej ochoty ich teraz oglądać. Była na nich wściekła. Heather Marconi potraktowała ją tak pogardliwie. Masza jej nie polubiła.

Gdyby ktoś z nich miał głowę na karku, już dawno wydostaliby się na wolność i szliby na policję, by złożyć zażalenie w związku z tym, jak ich tu potraktowano, choć przecież Masza otoczyła ich troskliwą opieką.

Wyciągnęła kluczyk z górnej szuflady i otworzyła szafkę w biurku.

Przez moment przeglądała jej zawartość. Pocięła jej ślinka. Łapczywie chwyciła opakowanie doritosów i słoiczek salsy. Torebka była pękata, gładka i szeleściła w dłoni.

Masza przypomniała sobie kobietę, która wracała do domu po szesnastu godzinach pracy w biurze, siadała w ciemnym pokoju przed telewizorem i bezmyślnie objadała się doritosami z salsą. Tak wyglądał wieczorny posiłek Maszy. Nie dbała o swoje ciało. Nic dla niej nie znaczyło. Kiedy zauważała, że nie mieści się w starych ubraniach, kupowała nowe. Praca pochłaniała ją bez reszty. Masza paliła i nie uprawiała sportu. Jak

stwierdziła jej lekarka, to się musiało skończyć zawałem albo wylewem.

Otworzyła torebkę, delektując się sztucznym aromatem sera i soli. Miała usta pełne śliny. Czowała odrazę do samej siebie, a jej żołądek zacisnął się. Minął rok, od kiedy po raz ostatni oddała się temu perwersyjnemu, karygodnemu procederowi. Teraz popchnęli ją do tego niewdzięczni goście.

Ostatnio jadła doritosy również z winy jednego z kuracjuszy. Przyznał Tranquillum House tylko jedną gwiazdkę na TripAdvisorze, a w swojej recenzji zawarł litanię kłamstw. Twierdził, że łózka są zapluskwione. Zamieścił nawet zdjęcie pokąsanej skóry. Oczywiście łózka były czyste, a on zmyślił tę historyjkę, bo ostatniego dnia turnusu usłyszał od Maszy, że jest na najlepszej drodze do zawału albo wylewu, dlatego powinien zmienić tryb życia. Zidentyfikowała go, bo sama była kiedyś taka jak on. Obraziła go, używając słowa „gruby”. Bo był gruby. Aż tak go zaskoczyła? Czy nie z tego powodu tu przyjechał?

Masza włożyła pierwszy chips do ust i całe jej ciało zadrżało w wyniku wywołanej przez niego reakcji chemicznej. Wiedziała, na ile kalorii może sobie pozwolić i jak długo przyjdzie jej potem ćwiczyć, by je spalić. (Mogła też zwymiotować).

Rozgryzła doritosa i jednym ruchem nadgarstka otworzyła słoiczek z salsą. Dawniej miała tak słabe mięśnie, że mocowała się nawet z tak małym pojemniczkiem. Ta żalosna grubaska siedząca przed telewizorem musiała obluzować nakrętkę, opukując ją łyżeczką i klnąc pod nosem.

We wcześniejszym życiu od otwierania słoików byli mężczyźni. Przywoływała do siebie męża niczym służącego, a on odkręcał wieczko, uśmiechał się i ją obejmował. Bez przerwy ją dotykał. Robił to codziennie, przez wiele lat.

Ale ona była wtedy kimś innym. Od dziesięcioleci nie zaznała czułego dotyku.

Nabierając czerwoną, lśniącą salsę na kolejny chips, przypomniała sobie, jak zeszłej nocy Yao chwycił ją za rękę.

Teraz wydał rozkoszne westchnienie. Miał zaróżowione policzki. Wyglądał jak dziecko, które gorączkuje.

Masza położyła mu dłoń na czole. Był rozpalony.

Włożyła do ust kolejny chips i zaczęła jeść szybciej, a żółte okruszki spadały na jej biurko i sukienkę, kiedy pozwoliła sobie na powrót do ostatniego dnia tamtego dawnego

życia.

Była niedziela. Jej ówczesny małżonek zachowywał się niczym rodowity, „wyluzowany” Australijczyk. Mieszkańcy tego kraju uwielbiali słówko „wyluzowany”, jakby nie znali większego komplementu. Jej mąż przyjął zaproszenie od kolegi do udziału w grze, która polegała na strzelaniu do siebie nabojami z farbą. Zapowiadała się „świetna zabawa” i „ubaw po pachy”.

Tak, trzeba wyjątkowego luzu, by biegać w kółko i strzelać do siebie. Wszystkie żony towarzyszyły swoim mężom, ale Masza została w domu z dzieckiem. Nic jej nie łączyło z tymi kobietami, które ubierały się tak niegustownie, że Maszę na ich widok ogarniała rozpacz i tęsknota za ojczyzną. Była matką pracującą. Miała pełne ręce roboty. Była dziesięć razy inteligentniejsza od wszystkich kolegów ze swojej firmy, ale musiała pracować dziesięć razy ciężiej, by zasłużyć na pochwałę.

Wzrost w niczym jej nie pomógł. Czasem współpracownicy udawali, że jej nie rozumieją, a niekiedy odnosiła wrażenie, że naprawdę niczego nie pojmują, choć władała angielskim lepiej niż oni. Nie bawiły jej ich żarty – ani razu się nie zaśmiała – i vice versa. Kiedy pozwalała sobie na zabawny, wysublimowany i inteligentny komentarz, oni gapili się nią baranim wzrokiem.

W rodzinnym kraju miała wielu przyjaciół, a tutaj zrobiła się dziwnie nieśmiała. Miała sobie za złe, że straciła swadę, bo dawniej nikt nie uważał jej za osobę niepewną siebie. Chodziła z wysoko uniesionym czołem, bo nie znosiła być obiektem żartów, a tutaj na każdym kroku mogła zostać źle zrozumiana lub niewłaściwie coś zinterpretować. Jej mąż zupełnie nie przejmował się takimi sytuacjami. Uważał je za zabawne. Bez lęku zanurzył się w nurcie życia towarzyskiego, zanim jeszcze poznał obowiązujące tu zasady, a ludzie go uwielbiali. Masza była z niego dumna, choć odrobinę mu zazdrościła.

Pewnego razu zaproszono ich oboje do domu jej szefa na, jak jej się zdawało, wytworną kolację. Ubrała się elegancko, w sukienkę i seksowne szpilki, tymczasem wszystkie pozostałe kobiety przyszły w jeansach.

Na zaproszeniu znajdowała się informacja: „Przynieście swoje mięso”. Masza bez wahania oznajmiła mężowi:

– To taki typowo australijski żart! Mało śmieszny, ale z pewnością żart.

Nie zmierzała się zbłąźnić, traktując tę prośbę serio.

Jak się okazało, to nie był żart. Kobiety w jeansach niosły w reklamówkach zapakowane podwójne porcje surowego mięsa. Dwa steki. Cztery kielbaski. Masza nie wierzyła własnym oczom.

Jej mąż wykazał się reflekssem. Uderzył się dłonią w czoło.

– O nie, zapomnieliśmy zabrać mięso z domu! – powiedział na powitanie.

– Nie martwcie się – uspokoił go gospodarz. – Podzielimy się z wami.

Jakże to miło z jego strony, że podzielił się mięsem z gośćmi, których zaprosił do swojego domu.

Kiedy tylko pary przestępowały próg, kobiety i mężczyźni rozchodzili się do osobnych grup, jakby nie wolno im było ze sobą rozmawiać. Faceci stali wokół grilla i o wiele za długo trzymali na nim mięso, którego nie dało się potem zjeść. Brakowało krzesel. Ludzie siadali wszędzie, gdzie się dało. Trzy kobiety przycupnęły na murze oporowym.

Tamtego dnia Masza postanowiła, że nie będzie inwestować energii w nawiązywanie nowych znajomości w Sydney, bo i po co? Miała jedenastomiesięczne dziecko, odpowiedzialną pracę na pełny etat i męża. Aktywne życie przynosiło jej wiele satysfakcji i nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Dumą napawało ją jej dziecko, przewyższające rówieśników pod względem urody i inteligencji. Takie były fakty. Jej mąż też tak uważał. Czasem współczuła innym matkom, kiedy patrzyły na jej synka, siedzącego grzecznie i dostojnie w wózku. Jego jasne włoski lśniły w słońcu (dzieci często są łyse jak kolano). Rozglądał się, chłonąc świat wielkimi, zielonymi oczami. Często zauważał coś zabawnego (miał to po ojcu), a wtedy śmiał się do rozpuku, zaskakująco głębokim głosem, a wszyscy, którzy to słyszeli, zarażali się jego radością, a wtedy Masza odwzajemniała uśmiechy otaczających ją ludzi, uśmiechała się szczerze, a nie z uprzejmości i nie czuła się wyalienowana. Była pełnoprawną mieszkanką Sydney, matką na spacerze z dzieckiem.

Tamtej niedzieli kończyła pracę, kiedy jej synek się obudził. Nie płakał po przebudzeniu. Zawodził melodyjnie, jakby bawił się głosem. Wydawał na przemian wysokie i niskie dźwięki. Najwyraźniej nie miał słuchu, tak jak jego ojciec, który lubił pofałszować podczas gotowania.

W pewnym momencie malec zawołał:

– Ma-ma! Ma-ma!

Był taki mądry. Wiele dzieci w jego wieku nie potrafi jeszcze powiedzieć ani jednego słowa.

– Już idę, *łapoczka!* – odkrzyknęła.

Potrzebowała jeszcze pięciu minut.

Mały ucichł. Masza skończyła robotę. Zajęło jej to niecałe pięć minut. Może nawet cztery.

– Znudziło ci się czekanie na mnie, króliczku? – zapytała, otwierając drzwi do jego pokoju.

Wydawało jej się, że zasnął.

Już nie żył.

Uduślił się, bawiąc się długim białym sznurkiem od rolet okiennych. Jak się później dowiedziała, takie wypadki często się zdarzają. Wiele kobiet zobaczyło to, co ona tamtego dnia. Drżącymi palcami wyplątywały swoje kochane maleństwa.

Dziś na sznurach od rolet umieszczano specjalne ostrzeżenia. Masza dostrzegła je z daleka, wchodząc do pokoju.

Jej mąż, który przyjechał do szpitala prosto ze strzelaniny, w kombinezonie upapranym farbą, stwierdził, że to nie jej wina, to był wypadek. Na zawsze zapamiętała jego szczękę pokrytą kropelkami niebieskiego deszczu.

Przypomniał jej się jeden dziwny moment, kiedy spojrzała na otaczających ją obcych ludzi i nagle zatęskniła za matką, która nigdy jej nie lubiła, o miłości nawet nie wspominając, i która nigdy jej nie pocieszała. A jednak to właśnie jej brakowało Maszy w obliczu tragedii.

Nie potrafiła sobie wybaczyć. Syn ją wołał, a ona do niego nie przyszła. To było nie do przyjęcia.

Pozwoliła mężowi odejść. Namawiała go, by zaczął nowe życie, i w końcu mu się to udało, choć zajęło to znacznie więcej czasu, niż Masza by sobie życzyła. Kiedy zniknął, poczuła ulgę, bo nie musiała już cierpieć, patrząc na twarz, która przypominała jej o ich ślicznym synku.

Choć nie czytała e-maili, które przysyłał, i nie interesowała się jego losem, przed wieloma laty w barze w centrum handlowym wpadła na ich wspólnego znajomego, który wciąż utrzymywał kontakt z jej byłym mężem i tamtego feralnego dnia brał udział w strzelaninie na niby. Wtedy dowiedziała się, że jej eks ma się dobrze, jest szczęśliwym mężem rodowitej Australijki i ojcem trzech synów.

Masza miała nadzieję, że wciąż śpiewa podczas gotowania. Prawdopodobnie nie porzucił tego zwyczaju. Podczas swoich badań natknęła się na koncepcję bieźni hedonicznej tłumaczącą, dlaczego ludzie potrafią czerpać zadowolenie z życia bez względu na wszystkie dobre i złe doświadczenia, jakie przypadły im w udziale. Jej mąż był człowiekiem prostolinijnym i szczęśliwym, a ona osobą skomplikowaną i nieszczęśliwą.

Syn Maszy w sierpniu skończyłby dwadzieścia osiem lat. Gdyby żył, z pewnością łączyłaby ich trudna relacja. Kłóciliby się tak zażarcie, jak niegdyś ona ze swoją matką. Jednak on pozostał dla niej tylko rozśpiewanym, gaworzącym bobasem i przystojnym młodzieńcem w czapeczce baseballowej kroczącym ku niej przez jezioro pełne kolorowego światła.

Dlaczego nie pozwolono jej z nim zostać?

Masza spojrzała na puste opakowanie po chipsach. Miała żółte plamy na opuszkach, tak jak niegdyś jej ojciec, choć jego palce żółkły od nikotyny. Otarła usta dłonią i włączyła monitor, by sprawdzić, co robią jej goście.

Nikt nie spał. Siedzieli w grupkach, prowadząc swobodne rozmowy, jak typowi Australijczycy. Byli zbyt wyluzowani. To nie była ciemna noc duszy, tylko imprezka z grillem. Nie wierzyli, że grozi im kara śmierci.

Żaden z jej pracowników nie postawił jej się tak, jak ci ludzie.

Obraz na monitorze pulsował, jakby budził się do życia. Doszło do awarii? Przystawiła do niego palec i poczuła, że ekran drga jak zdychająca ryba.

Po chwili dezorientacji przypomniała sobie, że wcześniej zażyła siedemdziesiąt pięć miligramów LSD, by klarowniej myśleć i podejmować właściwe decyzje. To była zwykła halucynacja. Powinna się odprężyć i pozwolić mózgowi na stworzenie odpowiedniej liczby powiązań.

Rozejrzała się po gabinecie i zobaczyła zaczajony w kącie odkurzacz. Nie pulsował.

Był rzeczywisty. Wcześniej go nie zauważyła. Pewnie sprzątaczką go tu zostawiła. W ośrodku pracował świetny personel. Masza rekrutowała i zatrudniała najlepszych w swoim fachu. Należy dbać o poziom usług we wszystkich sektorach firmy.

Odkurzacz wyglądał znajomo.

– Och! – westchnęła, kiedy jej ojciec niezdarnie podniósł go obiema rękami.

Maszyna była taka nieporęczna. Ojciec ruszył z nią w kierunku drzwi.

– Nie, nie, nie! – zakrzyknęła. – *Papoczka!* Odstaw to! Nie odchodź!

Ojciec spojrzał na nią smutno, uśmiechnął się i zniknął. Nikt nie kochał jej nigdy tak jak on.

Tylko jej się przywidział. Wiedziała o tym. Bez trudu odróżniała złudzenie od rzeczywistości. Miała klarowny umysł i wciąż potrafiła racjonalnie myśleć.

Zamknęła oczy.

Jej chłopczyk ją wołał. „Nie, to złudzenie”.

Otworzyła oczy i zobaczyła go, jak raczkuje po podłodze, gaworząc do siebie.

Czym prędzej zacisnęła powieki. „Nie, to złudzenie”.

Otworzyła oczy. Uspokoiłaby ją odrobina nikotyny.

Jeszcze raz otworzyła schowek, wyciągnęła z niego zafoliowaną paczkę papierosów i zapalniczkę. Geometria opakowania ją zachwyciła. Z ogromną przyjemnością podziwiała kształt zaprojektowany z matematyczną precyzją.

Otworzyła paczkę, wyciągnęła papierosa i przez chwilę rolowała go w dłoniach, by uzyskać idealnie cylindryczny kształt. Zapalniczka była pomarańczowa. Zdumiała ją głębia i intensywność tej barwy.

Przesunęła palcem po szorstkim kólecisku. Natychmiast posłusznie buchnął złoty płomień.

Zgasiła go i jeszcze raz wznieciła.

Zapalniczka była miniaturową fabryką na zawołanie produkującą idealne płomienie. Efektywne wytwarzanie towarów i usług miało w sobie coś pięknego.

I nagle krystalicznie czysta myśl: Masza powinna dać sobie spokój z wellness i wrócić do świata korporacyjnego. Szkoda czasu na ratowanie biznesu. Powinna skoczyć na głęboką wodę. Wystarczyłoby reaktywować profil na LinkedInie i w mig

ktoś by ją skaptował, kusząc atrakcyjną ofertą.

Po drugiej stronie biurka siedział chłopiec w czapeczce baseballowej, a wokół niego na podłodze utworzyły się kałuże jaskrawych kolorów.

– A ty jak myślisz? – zapytała go. – Właśnie tak powinnam zrobić?

Nie odezwał się, ale po jego minie zorientowała się, że spodobał mu się jej pomysł.

Koniec z roszczeniami niewdzięcznych gości. Mogłaby znowu dyrygować działami wielkiego przedsiębiorstwa niczym orkiestrą: księgowość, płace, sprzedaż i marketing. Już poczuła wzniosłą, niewzruszoną trwałość doskonale skomunikowanej struktury organizacyjnej, nad którą ona sprawuje pieczę. Codziennie zażywałaby mikrodawki, by zoptymalizować produktywność. Najlepiej by było, gdyby cały personel poszedł w jej ślady, choć dział HR pewnie by się sprzeciwił.

Już kilka razy zaczynała nowe życie: po przyjeździe do Australii, po śmierci synka i po zawale. Mogła zrobić to jeszcze raz.

Wystarczyło sprzedać ośrodek i kupić mieszkanie w mieście.

Albo...

Wpatrywała się w pełgający płomycek. Odpowiedź była pod ręką.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Ben

– Napoleonie, przydzielono mnie tobie – powiedział Ben, podchodząc do starszego pana, który chodził tam i z powrotem po piwniczce. – Będę cię bronił.

Wydawało mu się, że powinien zwracać się do Napoleona per panie Marconi. Facet wyglądał jak rasowy belfer. Na takich nauczycielach człowiek chce zrobić dobre wrażenie nawet po skończeniu szkoły, kiedy wpada się na nich w sklepie i nagle wydają się dziwnie niski. Oczywiście, Napoleon nikomu nie wydałby się niski.

– Dziękuję, Ben – odparł Napoleon, jakby każde z nich mogło sobie wybrać adwokata.

– Okej – zaczął Ben, drapiąc się po brzuchu. Nigdy w życiu nie był tak głodny. – Moim zdaniem to oczywiste, dlaczego zasługujesz na odroczenie egzekucji. Jesteś mężem i ojcem. Poza tym chyba mogę wspomnieć w mojej mowie o tym, że twoja żona i córka straciły już tak wiele, prawda? Nie mogą teraz stracić ciebie.

– Jeśli chcesz, to możesz to powiedzieć. – Napoleon uśmiechnął się smutno. – Taka jest prawda.

– Jesteś nauczycielem – dorzucił Ben. – Od ciebie zależy los wielu dzieci.

– Zgadza się.

Napoleon postukał w ceglana ścianę. Zrobił to po raz setny, od kiedy się tu znaleźli, jakby miał nadzieję, że znajdzie obluzowaną cegłę, dzięki czemu uda im się stąd wydostać. Ben wiedział, że to droga donikąd. Mogli wyjść tylko przez drzwi.

– Powinienem dodać coś jeszcze? – zapytał Ben łamiącym się głosem.

Kiedy miał wznieść toast na weselu Pete'a, bał się, że zemdleje. A teraz miał bronić czyjegoś życia?

Napoleon odwrócił się od ściany i spojrzał na Bena.

– Moim zdaniem nie ma znaczenia, co powiesz. Nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo. – Poklepał Bena po ramieniu. – Powinniśmy potraktować serio Maszę, ale nie jej grę.

– Dostał ci się beznadziejny adwokat – wyznał Ben. – Mnie się poszczęściło. Broni mnie Lars, który już wcześniej stawał przed sądem.

Lars podczas „spotkania” z Benem zadał tylko dwa albo trzy szybkie pytania, zanim powiedział:

– Może coś takiego?

I walnął takie przemówienie, jakby stanął przed kamerą telewizyjną. Wychwalał Bena jako młodego człowieka nieposzlakowanej opinii, który dopiero co zaczął dorosłe życie, przyszłego ojca, oddanego współmałżonka, poświęcającego tak wiele dla żony, rodziny i społeczności i tak dalej, i tak dalej. Słowa płynęły nieprzerwanie z jego ust, bez jednego choćby zajknięcia.

– Myślisz, że to wystarczy? – zapytał na koniec.

– No jasne – odparł z zachwytem Ben.

Potem Lars poszedł do łazienki, żeby się uczesać przed „prezentacją”.

– Strasznie się stresuję podczas publicznych wystąpień. Nie mogę oddychać – przyznał się Ben.

– Wiesz, że tylko wydech odróżnia lęk od podekscytowania? – zapytał go Napoleon.

– Kiedy się boisz, wstrzymujesz powietrze w górnych partiach płuc. Trzeba je wypuścić. O tak. Achhhhh. – Położył dłoń na klatce piersiowej i zademonstrował długi, powolny wydech. – Taki dźwięk wydają ludzie, oglądając pokaz fajerwerków. Achhhhh.

Ben zrobił to samo.

– Achhhhh.

– O właśnie – powiedział Napoleon. – Wiesz co? Ja zacznę. Bronię Tony’ego, więc zanudzę Maszę opowieścią o jego karierze sportowej. Zamierzam zrelacjonować pokrótce każdy jego mecz. Będzie miała za swoje. – Przystanął pod belką, przy której znajdowała się cegła z inskrypcją. – Widziałeś to?

– Graffiti wykonane przez skazańców?

Dalila pokazała im je podczas pierwszego obchodu. Bena i Jessicę niespecjalnie to zainteresowało.

Napoleon się uśmiechnął.

– Fascynujące, prawda? Przed przyjazdem poczytałem o historii tego miejsca. Ci bracia odzyskali wolność i zostali szanowanymi i rozchwytywanymi murarzami. W rodzinnej Anglii nie odnieśliby takiego sukcesu. W tej okolicy żyją tysiące ich potomków. Na pewno byli zrozpaczeni, kiedy skazano ich na zesłanie do Australii. Pewnie im się wydawało, że to koniec świata. Tymczasem tu zaczęli od nowa. Największy życiowy dramat może stać się początkiem świetlanej przyszłości. To takie... – Na moment ogarnął go głęboki smutek. – Ciekawe.

Benowi z niewyjaśnionego powodu zachciało się płakać. Pewnie z głodu. Postanowił po powrocie do domu odwiedzić ojca. Wprawdzie tata odciął się od Lucy, ale to jeszcze nie powód, by Ben odcinał się od niego.

Teraz dotknął inskrypcji palcami. Przypomniało mu się, jak wszyscy wokół podkreślali, jakie szczęście go spotkało, kiedy wygrali na loterii, ale on nie zawsze był o tym przekonany.

Spojrzał na Jessicę. Czy naprawdę miał zostać ojcem? Jak mógł prowadzić przez życie swoje dziecko, skoro sam tak niewiele wiedział?

– Pamiętaj o wydechu – przypomniał mu Napoleon. – Wypuść lęk na zewnątrz.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Heather

– Jestem dobrą przyjaciółką – mówiła Frances do Heather. – Możesz o tym wspomnieć. – Przygryzła paznokiec. – Zawsze pamiętam o urodzinach.

– A ja nie – odparła Heather.

Tak naprawdę nie sprawdzała się jako przyjaciółka, a od śmierci Zacha wszelkie relacje międzyludzkie uważała za bezcelowe. Wydawały jej się czystą stratą czasu.

Frances zrobiła skruszoną minę.

– W tym roku przez tego internetowego oszusta na śmierć zapomniałam o urodzinach bliskiej przyjaciółki. Przez cały dzień zaprzętały mnie inne sprawy, nagle zrobiła się północ i pomyślałam: „O Boże, Monica!”, ale było już za późno na wysyłanie wiadomości, więc...

– Opowiedz o swoich bliskich – przerwała jej Heather, zanim Frances zdążyła zrelacjonować historię życia Moniki. Uważała Frances za lekko postrzeloną. – Masz rodzinę?

Heather spojrzała nad ramieniem rozmówczyni na męża i córkę. Zoe i Jessica siedziały nachylone do siebie, jakby zwierzały się sobie z sekretów. Napoleon i Ben rozmawiali, przechadzając się po sali. Mąż Jessiki słuchał uważnie i kiwał głową niczym najlepszy uczeń pana Marconiego. Heather nie potrafiła sobie wyobrazić, co myśli w tej chwili Napoleon. Patrząc na niego, odnosiła wrażenie, że jakiś oszust doskonale podszywa się pod jej męża. Zachowywał się tak jak zawsze, niemal doskonale odgrywał swoją rolę, ale wyglądał trochę niepokojąco.

– Tak – odparła Frances. – Mam rodzinę. – Zawahała się. – Z najbliższymi krewnymi nie utrzymuję bliskich relacji. Ojciec zmarł, a matka wyszła ponownie za

mąż i przeniosła się na południe Francji. Mam siostrę, ale ona jest wiecznie zajęta. Moje odejście niewiele by zmieniło w ich życiu.

– To nieprawda – powiedziała Heather.

– No cóż... – Frances zerknęła nerwowo na ekran. – Nie twierdzę, że tańczyłyby na moim grobie.

Heather spojrzała na nią zaskoczona. Frances autentycznie się stresowała.

– Wiesz, że tak naprawdę nie siedzisz w celi śmierci, prawda? Ta maniaczka chce nam tylko pokazać, kto tu rządzi.

– Ciii – syknęła Frances. – Może nas podsłuchiwać.

– Mam to gdzieś – rzuciła nonszalancko Heather. – Nie boję się jej.

– Moim zdaniem powinnaś. – Frances ponownie nerwowo rzuciła okiem na ekran.

– Nie martw się, zamierzam grać zgodnie z zasadami – zapewniła Heather tę biedaczkę, by dodać jej otuchy. – Uważam, że nie zasługujesz na egzekucję.

– Dzięki – odparła Frances.

– Co jeszcze powinnam powiedzieć?

– Najlepiej połechtąć jej ego – poradziła Frances. – Na początek powiedz, że życie Frances pozbawione było większego sensu aż do teraz, ale podczas pobytu tutaj przeszła rekonwalescencję.

– Rekonwalescencję – powtórzyła Heather.

– Dokładnie. – Frances trzęsła się jak narkomanka na głodzie. – Użyj właśnie tego słowa. Spodoba jej się. Dodaj, że dotarło do mnie, jak katastrofalne skutki wywołuje pobłażanie sobie. Będę ćwiczyć. Zdrowo się odżywiać. Nie tknę jedzenia z konserwantami. Wyznaczę sobie nowe cele.

– Dzień dobry, słoneczka!

W sali zagrzemiał głos Maszy, a na ekranie znowu pojawiła się jej twarz.

Frances westchnęła, zaklęła pod nosem i chwyciła Heather za rękę.

– Już czas! – zawołała Masza. Głęboko zaciągnęła się dymem papierosowym i wypuściła go kątem ust. – Pora zagrać w „Wyrok śmierci”. Nie, zaraz. Nie tak nazwaliśmy tę grę, prawda? Pora zagrać w „Celę skazańców”. To o wiele lepsza nazwa! Kto ją wymyślił?

– Jeszcze nie nadszedł czas! – Napoleon spojrział na zegarek.

Heather wpatrywała się w ekran. Masza paliła. Po tym, co wydarzyło się przez ostatnie dni, nic nie powinno ich dziwić, ale widok papierosa w ustach dyrektorki Tranquillum House był tak szokujący i niepokojący, jakby zakonnica uniosła habit i pokazała pas do pończoch.

– Ty palisz! – rzuciła oskarżycielsko Jessica.

Masza zaśmiała się i ponownie się zaciągnęła.

– Tak, Jessico. Popalam w sytuacjach stresowych.

– Jesteś też naćpana – zauważył Ben smutnym, zmęczonym głosem, w którym Heather dosłyszała rezygnację i rozczarowanie kogoś, czyj krewny od lat nie może wyjść z nałogu.

Ben miał rację. Masza patrzyła na nich szklistymi oczami, stojąc sztywno w dziwnej pozie, jakby jej głowa, byle jak zatknięta na szyi, mogła w każdej chwili potoczyć się po podłodze.

Masza uniosła szklanekę po smoothie.

– Postanowiłam wspiąć się na wyższy poziom świadomości.

– Czy z Yao wszystko w porządku? – zapytała Heather. Starła się mówić tonem pełnym szacunku, choć w jej gardle kotłowała się nienawiść. – Możemy go zobaczyć?

Kamera była ustawiona pod innym kątem niż poprzednio. Masza stała pod oknem, najprawdopodobniej w swoim gabinecie, ale z powodu mroku trudno było uznać to za pewnik.

– W tej chwili nie o niego powinniście się martwić – odparła Masza. – Nadszedł czas, byście przedstawili swoje mowy obrończe. Czy wasi klienci będą żyć? A może umrą? To inspirujące ćwiczenie powinno skłonić was do przemyśleń.

– Maszo, minęła dopiero trzecia! – Napoleon postukał w tarczę swojego zegarka. – Jeszcze nie nadszedł świt. Obiecałaś nam więcej czasu.

Masza doskoczyła do kamery, wyciągając palce, w których trzymała papierosa.

– Gościom nie wolno nosić zegarków podczas turnusu!

Napoleon wycofał się, unosząc rękę.

– Miałem go na nadgarstku przez cały czas. Nikt nie zabronił mi go nosić.

– Powinieneś go oddać razem z pozostałymi urządzeniami elektronicznymi! Kto był twoim konsultantem wellness?

– Maszo, to moja wina. Biorę za to odpowiedzialność. – Napoleon rozpiął pasek zegarka.

– Yao, prawda? – krzyknęła Masza.

Wyglądała demonicznie. Jej krzyk niósł się echem po całej sali. Na ekran trysnęły kropelki śliny.

– Jezu Chryste – szepnął Tony.

Zoe podeszła do Heather i chwyciła ją za rękę jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką. Wszyscy wstrzymali oddech.

Heather uścisnęła dłoń córki i po raz pierwszy, od kiedy utknęli tu na dole, obleciał ją strach.

Przypomniały jej się wszystkie momenty na porodówce, kiedy atmosfera coraz bardziej gęstniała, bo życie matki albo dziecka wisiało na włosku, i wszyscy pracowali w ogromnym skupieniu, wiedząc, że nie mogą pozwolić sobie na błędną decyzję. Jednak teraz jej umiejętności i doświadczenie na niewiele się zdawały. Chciała działać, ale miała związane ręce. Podobna bezsilność przytłoczyła ją w tym koszmarnym momencie, kiedy znalazła Zacha, i choć próbowała wyczuć jego puls, wiedziała, że sytuacja jest beznadziejna.

– Yao ogromnie mnie rozczarował! – wściekała się Masza. – Popęłnił niewybaczalny błąd! Nie omieszkam zawiadomić działu kadr! Stosowna adnotacja trafi do jego akt. Otrzyma oficjalne, pisemne ostrzeżenie.

Napoleon pokazał Maszy zegarek, trzymając urządzenie za koniuszek paska.

– Zdjąłem go.

Zoe kurczowo ścisnęła dłoń Heather.

– Przepraszam, to moja wina – zapewniał Maszę Napoleon spokojnym, ostrożnym tonem, jakby próbował udobruchać napastnika uzbrojonego w pistolet. – Zniszczę go. – Upuścił zegarek na podłogę i już miał go rozdeptać.

Masza przemówiła zupełnie innym tonem.

– Och, i po co to przedstawienie, Napoleonie? Jeszcze się skaleczysz w stopę! –

Nonszalancko machnęła ręką, w której trzymała papierosa, jakby prowadziła ożywioną rozmowę na przyjęciu, popijając wino.

Heather usłyszała rwany oddech Zoe i na myśl o tym, że jej córka się boi, zapragnęła zrobić krzywdę tej wariatce.

– Nie trzymam się aż tak obsesyjnie biurokratycznych zasad. Jestem elastyczna! Patrzę na sprawę szerzej! – Masza głęboko zaciągnęła się papierosem. – Test osobowości Myers-Briggs wykazał, że jestem dowódcą! Chyba was to nie dziwi.

– To nie wygląda najlepiej. – Lars patrzył na ekran spomiędzy palców.

– Zbikowała – szepnął Tony.

– Nic nie trwa wiecznie – oznajmiła ni stąd, ni zowąd Masza. – Zapamiętajcie to sobie. To bardzo ważne. Kto chce wygłosić mowę jako pierwszy? – Rozejrzała się, jakby czegoś szukała. – Wszyscy mają kawę? Jeszcze nie? Bez obaw, Dalila ma wszystko pod kontrolą.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce, jakby siedziała na głównym miejscu przy stole konferencyjnym.

Heather zadrżała ze strachu. Masza miała halucynacje.

Nagle jej uwagę przykuł papieros, którego trzymała w palcach. Mijały kolejne minuty, a ona wciąż się w niego wpatrywała.

– Co ona robi? – szepnęła Carmel.

– To efekt LSD – wyjaśnił cicho Lars. – Nie może uwierzyć w to, że nigdy wcześniej nie dostrzegła piękna tkwiącego w zwykłym papierosie.

Wreszcie Masza podniosła wzrok.

– Kto przemawia jako pierwszy? – zapytała spokojnie.

Strzepnęła popiół na parapet.

– Ja – zgłosił się Tony.

– Tony! Doskonale – ucieszyła się Masza. – Kogo bronisz?

– Carmel – odparł, wskazując na swoją klientkę, która wykonała dziwny, niezdarny ruch, jakby nie mogła się zdecydować, czy lepiej dygnąć, czy schować się za Larsem.

– Do dzieła, Tony.

Tony chrząknął. Założył ręce i spojrzał z szacunkiem na ekran.

– Reprezentuję dziś Carmel Schneider. Ma trzydzieści dziewięć lat i jest rozwiedzioną matką czterech córeczek. To przede wszystkim ona się nimi opiekuje. Bliskie relacje łączą ją z siostrą, Vanessą, i rodzicami, Mary i Raymondem.

Masza wyglądała na znudzoną. Pociągnęła nosem.

– Mary poważnie choruje i to Carmel zabiera ją na wizyty do lekarza – kontynuował Tony drżącym głosem. – Carmel twierdzi, że jest zupełnie zwyczajną osobą, która stara się wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafi, ale moim zdaniem każdy, kto samotnie wychowuje cztery dziewczynki, zasługuje na szczególne uznanie. – Nerwowo pociągnął za kołnierzyk koszulki, jakby poprawiał krawat. – Carmel raz w tygodniu jako wolontariuszka udziela lekcji angielskiego uchodźcom w lokalnej bibliotece. Zajmuje się tym od osiemnastego roku życia. To chyba warte podkreślenia. – Uniósł ręce i złożył je. – Dziękuję.

Masza ziewnęła teatralnie.

– To wszystko?

Tony stracił panowanie nad sobą.

– Na litość boską, to młoda matka! Co jeszcze chciałabyś usłyszeć? To oczywiste, że nie zasługuje na śmierć.

– A gdzie twoje USP? – zapytała Masza.

– USP? – zdziwił się Tony.

– Zapomniałeś o podstawach! O unikalnej cesze produktu! Co czyni Carmel wyjątkową?

– No cóż – zaczął Tony z desperacją. – Jest wyjątkowa, bo...

– Nie rozumiem też, dlaczego nie zacząłeś od analizy mocnych i słabych stron, szans i zagrożeń. Ludzie, nawet to was przerasta? A gdzie pomoce wizualne? Nie widzę! Zwykła prezentacja w PowerPointcie ułatwiłaby ci przedstawienie swojej sprawy.

Heather posłała Napoleonowi pytające spojrzenie: „Co robimy?”. Dostrzegła w jego twarzy dezorientację i strach, co tylko wzmogło jej panikę, bo jeśli Napoleon nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie, to znaleźli się w poważnych opałach. Przypomniały jej się wszystkie wizyty z Zachem w szpitalnych ambulatoriach, kiedy

okazywało się, że mają do czynienia z tępą pielęgniarką, i ukradkiem spoglądali po sobie, wiedząc dokładnie, co zrobić i powiedzieć, by skierowała ich syna na dalsze leczenie. Nigdy jednak nie skonfrontowali się z tak obezwładniającym brakiem logiki.

– Przepraszam – odparł ze skruchą Tony. – Oczywiście, PowerPoint bardzo by mi pomógł.

– Przeprosiny nie wystarczą! – warknęła Masza.

Nieoczekiwanie ktoś ją zagłuszył.

– Mogę być następna?

Heather zobaczyła, że teraz zgłosiła się Carmel z dumnie uniesioną głową i hardym spojrzeniem.

– Jako przedstawicielka Zoe Marconi przygotowałam analizę strategiczną, a także bardzo obiecujący plan dalszego działania i bardzo mi zależy, Maszo, byś zatwierdziła go do realizacji.

Masza spojrzała na nią z zaciekawieniem. Uniosła rękę.

– Słucham.

Carmel wyszła na środek sali i wygładziła ubranie takim gestem, jakby miała na sobie żakiet, a nie legginsy i różową koszulkę na ramiączkach z wyszytym cekinami napisem „HAWAJE”.

– Wiem, że chciałaś, bym wgryzła się w ten temat i pomyślała nieszablonowo.

Trudno było uwierzyć, że ta pewna siebie osoba to ta sama Carmel, która ledwie kilka godzin wcześniej żałośnie błagała, by ją wypuszczono na wolność. Teraz wyglądała jak rasowa pracownica korporacji. Była aktorką? A może korzystała z dawnych doświadczeń zawodowych? Tak czy inaczej, zmieniła się nie do poznania.

– Dokładnie tak – odparła Masza, uderzając krawędzią jednej dłoni we wnętrze drugiej. – To mi się podoba. Musimy pokonywać nasze ograniczenia. Jestem pod wrażeniem, Carmel.

Sytuacja byłaby wręcz zabawna, gdyby nie budziła takiej grozy.

– Widzę to tak: mamy okazję, by wykorzystując kluczowe kompetencje Zoe, wypracować.... Och, optymalne rozwiązania praktyczne.

– Dobra robota – wyszeptała Frances.

– Zgadza się. – Masza pokiwała głową. – Właśnie na optymalnych rozwiązaniach powinniśmy się skupić.

Na tę pozbawioną sensu, korporacyjną gadkę reagowała zdumiewająco dobrze, jak dziecko słuchające głosu matki.

– Pytanie brzmi – dodała chytrym tonem Masza – czy ta strategia licuje z naszymi wartościami korporacyjnymi?

– Dokładnie – zgodziła się Carmel. – A kiedy już dopasujemy do siebie wszystkie elementy układanki, będziemy musieli zapytać, czy to przedsięwzięcie jest skalowalne?

– A jest? – zapytała Masza.

– Dobre pytanie – odparła Carmel. – Powinniśmy zatem skoncentrować się na wypracowywaniu... – zacięła się.

– Synergii – podpowiedział jej szeptem Lars.

– Synergii! – krzyknęła z ulgą Carmel.

– Synergii – powtórzyła Masza z rozmarzeniem, jakby mówiła: „Paryż wiosną”.

– Podsumowując, potrzebne nam synergiczne rozwiązanie, które współgrać będzie...

– Tyle mi wystarczy – przerwała jej Masza. – Do dzieła, Carmel.

– Tak jest – odparła Carmel.

Masza zgasiła papierosa o parapet. Oparła się o szybę.

– Witamy w Tranquillum House.

„Dobry Boże”, pomyślała Heather. „Znowu odpłynęła”.

Masza się uśmiechnęła, ale nikt na to nie zareagował. Heather zobaczyła na twarzach współwięźniów wyczerpanie i rozpacz. Każdy z nich przypominał jej kobietę, która w najlepszej wierze opracowała „plan naturalnego porodu”, przygotowała sobie listę piosenek, a po trzydziestu minutach akcji porodowej dowiedziała się, że trzeba natychmiast wykonać u niej cesarskie cięcie.

– Obiecuję wam, że za dziesięć dni będziecie zupełnie innymi osobami.

– O kurwa – zaklęła Jessica. – Kurwa, kurwa, kurwa.

– To tylko narkotyki – powiedział Lars. – Ona nie wie, co mówi.

– Nie w tym rzecz – wtrącił się Ben. – Ona nie wie, co robi.

Masza spuściła głowę i dotknęła palcami dekoltu sukienki.

– Teraz będziemy robić pompki – oznajmiła. – To doskonałe ćwiczenie zintegrowane poprawiające wytrzymałość funkcjonalną. Jedyne, które angażuje wszystkie mięśnie. Dwadzieścia pompek! Już! – Nikt się nie ruszył. – Czemu mnie ignorujecie? – Masza wymierzyła palec w obiektyw. – Pompki! No już! Nie zmuszajcie mnie, żebym wkroczyła do akcji!

Niby co mogła im zrobić? Chyba nikt nie zamierzał tego sprawdzać. Padli na podłogę jak żołnierze.

Heather, głodna i zmęczona, z trudem unosiła i opuszczała swoje wyprężone ciało w rytmie narzuconym przez Maszę.

– Jeden, dwa, trzy! Biodra niżej! Nie odpoczywamy!

Wciąż miała urojenia i wydawało jej się, że wszyscy dla niej pracują? Zamierzała ich zabić? Heather wpadła w popłoch. Przywiozła tu swoją córkę. Los Zoe spoczywał teraz w rękach tej naćpanej wariatki.

Rozejrzała się. Frances robiła damskie pompki, nie odrywając kolan od podłogi. Jessica poddała się z płaczem i poszła w ślady Frances. Tony, niegdysiejszy sportowiec, zlany potem wykonywał ćwiczenie perfekcyjnie i dwa razy szybciej niż reszta, mimo że dopiero co uszkodził sobie staw barkowy. Heather zauważyła, że jej własny ukochany mąż dotrzymuje mu kroku.

– Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia! Możecie odpocząć! Doskonale!

Heather opadła na podłogę i spojrzała w górę. Masza tak bardzo zbliżyła się do kamery, że na ekranie widać było teraz tylko jej nos, usta i podbródek.

– Ciekawe, czy już czujecie? – zapytał odcieleśniony głos.

Napoleon odpowiedział delikatnym, spokojnym głosem, jakim mówi się zazwyczaj do małych dzieci.

– Co takiego, Maszo?

– Swąd.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Tony

Ekran śnieżył, ale głos Maszy wciąż rozlegał się w sali.

– Głęboka transformacja jest możliwa, ale musicie się uwolnić od swoich przekonań i poglądów!

– Czuję swąd – powiedziała Zoe, blada jak ściana.

– Nic dziwnego, Zoe, bo mój dom właśnie w tej chwili płonie! Czy odrodzicie się z popiołów? Pamiętajcie, Budda powiedział: „Sami musimy się ocalić”!

– Patrzcie – wyszeptała Frances.

Spod ciężkich dębowych drzwi wydobywał się czarny dym.

– Wypuść nas! – darła się Jessica tak głośno, że ochrypła. – Słyszysz mnie, Masza? Masz nas natychmiast wypuścić!

Ekran zgasł.

Nieobecność Maszy była równie przerażająca jak jej obecność.

– Trzeba uszczelnić drzwi – powiedział Tony, ale Heather i Napoleon już wracali z łazienki z mokrymi ręcznikami, które zwijali z taką wprawą, jakby przygotowali się na dokładnie tę sytuację.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, dym zaczął się spod nich wydobywać z większą mocą, wdzierał się do pomieszczenia niepohamowanymi, gwałtownymi falami. Rozległy się pokasywania. Tony poczuł ucisk w klatce piersiowej.

– Cofnąć się! – krzyknął Napoleon, kiedy razem z Heather wciskali mokre ręczniki w szczelinę pod drzwiami, starając się ją jak najlepiej zabezpieczyć.

Klaustrofobia Tony’ego, która dawała o sobie delikatnie znać od chwili, kiedy okazało się, że drzwi są zamknięte, mogła w każdej chwili wywołać u niego atak paniki.

Czuł, jak ciężko dyszy. O Boże, nie chciał stracić panowania nad sobą w obecności tych ludzi. Nie miał czym zająć rąk. Nie mógł nawet uszczelnić drzwi ręcznikami, bo Napoleon i Heather go uprzedzili. Nie mógł nikomu pomóc. Nie mógł wyważyć drzwi, bo otwierały się do środka. Nie mógł z nikim walczyć. Nie mógł nic zrobić.

Zakaszłał tak gwałtownie, że do oczu napłynęły mu łzy.

Frances chwyciła go za rękę.

– Odejdź od drzwi.

Pozwolił, by go za sobą pociągnęła. Kurczowo trzymali się za ręce.

Wszyscy stłoczyli się po przeciwległej stronie sali, jak najdalej od drzwi.

Napoleon i Heather dołączyli do nich z oczami przekrwionymi od dymu. Napoleon przyciągnął do siebie Zoe, która wtuliła twarz w jego podkoszulek.

– Drzwi nie są rozgrzane – powiedział. – To dobry znak.

– Chyba coś słyszę – szepnęła Carmel. – To odgłos ognia.

Umilkli. Dźwięk, który w pierwszej chwili można by wziąć za odgłos ulewy, był tak naprawdę charakterystycznym trzaskiem płomieni.

Nad ich głowami huknęło, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. Zawaliła się ściana? Rozległ się złowieszczy świst powietrza, podobny do wycia wiatru podczas burzy i nagle trzask płomieni przybrał na sile.

Jessica jęknęła.

– Umrzemy tu? – zapytała Zoe, spoglądając z niedowierzaniem na ojca. – Ona naprawdę pozwoli nam umrzeć?

– Na pewno nie – odparł Napoleon z taką pewnością, z jaką dorośli zawsze mówią do dzieci, i Tony nieomal mu uwierzył, ale uświadomił sobie, że nie jest dzieckiem i nie powinien się łudzić.

– Zakryjmy twarze mokrymi ręcznikami, by nie wdychać dymu – oznajmiła Heather. – Przeczekamy ten pożar.

Mówiła tak spokojnie i rzeczowo jak jej mąż. Może Tony zachowywałby się tak samo, gdyby towarzyszyło mu teraz któreś dziecko lub wnuczka.

Pomyślał o swoich dzieciach. Rozpaczałyby po nim. Tak, bez wątpienia. Nie były gotowe na jego utratę, choć ostatnimi czasy rzadko je widywał. Zaskoczyła go ta myśl,

jakby przez kilka ostatnich lat udawał, że nie kocha swoich dzieci, choć przecież, na Boga, dobrze wiedział, że to nieprawda. Był tego pewien. Pod koniec zeszłego roku Will zapomniał o różnicy czasu i zadzwonił do niego w środku nocy z Holandii, żeby pochwalić się awansem.

– Przepraszam – powiedział. – Chciałem, żebyś dowiedział się pierwszy.

Miał trzydzieści lat, a wciąż mu zależało, by ojciec był z niego dumny. Mimi twierdziła, że James zamieszcza w internecie zdjęcia Tony’ego z okresu, kiedy jeszcze trenował.

– Chwali się tobą – dodała, przewracając oczami. – Wykorzystuje twoją sławę, by podrywać dziewczyny.

A Mimi, jego mała dziewczynka, szarogęsiła się w jego domu, zaprowadzając w nim jaki taki porządek. Kiedy tylko zerwała z kolejnym palantem, przychodziła do ojca, „by mu pomóc”. Był jej potrzebny, póki umawiała się z palantami.

Nie był gotowy na śmierć. Pięćdziesiąt sześć lat to za krótko. Nagle jego życie wydało mu się niesłychanie bogate i obfite w możliwości. Chciał wyremontować dom i kupić psa, najlepiej szczeniaka. Chyba nie dopuściłby się zdrady wobec Banja, gdyby znalazł dla niego zastępcę. Przecież koniec końców zawsze tak robił. Miał ochotę pojechać na plażę, zjeść obfite śniadanie w kafejce przy drodze, czytając gazetę, posłuchać muzyki (prawie zapomniał o jej istnieniu!). Zapragnął pojechać do Holandii i zobaczyć występ wnuczki podczas jednego z tych głupich konkursów tańca irlandzkiego.

Spojrzał na Carmel, którą zaszufłdkował jako odklejoną intelektualistkę tylko z powodu jej okularów. Zapytał ją, dlaczego zaczęła uczyć uchodźców angielskiego, a ona odpowiedziała, że jej ojciec uciekł z Rumunii w latach pięćdziesiątych i sąsiadka zaoferowała mu lekcje.

– Tata nie miał ani krzty zdolności językowych – dodała Carmel. – Szybko traci cierpliwość, kiedy coś mu nie wychodzi. Pewnie uczenie go było ciężką przeprawą. Dlatego razem z siostrą uczymy angielskiego obcokrajowców, żeby upamiętnić ciocię Pat.

A kogo, kurwa, upamiętniał Tony? Komu, kurwa, pomógł? Nie robił nic nawet dla dyscypliny sportowej, która dała mu tyle radości. Mimi od lat wierciła mu dziurę

w brzuchu, żeby zaczął trenować lokalną drużynę juniorów.

– Może ci się to spodoba? – mówiła.

Dlaczego tak oponował? Teraz nie potrafił sobie wyobrazić niczego cudowniejszego niż boisko skąpane w słońcu i grupa dzieciaków, którym pokazałby, że futbol jest równie piękny jak muzyka i poezja.

Spojrzał w oczy przerażonej kobiecie, która wciąż trzymała go za rękę. Była lekko stuknięta, za dużo mówiła i bez wątpienia nigdy w życiu nie oglądała futbolu australijskiego. Zarabiała na życie, pisząc romanse. Tony ostatni raz przeczytał powieść w liceum. Nic ich nie łączyło.

Nie chciał umierać.

Chciał zabrać ją na drinka.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Frances

Dziewięcioro gości stłoczyło się w kącie studia jogi i medytacji z ręcznikami na głowach i ramionach, podczas gdy ośrodek płonął w najlepsze.

Frances wsłuchiwała się w trzaski żarłocznych płomieni i zastanawiała się, czy huk, który usłyszeli przed chwilą, rozległ się, kiedy runęły te przepiękne schody. Przypomniała sobie, jak pierwszego dnia Yao zapewnił ją: „Nie pójdziemy na dno, Frances!”, i wyobraziła sobie ogień trawiący to kosztowne drewno.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje – szeptała w kółko Jessica, klęcząc na podłodze. – Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje.

Frances nigdy by nie pomyślała, że Jessica jest wierząca, ale może nawróciła się w ostatniej chwili, bo tekst modlitwy pamiętała tylko do: „święć się imię Twoje”.

Frances, wychowana w duchu anglikanizmu, odeszła od kościoła pod koniec lat osiemdziesiątych, dlatego uznała, że modlitwa o wybawienie byłaby nie na miejscu teraz, kiedy od tak dawna nie dziękowała za nic Bogu. Być może ucieszyłby się, gdyby przez wszystkie te lata przysłała mu kilka kartek z wyrazami wdzięczności.

„Dziękuję za to długie, gorące, pełne seksu lato, spędzone w Europie z Solem.

Dziękuję za pierwszy rok małżeństwa z Henrym, bo prawdę powiedziawszy, Boże, był to najszczęśliwszy okres w moim życiu.

Dziękuję za karierę, która dostarczyła mi wyłącznie przyjemności, i przepraszam, że robiłam tyle szumu o tę recenzję. Jestem pewna, że jej autorka też jest dzieckiem Bożym.

Dziękuję za zdrowie, bo w tej materii hojnie mnie obdarzyłeś, a ja mogłam sobie darować utyskiwania z powodu głupiego przeziębienia.

Dziękuję za przyjaciół, którzy są mi bliżsi niż rodzina.

Dziękuję za ojca, choć zabrałeś mi go trochę za wcześnie.

Dziękuję za bellini i wszystkie koktajle na szampanie.

Przepraszam, że marudziłam z powodu skaleczenia krawędzią kartki, podczas gdy tylu ludzi cierpi katusze. Muszę jednak dodać, że właśnie dlatego przestałam w Ciebie wierzyć, bo na jednych zsyłasz tyle cierpień, a inni co najwyżej kaleczą się papierem”.

Carmel płakała w mokry ręcznik i poderwała się, kiedy rozległ się huk, jakby znowu coś się zawałiło.

Frances oczyma wyobraźni zobaczyła, jak balkon w jej pokoju zawisa pod kątem, a potem odrywa się i spada w deszczu tłących się odłamków.

Wyobraziła sobie czarne kłęby w ognistej poświacie na tle letniego, nocnego nieba.

– Dym przestał się tu wdzierać – powiedziała do Carmel, by ją pocieszyć. – Napoleon i Heather doskonale zabezpieczyli drzwi.

Wciąż czuła swąd, ale dymu naprawdę nie przybywało.

– Może nic się nam nie stanie – dodała ostrożnie.

– Na pewno – stwierdził Napoleon. Siedział między żoną i córką, trzymając je za rękę. – Wszystko będzie dobrze.

Mówił z takim przekonaniem, że Frances wolałaby nie widzieć jego twarzy, kiedy przykrywał się ręcznikiem. Wyglądał na zdesperowanego.

„To koniec”, pomyślała. „To koniec, nie mamy dokąd uciec”.

Przypomniało jej się, jak Masza zapytała ją: „Ciekawe, czy życie wystawiło cię kiedykolwiek na poważną próbę?”.

Jessica uniosła głowę.

– Nawet nie wysłuchała wszystkich prezentacji – pożałowała się głosem stłumionym przez ręcznik.

Była taka urocza, uparcie próbując zrozumieć logikę kierującą działaniami Maszy. Na pewno należała do tych dzieci, które mają za złe nauczycielowi, kiedy ten wbrew zapowiedziom nie robi klasówki.

– Myślicie, że Yao wciąż żyje? – zapytała Zoe.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Yao

Yao zobaczył we śnie Finna.

Jego dawny przełożony próbował go obudzić.

– Wstawaj – ponaglał go, tłukąc w talerze perkusyjne, a potem trąbiąc mu prosto do ucha. – Stary, obudź się i zacznij myśleć.

Oddalił się dopiero, kiedy Yao odzyskał przytomność i poczuł na policzku dotyk czegoś miękkiego. Uniósł głowę. Na biurku Maszy leżała poduszka. Przypomniał sobie ukłucie w szyję i swoje zaskoczenie. Takiej decyzji nie mógł szanować.

Usłyszał, że coś się pali. Poczował dym.

Uniósł głowę, rozejrzał się i zobaczył ją z papierosem, wyglądającą przez okno.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Była smutna, rozemocjonowana, ale zarazem zrezygnowana, jak jego narzeczona, kiedy zerwała zaręczyny.

– Cześć, Yao – przywitała go.

Zrozumiał, że wszystko skończone i że już nigdy nie pokocha nikogo tak jak tę dziwną kobietę.

– Coś ty zrobiła? – zapytał ochrypłym głosem.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Frances

Wciąż się paliło. Trzask ognia. Huk.

Lęk Frances osiągnął punkt kulminacyjny, a potem trochę osłabł. Jej serce biło wolniej. Ogarnęło ją ogromne zmęczenie.

Zawsze się zastanawiała, jak by się czuła w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Gdyby jej samolot zaczął spadać? Albo jakiś szalenciec przystawił jej lufę do głowy? Czy kiedykolwiek życie wystawiło ją na próbę? Teraz już wiedziała: do samego finału nie uwierzy, że to już. Do ostatniego słowa będzie przekonana, że jej historia nigdy nie dobiegnie końca, bo przecież bez Frances ta opowieść nie może istnieć. Wciąż miałyby przed sobą przyszłość. Nie uwierzyłaby, że znalazła się na ostatniej stronie.

Kolejny huk. Carmel znowu struchlała.

– Chwileczkę. Ten dźwięk był taki sam jak poprzedni. Identyczny – zauważył Lars.

Frances spojrzała na niego. Nie wiedziała, co Lars ma na myśli.

Napoleon usiadł prosto i zdjął ręcznik z twarzy.

– To w kółko ten sam schemat, prawda? – powiedziała Jessica. – Też to zauważyłam. Stukot, świst, mały łomot, stukot, stukot, stukot, wielki straszny łomot.

– Przykro mi, nadal nie rozumiem – powiedziała Frances.

– To się powtarza raz za razem – potwierdził Tony – Chcesz powiedzieć, że to nagranie? – zapytał Ben. – Słuchamy nagrania?

Frances nie mieściło się to w głowie.

– Więc na górze się nie pali?

Przecież płomienie stały jej cały czas przed oczami.

- Widzieliśmy i czuliśmy dym – powiedziała Heather. – Nie ma dymu bez ognia.
- Może to kontrolowany płomień – odparła Zoe. – Ona chce, byśmy poczuli strach.
- Wiedziałam, że nie narazi naszego życia – powiedziała Carmel.

Lars rzucił mokry ręcznik na podłogę i stanął przed ekranem.

– Dobra robota, Maszo! – krzyknął. – Udało ci się nas niemal na śmierć przestraszyć i już nigdy nie będziemy tacy jak przedtem. Możemy już wrócić do pokoi? – Cisza. – Nie możesz przetrzymywać nas tu w nieskończoność – dodał. – Pamiętasz swoją mantrę? Nic nie trwa wiecznie. – Uśmiechnął się smutno i odgarnął z czoła wilgotne włosy. – Czujemy się tak, jakbyśmy tkwili tu na dole całą wieczność.

„Nic nie trwa wiecznie”, pomyślała Frances. Masza z takim naciskiem to powtarzała. „Nic nie trwa wiecznie. Nic nie trwa wiecznie”.

Przypomniała sobie, jak powiedziała Maszy, że w laleczce nie ma kodu, a ona odparła: „No właśnie”.

– Kto ostatni próbował otworzyć drzwi? – zapytała.

– Moim zdaniem wypróbowaliśmy już wszystkie możliwe kombinacje – odparł Napoleon.

– Nie pytam o to, czy wpisywaliście kod – powiedziała Frances. – Kiedy po raz ostatni ktoś próbował nacisnąć kłamkę?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Yao

– Dobrze spałeś? – zapytała Masza. Zaciągnęła się papierosem.

Yao przyjrzał jej się badawczo. Zauważył rozszerzone źrenice, kropelki potu na czole i lekkie roztrzęsienie.

– Wypiłaś smoothie? – zapytał.

Podniósł pustą torebkę po doritosach, a kiedy nią potrząsnął, wypadły z niej żółte okruszki. Jeśli zjadła chipsy, to musiała być w odmiennym stanie świadomości. Doritosy zaszokowały go bardziej niż papieros w jej dłoni.

– Tak. – Masza z uśmiechem wypuściła dym z płuc. – Było pyszne, a ja zyskałam wgląd w wiele istotnych spraw.

Nigdy nie widział jej z papierosem. Palenie w jej wykonaniu było piękne. Yao miał teraz ochotę sam spróbować, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Jej gesty wyglądały tak naturalnie i zmysłowo, a dym leniwie owijał się wokół jej palców.

Wrócił pamięcią do ich pierwszego spotkania, przed dziesięcioma laty w tym ogromnym gabinecie. Masza pachniała wtedy papierosami.

Yao spojrział na ekran monitora, na którym zobaczył filmik pokazujący pożar jednopiętrowego domu. Płonący okap runął na ziemię.

– Uśpiłaś mnie – powiedział Yao.

Zwilżył spierzchnięte usta językiem. Szok odebrał mu zdolność logicznego myślenia. Nie mógł zrozumieć, jak mogła mu coś takiego zrobić.

– To prawda – odparła Masza. – Nie miałam innego wyjścia.

Za oknem zaczęło świtać.

– A goście? – zapytał. – Wciąż są na dole?

Masza z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Mam ich dość. Podobnie jak całego tego interesu. – Zaciągnęła się papierosem i nagle poweselała. – Podjęłam decyzję! Przejdę do FMCG.

– FMCG? – powtórzył Yao.

– Do branży produktów szybko zbywalnych – wyjaśniła.

– Jak pasta do zębów?

– Dokładnie. Jak pasta do zębów. Chcesz ze mną współpracować?

– Co? Nie.

Przyglądał jej się badawczo. Stała przed nim wciąż ta sama Masza, nadal wyglądała oszłamiająco w tej zjawiskowej sukience, ale Yao czuł, że powoli wyzwała się spod jej wpływu, w miarę jak na jego oczach przeobrażała się z powrotem w dyrektorkę korporacji. Jak do tego doszło? Dotknęło go to jak zdrada kochanki. Nie traktował tego zajęcia jak zwyczajnej pracy, ono było całym jego życiem, domem, religią, a teraz ona namawiała go, by je rzucił i zajął się sprzedażą pasty do zębów? Czy pasta do zębów nie stanowiła części zwykłego świata, od którego się odwrócili?

Nie była w tej chwili sobą. Przemawiał przez nią narkotyk. Nie tak wyglądało prawdziwe objawienie. Z uwagi na dawne problemy zdrowotne nie wolno jej było pić tego smoothie, ale skoro już do tego doszło, to powinna się położyć ze słuchawkami na uszach, a Yao pokierowałby nią podczas psychodelicznego doświadczenia, by nie myślała o paście do zębów.

Teraz jednak musiał zatroszczyć się o dziewięcioro gości.

Oderwał wzrok od Maszy i wyłączył filmik z płonącym domem. Włączył program kierujący kamerami bezpieczeństwa i zajrzał do studia jogi i medytacji.

Było puste. W opuszczonym pomieszczeniu na podłodze wały się ręczniki.

– Wyszli – powiedział. – Jak udało im się uciec?

Masza prychnęła pogardliwie.

– Nareszcie na to wpadli. Drzwi były otwarte już od kilku godzin.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Carmel

Mężczyźni uparli się, by iść przodem po schodach, kiedy opuszczali studio jogi i medytacji, gotowi na krwawą walkę z lwami i konsultantami wellness proponującymi smoothie. Carmel, ciesząc się, że nie jest mężczyzną, doceniła ich uprzejmy, gentlemani gest, ale ich rycerskość okazała się zupełnie niepotrzebna. W pustym domu panowała zupełna cisza.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że nie doszło do pożaru. Obrazy, jakie stanęły jej przed oczami, były tak sugestywne. Sądziła, że już nigdy nie zobaczy swoich dzieci.

– Na pewno nie otworzą się tak po prostu – powiedziała Heather, kiedy podeszli do drzwi, a Napoleon położył dłoń na klamce, nakazując pozostałym, by się cofnęli, dalej, jeszcze dalej...

Drzwi otworzyły się, jakby nigdy nie były zamknięte, a tuż za progiem stał stalowy kosz na śmieci.

Napoleon przechylił go, by pokazać reszcie jego zawartość. Na dnie znajdowały się strzępy spalonych gazet, a na nich piętrzyły się odkształcone, na wpół stopione plastikowe butelki. Po piekielnej pożodze, która rozgorzała w wyobraźni więźniów, zostało tylko kilka żarzących się niedopałków.

Całą grupą weszli do pustej jadalni i spojrzeli na stół, przy którym w milczeniu towarzyszyli sobie podczas posiłków. Pomieszczenie wypełniło się szarym światłem. Rozległ się skrzekot srok i perlisty śmiech kukabury. Ich poranny chór nigdy nie brzmiał tak melancholijnie. Życie wydawało się cudownie zwyczajne.

– Powinniśmy poszukać telefonu – zaproponowała Heather. – Trzeba zadzwonić na policję.

– Moglibyśmy po prostu wyjechać – odparł Ben. – Znajdźmy samochody i wynośmy się stąd.

Wszyscy stali jak zaczarowani.

Carmel odsunęła krzesło i usiadła przy stole, opierając łokcie o blat. Taka sama ekstatyczna ulga spłynęła na nią w jednej chwili po porodzie. Nagle ucichły wykrzykiwane polecenia. Zniknął strach i chaos.

– Myślicie, że ktoś tu jeszcze został?

– Zaraz, ktoś nadchodzi – powiedział Lars.

W korytarzu rozległy się kroki.

– Dzień dobry! – Do jadalni wszedł Yao z dużym półmiskiem pełnym owoców tropikalnych. Był cały i zdrowy, choć wyraźnie wyczerpany. – Proszę, zajmijcie miejsca. Przygotowaliśmy dla was pyszne śniadanie! – Postawił półmisek na stole.

„Coś takiego”, pomyślała Carmel. „Zamierza udawać, że nic się nie stało”.

Zoe wybuchła płaczem.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Uśmiech spelzł z twarzy Yao.

– Nie żyję? Skąd ten pomysł?

– Wyglądałeś niezbyt dobrze, stary – powiedział Tony.

– Musieliśmy wziąć udział w grze pod tytułem „Cela skazańców” – poinformowała go Frances, która usiadła na fotelu przy drzwiach. Wyglądała jak jedna z córek Carmel, opowiadająca o wyczynach swoich sióstr. – To było straszne... – Frances urwała.

Yao ułożył na półmisku kiść czarnych winogron, która zsunęła się na blat. Zmarszczył czoło. Carmel podchwyciła wążek.

– Musieliśmy udawać prawników. – Przypomniała sobie ten rozkoszny moment, kiedy korporacyjnym żargonem wygadywała bzdury, które dla Maszy nabierały głębokiego sensu. Carmel była przerażona, a jednocześnie czuła się wspaniale. Jakby jechała kolejką w lunaparku po zapętlonych torach. – Każdy z nas miał przekonać Maszę, że jego klient zasługuje na odroczenie egzekucji. Ja broniłam... Zoe.

Słyszając własne słowa, uświadamiała sobie, w jakiej farsie wzięła udział. Jak mogło im przejść przez myśl, że to coś więcej niż gra? Dlaczego potraktowali ją tak poważnie?

Gdyby opowiedzieli o tym policji, naraziliby się na kpiny.

– A potem nawet nie pozwoliła nam dokończyć tego ćwiczenia – poskarżyła się Jessica.

– A tak czekałam na swoją kolej – zawtórowała jej Frances.

– Nie kłam – ofuknęła ją Heather.

Carmel wzięła winogrono z półmiska, choć nie czuła głodu. Może po takim poście traci się łaknienie. Rozgryzła owoc. „O Boże”, pomyślała, kiedy sok eksplodował w jej ustach. Ogarnęła ją bezgraniczna wdzięczność, jakby każdą komórką ciała zareagowała na odrobinę pożywienia. Wydawało jej się, że stoi u progu jakiegoś zdumiewająco skomplikowanego, a zarazem oszałamiającego w swej prostocie olśnienia dotyczącego piękna i wartości jedzenia. Ono nie było wrogiem. Dawało życie.

– Wiem, że niektóre wydarzenia poprzedniej nocy wydać wam się mogły trochę... dziwne – powiedział Yao. Miał lekką chrypę, ale zasługiwał na podziw. Grał na skrzypcach, choć Titanic już znalazł się pod wodą. – Wszystkie zadania zostały obmyślane tak, by stworzyć wam okazję do rozwoju.

– Daruj sobie, Yao – odezwał się Lars. – Przecież wiesz, że to koniec. Nie dopuścimy, by ktoś jeszcze musiał przejść przez to, co nas spotkało.

– Wasz ośrodek zostanie zamknięty – dodał Tony.

– A twoja szefowa wyląduje na strzeżonym oddziale psychiatrycznym – dorzuciła Heather.

– Nie wybieram się na żaden oddział – oświadczyła Masza.

Carmel serce podeszło do gardła.

Masza stała w drzwiach w czerwonym kostiumie *à la* Hillary Clinton, który wyszedł z mody dziesięć lat wcześniej i był na nią o trzy rozmiary za duży.

– Wracam do pracy – oznajmiła.

– Wciąż jest na haju – stwierdził Ben.

– Maszo – wtrącił się Yao z rozpaczą w głosie. – Miałaś odpoczywać.

– Świetnie wyglądacie! – Masza przyjrzała się zgromadzonemu. – O wiele szczuplej. O wiele zdrowiej. Na pewno jesteście zadowoleni z efektów terapii!

Heather prychnęła pogardliwie.

– Nie posiadamy się ze szczęścia, Maszo. Rezultaty przerosły nasze oczekiwania. Ależ się tu zrelaksowałam.

Masza zaczęła wściekle dyszeć.

– Nie mów do mnie tym sarkastycznym tonem! Odpowiadasz bezpośrednio przede mną. Jeśli zechcę, to...

– A ta znowu swoje – zirytowała się Heather. – Jesteś moją szefową, tak? Wszyscy dla ciebie pracujemy? Każesz nam przygotować prezentację w PowerPoincie, bo jak nie, to co? Dokonasz na nas egzekucji? – naśladowała akcent Maszy.

– Nie pomagasz, kochanie – powiedział Napoleon.

– Wiem o tobie wszystko, Heather – wycedziła Masza. – Byłam przy tobie zeszłej nocy. Słyszałam twoje tajemnice. Wyjawiłaś mi je. Uważasz mnie za potwora, bo podałam narkotyki twojej córce, choć zrobiłam to tylko po to, by pomóc tobie i twojej rodzinie. W takim razie odpowiedz mi na pytanie: Jakie lekarstwa pozwoliłaś zażyć swojemu synowi?

Masza miała zaciśnięte pięści. Trzymała w prawej dłoni coś, czego Carmel nie mogła dojrzeć.

– Co z ciebie za matka? – warknęła Masza do Heather.

Carmel nie potrafiła zrozumieć, skąd bierze się ta dziwna, potężna wrogość między tymi dwiema kobietami.

– Dość tego – powiedział Napoleon.

Yao ruszył w kierunku Maszy, kiedy Heather w odpowiedzi na jej komentarz wybuchła szyderczym śmiechem.

– Nigdy nie będziesz tak dobrą matką jak ja – rzuciła.

Masza zawyła jak zwierzę. Dосkoczyła do Heather ze srebrnym nożykiem w uniesionej ręce, gotowa wbić go w szyję rywalki.

Napoleon zasłonił żonę, a Yao rzucił się na Maszę dokładnie w tej samej chwili, kiedy Frances zerwała się z fotela, chwyciła za świecznik stojący na kredensie i rąbnęła nim Maszę w potylicę.

Masza upadła. Leżała bez ruchu u stóp Frances.

– O Boże – przeraziła się pisarka. Świecznik zwisał bezwładnie w jej dłoni.

Potoczyła wzrokiem po przerażonych twarzach. – Zabiłam ją?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Frances

Frances bezskutecznie próbowała z perspektywy czasu zrekonstruować swój tok myślenia. Najwyraźniej w jej mózgu doszło do zwarcia.

W dłoni Maszy zobaczyła dwustuletni nóż do otwierania listów.

„Ostrożnie. Ten nóż jest ostry jak brzytwa. Można by nim kogoś zamordować”.

Potem Masza rzuciła się na Heather.

Frances poczuła w dłoni zaskakująco ciężki świecznik.

I nagle Masza leżała u jej stóp, a ona unosiła ręce jak przestępczyni, bo postawny policjant mierzył do niej z pistoletu, mówiąc:

– Proszę się nie ruszać!

Tym dobrze wychowanym policjantem był Gus, chłopak Jan, tutejszej fizjoterapeutki. Był dokładnie tak uroczy, jak Frances to sobie wyobrażała, szczególnie kiedy schował broń. Nie oskarżył jej o zabicie Maszy, która wciąż żyła. Po kilku pełnych napięcia chwilach usiadła, trzymając się za głowę, i oznajmiła, że zwalnia Frances, i to w trybie natychmiastowym.

Gusowi towarzyszyła Jan w letniej sukience, cała czerwona z podekscytowania z powodu wydarzeń, do których doszło w jej miejscu pracy. Jak się okazało, podczas ich rozmowy (w środku nocy; ich spojrzenia świadczyły o tym, że tę pogawędkę poprzedził upojny seks) Gus wspomniał, że pod koniec zmiany zatrzymał dziewczynę w żółtym lamborghini za jazdę z nadmierną prędkością. Jan w mig się zorientowała, kim jest opisywana przez niego nieznajoma, a ponieważ mało prawdopodobne wydało im się to, by w tej okolicy znalazły się jednocześnie dwa takie samochody, więc doszli do wniosku, że Dalila ukradła auto któregoś z gości, a Jan, którą zaskoczyło to, że cały

personel Tranquillum House odesłano do domu w środku turnusu (co, jak twierdziła szefowa kuchni, nigdy wcześniej się nie zdarzyło), przekonała Gusa, by pojechali prosto do ośrodka i sprawdzili, co w trawie piszczy.

– Pewnie doznała wstrząśnienia mózgu – uspokoił ich Yao po zbadaniu swojej szefowej. – A może wciąż jest na haju.

Gus nie zamierzał oskarżać Frances o napaść, bo wszyscy świadkowie potwierdzili, że jej szybka interwencja najprawdopodobniej ocaliła Heather życie, choć Frances dobrze wiedziała, że chociaż Masza zaatakowała panią Marconi, to w niebezpieczeństwie znaleźli się przede wszystkim Napoleon, który odciągnął żonę na bok, i Yao, który stał naprzeciw Maszy.

– Dziękuję ci, Frances – powiedziała Heather, chwytając się za szyję i patrząc na niedoszące narzędzie zbrodni. – Mogło być nieciekawie.

Nie spojrzała na Maszę aż do chwili, gdy po dyrektorkę Tranquillum House przyjechała karetka z miejscowego szpitala.

– Dziękuję za wizytę! Pamiętajcie, proszę, o wystawieniu recenzji ze swojego pobytu na TripAdvisorze! – zawołała radośnie Masza wyprowadzana przez dwóch sanitariuszy w niebieskich kitlach.

Zjawiło się jeszcze kilku policjantów z lokalnego posterunku, a kiedy razem z Gusem znaleźli pokaźne zapasy narkotyków, wezwali innych funkcjonariuszy, którzy mieli surowsze spojrzenia, bardziej lśniące buty i w przeciwieństwie do Gusa nie wdawali się w przyjazne pogawędki.

Yao został odwieziony na przesłuchanie samochodem policyjnym.

Przed odjazdem spojrzał na wszystkich i powiedział tylko:

– Bardzo mi przykro.

Był przygnębiony, zrezygnowany i zażenowany jak nastolatek, któremu wymknęła się spod kontroli impreza zorganizowana pod nieobecność rodziców.

Lamborghini Bena znalazło się na parkingu przy regionalnym lotnisku, oddalonym o dwie godziny jazdy od ośrodka. Rzekomo nie zostało uszkodzone, ale Ben oświadczył, że to się jeszcze okaże. Dalili nie namierzono.

Papierkowa robota ciągnęła się w nieskończoność. Każdy musiał złożyć

szczegółowe zeznanie dotyczące wydarzeń poprzedniego tygodnia.

Niekiedy trudno było je logicznie zrelacjonować. Frances wyczuwała sceptycyzm funkcjonariuszy.

– Wydawało wam się, że zostaliście uwięzieni?

– Naprawdę nas uwięziono.

– Ale potem otworzyliście drzwi i wyszliście?

– No cóż, w pewnym momencie przestaliśmy naciskać na klamkę – odparła Frances.

– W ten sposób Masza próbowała nam pewnie udowodnić, że niekiedy rozwiązanie problemu mamy tuż pod nosem.

– Rozumiem – powiedział funkcjonariusz. Jego mina wskazywała, że niczego nie rozumiał i że na pewno nie dałby się zamknąć w tym pomieszczeniu. – Potem wydawało wam się, że wybuchł pożar.

– Dymiło się – odparła Frances z ustami pełnymi mango, którego złoty miąższ był świeży i słodki jak letni poranek. – Słyszeliśmy też trzask ognia.

– Choć w rzeczywistości odgłosy te pochodziły z filmiku na YouTube, przedstawiającego pożar i odtwarzanego przez interkom – dokończył monotonnym głosem policjant.

– Brzmiało to bardzo przekonująco – odparła Frances bez przekonania.

– Niewątpliwie – skwitował funkcjonariusz. Widać było, że walczy ze sobą, by nie przewrócić oczami. – Ma pani... – Wskazał na jej twarz.

Frances starła lepki sok z podbródka.

– Dziękuję. Owoce są takie pyszne w sezonie, prawda?

– Nie przepadam.

– Nie przepada pan za owocami?

Lars, jedyny członek grupy z doświadczeniem prawnym, zatroszczył się o spójność wszystkich zeznań.

– Oszukano nas. Nie mieliśmy pojęcia, że na terenie ośrodka przechowywane są narkotyki – mówił tak głośno, by wszyscy go usłyszeli, kiedy prowadzono go na przesłuchanie. – Nie poinformowano nas, co znajduje się w składzie smoothie.

– Nie miałam pojęcia, że na terenie ośrodka przechowywane są narkotyki –

powtórzyła za nim słowo w słowo Frances. – Oszukano mnie. Nie poinformowano mnie, co znajduje się w składzie smoothie.

– Tak, słyszałem – odparł funkcjonariusz. Przestał się hamować i przewrócił oczami. – Nikt z państwa o tym nie wiedział. – Zamknął notatnik. – Dam pani teraz w spokoju dokończyć jedzenie.

Jeden z lokalnych policjantów rozpoznał Tony’ego i pojechał do domu po koszulkę z godłem Carlton, żeby Tony mógł ją podpisać, a kiedy zobaczył na niej autograf, wzruszył się do łez.

Kiedy wreszcie długi dzień dobiegał końca, a narkotyki skonfiskowano jako dowód rzeczowy, całej grupie pozwolono opuścić ośrodek z zastrzeżeniem, że mogą jeszcze zostać wezwani na kolejne przesłuchania.

– Wolno nam odejść, a co, gdybyśmy zechcieli zostać? – zapytała Frances Gusa, który jako ostatni odjeżdżał z Tranquillum House.

Było za późno, by wyruszać w sześciogodzinną podróż powrotną.

Gus stwierdził, że nie widzi przeciwwskazań, bo ośrodek nie był już miejscem przestępstwa. Nikt nie umarł, narkotyki zabrano, a oni wciąż byli gośćmi, bo zapłacili z góry za nocleg. Przez chwilę zastanawiał się, czy przepisy na to pozwalają, by upewnić się co do słuszności swojej decyzji. Jan zaoferowała każdemu dziesięciominutowy, rozluźniający masaż. Radziła im, by udali się na oględziny do pobliskiego szpitala, ale nikt nie miał na to najmniejszej ochoty, szczególnie że właśnie tam zawieziono Maszę. Tony twierdził, że ramię go nie boli.

– To miałaś na myśli, radząc mi, żebym się nie zmuszała do robienia tego, na co nie mam ochoty? – zapytała Frances, gdy przyszała pora na jej masaż.

Biedna Jan struchlała.

– Chodziło mi o to, żebyś nie ćwiczyła krokodylków i gwałtownych wyskoków! – odparła, kiedy jej wprawne palce czyniły cuda z ramionami Frances. – Krokodylków nie powinny wykonywać osoby z chorym kręgosłupem, a gwałtowne wyskoki zalecane są tym, którzy zdążyli wzmocnić kolana. – Pokręciła głową. – Gdybym podejrzewała, że dzieją się tu takie rzeczy, natychmiast zawiadomiłabym policję. – Spojrzała z uwielbieniem na swojego chłopaka. – Czyli Gusa.

– Czy on pogwizduje? – zapytała Frances, podążając za jej wzrokiem.

Jak się okazało, nie pogwizdywał, nie strugał w drewnie, ale i tak był idealnym partnerem.

Kiedy Gus i Jan odjechali, poszła do kuchni, by przyrządzić kolację. Pijani wolnością myszkowali w szafkach, a kiedy otworzyli wielką, wypchaną po brzegi lodówkę w stalowej obudowie, zamarli z zachwytu na widok steków, kurczaków, ryb, warzyw i jajek.

– Dziś są moje dwudzieste pierwsze urodziny – ogłosiła Zoe. Wszyscy na nią spojrzeli. – To również urodziny Zacha. – Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Nasze urodziny.

Rodzice stanęli obok niej.

– Przyda nam się kieliszeczek wina do kolacji – stwierdziła Frances.

– I muzyka – dodał Ben.

– I ciasto – powiedziała Carmel. Już zakasała rękawy. – Jestem mistrzynią w pieczeniu tortów urodzinowych.

– Ja mogę zrobić pizzę – zaoferował Tony. – Wystarczy znaleźć mąkę.

– Naprawdę to potrafisz? – zdziwiła się Frances.

– Tak – odparł z uśmiechem.

Zoe przyniosła z pokoju przemyconą butelkę wina, a Frances przetrząsnęła cały dom, aż w końcu w pokoiku za recepcją trafiła na skarbiec pełen kontrabandy, której nie zwrócono poprzednim gościom. Zawierał między innymi sześć butelek wina, i to całkiem dobrego. Ben znalazł ich telefony, dzięki czemu połączyli się ze światem i dowiedzieli się, że w ciągu poprzedniego tygodnia niewiele się wydarzyło. Wybuchł skandal w świecie sportu, który oburzył tylko Tony'ego i Napoleona. Rozpadło się małżeństwo jednej z sióstr Kardashian, co obchodziło tylko Jessicę i Zoe. W wyniku klęski żywiołowej zginęli tylko ci, którzy nie posłuchali ostrzeżeń, więc trudno było im współczuć. Ben włączył muzykę w swoim telefonie i podjął się obowiązków DJ-a, nie dyskryminując żadnej grupy wiekowej ani żadnego stylu.

Wszyscy się najedli i troszeczkę wstawili. Jessica przyrządziła na grillu średnio wysmażone steki. Tony zagniół ciasto na pizzę. Frances niczym pomoc kuchenna asystowała temu, kto jej aktualnie potrzebował. Carmel upiekła przepyszny tort, a kiedy

spadł na nią deszcz pochwał, zaczerwieniła się i wypiękniała. Zdziwiająco dużo osób tańczyło i równie wiele płakało.

Lars ruszał się fatalnie. Wyglądał przezabawnie.

– Wyglupiasz się? – zapytała go Frances.

– Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? – odparł.

Za to Tony tańczył świetnie, wprost doskonale. Twierdził, że za dawnych czasów ćwiczenia baletowe stanowiły integralną część programu treningowego.

– Dzięki nim wzmocniłem stawy skokowe – wyjaśnił, kiedy Frances i Carmel, trzymając się za ręce, chichotały, wyobraziwszy sobie Tony’ego w spódniczce baletowej.

Odpowiedział im doskonałym piruetem.

Frances nigdy nie była w związku z facetem, który potrafił kręcić piruety i zagnieść ciasto na pizzę. Odnotowała to ze zdziwieniem, ale nie uznała tego za dostatecznie dobry powód, by dać mu się pocałować, choć on wyraźnie miał na to ochotę. Poczucie, że jest na przyjęciu w towarzystwie mężczyzny, który chce ją pocałować, ale jeszcze tego nie zrobił, było tak rozkoszne, jak kiedy doświadczyła go za pierwszym razem, jako piętnastolatka, na imprezie w szesnaste urodziny Natalie. Jej zmysły się wyostrzyły, jak po zażyciu halucynogenu.

Wzniesli toast za Zoe i Zacha.

– Nie chciałam mieć bliźniaków – powiedziała Heather, unosząc kieliszek czerwonego wina. – Przyznam wam się, że kiedy lekarz mi oznajmił, że będę mieć dwójkę dzieci, zaklęłam.

– Doskonały początek, mamó – stwierdziła Zoe.

– Jestem położną – kontynuowała Heather, ignorując córkę. – Wiedziałam, jakie ryzyko wiąże się z ciążą bliźniaczą. Ale moja przebiegła bez najmniejszych komplikacji. Urodziłam naturalnie. Dopiero kiedy ta dwójka przysłała na świat, zaczęły się problemy! – Spojrzała na Napoleona, który chwycił ją za rękę. – Pierwsze miesiące były trudne, ale potem, po pół roku, udało nam się im narzucić stały rytm dnia, a kiedy wreszcie porządnie się wyspałam, popatrzyłam na nich po przebudzeniu i pomyślałam: „Jesteście wyjątkowi”. Od początku rywalizowali o to, kto pierwszy posiadzie nowe

umiejętności. Zach urodził się pierwszy, ale Zoe wcześniej zaczęła chodzić. Za to on najpierw nauczył się biegać. – Przerwała. Już miała napić się wina, ale przypomniała sobie, że jeszcze nie skończyła toastu. – Zoe pierwsza zrobiła prawo jazdy. Możecie sobie wyobrazić, jak Zach się wściekł. – Znowu zamilkła. – A jak się kłócili! Wierzyć się nie chciało! O mały włos by się pozabijali. Zamykałam ich w osobnych pokojach, ale po chwili znowu się razem bawili, cali rozchichotani.

Frances uświadomiła sobie, że dokładnie taką samą mowę Heather wygłosiłaby, gdyby Zach żył. To był najzwyczajniejszy pod słońcem toast, jaki wygłasza się podczas przyjęcia w ogrodzie. Słuchając go, młodsze pokolenia są zażenowane, a starszym łąza się w oku kręci.

Heather uniosła kieliszek.

– Za Zoe i Zacha, najmądrzejsze, najzabawniejsze i najpiękniejsze dzieci na świecie. Tata i ja bardzo was kochamy.

Wszyscy powtórzyli za nią, z kieliszkami w górze:

– Za Zoe i Zacha.

Tylko Napoleon i Zoe nie wzniesli toastu.

On zapalił świece na tortie, a kiedy zaśpiewali *Sto lat*, Zoe je zdmuchnęła, ale nikt nie przypomniał jej, by pomyślała życzenie, bo każdy myślał w tej chwili tylko o jednym. Frances oczyma wyobraźni zobaczyła chłopca, który powinien teraz siedzieć ramię w ramię z Zoe, próbując zdmuchnąć więcej świeczek niż ona. Życie powinno stać przed nimi otworem.

Kiedy do każdego trafił talerzyk z kawałkiem (skądinąd znakomitego) tortu, Zoe poprosiła Bena, żeby włączył piosenkę, której Frances nie rozpoznała, a wtedy Ben, Jessica i Zoe ruszyli w tany.

Obiecali sobie, że będą utrzymywać kontakt. Znaleźli się na Facebooku i Instagramie. Jessica założyła grupę na WhatsAppie i wszystkich do niej zaprosiła.

Carmel pierwsza skapitulowała w obliczu zmęczenia i grzecznie się pożegnała. Wszyscy wracali nazajutrz do domu. Ci, którzy mieszkali w innych stanach, musieli przebukować bilety, by wyruszyć w drogę dzień wcześniej. Carmel czekała podróż do Adelaide, a rodzinę Marconich i Tony'ego – do Melbourne. Tony jako jedyny przyjechał wynajętym samochodem i obiecał podrzucić Bena i Jessicę na lotnisko, po

odbiór samochodu skradzionego przez Dalilę. Lars i Frances postanowili się porządnie wyspać i spokojnie zjeść śniadanie przed odjazdem do Sydney.

Frances już czuła, że rankiem wszystko się zmieni.

Poczują, jak wzywa ich dawne życie. Nieraz brała udział w zorganizowanych wakacyjnych wyprawach i rejsach. Dobrze znała ich przebieg. Wiedziała, że oddalając się od Tranquillum House, będą myśleli: Zaraz, co tam się wydarzyło? Nic mnie nie łączy z tymi ludźmi! Pobyt w ośrodku wyda im się snem. Naprawdę tańczyłem hula wokół basenu? Naprawdę wykonałam pozycję z Kamasutry, żeby moja drużyna wygrała? Naprawdę zażyłam narkotyki i zamknięto mnie w piwnicy z nieznanymi?

Wreszcie Frances została sam na sam z Tonym przy długim stole, pijąc ostatni kieliszek wina.

Tony uniósł butelkę.

– Jeszcze odrobinę?

Frances zawahała się, spoglądając na kieliszek.

– Nie, dziękuję.

On już miał sobie dolać, ale zmienił zdanie i odstawił butelkę.

– Chyba przeszłam przemianę – zażartowała Frances. – Z reguły nie odmawiam.

– To tak jak ja – odparł Tony.

Posłał jej zdecydowane, skupione spojrzenie, które mówiło: „Wkraczam do akcji”. Mężczyźni zawsze robią taką minę, kiedy dochodzą do wniosku, że nadszedł czas na pocałunek.

Przypomniał jej się ten pierwszy, niezapomniany i oszałamiający pocałunek podczas szesnastych urodzin Natalie, z chłopakiem, który później oświadczył, że woli mniejsze piersi. Pomyślała też o Gillian, która radziła jej, by przestała się zachowywać jak bohaterki swoich powieści. Tony z pewnością prowadził w Melbourne ustabilizowane życie. Przypomniała sobie, jak często przeprowadzała się dla mężczyzn. Dla faceta, który nie istniał, była gotowa spakować się i przenieść do Ameryki.

W uszach zadźwięczało jej pytanie Maszy: „Chcesz wyjechać stąd jako inna osoba?”.

– Zazwyczaj mówię „tak” – powtórzyła teraz, zwracając się do Tony’ego.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Tydzień później

– Nie jestem w ciąży – oznajmiła Jessica. – Nigdy nie byłam. Tylko mi się wydawało.

Ben, który właśnie oglądał *Top Gear*, spojrział na nią z kanapy. Pilotem wyłączył telewizor.

Jessica usiadła obok niego, położyła mu dłoń na kolanie i przez chwilę razem milczeli, choć oboje wiedzieli, co to oznacza.

Gdyby była w ciąży, zostaliby razem. Kochali się jeszcze na tyle, by razem wychować dziecko.

Okazało się jednak, że nie jest w ciąży, a ich miłości nie wystarczyło, by mogli dać sobie kolejną szansę, więc nie pozostało im nic innego jak tylko rozwód w przyjaznej atmosferze.

Dwa tygodnie później

W domu unosił się zapach cynamonu, karmelu i masła. Carmel na powitanie córek przygotowała ich ulubione potrawy.

Usłyszała, jak na podjeździe zatrzymuje się samochód, i podeszła do drzwi.

Wygramoliły się z niego cztery dziewczynki. Kiedy ją obległy, musiała uklęknąć. Zanurzała nos w ich włosach i zagięciach ich ramion. Wczepiły się w nią rączkami i zaczęły o nią walczyć jak o ulubioną maskotkę.

Lizzie zajęczała, gdy jedna z sióstr szturchnęła ją łokciem w oko. Lulu krzyczała na Allie:

– Teraz ja chcę poprzytulać mamusię! Nie jest tylko twoja!

Carmel poczuła łyzy w oczach, kiedy Sadie pociągnęła ją za włosy.

– Pozwólcie mamie wstać! – ofuknął je Joel. Źle znosił długie loty. – Na litość boską.

Carmel chwiejnie się podniosła.

– Nigdy cię już nie zostawię, mamusiu – oświadczyła zdecydowanie Lulu.

– Lulu! Nie bądź niewdzięczna – obruszył się Joel. – Przecież wracasz z wakacji swojego życia.

– Nie wściekaj się na nią – wtrąciła się Sonia. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Patrząc, jak jej byłego męża strofuje jego nowa dziewczyna, Carmel przypomniała sobie euforię, jakiej doświadczyła po wypiciu smoothie doprawionego narkotykami.

– Wejdźcie do środka, dziewczynki – zakomenderowała Carmel. – Mam dla was mnóstwo przysmaków.

Dziewczyny wbiegły do domu.

– Świetnie wyglądasz – skomplementowała ją Sonia, która miała poszarzałą cerę i była zmęczona podróżą przez kilka stref czasowych.

– Dzięki – odparła Carmel. – To były przyjemne wakacje.

– Udało ci się schudnąć? – zapytała Sonia.

– Nie wiem – odparła Carmel.

Naprawdę nie wiedziała. Ta sprawa straciła dla niej znaczenie.

– Z jakiegoś powodu wyglądasz całkiem inaczej, jakbyś przeszła przemianę – dodała ciepłym głosem Sonia. – Masz taką piękną cerę, włosy... Wprost promieniejesz.

„Oho, jeszcze słowo i się zaprzyjaźnimy!”, pomyślała Carmel.

Oczywiście, Joel nie zauważył, że się zmieniła. Kobieta nigdy nie zmienia wyglądu dla mężczyzny, tylko dla innych kobiet, bo to one porównują się ze sobą nawzajem pod względem wagi i kolorytu cery. Razem uparcie kręcą się na karuzeli wspólnych obsesji, nie mogąc i nie potrafiąc z niej zejść, idiotycznie skupione na swojej aparycji. Nawet gdyby Carmel była wymanikiowaną fanatyczką sportu o idealnym ciele, Joel i tak by ją zostawił. Nie ona ponosiła odpowiedzialność za to, że „przestała mu się podobać”. Odszedł dlatego, że pragnął czegoś nowego, a nie czegoś lepszego.

Teraz powiedział:

– W drodze powrotnej przydzielono nam miejsca tuż przy ubikacji. Drzwi co chwilę trzaskały, bach, bach, bach. Oka nie zmrużyłem.

– To nie do przyjęcia – pożałowała go Carmel.

– Wiem – odparł. – Próbowałem wykorzystać punkty z programu lojalnościowego, żeby przenieść się na lepsze miejsca, ale mi się nie udało.

Carmel dostrzegła, jak Sonia ze zniecierpliwieniem spogląda na sufit. Tak, z pewnością się zaprzyjaźnią.

– Przyszło mi do głowy, że dobrze by było, gdybyś w tym roku wziął na siebie część obowiązków związanych z odwożeniem dziewczynek na zajęcia pozalekcyjne – powiedziała do Joela. – Przez ostatni rok próbowałam sama temu sprostać, ale naprawdę nie daję rady, a chciałabym znaleźć trochę czasu na program treningowy, który właśnie zaczęłam realizować.

– Oczywiście – odparła za niego Sonia. – Przecież my też jesteśmy rodzicami!

– Strasznie zaschło mi w ustach – skarżył się Joel. – Chyba się odwodniłem.

– Przyślij mi harmonogram ich zajęć – poprosiła Sonia. – Na pewno dojdziemy do porozumienia. Jak chcesz, możemy to obgadać przy kawie. – Speszyła się, jakby przekroczyła nienaruszalną granicę.

– Świetny pomysł – przyklasnęła jej Carmel.

– Sama ustalłam sobie grafik, więc mogę się do ciebie dostosować – powiedziała Sonia. W jej głosie skrzył entuzjazm. – Z ogromną radością będę je zawozić na kółko baletowe. Zawsze marzyłam o córeczce, której mogłabym zaplatać włosy przed zajęciami tanecznymi, ale jak wiesz, nie mogę mieć dzieci, więc nigdy...

– Nie możesz mieć dzieci? – przerwała jej Carmel.

– Przepraszam, myślałam, że wiesz – odparła Sonia, rzucając okiem na Joela, który zapamiętale przesuwał palcem po wewnętrznej stronie warg.

– Nie wiedziałam – przyznała Carmel. – Przykro mi.

– Och, trudno, już się z tym pogodziłam – powiedziała Sonia, ponownie zerkając na Joela, co dowodziło tego, że wcale się z tym nie pogodziła, choć jemu taka sytuacja była na rękę. – Dlatego chętnie pomogę. Chyba że chcesz sama zająć się baletem.

– Ależ skąd, bardzo się cieszę, że się nimi zaopiekujesz.

Carmel nie przepadała za baletem i nie potrafiła upinać włosów tak, by zasłużyć na pochwałę córek i ich nauczycielki, panny Amber.

– Naprawdę?

Sonia złożyła dłonie, jakby dostała najcenniejszy prezent pod słońcem, a radosna wdzięczność w jej oczach wzruszyła Carmel niemal do łez. Dziewczynkom nie groziła konkurencja ze strony przyrodniego rodzeństwa, a Carmel pozbyła się niechcianego obowiązku. Panna Amber z pewnością pokocha Sonię, która będzie na ochotnika zgłaszać się jako dyżurna fryzjerka i makijażystka podczas pokazów. Carmel miała to z głowy.

Postanowiła, że wieczorem poprosi Lulu, by przestała wyprowadzać z błędu osoby, które biorą ją za córkę Soni.

– Poszukam najlepszej aplikacji koordynującej harmonogramy – zaoferowała Sonia, robiąc notatkę w telefonie.

Carmel poczuła kolejny przypływ euforii. Wprawdzie straciła męża, ale zyskała żonę. I to bardzo zorganizowaną i pełną energii. Ależ jej się poszczęściło. Co za wspaniała okazja.

Jeśli za dziesięć lat Joel zostawi Sonię, by poszukać nowszego modelu, Carmel będzie ją wspierać.

– Możemy pogadać o balecie innym razem? – niecierpliwił się Joel. – W tej chwili marzę o prysznicu. – Ruszył do samochodu.

– Musimy się pożegnać z dziewczynkami! – powstrzymała go Sonia.

– Oczywiście – odparł z westchnieniem.

Najwyraźniej wakacje były dla niego zbyt długie.

– Przeszłaś na dietę paleo? – zapytała Sonia szeptem, kiedy wchodzili do pokoju. – Pięć na dwa? Osiemnaście na sześć?

– Wyjechałam do sanatorium – odparła Carmel. – Bardzo odjechane miejsce. Zmieniło moje życie.

Trzy tygodnie później

– Ty dyszysz – zauważyła Jo.

– Robiłam pompki – wyjaśniła Frances, leżąc na brzuchu na podłodze w salonie, z telefonem przy uchu. – To jedyne ćwiczenie angażujące wszystkie mięśnie.

– Nie kłam – ofuknęła ją Jo. – O Boże, przyłapałam cię *in flagrante delicto*?

Tylko dawna redaktorka Frances potrafiła wymówić i napisać słowa *in flagrante delicto*.

– Schlebia mi to, że twoim zdaniem o jedenastej przed południem prędzej poszłabym z kimś do łóżka, niż robiła pompki. – Frances usiadła ze skrzyżowanymi nogami.

W Tranquillum House zrzuciła trzy kilo, ale po powrocie do domu natychmiast je odzyskała, próbowała jednak częściej ćwiczyć, jeść mniej czekolady, oddychać z namysłem i ograniczyć spożycie wina. Czuła się całkiem niezłe. Białka jej oczu zdecydowanie pojaśniały, jak twierdziła Ellen, którą zszokowała opowieść o tym, co działo się w ośrodku.

– Kiedy mówiłam o niekonwencjonalnym podejściu, miałam na myśli spersonalizowane posiłki, a nie LSD! – zawołała. Po chwili namysłu dodała tęsknie: – Chętnie bym spróbowała.

– Jak życie na emeryturze? – zapytała Frances swoją byłą redaktorkę.

– Wracam do pracy – oznajmiła Jo. – Tak będzie łatwiej. Wszystkim się wydaje, że przez cały dzień nie mam nic do roboty. Według mojego rodzeństwa powinnam przejąć całkowitą opiekę nad naszymi sędziwymi rodzicami. Moje dzieci co chwilę podrzucają mi wnuki, które naprawdę kocham, ale przecież po coś wymyślono przedszkola.

– Przecież mówiłam, że jesteś za młoda na emeryturę – powiedziała Frances, próbując dotknąć nosem kolana. Rozciąganie jest przecież bardzo ważne.

– Zakładam własne wydawnictwo – powiedziała Jo.

– Naprawdę? – Frances usiadła prosto. Zatlił się w niej płomyk nadziei. – Gratuluję.

– Oczywiście przeczytałam twoją ostatnią powieść i oczywiście zakochałam się w niej – powiedziała Jo. – Zanim jednak złożę ci oficjalną propozycję, chciałam cię zapytać, czy mogłabyś dopisać kilka krwawych scen? Może wprowadzisz jakieś morderstwo? Choćby jedno.

- Morderstwo! – zdziwiła się Frances. – Nie wiem, czy potrafię.
- Och, Frances. W twoim starym, romantycznym sercu drzemie mnóstwo morderczych instynktów.
- Doprawdy? – powiedziała Frances.
- Zmrużyła oczy. Może i Jo miała rację.

Cztery tygodnie później

Lars do ostatniej chwili nie wiedział, co powie.

Od powrotu do domu ten umorusany, ciemnowłosy chłopiec materializował się w jego snach, a teraz, na jawie, ni stąd, ni zowąd Larsowi znowu zaświtała ta irytująca myśl, która za każdym razem zdawała mu się nowym objawieniem: ten chłopczyk nie chciał mu pokazać dramatycznego wydarzenia z przeszłości, tylko cudowną przyszłość.

Powtarzał sobie: co za stek bzdur! Wcale się nie zmieniłem. Tak działają narkotyki. Brałem je nie raz. To była halucynacja, a nie objawienie.

Ale teraz Ray układał w spiżarni artykuły spożywcze i swoje koktajle białkowe, a Lars usłyszał swoje własne słowa:

– Zastanawiałem się nad dzieckiem.

Zobaczył, jak ręka Raya nieruchomieje. Puszka z pomidorami zawisła w powietrzu. Partner Larsa nic nie powiedział. Nie poruszył się ani nie odwrócił.

– Może powinniśmy spróbować – kontynuował Lars. – Może.

Zrobiło mu się niedobrze. Gdyby Ray się teraz odwrócił, objął go i spojrzał na niego oczami pełnymi miłości i szczęścia, Lars by zwymiotował, na sto procent.

Ale Ray za dobrze go znał.

Nie odwrócił się. Powoli odstawił puszkę.

– Okej – powiedział, jakby było mu wszystko jedno.

– Później o tym pogadamy – dodał Lars, stukając w granitowy blat, co trochę go zabolalo.

– Dobra – odparł Ray.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy idący do sklepu Lars zawrócił do domu po okulary

przeciwsłoneczne, usłyszał, jak jego partner – dorosły facet – skacze jak opętany i krzyczy przez telefon, najprawdopodobniej do swojej siostry:

– O Boże, o Boże, nie uwierzysz, co się stało!

Lars przystanął z okularami w dłoni, uśmiechnął się, a potem wyszedł na słońce.

Pięć tygodni później

W telewizji pokazywano film dokumentalny o historii futbolu australijskiego. Frances obejrzała go od początku do końca. Naprawdę ją zainteresował.

Zadzwoiła do Tony’ego.

– Właśnie poświęciłam godzinę na oglądanie filmu o twoim ukochanym sporcie!

– Frances? – powiedział zdyszany. – Właśnie ćwiczę pompki.

– Ja już potrafię zrobić dziesięć – pochwaliła się. – A ty?

– Sto.

– Chwalipięta – skwitowała Frances.

Sześć tygodni później

Napoleon siedział w poczekalni przed gabinetem psychiatry, którego polecił mu lekarz rodzinny. Sześć tygodni czekał na wizytę. „Faktycznie choroby psychiczne zbierają swoje żniwo”, pomyślał.

Od powrotu z Tranquillum House jakoś sobie radził. Uczył, gotował, rozmawiał z żoną i córką, kierował grupą wsparcia. Zdumiewało go to, że otoczenie traktuje go, jakby się nie zmienił. Tymczasem on czuł się tak jak po wyjściu z samolotu, kiedy zatykają się uszy, tylko że teraz miał przytłumione wszystkie zmysły. Słyszał echo własnych słów. Niebo wypłowiło. Robił absolutne minimum, bo wyczerpywał go sam wysiłek istnienia. Wstając rano, czuł się tak, jakby brodził w gęstym błocie.

– Wszystko w porządku? – pytała go niekiedy Heather.

– W najlepszym – odpowiadał.

Pobyt w Tranquillum House zmienił jego żonę. Wprawdzie nie była szczęśliwsza,

ale złagodniała. Zapisła się na zajęcia z tai-chi w pobliskim parku. Jako jedyna w grupie miała mniej niż siedemdziesiąt lat. Nie należała do kobiet otaczających się wianuszkami znajomych, ale z jakiegoś powodu odnalazła się w gronie seniorów.

– Bawią mnie – odparła. – I niczego ode mnie nie wymagają.

– Co ty wygadujesz? – zapytała ją Zoe. – Bardzo wiele od ciebie wymagają!

Heather faktycznie spędzała mnóstwo czasu, zawożąc swoich nowych znajomych do lekarza i odbierając dla nich recepty.

Zoe znalazła sobie nową pracę na pół etatu. Studia pochłonięły ją bez reszty. Napoleon bacznie ją obserwował, ale jego córka miała się dobrze i świetnie sobie radziła. Pewnego ranka, jakiś tydzień po powrocie z sanatorium, Napoleon przystanął pod jej łazienką i do jego uszu dotarł piękny dźwięk, którego nie słyszał od trzech lat. Jego córka uroczo fałszowała pod prysznicem.

– Pan Marconi? – przywitała go niewysoka blondynka, trochę podobna do Frances.
– Mam na imię Allison.

Zaprowadziła go do swojego gabinetu i wskazała krzesło przy stoliku, na którym leżał album o angielskich ogrodach i pudełko chusteczek o zapachu aloesowym.

Napoleon bez zbędnych wstępów przeszedł do rzeczy. Nie miał czasu do stracenia.

Opowiedział jej o Zachu, o seansie narkotycznym w Tranquillum House i o tym, że od powrotu do domu prawdopodobnie zmagają się z depresją. Dodał, że lekarz rodzinny zaproponował mu antydepresanty, które pewnie bardzo by się przydały Napoleonowi, ale czasem trudno obliczyć właściwą dawkę, ludzka psychika to nie mechanizm, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, odrobił lekcje, znał wszystkie nazwy handlowe leków i ich efekty uboczne, gdyby chciała, mógłby pokazać własnoręcznie sporządzony arkusz obliczeniowy, zdawał sobie sprawę z tego, że niektórym pacjentom nie poprawiało się od razu, a wręcz ich stan się pogarszał, nachodziły ich myśli samobójcze, wiedział to od osób, które straciły bliskich w podobnych okolicznościach, poza tym wszelkie leki silnie na niego działały, co do tego nie miał wątpliwości, może jego syn odziedziczył po nim tę nadwrażliwość, trudno powiedzieć, był jednak pewien, że personel tego sanatorium miał dobre intencje, a jego tak czy inaczej dopadłaby depresja, ale był przekonany, że spośród wszystkich osób w tej salce do jogi on jeden na pewno nie powinien był wypić tego smoothie.

A potem, opadając z sił, powiedział:

– Allison, boję się, że zrobię...

Nie poprosiła go, by dokończył.

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i poklepała go po ramieniu.

– Napoleonie, teraz gramy w jednej drużynie. Stanowimy zespół i wspólnie opracujemy strategię, dzięki której pokonamy przeciwnika, okej?

Spojrzała na niego z taką wiarą i zapałem, jakie niegdyś widział w oczach swojego trenera futbolu.

– Pokonamy przeciwnika. Zwyciężymy!

Dwa miesiące później

Frances i Tony wybrali się na spacer, każde w innym stanie, oddaleni od siebie o dziewięćset kilometrów.

Dotrzymanie sobie towarzystwa podczas przechadzek po swoich dzielnicach stało się ich małą tradycją.

Początkowo chodzili, przyciskając telefony do uszu, ale Mimi, córka Tony'ego, podpowiedziała mu, by sprawili sobie zestawy słuchawkowe, dzięki czemu teraz po spacerze nie bolały ich uszy i mogli dłużej rozmawiać.

– Dotarłaś już do stromego kawałka? – zapytał Tony.

– Tak – odparła. – Posłuchaj mojego oddechu! W ogóle nie mam zadyszki.

– Jak zawodowa sportsmenka – pochwalił ją Tony. – Zamordowałaś już kogoś?

– Tak – odparła. – Wczoraj. Pierwszy raz w życiu uśmierciłam w ten sposób postać. Zasłużył sobie na to.

– Podobało ci się? Cześć, Miśku.

Misiek był czekoladowym labradorem, którego Tony często spotykał podczas spacerów. Nie znał imienia jego właściciela, ale z psem zawsze się witał.

Tony powiedział jej, że wybiera się do Holandii w odwiedziny do syna i wnuczek.

– Nigdy nie byłam w Holandii – oznajmiła Frances.

– Naprawdę? – zdziwił się Tony. – Ja tylko raz. Mam nadzieję, że nie będzie tak

zimno jak poprzednio.

– Nigdy nie byłam w Holandii – powtórzyła Frances.

W słuchawce zapadła cisza. Frances przystanąła na chodniku i uśmiechnęła się do kobiety w słomkowym kapeluszu podlewającej ogródek.

– Chciałabyś wybrać się tam ze mną, Frances? – zapytał Tony.

– Tak – odparła. – Z przyjemnością.

Po raz pierwszy pocałowali się w poczekalni linii Qantas.

Trzy miesiące później

Heather siedziała na krawędzi łóżka, smarując mleczkiem suchą skórę na nogach, a Napoleon nastawiał budzik na następny dzień.

Zaczął się leczyć u psychiatry i chyba dobrze mu to robiło, choć nie opowiadał, o czym rozmawia podczas sesji terapeutycznych.

Obserwowała go, kiedy odkładał telefon na nocny stolik.

– Chyba powinieneś zrobić mi awanturę – powiedziała.

– Co? – Spojrzał na nią zaskoczony. – Nie, ależ skąd?

– Od powrotu z wakacji nie rozmawialiśmy o tym leku na astmę.

– Powiadomiłem pisemnie kogo trzeba. Upubliczniłem sprawę.

Oczywiście, Napoleon zrobił, co trzeba. Za pośrednictwem doktora Changa nawiązał kontakt z odpowiednimi ludźmi. Dostarczył im pełną dokumentację. Zapewnił ich, że nie zamierza nikogo pozywać, ale chce zadbać o to, by opinia publiczna dowiedziała się o tym, co się stało. Napisał do władz i firmy farmaceutycznej: „Mój syn, Zachary Marconi, odebrał sobie życie po tym, jak przepisano mu...”.

– Wiem – odparła Heather. – Ale nie skomentowałeś tego, co zrobiłam.

– Nie winię cię za samobójstwo Zacha – zapewnił ją Napoleon.

– Nie chcę, żebyś mnie obwinił – powiedziała. – Uważam jednak, że masz prawo być na mnie wściekły. Na Zoe też. Na nią nie możesz nakrzyczeć...

– Nie zamierzam – przerwał jej Napoleon, truchlejąc na samą myśl o urządzeniu awantur córce.

– Ale na mnie możesz. Jeśli chcesz.

Spojrzała na niego. Stał przy łóżku, z bolesnym grymasem na twarzy, jakby przed chwilą uderzył się w palec u nogi.

– Nie mam na to ochoty – odparł pompatycznym, belferskim tonem. – Co za niedorzeczność. Nic dobrego by to nie przyniosło. Straciłaś syna.

– Może chciałabym, żebyś się na mnie wściekł.

– To nieprawda – zaprotestował. – To... chore. – Odwrócił się od niej. – Przestań.

– Proszę cię. – Uklękła na łóżku, by spojrzeć mężowi prosto w oczy. – Napoleonie?

Przypomniał jej się dom rodzinny, w którym nikt nie krzyczał, nie śmiał się, nie płakał, nie wrzeszczał i nie wyrażał żadnej emocji gwałtowniejszej niż chętką na filiżankę herbaty.

– Proszę cię.

– Skończ z tym nonsensem – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Przestań.

– Nakrzycz na mnie.

– Nie – odparł. – Nie zrobię tego. I co jeszcze? Może mam cię uderzyć?

– Za nic w świecie byś tego nie zrobił. Ale jestem twoją żoną, Napoleonie, masz prawo się na mnie wściec.

Zobaczyła, jak wezbrał w nim gniew, ogarnął go od stóp do głów. Wykrzywił mu twarz. Wprawił go w drżenie.

– Trzeba było poczytać o tych pierdolonych skutkach ubocznych, Heather! To chcesz ode mnie usłyszeć?

Jego głos nabierał mocy, aż wreszcie Napoleon krzyczał tak głośno, jak nigdy wcześniej, głośniejsz niż wtedy, kiedy Zach w wieku dziewięciu lat, kiedy powinien już mieć trochę oleju w głowie, nieomal wpadł pod auto, goniąc za piłką, którą kazano mu zostawić, a wtedy Napoleon wrzasnął: „STÓJ!”, tak przeraźliwie, że zamarli wszyscy ludzie na parkingu.

Heather czuła kołatanie serca, kiedy Napoleon uniósł ręce na wysokość jej ramion, jakby chciał nią gwałtownie potrząsnąć, ale nawet jej nie dotknął.

– Uszczęśliwiłem cię? To chciałaś ode mnie usłyszeć? Tak, jestem na ciebie wściekły, bo kiedy cię zapytałem o skutki uboczne leku, który podawałaś mojemu

dziecku, to powinnaś była to sprawdzić!

– Powinnaś była – zgodziła się z nim cicho.

Napoleon podniósł telefon ze stolika.

– A ja niepotrzebnie włączyłem drzemkę w tym pierdolonym telefonie!

Cisnął nim o ścianę.

Odłamki plastiku poszybowały w powietrze.

Na moment zamilkli. Heather obserwowała jego unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Gniew z niego uchodził.

Napoleon opadł na łóżko, odwróciwszy się od niej, zasłonił twarz dłońmi i odezwał się ochryłym, pełnym rozpacz, ledwie dosłyszalnym głosem, jakby zostały w nim już tylko ból i żal.

– A nasza córka powinna była nam zwrócić uwagę, że dzieje się z nim coś złego.

– Powinna była – przyznała mu rację Heather, przytuliła policzek do jego pleców i czekała, aż ich serca powrócą do normalnego rytmu.

Napoleon dodał coś jeszcze, czego nie usłyszała.

– Co?

– Niczego więcej się nie dowiemy – powtórzył.

– Tak – powiedziała Heather.

– Choć to o wiele za mało – dodał.

– Tak. O wiele za mało.

*

Tamtej nocy Heather po raz pierwszy od śmierci Zacha zasnęła głęboko na siedem godzin i nic jej się nie przyśniło, a po przebudzeniu poczuła, że przedostała się na drugi brzeg niewidzialnej, niemożliwej do przekroczenia przepaści, która od trzech lat oddzielała ją od Napoleona, a teraz zniknęła bez śladu. Podjęła w życiu kilka złych decyzji, ale nie żałowała tego, że przyjęła uprzejme zaproszenie przerośniętego, niezdarnego chłopca, który zabrał ją do kina na „doceniony przez krytyków film pod tytułem *Tańczący z wilkami*”.

Uprawiając seks, nie powinno się myśleć o własnych dzieciach. Życie intymne

małżonków powinno pozostać za zamkniętymi drzwiami sypialni. A jednak tamtego ranka, kiedy Napoleon wziął ją czule w ramiona, Heather pomyślała o całej swojej rodzinie, o dwojgu dzieciach, chłopcu, który nigdy nie stanie się mężczyzną, dziewczynce, która stała się już kobietą, i potężnych prądach miłości bezustannie przepływających między mężem i żoną, ojcem i synem, matką i synem, ojcem i córką, matką i córką oraz bratem i siostrą. Tyle miłości zrodziło się tylko dlatego, że przyjęła zaproszenie do kina.

A potem przestała myśleć, bo Napoleon wciąż nieźle się ruszał.

Rok później

Ben i jego matka wielokrotnie wyobrażali sobie ten moment, ale kiedy nadszedł, okazało się, że są nań zupełnie nieprzygotowani.

Lucy przedawkowała, choć właśnie wychodziła na prostą, co zdarza się dość często w takich momentach, kiedy wszystkim się wydaje, że idzie ku dobremu. Zapisała się na kurs aranżacji wnętrz. Odwoziła dzieci do szkoły. Poszła na wywiadówkę, by wypytać o oceny syna, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło.

Znalazła ją matka. Twierdziła, że Lucy wyglądała tak spokojnie jak dziewczynka, która się zdrzemnęła, albo jak trzydziestolatka, która zrezygnowała z walki z potworem, niepozwalającym jej być sobą.

W pierwszej chwili Ben chciał zadzwonić do Jessiki. Pozostawali w dobrych relacjach, choć przechodziły go ciarki z zażenowania na widok jej postu na Instagramie, gdzie „obwieściła” ich rozwód, jakby byli parą celebrytów, którzy postanowili upublicznić prawdziwą wersję historii swojego rozstania, zanim zabiorą się za to media. Napisała: „Na zawsze pozostaniemy bliskimi przyjaciółmi, ale postanowiliśmy, że nadszedł czas, by się rozstać w atmosferze wzajemnego szacunku”.

Teraz Jessica brała udział w eliminacjach do następnego sezonu *Kawalera do wzięcia*. Twierdziła, że nie szuka miłości i pewnie nie znajdzie jej podczas tego programu, ale dzięki niemu może zyskać większą „widzialność” w mediach społecznościowych i przyciągnąć tysiące obserwatorów na Instagramie. Nie chciał jej wyśmiewać, bo była „ambasadorką” wielu organizacji charytatywnych, a jej konto na

Instagramie było pełne zdjęć z eleganckich lunchów, bali i śniadań, które razem z grupą znajomych z wyższych sfer „miała zaszczyt” zorganizować.

Ben wrócił do warsztatu Pete’a. Początkowo koledzy dawali mu w kość – „Kasa się skończyła, co?” – ale w końcu się odczepili i zapomnieli o jego bogactwie. Zatrzymał samochód, mieszkał w fajnym domu, ale sporo pieniędzy wpompował w prowadzoną przez swoją matkę fundację pomagającą rodzinom uzależnionych.

Dzięki Larsowi udało im się podzielić majątek bez konfliktów i rozpraw sądowych. Pobyt w Tranquillum House przyniósł im jedną niezaprzeczalną korzyść: poznali świetnego prawnika rodzinnego.

Ben nie od razu poinformował Jessicę o śmierci Lucy. Nie mógłby znieść braku zaskoczenia w jej głosie. Wybrał numer Zoe. Od wspólnego pobytu w ośrodku zawarli internetową znajomość i okazjonalnie pisywali do siebie, ale nigdy wcześniej nie rozmawiali przez telefon.

– Cześć, Ben – przywitała go radośnie Zoe. – Co u ciebie?

– Dzwonię, bo... – Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa więcej. Próbował pamiętać o wydechu.

Jej ton się zmienił.

– Chodzi o twoją siostrę? – zapytała. – Co z Lucy?

Zoe przyjechała na pogrzeb. Jego wzrok uparcie za nią podążał.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Pięć lat później

Yao zazwyczaj nie włączał telewizora w ciągu dnia, ale właśnie wrócił cały w stresie z placu zabaw, na którym jego dwuletnia córeczka ugryzła w ramię inne dziecko, odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się jak wampirek. Yao był przerażony i zażenowany.

– Ach, ty też gryzłeś jak opętany – powiedziała mu matka przez telefon. – Ma to po tobie. – W jej głosie pobrzmiwała satysfakcja, jakby należało się cieszyć z tego, że dziecko odziedziczyło po nim tę akurat skłonność.

Yao położył córeczkę, by się zdrzemnęła, i surowo pogroził jej palcem.

– Nigdy więcej tak nie rób.

Ona pogroziła mu jeszcze surowiej.

– Nigdy tak nie rób.

Położyła się, włożyła kciuk do buzi i zamknęła oczy. Wciąż miała dołeczki w policzkach, bo tylko udawała, że śpi, nie potrafiąc ukryć rozbawienia.

Yao przypatrywał jej się przez chwilę, zachwycony jej dołeczkami i krągłością jej policzków, i jak zawsze w takich chwilach nie mógł się nadziwić, że wyładował bezpiecznie w nowym życiu, w domu na przedmieściach, jako ojciec opiekujący się córką.

Przyznał się do udziału w wydarzeniach, jakie rozegrały się w Tranquillum House, i dostał czternaście miesięcy w zawieszeniu. Masza upierała się, że wyłącznie ona ponosi odpowiedzialność za próbę wdrożenia nowej metody terapeutycznej, a jej nierozgarnięci pracownicy byli tylko bezwolnymi pionkami w jej grze. Zeznała, że to ona przygotowała smoothie, co było prawdą, ale Yao jej asystował, odmierzając odpowiednie dawki narkotyków. Jego matka stwierdziła, że na miejscu sędziego

posłałaby swojego syna za kratki. Rodzice byli na niego wściekli. Nie mogli zrozumieć, co nim powodowało. Zresztą Yao sam nie potrafił tego dociec. Wtedy swoje postępowanie uważał za racjonalne. Przecież przeczytał tyle artykułów w renomowanych czasopismach! Ich autorami były prawdziwe autorytety!

– Ta kobieta cię zahipnotyzowała – powiedziała jego matka.

Ostro zaprotestowała, kiedy opowiedział jej o scenie, którą zobaczył podczas terapii psychodelikami.

– Nigdy nie zostawiłabym cię samego, gdyby na kuchence coś się gotowało – oświadczyła. – Masz mnie za idiotkę? Zrobiłbyś coś takiego swojemu dziecku? Mam nadzieję, że nie!

Dodała też, że to on sam jest źródłem swojego lęku przed porażką.

– Byłeś taki od urodzenia! – powiedziała. – Próbowaliśmy cię przekonać, że błędy nie mają znaczenia. Powtarzaliśmy ci, żebyś nie dążył za wszelką cenę do perfekcji, bo pomyłki każdemu się zdarzają. Żeby ci to udowodnić, z premedytacją zaliczaliśmy różne wpadki. Ojciec celowo czasem coś upuszczał albo się potykał. Mówiłam mu: „Chyba trochę przesadzasz”. Ale jego to najwyraźniej bawiło.

Yao uświadomił sobie, że być może przez całe życie nie rozumiał swoich rodziców. Wprawdzie powtarzali, by nie oczekiwał zbyt wiele, dzięki czemu uniknie rozczarowań, ale radzili mu tak nie dlatego, że nie wierzyli w marzenia. Chcieli go chronić. Poza tym, wbrew temu, co sądził Yao, jego ojciec nie był aż takim niezdara.

*

Dalila nie stanęła przed sądem, bo nigdy jej nie odnaleziono. Yao zastanawiał się czasem, jak potoczyły się jej losy. Może skończyła na jakiejś odległej wyspie, remontując łódzie, jak bohater jego ulubionego filmu *Skazani na Shawshank*, gdy już udało mu się uciec z więzienia.

(– To ulubiony film wszystkich singli na świecie – powiedziała mu jedna z matek spotkanych na placu zabaw. Przekonała się o tym, kiedy jeszcze korzystała z serwisów randkowych).

Yao podejrzewał jednak, że Dalila wróciła do dużego miasta i pracowała jako sekretarka. Czasem przypominała mu się ta spódnica, w której zobaczył ją po raz

pierwszy tysiąc lat temu, kiedy jeszcze pracowała dla Maszy.

Yao otrzymał zakaz pracy w ratownictwie medycznym i wszelkich placówkach ochrony zdrowia. Po wyjeździe z Tranquillum House i rozprawie sądowej przeniósł się do jednopokojowego mieszkania znajdującego się w jednakowej odległości od domów rodziców. Znalazł sobie nowe zajęcie, tłumacząc z chińskiego dokumenty prawne. Robota była nudna i żmudna, ale dzięki niej miał z czego żyć.

Pewnego razu zadzwonił telefon. Z perspektywy czasu zastanawiał się, czy rozmowy telefoniczne, które zmieniają w jednej chwili całe życie, anonsuje jakiś szczególnie dzwonek, bo kiedy siedział sam, niemrawo jedząc kolację, i nagle odezwała się komórka, przeszył go dreszcz zapowiadający ważne wydarzenie.

Bernadette, jego dawna narzeczona, zadzwoniła, by pogadać. Myślała o nim. I to dużo.

Czasem zmiany zachodzą tak powoli i niepostrzeżenie, że człowiek w ogóle ich nie rejestruje, aż pewnego dnia budzi się z myślą: „Jak dotarłem aż tutaj?”. Niekiedy jednak decydujący zwrot następuje błyskawicznie, w wyniku szczęśliwego bądź nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, pociągając za sobą pozytywne albo tragiczne konsekwencje. Wygrywa się na loterii. W niewłaściwym momencie wchodzi się na ulicę. W odpowiedniej chwili dzwoni dawna miłość. Nagle sprawy przybierają nieoczekiwany obrót i życie toczy się w zupełnie nowym kierunku.

W ciągu roku wzięli ślub i zaraz po tym Bernadette zaszła w ciążę. Doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jak ona wróci do pracy, a on zostanie w domu z dzieckiem i będzie dalej tłumaczył. Teraz zajęcie to wydało mu się bardzo ciekawe i niezwykle inspirujące.

Kiedy upewnił się, że córeczka naprawdę zasnęła, poszedł do salonu, rozsiadł się na kanapie i włączył telewizor. Mógł sobie pozwolić na dwadzieścia minut śmieciowej telewizji, by ukoić nerwy po incydencie na placu zabaw. Potem chciał przez godzinę popracować, a następnie zabrać się do gotowania kolacji.

Pilot wysunął mu się z ręki.

– Masza – szepnął.

– Masza – powiedział na drugim końcu miasta mężczyzna z kluczem francuskim w dłoni.

On też nie oglądał telewizji w ciągu dnia, ale właśnie wykonywał drobne naprawy w domu swojej synowej, bo jego syn nadawał się tylko do wykonywania skomplikowanych obliczeń.

– Znasz ją?

Jego synowa, oglądając telewizję, poklepała po plecach córeczkę, którą przed chwilą karmiła piersią.

– Znałem kiedyś podobną do niej osobę – powiedział mężczyzna, nie patrząc na synową, bo nie chciał widzieć jej piersi i nie mógł oderwać wzroku od byłej żony.

Masza wyglądała pięknie. Miała długie do ramion, ciemne włosy z blond pasemkami i była ubrana w sukienkę w kilku odcieniach zieleni, która podkreślała jej szmaragdowe oczy.

Mężczyzna usiadł na kanapie obok synowej, a ona tylko zerknęła na niego z zaciekawieniem, nie odzywając się ani słowem. Razem obejrzeni wywiad.

Masza napisała książkę. Przedstawiła w niej dziesięciodniowy program rozwoju osobistego z wykorzystaniem psychodelików. Grupa nieznanym zamknięta w jednym pomieszczeniu była poddawana innowacyjnej terapii, podczas której konfrontowała się ze swoimi lękami i rozwiązywała zagadki.

– Nie sądzę, by ktoś się dał na to nabrać – stwierdziła jego synowa.

– Oczywiście, prawo nie zezwala na stosowanie wspomnianych przez panią środków – powiedział dziennikarz.

– Niestety – odparła Masza. – Ale to się kiedyś zmieni.

– O ile mi wiadomo, trafiła pani do więzienia za stosowanie narkotyków podczas testowania tego programu.

Mężczyzna kurczowo ścisnął trzymany na kolanach klucz. Więzienie?

– To prawda – powiedziała Masza. – Nie żałuję tego. To był ważny etap w moim życiu. – Uniosła dumnie głowę. – Za kratkami przeszłam przemianę. Dużo się nauczyłam, a wszystkie doświadczenia opisałam w swojej książce, dostępnej w dobrych księgarniach. – Podniosła egzemplarz i pokazała go do kamery.

Dziennikarz chrząknął.

– A jak skomentuje pani pogłoski, że już w tej chwili, w kilku tajnych ośrodkach na terenie całego kraju, oferuje pani terapię z wykorzystaniem LSD i innych halucynogenów?

– To całkowita nieprawda – obruszyła się Masza. – Pragnę zdecydowanie zdementować te plotki.

– A więc nie prowadzi pani działalności w sekretnych placówkach?

– Oferuję wyjątkowe, skrojone na miarę i niezwykle skuteczne programy terapeutyczne dla niewielkich, pieczołowicie wyselekcjonowanych grup, ale nie łamię prawa, tego może być pan pewien.

– Podobno ustawiła się już do pani długa kolejka, a za udział w programie trzeba sporo zapłacić – powiedział dziennikarz.

– To prawda, cieszy się on dużym zainteresowaniem – odparła Masza. – Na listę oczekujących można wpisać się, korzystając z mojej strony internetowej albo z bezpłatnej infolinii, której numer, jak sądzę, widać w tej chwili na ekranie. Dla osób, które do nas zadzwonią w ciągu dwudziestu czterech godzin, przygotowaliśmy ofertę specjalną.

– Wprawdzie działa pani zgodnie z prawem, ale nie zdradza pani, gdzie mieszczą się te ośrodki. Zresztą regularnie przenosi je pani w nowe miejsca – powiedział dziennikarz.

Spojrzał wyczekująco na Maszę.

– To było pytanie? – odparła Masza, posyłając do kamery czarujący uśmiech.

– Ale wariatka – powiedziała synowa. – Założę się, że zarabia miliony. – Wstała i podała dziecko teściowi. – Potrzy masz ją? Zaparzę herbatę.

Mężczyzna odłożył klucz i wziął wnuczkę na kolana. Jego synowa wyszła z salonu.

Masza opowiadała jeszcze o tak zwanym oddychaniu holotropowym, czyli, jak to ujęła, „terapii psychodelicznej bez użycia psychodelików”.

– Chodzi o to, żeby dyszeć, póki się nie odleci, prawda? – zapytał dziennikarz nieuprzejmym, sceptycznym tonem.

– To znacznie bardziej skomplikowany, wieloetapowy proces – odparła Masza.

Następnie na ekranie pojawił się reportaż z centrum konferencyjnego, gdzie Masza przechadzała się po scenie z mikrofonem zamocowanym na uchu, a stłoczeni na widowni ludzie słuchali jej w nabożnym skupieniu.

Mężczyzna przytulił dziecko i w ojczystym języku szepnął mu do ucha:

– Ta wariatka to twoja babcia.

*

Pamiętał dzień, w którym urodził się ich drugi syn, ledwie trzy miesiące po śmierci pierworodnego.

– Jest twój. – Masza nawet nie chciała spojrzeć na malca. Odwróciła od niego wzrok, a jej twarz oblepiona wilgotnymi włosami wyglądała jak wykuta w marmurze. – Nie mój.

– Mamusia musi dojść do siebie – powiedziała pielęgniarka.

Przez Maszę przemawiała rozpacz. Wciąż była w szoku. Co za tragedia, stracić syna, będąc w szóstym miesiącu ciąży z drugim. Ta pielęgniarka nie wiedziała, jak silna jest jego żona. Nie znała Maszy.

Na własne życzenie wypisała się ze szpitala. Twierdziła, że jeszcze tego samego dnia wróci do pracy, i obiecała przysyłać pieniądze. Zarabiała dostatecznie dużo, by mąż mógł zaopiekować się ich dzieckiem, ale nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Mówiła bardzo spokojnie, jakby dobijała z kimś targu, i straciła panowanie nad sobą tylko raz, kiedy mąż padł na kolana, wczepił się w nią i błagał, by nie niszczyła ich rodziny.

– Żadna ze mnie matka! – wykrzyczała mu prosto w twarz. – Nie rozumiesz? Żadna ze mnie matka – powtarzała bez końca.

Pozwolił jej odejść. Jaki miał wybór? Zgodnie z obietnicą przysyłała pieniądze, każdego roku coraz więcej, bo odnosiła sukces za sukcesem.

Wysyłał jej zdjęcia. Nigdy nie odpowiadała na te wiadomości. Zastanawiał się, czy w ogóle je oglądała, i w końcu doszedł do wniosku, że nawet na nie nie zerka. Miała siłę, by przenosić góry, a jednocześnie była słaba jak dziecko.

Dwa lata później ożenił się po raz drugi. Jego syn nazywał jego australijską żonę

„mamusią” i mówił z australijskim akcentem. Urodziło im się jeszcze dwóch synów i razem wiedli australijskie życie w tym szczęśliwym kraju. W Boże Narodzenie grywali w krykieta na plaży. Mieli basen przy domu, chłopcy wracali ze szkoły autobusem, a w gorące dni przebiegali pędem przez dom, ściągając ubrania i w samych slipach wskakiwali do wody. Przyjaźnili się z wieloma osobami, a niektórzy z ich znajomych wpadali do nich bez uprzedzenia. Jego druga żona wychowała się w małym miasteczku i mówiła z prowincjonalnym akcentem, przeciągając samogłoski, a jej ulubionym powiedzonkiem było: „nie ma problemu”; kochał ją, ale na przestrzeni wielu lat zdarzało mu się czasem, że grillował steki w ogrodzie z butelką piwa w ręce, cykały cykady, w oddali rechotała kukabura, szemrała woda, w powietrzu unosił się zapach sprayu na komary, mężczyzna czuł na karku ciepłe promienie przedwieczornego słońca i nagle stawała mu przed oczami twarz Maszy wykrzywiona w gniewnym grymasie, z pięknymi, zielonymi oczami pełnymi wyniosłości, pogardy i dziecięcej dezorientacji. „Co to za ludzie! Są tacy dziwni!”

Od lat nie próbował się z nią skontaktować. Nie wysłał jej nawet zdjęć ze ślubu ich syna, ale pięć lat temu, kiedy urodził się ich pierwszy wnuk, a on, świeżo upieczony dziadek, poczuł, jak przepełnia go gwałtowna, wszechogarniająca miłość, i wysłał jej e-mail ze zdjęciami maleństwa i nagłówkiem: MASZA, PROSZĘ, PRZECZYTAJ. Napisał, że nie ma jej za złe rezygnacji z roli matki, rozumiał ją, ale teraz miała okazję zostać babcią. Czy to nie cudowne? Nie odpowiedziała.

Spojrzał na swoją wnuczkę. Wydawało mu się, że ma takie same oczy jak jej babcia. Przytrzymał dziecko jedną ręką, a drugą wyciągnął z kieszeni telefon i sfotografował śliczną, śpiącą dziewczynkę.

Postanowił się nie poddawać. Pewnego dnia Masza odpowie. Zmięknie albo znajdzie siłę i odpowie.

Nikt nie znał jej tak dobrze jak on.

Któregoś dnia odpowie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Czytelniku, nie wyszła za niego, ale on przeprowadził się dla niej do Sydney i zamieszkali razem, i był przy niej, kiedy jej kariera odżyła po tym, jak jej pierwszy „romans z dreszczykiem” nieoczekiwanie okazał się hitem. (Nie zdziwiła się tylko Jo, która zadzwoniła do Frances zaraz po otrzymaniu poprawionego manuskryptu i tonem, jaki nie przystoi babci, oznajmiła:

– Zajebicie się spisałaś!)

Równie niespodziewaną popularnością cieszyła się w Holandii, gdzie zakochały się w niej wnuczki Tony’ego, które nazywały ją „babcią Frances”, a według Tony’ego to pod jej wpływem jego syn postanowił z całą rodziną wrócić do kraju, choć przecież to nie ona załatwiła mu transfer w ramach tej samej firmy. Była zapatrzona we wnuczki Tony’ego – w swoje wnuczki – a wszystkie jej koleżanki stwierdziły, że Frances jak zwykle wymigała się od ciężkiej roboty i skupiła się na przyjemnościach, bo mogła porozpieszczać ukochane dzieciaki, a potem odstawić je do domu.

Ostatecznie jednak jej wybaczyły.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Oczywiście, nie każdy może liczyć na happy end. Nie wszystkim dobrze się wiedzie. Życie to nie bajka. Oto przykład: Helen Ihnat, która zrecenzowała *Pragnienia serca*, napisane przez Frances, padła ofiarą zatrważającego, gigantycznego przekrętu na kryptowalutach, straciła wszystkie oszczędności i do końca swoich dni klepała biedę.

 Nie skarżyła się na swój los, bo gardziła wykoncypowanymi, szczęśliwymi zakończeniami.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Och, czytelniku, oczywiście, że za niego wyszła. Przecież ją znasz. Czekala do sześćdziesiątych urodzin. Ubrała się na turkusowo. Miała jednaście druhen, każda powyżej czterdziestego piątego roku życia, trzynaście druhenek i jednego pazia, szkraba, który jeszcze uczył się chodzić i w obu rączkach ścisnął resorówki. Miał na imię Zach.

Każde krzesło w sali zaślubin miało zawiązaną na oparciu satynową kokardę.

Nigdy nie widzieliście tak pięknego, szalonego ślubu.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze chcę podziękować wielu osobom, które wspierały mnie, kiedy pisałam tę książkę. Jestem ogromnie wdzięczna Georgii Douglas, Cate Paterson, Amy Einhorn, Maxine Hitchcock, Ali Lavau i Hilary Reynolds – utalentowanym i niezwykle pracowitym redaktorkom, dzięki którym moja powieść tak wiele zyskała.

Dziękuję Elinie Reddy, która poświęciła mnóstwo czasu, pomagając mi w tworzeniu Maszy. Elina jest nie tylko wspaniałą artystką, ale ma także wprost niezwykłą zdolność malowania słowem zachwycających obrazów. Maria (Masza) Dmitryczenko zaoferowała najwyższą sumę podczas aukcji charytatywnej zorganizowanej przez Starlight Children's Foundation, dlatego postanowiłam ją uwiecznić na kartach mojej powieści i niniejszym dziękuję jej za zgodę na wykorzystanie swojego nazwiska.

Doktor Nikki Stamp jestem wdzięczna za odpowiedzi na wszystkie moje pytania. To jedna z niewielu kobiet w gronie australijskich kardiochirurgów, a rozmowa Maszy z jej lekarką to niemal dosłowny cytat z książki *Can You Die of a Broken Heart?* .

Dzięki Kat Lukasz i Praveenowi Naidoo poznałam lepiej język rosyjski i dowiedziałam się co nieco o futbolu. Lucie Johnson podzieliła się ze mną opowieściami o sanatoriach. Bezcenna była mina, jaką zrobił mój szwagier, Rob Ostric, kiedy zapytałam go, czy przejechałby lamborghini po nieutwardzonej drodze. Dziękuję mojej siostrze Fionie za to, że natychmiast odpowiada na moje wiadomości, w których żądam od niej informacji. Jestem wdzięczna uroczym gościom ośrodka Golden Door, z którymi spędziłam cudowny tydzień i zobaczyłam wschód słońca. Chociaż naprawdę mnie urzekł, nie czuję potrzeby, by ponownie go oglądać.

Dziękuję moim agentom: Fionie Inglis i Benowi Stevensonowi z Sydney, Faye Bender z Nowego Jorku, Jonathanowi Lloydowi i Kate Cooper z Londynu oraz Jerry'emu Kalajianowi z Los Angeles. Wiele zawdzięczam Tracey Cheetham z Sydney,

Gaby Young z Londynu i Marlenie Bittner z Nowego Jorku – specjalistkom od marketingu, które mają do mnie świętą cierpliwość. Dziękuję także Conorowi Mintzerowi, Nancy Trypuc i Katie Bowden.

Adam ogromnie mi pomógł, gdy tworzyłam Tranquillum House. Odpowiadał na każde, nawet najdziwniejsze pytanie, budził mnie kawą, opiekował się mną i zawsze stał u mojego boku. Dziękuję George’owi i Annie za to, że są piękni i świetnie wyłapują przekleństwa na kartach moich manuskryptów, jeśli akurat zobaczą je na ekranie. Dziękuję mojej mamie, Diane Moriarty, za pomoc w redagowaniu niniejszej książki i za to, że na szczęście należy do tych osób, które nigdy nie przeprowadziłyby się na południe Francji.

Pisanie to samotne zajęcie, dlatego chcę również podziękować moim koleżankom po fachu: moim siostram i przyjaciółkom po piórze Jaclyn i Nicoli Moriarty, a także zaprzyjaźnionym pisarkom Dianne Blacklock, Ber Carroll, Jojo Moyes i Marian Keyes. Za sprawą niezwykłego talentu lektorki Caroline Lee moje książki wiele zyskują jako audiobooki.

Dziękuję Nicole Kidman, Perowi Saariemu i Brunie Papandrei za to, że uwierzyli w moją książkę, zanim ją przeczytali.

Dziękuję moim czytelnikom. Tak jak Frances mam najwspanialszych fanów na świecie, którym jestem ogromnie wdzięczna.

Dedykuję tę książkę mojej siostrze Kati i mojemu ojcu, Bernie’emu Moriarty, bo zawsze w obliczu przeciwności losu zachowują siłę, odwagę i poczucie humoru i podejrzewam, że nawet kiedy mają zły dzień, zrobiliby więcej pompek niż Masza.

*

Podczas pracy nad *Dziwięciorgiem nieznanym* korzystałam z następujących książek: *No Time to Say Goodbye. Surviving The Suicide of a Loved One* Carli Fine, *Acid Test. LSD, Ecstasy and the Power to Heal* Toma Shrodera, *Therapy with Substance. Psychoanalytic Psychotherapy in the Twenty First Century* Friederike Meckel Fischer i *Drzwi percepcji* Aldousa Huxleya.

*

Jeśli znasz kogoś, kto cierpi na depresję, zadzwoń na Bezpłatny kryzysowy telefon zaufania pod numer 116 123 lub Bezpłatny telefon zaufania dla dzieci i młodzieży pod numer 116 111 albo do Centrum Wsparcia dla osób w stanie kryzysu psychicznego pod numer 800 70 22 22. Więcej na:

depresja.org/gdzie-szukac-pomocy/

www.psychologia.edu.pl/kryzysy-osobiste/telefon-kryzysowy-116123.html

116111.pl

liniawsparcia.pl

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[Rozdział czterdziesty trzeci](#)

[Rozdział czterdziesty czwarty](#)

[Rozdział czterdziesty piąty](#)

[Rozdział czterdziesty szósty](#)

[Rozdział czterdziesty siódmy](#)

[Rozdział czterdziesty ósmy](#)

[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)

[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)

[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)

[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)

[Rozdział pięćdziesiąty ósmy](#)

[Rozdział pięćdziesiąty dziewięty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty pierwszy](#)

[Rozdział sześćdziesiąty drugi](#)

[Rozdział sześćdziesiąty trzeci](#)

[Rozdział sześćdziesiąty czwarty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty piąty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty szósty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty siódmy](#)

[Rozdział sześćdziesiąty ósmy](#)

[Rozdział sześćdziesiąty dziewięty](#)

[Rozdział siedemdziesiąty](#)

[Rozdział siedemdziesiąty pierwszy](#)

[Rozdział siedemdziesiąty drugi](#)

[Rozdział siedemdziesiąty trzeci](#)

[Rozdział siedemdziesiąty czwarty](#)

[Rozdział siedemdziesiąty piąty](#)

[Rozdział siedemdziesiąty szósty](#)

[Rozdział siedemdziesiąty siódmy](#)

[Rozdział siedemdziesiąty ósmy](#)

[Rozdział siedemdziesiąty dziewięty](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału
Nine Perfect Strangers

Copyright © 2018, LMM Creative Pty Ltd

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografie na okładce

© Johner Images – Crispin, Alexander / Getty Images

© Tom Merton / Getty Images

Cytaty pochodzą ze zbioru *Działalodina Rumiego Szepty ukochanego*, tłum. Sylwia Kuran, [b.m.] 2013, s. 23 i 58, www.beezar.pl/ksiazki/szepty-ukochanego-rumi (dostęp: 27 kwietnia 2019).

Opieka redakcyjna
Monika Kucab, Bogna Rosińska

Adiustacja
Aurelia Hołubowska

Korekta
Malwina Błażejczak, Małgorzata Kłosowicz

ISBN 978-83-240-7134-0



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek